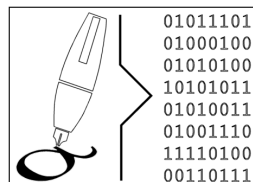


ROBERT JORDAN

Ognie niebios

piąty tom z cyklu „Koło Czasu” cz. 1

Przełożyła: Katarzyna Karłowska



Tytuł oryginału:

The fires of heaven. Vol. 1

Data wydania polskiego: 1997 r.

Data pierwszego wydania oryginalnego: 1993 r.

Dla Harriet

*Światło jej oczu jest moją Światłością
A wraz z jego nadejściem przerażające ognie płoną znowu. Wzgórza gorzeją, a ziemię
pokrywa popiół. Ludzkie fale przewalają się w ucieczce, godzin ubywa. Mur jest skruszony,
kurtyna rozstania uniesiona. Burze łomoczą za horyzontem, a ognie niebios smagają
ziemię. Nie ma zbawienia bez zniszczenia, żadnej nadziei po tej stronie śmierci.*

fragment z Proroctw Smoka
tłumaczenie przypisywane N'Delii Basolaine
Pierwsza Panna i Miecz Raidhen z Hol Cuchone
około 400 PP

PROLOG

SYPIĄ SIĘ PIERWSZE SKRY

Siedząca za szerokim stołem Elaida do Avriny a'Roihan nieobecny ruchem musnęła palcami długą stulę z siedmioma pasami otaczającą jej ramiona, stulę Zasiadającej na Tronie Amyrlin. Wielu uznałoby ją za skończoną piękność, przynajmniej na pierwszy rzut oka, ale przy powtórny spojrzeniu wychodziła na jaw pewna surowość rysów na pozbawionej śladów upływu lat twarzy. Dzisiaj gościło na niej coś jeszcze — odległy gniew w ciemnych oczach. Gdyby tylko ktoś był w stanie go dostrzec.

Ledwie słuchała kobiet siedzących przed nią na stołkach. Ich suknie pyszniły się wszelkimi kolorami, od bieli po ciemną czerwień, uszyte z jedwabiu i wełny w zależności od tego, co każdej z nich dyktował własny smak, jednak wszystkie prócz jednej nosiły swe ceremonialne szale, zdobione Białym Płomieniem Tar Valon, umieszczonym centralnie na plecach, kolorowe frędzle znamionowały przynależność do ich Ajah, jakby to było oficjalne posiedzenie Komnaty Wieży. Omawiały raporty i plotki dotyczące wydarzeń dziejących się w dalekim świecie, starając się odsiać fakty od zmyśleń, usiłując podjąć decyzje określające przyszłe działania Wieży, ale rzadko obdarzały choćby przelotnym spojrzeniem kobietę siedzącą za stołem, kobietę, której przysięgały posłuszeństwo. Nie zwracały należytej uwagi na Elaidę. Nie docierało do nich, co jest naprawdę ważne. A może nawet docierało, ale obawiały się nawet o tym napomknąć.

— Na pewno coś się dzieje w Shienarze. — To powiedziała Danelle, szczupła, chwilami jakby całkowicie pogrążona w marzeniach, jedyna Bązowa spośród obecnych sióstr. Żółte i Zielone również miały tu tylko po jednej przedstawicielce i wcale im się to specjalnie nie podobało. Brakowało Błękitnych. Wielkie niebieskie oczy Danelle przepełniało skupienie, nie zauważona smużka atramentu plamiła jej policzek, a ciemnoszara wełniana suknia była zmięta. — Doszły mnie słuchy o utarczkach zbrojnych. Nie z trollokami i nie z Aielami, chociaż częstotliwość rajdów dokonywanych zza Przełęczu Niamh jakby się nasiliła. Między samymi Shienaranami. To dość niezwykle dla Ziemi Granicznych. Oni rzadko walczą ze sobą.

— Wybrali właściwy moment, jeżeli zamierzają rozpętać u siebie wojnę domową — chłodno zauważyła Alviarin. Smukła i wysoka, cała w białych jedwabkach, jedyna, która nie miała na sobie szala. Stała Strażniczki otaczająca jej ramiona również była biała, wskazując, że wyniesiono ją do tej godności z Białych Ajah. Nie zaś z czerwonych, byłych Ajah Elaidy, jak nakazywała tradycja. Białe były zawsze chłodne. — Trolloki zachowują się, jakby wymarły. Cały Ugór zdaje się wystarczająco spokojny, aby strzec go mogli dwaj pasterze i nowicjuszka.

Kościste palce Teslyn poprawiły dokumenty spoczywające na jej podolku, ale nie spojrzała nawet na nie. Jedna z czterech obecnych w komnacie Czerwonych sióstr — a było ich więcej niżli pozostałych Ajah — pod względem surowości ustępowała jedynie Elaidzie, choć nikt nigdy nie uznałby jej za piękność.

— Byłoby lepiej może, gdyby nie panował tam tak przemożny spokój — powiedziała Teslyn z silnym illiańskim akcentem. — Otrzymałam wiadomość dzisiejszego ranka, że Marszałek-Generał Saldaei powiodł armię w pole. Nie w kierunku Ugoru, ale w przeciwną stronę. Na południowy wschód. Nigdy by tak nie postąpił, gdyby Ugór nie zdawał się całkowicie uspiony.

— A więc wieści o Mazrimie Taimie zaczynają się rozchodzić. — Alviarin równie dobrze mogłaby dyskutować o pogodzie lub o cenie dywanów, zamiast o potencjalnej katastrofie. Wiele wysiłku włożono w pojmanie Taima, jeszcze więcej w zatajenie jego ucieczki. Nic dobrego nie wyniknie dla Wieży, jeśli świat dowie się, że nie potrafiły poradzić sobie z fałszywym Smokiem, i to po tym, jak go już schwytały. — Wygląda na to, że królowa Tenobia albo Davram Bashere, ewentualnie oboje naraz, doszli do wniosku, iż nie można nam zaufać, że znowu sobie z nim poradzimy.

Na wzmiankę o Taimie zapadła martwa cisza. Ten mężczyzna potrafił przenosić — prowadzono go już do Tar Valon, gdzie miał zostać poskromiony, odcięty na zawsze od Jedynej Mocy, kiedy udało mu się zbiec — choć nie to zasznurowało im usta. Niegdyś istnienie mężczyzny zdolnego do przenoszenia Jedynej Mocy objęte było najściślejszą tajemnicą, ściganie takich mężczyzn było głównym powodem istnienia Czerwonych Ajah, pozostałe zaś pomagały im w tym, jak tylko mogły. Jednak wszystkie prawie kobiety siedzące przy stole poruszyły się nerwowo na stołkach, unikając wzroku pozostałych, ponieważ wzmianka o Taimie doprowadziła je niebezpiecznie blisko tematu, o którym nie chciały mówić głośno. Nawet Elaida poczuła ściskanie żołądka.

Alviarin najwyraźniej nie miała takich oporów. Kącik jej ust lekko zadrżał, wykrzywiając ich linię, co mogło oznaczać zarówno uśmiech, jak i grymas pogardy.

— Podwoję nasze wysiłki mające na celu schwywanie Taima. I proponuję, aby oddelegować siostrę, która by doradzała Tenobii. Kogoś nawykłego do przecięzania tępego uporu, jakim charakteryzuje się ta młoda kobieta.

Pozostałe pośpiesznie starały się wypełnić niewygodną ciszę, która zapadła

przed chwilą.

Joline poprawiła na szczupłych ramionach swój szal o zielonych frędzlach i uśmiechnęła się, chociaż był to uśmiech nieco wymuszony.

— Tak. Ona potrzebuje Aes Sedai u swego boku. Kogoś, kto da sobie radę z Bashere. On ma zdecydowanie nadmierny wpływ na Tenobię. Trzeba skłonić go, by wycofał swoją armię, tam gdzie jest jej miejsce, na wypadek przebudzenia się Ugoru.

Rozchylenie szala odsłoniło jakby za głęboki dekolt, bladozielona suknia była obcisła, trochę nazbyt ściśle przylegała do ciała. I uśmiechała się za często, jak na gust Elaidy. Szczególnie do mężczyzn. Zielone zawsze takie były.

— Ostatnią rzeczą, jakiej teraz potrzebujemy, jest armia ruszająca w pole — powiedziała szybko Shemerin, Żółta siostra. Była kobietą pulchną, której nigdy nie udawało się zachować zewnętrznego opanowania Aes Sedai. Jej oczy zawsze otaczały zmarszczki znamionujące niepokój, ostatnimi czasy coraz głębsze.

— I kogoś do Shienaru — dodała Javindhra, kolejna Czerwona. Pomimo gładkich policzków jej kwadratowa twarz sprawiała wrażenie dostatecznie twardej, by można było wbijać z jej pomocą gwoździe. W głosie pobrzmiwały ochryple tony. — Nie podobają mi się tego rodzaju kłopoty na Ziemiach Granicznych. Ostatnią rzeczą, jakiej nam potrzeba, jest osłabienie Shienaru do tego stopnia, by hordy trolloków mogły się wyrwać na świat.

— Być może. — Alviarin pokiwała głową, zastanawiając się. — Ale przecież mamy swoje agentki w Shienarze... Mają je... bez wątpienia... Czerwone, a zapewne również i pozostałe?... — Cztery Czerwone siostry pokiwały nieznacznie głowami, z niechęcią, poza nimi żadna nie wykonała najmniejszego gestu. — W razie czego one nas ostrzegą, jeśli te drobne utarczki zaczną przekształcać się w coś, czym powinnyśmy się przejmować.

Było tajemnicą, znaną niemal powszechnie, że wszystkie Ajah, oprócz Białych, poświęcających się wyłącznie logice i filozofii, miały szpiegów infiltrujących w różnym stopniu wszystkie nacje, chociaż siatkę Żółtych uznawano za godną pożałowania. Po prostu nie było niczego w kwestii chorób i Uzdrawiania, czego mogłyby się nauczyć od tych, którzy nie potrafili przenosić. Poza tym niektóre siostry miały również swoich własnych agentów, choć przypuszczalnie strzegły ich jeszcze bardziej zazdrośnie aniżeli Ajah swoich szpiegów. Błękitne miały najszerzej rozbudowane siatki, zarówno osobiste, jak i będące w dyspozycji całej Ajah.

— A zatem, jeśli chodzi o Tenobię i Davrama Bashere — ciągnęła dalej Alviarin — zgadzamy się, że musi zająć się nimi któraś z sióstr?

Prawie nie czekała na potakujące skinienia głów.

— Dobrze. To mamy załatwione. Najlepiej będzie Memara, nie dopuści do żadnych nonsensownych działań ze strony Tenobii, a jednocześnie nigdy nie da jej poznać, że to ona trzyma smycz. Teraz kolejna kwestia. Czy któraś otrzymała

może świeże wieści z Arad Doman lub Tarabonu? Jeżeli czegoś tam wkrótce nie zrobimy, może się okazać, że Pedron Niall oraz jego Białe Płaszczki zajęły cały teren od Bandar Eban po Wybrzeże Cienia. Evanellin, masz coś?

Arad Doman i T'arahon rozdierała wojna domowa, działy się tam rzeczy straszne. Jakikolwiek porządek na tych terenach przestał istnieć. Elaida była zaskoczona, że w ogóle poruszyły ten temat.

— Tylko plotki — odrzekła Szara siostra. Jej jedwabna suknia, dostosowana odcieniem do koloru frędzli szala, była znakomicie skrojona, z głębokim wycięciem na plecach. Elaida często myślała, że ta kobieta powinna zostać Zieloną, tak absorbowały ją wygląd i stroje. — Na tych nieszczęsnych ziemiach niemalże wszyscy to uchodźcy, włączając w to tych, którzy mogliby przesyłać wieści. Panarch Amathera rzekomo gdzieś zniknęła i wydaje się, że jakaś Aes Sedai mogła być wmieszana. . .

Dłonie Elaidy zacisnęły się na krawędziach stuły. Na jej twarzy nie odbiło się żadne z targających nią uczuć, choć w oczach zapłonął ogień. Kwestia armii saldaeańskiej została wyczerpana. Przynajmniej Memara należała do Czerwonych, to ją zaskoczyło. Ale one nigdy nie pytały jej o zdanie. Załatwione. Zaskakujące domniemanie, że za zniknięciem Panarch stała jakaś Aes Sedai — jeśli nie była to jeszcze jedna z nieprawdopodobnych opowieści, które spływały z zachodniego wybrzeża — nie chciało opuścić umysłu Elaidy: Aes Sedai rozproszyły się wszędzie, od Oceanu Aryth po Grzbiet Świata, a Błękitne przecież mogły się posunąć do wszystkiego. Nie minęły jeszcze dwa miesiące od czasu, gdy wszystkie ukłękły, by złożyć hołd i przysiąc wierność — jej jako ucieleśnieniu Białej Wieży — a teraz podejmują decyzje, nawet nie spoglądając w jej stronę.

Gabinet Amyrlin znajdował się jedynie kilka poziomów powyżej stóp Białej Wieży, a jednak to pomieszczenie stanowiło jej serce w takim samym sensie, jak sama Wieża, barwy pobielanej kości, była sercem Tar Valon, wielkiego miasta na wyspie, kotłowanej wodami rzeki Erinin. Samo zaś Tar Valon było, a przynajmniej powinno być, sercem świata. Wnętrze komnaty opowiadało historię władzy dzierżonej kolejno przez wiele następujących po sobie kobiet, które ją zajmowały — posadzka z polerowanego czerwonego kamienia z Gór Mgły, wysoki kominek ze złotego marmuru z Kandori, ściany wyłożone bladym, osobliwie przegowanym drewnem, cudownie rzeźbionym w postaci nieznanymi ptaków i zwierząt sprzed ponad tysiąca lat. Ozdobnym kamieniem lśniącym niczym perła obramowano wysokie sklepienie łukami okna, wychodzące na balkon, pod którym rozpościerał się prywatny ogród Amyrlin, kamieniem, do którego podobny znaleziono jedynie w ruinach bezimiennego miasta, pochłoniętego przez Morze Sztormów podczas Pęknięcia Świata. Komnata ucieleśniająca potęgę samych Amyrlin, które sprawiały, że trony tańczyły na ich wezwanie od blisko trzech tysięcy lat. A one nawet nie spytały o jej opinię.

Te uchybienia zdarzały się nazbyt często. Co gorsza a z pewnością było to

najbardziej gorzkie ze wszystkiego uzurpowały sobie prawo do posiadania autorytetu, i to na dodatek zupełnie machinalnie. Wiedziały, w jaki sposób zdobyła stulę, rozumiały dobrze, że to dzięki ich pomocy mogła otoczyć nią swe ramiona. Sama o tym wiedziała aż za dobrze. Jednak posuwały się zbyt daleko. Wkrótce będzie musiała coś z tym zrobić. Ale jeszcze nie teraz.

Ona też wycisnęła swoje piętno na tym pomieszczeniu, przynajmniej starała się o to, na ile tylko mogła, stół do pisania bogato rzeźbiony w potrójne pierścienie, masywne krzesło inkrustowane odrobionym w kości słoniowej Płomieniem Tar Valon, zawieszonym ponad jej ciemnymi włosami niczym wielka śnieżna łąza. Trzy szkatułki z altarańskiej emalii rozstawione na stole w równych odległościach — jedna z nich mieściła najwspanialsze egzemplarze jej kolekcji miniatur. W białej wazie, na prostym postumencie stojącym pod ścianą, stały czerwone róże, wypełniając pomieszczenie słodką wonią. Od czasu jej wyniesienia nie spadła ani kropla deszczu, ale dysponując Mocą, można było w każdej chwili mieć świeże kwiaty, a ona zawsze uwielbiała kwiaty. Tak łatwo było je pielęgnować i wydobywać z nich piękno.

Dwa obrazy wisiały na ścianie, lekko unosząc głowę, mogła je łatwo dojrzeć z miejsca, w którym zwykła siadać. Pozostałe unikały patrzenia w ich stronę, spośród kobiet odwiedzających jej gabinet jedynie Alviarin spoglądała na nie choćby przelotnie.

— Czy są jakieś wieści o Elayne? — nieśmiało zapytała Andaya. Zwiewna, podobna do ptaka, niska kobieta, pozornie nieśmiała, druga z Szarych sióstr obecnych w towarzystwie, zdecydowanie nie wyglądała na zdolną mediatorkę, choć w istocie była jedną z najlepszych. W jej akcencie wciąż jeszcze się słyszało leciutkie ślady wymowy z Tarabonu. — Albo o Galadzie? Jeżeli Morgase dowie się, że gdzieś nam zginął jej pasierb, może znowu zacząć nas pytać o losy swej córki, tak? A jeśli dowie się, że nie upilnowaliśmy Dziedziczki Tronu, Andor może się okazać dla nas równie niedostępny jak Amadicia.

Kilka kobiet potrząsnęło głowami — nie miały żadnych informacji, Javindha zaś powiedziała:

— Czerwona siostra jest na miejscu w Królewskim Pałacu. Niedawno wyniesiona, tak więc trudno będzie rozpoznać w niej Aes Sedai. — Miała na myśli fakt, że twarz tamtej nie była jeszcze naznaczona piętnem braku upływu lat związanym z długim używaniem Mocy. Ktoś, kto próbowałby odgadnąć wiek kobiet zgromadzonych w gabinecie, mógłby mieć kłopoty ze zmieszczeniem się w dwudziestoletniej granicy błędu, a w wielu przypadkach zapewne pomyliłby się nawet dwukrotnie. — Jest dobrze wykształcona, zdecydowana, całkiem silna i nadto jest dobrą obserwatorką. Morgase zaś zajęta jest wysuwaniem swych roszczeń do tronu Cairhien.

Kilka kobiet nerwowo poruszyło się na swych stołkach, a jakby zdając sobie sprawę, iż oto znalazła się niebezpiecznie blisko pewnych ryzykownych kwestii,

Javindhra pośpiesznie ciągnęła dalej:

— Ponadto jej uwagę wydaje się również absorbować jej nowy kochanek, lord Gaebriel, choć w odmienny zupełnie sposób. — Jej cienkie usta zacisnęły się w prawie niewidoczną kreskę. — Ona całkowicie oszalała na punkcie tego mężczyzny.

— To on ją nakłania do mieszania się w sprawy Cairhien — oznajmiła Alviarin. — Sytuacja tam jest prawie równie zła jak w Tarabonie i Arad Doman, niemalże wszystkie domy walczą o Tron Słońca, a głód nęka cały kraj. Morgase zaprowadzi porządek, ale dużo czasu zabierze jej zdobycie tronu. Dopóki jednak to nie nastąpi, nie będzie miała dość sił, by kłopotać się pozostałymi sprawami, nawet losem Dziedziczki Tronu. A ja zleciłam jednej z urzędniczek, by wysyłała okazjonalne listy, nieźle bowiem potrafi naśladować charakter pisma Elayne. Morgase powinno to wystarczyć, dopóki ponownie nie odzyskamy nad nią odpowiedniej kontroli.

— Przynajmniej jej syn wciąż pozostaje w naszych rękach. — Jolin uśmiechnęła się.

— O Gawynie trudno powiedzieć, że pozostaje w czyichkolwiek rękach — ostro wtrąciła Teslyn. — Ci jego Młodzi wdają się w potyczki z Białymi Płaszczami po obu stronach rzeki. On w równym stopniu zachowuje się wedle własnego uznania, co słucha naszych wskazań.

— Zostanie przywołany do porządku — powiedziała Alviarin. Elaida zaczęła powoli nienawidzić tego jej niewzruszonego, chłodnego opanowania.

— Jeśli już mówimy o Białych Płaszczach — wtrąciła Danelle — wygląda na to, że Pedron Niall prowadzi potajemne negocjacje, starając się przekonać Altare oraz Murandy do scedowania części swych ziem na rzecz Illian, aby tym samym powstrzymać Radę Dziewięciu od inwazji na nie.

Uspokojone przebiegiem dotychczasowej rozmowy, kobiety siedzące po drugiej stronie stołu zaczęły trajkotać, starając się wydedukować, czy aby negocjacje Lorda Kapitana Komandora nie doprowadzą przypadkiem do nadmiernego zwiększenia wpływów Synów Światłości. Może należało przeszkodzić w rozmowach, aby na koniec Wieża mogła wkroczyć i sprawić, by przywódcę Synów zastąpiono bardziej spolegliwym kandydatem.

Elaida zacisnęła usta. Wielokrotnie w przeszłości zdarzało się, że Wieża była zmuszona postępować niezwykle ostrożnie — zbyt wielu lękało się ich, zbyt wielu im nie ufało — ale one same nigdy nie bały się niczego i nikogo. A jednak teraz w ich sercach zagościł strach.

Uniosła wzrok i spojrzała na wiszące na ścianie obrazy. Jeden składał się z trzech drewnianych paneli ilustrujących historię Bonwhin, ostatniej Czerwonej, która została tysiąc lat temu wyniesiona do godności Zasiadającej na Tronie Amyrlin i z powodu której od tego czasu żadna z Czerwonych nie nosiła stupy. Dopóki nie nastała Elaida. Bonwhin, wysoka i dumna, rozkazująca Aes Se-

dai w czasach, gdy próbowały manipulować Arturem Hawkwingiem, Bonwhin, wyzywająca, na białych murach Tar Valon, obleganego przez siły Hawkwinga, i Bonwhin na kolanach, ponizona przed Komnatą Wieży, kiedy zdarły z niej stulę i odebrały laskę Amyrlin za to, że o mało nie doprowadziła do zguby Wieży.

Wiele zastanawiało się, dlaczego Elaida wydobyla ten tryptyk z magazynu, gdzie spoczywał, pokrywając się kurzem, wrażliwe ucho Elaidy potrafiło wyłapać poszeptywania, nawet jeśli żadna nie mówiła nic głośno. Nie rozumiały, że należy stale przypominać o cenie, jaką się płaci za porażkę.

Drugi malunek, kopia rysunku jakiegoś ulicznego artysty z dalekiego zachodu, powstał współcześnie. To dzieło wywoływało jeszcze więcej niepokoju u patrzących na nie Aes Sedai. Dwaj mężczyźni, dzierżąc w dłoniach błyskawice, walczyli ze sobą pośród chmur, pozornie na niebie. Pierwszy o gorejącej twarzy, drugi — wysoki i młody, z czupryną rudawych włosów. To właśnie ów młodzieniec był przedmiotem wszystkich obaw, na jego widok nawet Elaida zaciskała zęby. Sama jednak nie była pewna, czy z gniewu, czy raczej po to, by powstrzymać ich szczekanie. Ale strach można i należy opanować. Najważniejsze to panować nad sobą.

— Skończyłyśmy więc — oznajmiła Alviarin, unosząc się zgrabnie ze swego stołka. Pozostałe poszły za jej przykładem, poprawiając szale i suknie, przygotowywały się do opuszczenia komnaty. — W ciągu trzech dni spodziewam się...

— Czy pozwoliłam wam odejść, moje córki?

To były pierwsze słowa, jakie padły z ust Elaidy od czasu, gdy pozwoliła im usiąść. Spojrzały na nią zaskoczone. Zaskoczone! Niektóre cofnęły się do swoich miejsc, ale bez nadmiernego pośpiechu. I bez słowa przeprosin. Zbyt długo już na to pozwalała.

— Ponieważ już stoicie, pozostaniecie w takiej pozycji, dopóki nie skończę.

Przez moment te, które już siadały, zamarły skonsternowane, nie bardzo wiedząc, co uczynić, ona zaś poczekała. aż z ociąganiem podniosły się na powrót i mówiła dalej:

— Nie usłyszałam najmniejszej wzmianki o poszukiwaniach tej kobiety i jej towarzyszek.

Nie musiała wymieniać nazwiska tej kobiety, nazwiska jej poprzedniczki. Wiedziały, o kim mówi, a Elaidzie z każdym dniem coraz trudniej było nawet w myślach wspominać imię byłej Amyrlin. Wszystkie jej aktualne problemy — literalnie wszystkie! — były z przyczyny kobiety.

— To niełatwa sprawa — oznajmiła Alviarin gładko — same przecież rozsiewaliśmy pogłoski, że została stracona. — Ta kobieta miała chyba lód w żyłach, Elaida twardo spoglądała jej w oczy, póki tamta nie dodała z ociąganiem: — Matko — ale nazbyt spokojnie, wręcz niedbale.

Spojrzenie Elaidy prześlizgnęło się po pozostałych, w tonie jej głosu zadźwięczała stal.

— Joline, ty kierujesz poszukiwaniami oraz śledztwem dotyczącym okoliczności jej ucieczki. W obu kwestiach nie słyszałam dotąd nic prócz skarg na trudności. Być może całodniowa kara zwiększy twoją pilność, córko. Zapisz wszystko, co uznasz za stosowne, i prześlij do mojego gabinetu. Jeżeli okaże się to... mniej niż zadowolające, potroję karę.

Z satysfakcją stwierdziła, że wiecznie obecny uśmiech Joline zniknął. Otworzyła usta, potem zamknęła je na powrót pod wpływem miazdzącego spojrzenia Elaidy. Na koniec skłoniła się nisko.

— Jak rozkażesz, Matko. — Słowa były zdławione, skromność wymuszona, ale to musiało wystarczyć. Na razie.

— A co ze staraniami, aby doprowadzić do powrotu tych, które uciekły?

Jeśli to w ogóle możliwe, ton głosu Elaidy stał się jeszcze twardszy. Powrót tych Aes Sedai, które uciekły po usunięciu tamtej kobiety, oznaczał ponowną obecność Błękitnych w Wieży. Nigdy nie była pewna, czy może ufać Błękitnym. A teraz nie wiedziała nawet, czy kiedykolwiek potrafi zmusić się do zaufania tym, które uciekły, zamiast uczcić jej wyniesienie. Jednak Wieża musi na powrót stać się całością.

Za rozwiązanie tego problemu odpowiedzialna była Javindhra.

— Niestety, w tej sprawie również występują znaczne trudności. — Rysy jej twarzy były równie surowe jak zawsze, ale szybko oblizwała wargi, widząc burzę, która przemknęła bezgłośnie przez twarz Elaidy. — Matko.

Elaida potrząsnęła głową.

— Nie chcę słyszeć o trudnościach, córko. Jutro przedstawisz mi listę wszystkich twoich osiągnięć, uwzględniającą środki, których użyłaś, aby świat nie dowiedział się o rozłamie w Wieży. — To była najważniejsza sprawa, Wieża miała nową Amyrlin, ale świat musiał ją nadal postrzegać jako zjednoczoną i silną jak zawsze. — Jeżeli brak ci czasu na wykonanie pracy, którą ci zleciłam, to być może powinnaś zrezygnować z funkcji przedstawicielki Czerwonych w Komnacie. Zastanowię się nad tym.

— To nie będzie konieczne, Matko — pośpiesznie wyjaśniła kobieta o surowej twarzy. — Dostarczę na jutro żądany raport. Przekonana jestem, że wkrótce wiele zacznie wracać.

Elaida nie była tego taka pewna, niezależnie od tego, jak bardzo jej na tym zależało — Wieża musi być silna, musi! — ale przynajmniej osiągnęła swój cel. W oczach wszystkich kobiet z wyjątkiem Alviarin odbijał się teraz pełen zafascowania namysł. Skoro Elaida potrafiła skarcić jedną ze swych byłych Ajah, a jeszcze bardziej zdecydowanie przywołać do porządku Zieloną, która była z nią od pierwszego dnia, to być może wszystkie popełniły błąd, traktując ją jako zwyczajną figurantkę. Prawda, to one wyniosły ją na Tron Amyrlin, ale przecież ona teraz już nią była. Parę dodatkowych przykładów w ciągu najbliższych kilku dni i sprawa zostanie załatwiona. Jeśli okaże się to konieczne, zmusi wszystkie obec-

ne tutaj kobiety do odprawiania pokuty, dopóki nie będą błagać o łaskę.

— Taireniańscy żołnierze są w Cairhien, andorańscy zresztą również — ciągnęła dalej, ignorując spuszczone oczy tamtych. — Żołnierzy taireniańskich wysłał człowiek, który zajął Kamień Łzy.

Shemerin załamała swe pulchne dłonie, Teslyn zaś aż zeszywniała. Jedyne twarz Alviarin pozostała nieporuszona niczym powierzchnia zamarzniętego stawu. Elaida wyrzuciła naprzód dłoń i wskazała wizerunek dwu mężczyzn walczących błyskawicami.

— Spójrzcie na to. Spójrzcie! Albo zmuszę was wszystkie, co do jednej, byście na łokciach i kolanach szorowały posadzki! Jeżeli nie macie na tyle nawet zimnej krwi, by patrzeć na obrazek, na jaką będzie was stać odwagę, gdy przyjdzie stawić czoło temu, co nadchodzi? Tchórze są beзуżyteczni dla Wieży!

Powoli uniosły spojrzenia, przestępując nerwowo z nogi na nogę niczym nieśmiałe dziewczęta, nie zaś pełne Aes Sedai. Tylko Alviarin zwyczajnie patrzyła w stronę, którą wskazała Elaida, i tylko ona wyglądała na spokojną. Shemerin wykręcała sobie palce, w jej oczach naprawdę zakręciły się łzy. Koniecznie coś trzeba zrobić z Shemerin.

— Rand al'Thor. Mężczyzna, który potrafi przenosić. — Słowa te padły z ust Elaidy niczym trzaśnięcie bicia. Na ich dźwięk ona również poczuła wielką kulę rosnącą w jej żołądku, aż zaczęła się obawiać, że wymiotuje. W jakiś sposób udało jej się jednak zachować kamienną twarz i ciągnęła dalej, wypluwając słowa niczym kamienie z procy. — Człowiek skazany na to, by oszaleć i siać spustoszenie dzikimi eksplozjami Mocy, zanim wreszcie umrze. I to jeszcze nie wszystko. Z jego powodu Arad Doman oraz Tarabon, a także wszystkie ziemie położone między nimi, pogrążyły się w połodze rebelii. Jeżeli nawet wojna i głód w Cairhien nie obciążają z całą pewnością jego, to bez wątpienia on właśnie rozpętał wielką wojnę między Łzą a Andorem, podczas gdy Wieży potrzebny jest pokój! W Ghealdan jakiś szalony Shienaranin głosi jego imię wobec tłumów tak wielkich, że nawet armia Alliandre nie jest w stanie ich rozproszyć. Oto największe niebezpieczeństwo, przed jakim dotąd stanęła Wieża, oto największa groźba, jaka kiedykolwiek zawisła naci światem, a wy nie potraficie się zmusić, by o nim rozmawiać? Nie możecie nawet spojrzeć na jego wizerunek?

Odpowiedziało jej milczenie. Wszystkie z wyjątkiem Alviarin spoglądały na nią w taki sposób, jakby języki przymarzły im do podniebień. Kiedy zaś przeniosły wzrok na młodego mężczyznę przedstawionego na obrazie, wyglądały niczym ptaki zahipnotyzowane spojrzeniem węża.

— Rand al'Thor.

Imię to skaziło wargi Elaidy goryczą. Miała już kiedyś tego młodzieńca wyglądającego tak niewinnie, miała go w swych rękach. I nie zrozumiała, kim jest. Jej poprzedniczka wiedziała — wiedziała, Światłość chyba tylko jedna ma pojęcie, od jak dawna, i wypuściła go na wolność. Ta kobieta przed ucieczką przyznała

się do wielu rzeczy, poddana wytężonemu śledztwu powiedziała jej o sprawach, w które Elaida wręcz nie potrafiła uwierzyć — jeżeli Przekłęci naprawdę wyrwali się na wolność, wszystko mogło już być stracone — ale jednak w jakiś sposób udało jej się zataić niektóre odpowiedzi. A potem uciekła, zanim zdążyły ją poddać powtórnemu przesłuchaniu. Ta kobieta i Moiraine. Ta kobieta, a także Błękitne wiedziały przez cały czas. Elaida zapragnęła mieć je obie z powrotem w Wieży. Zdradziłyby wówczas wszystko, co wiedziały, do końca. Błagałyby na kolanach o śmierć, zanim by z nimi nie skończyła.

Zmusiła się, by kontynuować, chociaż słowa zamierały jej w gardle.

— Rand al'Thor jest Smokiem Odrodzonym, córki. — Pod Shemerin ugięły się kolana, ciężko opadła na posadzkę. Niektóre z pozostałych zdawały się również tego bliskie. Wzrok Elaidy smagał je biczem pogardy. — Nie może być w tej kwestii najmniejszych wątpliwości. Jest tym, którego zapowiedziano w Prorocत्वach. Czarny wyswobadza się ze swego więzienia, nadchodzi Ostatnia Bitwa, a Smok Odrodzony musi wziąć w niej udział i stawić mu czoło, albo świat jest skazany na pożogę i rozpad, po kres obrotów Koła. A on znajduje się poza czyjąkolwiek kontrolą, córki. Nie wiemy, gdzie jest. Znamy tylko miejsca, gdzie go nie ma. Nie ma go w Łzie. Nie ma go tutaj, w Wieży, gdzie byłby bezpiecznie osłonięty przed kontaktem ze Źródłem, jak to być powinno. On sprowadzi na świat tajfun zniszczenia, trzeba go przed tym powstrzymać, jeśli mamy mieć choćby cień nadziei, że przeżyje do czasu nadejścia Tarmon Gai'don. Musimy go schwycić i dopilnować, by stanął do Ostatniej Bitwy. A może któraś z was wierzy, że z własnej woli pójdzie na swą przepowiedzianą śmierć, aby zbawić świat? Mężczyzna, który w chwili obecnej stoi zapewne już na krawędzi szaleństwa? Musimy mieć nad nim kontrolę!

— Matko — zaczęła Alviarin tym swoim irytującym, wypranym z emocji tonem, ale Elaida przerwała jej gniewnym spojrzeniem.

— Pochwycenie Randa al'Thora jest kwestią nieporównywalnie ważniejszą niż jakieś potyczki w Shienarze albo przyczyny spokoju w Ugorze, znacznie ważniejszą niżli odnalezienie Elayne i Galada, ważniejszą nawet niż Mazrim Taim. Znajdźcie go. Znajdźcie! Kiedy następnym razem się spotkamy, każda z was będzie gotowa ze szczegółami opowiedzieć mi, czego dokonała, aby tak się stało. Teraz możecie już odejść, moje córki.

Kolejne niepewne ukłony, ciche mamrotania:

— Jak rozkażesz, Matko — i wyszły, nieomal biegnąc, Joline pomogła wstać ślaniającej się Shemerin. Przykład Żółtej siostry będzie stanowił znakomitą naukę dla pozostałych, nie ma innego wyjścia, trzeba z nimi tak postępować, by potem żadna nie załamała się w krytycznej chwili, sama zaś Shemerin okazała się zbyt słaba, by ją dopuszczać do posiedzeń tej rady. A tej radzie nie będzie już oczywiście wolno się zbierać, Komnata Wieży usłyszy jej słowa i wszystkie siostry osłupieją.

Wszystkie oprócz Alviarin wyszły.

Kiedy drzwi zamknęły się za ostatnią, dwie kobiety przez dłuższą chwilę w całkowitym milczeniu mierzyły się wzrokiem. Alviarin była tą pierwszą, tą najpierwszą, która poznała i zaakceptowała zarzuty przeciwko poprzedniczce Elaidy. I zdawała sobie doskonale sprawę, dlaczego nosi stułę Opiekunki, która należała się jednej z Czerwonych. Czerwone Ajah jednogłośnie poparły Elaidę, ale Białe nie, a bez szczerzego poparcia Białych wiele innych również, mogłoby nie pójść za nimi, i wówczas Elaida nie zasiadałaby na Tronie Amyrlin, ale znajdowała się w celi. Oczywiście tylko w tym przypadku, gdyby pozostałości jej głowy wieńczącej ostrze piki nie stały się zabawką kruków. Alviarin nie dawała się onieśmielić równie łatwo jak pozostałe. Jeśli w ogóle dawała się onieśmielić. W tej niezachwianej pewności, z jaką Alviarin patrzyła jej w oczy, można było wyczytać nieprzyjemną prawdę, że spotykają się jak równa z równą.

Rozległo się pukanie do drzwi, bardzo głośne na tle tej ciszy.

— Wejść! — warknęła Elaida.

Jedna z Przyjętych, blada szczupła dziewczyna, weszła z wahaniem do pomieszczenia i natychmiast wykonała ukłon tak głęboki, że jej biała suknia obrzeżona lamówką w siedmiu kolorach rozlała się na posadzce niczym kałuża. Rozszerzone błękitne oczy i sposób, w jaki wbijała spojrzenie w podłogę, świadczyły, że wyczuła nastroje panujące w komnacie kobiet. W miejscu, z którego Aes Sedai wychodziły roztrzęsione, na Przyjętą czekało naprawdę wielkie niebezpieczeństwo.

— M-Matko, Pan F-Fain jest tutaj. Powiedział, że chciałaś się spotkać z nim o tej porze. — Dziewczyna zachwiała się i omal nie upadła od przejmującego ją strachu.

— A więc każ mu wejść, zamiast trzymać za drzwiami — warknęła Elaida, mimo iż obdarłaby ją żywcem ze skóry, gdyby wpuściła go bez prośby o pozwolenie. Gniew, który skrywała przed Alviarin — nigdy nie przyznałaby się przed sobą, że boi się go tamtej okazać — ten sam gniew wezbrał w niej teraz.

— A jeśli nie potrafisz się nauczyć porządnie mówić, być może kuchnie okażą się bardziej stosownym dla ciebie miejscem niżli prezeska gabinetu Amyrlin. No co? Zrobisz wreszcie, co ci kazano? Ruszaj się, dziewczyno! I powiedz Mistrzynie Nowicjuszek, ma cię nauczyć skwapliwego wypełniania rozkazów.

Dziewczyna wyskrzecała coś, być może stosowną odpowiedź, po czym wymknęła się z pomieszczenia.

Elaida opanowała się z wysiłkiem. Nie dbała w najmniejszej mierze o to, czy Silviana, nowa Mistrzynie Nowicjuszek, stłucze dziewczynę do nieprzytomności, czy zleci jej dodatkową lekturę. Ledwie dostrzegała nowicjuszkę czy Przyjętą, chyba że stawały jej na drodze, a dbała o nie w jeszcze mniejszym stopniu. To Alviarin chciałyby widzieć poniżaną i ciśniętą na kolana.

Na razie jednak musiała się zająć Fainem. Przyłożyła palec do ust. Kościsty

mały człowieczek z ogromnym nosem, który pojawił się w Wieży przed zaledwie kilkoma dniami, brudny, odziany w świetne niegdyś szaty, zresztą zbyt duże na niego, arogancki i płaszcący się na przemian, z miejsca zaczął się starać o posłuchanie u Amyrlin. Wyjąwszy tych, którzy służyli w Wieży, mężczyźni przebywali w niej zasadniczo tylko wówczas, gdy doprowadzano ich przemocą albo znajdowali się w wielkiej potrzebie, ale żaden z nich nie prosiłby o audiencję u Amyrlin. Głupiec do pewnego stopnia, prawdopodobnie na poły szalony: utrzymywał, że pochodzi z Lugardu w Murandy, ale w jego mowie odzywały się rozmaite akcenty, czasami przechodził od jednego do drugiego w środku zdania. A jednak doszła do wniosku, że może się przydać.

Alviarin wciąż patrzyła na nią, pogrążona w chłodnym samozadowoleniu, w jej oczach zaś zastygły nie wypowiedziane pytania, które z pewnością chciała zadać w związku z Fainem. Twarz Elaidy stwardniała. Miała nieomal ochotę sięgnąć po saidara, kobiecą połowę Prawdziwego Źródła, aby użyć Mocy i nauczyć tamtą, gdzie jest jej prawdziwe miejsce w ramach hierarchii Wieży. Ale to nie był właściwy sposób. Alviarin mogłaby nawet stawić opór, a walka na podobieństwo stajennej dziewczki nie była żadną metodą zamanifestowania autorytetu Amyrlin. Jednak Alviarin nauczy się jeszcze być jej posłuszną, tak jak nauczą się tego pozostałe. Pierwszym krokiem będzie pozostawienie jej w niewiedzy odnośnie do tego Faina czy jak też tam brzmiało jego prawdziwe nazwisko.

* * *

Padan Fain wyrzucił ze swych myśli obraz rozdygotanej młodej Przyjętej, ledwie przekroczył próg gabinetu Amyrlin, wyglądała na smaczny kasek, lubił, jak takie dziewczątka trzepotały w jego dłoniach niczym małe ptaszki, ale teraz trzeba było się skupić na znacznie ważniejszych sprawach. Ocierając zwilgotniałe od potu dłonie, skłonił głowę, odpowiednio skromnie, ale oczekujące go dwie kobiety z początku zdawały się zupełnie nie dostrzegać jego obecności, ich spojrzenia dalej krzyżowały się ze sobą. Niemalże mógł wyciągnąć dłoń i poczuć dotykiem zastygłe między nimi napięcie. Całą Białą Wieżę oplatało napięcie i podziały. Tym lepiej. Napięcie można skierować w odpowiednią stronę, podziały wykorzystać, jeśli trzeba.

Zdziwił się, że na Tronie Amyrlin zasiada Elaida. Ale dzięki temu sytuacja była bardziej sprzyjająca, niżli oczekiwał. Pod wieloma względami nie dorównywała siłą, jak słyszał, kobiecie, która przed nią nosiła stułę. Twardsza, tak, bardziej okrutna, ale równocześnie bardziej krucha. Znacznie trudniejsza do nakłonienia, ale łatwiejsza do złamania. Jeśli któraś z tych możliwości okaże się konieczna.

Ale przecież dla niego jedna Aes Sedai, nawet Amyrlin, nie różniła się niczym od drugiej. Wszystkie były głupie. Głupie i niebezpieczne, jednakże czasami się przydawały.

Wreszcie zdały sobie sprawę z jego obecności, Amyrlin lekko zmarszczyła brwi, wyraz twarzy Opiekunki Kronik nie zmienił się ani na jotę.

— Możesz już iść, córko — twardym głosem poleciła Elaida, kładąc nacisk na słowo „już”.

Tak, tak. Napięcia, szczeliny w potędze. Szczeliny, w których można posiać ziarna. Fain ledwie się powstrzymał od wybuchu śmiechu.

Alviarin zawahała się, zanim wykonała jeden z ukłonów. Kiedy wychodziła z pomieszczenia, jej spojrzenie prześlizgnęło się po jego postaci — całkowicie pozbawione wyrazu, choć niepokojące. Skulił się odruchowo, jakby w obronnym geście, jego dolna warga zadrżała w połowicznym wilczym grymasie, skierowanym ku jej szczupłym plecóm. Ogarnęło go przelotne wrażenie, tylko na moment, że ona wie na jego temat zbyt dużo, nie potrafiłby jednak powiedzieć, skąd się ono wzięło. Ta jej chłodna twarz, zimne oczy, które nigdy nie zmieniały wyrazu. A on pragnął zobaczyć w nich jakąś zmianę. Strach. Agonię. Błaganie. Niemalże zaśmiał się na samą myśl. Przecież to bez sensu. Nie mogła nic wiedzieć. Odrobina cierpliwości, a poradzi sobie i z nią, i z tym niewzruszonym spojrzeniem jej oczu.

Wieża w swych skarbcach posiadała rzeczy warte tej odrobiny cierpliwości. Był tu Róg Valere, osławiony Róg, mający wezwać z grobów martwych bohaterów na czas Ostatniej Bitwy. Nawet większość Aes Sedai nie miała o tym pojęcia, jednak on potrafił odkrywać tajemnice. Sztylet był tutaj. Czuł jego zew nawet w miejscu, w którym się teraz znajdował. Mógł trafić doń z zamkniętymi oczami. Był jego, był jego częścią, skradziony i ukryty przez Aes Sedai. Sztylet zastąpi mu to wszystko, co utracił. Nie miał pojęcia w jaki sposób, ale pewien był, że tak się stanie. Zastąpi utracone Aridhol. Zbyt niebezpiecznie byłoby wracać do Aridhol, mógłby znowu zostać uwięziony. Zadrżał. Tak długo był uwięziony. Już nigdy więcej.

Oczywiście, nikt już nie używał nazwy Aridhol, teraz mówiono Shadar Logoth. Gdzie Oczekuje Cień. Stosowna nazwa. Tak wiele się zmieniło. Nawet on sam. Padan Fain. Mordeth. Ordeith. Czasami nie miał żadnej pewności, które imię tak naprawdę do niego należy, kim jest w rzeczywistości. Jedna rzecz była pewna. Nie był tym, za kogo go uważano. Ci, którzy wierzyli, że go znają, srodze się mylili. Teraz był przemieniony. Miał w sobie siłę, przewyższającą inne moce. Na koniec wszyscy się o tym przekonają.

Wzdrygnął się, zdawszy sobie sprawę, że Amyrlin coś powiedziała. Pogrzebał gorączkowo w pamięci i odnalazł jej słowa.

— Tak, Matko, ten kaftan dobrze mi służy. — Przesunął dłonią po czarnym aksamicie, aby pokazać, jak bardzo jest zeń zadowolony, jakby ubiór miał jakie-

kolwiek znaczenie. — To dobry kaftan. Uprzejmie ci dziękuję, Matko.

Przygotowany odcierpieć jej kolejne starania, by poczuł się swobodniej, gotów był nawet przyklęknąć i pocałować jej pierścień, ale tym razem przeszła wprost do sedna.

— Powiedz mi coś więcej z tego, co wiesz o Randzie al'Thorze, panie Fain.

Wzrok Faina powędrował do obrazu przedstawiającego dwóch mężczyzn, jego plecy wyprostowały się, gdy mu się przypatrywał. Portret al'Thora szarpał strunę w jego sercu z równą siłą, jakby tamten stanął przed nim we własnej osobie, w żyłach zawrzała wściekłość i nienawiść. To z powodu tego młodzieńca cierpiał ból, którego nie pomieściła pamięć, ból, którego nie chciał pamiętać, który zadawał mu gorsze cierpienia niżli zwykły ból. Został połamany i sklejonny na nowo, a wszystko przez al'Thora. Oczywiście, powtórne odtworzenie wyposażyło go w narzędzia zemsty, ale nie o to przecież chodziło. Stracił zdolność widzenia, pragnienie zniszczenia al'Thora przesłoniło mu świat.

Odwrócił się z powrotem do Amyrlin, nie zdając sobie sprawy, że przybrał równie władczą postawę, i spojrzął jej prosto w oczy.

— Rand al'Thor jest nieuczciwy i przebiegły, nie dba o nikogo ani o nic, oprócz swej mocy.

Głupia kobieta.

— Nie da się nigdy przewidzieć, co on zrobi.

Gdyby tylko mógł dostać go w swe ręce...

— Trudno go kontrolować... bardzo trudno... ale wierzę, że można to osiągnąć. Najpierw musisz uwiązać na sznurku jedną z tych nielicznych osób, którym ufa...

Jeśli ona da mu al'Thora, ta może nawet pozostawi ją przy życiu, kiedy wreszcie odejdzie. Mimo że to Aes Sedai.

* * *

W samej koszuli, rozwalony niedbale w złoconym fotelu, z jedną obutą nogą przewieszoną przez wyścielana poręcz, Rahvin uśmiechał się do kobiety stojącej przy kominku i powtarzającej to, co jej kazał. Jej wielkie, piwne oczy przesłaniała szklista mgiełka. Młoda kobieta, śliczna nawet w tych prostych szarych wełnach, które włożyła jako przebranie, ale nie to wszak interesowało go w niej najbardziej.

Najłżejszy podmuch wiatru nie wnikał do wnętrza przez wysokie okna komnaty. Pot spływał strugami po twarzy kobiety, kiedy jej usta się poruszały, perlił się też na wąskiej twarzy drugiego mężczyzny znajdującego się w pomieszczeniu. Pomimo znakomitego kaftana z czerwonego jedwabiu ze złotym haftem, mężczy-

zna ów prężył się niczym służący, którym zresztą w pewien sposób był, nawet jeśli, w przeciwieństwie do kobiety, poszedł na służbę z własnej woli. Oczywiście w tej chwili nic nie widział i nie słyszał.

Rahvin delikatnie operował strumieniami Ducha, którymi oplótł tę dwójkę. Nie było potrzeby marnowania wartościowych sług.

Rzecz jasna, on się nie pocił. Nie pozwoliłby, aby przewlekły upał lata musnął choćby jego skórę. Był wysokim mężczyzną, potężnie zbudowanym, smagłolicym i przystojnym mimo pasm siwizny na skroniach. W postępowaniu z tą kobietą stosowanie przymusu nie nastęczało najmniejszych trudności.

Grymas przeciął jego twarz. Nie zawsze tak było. Niektórzy — naprawdę wielu — mieli jaźnie tak silne, że ich umysły, choćby nieświadomie, wciąż poszukiwały szczelin, którymi mogłyby się wydostać na wolność. Jego pech polegał na tym, że wciąż potrzebował takich ludzi. Z kobietą można było sobie poradzić, ale wciąż poszukiwała drogi ucieczki, nie wiedząc nawet, że została uwięziona. Ostatecznie wszak, ona również, przestanie być potrzebna, wtedy zdecyduje, czy pozwoli jej odejść własną drogą, czy pozbędzie się jej w sposób nieco bardziej definitywny. Oba wyjścia nastęczały określone niebezpieczeństwa. Oczywiście, jemu nic nie było w stanie zagrozić, ale z natury był człowiekiem ostrożnym, skrupulatnym. Małe niebezpieczeństwa potrafią się potęgować, jeśli się na nie nie zwraca uwagi, a on zawsze mierzył podejmowane ryzyko miarą swej ostrożności. Zabić ją czy zatrzymać?

Z zamyślenia wyrwała go pauza w potoku słów kobiety.

— Kiedy opuścisz to miejsce — oznajmił jej — zapomnisz, że tu byłaś. Pamiętaj będziesz tylko swój codzienny poranny spacer.

Przytaknęła gorliwie, a on lekko tak poluzował pasma Ducha, by mogły same wyparować z jej umysłu niedługo po tym, jak znajdzie się na ulicy. Powtarzające się zastosowanie przymusu za każdym razem wzmagало gotowość do posłuszeństwa, nawet jeśli się jej bezpośrednio nie wykorzystywało, ale zawsze istniało niebezpieczeństwo, że ktoś to wszystko wykryje.

Kiedy z nią skończył, uwolnił również umysł Elgara. Lord Elgar. Pomniejszy szlachcic, ale wierny swym przysięgom. Ten nerwowo oblizał wąskie wargi i spojrzał na kobietę. a potem natychmiast przykląkł przed Rahvinem. Przyjaciele Ciemności — Sprzymierzeńcy Ciemności, jak ich nazywano obecnie zaczęli się już uczyć powoli, jak ściśle będzie się od nich wymagać dotrzymania złożonych przysięg, teraz, kiedy Rahvin i pozostali byli znowu wolni.

— Wyprowadź ją dyskretnie na ulicę — powiedział Rahvin. — I zostaw tam. Nikt nie może jej zobaczyć.

— Będzie tak, jak rozkazałeś, Wielki Panie — powiedział Elgar, kłaniając się, ugiąwszy kolano.

Potem podniósł się i idąc tyłem, wycofał się sprzed oblicza Rahvina, nie przestając się kłaniać i ciągnąc kobietę za ramię. Szła potulnie, oczywiście, jej oczy

wciąż były zamglone.

— Jedna z twoich ślicznotek do zabawy? — zapytał kobiecy głos, kiedy rzeźbione drzwi zamknęły się za tamtą dwójką. — Ale doprawdy, czy musisz ubierać je w taki sposób?

Objął *saidina* i pozwolił, by wypełniła go Moc, skaza męskiej połowy Prawdziwego Źródła wgrzyła się bezsilnie w barierę jego zobowiązań i przysięg, więzi łączących go z potęgą, którą uznawał za większą niżli Światłość, a nawet Stwórcę.

Pośrodku komnaty, ponad złotoczerwonym kobiercem unosiła się brama, przejście do jakiegoś innego miejsca. Pochwycił przelotny obraz komnaty o ścianach wyłożonych śnieżnobiałym jedwabiem, zanim brama zniknęła, pozostawiając tylko kobietę, odzianą w biel i spiętą w talii paskiem splecionym ze srebra. Leciutki dreszcz, który przebiegł po jego skórze, niczym odległe tchnienie chłodu, upewnił go, że kobieta przeniosła Moc. Szczupła i wysoka, była równie piękna jak on przystojny, w twarzy otoczonej kaskadą spływających na ramiona włosów — z wpiętymi w nie ozdobami w kształcie półksiężyców i gwiazd — lśniły ciemne oczy. Na jej widok większości mężczyzn zapewne zaschłoby w ustach.

— Co chcesz osiągnąć, podkradając się do mnie znienacka, Lanfear? — zapytał szorstko. Nie rozluźnił kontaktu ze Źródłem, miast tego zajął się przygotowaniem kilku nieprzyjemnych niespodzianek, na wszelki wypadek. — Jeżeli chcesz, ze mną porozmawiać, wyślij posłańca, a ja zdecyduję, kiedy i gdzie. I czy w ogóle.

Lanfear uśmiechnęła się swoim słodkim, zdradzieckim uśmiechem.

— Zawsze byłeś świnią, Rahvin, ale rzadko głupcem. Ta kobieta jest Aes Sedai. Co się stanie, jeśli zrozumieją, że ją straciły? Czy zawsze wysyłasz heroldów, aby wszem wobec oznajmiali miejsce twego pobytu?

— Przenoszenie? — warknął. — Ona nie jest dość silna, by ją wypuszczać na dwór bez opiekunki. Niedouczone dzieci nazywają Aes Sedai, podczas gdy jedna połowa tego, co wiedzą, to sztuczki samouków, druga zaś ledwie dotyka powierzchni prawdziwej wiedzy.

— Czy nadal byś tak szydził, gdyby trzynaścioro tych niedouczonych dzieci otoczyło cię kręgiem?

Chłodne szyderstwo w jej głosie ukłuło go niczym żądło osy, ale nie dał niczego po sobie poznać.

— Powziąłem stosowne środki ostrożności, Lanfear. Ona nie jest jedną z moich „ślicznotek do zabawy”, jak je nazywasz, lecz lokalną agentką Wieży. Donosi dokładnie to, co ja chcę, i robi to chętnie. Te, które służą Wybranym w Wieży, powiedziały mi, gdzie ją znaleźć. — Wkrótce nadejdzie dzień, gdy świat porzuci miano Przeklętych i uklęknie przed Wybranymi. Tak zostało przyobiecane, już bardzo dawno temu. — Dlaczego tutaj przyszedłeś, Lanfear? Z pewnością nie z prośbą o pomoc dla bezbronnej niewiasty.

Wzruszyła tylko ramionami.

— Jeżeli o mnie chodzi, możesz igrać ze swoimi zabawkami, jak ci się żywnie

podoba. Trudno posądzać cię o nadmierną gościnność, Rahvin, a więc wybaczysz mi, jeśli... — Srebrny dzban uniósł się. z małego stoliczka przy łóżku Rahvina i przechylił, aby wlać nieco ciemnego wina do kutego, złotego pucharu. Kiedy dzban spoczął na poprzednim miejscu, puchar popłynął w powietrzu ku dłoni Lanfear. Oczywiście, nie poczuł nic prócz leciutkiego dreszczu na skórze, nie widział żadnych strumieni, to mu się nigdy nie podobało. Fakt, że ona była zdolna spojrzeć równie niewiele z jego splotów, oznaczał jego zdaniem tylko nieznaczną równowagę.

— Dlaczego? — zapytał ponownie.

Spokojnie wypła łyk wina, zanim odpowiedziała.

— Ponieważ nas unikasz, pojawi się tutaj kilkoro Wybranych. Ja przybyłam pierwsza, abyś nie uznał tego za atak.

— Pozostali? Jakiś wasz nowy plan? Jaki mogę mieć pożytek z cudzych planów? — Nagle zaśmiał się głębokim, dźwięcznym śmiechem. — A więc to jednak nie żaden atak? Ty byś nigdy nie zaatakowała otwarcie, prawda? Być może nie jesteś taka paskudna jak Moghedien, zawsze jednak preferowałaś flanki i tyły. Tym razem zaufam ci na tyle, by cię wysłuchać. Zwłaszcza że mam cię na oku.

Kto zaufały Lanfear do tego stopnia, by pozwolić jej stanąć za swymi plecami, już przez to zasługiwał na nóż, który mogłaby mu wbić w plecy. Nawet gdy się jej nie spuszczało z oczu, nie była szczególnie godna zaufania, choćby dlatego, że jej nastroje były aż nadto zmienne.

— Kto jeszcze ma uczestniczyć w tym spotkaniu?

Tym razem ostrzeżenie było zupełnie wyraźne — dzieło mężczyzny — kiedy otworzyła się kolejna brama, ukazując marmurowe łuki wychodzące na szerokie kamienne balkony, a za nimi mewy kołujące i krzyczące na bezchmurnym błękitnym niebie. Na koniec w przejściu pojawił się człowiek, przeszedł przez nie, a ono zamknęło się za nim.

Sammael był mocno zbudowany, wręcz masywny, sprawiał wrażenie roślejszego, niżli był w rzeczywistości, poruszał się szybkim, energicznym krokiem, zdradzając porywcze usposobienie. Błękitnooki, złotowłosy, z brodą przystrzyżoną w idealny prostokąt, zapewne wyróżniałby się jako mężczyzna niezwykle przystojny, gdyby nie ukośna blizna w poprzek twarzy, jakby ktoś go smagnął rozgrzanym do czerwoności pogrzebaczem od nasady włosów aż do szczęki. Mógł kazać ją usunąć, kiedy tylko się pojawiła, ile to już lat temu, ale postanowił tego nie czynić.

Połączony z *saidinem* równie mocno jak Rahvin — stojąc tak blisko, Rahvin mógł to wyczuć, wprawdzie niejasno, ale jednak — Sammael zmierzył go zmęczonym wzrokiem.

— Spodziewałem się dziewczek służebnych i tancerek, Rahvin. Czyżby znużyły cię wreszcie takie rozrywki, po tych wszystkich latach?

Lanfear zaśmiała się, nie odrywając ust od pucharu.

— Czy ktoś wspominał rozrywki?

Rahvin nawet nie zauważył, jak otworzyła się trzecia brama, za którą można było dostrzec wielką komnatę pełną basenów i wysmukłych kolumn, nagich niemalże akrobatów i służących mających na sobie jeszcze skromniejszą odzież. Siedział wśród nich ponury, wychudły starzec w zmiętym kaftanie, zupełnie do nich nie pasujący. W ślad za nowo przybyłą, kroczyło dwoje służących w przejrzystych skrawkach materii, dobrze umięśniony mężczyzna, trzymający kutą w złocie tarcę i piękna, lubieżna kobieta niepewnie nalewająca wino z rznętego w kryształach dzbana do stosownego kielicha stojącego na tacy. Nie dano się dostrzec niczego więcej, bo brama zamigotała i znikła.

W każdym innym towarzystwie, w którym nie byłoby Lanfear, Graendel została uznana za kobietę oszałamiająco piękną, bujną i dojrzałą. Odziana była w bardzo obcisłą suknię z zielonego jedwabiu. Na piersiach kołysał się rubin wielkości kurzego jaja, długie włosy barwy słońca zdobił diadem również wysadzany rubinami. Przy Lanfear była jednak tylko zwyczajną pulchną ślicznotką. Jeśli nawet martwiło ją to niechciane porównanie, jej pełen rozbawienia uśmiech nie zdradzał tego.

Złote bransolety zadźwięczały, kiedy pomachała upierścienioną dłonią, dając znak stojącej za nią dziewczynie, która szybko wsunęła puchar w jej dłoń z przyjaznym uśmiechem.

— A więc — powiedziała wesoło. — Niemalże połowa Wybranych, przynajmniej z tych, którzy przeżyli, w jednym miejscu. I nikt nie próbuje nikogo zabić. Któż by się czegoś takiego spodziewał, zwłaszcza że Wielki Władca Ciemności jeszcze nie wrócił. Ishamael nas powstrzymał, byśmy nie rzucili się sobie do gardeł, ale to...

— Zawsze mówisz tak otwarcie w obecności swoich służących? — krzywiąc się, zapytał Sammael.

Graendal zamrugła i obejrzała się na swoją świtę, jakby zupełnie o niej zapomniała.

— Oni niczego nie zdradzą. Wielbią mnie. Nieprawdaż, moi drodzy? — Dwójka służących padła na kolana, eksplodując potokami żarliwych zapewnień o swej miłości. To była prawdziwe, naprawdę ją kochali. Teraz. Po chwili zmarszczyła lekko brwi, a służący zamarli, z ustami rozwartymi w pół słowa. — Mogliby tak ciągnąć w nieskończoność. Ale rzeczywiście nie powinni nam przeszkadzać, nieprawdaż?

Rahvin potrząsnął głową, zastanawiając się, kim są ci dwoje. Piękno fizyczne nie wystarczało, by dostać się do służby u Graendal, trzeba również było posiadać władzę lub pozycję w świecie. Były lord na lokaja, dama jako kąpielowa, na tym polegał gust Graendal. Zachcianki swoją drogą, ale to było już marnotrawstwo. Ta para mogła się jeszcze przydać, gdyby odpowiednio nimi manipulować, jednak przymus, jaki zastosowała wobec nich Graendal, z pewnością nie pozwoliłby już

im stać się niczym więcej niżli elementem dekoracji. W postępowaniu tej kobiety nie było żadnej finezji.

— Czy mam oczekiwać kolejnych, Lanfear? — jęknął. — Przekonałaś już Demandreda, by przestał uważać się za spadkobiercę Wielkiego Władcy?

— Wątpię, by starczyło mu na to arogancji — odrzekła spokojnie Lanfear. — Mógł sam zobaczyć, dokąd zaprowadziło to Ishamaela. Ale o to właśnie chodzi. Kwestia, którą podniosła Graendal. Kiedyś było nas trzynaścioro nieśmiertelnych. Obecnie czterej nie żyją, a jeden zdradził. Nasza czwórka stanowi komplet uczestników dzisiejszego zebrania i to powinno wystarczyć.

— Jesteś pewna, że Asmodean przeszedł na drugą stronę? — dopytywał się Sammael. — Nigdy przedtem nie miał dość odwagi na podjęcie ryzyka. Skąd znalazł w sobie tyle determinacji, by przyłączyć się do przegranej sprawy?

Przelotny uśmiech Lanfear był pełen rozbawienia.

— Miał dość odwagi, by zastawić pułapkę, która wyniosłaby go ponad resztę. A kiedy stanął przed wyborem, śmierć lub przegrana sprawa, zdobył się jednak na odwagę i dokonał wyboru.

— I zyskał tym odrobinę czasu, założę się. — Grymas nadał naznaczonej bliźną twarzy Sammaela jeszcze bardziej zgryźliwy wyraz. — Jeżeli znajdowałaś się wystarczająco blisko niego, co można wnioskować stąd, iż tak doskonale jesteś poinformowana, to dlaczego pozwoliłaś mu żyć? Mogłaś go zabić, zanim by w ogóle się zorientował, na co się zanoszą.

— Nie jestem tak prędką do zabijania jak ty. Śmierć jest ostateczna, nie ma od niej odwrotu, a przecież zazwyczaj istnieją inne, przynoszące więcej korzyści sposoby. A poza tym nie mam ochoty ryzykować frontalnego ataku przeciw przeważającym siłom.

— Czy on jest naprawdę aż tak silny? — szybko zapytał Rahvin. — Ten Rand al'Thor. Czy byłby zdolny pokonać cię w bezpośrednim starciu?

Co wcale nie znaczyło, by on lub Sammael nie mogli tego dokonać, choć z pewnością Graendal natychmiast połączyłaby się z Lanfear, gdyby któryś z nich spróbował. Jeśli już o to chodzi, obie kobiety zapewne były w tej chwili do granic wypełnione Mocą, gotowe do ataku przy najlżejszym choćby podejrzeniu, iż ze strony któregoś z mężczyzn może coś im grozić. Obie lub tylko jedna. Ale ten wieśniak? Niedouczony pasterz! Niedouczony, chyba że Asmodean bardzo stara się wkupić w jego łaski.

— On jest odrodzonym Lewsem Therinem Telamonem — powiedziała Lanfear lekko — a Lews Therin był równie silny jak my.

Sammael roztargnionym gestem potarł bliźnę przecinającą jego twarz, była dziełem właśnie Lewsa T'herina. Trzy tysiące lat temu, więcej nawet, na długo przed Pęknięciem Świata, zanim uwięziony został Wielki Władca, zanim tyle się przecież zdarzyło. Ale Sammael nigdy nie zapomniał.

— Cóż — wtrąciła Graendal — może przejdziemy wreszcie do omówienia tego, po co się tutaj zebraliśmy.

Rahvin poczuł nieprzyjemne drgnienie w głębi sera. Dwójka służących wciąż trwała nieruchomo — albo raczej nie wciąż, lecz znowu. Sammael mruczał coś w swą brodę.

— Jeżeli ten Rand al'Thor jest naprawdę odrodzonym Lewsem Therinem Telamanem — ciągnęła dalej Graendal, sadowiac się na plecach mężczyzny, który teraz stał na czworakach — zaskoczona jestem, że nie chciałaś zaciągnąć go do swego łoża, Lanfear. Ale czy byłoby to takie proste? O ile dobrze pamiętam, to Lews Therin wodził cię za nos, a nie odwrotnie. Wywoływał u ciebie napady dzikiej wściekłości. Wysyłał cię po wino, jeśli można tak powiedzieć.

Postawiła puchar na tacy, trzymanej nieruchomo przez klęczącą kobietę, która najwyraźniej bała się nawet odetchnąć.

— Byłaś nim tak opętana, że rozciągnęłabyś się u jego stóp, gdyby tylko powiedział „dywanik”.

Ciemne oczy Lanfear zalśniły na moment, ale błyskawicznie odzyskała panowanie nad sobą.

— Może to Lews Therin odrodzony, ale nie Lews Therin we własnej osobie.

— Skąd wiesz? — zapytała Graendal, uśmiechając się, jakby to wszystko było tylko żartem. — Wielu wierzy, że każdy się rodzi i odradza wraz z obrotami Koła, może tak jest, ale nawet jeśli coś takiego już się kiedyś zdarzyło, to nic mi o tym nie wiadomo. Człowiek odrodzony zgodnie z prorocstwem. Któż wie, czym on jest?

Lanfear uśmiechnęła się lekceważąco.

— Obserwowałam go z bliska. Nie wygląda na kogoś więcej niżli zwykłego pasterza, wciąż bezgranicznie naiwnego. — Spoważniała. — Ale teraz ma Asmodeana, chociaż mocno osłabionego. A przed Asmodeanem w walce z nim zginęło czterech Wybranych.

— Pozwólmy mu usuwać martwe drewno — burknął Sammael. Splótł strumienie Powietrza, aby przenieść krzesło ponad dywanem, po czym rozparł się w nim, skrzyżowawszy nogi w kostkach, jedno ramię przełożył przez niskie, rzeźbione oparcie. Głupcem okazałby się ten, kto by uwierzył, że on pozwolił sobie na rozluźnienie i dekoncentrację, Sammael zawsze lubił wprowadzać w błąd swoich wrogów, którzy sądzą, że mogą wziąć go z zaskoczenia. — Zostanie dla nas więcej w Dniu Powrotu. A może ty uważasz, że on zwycięży w Tarmon Gai'don, Lanfear? Nawet jeśli wzmocni Asmodeana, tym razem nie ma przy nim Stu Towarzyszy. Nieważne, czy Asmodean mu pomoże, Wielki Władca zgasi go niczym świecę.

Zjeżył się na widok pogardliwego spojrzenia, którym obrzuciła go Lanfear.

— Ilu z nas pozostanie przy życiu, kiedy Wielki Władca wreszcie się uwolni? Czterech już odeszło. Czy następny będziesz ty, Sammaelu? Mogłoby ci się

to spodobać. Mógłbyś wreszcie pozbyć się tej blizny, gdybyś go pokonał. Ale, zapomniałam. Ile razy dotrzymałeś mu pola podczas Wojny o Moc? Czy choć raz zwyciężyłeś? Jakoś sobie nie przypominam. — Nie przerywając, na moment zwróciła się w stronę Graendal i teraz adresowała swe słowa do niej. — Albo możesz to być ty. Z jakichś powodów on waha się przed krzywdzeniem kobiet, ale tobie nie będzie nawet dany wybór Asmodeana. Od kamienia nie nauczyłyby się więcej niż od ciebie. Chyba że zatrzyma cię jako ulubione zwierzę. To byłoby dla ciebie coś nowego, nieprawdaż? Zamiast decydować, który z twoich ulubieńców przynosi ci najwięcej zadowolenia, musiałbyś się nauczyć, jak zadowalać innych.

Twarz Graendal ściągnęła się, a Rahvin poczynił przygotowania do postawienia osłony na wypadek, gdyby obie kobiety miały się rzucić na siebie, na najlżejszy bodaj syk płomienia stosu gotów był natychmiast do Podróżowania. Poczł, że Sammael sięga po Moc, wyczuł różnicę w jego splotach — Sammael zapewne określiłby to jako zdobywanie wstępnej przewagi taktycznej — i pochylił się, by schwycić tamtego za ramię. Sammael gniewnie strząsnął jego dłoń, ale tymczasem moment minął. Dwie kobiety patrzyły teraz na nich zamiast na siebie. Żadna nie widziała, co zdarzyło się przez chwilę, coś jednak najwyraźniej musiało zajść między Rahvinem i Sammaelem, toteż podejrzliwość rozpałiła im oczy.

— Chciałbym usłyszeć, co Lanfear ma do powiedzenia. — Nie spojrzł na Sammaela, ale słowa przeznaczone były dla niego. — Musi być w tym coś więcej niżli tylko idiotyczna próba nastraszenia nas.

— Ależ o to właśnie chodzi, odrobina strachu nikomu jeszcze nie zaszkodziła. — Ciemne oczy Lanfear wciąż lśniły podejrzliwością, jednak jej głos był czystym niczym niezmacona woda. — Ishamael próbował zdobyć nad nim kontrolę i przegrał, pod koniec próbował już go tylko zabić i także przegrał. Ishamael usiłował sterroryzować go i przestraszyć, a takie sposoby są nieskuteczne wobec Randa al'Thora.

— Ishamael był już prawie zupełnie szalony — wymruczał Sammael — niemalże przestał być człowiekiem.

— To my jesteśmy ludźmi? — Graendal uniosła brew. — Zwykłymi ludźmi? Z pewnością jesteśmy czymś więcej. To jest człowiek.

Pogładziła palcami policzek klęczącej obok kobiety.

— Powinno powstać jakieś nowe słowo, które by nas określało.

— Czymkolwiek jesteśmy — powiedziała Lanfear — nie powiedzie nam się tam, gdzie zawiódł Ishamael.

Pochyliła się lekko do przodu, jakby chciała siłą wtłoczyć im te słowa do głów. Lanfear rzadko zdradzała oznaki napięcia. Dlaczego więc teraz?

— Dlaczego tylko nas czworo? — zapytał Rahvin. To drugie „dlaczego” musiało na razie zaczekać.

— A po co więcej? — odpowiedziała pytaniem Lanfear. — Jeżeli uda nam się podarować Wielkiemu Władcy rzuconego na kolana Smoka Odrodzonego, to

po cóż dzielić honor... i nagrody... na mniejsze części niżli to konieczne? A być może on okaże się użyteczny... jak to sformułowałaś, Sammaelu?... w usuwaniu martwego drewna.

Taką odpowiedź Rahvin potrafił zrozumieć. Oczywiście nie ufał jej w najmniejszym stopniu, podobnie jak całej reszcie, ale wiedział, co to jest ambicja. Wybrani spiskowali przeciwko sobie, walcząc o lepszą pozycję aż do dnia, kiedy Lews Therin. uwięził ich, pieczętując więzienie Wielkiego Władcy. I zaczęli znowu, gdy tylko wydostali się na wolność. Chciał tylko zdobyć pewność, że spisek Lanfear nie zakłóci jego własnych planów.

— Mów dalej — poprosił.

— Po pierwsze, ktoś jeszcze stara się zdobyć nad nim kontrolę. Być może po to, by go zabić. Podejrzewam Moghedien albo Demandreda. Moghedien zawsze starała się działać w cieniu, Demandred zaś nienawidził Lewsa Therina. — Sammael uśmiechnął się, czy też może skrzywił, ale jego nienawiść była doprawdy czymś zupełnie bladym wobec uczuć Demandreda, choć powody ku niej miał znacznie lepiej ugruntowane.

— Skąd wiesz, że to nie ktoś z zebranych tutaj? — zapytała bez namysłu Graendal.

W uśmiechu Lanfear błysnęło równie wiele zębów, jak w niedawnym uśmiechu tamtej, ale było w nim równie mało ciepła.

— Ponieważ tylko wy troje postanowiliście wykuć dla siebie nisze i zabezpieczyć swoją władzę, podczas gdy reszta usiłuje się wzajemnie wymordować. Są też inne powody. Powiedziałam wam, że będę pilnowała Randa al'Thora.

Prawdą było to, co o nich powiedziała. Sam Rahvin przedkładał dyplomację i subtelne pociąganie za sznurki ponad otwarte starcie, chociaż nie zawahałby się przed nim, gdyby zaistniała taka potrzeba. Sammael zawsze opierał się na armii i dążył do podbojów, nie zbliżyłby się do Lewsa Therina, nawet odrodzonego pod postacią pasterza, gdyby nie był pewien zwycięstwa. Graendal również preferowała metodę podbojów, chociaż jej sposoby nie uwzględniały żołnierzy, pomimo zaabsorbowania swoimi zabawkami, za każdym razem stawiała właściwy krok. Otwarcie, by zyskać pewność, jak pozostali Wybrani przyjęli jej sukcesy, ale nigdy nie posuwała się za daleko.

— Wiecie, że mogę go obserwować, sama pozostając niedostrzeżona — kontynuowała Lanfear — ale wy musicie trzymać się z daleka, bo inaczej zostanieie wykryci. Musimy go odciągnąć...

Graendal pochyliła się naprzód, zainteresowana, Sammael zaś przytakiwał, w miarę jak ciągnęła dalej. Rahvin powstrzymywał się na razie od jakichkolwiek sądów. To mogło przynieść niezłe rezultaty. A jeśli nie... Jeśli nie, dostrzegał już kilka innych sposobów ukształtowania biegu wydarzeń tak, aby działały na jego korzyść. A to mogło już przynieść bardzo dobre efekty.

ROZDMUCHUJĄC ISKRY

Koło Czasu obraca się, a Wieki nadchodzą i mijają, pozostawiając wspomnienia, które stają się legendą. Legenda staje się mitem, a potem nawet mit jest już dawno zapomniany, kiedy znowu nadchodzi Wiek, który go zrodził. W jednym z Wieków, zwanym przez niektórych Trzecim Wiekim, Wiekim, który dopiero nadejdzie, Wiekim dawno już minionym, w wielkim lesie, zwanym Lasem Braem, zerwał się wiatr. Wiatr ten nie był prawdziwym początkiem. Nie istnieją ani początki, ani zakończenia w obrotach Koła Czasu. Niemniej był to jakiś początek.

Wiał na południowy zachód, suchy, w promieniach słońca przypominającego stopione złoto. Od tygodni nie spadła już ani kropla deszczu z niebios na ziemię, a upał późnego lata stawał się z każdym dniem coraz bardziej dokuczliwy. Przedwcześnie zbrązowiałe liście upstrzyły ciemnymi plamami drzewa, a nagie kamienie piekły się w promieniach słońca w miejscach, gdzie kiedyś płynęły strumienie. Na otwartej przestrzeni, z której znikła trawa, a tylko rzadkie, poszarpane krzaki trzymały się jeszcze korzeniami gleby, wiatr wygrzebywał z dawien skryte w ziemi głazy. Zwietrzałe i zniszczone, żadne ludzkie oko nie rozpoznałoby w nich pozostałości miasta, o którym pamięć przechowała tylko opowieść, podczas gdy wszyscy inni zapomnieli.

Zanim wiatr dotarł do granicy Andoru, wokół pojawiły się rozproszone wioski, a pola zaludnili strapieni farmerzy, brnący mozolnie po spieczonych bruzdach. Las dawno temu ustąpił już miejsca zagajnikom, nim wiatr jął rozwiewać kurz po jedynej ulicy wioski zwanej Źródła Kore. Tego lata źródła zaczynały powoli już wysychać. Obok grupki psów leżących z wywieszonymi od skwaru ozorami przebiegło dwóch nagich do pasa chłopców, poganiając patykami wypchany pęcherz. Panował kompletny bezruch, wyjąwszy wiatr. tuman kurzu i godło ponad drzwiami gospody, skrzypiące na wietrze. Gospoda była z czerwonej cegły, kryta strzechą jak wszystkie pozostałe budynki przy drodze, ale liczyła sobie dwa piętra, co czyniło ją najwyższą budowlą w Źródłach Kore, skądinąd schludnej i porządnej wiosce. Osiodłane konie uwiązane przed frontem gospody ledwie poruszały ogonami. Rzeźbione godło oznajmiało „Sprawiedliwość Dobrej Królowej”.

Mrugając, gdyż raziły ją drobiny kurzu, Min trwała z okiem przyciśniętym do szczeliny w nierównej ścianie szopy. Mogła zobaczyć tylko jedną rękę strażnika

stojącego przy drzwiach, ale całą jej uwagę i tak pochłaniała stojąca w pewnym oddaleniu gospoda. Żałowała, że jej nazwa nie jest nieco mniej złowieszcza, biorąc pod uwagę obecną sytuację. Ich sędzia, lokalny lord, najwyraźniej przyjechał już jakiś czas temu, ale jej nie udało się go wypatrzeć. Bez wątpienia zdążył już wysłuchać oskarżeń farmerów, zanim jeden z członków orszaku lorda pojawił się w okolicy, Admer Nem wraz ze swymi braćmi, kuzynami i wszystkimi ich żonami, wydawał się optować za natychmiastową egzekucją przez powieszenie. Min zastanawiała się, jaką można tu otrzymać karę za spalenie stodoły oraz znajdujących się w jej wnętrzu mlecznych krów. Przypadkiem oczywiście, ale nie sądziła, by takie tłumaczenie zdało się na wiele, skoro najpierw włamały się do środka.

Logainowi udało się zbiec w całym zamieszaniu, opuścił je — zostawił, a żeby szczeł! — ale sama nie wiedziała, czy powinno ją to cieszyć czy raczej nie. To właśnie on powalił Nema, kiedy zostali odkryci tuż przed świtem, a lampa tamtego rozbiła się na słomie zaścielającej klepisko. A więc jeśli było to czyjąkolwiek winą, to oczywiście jego. Czasami miewał również kłopoty z upilnowaniem swego języka. Może lepiej, że sobie poszedł.

Odwróciła się i oparła plecami o ścianę, potem otarła pot z czoła, ale natychmiast znowu kroplami pokrył jej skórę. W szopie było duszno, ale jej dwie towarzyszki zdawały się tego nie zauważać. Suan leżała na plecach, odziana w ciemną, wełnianą suknię do konnej jazdy — niemal identyczną jak ta, którą miała na sobie Min — i bezmyślnie uderzała się słomką po policzku, wpatrzona w strop szopy. Miedzianokóra Leane, gibka i wzrostem dorównująca większości mężczyzn, siedziała ze skrzyżowanymi nogami, odziana tylko w samą jasną bieliznę, i za pomocą igły oraz nitki przerabiała swoją suknię. Pozwolono im zatrzymać torby podróżne, po tym jak zostały już dokładnie przeszukane na wypadek, gdyby miały skrywać gdzieś miecze i topory bojowe, które mogłyby im otworzyć drogę do ucieczki.

— Jaka jest kara za puszczenie z dymem stodoły w Andorze? — zapytała Min.

— Jeżeli będziemy mieli dużo szczęścia — odpowiedziała Suan, nie drgnąwszy nawet — pręgieryz na głównym placu wioski. Jeżeli mniej, chłosta.

— Światłości! — westchnęła Min. — Jak możesz tu mówić o szczęściu?

Suan przewróciła się na bok i wsparła na łokciu. Była dość mocno zbudowaną kobietą, niezbyt piękną, ale można ją było nazwać przystojną, wyglądała na zaledwie kilka lat starszą od Min, jednak ostre spojrzenie błękitnych oczu miało w sobie wyraz tak rozkazujący, że trudno byłoby skojarzyć je z młodą kobietą, oczekującą procesu w wiejskiej stajni. Czasami Suan potrafiła się zapomnieć w równym stopniu jak Logain, może nawet jeszcze bardziej.

— Kiedy nas postawią pod pręgieryzem — powiedziała tym tonem, w którym pobrzmiwało: „przestań opowiadać bzdury” i „nie bądź głupia” — to nas postawią, będziemy miały to za sobą i natychmiast ruszymy w dalszą drogę. W ten sposób zmarnujemy mniej czasu niż w przypadku jakiegokolwiek innej kary, ze

wszystkich, które przychodzą mi na myśl. Oczywiście, pominąwszy szubienicę. Ale z tego, co pamiętam z andorańskiego prawa, nie sędzę, by miało do tego dojść.

Przez chwilę Min wstrząsały wybuchy spazmatycznego śmiechu, chociaż równie dobrze mogło być to łkanie.

— Czas? Sędząc z tego, jak nam się wiedzie, pomyślałabym, że nie mamy nic oprócz czasu. Przysięgłabym, że byliśmy we wszystkich wioskach dzielących tę dziurę od Tar Valon i nie znalazłyśmy niczego. Żadnego śladu, najdrobniejszej plotki. Wydaje mi się, że nie ma żadnego zgromadzenia. A teraz na dodatek będziemy musiały wędrować pieszo. Podstuchałam, że Logain zabrał nasze konie. Bez koni, zamknięte w stajni, czekając na Światłość tylko jedna wie co!

— Uważaj, co mówisz — skarciła ją szeptem Suan, obrzuciwszy znaczącym spojrzeniem drzwi z nieheblowanych desek, za którymi stał strażnik. — Nie trzepocz tak językiem, bo jeszcze się zapłaczesz w sieci zamiast ryby.

Min skrzywiła się po części dlatego, że była już zmęczona rybackimi przysłowiami Suan Sanche, po części zaś dlatego, że tamta miała rację. Jak dotąd udało im się wyprzedzać niefortunne wieści — tragiczne może byłoby lepszym określeniem — ale niektóre plotki miały swoje sposoby, by pokonać setki mil w ciągu jednego dnia. Suan podróżowała pod imieniem Mara, Leane jako Amaena, Logain zaś przybrał imię Dalyn, po tym jak Suan przekonała go, że Guaire jest głupim pomysłem. Min nadal uważała, że nikt nie rozpozna jej imienia, lecz Suan nalegała, by zwracać się do niej Serenla. Nawet Logain nie znał ich prawdziwych imion.

Prawdziwym problemem było to, że Suan nie chciała się poddać. Kolejne tygodnie spędzały na niczym, a teraz jeszcze to, jednak wszelkie napomknienia, by pojechać do Lzy, co było jedynym rozsądnym wyjściem, wywoływały burzę, w obliczu której drżał nawet Logain. Im dłużej ich poszukiwania nie przynosiły rezultatu, tym bardziej rozdrażniona stawała się Suan.

„Chociaż i przedtem mogłaby straszyć kamienie”.

Min była jednak na tyle rozsądna, by tę myśl zatrzymać dla siebie.

Leane wreszcie skończyła ze swoją suknią i wdziała ją przez głowę, a potem sięgnęła rękoma za plecy, by zapiąć guziki. Min nie potrafiła zrozumieć, dlaczego tamta zadała sobie tyle trudu, sama wręcz nie znosiła igły i nitki. Dekolt znajdował się teraz odrobinę niżej, odsłaniając więcej niż poprzednio, nadto suknia przylegała bardziej do ciała z przodu i na biodrach. Ale jaki to miało sens w ich obecnej sytuacji? Nikt nie zaprosi jej przecież do tańca w tej przesyconej zaduchem upału stajni.

Pogrzebawszy w torbie Min, Leane wyciągnęła drewnianą szkatułkę z kosmetykami, pudrami i Światłość wie czym jeszcze, którą Laras wmusiła Min, zanim odjechały. Min zamierzała wyrzucić to wszystko gdzieś po drodze, ale z jakiegoś powodu nie miała okazji. W odchylającym się na zawiasach wieczku szkatułki było niewielkie lusterko i już po chwili Leane za pomocą małych pędzelków z kró-

liczej sierści zaczęła nakładać na twarz kolejne warstwy makijażu. Nigdy dotąd nie wykazywała szczególnego zainteresowania tymi rzeczami, a tymczasem teraz zdawała się troszczyć tylko o to, czy znajdzie szczotkę oprawioną w czarne drzewo i mały grzebyk z kości słoniowej do wpięcia we włosy. Mruczała coś nawet ze złością o tym, że nie może podgrzać żelaznej lokówki! Jej ciemne włosy urosły znacznie podczas ich peregrynacji, wciąż jednak nie sięgały nawet do ramion.

Min przyglądała się jej przez chwilę, potem zapytała:

— Co ty robisz, Le... Amaena? — Unikała spoglądania na Siuan. Powinna naprawdę uważać na to, co mówi, wystarczy już, że siedzą tu, piekąc się w zamknięciu i czekając na proces. Szubienica lub pręgierz. Co za wybór! — Postanowiłaś zacząć z kimś flirtować?

To miał być żart — Leane była wcieleniem kompetencji i skuteczności — coś, co pozwoli choć na krótko zmniejszyć ponury ciężar chwili, ale Leane zaskoczyła ją.

— Tak — odparła zwięźle, nie odrywając szeroko rozwartych oczu od lusterka, przed którym dokonywała jakichś tajemniczych czynności z własnymi rękami. — A jeśli będę flirtować z właściwym człowiekiem, być może nie będziemy się musiały już martwić ani chłostą, ani niczym innym. Może przynajmniej uda mi się wpłynąć na złagodzenie naszego wyroku.

Z ręką na wpeł uniesioną do ociekającego potem czoła, Min zamarła z otwartymi ustami — to było coś takiego, jakby sowa oznajmiła, że postanowiła zostać kolibrem — ale Siuan zwyczajnie usiadła i spojrzała na Leane pozbawionym wyrazu wzrokiem, w którym zastygło pytanie: „A cóż to znowu za pomysły?”

Gdyby Siuan tak popatrzyła na nią, Min zapewne przyznałaby się do wszystkiego, łącznie z tym, o czym dawno już zapomniała. Kiedy Siuan skupiała na kimś swą uwagę i spoglądała w ten właśnie sposób, chciało się kłaniać i bez chwili namysłu wypełniać jej rozkazy. Nawet Logain zazwyczaj robił wszystko. Nie dygał tylko.

Leane spokojnie poklepała delikatnym pędzelkiem policzki i sprawdziła rezultat w lusterku. Potem zerknęła na Siuan, ale cokolwiek zobaczyła na twarzy tamtej, odpowiedziała w ten sam lapidarny sposób co zawsze.

— Moja matka była kupcem, wiesz o tym, przeważnie handlowała futrami i drewnem. Na własne oczy kiedyś widziałam, jak do tego stopnia zaćmiła jasność myśli jakiegoś saldaeańskiego lorda, że odstąpił jej roczne zbiory drewna za połowę ceny, której żądał wcześniej, i wątpię, czy zdał sobie sprawę z tego, co się stało, zanim nie wrócił do domu. Jeśli w ogóle. Później przysłał jej wielką bransoletę z kamienia księżycowego. Kobiety Doomani nie zasługują na złą reputację, jaką się cieszą... większość z niej zawdzięczamy plotkom opowiadanym przez durnych kołtunów... ale po części jest ona bez wątpienia prawdziwa. Moja matka i moje ciotki uczyły mnie tego wszystkiego, nie wspominając już o siostrach i kuzynkach.

Spojrzała po sobie i potrząsnęła głową, potem z westchnieniem wróciła do swych ceremonii.

— Ale obawiam się, że wówczas, w dniu moich czternastych imienin byłam równie wysoka jak teraz. Same kolana i łokcie, niczym cielak, który za szybko rósł. A niedługo po tym, gdy się już nauczyłam, jak przejść przez izbę, nie potykając się przy tym dwukrotnie, dowiedziałam się... — wciągnęła głęboki oddech — ...dowiedziałam się, że moje życie powie mi inną drogą, że ja kupcem nie będę. A teraz to również przepadło. Czas najwyższy wykorzystać to, czego nauczyłam się dawno temu. W tych okolicznościach nie potrafię wymyślić nic lepszego.

Siuana przypatrywała się jej badawczo jeszcze przez moment.

— To nie jest jedyny powód. Powiedz.

Leane wrzuciła gwałtownie mały pędzelek do szkatułki i wybuchnęła.

— Jedyny powód? Nie znam innego. Wiem tylko, że w moim życiu musi być coś, ca zastąpi... to, co odeszło. Sama mi powiedziałaś, że to jedyna nadzieja na przetrwanie. Zemsta znaczy dla mnie niewiele. Wiem, że twoja sprawa jest ważna, być może nawet. słuszna, ale, niech mi Światłość pomoże, to dla norie za mało, nie potrafię zmusić się do takiego zaangażowania jak ty. Być może zbyt późno włączyłam się we wszystko. Zostanę z tobą, ale to nie wystarczy.

Gniew powoli ja opuszczał, kiedy zaczęła zamykać puzderka i flakoniki, chociaż odkładała je na swoje miejsce energiczniej, niżli to była konieczne. Otaczał ją delikatny zapach róż.

— Wiem, że flirt nie jest czymś, co może wypełnić pustkę, ale wystarczy, by wypełnić puste chwile. Być może stanę się na powrót tą, którą byłam od urodzenia, i to okaże się wystarczające. Po prostu nie wiem. To nie jest nowy pomysł, zawsze chciałam być taka, jak moja matka i moje ciotki, marzyłam o tym czasami, od kiedy dorosłam.

Na twarzy Leane pojawiła się zaduma, ostatnie przybory chowała do szkatułki już znacznie delikatniej.

— Chyba zawsze czułam, że udaję kogoś innego, że maskowanie stało się moją drugą naturą. Była poważna praca do wykonania, znacznie poważniejsza niż kupiectwo, a kiedy zrozumiałam, że istnieje inna droga, maska zbyt mocno przylgnęła mi do twarzy, bym potrafiła ją zdjąć. Cóż, tamto już się skończyło, a teraz trzeba odsłonić prawdziwe oblicze. Myślałam nawet, kilka tygodni temu, żeby spróbować z Logainem, dla nabrania praktyki. Ale naprawdę wyszłam z wprawy i sądzę, że on jest mężczyzną tego pokroju, który dosłyszysz w twoich słowach więcej obietnic, niż zamierzałaś sformułować, a potem będzie oczekiwał, że zostaną dotrzymane. — Po jej ustach przemknął ledwo widoczny uśmiech. — Moja matka zawsze powtarzała, że kiedy tak się dzieje, to znaczy, że się przeliczyłaś, jeżeli okaże się, iż nie ma sposobu na wycofanie się, musisz albo zrezygnować ze swej godności i uciec, albo zacisnąć zęby, zapłacić cenę i potraktować to jako dobrą

lekcję.

Jej uśmiech stał się odrobinę szelmowski.

— Moja ciotka Resara dodała wówczas, że wtedy płacisz cenę i na dodatek czerpiesz z tego radość.

Min potrafiła tylko w milczeniu kręcić głową. Leane stała się jakby inną kobietą. Mówić w taki sposób o...! Ledwie wierzyła swoim uszom. A jednak Leane naprawdę wyglądała inaczej. Mimo tylu zabiegów z pędzelkami na jej policzkach nie było śladu pudru, przynajmniej na tyle, na ile Min potrafiła to ocenić, jej usta zaś stały się pełniejsze, kości policzkowe wyższe, oczy większe. Zawsze była kobietą co najmniej piękną, lecz teraz jej piękno upięciokrotniło się.

Siuana jednak jeszcze nie skończyła.

— A jeśli ten prowincjonalny lord jest taki jak Logain? — zapytała cicho. — Co wtedy zrobisz?

Leane uniosła się, ukłękła i przełknęła ślinę, zanim odpowiedziała, jednak jej głos był wyjątkowo spokojny.

— Biorąc pod uwagę alternatywę, przed którą stoimy, co ty byś zrobiła?

Żadna nawet nie mrugnęła, a cisza, która zapadła, przeciągała się.

Zanim Siuana mogła odpowiedzieć — jeżeli w ogóle miała taki zamiar, Min dużo by dała, aby usłyszeć jej ripostę zamek i łańcuch w drzwiach zazgrzytały, ktoś otwierał je z drugiej strony.

Obie kobiety powoli podniosły się, zbierając spokojnie swoje torby, ale Min aż podskoczyła, z żalu, że nie ma przy pasku noża.

„Głupi pomysł — skarciła się w duchu. — Tym sposobem wpakowałabym się tylko w jeszcze gorsze kłopoty. Nie jestem żadną przeklętą heroiną z opowieści. Nawet gdybym rzuciła się na strażnika...”

Drzwi otworzyły się i otwór wejściowy wypełniła sylwetka mężczyzny w długiej skórzanej kamizeli. Nie był to w żadnym razie ktoś, kogo mogłaby zaatakować młoda kobieta, nawet uzbrojona w nóż. Resztki włosów, które jeszcze zostały na jego głowie, były prawie siwe, ale mimo to mężczyzna, niczym stary dąb, wyglądał na niezwykle mocnego.

— Czas na was, dziewczęta, byście stanęły przed lordem — powiedział burkliwie. — Czy pójdziecie dobrowolnie, czy mamy was zanieść jak worki ze zbożem? Pójdziecie tak czy siak, ale wolałbym was nie szarpać w tym upale.

Zerkając za jego plecy, Min zobaczyła jeszcze dwóch mężczyzn, siwych jak on i równie silnych, jeśli nawet nie tak potężnych.

— Pójdziemy same — odparła sucho Siuana.

— Dobrze. Chodźcie, więc. Lord Gareth nie lubi, jak mu się każe czekać.

Niezależnie od tego, że obiecały iść dobrowolnie, każdy z mężczyzn chwycił po jednej z nich mocno za ramię i wyszły na brudną, zapyloną ulicę. Łysiejący mężczyzna otoczył swą dłonią ramię Min niczym szczękami imadła.

„To tyle, jeśli chodzi o ucieczkę” — pomyślała gorzko. Rozważała przez chwilę, czy nie kopnąć tamtego w obutą kostkę, aby spowodować poluzowanie uchwytu, ale wyglądał tak potężnie, że wszystko skończyłoby się zapewne tylko odbitym palcem, a na dodatek przez resztę drogi byłaby wleczona jak cielak.

Leane zdawała się całkowicie pogrążona w swych myślach, wolną ręką wykonywała nieznaczące gesty, a jej usta poruszały się niemo, jakby przepowiadała sobie to, co miała zamiar powiedzieć, niemniej co chwila potrzasała głową, przerywała i zaczynała od nowa. Siuan również zatopiła się w sobie, jednak na jej twarzy zastygł grymas znamionujący zmartwienie, przygryzała nawet dolną wargę, a przecież Siuan nigdy nie okazywała w równie otwarty sposób niepokoju. Wszystko jedno, Min nie nabrałaby pewności siebie, gdy na nie patrzyła.

Widok, który rozpościerał się pod belkowanym stropem wspólnej sali „Sprawiedliwości Dobrej Królowej” jeszcze pogorszył jej samopoczucie. Admer Nem, z przeredzonymi włosami i żółknącym siniakiem wokół podbitego oka, stał po jednej stronie w otoczeniu równie krępych braci i kuzynów oraz ich żon, które przywdziały najlepsze kaftany i fartuchy. Farmerzy mierzyli wzrokiem trzy więźniarki, z gniewem i jednocześnie satysfakcją, na ich widok Min poczuła, jak ją ściska w żołądku. Spojrzenia ich żon były bardziej przerażające — zionęły czystą nienawiścią. Wzdłuż pozostałych ścian stała w sześciu rzędach reszta mieszkańców wioski, w ubraniach do pracy, którą przerwali, aby wziąć udział w wydarzeniu. Kawał wciąż miał na sobie swój skórzany fartuch, część kobiet podwinięte rękawy, a ich odsłonięte przedramiona pobrudzone były kurzem. W powietrzu unosił się szmer głosów, gdyż nie tylko dzieciom, lecz i starszym usta nie zamykały się nawet na moment, ich oczy wpijały się równie chciwie w trójkę kobiet, jak wzrok Nema. Min pomyślała, że zapewne takiego podniecenia nie było tu jeszcze od samego początku istnienia Źródeł Kare. Tłum opanowany takimi nastrojami widziała dotąd tylko raz w życiu — przed egzekucją.

Usunięto wszystkie stoły z wyjątkiem jednego, który stał przed długim kominem z czerwonej cegły. Siedział za nim mocno zbudowany mężczyzna o szczerzej twarzy, którego włosy gęsto przetykały pasma siwizny, odziany w dobrze skrojony kaftan z ciemnozielonego jedwabiu, obserwował je, wsparłszy splecione dłonie na blacie stołu. Obok stołu stała szczupła kobieta, mniej więcej w jego wieku, ubrana w suknię z szarej wełny, której dekolt zdobił wyhaftowany sznur białych kwiatów. Miejscowy Lord, jak osądziła Min, oraz jego lady, wiejska szlachta, która o sprawach tego świata wiedziała niewiele więcej niżli ich służba czy dzierżawcy.

Strażnicy doprowadzili je przed stół Lorda, po czym natychmiast zmieszali się z tłumem gapiów. Kobieta w szarościach wystąpiła naprzód i w tym momencie wszystkie szeptu zamarły.

— Wszyscy tu zebrani niech uważają i nadstawiają uszu — oznajmiła — oto bowiem dzisiaj lord Gareth Bryne będzie wymierzał sprawiedliwość. Więźniowie, stajecie przed sądem lorda Bryne.

A więc nie żona lorda, jakaś urzędniczka. Gareth Bryne? Ostatnim razem, gdy Min o nim słyszała, był Kapitanem Generałem Gwardii Królowej w Caemlyn. Jeśli tu chodziło o tego samego człowieka. Zerknęła na Siuan, ale tamta utkwiała spojrzenie w szerokich deskach podłogi u swoich stóp. Kimkolwiek był, ten Bryne wyglądał na bardzo zmęczonego.

— Oskarża się was — kontynuowała kobieta w szarej sukni — o najście podczas nocy, podpalenie i wynikające stąd całkowite zniszczenie budynku wraz z jego zawartością, zabicie wartościowej zwierzyny, napaść na osobę Admera Nema oraz kradzież sakiewki, która jakoby zawierała złoto i srebro. Jest zrozumiałe, że napaść i kradzież były dziełem waszego towarzysza, który zbiegł, ale wedle prawa wy jesteście winne w takim samym stopniu.

Przerwała na moment, czekając, aż wszyscy zrozumieją to, co powiedziała, a Min wymieniła ponure spojrzenia z Leane. Logain naprawdę mógł dołożyć jeszcze kradzież do tych tarapatów, w których się znalazły. Przypuszczalnie był już w połowie drogi do Murandy, jeśli nie dalej.

Po krótkiej przerwie kobieta zaczęła znowu:

— Są tutaj również wasi oskarżyciele. — Gestem wskazała rodzinę Nemów. — Admerze Nem, będziesz świadczył.

Krepy mężczyzna wystąpił naprzód, na jego twarzy odbijała się mieszanina poczucia własnej ważności i zakłopotania. Szarpiąc za drewniane guziki swego kaftana, przeczesywał palcami rzednące włosy, które bez przerwy opadały mu na twarz.

— Jak już powiedziałem, lordzie Gareth, to było tak...

Przedstawił dosyć szczerą opowieść o tym, jak odkrył ich obecność na stryszku z sianem i rozkazał im wyjść, chociaż Logaina uczynił niemalże o stopę wyższym, pojedynczy zaś cios tamtego zmienił w opis prawdziwej walki, w której on okazał się równie dzielny. Potem latarnia upadła, siano stanęło w ogniu, a reszta rodziny zaczęła wylewać się z domu na dwór, więźniów pochwycono, stodoła spłonęła ze szczętem, a następnie odkryto, że z domu zginęła sakiewka. Lekko rozprawił się z tą partią wydarzeń, w której sługa lorda Bryne'a pojawił się dokładnie w tym samym momencie, gdy z domu wynoszono już sznury i szukano trzech odpowiednich gałęzi.

Kiedy zaczął ponownie opowiadać o „walce” — tym razem w taki sposób, że można było sądzić, iż wygrywał — Bryne przerwał mu w pół słowa.

— Wystarczy już, panie Nem. Możesz wrócić do swoich.

Zamiast tego jedna z kobiet Nemów, wystarczająco już posunięta w tatach, żeby być żoną Admera, stanęła obok niego. Twarz miała okrągłą, ale nie łagodną, przypominała rondel do pieczenia albo rzeczny kamień. Płonęła, i to na pozór nie tylko słusznym gniewem.

— Wychłuszcz dobrze te łajdaczki, lordzie Gareth, słyszysz? Wychłuszcz je dobrze i pognaj do Jornhill.

— Nikt nie prosił, byś się odzywała, Maigan — skarciła ją szczupła kobieta w szarej sukni. — To jest sąd, a nie zebranie poświęcone składaniu petycji. Wracajcie na swoje miejsca, ty i Admer. Natychmiast.

Posłuchali, Admer z nieco większą skwapliwością niż Maigan, kobieta zaś odwróciła się do Min i jej towarzyszek.

— Jeżeli chcecie złożyć swoje zeznanie, czy to aby odeprzeć zarzuty, czy zmniejszyć ich wagę, możecie zrobić to teraz.

W jej głosie nie było śladu sympatii, nic prócz rzeczowości.

Min spodziewała się, że to Siuan przemówi — zawsze wysuwała się na czoło, zawsze prowadziła wszelkie rozmowy — ale Siuan ani drgnęła, nawet nie odebrała oczu od podłogi.

Zamiast niej w kierunku stołu ruszyła Leane, jej wzrok utkwiony był w siedzącym za nim mężczyźnie.

Była wyprostowana jak zawsze, ale jej normalny sposób poruszania się — krokiem wdzięcznym co prawda, ale niemniej zwykłym — zmienił się teraz w rodzaj płynnego falowania, któremu towarzyszyło gibkie kołysanie. Jej dekolt i usta o wiele bardziej rzucały się w oczy. Wcale ich specjalnie nie uwydatniała, to był efekt samego sposobu, w jaki się poruszała.

— Mój panie, jesteśmy trzema bezbronnymi kobietami, uciekinierkami przed tą burzą, która targa światem. — Jej zazwyczaj lakoniczny głos zastąpiły pieszczotliwe tony, miękkie niczym jedwab. Ciemne oczy płonęły wewnętrznym światłem, kryło się w nich jakby palące wyzwanie. — Biedne i zagubione poszukiłyśmy schronienia w stodole pana Nerna. Wiem, że to było złe, ale bałyśmy się nocy.

Drobny gest na poły uniesioną dłonią w stronę Bryne'a sprawił, że przez moment wyglądała na zupełnie bezbronną. Choć tylko przez moment.

— Ten człowiek, Dalyn, jest nam obcy, to mężczyzna, który zaproponował nam opiekę. W dzisiejszych czasach podróżujące samotnie kobiety muszą mieć kogoś, kto będzie je chronił, mój panie, obawiam się jednak, że dokonałyśmy kiepskiego wyboru. — Rozszerzone oczy, spojrzenie pełne przestachu, mówiły jednoznacznie, że tamten doprawdy mógłby je traktować lepiej. — To naprawdę on zaatakował pana Nema, mój panie. My byśmy uciekły albo zostały, by odpracować nocne schronienie.

Obeszła stół dookoła, uklękła wdzięcznie obok krzesła Bryne'a i delikatnie oparła palce dłoni na jego nadgarstku, jednocześnie zaglądając mu w oczy. W jej głosie pojawiło się delikatne drżenie, ale lekki uśmiech już wystarczył, by wywołać szybsze bicie męskiego serca. Było w nim... niedomówienie

— Mój panie, jesteśmy winne niewielkiej doprawdy zbrodni, nie zaś tego wszystkiego, o co nas się oskarża. Zdajemy się na twoją łaskę. Błagam cię, mój panie, miej litość nad nami i obroń nas.

Przez dłuższą chwilę Bryne patrzył w jej oczy. Potem kaszlnął głośno, odsunął swe krzesło, wstał i odszedł na bok, stając po przeciwnej stronie stołu. Wśród mieszkańców wioski i farmerów rozszedł się szmer, mężczyźni odchrząkiwali podobnie jak ich lord, kobiety mruczały coś pod nosem. Bryne zatrzymał się przed Min.

— Jak masz na imię, dziewczyno?

— Min, mój panie. — Posłyszała stłumione mruknięcie Suan i pośpiesznie dodała: — Serenla Min. Wszyscy mówią do mnie Serenla, mój panie.

— Twoja matka musiała mieć przecucie — wymruczał z uśmiechem. Nie był pierwszym, który reagował w ten sposób, słysząc jej imię. — Czy chcesz coś dodać, Serenla?

— Tylko tyle, że jest mi bardzo przykro, mój panie, oraz że to naprawdę nie była nasza wina. To wszystko zrobił Dalyn. Proszę o litość, mój panie.

Nie przypominało to ani trochę przedstawienia Leane, ale na tyle tylko było ją stać. Jej usta zrobiły się suche niczym ta ulica za drzwiami gospody. A jeśli on jednak postanowi je powiesić?

Kiwając głową, przeszedł do Suan, która wciąż wpatrywała się w podłogę. Uniósł dłonią jej podbródek tak, że musiała spojrzeć mu w oczy.

— A jak ty masz na imię, dziewczyno?

Suan szarpnęła głową i oswobodziła podbródek, potem cofnęła się o krok.

— Mara, mój panie — wyszeptła. — Mara Tomanes.

Min jęknęła cicho. Suan była najwyraźniej przestraszona, a mimo to potrafiła patrzeć prowokująco na tamtego. Min na poły spodziewała się, że nakaże Bryne'owi natychmiast puścić je wolno. Ale on zapytał ją tylko, czy nie chciałaby czegoś dodać, Suan zaś zaprzeczyła, znowuż niepewnym szeptem, choć przez cały czas patrzyła na niego tak, jakby ona tu decydowała o wszystkim. Była w stanie poskromić język, ale na pewno nie spojrzenie oczu.

Po jakimś czasie Bryne odwrócił się.

— Stań razem ze swymi przyjaciółkami, dziewczyno — zwrócił się do Leane, z powrotem siadając. Przyłączyła się do nich, na jej twarzy można było dostrzec wyraźny zawód i coś, co Min określiłaby jako rozdrażnienie.

— Podjąłem już postanowienie — oznajmił Bryne całej sali. — Zbrodnie są poważne i nic z tego, co usłyszałem, nie zmienia ich kwalifikacji. Jeżeli trzech mężczyzn zakradnie się do czyjegoś domu, aby ukraść jego srebra, i jeden z nich zaatakuje właściciela, wszyscy trzej będą winni w tym samym stopniu. Trzeba zrekompensować straty. Panie Nem, ja wypłacę ci koszty odbudowania nowej stodoły oraz cenę sześciu mlecznych krów.

Oczy krępego farmera zalśniły, ale przygasty na powrót, gdy Bryne dodał:

— Caralin wypłaci ci pieniądze, kiedy ustalą stosunek cen i kosztów. Niektóre z twoich krów nie dawały już mleka, jak słyszałem. — Szczupła kobieta w szarej

sukni kiwnęła głową z satysfakcją. — Za guza na głowie przyznaję ci odszkodowanie w wysokości jednej srebrnej marki. Nie masz się co uskarżać — skarcił Nema, widząc, że ten już otwiera usta. — Maigan potrafi gorzej cię urządzić, kiedy za dużo wypijesz.

Fala śmiechu wśród zgromadzonych powitała ten żart, wesołość wzmógł jeszcze na poły zawstydzony wzrok i zaciśnięte wargi Nema oraz spojrzenia, jakimi Maigan obrzuciła swego męża.

— Oddam ci także kwotę, która była w skradzionej sakiewce. Kiedy Caralin uzyska pewność co do wysokości tejże kwoty.

Nem i jego żona wyglądali na jednakowo niezadowolonych, ale trzymali języki za zębami, jasne było, że dostali to, na co zasłużyli. Min poczuła, że radzi się w niej nadzieja.

Oparłszy łokcie na stole, Bryne przeniósł swój wzrok na nią i pozostałe dwie kobiety. W miarę jak słowa powoli wypływały z jego ust, jej żołądek skręcał się w ciasny węzeł.

— Wy trzy będziecie pracować dla mnie, za normalne stawki przy takich pracach, jakie zostaną wam wyznaczone, dopóki nie zwrócicie mi kwoty, którą za was wyłożyłem. Nie sądźcie, że jestem wyrozumiały. Jeżeli złożycie mi przysięgę, którą uznam za wiążącą, nie będziecie strzeżone i będziecie mogły pracować w moim dworze. W przeciwnym razie zostanie wam przydzielona praca w polu, gdzie przez cały czas ktoś będzie miał na was oko. Stawki za pracę w polu są niskie, ale wszystko zależy od waszej decyzji.

Min szaleńczo poszukiwała najmniej znaczącej przysięgi, która zadowoliliby Garetha Bryne. Nie lubiła nie dotrzymywać słowa, niezależnie od okoliczności, ale zamierzała uciec, kiedy tylko będzie miała szansę, i nie chciała mieć na swym sumieniu zbyt ciężkiego krzywoprzysięstwa.

Myśli Leane wydawały się podążać tym samym tropem, ale Suan ledwie się zaważała, potem uklękła i przyłożyła dłonie do serca. Jej oczy zdawały się wpijać w Bryne'a, obecne wcześniej w nich wyzwanie nie zniknęło.

— Przez Światłość i moją nadzieję na zbawienie i odrodzenie, przysięgam służyć ci tak, jak będziesz wymagał, tak długo, jak to będzie konieczne, alba niech Stwórca odwróci ode mnie swe oblicze i ciemność niech pochłania moją duszę. — Wypowiedziała te słowa słabym szeptem, ale w taki sposób, że na sali zapadło całkowite milczenie. Nie było silniejszej przysięgi, chyba że ta, którą składały kobiety wynoszone do godności Aes Sedai, a Różdżka Przysięg wiązała je wówczas tak mocna, jakby słowa przysięgi stawały się Częścią ciała.

Leane popatrzyła na Suan, po czym również uklękła.

— Przez Światłość i moją nadzieję na zbawienie i odrodzenie. . .

Myśli Min szalały rozpaczliwie, poszukując jakiejś drogi wyjścia. Przysięga mniej znacząca, niżli przez nie złożona, bez wątplenia oznaczała pracę w polu, w obecności kogoś, kto ją będzie bez przerwy obserwował, ale ta przysięga. . .

Wedle wszystkiego, czego ją uczono, jej złamanie oznaczało coś niewiele gorszego od morderstwa, a może i nawet nie. Jednakże nie było innego wyjścia. Przy sięga albo któż wie jak długa praca po całych dniach w polu, a nocami zapewne w jakimś zamknięciu. Padła na podłogę, obok dwu kobiet, słowa wypływały z jej ust szeptem, ale w środku coś wyło.

„Siuan, ty skończona idiotko! Dlaczego mnie w to wrobiłaś? Nie mogę tu zostać! Muszę jechać do Randa! Och, Światłości, pomóż mi!”

— Cóż — westchnął Bryne, kiedy wypowiedziała ostatnie słowa. — Tego się nie spodziewałem, ale z pewnością wystarczy. Caralin, czy nie zechciałabyś wziąć gdzieś pana Nema i spokojnie dojść z nim do porozumienia, na ile wycenia swoje straty? I każ wszystkim z wyjątkiem ich trzech wyjść stąd. Poczyń też przygotowania do transportu ich do dworu. W tych okolicznościach myślę, że strażnicy nie będą potrzebni.

Szczupła kobieta obrzuciła go znękanym spojrzeniem, ale wydała krótki rozkaz i już po chwili wszyscy zaczęli tłoczyć się przy wyjściu z gospody. Admer Nem oraz jego mężczy krewniacy zbliżyli się do niej, na twarzy Admera malowała się niczym nie skrywana chciwość. Kobiety z rodziny Nem, nie mniej zachłanne, swe ciężkie spojrzenia kierowały ku Min i jej towarzyszkom klęczącym pośrodku pustoszejącej sali. Jeśli chodzi o Min, nie wierzyła, że potrafi utrzymać się na nogach. W głowie brzęczały jej bez przerwy te same zdania.

„Och, Siuan, dlaczego? Ja nie mogę tutaj zostać. Nie mogę!”

— Przechodzili tędy różni uciekinierzy — powiedział Bryne, kiedy ostatni mieszkańcy wioski opuścili salę. Rozparty na krześle obserwował je. — Ale nigdy nie spotkałem równie dziwnych jak wy trzy. Domani. Tairenianka?

Siuan grzecznie skinęła głową. Ona i Leane wstały, szczupła miedzianoskóra kobieta delikatnie rozcierała kolana, Siuan natomiast stała bez ruchu. Min udało się również dołączyć do nich, ale kolana pod nią drżały.

— I ty, Serenla. — Jeszcze raz, gdy wymawiał to imię, po jego twarzy przemknął cień uśmiechu. — Gdzieś z zachodniego Andoru, chyba że pomyliłem twój akcent.

— Z Baerlon — wymruczała, za późno ugryzłszy się w język. Ktoś mógł wiedzieć, że Min była z Baerlon.

— Nie wiem o żadnych wydarzeniach na zachodzie, które mogłyby skłonić kogoś do ucieczki — powiedział pytającym tonem. Gdy jednak nic nie odrzekła, nie naciskał dalej. — Kiedy już odpracujecie swój dług, z przyjemnością zatrzymam was w swej służbie. Życie może być bardzo trudne dla tych, którzy stracili swe domy, lecz nawet łóżko służącej jest lepsze niżli spanie pod krzakiem.

— Dziękuję ci, mój panie — powiedziała Leane pieszczotliwie, wykonując jednocześnie ukłon tak wdzięczny, że nawet w sukni do konnej jazdy wyglądała, jakby tańczyła. Min powtórzyła za nią to samo, martwym głosem, nie ufając jednak na tyle swoim kolonom, aby się uklonić. Siuan nadal stała bez ruchu i tylko

patrzyła na niego, nic nie mówiąc.

— Szkoda, że wasz towarzysz zabrał konie. Cztery konie zmniejszyłyby w pewnej mierze wasz dług.

— To nie był nasz towarzysz, a poza tym był łobuzem — oznajmiła Leane głosem stosownym raczej do sytuacji nieco bardziej intymnej. — Ja ze swej strony jestem wdzięczna już choćby za to, że zamieniam jego towarzystwo na twoją opiekę, mój panie.

Bryne popatrzył na nią — z wyraźnym uznaniem, osądziła Min — ale powiedział tylko:

— Na dworze będziecie przynajmniej bezpieczne przed tymi wszystkimi Nemami.

Na to nie miały co odpowiedzieć. Min przypuszczała, że szorowanie podłóg na dworze nie będzie się szczególnie niczym różniło od szorowania na farmie Nema.

„W jaki sposób mam się stąd wydostać? Światłości, jak?”

Milczenie przeciągało się, w ciszy słychać było tylko bębnienie palców Bryne'a o blat stołu. Min przyszło do głowy, że tamten nie wie, co należy teraz powiedzieć, po chwili jednak osądziła, iż raczej nie należy do ludzi, których można zbić z pantałyku. Zapewne zirytowało go, że tylko Leane okazała mu choćby ślad wdzięczności, przypuszczała, iż ich wyrok mógł być znacznie gorszy. Być może to gorące spojrzenia Leane i ton jej głosu w jakiś sposób zadziałały, ale Min wolałaby, aby tamta zachowywała się tak jak poprzednio. Już lepsze byłoby wisieć za nadgarstki na oczach całej wioski.

Na koniec wróciła Caralin, mrużąc coś pod nosem. Kiedy składała sprawozdanie Bryne'owi w jej głosie brzmiało zmartwienie.

— Dogadanie się z tymi Nemami zabierze co najmniej kilka dni, lordzie Gareth. Admer miałby pięć nowych stodół i pięćdziesiąt krów, gdybym dała mu tyle, ile żąda. Przynajmniej przekonał mnie, że rzeczywiście miał jakąś sakiewkę, ale ile w niej było... — Pokręciła głową i westchnęła. — Oczywiście, dowiem się. Joni jest gotów zabrać te dziewczyny do dworu, jeżeli już z nimi skończyłeś.

— Zabierz je Caralin — powiedział Bryne, wstając. — Kiedy już je odeślesz, znajdziesz mnie w cegielni.

W jego głosie znowu czuło się znużenie.

— Thad Haren mówi, że jeśli ma dalej robić cegły, to potrzebuje więcej wody, a Światłość jedna wie, skąd ją mam zdobyć.

I wyszedł ze wspólnej sali, jakby zdążył już zapomnieć o trzech kobietach, które przysięgły mu służyć.

Joni okazał się tym potężnym, łysiejącym mężczyzną, który przyszedł po nie do stajni, czekał teraz przed frontem gospody obok wozu na wysokich kołach, krytego płócienną plandeką, rozpiętą na zaokrąglonych pałakach. Do wozu zaprężono wychudłego kasztana. Kilku mieszkańców wioski siało, przyglądając

się ich odjazdowi, ale większość najwyraźniej schroniła się przed upałem po domach. Sylwetka Garetha Bryne zniknęła w głębi ulicy.

— Joni dopilnuje, byście bezpiecznie zajechały do dworu — powiedziała Caralin. — Róbcie, co wam każe, a przekonacie się, że wszystko będzie dobrze.

Przez chwilę mierzyła je wzrokiem, spojrzenie ciemnych oczu było niemalże równie nieustępliwe, jak spojrzenie Siuan, potem pokiwała do siebie głową jakby usatysfakcjonowana i pospieszyła za Brynem.

Joni odchylił plandekę w tylnej części wozu, ale nie pomógł im, kiedy gramoliły się niezdarnie do środka i szukały miejsca na jego dnie. W środku nie było nic więcej prócz paru źdźbeł słomy do podścielenia, a ciężkie przykrycie wzmagało panujący żar. Nie odezwał się do nich ani słowem. Wóz zakotłosał się, kiedy sam włąził na kozioł, skryty przed ich oczyma za płótnem. Min usłyszała, jak cmoka na konia i wóz ruszył z turkotem do przodu. Koła skrzypiały cicho, podskakując na przypadkowych wybojach.

Przez szczelinę w płótnie Min mogła dostrzec, jak wioska zmniejsza się za nimi, aż w końcu całkowicie niknie im z oczu, jej miejsce zaś zajmują rozległe zagajniki i ogrodzone pola. Była zbyt odrętwiała wewnętrznie, by się odezwać. Oto wielka sprawa Siuan miała się skończyć na szorowaniu garnków i podłóg. Nigdy by jej nie pomogła, nigdy by z nią nie została. Przy pierwszej nadarzącej się sposobności ruszyłyby do Łzy.

— Cóż — odezwała się zniecka Leane — nie poszło mi wcale tak źle.

Jej głos na powrót nabrał życia, ale teraz można było w nim dosłyszeć nutkę podniecenia — podniecenia! — wywołującego rumieńce na jej policzkach.

— Mogło być znacznie lepiej, ale to już kwestia wprawy. — Jej niski śmiech brzmiał niemalże jak chichot. — Nigdy dotąd nie zdawałam sobie sprawy, ile to może dostarczyć radości. Kiedy poczułam pod palcami dłoni, jak jego puls przyspiesza. . . — Na chwilę powtórzyła dłonią ten sam gest, który wykonała, kładąc ją na nadgarstku Bryne'a. — Nigdy nie sądziłam, że mogę czuć w sobie tyle życia. Ciotka Resara zwykła powiadać, iż mężczyźni stanowią lepszą rozrywkę niż polowanie z jastrzębiem, ale aż do dziś tego nie pojmowałam.

Starając się nie kołysać zanadto w rytm poruszeń wozu, Min wytrzeszczyła na nią oczy.

— Oszalałaś — stwierdziła na koniec spokojnie. — Ile lat przysięgłyśmy im służyć? Dwa? Pięć? Przypuszczam, że masz nadzieję, iż Gareth Bryne pozwoli ci spędzić je na swoich kolanach! Cóż, mam nadzieję, że zamiast tego będzie cię przekładał przez kolano! Codziennie!

Zaskoczone spojrzenie Leane w najmniejszej mierze nie złagodziło jej gniewu. Czy ona spodziewała się, że przyjmie wszystko równie spokojnie? Ale to nie na Leane była tak naprawdę zła. Z błyszczącymi oczyma odwróciła się do Siuan.

— A ty! Rezygnujesz, ale nie umiesz być skromna. Po prostu idziesz jak jagnię na rzeź. Dlaczego wybrałaś właśnie tę przysięgę? Światłości, dlaczego?

— Ponieważ — odpowiedziała Suan — tylko ta przysięga mogła nam zagwarantować, że nie będziemy przez cały czas pilnowane. Czy to we dworze czy nie.

Prawie leżała na nierównych deskach wozu, a jednak powiedziała to wszystko takim tonem, że słowa te zabrzmiały jak najbardziej oczywista rzecz na świecie. I Leane wydawała się z nią zgadzać.

— Masz zamiar złamać tę przysięgę — powiedziała po chwili Min. Słowa te wymówiła zdumionym szeptem, ale nawet wtedy spojrzała niespokojnie na plan-dekę, za którą siedział Joni. Nie sądziła, by mógł coś usłyszeć.

— Mam zamiar zrobić to, co konieczne — odrzekła Suan głosem twardym, ale równie cichym. — Uciekniemy za dwa lub trzy dni, gdy będę pewna, że już nas nie obserwują zbyt bacznie. Obawiam się, że będziemy musiały ukraść konie, ponieważ straciłyśmy własne. Bryne musi mieć dobre stajnie. Zrobię to z przykrością.

A Leane siedziała tylko, podobna do kota oblizującego z wąsów śmietankę. Musiała zdawać sobie sprawę od samego początku, dlatego nie zawahała się przy składaniu przysięgi.

— Będiesz z przykrością kradła konie? — ochryple zapytała Min. — Zamierzasz złamać przysięgę, której dotrzymaliby wszyscy z wyjątkiem Sprzymierzeńców Ciemności, będziesz z przykrością kradła konie? Nie mogę wprost uwierzyć. Okazuje się, że nie znałam żadnej z was nawet w połowie tak dobrze, jak mi się wydawało.

— Naprawdę masz zamiar zostać tutaj i szorować garnki? — zapytała Leane głosem równie cichym, jak one poprzednio. — Kiedy Rand jest gdzie indziej, a twoje serce wrywa się do niego?

Min tylko popatrzyła na nią groźnie. Żałowała, że w ogóle im powiedziała o swoich uczuciach do Randa al'Thora. Czasami żałowała, że sama zdała sobie z nich sprawę. Mężczyzna, który ledwie pamięta o jej istnieniu, mężczyzna taki, jak ten. Zresztą, to czym był, nie było nawet w połowie tak istotne jak fakt, że nigdy nie spojrzał na nią dwukrotnie. Choć tak naprawdę wszystko zlewało jej się w jedno. Prawie miała ochotę powiedzieć, że dotrzyma swej przysięgi, zapomni o Randzie na tak długo, aż nie odpracuje długu. Tylko że nie potrafiła nawet ust otworzyć.

„A żeby szczeź! Gdybym go w ogóle nie spotkała, nigdy nie wpadłabym w takie kłopoty!”

Kiedy milczenie, przerywane tylko rytmicznym skrzypieniem kół oraz cichym stukotem końskich kopyt, przeciągało się już powoli ponad wytrzymałość Min, Suan nagle przemówiła:

— Mam zamiar postąpić tak, jak przysięgam. Kiedy skończę to, co muszę zrobić najpierw. Nie przysięgam służyć mu od razu. Na tyle ostrożnie dobieierałam słowa, żeby nawet pośrednio tego nie sugerowały, jeśli już o tym mowa. Jest to

dość subtelne i nie sędzę, aby Gareth Bryne na to przystał, ale niemniej to prawda.

Min zamilkła ze zdumienia, kołysząc się zgodnie z powolnymi ruchami wozu.

— Masz zamiar uciec, a potem za kilka lat wrócić i oddać się w ręce Bryne'a? A wtedy on zedrze z ciebie skórę i odda ją do garbarni. Skórę całej naszej trójki. — W momencie gdy to powiedziała, zrozumiała, że już zaakceptowała to rozwiązanie. Uciec, potem wrócić i . . .

„Nie mogę! Kocham Randa. On nawet nie zwróci uwagi, jeśli Gareth Bryne zmusi mnie, bym pracowała w jego kuchniach do końca życia!”

— Zgadzam się, że nie jest to człowiek, którego łatwo oszukać — westchnęła Suan. — Spotkałam go już wcześniej. Byłam przerażona, że może rozpoznać mój głos. Oblicza mogą się zmieniać, ale głosy pozostają te same.

Ze zdumieniem dotknęła swej twarzy, jak to jej się czasami ostatnio zdarzało, najwyraźniej całkowicie nieświadomie.

— Oblicza się zmieniają — wymruczała. Potem ton jej głosu stwardniał. — Zapłaciłam już wysoką cenę za to, co musiałam zrobić, i tę również zapłacę. Kiedyś. Jeżeli macie do wyboru utonięcie lub jazdę na grzbiecie morlwa, to dosiadać go z nadzieją w sercu, że coś może się jeszcze zmienić. Tyle tylko nam zostało, Serenla.

— Bycie służącą dalece odbiega od tej przyszłości, którą bym dla siebie wybrała — oznajmiła Leane — niemniej to właśnie jest przyszłość, a któż wie, co może się wcześniej zdarzyć? Pamiętam aż za dobrze, jak myślałam, że nie mam już żadnej przyszłości.

Nieznaczny uśmiech przemknął po jej ustach, powieki marząco opadły, w głosie zaś pojawiło się aksamitne brzmienie.

— Poza tym nie wierzę, by on naprawdę obdarł nas ze skóry. Dajcie mi kilka lat praktyki, potem kilka minut z lordem Garethem Bryne'em, a powita nas z otwartymi ramionami i zaoferuje najlepsze pokoje. Wystroi w jedwabie i zaproponuje najlepszy pojazd, by zawiózł nas, dokąd zechcemy.

Min pozwoliła jej oddawać się tym fantazjom. Czasami zdawało jej się, że one obie żyją w świecie snów. Z nią było inaczej. Niby drobnostka, ale zirytowała ją.

— Ach, Mara, powiedz mi coś. Zauważyłam, że niektórzy ludzie śmieją się, kiedy mówisz do mnie Serenla. W każdym razie Bryne się uśmiechnął i powiedział coś o przeczuciach mojej matki. Dlaczego?

— W Dawnej Mowie — odrzekła Suan — oznacza to „upartą córkę”. Kiedy się po raz pierwszy spotkałyśmy, dostrzegłam w tobie oznaki upor. Na miłe szerokie i głębokie.

I to powiedziała Suan! Ona, najbardziej uparta kobieta w całym świecie! Jej uśmiech był szeroki, niemalże od ucha do ucha.

— To imię naprawdę pasuje do ciebie. Ale od następnej wioski możesz nazywać się Chalinda. To oznacza „słodkie dziewczę”. Albo może . . .

Nagle wóz podskoczył gwałtownie, a potem przyśpieszył, jakby koń ruszył galopem. Przetaczając się w skrzyni niczym ziarno na sicie, trzy kobiety popatrzywały po sobie z zaskoczeniem. Potem Suan udało się jakoś podnieść na nogi i odchyliła płótno dzielące skrzynię wozu od kozła woźnicy. Joni zniknął. Przechyliwszy się przez drewniane oparcie siedzenia, Suan pochwyciła lejce i mocno za nie szarpnęła, zatrzymując konie. Min odrzuciła plandekę z tyłu wozu i wyjrzała na zewnątrz.

W tym miejscu droga biegła przez zagajnik, niemalże las, złożony z dębów, wiązów, sosny i skórzanego liścia. Wzbity kurz wciąż wisiał w powietrzu, powoli osiadając na Jonim, który leżał rozciągnięty na skraju ubitego traktu, jakieś sześćdziesiąt kroków z tyłu.

Min odruchowo zeskoczyła z wozu i podbiegła do potężnego mężczyzny. Przykłęka obok. Wciąż oddychał, ale oczy miał zamknięte, a krwiak na jego skroni powoli zmieniał się w purpurowy guz.

Leane odsunęła ją na bok i zaczęła badać głowę Joniego swymi wprawnymi palcami.

— Będzie żył — oznajmiła lakonicznie. — Czaszka nie jest pęknięta, ale jak się obudzi, będzie go przez kilka dni bolała głowa.

Nie wstając z kłęczek, zaplotła ramiona, w jej głosie zabrzmiał smutek.

— W każdym razie i tak nic dla niego nie mogę zrobić. Niech szczenę, przysięgam sobie, że już więcej nie będę nad tym płakać.

— Pytanie... — Min przełknęła ślinę i zaczęła ponownie. — Pytanie brzmi, czy zapakujemy go na wóz i zawieziemy do dworu, czy po prostu... odejdziemy? „Światłości, nie jestem lepsza od Suan!”

— Możemy go zawieźć do najbliższej farmy — powoli oznajmiła Leane.

Suan podeszła do nich, prowadząc wyprzęgniętego konia w taki sposób, jakby się obawiała, że to łagodne zwierzę może ją pokąsać. Jedno spojrzenie na leżącego mężczyznę wywołało mars na jej czole.

— On nie mógł tak po prostu spaść z wozu, nie widziałam nigdzie żadnego kamienia ani korzenia, który mógł spowodować wypadek. — Zaczęła uważnie przypatrywać się drzewom rosnącym wzdłuż drogi i wtedy spośród nich wyjechał mężczyzna na wysokim karym ogierze, prowadząc trzy klacze. Jedna była kudłata i o dobre dwie dłonie niższa od pozostałych.

Mężczyzna był wysoki, odziany w błękitny kaftan, z mieczem przypasanym do boku, włosy spływały mu na szerokie ramiona falą loków. Twarz miał przystojną, choć jej rysy stwardniały, jakby głęboko naznaczyły ją przeżyte niedole. Był ostatnim człowiekiem, którego Min spodziewała się tutaj spotkać.

— Czy to twoje dzieło? — ostro zapytała Suan.

Logain uśmiechnął się, ściągając wodze swego rumaka obok wozu, chociaż sytuacja raczej nie skłaniała do wesołości. — Proca czasami się przydaje, Maro. Macie szczęście, że tutaj na was czekałem. Spodziewałem się, że nie opuścicie

wioski przez jeszcze co najmniej kilka godzin, stan zaś, w którym będziecie, nie-
szczególnie uczyni was zdolne do szybkiego marszu. Wygląda na to, że miejsco-
wy lord okazał się pobłażliwy. — Nagle twarz jego pociemniała, głos stwardniał
niczym kamień. — Czy sądziłyście, że zostawię was na pastwę losu? Być może
powinienem. Obiecałaś mi coś. Mara. Pragnę zemsty, którą mi przyrzekłaś. Podą-
żałem za tobą przez pół drogi do Morza Sztormów, pomagając w twoich poszu-
kiwaniach, chociaż nie powiedziałaś mi nawet, czego szukamy. Nie zadawałem
żadnych pytań, jak chcesz zrealizować swą obietnicę. Ale teraz coś ci powiem.
Twój czas powoli dobiega końca. Zakończ wkrótce swe poszukiwania i daj mi
to, co obiecałaś, albo zostawię cię i poszukam na własną rękę okazji do działania.
Szybko się przekonasz, że w wioskach nie żywią współczucia dla uciekinierki bez
grosza przy duszy. Trzy piękne kobiety, samotnie? Ten widok — musnął dłonią
miecz przy pasie — ratował was więcej razy, niżli zdajecie sobie sprawę. Radzę
ci, znajdź szybko to, czego szukasz, Maro.

Na początku ich podróży nie bywał taki arogancki. Wówczas pokornie dzie-
kował za pomoc, której mu udzieliły — na tyle przynajmniej pokornie, na ile był
w stanie uczynić to człowiek pokroju Logaina. Wychodziło na to, że wraz z upły-
wem czasu — oraz brakiem widocznych wyników — jego wdzięczność osłabła.

Siuan nawet nie mrugnęła pod wpływem jego wzroku.

— Taką właśnie żywię nadzieję — odparowała twardym głosem. — Ale jeśli
chcesz odejść, proszę bardzo, zostaw nam nasze konie i idź! Jeżeli nie chcesz
wiosłować, wynoś się z pokładu i dalej płyn o własnych siłach! Zobaczmy, jak
dalece uda ci się zrealizować swoją zemstę.

Wielkie dłonie Logaina zacisnęły się na wodzach, Min usłyszała chrupnięcie
kłykci. Aż drżał od tłumionych emocji.

— Zostanę jeszcze trochę, Maro — powiedział na koniec. — Jeszcze troszecz-
kę.

Na moment Min zobaczyła aurę otaczającą jego głowę, promienną koronę ze
złota i błękitu. Siuan i Leane oczywiście nie mogły jej zobaczyć, chociaż wie-
działy, na co ją stać. Czasami widziała różne rzeczy dotyczące spotykanych ludzi
— wizje, jak je sama określała — obrazy, czasami aurę. Niekiedy nawet umiała
odkryć ich znaczenie. Ta kobieta wyjdzie za mąż. Ten mężczyzna umrze. Drobne
sprawy lub wielkie wydarzenia, radosne lub smutne, ale nigdy nie rozumiała, dla-
czego widzi jedno, a nie drugie w związku z daną osobą. Aes Sedai i Strażników
zawsze otaczała aura, większość ludzi wizje omijały. Ta wiedza częstokroć nie
była przyjemna.

Widziała już wcześniej poświatę otaczającą Logaina i wiedziała, co ona ozna-
cza. Przyszłą chwałę. Ale to przecież nie miało sensu. Nie w odniesieniu do niego.
Swego konia, miecz i kaftan wygrał w kości, chociaż Min nie była pewna, czy grał
uczciwie. Nie posiadał niczego więcej, żadnych perspektyw, wyjąwszy obietnicę
Siuan, a w jaki sposób ona miała ich dotrzymać? Samo jego imię równało się

wyrokowi śmierci. To po prostu nie miało sensu.

Logainowi humor powrócił równie szybko, jak przedtem go opuścił. Wyciągnął zza pasa grubą sakiewkę uszytą z kiepsko utkanego materiału i zadzwęczał nią, wymachując w ich stronę.

— Zdobyłem trochę monet. Przez jakiś czas nie będziemy musieli sypiać po stodołach.

— Słyszałyśmy o tym — sucho odrzekła Suan. — Przypuszczam, że nie powinnam się po tobie niczego lepszego spodziewać.

— Pomyśl o tym jako o wkładzie w twoje poszukiwania. — Wyciągnęła dłoń, ale on na powrót przytroczył sakiewkę do pasa, szyderczo się przy tym uśmiechając. — Nie chciałem skazić twych rąk dotykiem kradzionych pieniędzy, Maro. Poza tym w ten sposób przynajmniej mogę być pewny, że ty nie uciekniesz ode mnie.

Suan wyglądała na wściekłą, lecz nic nie powiedziała. Stanąwszy w strzemiionach, Logain spojrzął za siebie w stronę Źródeł Kore.

— Widzę stado owiec i dwóch chłopców. Czas ruszać. Doniosą o tym, co widzieli tak szybko, jak tylko będą w stanie biec. — Na powrót usiadł w siodle i spojrzął w dół na Joniego, który wciąż leżał nieprzytomny. — I sprowadzą pomoc dla tego człowieka. Nie sądzę, bym go trafił na tyle mocno, żeby mu się coś stało.

Min potrząsnęła głową, Logain nie przestawał jej zaskakiwać. Nie przypuszczała, by zdolny był poświęcić choć chwilę uwagi człowiekowi, któremu przed chwilą rozbił głowę.

Suan i Leane nie marnowały czasu, błyskawicznie wspięły się na swe siodła o wysokich łękach, Leane dosiadała siwej klaczy, którą nazwała Księżycowym Kwiatem, Suan zaś Beli, niskiej i kudłatej. Leane powodowała Księżycowym Kwiatem ze swobodną gracją. Min natomiast dosiadła Dzikiej Róży, swej gniadej, znacznie bardziej elegancko niżli Suan, jednak daleko jej było do Leane.

— Czy sądzicie, że on będzie nas ścigał? — zapytała Min, kiedy już ruszyli na południe, truchtem oddalając się od Źródeł Kore. Pytanie skierowała do Suan, ale to Logain odpowiedział.

— Ten miejscowy lord? Wątpię, by uznał was za wystarczająco ważne. Oczywiście może wysłać człowieka z waszymi rysopisami. Proponuję, byśmy jechali najszybciej, jak tylko można przed następnym popasem. I podobnie jutro.

Wyglądało na to, że przejmuje dowodzenie.

— Doprawdy nie jesteście aż tak ważne — oznajmiła Suan, kołyszając się cokolwiek niezdarnie w swym siodle. Mogła obawiać się swej klaczy, ale spojrzenie, które utkwiała w plecach Logaina jednoznacznie wskazywało, że nie pozwoli sobie na takie podważanie własnego autorytetu.

W skrytości ducha Min żywiła jednak nadzieję, że Bryne uzna je za nieważne. Dlaczego miałby postąpić inaczej? Przynajmniej dopóki nie pozna ich prawdzi-

wych imion. Logain pognął swego ogiera przodem, ona zaś wbiła obcasy w boki Dzikiej Róży, aby dotrzymać mu kroku, i skierowała swe myśli ku temu, co dopiero je czekało, odsuwając od siebie to, co właśnie przeżyły.

* * *

Gareth Bryne zatknął rękawice za pas, przy którym nosił miecz, i podniósł leżący przed nim na blacie stołu aksamitny kapelusz z okrągłym rondem. Kapelusz stanowił ostatni krzyk mody w Caemlyn. Caralin zadbała o to, on sam nie dbał o modę, jego asystentka jednak sądziła, że powinien ubierać się stosownie do swej pozycji, toteż na dzisiejszy ranek przygotowała dlań jedwabie i aksamity.

Kiedy włożył kapelusz na głowę, w jednym z okien gabinetu pochwycił niewyraźne odbicie swej postaci. Na szczęście było dostatecznie zniekształcone i blade. Zerkał na nie z ukosa — szary kapelusz i kaftan z szarego jedwabiu, z haftowanymi srebrem poskręcanymi lampasami, biegnącymi w dół rękawów oraz z kołnierzem, w niczym nie przypominał hełmu i zbroi, do której przywykł. Tamto już się skończyło i nie miało więcej wrócić. A to... To było coś, czym wypełniał puste godziny. Nic ponadto.

— Jesteś pewien, że tego chcesz, lordzie Gareth?

Odwrócił się od okna i spojrzał na Caralin, stojącą za swym pulpitem, po przeciwnej stronie pomieszczenia. Przed nią piętrzyły się księgi, w których prowadziła rachunkowość posiadłości. Zarządzała nimi podczas całej jego nieobecności i bez wątpienia znała się na rzeczy znacznie lepiej od niego.

— Gdybyś posłał je do pracy u Admera Nema, jak nakazuje prawo — ciągnęła dalej — nie byłaby to już w najmniejszym stopniu twoja sprawa.

— Ale nie zrobiłem tego — odrzekł. — I gdybym raz jeszcze miał wybierać, postąpiłbym tak samo. Wiesz o tym równie dobrze jak ja. Nem i jego krewniaczy nastawaliby na te dziewczyny dniem i nocą. A Maigan oraz reszta ich kobiet zrobiłyby z ich życia Szczelinę Zagłady, to znaczy wówczas, gdyby przypadkiem wszystkie trzy nie wpadły pewnego dnia do studni i nie utonęły.

— Nawet Maigan nie użyłaby studni — sucho odparowała Caralin — nie przy takiej pogodzie, jaka od dłuższego czasu panuje. Ale rozumiem twe argumenty, lordzie Gareth. Jednak one miały większą część dnia i całą noc na ucieczkę w dowolnym kierunku. Równie szybko je znajdziesz, jeśli roześlesz wieści. Jeśli w ogóle da się je znaleźć.

— Thad je wytropi.

Thad, który skończył już siedemdziesiąt lat, ale wciąż potrafiłby przy świetle księżyca wytropić podmuch wczorajszego wiatru na skale, byłby aż nadto szczę-

śliwy, mogąc powierzyć cegielnię pieczy swego syna.

— Jeżeli tego chcesz, lordzie Gareth. — Ona i Thad nie przepadali szczególnie za sobą.. — Cóż, jeżeli je sprowadzisz z powrotem, z pewnością znajdę dla nich jakieś zajęcie w domu.

Coś w jej głosie, ostrożnym jak zawsze, zwróciło jego uwagę. Delikatna nuta satysfakcji. Właściwie od czasu jego powrotu do domu, Caralin przyprowadzała do dworu całe procesje pięknych służących i dziewcząt ze wsi, wszystkie gotowe i chętne pomóc lordowi zapomnieć o jego niedolach.

— Złamały przysięgę, Caralin. Obawiam się, że czeka je praca w polu.

Przelotne, zirytowane zaciśnięcie warg utwierdziło go w podejrzeniach, ale w jej głosie brzmiała tylko obojętność.

— Tamte dwie być może nadają się jedynie do pracy w polu, jednak wdzięk dziewczyny Domani zmarnowałby się tylko, a równie dobrze wszak może podawać do stołu. Nadzwyczajnej urody dziewczę, Choć, rzecz jasna, stanie się, jak sobie życzysz.

A więc to ją Caralin wybrała. Doprawdy, nadzwyczajnej urody dziewczyna. Chociaż nieco inna od kobiet Domani, które dotąd spotykał. A to zanedo się wahała, a to była zbyt śmiała. Jakby używała swej sztuki po raz pierwszy w życiu. To było oczywiście niemożliwe. Niemalże od kołyski kobiety Domani szkoliły swe córki, jak owijać mężczyzn dookoła palca. Musiał jednak przyznać, że nie można jej było odmówić skuteczności. Gdyby Caralin mu ja oddała zamiast tych wszystkich wiejskich dziewczek... Nadzwyczaj śliczna.

Dlaczego więc to nie jej twarz bezustannie widział przed oczami? Dlaczego co raz przyłapywał się na tym, że myśli o parze błękitnych oczu? Wyzywających go, jakby żałowały, że dłoń ich właścicielki nie może sięgnąć do miecza, pełnych obawy, a jednocześnie odmowy poddania się strachowi. Mara Tomanes. Pewien był, że ona dotrzyma słowa, nawet nie składając przysięgi.

— Sprowadzę ją z powrotem — wymruczał do siebie. — Dowiem się wówczas, dlaczego złamała przysięgę.

— Jak rozkażesz, mój panie — powiedziała Caralin. — Sądzę, że znakomicie będzie się nadawała na twoją pokojową. Sella jest już trochę za stara, by tak biegać w górę i w dół po schodach, kiedy ją wyzywasz w nocy.

Bryne spojrział na nią i zamrugał. Co? Ach. Ta dziewczyna Domani. Potrząsnął głową, myśląc o tym, jaka ta Caralin jest niemądra. Ale czy on okazał się mądrzejszy? Był tutaj lordem, powinien zostać, by opiekować się swymi ludźmi. Jednak przez wszystkie te minione lata Caralin lepiej dawała sobie ze wszystkim radę niżli on kiedykolwiek. On znał się na obozach, żołnierzach, kampaniach i być może odrobinę na dworskich intrygach. Miała rację. Powinien odpiąć miecz, zdjąć ten głupi kapelusz, pozwolić Caralin rozesłać ich rysopisy, i...

Zamiast tego powiedział:

— Nie spuszczaaj oka z Admera Nema oraz jego krewnych. Będą starali się oszukać cię, na ile się tylko da.

— Jak rzeczesz, mój panie. — Słowa były pełne szacunku, z tonu głosu wynikało, że może iść uczyć swego dziadka strzyc owce. Śmiejąc się pod nosem, wyszedł na zewnątrz.

Budynek dworu był w istocie czymś niewiele okazalszym niżli rozbudowana do przesady zwykła chata wieśniaka, dwa niezdarnie dobudowane nad sobą piętra z cegły i kamienia, kryte dachem z łupka, wciąż uzupełniane przez pokolenia Bryne'ów. Ziemie te znajdowały się w posiadaniu Domu Bryne — albo Dom Bryne w ich posiadaniu — od czasu jak Andor wyłonił się z rozpadu imperium Artura Hawkwinga tysiąc lat wcześniej. Przez cały ten okres ród Bryne posyłał swych synów na wojny prowadzone przez Andor. On nie będzie już walczył w żadnej wojnie, ale dla Domu Bryne i tak już było za późno. Był ostatni ze swej krwi. Bez żony, bez syna, bez córki. Na nim kończyła się linia rodu. Wszystko musiało się skończyć, obróciło się Koło Czasu.

Dwudziestu ludzi czekało obok osiodłanych koni na brukowanym kamieniami podwórku przed dworem. Mężczyźni bardziej nawet naznaczeni siwizną od niego, ci przynajmniej, którzy jeszcze mieli jakieś włosy na głowach. Sami doświadczeni żołnierze, byli kawalerzyści, dowódcy szwadronów i chorążowie, którzy służyli pod nim w różnych epokach jego kariery wojskowej. Na samym czele stał Joni Shagrin, który był Seniozem Chorążym Gwardii, skronie spowijał mu bandaż i Bryne wiedział, że jego córki posyłały swe dzieci, aby zatrzymały go w łóżku. Był jednym z niewielu, którzy w ogóle mieli rodziny, tutaj albo gdziekolwiek indziej. Większość wołała ponownie się stawić na jego wezwanie, niżli przepijając swój żołądek, snując wspomnienia, których nikt nie miał ochoty wysłuchiwać, prócz takich samych starych wojaków, jak oni.

Wszyscy mieli miecze przy pasach, którymi spięli kaftany, niektórzy nawet długie, stałą zakończony lance, które aż do dzisiejszego ranka przez lata zdobiły ściany. Do każdego siodła przytroczony był rulon koca i wypchane torby podróżne, dodatkowo dzbanek lub kociołek i pełne worki na wodę, jakby udawali się na długą, wyczerpującą kampanię, nie zaś na zamierzoną na tydzień wyprawę, mającą na celu znalezienie trzech kobiet, które podpaliły stodołę. Oto mieli szansę wskrzesić dawne dni, a przynajmniej udawać, że tak się stało.

Zastanawiał się, czy takie uczucia również nim powodowały. Bez wątpienia był za stary, aby gnać za parą pięknych oczu kobiety, która mogła być jego córką. Może nawet wnuczką.

„Nie jestem aż takim głupcem” — skarcił sam siebie ostro.

Caralin da sobie ze wszystkim znacznie lepiej radę, gdy usunie się jej z drogi.

Chudy siwy wałach galopował wzdłuż linii dębów wiodących ku drodze, jeździec już zeskakiwał z siodła, zanim zwierzę zdążyło się na dobre zatrzymać. Mężczyzna zachwiał się, jednak zdołał przyłożyć dłoń do piersi w poprawnym

salucie. Barim Halle, który służył pod nim wiele lat temu jako starszy dowódca szwadronu, był twardy i żyłasty, jego głowa przypominała pomarszczone jajo, gęste zaś siwe brwi wyglądały tak, jakby starały się zastąpić resztę brakującego owłosienia.

— Wezwano cię do Caemlyn, mój Kapitanie Generale? — wydyszał.

— Nie — odparł Bryne, może trochę nazbyt ostro. — Co chcesz osiągnąć, jadąc tak tutaj, jakby cała kawaleria Cairhien siedziała ci na ogonie?

Niektóre konie zaczęły nerwowo przestępować z nogi na nogę, udzielił im się nastrój siwka.

— Nigdy nie pędziłem tak szybko, chyba że kogoś ścigaliśmy, mój panie. — Uśmiech na twarzy Barima zniknął, gdy spostrzegł, że Bryne nie zareagował na żart. — Cóż, mój panie, zobaczyłem konie i skombinowałem sobie... — Jego twarz zmieniła wyraz i przerwał w pół zdania. — Cóż, tak naprawdę, doszły mnie również pewne wieści. Byłem w Nowym Braem u mojej siostry i dużo słyszałem.

Nowe Braem było starsze od Andoru — „stare” Braem zostało zniszczone podczas Wojen z Trollokami, tysiąc lat przed Arturem Hawkwingiem — i stanowiło miejsce, w którym spotykały się wszystkie plotki z okolicy. Średniej wielkości miasto graniczne, daleko na wschód od jego posiadłości, przy drodze wiodącej z Caemlyn do Tar Valon. Nawet mimo obecnego nastawienia Morgase względem Białej Wieży, kupcy nieprzerwanie ciągnęli tym traktem.

— Cóż, dajmy sobie z tym spokój, żołnierzu. Jeżeli słyszałeś wieści, mów jakie?

— Ech, staram się właśnie zdecydować od czego zacząć, mój panie. — Barim wyprostował się bezwiednie, jakby składał raport. — Bez wątpienia najważniejszą informacją jest upadek Łzy. Aielowie zajęli sam Kamień, a Miecz Którego Nie Można Dotknąć został najwyraźniej dotknięty. Ktoś dobył go, jak powiadają.

— Dobył go Aiel? — zapytał z całkowitym niedowierzaniem Bryne. Aiel raczej by zginął, niż dotknął miecza, widział takie rzeczy podczas Wojny o Aiel. Chociaż powiadano, że *Callarcdor* w ogóle nie jest mieczem. Cokolwiek by to miało znaczyć.

— Tego nikt nie wiedział, mój panie. Słyszałem tylko imię, Ren jakiś tam czy też inne, równie często spotykane. Ale mówi się o tym jako o potwierdzonym fakcie, nie zaś wyłącznie domyśle. Jakby wszyscy już wiedzieli.

Bryne’a zmarszczył brwi. Jeżeli to prawda, to jest gorzej niż źle. Jeżeli *Callandor* został dobyty, wówczas znaczy to, że odrodził się Smok. Wedle Proroctw miało to zwiastować bliskość Ostatniej Bitwy i wydostanie się Czarnego na wolność. Smok Odrodzony uratuje świat, tak utrzymywały Proroctwa. I zniszczy go. Takie wieści mogły wystarczyć, by Halle pogalopował jak szalony, gdyby zastanowił się choćby dwa razy nad tym, co usłyszał.

Ale pomarszczony mężczyzna jeszcze nie skończył.

— Wieści dochodzące z Tar Valon są niemalże równie niesamowite. Powiadają, że jest nowa Zasiadająca na Tronie Amyrlin. Elaida, mój panie, ta, która była doradczynią Królowej. — Halle niespodziewanie zamrugął, a potem właściwie nie zająkawszy się nawet, ciągnął dalej. Morgase była tematem zakazanym, wiedział o tym każdy człowiek w posiadłości, chociaż Bryne nigdy tego nie oznajmił otwarcie. — Powiadają, że dawna Amyrlin, Suan Sanche, została ujarzmiona i stracona. I że Logain również zginął. Ten fałszywy Smok, którego pojmały i poskromiły zeszłego roku. Mówiono o tym również, jakby była to prawda, mój panie. Jeden z nich twierdził, że był właśnie w Tar Valon, kiedy to się działo.

Wieści o Logainie nie były aż takie ważne, nawet jeśli to właśnie on rozpetał wojnę w Ghealdan, ogłaszając się Smokiem Odrodzonym. W ciągu ostatnich lat pojawiło się wielu fałszywych Smoków. Ten jednak potrafił przynosić Moc, co do tego nie było wątpliwości. Przynajmniej dopóki Aes Sedai nie poskromiły go. Cóż, nie był pierwszym mężczyzną, którego pojmano i poskromiono, czyli odcięto od Źródła Mocy, tak że już więcej nie potrafił przynosić. Powiadano, że tacy ludzie, niezależnie od tego, czy naprawdę byli fałszywymi Smokami, czy tylko biednymi głupcami, których za takowych wzięły Czerwone Ajah, nigdy nie żyli długo. Mówiono, że tracili wolę życia.

Suan Sanche... to jednak były nowiny. Spotkał ją jakieś trzy lata temu. Kobieta, która domagała się posłuszeństwa i nie tłumaczyła się z tego przed nikim. Twarda jak stary but, z językiem niczym pilnik i temperamentem stosownym dla niedźwiedzia, którego boli ząb. Spodziewałby się raczej, że rozszarpie własnymi rękoma na kawałki każdą pretendentkę. Ujarzmienie było tym samym, czym u mężczyzn poskromienie, choć zdarzało się znacznie rzadziej. Szczególnie w przypadku Zasiadającej na Tronie Amyrlin. Jedyne dwie Amyrlin spotkał ten los w ciągu trzech tysięcy lat, przynajmniej tak utrzymywała Wieża, chociaż możliwe jest, że przydarzyło się to jakimś dwudziestu, Wieża znakomicie dawała sobie radę z zatajaniem tego, co chciała. Ale egzekucja następująca po ujarzmieniu zdawała się czymś najzupełniej zbędnym. Powiadano, że kobiety nie lepiej znosiły ujarzmienie niż mężczyźni poskromienie.

Wszystko to zwiastowało kłopoty. Każdy wiedział, że Wieża pozostawała w najrozmaitszych aliansach, że pociągając za sznurki, powodowała tronami oraz potężnymi lordami i damami. Jeżeli nowa Amyrlin została wyniesiona w taki sposób, ktoś z pewnością zechce sprawdzić, czy Aes Sedai dalej równie bacznie kontrolują wydarzenia. A kiedy tylko ten człowiek w Łzie stłumi opozycję — co było raczej prawdopodobne, jeśli naprawdę zdobył Kamień — wyruszy przeciwko Illian albo Cairhien. Pytanie brzmiało, jak szybko będzie maszerować jego armia? Czy ludzie będą walczyć z nim, czy raczej zaciągną się pod jego sztandary? On z pewnością jest prawdziwym Smokiem Odrodzonym, ale Domy mogą się zachować na oba sposoby, zwykli ludzie również. Jeśli zaś drobne potyczki mogą być następstwem samego zamieszania w Wieży, to...

— Stary głupiec — wymruczał. Spostrzegłszy, że Barim aż się wzdrygnął, dodał: — Nie ty. Inny stary głupiec.

Żadna z tych rzeczy nie była jednak już jego sprawą. Wyjąwszy może tylko decyzję, jak powinien zachować się Dom Bryne, kiedy nadejdzie czas.

— I co, mój panie? — Barim spojrzął na mężczyzn stojących obok koni. — Myślisz, że będę ci jeszcze potrzebny?

Nawet nie zapytał gdzie ani po co. Nie tylko on jeden znudził się wiejskim życiem.

— Dogonisz nas, gdy tylko porządnie dopniesz uprząż. Będziemy się początkowo kierować na południe, Drogą Czterech Królów.

Barim zasalutował i pomknął na bok, ciągnąc za sobą konia.

Bryne wspiął się na siodło i bez słowa wyciągnął naprzód ramię, mężczyźni uformowali za nim podwójną kolumnę i ruszyli wzdłuż linii dębów. Miał zamiar uzyskać odpowiedzi. Choćby nawet trzeba było wziąć tę Marę za kark i potrząsać, odpowie mu na jego pytania.

* * *

Wysoka Lady Alteima uspokoiła się, kiedy otwarto przed nią bramy Królewskiego Pałacu Andoru, a jej pojazd wjechał do środka. Nie była wcale pewna, czy to w ogóle nastąpi. Bez wątpienia zabrało jej nazbyt już wiele czasu dostarczenie do środka noty, a jeszcze więcej oczekiwanie na odpowiedź. Jej służąca, drobna dziewczyna, którą przyjęła tutaj, w Caemlyn, podskoczyła niemalże jak piłka na siedzeniu powozu, tak podniecona tym, że wjeżdża do pałacu.

Amathera rozłożyła szeroko swój koronkowy wachlarz i próbowała się nim choćby odrobinę ochłodzić. Wciąż daleko było do południa, upał -jeszcze się wzmoże. Pomyśleć, że zawsze uważała Andor za taki zimny. Pośpiesznie powtórzyła sobie to, co zdecydowała się powiedzieć. Była piękną kobietą — zresztą doskonale sobie z tego zdawała sprawę — o wielkich brązowych oczach, które wielu omyłkowo brało za oznakę jej niewinności, czy nawet bezbronności. Sama wiedziała najlepiej, że nie było to prawdą, ale potrafiła wyciągnąć korzyści z łatwowierności innych. A w szczególności tutaj, dzisiaj. Na powóz wydała resztę złota, które udało się jej zabrać, gdy uciekała z Łzy. Jeżeli miała na nowo zdobyć odpowiednią pozycję, musiała zyskać sobie wpływowych przyjaciół, a nikt nie był wszak w Andorze potężniejszy od kobiety, której właśnie składała wizytę.

Powóz zatrzymał się obok fontanny na otoczonym kolumnadą podwórku, a służący w biało-czerwonej liberii pośpieszył, by otworzyć przed nią drzwi. Alteima ledwie zwróciła uwagę na sarn podwórzec oraz na służącego, jej myśli

wybiegały ku czekającemu ją spotkaniu. Czarne włosy spływały aż do połowy pleców spod czepka naszywanego perłami, którymi ozdobiono też plisy jej sukni z wysokim karczkiem barwy morskiej wody. Raz już kiedyś spotkała Morgase, przelotnie, pięć lat temu podczas oficjalnej wizyty państwowej, wydała jej się kobietą wręcz promieniującą władzą, daleką i majestatyczną, jak tego należałoby oczekiwać po królowej, a nadto ściśle przestrzegającą andorańskich obyczajów. Co oznaczało pewną sztywność zachowania. Plotki krążące po mieście, że ma kochanka — człowieka nieszczerólnie lubianego, jak się zdawało — oczywiście niezbyt pasowały do takiego wizerunku. Ale z tego, co Amathera pamiętała, ceremonialność ubioru oraz wysoki karczek — powinny zadowolić Morgase.

Ledwie pantofle Amathery dotknęły kamieni bruku, jej służąca, Cara, zeskończyła na dół i zaczęła układać plisy. Do czasu aż Alteima zamknęła wachlarz i delikatnie uderzyła nim dziewczynę po nadgarstku — podwórzec nie był miejscem na takie czynności. Cara — co za głupie imię — drgnęła i spojrzała na swój nadgarstek ze zbolałą miną, a w jej oczach rozbłyły łzy.

Alteima zacisnęła usta w rozdrażnieniu. Ta dziewczyna nie wiedziała nawet, jak znieść lekką reprimendę. Wyraźnie była niedouczona. Ale dama musiała mieć służącą, szczególnie jeśli chciała wyróżnić się na tle masy uciekinierów mieszkających w Andorze. Widziała kobiety i mężczyzn pracujących pod palącymi promieniami słońca, nawet żebrzących na ulicach, mimo iż odziani byli w strzępy szat znamionujących cairhieńską szlachtę. Wydawało jej się nawet, że rozpoznała jedną czy dwie twarze. Być może powinna wziąć ich do służby, któż mógłby lepiej znać powinności pokojowej damy, jeśli nie prawdziwa dama? A jeżeli stoczyły się tak nisko, by pracować własnymi rękoma, zapewne skorzystałyby z nadarzającej się szansy. Mogłoby być zabawne mieć dawniejszą „przyjaciółkę” za pokojówkę. Dzisiaj jednak były to już niewczesne rozważania. A nie wyćwiczona służąca, lokalna dziewczyna, aż nazbyt jasno przypominała, że samej Alteimie kończyły się zasoby finansowe i że tylko niewielki krok dzielił ją od tych żebraków.

Jej twarz przybrała wyraz zatroskanej łagodności.

— Czy zrobiłam ci krzywdę, Cara? — zapytała słodko. — Zostań tutaj w powozie i zadbaj o swój nadgarstek. Pewna jestem, że ktoś przyniesie ci trochę chłodnej wody do picia.

Bezrozumna wdzięczność na twarzy tej dziewczyny była zdumiewająca.

Człowiek w liberii, dobrze dla odmiany wyszkolony, stał z oczyma utkwionymi w przestrzeń. A jednak, na ile znała się na obyczajach służby, wieści na temat łaskawości Altheimy rozniosą się już, wkrótce.

Przed nią pojawił się wysoki młodzieniec w czerwonym kaftanie z białym kołnierzem i lśniącym napierśniku Gwardii Królowej, skłonił się, wspierając dłoń na rękojeści miecza.

— Jestem Gwardzista-Porucznik Tallanvor, Wysoka Lady. Jeżeli zechcesz pójść za mną, zaprowadzę cię do królowej Morgase. — Zaproponował jej ramię,

które przyjęła, ale oprócz tego ledwie zdawała sobie sprawę z jego istnienia. Nie interesowali jej wojskowi, wyjąwszy generałów i lordów.

Kiedy prowadził ją po szerokich korytarzach pełnych śpieszących mężczyzn i kobiet w liberiach — oczywiście dbali, by nie stanąć jej na drodze — przyglądała się uważnie, choć dyskretnie, draperiom na ścianach, wysadzonym kością słoniową skrzyniom, wysokim szafom, wazonom i dzbanom z polerowanego srebra i złota, wreszcie cienkiej porcelanie Ludu Morza. Królewski Pałac nie wyglądał na pozór równie bogato jak Kamień Łzy, ale Andor był przecież bogatą krainą, być może równie bogatą jak Łza. Podstarzały lord w zupełności by jej odpowiadał, łatwo mogłaby nim manipulować kobieta wciąż młoda, najlepiej gdyby był trochę słabowity i chory. I miał rozległe włości. To będzie dobre na początek, dopóki nie przekona się, któredy dokładnie biegną nici władzy w Andorze. Kilka słów, które parę lat temu wymieniła z Morgase, nie na wiele się w tej chwili mogły przydać, ale za to miała to, czego musi pragnąć i potrzebować każda potężna królowa. Informacje.

Na koniec Tallanvor wprowadził ją do wielkiego salonu z wysokim sufitem wymalowanym w ptaki i chmury na tle błękitnego nieba, zdobnie rzeźbione i polzacane krzesła stały przed kominkiem z polerowanego białego marmuru. Altheima z rozbawieniem zanotowała, że szeroki czerwono-złoty dywan jest dziełem taireniańskich rzemieślników. Potem młody człowiek przyklęknął na jedno kolano.

— Moja królowo — powiedział nagle szorstkim głosem — zgodnie z twym poleceniem, przyprowadziłem do ciebie Wysoką Lady Alteimę z Łzy.

Morgase oddaliła go gestem dłoni.

— Proszę, Alteimo. Miło cię znowu widzieć. Usiądź, porozmawiamy.

Alteima wykonała ukłon i wymamrotała podziękowania, zanim zajęła krzesło. Zazdrość aż kotłowała się w niej. Pamiętała Morgase jako piękną kobietę, ale teraz na własne oczy się przekonała, jak wyblakłe były jej wspomnienia. Morgase była niczym w pełni rozkwitła róża, gotowa przyćmić wszystkie inne kwiaty. Alteima nie mogła już dłużej winić młodego żołnierza, że z lekka niepewnym krokiem pokonywał drogę do wyjścia z komnaty. Była wręcz zadowolona, że już sobie poszedł i że nie będzie musiała znosić jego spojrzeń porównujących je obie.

A jednak zmiany były również widoczne. Poważne zmiany. Morgase, z Łaski Światłości Królowa Andoru, Obrończyni Dziedziny, Protektorka Ludu, Zasiadająca na Wysokim Tronie Domu Trakand, zawsze tak pełna rezerwy, majestatyczna i poprawna, teraz nosiła suknię z błyszczącego białego jedwabiu, z dekoltem tak głębokim, że wstydziłaby się go nawet dziewczka z tawerny w Maule. Suknia przylegała do ud i bioder tak ściśle, iż wyglądała niemalże jak ładacznica. A więc plotki mówiły prawdę. Morgase miała kochanka. Jeśli do tego stopnia się pod jego wpływem odmieńca, to jasne było również, że stara się sama zadowolić tego Gaebрила, nie zmusza go zaś, by to on zadowalał ją. Morgase wciąż promieniowa-

ła władzą i osobowością, która wręcz wypełniała komnatę, ale jej suknia w jakiś sposób pomniejszała obie te cechy.

Alteima co najmniej z dwu powodów zadowolona była, że włożyła suknię z wysokim karczkiem. Kobieta, która do takiego stopnia pozostawała w niewoli mężczyzny, może wybuchnąć gniewem zazdrości przy najlżejszej prowokacji albo wręcz bez żadnego powodu. Jeżeli jej przyjdzie się spotkać z Gaebrilem, okaże mu tyle obojętności, ile tylko dopuści grzeczność. Nawet najlżejsze podejrzenia, że w ogóle myśli o skradzeniu kochanka Morgase, mogły przynieść jej pień katowski miast bogatego męża trzymającego się na ostatnich nogach. Ona sama zresztą też postąpiłaby podobnie.

Kobieta w czerwieni i bieli przyniosła wino i nalała do kryształowych pucharów rżniętych w sylwetki ryczącego Lwa Andoru. Kiedy Morgase wzięła do ręki puchar, Alteima zauważyła jej pierścień w kształcie złotego węża pożerającego własny ogon. Pierścień z Wielkim Wężem nosiły kobiety, które jak Morgase pobierały nauki w Białej Wieży, nie zostając jednak Aes Sedai, a także, oczywiście, same Aes Sedai. Należało do tysiącletniej tradycji pobieranie przez królowe Andoru nauk w Wieży. Tymczasem plotki goszczące na wszystkich niemalże ustach głosiły, że Morgase zerwała z Tar Valon, choć skierowane przeciwko Aes Sedai nastroje ulicy mogłyby szybko zostać stłumione, gdyby królowa tylko tego chciała. Dlaczego więc wciąż nosiła pierścień? Trzeba będzie uważać na to, co powie, nim nie pozna odpowiedzi na to pytanie.

Kobieta w liberii wycofała się w odległy kąt pomieszczenia, do miejsca, skąd nie mogła słyszeć prowadzonej rozmowy, mogła zaś łatwo dojrzeć, kiedy puchary wymagać będą napełnienia.

Morgase upiła łyk wina i powiedziała:

— Minęło dużo czasu od naszego spotkania. Czy twój mąż ma się dobrze? Czy przebywa z tobą w Caemlyn?

Alteima pośpiesznie zmieniała z góry powzięty plan. Nie pomyślała o tym, że Morgase wie, iż ma męża, ale zawsze bez większego trudu potrafiła się dostosowywać do nowej sytuacji.

— Teodosian miał się dobrze, kiedy ostatni raz go widziałam. — Oby Światłość sprawiła, by szybko umarł. W każdym razie należy natychmiast zmienić temat. — Miał pewne wątpliwości względem służby u Randa al'Thora, a to jest droga nad dosyć niebezpieczną przepaścią. Cóż, lordów wieszano jak zwykłych kryminalistów

— Rand al'Thor — powtórzyła cicho Morgase. — Spotkałam go raz. Nie wyglądał na kogoś, kto obwoła się Smokiem Odrodzonym. Przestraszony młody pasterz, usiłujący ze wszystkich sił ukryć swe przerażenie. Jednak gdy teraz o tym myślę, to sprawiał wrażenie osoby, która poszukuje jakiejś... drogi ucieczki.

Oczy jej zaszyły mgłą, jakby spoglądała w głąb swej pamięci.

— Elaida ostrzegła mnie przed nim.

Te ostatnie słowa wypowiedziała, na pozór nie zdając sobie z tego sprawy.

— Elaida była wówczas twoją doradczynią? — ostrożnie zapytała Alteima. Wiedziała, że to prawda, ale w tym kontekście pogłoski o zerwaniu stosunków z Wieżą zdawały się jeszcze bardziej nieprawdopodobne. Za wszelką cenę musiała poznać prawdę. — Zastąpiłaś ją kimś innym, teraz gdy została Amyrlin?

Spojrzenie Morgase na powrót odzyskało ostrość.

— Nie zastąpiłam! — W następnej chwili jej głos znowu stał się bardziej łagodny. — Moja córka, Elayne, pobiera nauki w Wieży. Została już wyniesiona do godności Przyjętej.

Alteima rozwinęła wachlarz, mając nadzieję, że na jej czole nie widać kropli potu. Jeżeli Morgase nie potrafiła się zdecydować, jakie uczucia żywi wobec Wieży, to bezpieczniej było nie poruszać tego tematu. Wszystkie jej plany niemalże runęły.

Chwilę później jednak Morgase uratowała ją i samą siebie.

— Mówiłaś, że twój mąż nie umiał powziąć decyzji, jak zachować się względem Randa al'Thora. A ty?

Omali nie westchnęła z ulgą. Morgase mogła się zachowywać niczym niepiśmienna wieśniaczka, jeśli chodziło o tego Gaebrila, ale wciąż miała dosyć rozsądku, gdy w grę wchodziła władza i możliwe zagrożenia dla jej kraju.

— Oczywiście obserwowałam go uważnie w Kamieniu. — W ten sposób ziarno trafiło na właściwą glebę, jeśli trzeba w ogóle było je zasiewać. — Potrafi przetranszować, a mężczyzny, który potrafi przetranszować, zawsze należy się obawiać. Jednak jest Smokiem Odrodzonym. Nie ma w tej kwestii najmniejszych wątpliwości. Kamień upadł, a *Callandor* znalazł się w jego rękach. Proroctwa... Obawiam się, że decyzję, co należy zrobić ze Smokiem Odrodzonym, powinnam pozostawić mądrzejszym od siebie. Wiem tyle tylko, że bałam się pozostać w miejscu, gdzie on włada. Nawet arystokratka z Łzy nie potrafi dorównać odwagą królowej Andoru.

Płomiennowłosa kobieta obdarzyła ją przenikliwym spojrzeniem, aż pomyślała, że przesadziła z pochlebstwem. Niektórzy nie lubili nazbyt wyraźnego nadszkarowania. Ale Morgase tylko poprawiła się na krześle i upiła kolejny łyk wina.

— Opowiedz mi o nim, o tym człowieku, który ma nas uratować i jednocześnie zniszczyć.

Zwycięstwo. Albo przynajmniej jego jutrzenska.

— To niebezpieczny człowiek, nawet jeśli pominiemy to, że władza Mocą. Lew wydaje się leniwy, wręcz senny, dopóki zniemacka nie zaatakuje, wtedy cały jest siłą i szybkością. Rand al'Thor zdaje się niewinny i naiwny, a nie leniwy czy senny, ale kiedy już zaatakuje... Nie ma żadnego szacunku dla osoby czy jej pozycji. Nie przesadzałam, kiedy mówiłam, że kazał wieszać lordów. Jest źródłem anarchii. W Łzie, zgodnie z ustanowionym przez niego prawem, nawet Wysoki Lord czy Lady mogli zostać wezwani do sądu, gdzie skazywano ich na grzywny lub nawet gorzej, podczas gdy skarżącym był zwykły wieśniak lub rybak. On...

Wedle własnej opinii trzymała się ściśle prawdy, potrafiła mówić prawdę z równą łatwością jak kłamstwa, jeśli było to konieczne. Morgase piła swoje wino i słuchała, Alteima mogłaby pomyśleć, że obojętnie uczestniczy w rozmowie, przeczyły temu jednak jej oczy, które mówiły, że uważnie słucha każdego słowa i składa je w pamięci.

— Musisz zrozumieć — skończyła Alteima — że jedynie dotknęłam powierzchni spraw. Rand al'Thor i to, co zrobił Łzie, stanowią temat, o którym można by mówić godzinami.

— Będziesz miała taką okazję — oznajmiła Morgase, a Alteima uśmiechnęła się w duchu. Zwycięstwo. — Czy to prawda — ciągnęła dalej królowa — że sprowadził ze sobą Aielów do Kamienia?

— Och, tak. Wielkie dzikusy z twarzami zazwyczaj skrytymi za zasłoną, nawet ich kobiety gotowe są zabijać pod wpływem byle spojrzenia. Szli za nim jak psy, terroryzując wszystkich i rabując, co im się tylko spodobało w Kamieniu.

— Sądziłam, że to są najbardziej nieprawdopodobne plotki — zadumała się Morgase. — Plotki o Aielach szerzą się dopiero od niedawna, ale przecież od dwudziestu lat nie opuszczali Pustkowia, od czasu Wojny o Aiel. Świat z pewnością nie potrzebuje, by ten Rand al'Thor sprowadził ich na nas po raz wtóry.

Jej spojrzenie ponownie nabrało ostrości.

— Powiedziałaś: „szli”? To znaczy, że już odeszli?

Alteima skinęła głową.

— Tuż przedtem, zanim opuściłam Łzę. A on poszedł z nimi.

— Z nimi! — wykrzyknęła Morgase. — Bałam się, że on udał się do Cairhien. . .

— Masz gościa, Morgase? Powinnaś mnie była uprzedzić, bym mógł go stosownie powitać.

Do komnaty wszedł wysoki mężczyzna, wyszywany złotem kaftan z czerwonego jedwabiu opinał potężne ramiona i szeroką pierś. Alteima nie potrzebowała wcale widoku jaśniejszego spojrzenia Morgase, aby bez najmniejszej wątpliwości stwierdzić, że oto ma przed sobą lorda Gaebrila, wystarczyła pewność, z jaką przerwał królowej w pół zdania. Podniósł palec i służąca ukloniła się głęboko, po czym szybko opuściła pomieszczenie, nie zapytał także Morgase o pozwolenie odprawienia służącej w jej obecności.

Przybierając najbardziej obojętny wyraz twarzy, na jaki było ją stać, Alteima zdobyła się na lekki uśmiech powitania, odpowiedni dla podstarzałego wuja, pozbawionego zarówno władzy, pozycji, jak i wpływów. Mógł sobie być wspaniały, ale nawet gdyby nie należał do Morgase, nie był człowiekiem, którym odważyłaby się manipulować, chyba że zmusiłyby ją do tego okoliczności. Roztaczał wokół siebie aurę władzy potężniejszą nawet niż królowa.

Gaebriel zatrzymał się przy Morgase i bardzo poufałym gestem położył dłoń na jej obnażonym ramieniu, ale jego oczy spoczęły na Alteimie. Przywykła do tego,

że mężczyźni tak na nią patrzą, lecz pod jego spojrzeniem nerwowo poruszyła się na krześle, było nazbyt przenikliwe, widziało zbyt wiele.

— Przyjechałaś z Łzy? — Jego niski głos sprawił, że dreszcz przebiegł jej po plecach, po całej skórze, wręcz przeniknął aż do szpiku kości, poczuła się tak, jakby zanurzono ją w lodowatej wodzie, ale w dziwny sposób już po chwili jej niepokój rozwiął się.

To Morgase odpowiedziała, Altheima bowiem nie potrafiła wydusić z siebie ani słowa, kiedy on tak na nią patrzył.

— To jest Wysoka Lady Alteima, Gaebriilu. Opowiadała mi o Smoku Odrodzonym. Była w Kamieniu Łzy, kiedy został zdobyty. Gaebriilu, tam naprawdę byli Aielowie... — Delikatny nacisk dłoni spoczywającej na ramieniu przerwał jej w pół zdania. Rozdrażnienie przemknęło po jej twarzy, ale po chwili zniknęło, zastąpione promiennym uśmiechem.

Jego oczy, wciąż spoczywające na Alteimie, sprawiły, iż ponownie poczuła ten dreszcz i tym razem aż jej dech zaparło.

— Tak długa rozmowa musiała cię zmęczyć, Morgase — powiedział, nie spojrzawszy nawet na nią. — Przpracowujesz się. Idź do swej komnaty i zażyj odrobinę snu. Idź już. Obudzę cię, kiedy dostatecznie wypoczniesz.

Morgase natychmiast wstała, wciąż uśmiechając się do niego z oddaniem. Jej oczy skrywała lekka mgiełka.

— Tak, jestem zmęczona. Zdrzemnę się teraz, Gaebriilu.

Wyszła z komnat, nawet nie patrząc na Alteimę, ale cała uwaga tamtej skupiona była na Gaebriilu. Jej serce biło przyspieszonym rytmem, oddech stał się płytszy. Nie miała wątpliwości, że jest najprzystojniejszym mężczyzną, jakiego w życiu widziała. Największym, najsilniejszym, najbardziej potężnym... Superlatywy mknęły przez jej głowę niczym potok.

Gaebriil nie bardziej zwracał uwagę na wychodzącą z komnaty Morgase niżli ona. Zajął krzesło, które opuściła królowa, rozparł się na nim, wyciągając swobodnie nogi.

— Zdradź mi, po co przyjechałaś do Caemlyn, Altheimo. — Ponownie poczuła przeszywający ją dreszcz. — Całą prawdę, byle krótko. Szczegóły będziesz mogła mi przedstawić później, jeśli cię o to poproszę.

Nie wahała się ani przez moment.

— Usiłowałam otruć mojego męża i musiałam uciekać, zanim Teodosian i ta dziwka Estanda zdążą mnie zabić albo nawet gorzej. Rand al'Thor poparł ich plany, dla przykładu. — Opowiadając tę historię, aż się skurczyła wewnątrz. Nagle bowiem odkryła, że pragnienie zadowolenia go jest silniejsze niż cokolwiek na świecie, a bała się, iż może zechcieć ją odesłać. Ale chciał usłyszeć prawdę. — Wybrałam Caemlyn, ponieważ nie mogłam znieść Illian, choć Andor jest niewiele lepszy, a Cairhien znajduje się niemalże w całkowitej ruinie. W Caemlyn mogę znaleźć bogatego męża albo kogoś, kto chętnie uzna się za mojego protektora,

i wykorzystać jego władzę do...

Śmiejąc się, gestem dłoni dał znak, by zamilkła.

— Zdeprawowany kociak, choć śliczny. Być może nawet wystarczająco śliczny, by go zatrzymać, kiedy już stępią mu się ząbki i pazurki. — Nagle na jego twarzy rozbłysło większe zainteresowanie. — Opowiedz mi, co wiesz o Randzie al'Thorze, a w szczególności o jego przyjaciółach, jeśli jakichś posiada, jego towarzyszach, jego sprzymierzeńcach.

Opowiadała mu, nie przerywając swej opowieści do czasu, aż zupełnie zaschło jej w ustach i gardle, wreszcie zaczęła chrypieć i umilkła. Nie podniosła ani razu swego pucharu, dopóki wcześniej jej nie pozwolił, potem wypłała wino do dna i ciągnęła dalej. Wiedziała, jak go zadowolić. Wiedziała to lepiej niż Morgase.

* * *

Pokojowe, które sprzątały w sypialni Morgase, ukloniły się szybko zaskoczone, że widzą ją tutaj o tej porze. Był późny ranek. Gestem odprawiła je z komnaty i nie zdejmując sukni, położyła się na łóżku. Przez jakiś czas leżała, wpatrując się w pozłacane rzeźbienia słupków baldachimu. Tutaj nie było Lwów Andoru, tylko róże. Symbolizowały Różaną Koronę Andoru, pasowały do niej lepiej niż lwy.

„Nie bądź taka uparta” — skarciła się w duchu, a potem dopiero się zastanowiła dlaczego. Powiedziała Gaebrielowi, że jest zmęczona i... Czy on jej to powiedział? Niemożliwe. Była królową Andoru i żaden mężczyzna nie mówił jej, co ma robić. — „Gareth”. — A teraz z jakiegoś powodu pomyślała o Garecie Bryne. On z pewnością nigdy jej nie mówił, co ma robić, Kapitan Gwardii Królowej posłuszny był królowej, nie zaś odwrotnie. Ale on był uparty, zawsze się zapierał tak długo, aż nie zrobiła danej rzeczy tak, jak on chciał. — „Dlaczego myślę o nim? Chciałabym, żeby tu był”. — To nie miało sensu. Odesłała go za to, że się jej przeciwstawiał, w jakiej kwestii, nie potrafiła już sobie dokładnie przypomnieć, ale to nie było przecież ważne. Przeciwstawiał się jej. Uczucia, jakie do niego żywiła, zbladły, jakby wszystko zdarzyło się wiele lat temu. Z pewnością nie minęło aż tyle czasu. — „Nie bądź taka uparta!”

Przymknęła powieki i natychmiast zapadła w sen, sen nękany nie kończącymi się obrazami, w których uciekała przed czymś, czego nie potrafiła dojrzeć.

RHUIDEAN

Rand al'Thor patrzył z wysoka na Rhuidean, z okna, z którego już dawno temu wypadły wszystkie szyby. Ostre kontury cieni na ulicach kładły się ku wschodowi. W izbie za jego plecami grała cicho harfa barda. Pot parował z jego twarzy niemal równie szybko, jak na nią występował, rozpiął czerwony jedwabny kaftan, mokry na karku, a tasiemki koszuli rozwiązał aż po samą pierś, a mimo to powietrze wcale go nie chłodziło. Noc w Pustkowiu Aiel przyniesie ze sobą mroźny chłód, jednak za dnia nawet wiatr dyszał żarem.

Kiedy uniósł ręce, by wesprzeć je na gładkim kamieniu framugi okna, rękawy kaftana opadły, ukazując przednie części sylwetek owiniętych wokół przedramion — wężopodobnych istot o złotych grzywach i oczach niczym słońca, pyszniących się szkarłatnozłotą łuską, każdą z łap kończyło pięć złotych szponów. Stanowiły część jego skóry, nie zaś zwykłe tatuaże, lśniły jak drogocenny metal i oszlifowany kamień, w promieniach wieczornego słońca niemalże ożywały.

Te znamiona każdemu po tej stronie łańcucha górskiego, nazywanego rozmacie — albo Murem Smoka, albo Grzbietem Świata — kazały widzieć w nim Tego Który Przychodzi Ze Świtem. Podobnie jak czaple wypalone na wnętrzach jego dłoni, w myśl Proroctw, naznaczały go w oczach tych, którzy żyli po tamtej stronie Muru Smoka na Smoka Odrodzonego. W obu przypadkach przypisany mu los miał być identyczny — zjednoczyć, uratować... i zniszczyć.

Były to imiona, których niegdyś unikał, ale tamten czas dawno już przeminął, jakby nigdy nie istniał, a on nie myślał już o nim. Przy rzadkich jednak okazjach, gdy mu się to zdarzało, zawsze czuł lekkie ukłucie wstydu niczym mężczyzna wspominający swe chłopięce marzenia. Jakby nie był w istocie tak bliski swego chłopięctwa, by pamiętać zeń każdą minutę. Starał się myśleć tylko o tym, co musi zrobić. Los i obowiązek kierowały nim, prowadząc po wąskiej ścieżce jak wodze jeźdźca, jednak doprawdy uparty był z niego rumak. Trzeba dotrzeć do celu drogi, lecz jeśli można dotrzeć doń innym sposobem, prawdopodobnie nie musi być on ostatecznym celem. Małe szanse. Żadnych szans, tylko pewność. Proroctwa łąkneły jego krwi.

Rhuidean rozciągało się pod jego stopami, palone słońcem wciąż bezlitosnym, choć już chowało się za poszarpanym łańcuchem gór, zupełnie czarnych, pozba-

wionych niemalże śladu życia. Ta dzika, popękana kraina, gdzie ludzie zabijali lub umierali dla kałuży wody, którą z łatwością mogli przekroczyć, była ostatnim miejscem na całej ziemi, gdzie ktokolwiek spodziewałby się znaleźć tak wielkie miasto. Jego starożytni budowniczkowie nigdy nie ukończyli swej pracy. Nieprawdopodobnie wysokie budowle rozrzucone były po całym mieście — wznoszące się ku niebu pałace o ścianach z kamiennych płyt, niekiedy wysokie na osiem, nawet dziesięć pięter, kończyły się nie dachem, lecz poszarpaną ścianą kolejnego piętra zbudowanego jedynie do połowy. Wieże wspinały się jeszcze wyżej, ale co najmniej w połowie przypadków urywały się, nie zwieńczone ani kopułą, ani iglicą. W obecnych czasach ponad jedna czwarta budowli, wraz z ich masywnymi kolumnami i szerokimi oknami, leżała w gruzach na szerokich ulicach, oddzielonych pasami gołej ziemi, ziemi, która nigdy nie wydała z siebie zasadzonych drzew. Wspaniałe fontanny były suche niczym pieprz od wielu stuleci. Cała ta bezużyteczna praca... budowniczkowie ostatecznie pomarli, nie widząc końca swego dzieła. Czasami Rand jednak miał wrażenie, jakby miasto dopiero rozpoczęto budować po to, by on mógł je znaleźć.

„Zbyt dumni — pomyślał. — Człowiek tak dumny musi być w połowie przynajmniej szalony”.

Nie potrafił powstrzymać suchego chichotu. Wśród mężczyzn i kobiet, którzy przybyli na to miejsce tak dawno temu, musiały być Aes Sedai, a one znały *Cykl Karaethon*, Proroctwa Smoka. Albo wręcz one właśnie napisały Proroctwa.

„Po dziesięciokroć nazbyt dumne”.

Dokładnie pod nim rozciągał się szeroki plac, na poły pokryty już przez wydłużające się cienie, jeden wielki śmietnik stworzony przez posągi i kryształowe siedziska, jakieś dziwne przedmioty z metalu, szkła i kamienia, przedmioty, których nawet nie potrafiłby nazwać, zwalone niedbale na sterty, jakby cisnęła je na ten plac burza. Cień dawał jedynie względny chłód. Odziani w robocze ubiory ludzie — nie Aielowie — pocili się przy ładowaniu na wozy przedmiotów wskazanych przez niską szczupłą kobietę w nieskazitelnie czystej sukni z błękitnego jedwabiu, która z wyprostowanymi plecami krążyła od miejsca do miejsca z taką swobodą, jakby upał nie doskwierał jej nawet w połowie tak mocno, jak pozostałym. Na skroniach miała jednak zawiązaną wilgotną szarfę, po prostu nie pozwalała sobie na okazanie skutków działania upału. Rand założyłby się, że nawet się nie spociła.

Robotnikami kierował ciemnowłosy, krępy mężczyzna o nazwisku Hadam Kadere, kremowe jedwabie spowijające rzekomego kupca od stóp do głów, tego dnia przesycone były bez reszty potem. Bezustannie ocierał twarz wielką chustką i obrzucał wyzwiskami pracujących ludzi — swoich woźniców i strażników — ale ruszał się równie szybko jak tamci na najłżejsze skinienie szczupłej kobiety i pomagał ładować to, co wskazała. Aes Sedai łatwo narzucała swą wolę mimo niepokażnej sylwetki, a Rand podejrzewał, że Moiraine radziłaby sobie równie

dobrze, nawet gdyby nigdy w życiu nie zbliżyła się do Białej Wieży.

Dwaj mężczyźni próbowali poruszyć coś, co przypominało futrynę drzwi, dziwnie wykoślawioną i wykonaną z czerwonego kamienia, o rogach łączących się pod tak niespotykanymi kątami, iż wzrok nie mógł ogarnąć całości. Stała pionowo, łatwo dawała się obrócić, ale nie było sposobu na położenie jej na płask. W pewnej chwili jeden z mężczyzn poślizgnął się i po pas zanurzył w kamiennej futrynie. Rand zeszytniał. Przez chwilę tamtego jakby w ogóle nie było od pasa w górę, tylko nogi wierzgały w panice. Dopiero Lan, wysoki mężczyzna odziany w wypłowiałe brązy i zielenie, podszedł szybko i wyciągnął go, chwytając za pas. Lan był Strażnikiem Moiraine, związanym z nią w jakiś sposób, którego Rand nie pojmował, twardym człowiekiem, poruszającym się pewnie ze zwinnością polującego wilka niczym Aiel, miecz u jego boku nie tylko zdawał się jego częścią, on nią był po prostu. Strażnik upuścił robotnika na bruk, ten klapnął ciężko i tak już pozostał nieruchomy, jego przerażone krzyki docierały do uszu Randa osłabione odległością, jego towarzysz zaś wyraźnie był gotów rzucić się lada chwila do ucieczki. Kilku ludzi Kadere, którzy stali w pobliżu, popatrywali po sobie, jakby oceniali własne szanse.

Moiraine pojawiła się wśród nich tak szybko, jakby użyła do tego celu Mocy, lekko przeszła od jednego do drugiego. Rand słyszał niemalże wydawane przez nią chłodnym głosem władcze polecenia, pełne tak niezachwianej pewności, że trudno było ich nie usłuchać, oznaczałoby to bowiem kompletną głupotę. W ciągu krótkiej chwili zdławiła wszelki opór, odparła wszelkie obiekcje i zagnała wszystkich z powrotem do pracy. Dwóch mężczyzn zajmujących się futryną drzwi już po chwili ciągnęło ją i pchało z równym zapałem jak poprzednio, choć często popatrywali w stronę Moiraine, kiedy sądzili, że nic nie widzi. Na swój własny sposób była jeszcze twardsza od Lana.

Zgodnie z tym, co Rand wiedział, wszystkie zgromadzone na placu przedmioty były *angrealami*, *sa'angrealami* lub *ter'angrealami*, które wytworzono przed Pęknięciem Świata w celu spotęgowania siły Jedynej Mocy, tudzież wykorzystywania jej na rozmaite sposoby. Bez wątpienia do ich wykonania również użyto Mocy, choć w dzisiejszych czasach nawet Aes Sedai nie wiedziały już, jak się je robi. Podejrzewał, a raczej był pewien, do czego służy wykoślawiona futryna drzwi — stanowiła przejście do innego świata — natomiast nie wiedział nic o przeznaczeniu reszty. Nikt zresztą go nie znał. Dlatego właśnie Moiraine pracowała z takim wytężeniem, by przewieźć jak najwięcej tych przedmiotów do Wieży, gdzie zostaną poddane badaniom. Prawdopodobnie nawet w Wieży nie zgromadzono tylu wytworów Mocy, ile wałało się tutaj, po tym placu, mimo powszechnego przekonania, że znajduje się w niej największy zbiór na świecie. I nawet tam, w Wieży, nie znano przeznaczenia wszystkich zgromadzonych w niej przedmiotów.

To, co znajdowało się na wozach, oraz rzeczy leżące na bruku nieszczególnie

Randa interesowały, zabrał już stąd to, czego potrzebował. W pewnym stopniu zabrał nawet więcej, niż chciał.

Na środku placu, nieopodal zwęglonych szczątków wielkiego drzewa, wysokich na sto stóp, rósł niewielki las szklanych kolumn, wszystkie dorównywały wysokością drzewu, tak wysmukłe, iż zdawało się, że pierwsza lepsza burza winna je przemienić w kryształowy gruz. Mimo że ich podstawy tonęły już w cieniu, to nadal chwytaly i rozpraszały światło słońca, lśniąc i iskrząc się. Od niezliczonych lat mężczyźni Aielów wchodzili do tego lasu kolumn i wracali z niego naznaczeni podobnie jak Rand, ale tylko pojedynczym smokiem, co czyniło ich wodzami klanów. Kobiety Aielów również wchodziły do miasta, był to ich pierwszy krok na drodze, na której końcu zostawały Mądrymi. Nikt inny nigdy tu nie wszedł, a w każdym razie nikt, kto by to przeżył.

„Mężczyzna raz może pójść do Rhuidean, kobieta dwukrotnie, więcej razy oznacza śmierć”.

Tak właśnie powiedziały mu Mądre i wtedy była to prawda. Teraz każdy mógł wejść do Rhuidean.

Setki Aielów spacerowały po ulicach miasta, jeszcze więcej przebywało w budynkach, każdego dnia na pasach ziemi między ulicami wyrastało coraz więcej fasoli, dyni i *zemai*, żmudnie podlewanych wodą, którą w glinianych dzbanach przynoszono z wielkiego jeziora, niedawno powstałego w południowym krańcu doliny, stanowiło ono zresztą jedyny zbiornik wodny takiej wielkości w całym Pustkowiu. Tysiące Aielów mieszkało w obozach rozbitych na zboczach gór otaczających miasto, nawet na samej Chaendaer, dokąd wcześniej udawali się tylko dla odbycia ceremonii, towarzyszących wyprawom pojedynczych mężczyzn czy kobiet do Rhuidean.

Gdziekolwiek pojawiał się Rand, szły za nim zniszczenie i zmiany. Tym razem jednak miał nadzieję, że wbrew wszelkim przesłankom przyniesie zmianę na lepsze. Mogło tak być. Ale zwęglone drzewo szydziło z niego. *Avendesora*, legendarne Drzewo Życia, opowieści nigdy nie wymieniały miejsca, w którym rosło, więc sporym zaskoczeniem było znalezienie go właśnie tutaj. Moiraine powiedziała, że ono wciąż jeszcze żyje i że znowu wypuści pędy, ale na razie widział tylko szerniały pień i nagie gałęzie.

Z westchnieniem odwrócił się od okna i wycofał w głąb wielkiego pomieszczenia, bynajmniej nie największego w Rhuidean, wysokie sklepienie zwieńczone kopułą pokrywały wyszukane mozaiki, przedstawiające skrzydlatych ludzi i zwierzęta. Większość umeblowania, jaką pozostawili w mieście jego budowniczy, dawno już zbutwiała, mimo tak suchego klimatu, prawie całą resztę stoczyły robaki i insekty. Pod przeciwległą ścianą izby stało krzesło z wysokim oparciem, całe, z nietkniętymi złoceniami, jednak nie pasowało zupełnie do stołu o szerokim blacie z nogami i brzegami wyrzeźbionymi w skomplikowany kwietny ornament. Ktoś wypolerował drewno pszczelim woskiem, dzięki czemu błyszczało mimo

swego wieku. To Aielowie znaleźli dla niego i krzesło, i stół, chociaż widząc je, kręcili głowami, w całym Pustkowiu dałoby się znaleźć niewiele drzew, zdolnych dostarczyć drewna na tyle prostego i długiego, by dało się zeń wykonać krzesło, o drewnie na stół w ogóle nie mogło być mowy.

To było całe umeblowanie, jakiego potrzebował. Znakomity illiański jedwabny dywan, barwiony na srebrno i niebiesko, zdobyty w jakiejś dawno zapomnianej bitwie rozpościerał się pośrodku posadzki z czerwonych płytek. Na nim rozrzucono poduszki zdobione chwostami. Będąc równie wygodne jak wyściełane fotele, zastępowały Aielom krzesła, kiedy ci nie siadali zwyczajnie w kucki.

Na poduszkach pótleżało teraz sześciu mężczyzn. Sześciu wodzów klanów, przedstawiciele tych, którzy opowiedzieli się po stronie Randa. Lub raczej zdecydowali się pójść za Tym Który Przychodzi Ze Świtem. Zresztą nie zawsze ze szczególną ochotą. Przypuszczał, że jedynie Rhuarc, barczysty mężczyzna o błękitnych oczach z rudymi włosami gęsto poprzecinanymi pasmami siwizny, żywi dla niego być może odrobinę prawdziwej przyjaźni, z pewnością nie pozostali. A i tak było ich tylko sześciu, nie zaś dwunastu.

Ignorując krzesło, Rand usiadł ze skrzyżowanymi nogami i spojrzął na Aielów. Wyjąwszy Rhuidean, jedyne krzesła w całym Pustkowiu Aiel były to krzesła wodzów, używane tylko przez nich i tylko w trzech sytuacjach: kiedy wybierano ich wodzami klanów, kiedy przyjmowali hołd wroga oraz gdy sprawowali sądy. Gdyby w ich obecności zajął swoje krzesło, oznaczałoby to, że obecna sytuacja jest jedną z trzech powyżej opisanych.

Ubrani byli w *cadin'sor*, kaftany i spodnie w odcieniach brązów oraz szarości, które łatwo stapiały się z tłem Pustkowiec Aiel, na nogach mieli miękkie buty związane do kolan. Nawet tutaj, na spotkaniu z człowiekiem, którego proklamowali *Car'a'carnem*, wodzem wodzów, każdy z nich miał przy pasie długi nóż oraz *shoufę* udrapowaną niczym szarfę wokół szyi, częścią *shoufy* była czarna zasłona, którą Aiel zakrywał twarz na znak, iż jest gotów zabijać. Nawet teraz taka możliwość była całkiem prawdopodobna. Ci mężczyźni bez przerwy walczyli ze sobą, w nie kończących się cyklach napaści, bitew i waśni. Obserwowali go, czekali na niego, ale u Aielów za oczekiwaniem zawsze skrywała się gotowość do działań nagłych i gwałtownych.

Bael, najwyższy człowiek, jakiego Rand kiedykolwiek widział w życiu, oraz Jheran, szczupty i szybki jak bicz, leżeli możliwie jak najdalej od siebie, nie opuszczając jednocześnie dywanu. Między Goshien Baela i Shaarad Jherana istniała waśń krwi, stłumiona w związku z objawieniem się Tego Który Przychodzi Ze Świtem, ale bynajmniej nie puszczona w niepamięć. Być może zresztą wciąż obowiązywał Pokój Rhuidean, mimo ostatnich wydarzeń. Na tle wyczuwalnej wrogości między Baelem i Jheranem, dziwnie brzmiały ciche, uspokajające dźwięki harfy. Sześć par oczu patrzyło na Randa ze śniadych twarzy, błękitne, zielone i szare, przy nich nawet sokoły wyglądałyby na oswojone zwierzęta.

— Co mam zrobić, żeby Reyn poszli za mną? — zapytał. — Byłeś pewien, że przyjdą, Rhuarc.

Wódz Taardad spojrział na niego z kamiennym spokojem.

— Czekać. Tylko to. Dhearic przyprowdzi ich. W końcu. Siwowłosa Han, leżący obok Rhuarka, wykrzywił usta, jakby chciał splunąć. Na jego pomarszczonej twarzy jak zwykle gościł wyraz niesmaku.

— Dhearic widział zbyt wielu mężczyzn i zbyt wiele Panien, którzy po całych dniach siedzieli bez ruchu wpatrzeni w pustkę, a potem porzucali włócznie. Porzucali włócznie!

— I uciekali — dodał cicho Bael. — Sam ich widziałem, wśród Goshien, nawet z mojego własnego szczepu. Uciekali. A ty, Han, widziałeś też takich u Tomanelle. Wszyscy widzieliśmy. Nie sądzę, żeby mieli jakieś pojęcie, dokąd uciekają, wiedzieli tylko przed czym.

— Tchórzliwe węże — warknął Jheran. Siwizna przyprószyła już jego jasno-kasztanowe włosy, wśród wodzów klanów nie było młodych ludzi. — Śmierdzące żmije, drżące na widok własnego cienia.

Lekki błysk oczu w stronę przeciwległego krańca dywanu oznaczał jasno, że mówi o Goshien, a nie tylko o tych, którzy porzucili włócznie.

Bael wykonał taki ruch, jakby miał zamiar wstać, jego twarz stwardniała jeszcze bardziej, ale jego sąsiad uspokajającym gestem położył mu dłoń na ramieniu. Bruan z Nakai był dość potężny i silny, by starczyć za dwóch kowali, ale usposobienie miał pogodne, co było niezwykle dziwną cechą w przypadku Aiela.

— Każdy z nas widział uciekających mężczyzn i Panny. — W jego głosie słychać było rozleniwienie, podobne wrażenie sprawiał wyraz szarych oczu, jednak Rand nigdy nie dałby się zwieść tym pozorom, nawet Rhuarc uważał tamtego za śmiertelnie niebezpiecznego wojownika, stosującego w walce chytrą taktykę. Mimo to Bruan przyszedł do Rhuidean, by przyłączyć się do Tego Który Przychodzi Ze Świtem, Randa al'Thora nie znał.

— I ty również, Jheran. Sam wiesz dobrze, jak trudno stawić czoło temu, czego się dowiedzieli. Skoro nie nazwiesz tchórzami tych, którzy umarli, bo nie potrafili znieść tej wiedzy, to jak możesz zarzucać bojaźliwość tym, którzy uciekli z tego samego powodu?

— Nigdy nie powinni się dowiedzieć — wymruczał Han, zaciskając w palcach róg błękitnej poduszki ze złotym chwostem, jakby to było gardło wroga. — To było przeznaczone tylko dla tych, którzy mogli wejść do Rhuidean i przeżyć.

Mówił te słowa, nie kierując ich do nikogo w szczególności, ale w istocie przeznaczone były dla uszu Randa. To właśnie Rand zdradził wszystkim to, czego tylko niektórzy mężczyźni dowiadawali się w lesie szklanych kolumn na placu, zdradził tyle, że wodzowie i Mądre nie mogli się już wycofać, gdyby zażądano od nich reszty. Jeżeli był w obecnej chwili w Pustkowie choć jeden Aiel, który nie znał prawdy, to chyba musiał z nikim nie rozmawiać od miesiąca.

Prawda była zupełnie inna od chwalebego dziedzictwa bitew, w które wierzyła większość — Aielowie okazali się bezbronnymi uciekinierami przed Pęknięciem Świata. Gorzej, podążali pierwotnie Drogą Liścia, która zakazywała przemocy nawet w obronie własnego życia. W Dawnej Mowie słowo „Aiel” oznaczało „oddanego”, oddanego właśnie pokojowi. Obecni Aielowie byli spadkobiercami ludzi, którzy niezliczoną ilość pokoleń temu złamali przysięgę. Zachowały się jedynie resztki dawnych przekonań — Aiel raczej umrze, niżli weźmie miecz do ręki. Zawsze jednak uważali to za powód do dumy, za wyniesienie ponad tych, którzy żyli poza Pustkowiem.

Słyszał czasami, jak niektórzy Aielowie mówili, że ich przodkowie popełnili jakiś grzech, za który wygnano ich do zniszczonych ziem Pustkowie. Teraz już wszyscy wiedzieli, na czym ten grzech polegał. Mężczyźni i kobiety, którzy zbudowali Rhuidean i umarli w nim — nazywani Jenn Aiel przy tych rzadkich okazjach, gdy w ogóle wymieniano to miano, czyli „klanem, którego nie ma” — jako jedyni dochowali dawnej przysięgi złożonej Aes Sedai przed Pęknięciem Świata. Niełatwo było stawić czoło prawdzie, w myśl której wszystko, w co dotąd wierzyli, okazało się najzwyczajniejszym kłamstwem

— Trzeba było im powiedzieć — odparł Rand.

„Mieli prawo wiedzieć. Człowiek nie powinien żyć w kłamstwie. Ich własne proroctwo głosi, że ich zniszczę. Nie mogłem zresztą postąpić inaczej”. — Przeszłość była przeszłością, co się stało, już się nie odstanie, powinien martwić się raczej tym, co przyniesie przyszłość. — „Niedźwiedź z nich mnie nie cierpią, a niedźwiedź nienawidzą za to, że nie urodziłem się jako jeden z nich, ale mimo to pójdą za mną. Potrzebuję ich wszystkich”.

— Co z Miagoma?

Erim, zajmujący miejsce między Rhuarkiem a Hanem, potrząsnął głową. Jego jaskrawo rude niegdyś włosy były już prawie zupełnie siwe, ale zielone oczy patrzyły twardo, jakby należały do zupełnie młodego mężczyzny. Wielkie dłonie, szerokie i potężne, sugerowały, że pod *cadin'sor* kryją się identyczne ramiona.

— Timolan nie pozwala nawet, by jego noga wiedziała, w którą stronę on skoczy, zanim nie znajdzie się w powietrzu.

— Kiedy Timolan był jeszcze młodym wodzem — powiedział Jheran — próbował zjednoczyć klany i poniósł oczywiście porażkę. Nie spodoba mu się, że ktoś odniósł sukces tam, gdzie jemu nie wyszło.

— Przyjdzie — powiedział Rhuarc. — Timolan nigdy nie wierzył, że sam jest Tym Który Przychodzi Ze Świttem. A Janwin przyprowdzi Shiande. Ale nie od razu. Najpierw muszą się uporać z myślą o tym, co się stało.

— Muszą uporać się z myślą, że mieszkaniec mokradeł jest Tym Który Przychodzi Ze Świttem — warknął Han. — Nie miałem zamiaru cię obrazić, *Car'a'carn*.

W jego głosie nie było żadnej służalczości, wódz to nie król, wódz wodzów

oczywiście również nie. W najlepszym przypadku jest pierwszym pośród równych.

— Moim zdaniem, Daryne i Codara też w końcu przyjdą — spokojnie dodał Eruan. I dostatecznie szybko, by długotrwała cisza nie stała się przypadkiem powodem do tańca włóczni. W najlepszym przypadku pierwszy wśród równych. — Oni utracili więcej ludzi przez apatię niż inne klany.

Tak Aielowie nazywali długi okres wpatrywania się w przestrzeń, zanim ktoś zdecydował się porzucić los Aieła.

— W tej chwili Mandelain i Indiarian muszą przede wszystkim zatroszczyć się o utrzymanie jedności swoich klanów, i zarówno jedni, jak i drudzy na własne oczy będą chcieli zobaczyć smoki na twoich rękach, ale przyjdą w końcu.

Pozostał więc jeszcze tylko jeden klan do omówienia, ten, o którym wspomnieć nie chciał żaden z wodzów.

— A jakie są wieści o Couladinie i Shaido? — zapytał wreszcie Rand.

Odpowiedziało mu milczenie, przerywane jedynie cichymi, pogodnymi tonami harfy w głębi komnaty. Każdy czekał, aż inni zabiorą głos, wszyscy odczuwali coś, co u Aielów było uczuciem najbliższym skrępowaniu. Jheran, marszcząc brwi, wpatrywał się w paznokieć swego kciuka, a Bruan zabawiał się srebrnym chwostem przy poduszce. Nawet Rhuarc wbił wzrok w dywan.

Ciszę przerwali ubrani w biel mężczyźni i kobiety. Napełnione puchary z winem stały przy każdym wodzu, obok nich srebrne tace z oliwkami, które na Pustkowiui stanowiły rzadki przysmak, z białym kozim serem oraz białymi, pomarszczonymi orzechami, nazywanymi przez Aielów pecara. Wyzierające spod białych kapturów twarze Aielów miały spuszczone oczy i wyrażały niespotykaną tutaj potulność.

Niezależnie od tego, czy zostali pojmani w bitwie czy podczas napaści, *gai'shain* przysięgali swym zwycięzcom posłusznie służyć przez jeden rok i jeden dzień, nie dotykać broni, nie uczestniczyć w aktach przemocy, kiedy zaś kończył się przewidziany okres, wracali do swych klanów i szczepów, jakby nic się nie stało. Osobliwe, odległe echo Drogi Liścia. Wymagało tego *ji'e'toh* — honor i obowiązek — którego złamanie stanowiło niemalże najgorszą rzecz, jakiej mógł się dopuścić Aiel. Może nawet najgorszą. Niektórzy z tych mężczyzn i kobiet mogli teraz usługiwać wodzom własnych klanów, a jednak żaden z nich nawet drgnięciem powieki nie dałby po sobie poznać, że kogoś rozpoznaje, choćby własnego syna czy córkę.

Randa uderzyło nagle, że to jest właśnie prawdziwy powód wstrząsu, jaki wywołało u Aielów wyjawienie prawdy. Niektórym musiało się chyba wydawać, że ich przodkowie przysięgli służyć jako *gai'shain* nie tylko w swoim imieniu, ale również wszystkich przyszłych pokoleń. A ich dzieci — a potem dzieci ich dzieci, i tak aż po dziś dzień — łamały *ji'e'toh*, biorąc włócznię do ręki. Czy siedzący przed nim mężczyźni kiedykolwiek pomyśleli o wszystkim w ten sposób? *Ji'e'toh*

było dla Aielów sprawą śmiertelnie poważną.

Gai'shain wymknęli się cicho z pomieszczenia, ich podbite miękką materia pantofle ledwie wydawały szmer na kamieniach posadzki. Żaden z wodzów nie dotknął ani wina, ani jedzenia.

— Czy jest jakaś szansa, że Couladin zechce się ze mną spotkać? — Rand wiedział, że nie, przestał wysyłać prośby o spotkanie, kiedy dowiedział się, iż Couladin obdziera posłańców żywcem ze skóry. Ale był to jakiś sposób zagajenia rozmowy.

Han parsknął.

— Dowiedzieliśmy się tylko tyle, że on zamierza obłupić cię ze skóry, gdy się znowu spotkacie. Czy to brzmi jak zgoda na rozmowy?

— Czy udałoby mi się oderwać Shaido od niego?

— Pójdą za nim — powiedział Rhuarc. — Nie jest prawdziwym wodzem, a jednak oni wierzą, że jest inaczej.

Couladin w ogóle nie wszedł między te szklane kolumny, być może nawet do teraz wierzył w to, co twierdził, że wszystko, co Rand powiedział, jest kłamstwem.

— Powiada, że sam jest *Car'a'carnem* i oni w to również wierzą. Panny Shaido, które tutaj przyszły, poszły za przykładem swoich społeczności, ale tylko dlatego, że *Far Dareis Mai* dzierżą twój honor. Poza nimi nikt inny tego nie robi.

— Wysłaliśmy zwiadowców, by go obserwowali — powiedział Bruan — i Shaido zabijają ich, gdy tylko mogą... Couladin buduje w ten sposób fundamenty kolejnych waśni... ale jak dotąd nie ma żadnych oznak, by chciał nas tutaj zaatakować. Dowiedziałem się, że twierdzi, jako byśmy splugawili Rhuidean, i że zaatakowanie nas tutaj pogłębiłoby tylko profanację.

Erim chrząknął i poprawił się na poduszce.

— Inaczej mówiąc, mamy tyle włóczy, że mogliśmy dwukrotnie zabić każdego Shaido i jeszcze by nam zostało. — Włożył kawałek białego sera do ust i skrzywił się, przeżuując go. — Shaido zawsze byli tchórzami i złodziejami.

— To psy pozbawione honoru — oznajmili równocześnie Bael i Jheran, wpadając sobie w słowo, po czym każdy popatrzył na drugiego, jakby tamten próbował nabrać go na jakąś sztuczkę.

— Pozbawione honoru czy nie — spokojnie powiedział Bruan — liczba zwolenników Couladina rośnie. — Potem równie spokojnie pociągnął łyk wina z pucharu i dopiero wówczas ciągnął dalej: — Wszyscy wiecie, o czym mówię. Niektórzy z tych, co uciekli, po okresie apatii, nie odrzucili włóczy. Zamiast tego połączyli się ze swymi społecznościami w ramach Shaido.

— Żaden Tomanelle nie porzucił swego klanu — warknął Han.

Bruan spojrzął na wodza klanu Tomanelle i stanowczym tonem powiedział:

— To się zdarzyło w każdym klanie. — Nie czekając, aż jego słowa znowu zostaną podważone, rozparł się na poduszce. — Tego nie można nazwać porzuceniem klanu. Oni po prostu przyłączyli się do swoich społeczności. Jak Panny

Shaido, które przyszły pod swój Dach w Rhuidean.

Rozległy się pomruki, ale tym razem nikt nie chciał się z nim kłócić. Reguły rządzące społecznościami wojowników Aiel były skomplikowane, poza tym ich członkowie czuli się równie mocno związani z nimi jak z klanem. Na przykład członkowie tej samej społeczności nie walczyli ze sobą, nawet jeśli między ich klanami panowała waśń krwi. Niektórzy mężczyźni nie pojmowali za żonę kobiety zbyt ściśle związanej ze społecznością, do której sami należeli, jakby przez to stawała się ich bliską krewną. O zwyczajach panujących wśród *Far Dareis Mai*, Panien Włóczni, Randowi nawet nie chciało się myśleć.

— Muszę wiedzieć, co zamierza Couladin — poinformował ich. Couladin był niczym byk, któremu pszczoła wpadła do ucha, mógł poszarżować w dowolną stronę. Zawahał się. — Czy byłoby to naruszeniem honoru, gdybyśmy zlecili ludziom przyłączenie się do ich społeczności wśród Shaido?

Nie musiał dokładniej określać, o co mu chodzi. Wszyscy jak jeden mąż zeszywnieli na swych miejscach, nawet Rhuarc, a w jego oczach zagościł chłód, który mógłby niemalże wygnać wszelki upał panujący w komnacie.

— Szpiegować w ten sposób — usta Erima wykrzywiły się, gdy to mówił, jakby słowo „szpiegować” miało paskudny smak — to jakby szpiegować przeciwko własnemu szczepowi. Żaden człowiek honoru nie zdobędzie się na coś takiego.

Rand powstrzymał się przed zapytaniem, czy nie potrafiliby znaleźć kogoś, kto byłby odrobinę mniej drażliwy na punkcie honoru. Poczucie humoru Aielów było co najmniej dziwne, często okrutne, ale w pewnych kwestiach brakowało im go w ogóle.

Chcąc zmienić temat, zapytał:

— Czy są jakieś wieści zza Muru Smoka? — Znał odpowiedź, takie informacje rozchodziły się szybko, nawet biorąc pod uwagę liczbę Aielów zgromadzonych w Rhuidean.

— Nic wartego wzmianki — odrzekł Rhuarc. — Zważywszy na kłopoty, jakie mają zabójcy drzew, niewielu ostatnio kupców przybywa do Ziemi Trzech Sfer.

Takim mianem Aielowie określali Pustkowicie, mając na myśli jakby jego potrójny wymiar — karę za ich grzechy, ziemię, która podda próbie ich odwagę, wreszcie kowadło, na którym zostaną ukształtowani. Zabójcami drzew nazywali Cairhienian.

— Sztandar Smoka wciąż powiewa nad Kamieniem Łzy. Zgodnie z twym rozkazem Tairenianie ruszyli od północy na Cairhien, aby rozdzielać żywność wśród zabójców drzew. Nic więcej.

— Powinieneś pozwolić, by zabójcy drzew głodowali — wymamrotał Bael, a Jheran w tej samej chwili zamknął usta tak gwałtownie, że aż mu trzasnęły szczęki. Rand podejrzewał, że miał właśnie zamiar powiedzieć to samo.

— Zabójcy drzew nie nadają się do niczego, można ich tylko zabijać albo sprzedawać niczym zwierzęta w Sharze — ponuro oznajmił Erim.

Taki los czekał tych, którzy pojawiali się w Pustkowie Aiel nieproszeni, jedynie bardowie, handlarze oraz Druciarze mieli wolny wstęp, chociaż Aielowie unikali Druciarzy, jakby tamci roznosili gorączkę. Shara zaś była nazwą ziem położonych za Pustkowie, o których nawet sami Aielowie niewiele wiedzieli.

Kątem oka Rand spostrzegł dwie kobiety, które spoglądały na niego wyczekująco w wejściu do komnaty. Ktoś zastąpił brakujące drzwi zasłoną z czerwonych i niebieskich paciorków, nawleczonych na sznurki. Jedną z kobiet była Moiraine. Przez chwilę zastanawiał się, czy nie kazać im czekać, Moiraine miała w oczach to irytująco rozkazujące spojrzenie, najwyraźniej oczekiwała, że dla niej przerwie od razu wszelkie swe zajęcia. Tylko że tak naprawdę nie zostało już nic do omówienia, a ze spojrzeń zgromadzonych mężczyzn mógł łatwo wywnioskować, iż nie mają ochoty na dalszą konwersację. Przynajmniej nie teraz, kiedy w ich obecności wspomniano o apatii oraz Shaido.

Westchnął, podniósł się, a wodzowie klanów poszli za jego przykładem. Wszyscy prócz Hana byli równie wysocy jak on lub wyżsi. W okolicach, gdzie Rand się wychował, Han byłby uważany za człowieka co najmniej przeciętnego wzrostu, wśród Aielów natomiast nazywano go niskim.

— Wiecie, co trzeba robić. Sprowadzić kolejne klany i nie spuszczać oka z Shaido. — Na moment zawiesił głos, potem dodał: — Wszystko będzie dobrze. Postaram się o to, dla Aielów.

— Proroctwo powiada, że nas zniszczysz — kwaśno odparł Han — i już zrobiłeś dobry początek. Ale pójdziemy za tobą. Póki nie zniknie cień, póki nie wyschnie woda, póki tchu w piersiach starczy, z obnażonymi zębami pójdziemy do Cienia, urągając mu, by splunąć Ostatniego Dnia w oko Temu Który Odbiera Wzrok.

Ten Który Odbiera Wzrok było jednym z imion, jakim Aielowie nazywali Czarnego.

Randowi nie pozostało nic innego, jak odpowiedzieć równie formalnie. Kiedyś nie umiałby tego zrobić.

— Na honor mój i na Światłość, me życie będzie sztyletem dla serca Tego Który Odbiera Wzrok.

— Aż po Ostatni Dzień — skończył Aiel — do samego Shayol Ghul.

Harfa wciąż łagodnie grała w tle.

Wodzowie przeszli obok dwóch kobiet, z szacunkiem spoglądając na Moiraine. Z szacunkiem, lecz bez śladu lęku. Rand żałował, że sam nie jest tak pewien siebie. Moiraine miała w stosunku do niego zbyt wiele planów, zbyt wiele znała sposobów pociągania za sznurki, o których nawet nie wiedział, że je doń uwiązała.

Po wyjściu wodzów obie kobiety natychmiast weszły do izby. Moiraine była chłodna i elegancka jak zawsze. Zrezygnowała już z wilgotnej materii, którą wcześniej chłodziła swe skronie. Zamiast niej czoło zdobił mały błękitny kamień, zawieszony na złotym łańcuszku wplecionym we włosy. Oczywiście, gdyby na-

wet dalej miała skronie przepasane zwykłą chusteczką i tak niczego by to nie zmieniło — nic nie mogło ująć jej królewskiej postawy. Zazwyczaj wydawała się co najmniej o stopę wyższa niż w rzeczywistości, a w jej oczach lśniła niewzruszona pewność i władczość.

Druga kobieta była wyższa, chociaż jemu sięgała tylko do ramienia, a jej twarz była zwyczajnie młoda, nie zaś pozbawiona śladów upływu czasu. Egwene, z którą wychowywał się razem w jednej wiosce. Teraz, gdyby nie ciemne oczy, mogłaby łatwo uchodzić za kobietę Aielów i to nie tylko ze względu na opalenizną na twarzy i dłoniach. Miała na sobie charakterystyczny ubiór Aielów — suknię z brązowej wełny oraz białą bluzkę z włókien rośliny zwanej *algode*. *Algode* była delikatniejsza niżli najcieńsza wełna, gdyby udało mu się kiedykolwiek przekonać Aielów, znakomicie nadawałaby się na przedmiot handlu. Ramiona Egwene otaczał szary szal, a zawiązana szarfa w tym samym kolorze upinała luźno czarne włosy spływające na ramiona. W przeciwieństwie do większości kobiet Aiel, nosiła tylko rzeźbioną bransoletę z kości słoniowej oraz pojedynczy naszyjnik ze złota i paciorków, również z kości słoniowej. I jeszcze jedną rzecz. Pierścień z Wielkim Wężem na palcu lewej dłoni.

Egwene studiowała coś pod kierunkiem kilku Mądrych — co dokładnie, lego Rand nie wiedział, chociaż miał podstawy, by podejrzewać, że ma to coś wspólnego ze snami, Egwene oraz kobiety Aielów nie rozmawiały na ten temat z nikim ale oprócz tego, uczyła się również w Białej Wieży. Była jedną z Przyjętych, czyli kobiet, które miały zostać Aes Sedai. I uchodziła już, przynajmniej w Łzie oraz tutaj, za pełną Aes Sedai. Czasami drażnił się z nią, wytykając to przekłamanie, jednak ona najwyraźniej nie traktowała tego jako zwykłych żartów.

— Wozy będą wkrótce ruszać do Tar Valon — zaczęła Moiraine. Jej głos był czysty i dźwięczny niczym muzyka.

— Daj im silną straż — oznajmił Rand — Kadere może nie poprowadzić ich tam, gdzie ty chcesz.

Ponownie odwrócił się do okna, jakby chciał znowu wyrzeć na zewnątrz, pomyślał o Kadere.

— Wcześniej nie potrzebowałaś ani moich rad, ani mego pozwolenia.

Nagle poczuł, jakby gruby kij z drzewa orzechowego smagnął go przez ramiona, jedynie dalekie uczucie przypominające dreszcz gęsiej skórki powiedziało mu, że jedna z kobiet przeniosła Moc.

Odwrócił się, stając do nich twarzą, sięgnął po *saidina* i pozwolił, by wypełniła go Jedyna Moc. Moc była niczym powódź w jego wnętrzu, jakby stawał się dziesięciokrotnie, stukrotnie bardziej żywy, ale wraz z Mocą przysła skaza Czarnego — śmierć i rozkład jak robaki rojące się w ustach. Strumień płynął przez niego, grożąc w każdej chwili, że go porwie, szalejąca powódź, którą musiał poskramiać w każdej chwili. Teraz niemalże już nawykł do tego uczucia, a jednocześnie miał wrażenie, że nigdy tak naprawdę się nie przyzwyczai. Pragnął na

zawsze nosić w sobie słodycz *saidina*, choć równocześnie czuł wzbierające mdłości. Przez cały czas potop próbował wypluć go aż do nagich kości, a kości spalić na popiół.

W końcu skaza sprawi, że postrada zmysły, jeśli oczywiście Moc nie zabije go pierwej, było to niczym wyścig między nimi. Od czasu Pęknięcia Świata nieuniknionym przeznaczeniem każdego mężczyzny, który przynosił, było szaleństwo, a zaczęła się wszystko w dniu, kiedy Lews Therin Telamon, Smok, oraz Stu Towarzyszy zapieczętowało więzienie Czarnego w Shayol Ghul. Ostatni cios z za pieczęci skaził męską połowę Prawdziwego Źródła i mężczyźni, którzy potrafili przynosić, szaleńcy, którzy potrafili przynosić, rozszarpali świat na strzępy.

Wypełniła go Moc. . . Ale nie. potrafił powiedzieć, która z kobiet mu to zrobiła. Obie spoglądały na niego z takim wyrazem twarzy, że masło, które wzięłyby do ust, z pewnością by się nie roztopiło. Przez cały czas każda z nich lub nawet obie naraz mogły pozostawać w kontakcie z kobiecą połową Źródła, a on nie miał sposobu, by się o tym przekonać.

Oczywiście uderzenie kijem przez plecy nie pasowało do stylu Moiraine, ona potrafiła karać go inaczej, bardziej subtelnie i ostatecznie o wiele boleśniej. Nie miał wątpliwości, że jest to sprawka Egwene, a mimo to nic nie zrobił.

„Dowód”. — Myśl ślizgała się po zewnętrznej stronie Pustki, pływał zanurzony w niej, w próżni, myśli, emocje, nawet jego gniew zdawały się takie odległe. — „Nie zrobię nic bez dowodu. Tym razem nie dam się sprowokować”.

To nie była już ta Egwene, z którą się wychowywał, od czasu jak Moiraine wysłała ją do Wieży, stała się jej częścią. Znowu Moiraine. Zawsze Moiraine. Czasami żałował, że nie pozbył się jej na dobre.

„Tylko czasami?”

Skupił na niej swoją uwagę.

— Czego ode mnie chcesz? — W jego uszach własny głos zabrzmiał lodowato i głucho. Szalała w nim Moc. Egwene powiedziała mu, że jeśli chodzi o kobiety, to dotknięcie *saidara*, kobiecej połowy Źródła, przypomina uścisk, objęcie, dla mężczyzny zawsze była to bezlitosna walka. — I nie wspominaj znowu o wozach, mała siostrzyczko. Ja zazwyczaj dowiaduję się o twoich zamierzeniach długo po ich realizacji.

Aes Sedai spojrzała na niego spod zmarszczonych brwi, nie było to wcale takie dziwne. Z pewnością bowiem nie przywykła do takiego traktowania, i to ze strony mężczyzny, choćby nawet był Smokiem Odrodzonym. Sam nie miał pojęcia, skąd mu przyszła do głowy ta „mała siostrzyczko”. Ostatnimi czasy pojawiały się w niej, jakby znikąd, najdziwniejsze słowa. Może to pierwsze oznaki szaleństwa. Zdarzały się noce, gdy leżał bezsennie jeszcze długo po północy, zamartwiając się tym wszystkim. Kiedy trwał zawieszony wewnątrz Pustki, zmartwienia te wydawały się odległe niczym cudze problemy.

— Musimy porozmawiać na osobności. — Rzuciła zimne spojrzenie w stronę

harfiarza.

Jasin Natael, tak kazał się nazywać, leżał rozparty na poduszkach pod jedną z pozbawionych okien ścian, delikatnie trącając struny wspartej o kolano harfy, której górne ramię miało połączone rzeźbienia w kształcie istot, zdobiących przedramiona Randa. Smoki, mówili na nie Aielowie. Rand miał tylko niejasne podejrzenia co do tego, skąd Natael zdobył instrument. Sam bard był człowiekiem w średnim wieku, ciemnowłosym, uważano by go za wysokiego we wszystkich krainach świata, z wyjątkiem Pustkowiec Aiel. Jego zapięty pomimo gorąca kaftan i spodnie uszyto z ciemnoniebieskiego jedwabiu stosownego do królewskiego dworu. Ów znakomity ubiór kłócił się z płaszczem barda rozciągniętym na ziemi u jego stóp. Płaszcz był zresztą również dobrze uszyty, z tym że pokrywały go setki łątek we wszystkich niemalże kolorach, umocowanych w ten sposób, iż powiewały przy najłżejszym podmuchu wiatru. Takie płaszcze wkładali prowincjonalni dostarczyciele rozrywki, kuglarze i żonglerzy, muzycanci i opowiadacze historii, którzy wędrowali od wsi do wsi. Z pewnością taki człowiek nie ubierałby się w jedwabie. Jasin miał o sobie bardzo wysokie mniemanie. Teraz zdawał się całkowicie zatopiony w swej muzyce.

— Możesz w obecności Nataela powiedzieć, co tylko zechcesz — oznajmił Rand. — Jest w końcu bardem Smoka Odrodzonego.

Gdyby utrzymanie całej sprawy w tajemnicy było istotnie bardzo ważne, z pewnością naciskałaby go dalej, on zaś odesłałby wówczas Nataela, chociaż nie lubił spuszczać tamtego z oka.

Egwene parsknęła głośno i poprawiła szal na ramionach.

— Twoja głowa jest zgniła niczym przejrzały melon, Randzie al'Thor. — Powiedziała to tonem tak bezbarwnym, jakby stwierdzała jakiś banalny fakt.

Gniew dosięgną go aż spoza granic Pustki. Gniew wcale nie wywołany tym, co powiedziała, nawet gdy byli dziećmi, zwykła mu dokuczać, zupełnie nie przejmując się, czy zasłużył sobie na takie traktowanie. Ale ostatnio odnosił wrażenie, że działa ręka w rękę z Aes Sedai, starając się go wytrącić z równowagi, aby tamtej łatwiej było nim pokierować. Kiedy byli młodszy, zanim wyszło na jaw, kim jest, on i Egwene sądzili, że pewnego dnia się pobiorą. A teraz stała po stronie Moiraine przeciwko niemu.

Przemówił znacznie bardziej szorstko, niż zamierzał, czując, jak sztywnieje mu twarz.

— Powiedz mi, czego właściwie chcesz, Moiraine. Powiedz mi tu i teraz, albo poczekaj z tym, aż znajdę dla ciebie czas. Jestem bardzo zajęty.

To było jawne kłamstwo. Większość czasu spędzał, ćwicząc z Lanem władanie mieczem albo umiejętność walki włócznią z Rhuarkiem, uczył się także walki wręcz pod okiem ich obu. Ale jeśli zapowiadało się, że ktoś tu będzie kogoś zastraszał, to on jest gotów. Natael może wszystko słyszeć. Prawie wszystko. Dopóki Rand wiedział zawsze, gdzie tamten przebywa.

Moiraine i Egwene zmarszczyły brwi, ale prawdziwa Aes Sedai tym razem chyba zrozumiała, że on nie ustąpi nawet na krok. Zerknęła na Nataela — zdawał się całkowicie zatopiony w swej muzyce — a potem wyjęła gruby rulon szarego jedwabiu ze swej sakwy.

Rozwinęła go i położyła zawartość na blacie stołu, dysk wielkości męskiej dłoni, w połowie z najgłębszej czerni, w połowie z najczystszej bieli, oba kolory łączyła falista linia, tworząc kształt dwu przylegających do siebie łez. Starożytny symbol Aes Sedai, jeszcze sprzed Pęknięcia Świata, ale ten krąg oprócz tego był czymś więcej. Wykonano ich tylko siedem, stanowiły pieczęcie nałożone na więzienie Czarnego. Czy też raczej każdy z nich stanowił soczewkę jednej pieczęci. Moiraine wydobyła zza paska nóż z rękojeścią owiniętą srebrnym drutem i delikatnie poskrobała krawędź. Odpadł drobny okruch jednolitej czerni.

Nawet otoczony Pustką, Rand nie potrafił powstrzymać zdumionego westchnienia. Sama Pustka zadrżała i przez chwilę bał się, że Moc go pochłonie.

— Czy to jakaś kopia? Podróbka?

— Znalazłam to na placu — odpowiedziała Moiraine. — Jest prawdziwy. Identyczny jak ten, który przywiozłam z Łzy.

Równie dobrze mogłaby oznajmić, że życzy sobie zupy grochowej na obiad. Egwene jednak owinęła się ściślej szalem, jakby nagle owiał ją chłodny wiatr.

Rand sam czuł ukąszenia strachu, pełnące po powierzchni Pustki. Wiele wysiłku kosztowało go porzucenie *saidina*, ale zmusił się ze wszystkich sił. Jeżeli teraz straci koncentrację, Moc może go zniszczyć, w jednej chwili, a on chciał całą swą uwagę poświęcić omawianej tu sprawie. Mimo to, nawet mimo skazy, poczuł dojmujący ból straty.

Płatek, który odpadł od dysku, był czymś niemożliwym. Te kręgi wykonano z *cuendillara*, prakamienia, a żadnej rzeczy zrobionej z *cuendillara* nie można było zniszczyć nawet przy użyciu Jedynej Mocy. Jakiegokolwiek używano przeciwko niemu siły, stawał się jeszcze mocniejszy. Tajemnica wytwarzania prakamienia została utracona podczas Pęknięcia Świata, ale cokolwiek z niego zrobiono podczas Wieku Legend, trwało do dzisiaj, nawet najbardziej kruchy dzban, nawet jeśli podczas Pęknięcia zatonął na samym dnie morza czy pogrzebany został pod nasympem górskim. Oczywiście, trzy z siedmiu dysków zostały już zniszczone, ale trzeba było do tego czegoś więcej niż zwykłego noża.

Nie miał zresztą pojęcia, w jaki sposób zniszczono tamte trzy. Jeżeli żadna siła, mniej potężna od mocy Stwórcy, nie jest w stanie zniszczyć prakamienia, wobec tego należy podejrzewać, że w grę wchodzi właśnie ona.

— Jak? — zapytał, zaskoczony, że jego głos jest wciąż tak samo mocny, jak wówczas, gdy otulała go Pustka.

— Nie mam pojęcia — odpowiedziała Moiraine równie spokojnie. — Ale teraz chyba wiesz, na czym polega problem? Upadek ze stołu może go roztrzaskać na kawałki. Jeżeli pozostałe, gdziekolwiek się znajdują, są w takim stanie jak ten,

to czterech ludzi z młotkami może w jednej chwili wybić szczelinę w więzieniu Czarnego. Któż może w ogóle powiedzieć, mając na względzie jego stan, jaka jest jego skuteczność?

Rand rozumiał.

„Jeszcze nie jestem gotów”.

Nie był pewien, czy kiedykolwiek będzie gotów, ale z pewnością jeszcze nie teraz. Egwene miała taką minę, jakby zaglądała do własnego grobu.

Moiraine owinęła na powrót dysk i włożyła go do sakwy.

— Być może uda mi się coś wymyślić, zanim zawiozę go do Tar Valon. Może coś da się z tym zrobić, jeśli się dowiemy, dlaczego tak się dzieje.

Przed oczyma stanął mu obraz Czarnego, znowu wyciągającego rękę z Shayol Ghul, a może nawet wydostającego się całkowicie na wolność, wyobraził sobie ziemię pokrytą płomieniami i ciemnością, ogień, który tylko trawi i nie daje odrobiny światła, litą czerń, podobną do gigantycznego głazu dławiącego powietrze. Przez te potworności, które wypełniły mu głowę, dopiero po chwili dotarło do niego, co powiedziała Moiraine.

— Zamierzasz również jechać?

Po chwili obecnej sądził, że postanowiła trzymać się go uparcie niczym mech kamienia.

„Czy nie tego właśnie pragniesz?”

— Ostatecznie — cicho odpowiedziała Moiraine. — Ostatecznie i tak będę musiała cię mimo wszystko zostawić. Zdarzy się to, co się musi zdarzyć.

Randowi zdało się, że zadrzała, ale jeśli nawet, to tak nieznacznie, iż wszystko mogło być dziełem jego wyobraźni, w następnym momencie znowu stanowiła wzór opanowania i samokontroli.

— Musisz być gotów. — Jakby odpowiedziała na jego sekretne wątpliwości. Zrobiło mu się nieprzyjemnie. — Powinniśmy omówić twoje plany. Nie możesz dłużej tu siedzieć. Nawet jeśli Przekłęci nie planują zaatakować cię tutaj, to przecież nie śpią, rosną w siłę. Zebrania z Aielami nie przydadzą ci się na wiele, jeśli się okaże, że wszystko oprócz Grzbietu Świata jest już w ich rękach.

Rand zaśmiał się i oparł o krawędź stołu. A więc to kolejny podstęp, jeżeli obawia się jej odjazdu, to może będzie jej chętniej słuchał, może będzie bardziej skłonny do akceptowania jej rad. Nie mogła oczywiście kłamać, nie w bezpośredni sposób. Zadbła o to jedna z osławionych Trzech Przysiąg — nie mówić żadnego słowa, które nie jest prawdą. Nauczył się jednak, że ta Przysięga zostawia tyle miejsca na dodatkowe manewry, że zmieściłaby się w nim stodoła. Ona zostawi go kiedyś w spokoju. Najpewniej po jego śmierci.

— Chciałabyś porozmawiać o moich planach — powiedział sucho. Wyciągnął z kieszeni fajkę o krótkim cybuchu i kapciuch z tytoniem, nabił czaszę i leciutko musnął *saidina*, by przenieść niewielki płomień, który zatańczył po powierzchni tytoniu. — Dlaczego? To są w końcu moje plany.

Pykał wolno i czekał, całkowicie ignorując wściekłe spojrzenia Egwene.

Wyraz twarzy Aes Sedai nie zmienił się ani na moment, jednak jej wielkie ciemne oczy wydawały się płonąć.

— A cóżeś takiego zrobił od czasu, gdy zrezygnowałeś z moich rad? — Jej głos był równie chłodny, jak wyraz twarzy, lecz słowa padały z jej ust niczym smagnięcia biczem. — Gdziekolwiek się udałeś, szły za tobą śmierć, zniszczenie i wojna.

— Nie w Łzie — odrzekł, trochę nazbyt szybko. Nazbyt defensywnie. Nie może jej pozwolić na wyprowadzenie go z równowagi. Z determinacją zaczął jeszcze wolniej, jakby z namysłem, pykać fajkę.

— Owszem — zgodziła się — w Łzie nie. Raz miałaś za sobą cały naród, ludzi i co z tym zrobiłeś? Próba zaprowadzenia sprawiedliwości w Łzie była bardzo chwalebna. Zaprowadzenie porządku w Cairhien, nakarmienie głodnych jest ze wszech miar godne podziwu. Innym razem wychwalałabym cię za to pod niebiosami. — Moiraine była Cairhienianką. — Ale nie pomoże ci to w niczym, gdy nadejdzie świt, który zwiastować będzie Tarmon Gai'don.

Kobieta opętana jedną myślą, zimna w wypadku innych spraw, nawet jej rodzinnej krainy. Ale czy on sam nie powinien brać z niej przykładu?

— Co mam, twoim zdaniem, robić? Ścigać kolejno wszystkich Przeklętych? — Ponownie zmusił się, aby zwolnić tempo palenia, kosztowało go to sporo wysiłku. — Czy ty masz jakiegokolwiek pojęcie, gdzie oni się znajdują? No tak, Sammael jest w Illian... oboje o tym wiemy... ale pozostali? Co się stanie, jeśli zgodnie z twoim życzeniem ruszę na Sammaela, a napotkam ich dwoje lub troje? Albo wszystkich dziewięcioro?

— Mógłbyś stawić czoło dwóm lub trzem, a być może nawet całej dziewiątce i przeżyć to starcie — odparowała lodowatym tonem — gdybyś nie zostawił *Callandora* w Łzie. Prawda jest taka, że ty uciekasz. W rzeczywistości nie masz żadnego planu, żadnego planu przygotowań do Ostatniej Bitwy. Uciekasz z miejsca na miejsce, mając nadzieję, że w ten sposób wszystko się jakoś samo ułoży. Ale jest to tylko nadzieja, ponieważ nie masz najmniejszego pojęcia, co dalej robić. Gdybyś posłuchał mojej rady, przynajmniej mógłbyś...

Przerwał jej zdecydowanym gestem dłoni, w której trzymał fajkę, nie dbając już więcej o spojrzenia, jakimi obrzucały go obie.

— Mam plan. — Jeżeli chciały wiedzieć, proszę bardzo, powie im, ale żeby szczeł, nic w nim nie zmieni. — Najpierw zamierzam położyć kres wojnom i zabijaniu, niezależnie od tego, czy to ja je rozpocząłem czy ktoś inny. Jeżeli ludzie muszą zabijać, niech zabijają trolloki, nie zaś siebie wzajemnie. Podczas Wojny o Aiel cztery klany przekroczyły Mur Smoka i przez dwa lata nikt nie potrafił ich powstrzymać. Złupili i spalili Cairhien, pokonali wszystkie armie, które przeciwko nim wysłano. Zdobyliby nawet Tar Valon, gdyby chcieli. Wieża nie mogłaby ich powstrzymać z powodu waszych Trzech Przysiąg.

Nie używać Mocy jako broni, z wyjątkiem sytuacji, gdy kieruje się ją przeciwko Pomiotowi Cienia lub Sprzymierzeńcom Ciemności albo w obronie własnej, tak brzmiał tekst kolejnej Przysięgi, a zresztą Aielowie nie zagrozili samej Wieży. Teraz już prawie nie panował nad własnym gniewem. Ucieka i liczy nie wiadomo na co? Doprawdy?

— I było to dzieło tylko czterech klanów. Co się stanie, jeżeli przeprowadzę jedenaście przez Grzbiet Świata? — Powinno ich być jedenaście, niewielką miał nadzieję, że Shaido jednak pójdą za nim. — Zanim narody choćby pomyśla o zjednoczeniu, będzie już za późno. Albo zaakceptują mój pokój, albo niech zostanie pogrzebany w Cara Breat.

W dźwięki harfy wdarł się dysonans, Natael pochylił się nad instrumentem, potrząsając głową. Po chwili łagodne dźwięki popłynęły na powrót.

— Melon nie może być tak zgnięty, żeby dorównać twojej głowie — wymamrotała Egwene, zaplatając ramiona na piersi. — A kamień nie jest bardziej niż ty uparty! Moiraine stara się tylko ci pomóc. Czy nie. możesz tego zrozumieć?

Aes Sedai wygładziła swe jedwabne suknie, chociaż nie było takiej potrzeby.

— Poprowadzenie Aielów przez Mur Smoka może okazać się najgorszą z rzeczy, jakie możesz zrobić. — W jej głosie pobrzmiwały nuty gniewu i frustracji. Wreszcie udało mu się wzbudzić w niej przynajmniej podejrzenia, że może się jednak nie uda zrobić z niego marionetki. — Zanim tego dokonasz, Zasiadająca na Tronie Amyrlin dotrze do wszystkich władców tych krain, które jeszcze takowych posiadają, przedkładając im dowody, iż jesteś Smokiem Odrodzonym. Oni znają Proroctwa, wiedzą, po co zostałeś zrodzony. Kiedy tylko przekonają się, kim i czym jesteś, zaakceptują cię, ponieważ nie będą mieli innego wyjścia. Zbliży się Ostatnia Bitwa, a ty jesteś ich jedyną nadzieją, jedyną nadzieją całej ludzkości.

Rand zaśmiał się w głos. Był to gorzki śmiech. Wsunął fajkę w zęby i uniósł się na rękach tak, że teraz siedział ze skrzyżowanymi nogami na blacie stołu, po czym spojrzał im w oczy.

— A więc tobie i Siuan Sanche wydaje się, że wiecie wszystko, co tylko można wiedzieć. — Światłości dzięki, że. jednak nie dowiedziały się o nim wszystkiego i że nigdy się nie dowiedzą. — Obie jesteście głupie.

— Okaż choć odrobinę szacunku! — jęknęła Egwene, ale Rand ciągnął dalej, wchodząc jej w słowo:

— Taireniańscy Wysocy Lordowie również znają Proroctwa, poznali także mnie, kiedy zobaczyli na własne oczy, jak wziętem do ręki Miecz Którego Nie Można Dotknąć. Połowa z nich oczekiwała po mnie, że przyniosę im władzę i chwałę albo wręcz obie naraz, druga połowa zaś szukała tylko okazji, by wbić mi nóż w plecy i jak najszybciej zapomnieć, że Smok Odrodzony w ogóle przebywał w Łzie. Oto, jak ludy witają Smoka Odrodzonego. Chyba że zduszę ich od razu w taki sposób, jak poradziłem sobie z Tairenianami. Czy wiesz, dlaczego zostawiłem *Callandor* w Łzie? Aby im przypominał o mnie. Każdego dnia budzą

się i wiedzą, iż on wciąż tam jest, wbity w posadzkę Serca Kamienia, i wiedzą, że wrócić po niego. Oto, co każe im przy mnie trwać.

Był to przynajmniej jeden z powodów, dla których zostawił tam Miecz Który Nie Jest Mieczem. O innych wolał nie myśleć.

— Bądź bardzo ostrożny — powiedziała po chwili Moiraine lodowatym głosem. Usłyszał w jej słowach niedwuznaczne ostrzeżenie. Kiedyś już słyszał, jak mówiła takim tonem, wówczas stwierdzała, że zadba o to, by raczej nie żył, niż miał wpaść w ręce Cienia. Bezwzględna kobieta.

Przez dłuższą chwilę mierzyła go wzrokiem, jej oczy przypominały ciemne stawy, w których można utonąć. Potem złożyła mu perfekcyjny ukłon.

— Pozwolisz, iż cię opuszczę, mój Lordzie Smoku, muszę dopilnować, by pan Kadere zapamiętał, gdzie będę go oczekiwać jutro.

Najbardziej uważny obserwator nie dostrzegłby ani nie usłyszał najlżejszego śladu szyderstwa w jej słowach czy działaniach, ale Rand nie miał wątpliwości. Ona spróbuje wszystkiego, czym można go wyprowadzić z równowagi, sprawić, że obudzi się w nim poczucie winy, wstyd lub niepewność. Śledził ją wzrokiem, dopóki nie zniknęła za kurtyną z postukujących paciorków.

— Nie musisz się tak krzywić, Randzie al'Thor. — Głos Egwene był cichy, ale oczy jej płonęły, ścisnęła w dłoniach swój szal, jakby chciała go nim zadusić. — Lord Smok, doprawdy! Czymkolwiek jesteś, jesteś prostakiem, niewychowanym łajdakiem. Zasługujesz na jeszcze gorsze rzeczy niżli te, które cię dotąd spotkały. Ty nie potrafisz być bardziej uprzejmy, nawet gdyby cię zabić!

— A więc to byłeś ty — warknął, ale ku jego zaskoczeniu Egwene pokręciła przecząco głową, zanim się połapała, co robi. A więc mimo wszystko była to Moiraine. Jeżeli Aes Sedai potrafi posunąć się do czegoś takiego, to coś musi ją drepczyć zaiste nieznośnie. On, bez wątpienia. Być może powinien przeprosić.

„Przypuszczam, że okazanie odrobiny grzeczności nie byłoby zbyt trudne”.

Nie rozumiał jednak, dlaczego miałby być grzeczny względem Aes Sedai, skoro ona próbuje go wziąć na smycz.

Ale jeśli on rozważał choćby przez chwilę możliwość bycia grzecznym, Egwene nie przyszło to nawet do głowy. Gdyby żarzące się węgle miały kolor ciemnego brązu, dokładnie pasowałyby do jej oczu.

— Jesteś wełnianogłowym idiotą, Randzie al'Thor, i nigdy już nie powiem Elayne, że jesteś dla niej odpowiedni. Nie jesteś odpowiedni nawet dla łasicy. Przestań wreszcie zadzierać nosa. Pamiętam jeszcze, jak się pociłeś, gdy chciałeś się wyłgać z kłopotów, w które wpędził was Mat. Pamiętam, jak Nynaeve tak cię oćwiczyła różgą, że aż wyłeś z bólu i potrzebowałeś poduszki, by w ogóle móc tego dnia usiąść. A przecież nie minęło wiele lat od tego czasu. Powinnam skłonić Elayne, by o tobie zapomniała, Gdyby wiedziała choćby w połowie, w co się zmieniłeś. . .

Gapił się na nią bez słowa, gdy tak ciągnęła swą tyradę, coraz bardziej wściekła z każdą chwilą, jaka minęła od momentu, gdy przekroczyła kurtynę z paciorków. Wreszcie zrozumiał. To nieznaczne zaprzeczenie ledwie widocznym ruchem głowy, kiedy zdradziła, że to Moiraine uderzyła go Mocą. Egwene bardzo się przykładała, by robić to wszystko, czego od niej wymagano, we właściwy sposób. Liczyła się u Mądrych, nosiła ubiór Aielów, z tego, co wiedział, być może nawet przyswajała sobie ich obyczaje. To do niej podobne. Ale przez cały czas starała się również być dobrą Aes Sedai, nawet jeśli była tylko jedną z Przyjętych. Aes Sedai zazwyczaj trzymały swe emocje na wodzy i nigdy nie zdradzały tego, co chciały zachować dla siebie.

„Ilyena nigdy nie pozwalała sobie na wybuchy emocji skierowane przeciwko mnie, kiedy była zła na samą siebie. Gdy czułem czasami ostrze jej języka, to tylko dlatego, że...”

Poczuł, jak w jednej chwili jego myśli zamieniają się w lód. Nigdy w życiu nie spotkał kobiety o imieniu Ilyena. Ale potrafił przywołać z pamięci twarz odpowiadającą imieniu, choć niejasno, piękną twarz, skóra niczym mleko, złote włosy tego samego odcienia co włosy Elayne. To chyba naprawdę szaleństwa. Pamiętać kobietę zrodzoną w wyobraźni. Zapewne któregoś dnia zaczniesz rozmawiać z ludźmi, których nie będzie w pobliżu.

Oracja Egwene urwała się, jak nożem uciął, w jej oczach pojawiło się zatroskanie.

— Dobrze się czujesz, Rand? — Gniew zniknął z jej głosu, jakby go nigdy nie było. — Czy coś się stało? Może powinnam z powrotem sprowadzić Moiraine, aby...

— Nie! — powiedział i równie szybko złagodził ton swego głosu. — Ona nie może uzdrowić...

Nawet Aes Sedai nie potrafiły uzdrawiać szaleństwa, żadna z nich nie potrafiłaby uzdrowić tego, co mu dolegało.

— Czy Elayne ma się dobrze?

— O tak, jak najbardziej.

Wbrew temu, co powiedziała wcześniej, w jej głosie pojawiła się nutka współczucia. To było wszystko, czego od niej oczekiwał. Wiedział, iż Elayne opuściła Łzę, ale reszta była sekretną sprawą Aes Sedai i miała go nic nie obchodzić, tak mówiła mu nieraz Egwene, a Moiraine wtórowała jej niczym echo. Trzy Mądre, które potrafiły spacerować po snach, te u których uczyła się Egwene, były jeszcze mniej chętne do współpracy, miały swoje własne powody do niezadowolenia.

— Ja również lepiej już pójdę — ciągnęła dalej Egwene, otulając szalem ramiona. — Jesteś na pewno zmęczony. — Marszcząc lekko brwi, zapytała jeszcze: — Rand, co oznacza być pogrzebanym w Can Breat?

Najpierw spytał, o czym ona, na Światłość, mówi. Potem przypomniał sobie, że sam użył tej frazy.

— To coś, co raz kiedyś usłyszałem — skłamał. Sam również nie miał pojęcia, co ona oznacza i skąd ją wziął.

— Odpocznij, Rand — powiedziała na koniec takim głosem, jakby była starsza od niego o dwadzieścia lat, nie zaś dwa lata młodsza. — Obiecuj mi, że odpoczniesz. Potrzebujesz tego.

Skinął głową. Przez moment uważnie wpatrywała się w jego twarz, szukając w niej prawdy, potem ruszyła w stronę wyjścia.

Srebrny puchar Randa podniósł się z dywanu i pofrunął w powietrzu ku jego dłoni. Pośpiesznie schwycił go w locie, zanim Egwene obejrzała się przez ramię.

— Być może nie powinnam ci tego mówić — powiedziała. — Elayne nie przekazała mi wiadomości dla ciebie, ale... Powiedziała, że cię kocha. Zapewne już o tym wiesz, lecz jeśli nie, to zastanów się nad tym.

Powiedziawszy to, odeszła.

Rand zeskoczył ze stołu i odrzucił puchar, wino rozlało się po całej posadzce, on zaś z furią natarł na Jasina Nataela.

BLADE CIENIE

Pochwycił *saidina*, przeniósł, splótł strumienie Powietrza, które poderwały Nataela z jego poduszek, połączana harfa potoczyła się po ciemnoczerwonych płytach, kiedy mężczyzna został przyparty do ściany, unieruchomiony od karku po kostki, ze stopami zawieszonymi na wysokości połowy kroku nad posadzką.

— Ostrzegalem cię! Nigdy nie przenoś, kiedy ktoś jest w pobliżu. Nigdy!

Natael przekrzywił głowę zgodnie ze swym osobliwym zwyczajem, jakby próbował spojrzeć na Randa z boku albo niezauważalnie go obserwować.

— Gdyby zobaczyła, pomyślałaby, że to ty. — W jego głosie nie było śladu przeprosin, żadnej skruchy, ale nie było też i wyzwania, zdawał się sądzić, że jego wyjaśnienia są całkowicie rozsądne. — Poza tym wyglądałeś na spragnionego. Dworski bard powinien dbać o zaspokajanie potrzeb swego pana.

Była to jedna z drobnych gier, którymi się osłaniał przed światem — jeśli Rand był Lordem Smokiem, wtedy on sam musiał być nadwornym bardem, nie zaś prostym zwykłym bardem dla ludu.

Czując w tej samej mierze niesmak do siebie, co i gniew na tego człowieka, Rand rozluźnił splot i pozwolił się mu osunąć na posadzkę. Znęcanie się nad nim było niczym walka z dziesięcioletnim chłopcem. Nie potrafił zobaczyć tarczy, która ograniczała dostęp tamtego do *saidina* — była bowiem dziełem kobiety — ale wiedział, że wciąż tam jest. Przeniesienie pucharu stanowiło niemal kres obecnych możliwości Nataela. Na szczęście tarcza nastąpiła również skryta przed kobiecym spojrzeniem. Natael nazywał tę operację „odwróceniem”, ale wyraźnie nie potrafił wyjaśnić, na czym ona polega.

— A gdyby zobaczyła mają twarz i nabrała podejrzeń? Byłem tak zaskoczony, jakby ten puchar sann, z własnej woli, poleciał w moją stronę!

Wsadził fajkę w zęby i wypuścił z ust wściekły kłęb dymu.

— Nie powinna nic podejrzewać. — Natael powrócił na swe poduszki, ponownie wziął do ręki harfę i wygrał na niej jakiś fałszywy akord. — Na jakiej podstawie ktoś miałby coś podejrzewać?

Jeżeli w jego głosie była choć odrobina goryczy, Rand nie potrafił się jej doszukać.

Nie był całkiem pewien, czy on sam jest w stanie uwierzyć, choć napracował

się nad tym wystarczająco ciężka, Człowiek siedzący przed nim, Jasin Natael, naprawdę nazywał się inaczej. Asmodean.

Wydobywający z harfy nieuważne, przypadkowe dźwięki, Asmodean w niczym nie przypominał jednego z budzących trwogę Przeklętych. Był nawet dosyć przystojny, Rand przypuszczał, że wielu kobietom mógł wydać się atrakcyjny. Często przychodziła mu na myśl, że to dziwne, iż zło nie odcisnęło na tym człowieku widocznego piętna. Był jednym z Przeklętych i nie miał najmniejszego zamiaru zabić go na miejscu. Rand skrywał jego tożsamość przed Moiraine i oczywiście przed innymi. Potrzebował nauczyciela.

Jeżeli mężczyźni dotyczyło również to, co Aes Sedai twierdziły o kobietach zwanych przez nie dzikuskami, to w takim razie miał tylko jedną szansę na cztery, że przeżyje samodzielne uczenie się posługiwania Mocą. Jeśli nie brać pod uwagę szaleństwa. Jego nauczyciel musiał być mężczyzną, Moiraine i inne Aes Sedai wystarczająco często powtarzały, że ptak nie nauczy ryby fruwać, tak jak ryba nie nauczy ptaka pływać. I jego nauczycielem musiał być ktoś doświadczony, ktoś, kto wiedział już wszystko, czego musiał się nauczyć. A ponieważ Aes Sedai poskramiały wszystkich mężczyzn zdolnych do przenoszenia, jakich tylko znalazły — a z każdym rokiem było ich coraz mniej — nie miał wielkiego wyboru. Mężczyzna, który by właśnie odkrył, że potrafi przenosić, nie wiedziałby więcej od niego. Fałszywy Smok potrafiący przenosić — jeśli Rand zdołałby znaleźć kogoś, kogo jeszcze nie schwytano i nie poskromiono — zapewne nie zechciałby porzucić swych własnych snów o chwale dla innego mężczyzny mieniącego się Smokiem Odrodzonym. Pozostawał więc tylko pomysł, który Rand zrealizował — jeden z Przeklętych.

Asmodean wydobywał ze swej harfy przypadkowe akordy, Rand podszedł bliżej i usiadł przed nim na poduszkach. Nie wolno było zapominać, że ten człowiek nie zmienił się w najmniejszym stopniu, przynajmniej wewnątrz, od dnia, kiedy zaprzedał duszę Cieniowi. To, co czynił teraz, czynił pod przymusem, nigdy nie powrócił do Światłości.

— Czy kiedykolwiek myślałeś o zawróceniu z drogi, Nataelu? — Zawsze uważał, jak się do tamtego zwraca, jedno zająknięcie się o Asmodeanie i Moiraine będzie już pewna, że przeszedł na stronę Cienia. Moiraine i być może inni również. Ani on, ani Asmodean zapewne by tego nie przeżyli.

Dłonie tamtego jakby przymarzły do strun, twarz utraciła wszelki wyraz.

— Zawrócić? Demandred, Rahvin, oni wszyscy zabiliby mnie na miejscu. Gdybym miał szczęście. Wyjąwszy być może Lanfear, ale sam doskonale rozumiesz, dlaczego nie mam ochoty sprawdzać tego w praktyce. Semirhage potrafi kamień zmusić do błagania o łaskę i dziękowania jej za śmierć. A jeśli chodzi o Wielkiego Władcę...

— Czarnego — wtrącił Rand, wydmuchując kłęb dymu. Sprzymierzeńcy Ciemności oraz Przekłęci nazywali Czarnego Wielkim Władcą Ciemności.

Asmodean skinął lekko głową, jakby się zgadzał.

— Kiedy Czarny się uwolni... — Jeżeli przedtem jego twarz pozbawiona była wyrazu, to teraz zagościła na niej całkowita pustka. — Wystarczy, że powiem, iż znajdę wówczas Semirhage i oddam się w jej ręce, zanim dosięgnie mnie... kara Czarnego za zdradę.

— Równie dobrze możesz mnie więc teraz uczyć.

Pełna żalości muzyka zaczęła spływać ze strun harfy, mówiła o stracie i łzach.

— *Marsz Śmierci* — powiedział Asmodean, nie przerywając gry — ostatnia część Wielkiego Cyklu Namiętności skomponowanego jakieś trzysta lat przed Wojną o Moc przez...

Rand przerwał mu w pół słowa:

— Nie uczysz mnie najlepiej.

— I tak lepiej niżby można się spodziewać, biorąc pod uwagę okoliczności. Potrafisz już pochwycić *saidina* za każdym razem, kiedy próbujesz, i odróżniasz jedno strumienie od innych. Potrafisz się osłonić, a Moc robi, co jej każesz. — Przerwał grę i zmarszczył czoło, nie patrząc na Randa. — Czy sądzisz, że Lanfear naprawdę chciała, bym nauczył cię wszystkiego? Gdyby tak było, wymyśliłaby jakiś sposób, by zostać w pobliżu, aby móc nas połączyć. Ona chce, żebyś żył Lewsie Therinie, ale jednocześnie nie ma zamiaru pozwolić, byś stał się od niej silniejszy.

— Nie nazywaj mnie tym imieniem! — warknął Rand, ale Asmodean zdawał się nie słyszeć.

— A jeśli wy to między sobą zaplanowaliście... pochwycenie mnie... — Rand poczuł przypływ Mocy u Asmodeana, jakby Przekłety sprawdzał tarczę, którą Lanfear uplotła wokół niego, kobiety, które potrafiły przenosić, widziały poświętę otaczającą drugą kobietę, obejmującą *saidara* i wyraźnie czuły strumień przenoszonej Mocy, on jednak nigdy nic wokół Asmodeana nie widział i odczuwał też stosunkowo niewiele. — Jeżeli sprokurowaliście całą sytuację wspólnie, to w takim razie dałeś jej się oszukać na wiele sposobów. Powiadam ci, że nie jestem najlepszym nauczycielem, szczególnie bez więzi. Zaplanowaliście. to razem, nieprawdaż?

Tym razem spojrzął na Randa z ukosa, ale natężając uwagę.

— Ile pamiętasz? Mam na myśli żywot Lewsa Therina. Ona mówiła, że nic, ale ona przecież zdolna byłaby okłamać nawet Wiel... samego Czarnego.

— Tym razem powiedziała prawdę. — Rozpierając się wygodnie na jednej z poduszek, Rand przeniósł jeden z nietkniętych przez wodzów srebrnych pucharów. Nawet takie przelotne dotknięcie *saidina* było cudowne, a jednocześnie paskudne. Trudno było go uwolnić. Nie miał ochoty mówić o Lewsie Therinie, był już zmęczony tym, iż niektórzy uważają go za Lewsa. Fajka rozgrzała się nadmiernie, chwycił ją za cybuch i pomachał nią kilka razy. — Skoro połączenie

między nami ułatwiłoby naukę, to dlaczego tego nie zrobimy?

Asmodean popatrzył na niego takim wzrokiem, jakby chciał go zapytać, dlaczego nie jada kamieni, potem potrząsnął głową.

— Ciągle zapominam, ilu ty rzeczy nie wiesz. Ty i ja nie możemy się połączyć. Nie bez kobiety, która by tego dokonała. Możesz poprosić Moiraine, jak mniemam, albo tę dziewczynę, Egwene. Jedna z nich zapewne znalazłaby na to sposób. Jeżeli ci nie przeszkodzi, że się dowiedzą, kim jestem.

— Nie okłamuj mnie, Natael — jęknął Rand. Na długo przed spotkaniem Nataela sam doszedł do wniosku, że przenoszenie u mężczyzn i u kobiet różni się w takim samym stopniu, jak mężczyźni i kobiety między sobą, ale niewiele z tego, co tamten mówił, brał na wiarę. — Słyszałem, jak Egwene i inne mówią o Aes Sedai łączących swe siły. Dlaczego one to potrafią, a my nie?

— Bo nie. — W głosie Asmodeana zabrzmiała irytacja. — Zapytaj filozofów, jeśli chcesz wiedzieć dlaczego. Dlaczego psy nie potrafią latać? Być może w wielkim schemacie Wzoru został jakoś zrównoważony fakt, że mężczyźni są silniejsi. Nie możemy się bez nich połączyć, ale one bez nas mogą. Naraz może się ich połączyć trzynaście, niewielka pociecha, potem potrzebują już mężczyzn, by powiększyć krąg.

Rand pewien był, że tym razem przyłapał tamtego na kłamstwie. Moiraine powiedziała mu, że w Wieku Legend kobiety i mężczyźni władali Mocą z jednaką siłą, a ona przecież nie mogła kłamać. Tyle też oznajmił Asmodeanowi, dodając:

— Wszystkich Pięć Mocy jest równych sobie.

— Ziemia, Ogień, Powietrze, Woda i Duch. — Natael podkreślał każdą nazwę akordem. — Są równe, prawda, ale prawdą jest też, że to, co mężczyzna potrafi zrobić z każdą z nich, potrafi również kobieta. Przynajmniej do pewnego stopnia. Ale to nie ma nic wspólnego z tym, że mężczyźni są silniejsi. To, co Moiraine uważa za prawdę, mówi jako prawdę, niezależnie od tego, czy jest tak czy nie, jedna z tysięcy słabości tych durnych Trzech Przysiąg. — Zagrał fragment jakiejś melodii, która rzeczywiście zdawała się głupawa. — Niektóre kobiety mają silniejsze ramiona od niektórych mężczyzn, ale zazwyczaj jest odwrotnie. To samo dotyczy siły władania Mocą i w takich samych proporcjach.

Rand pokiwał powoli głową. To miało jakiś sens. Elayne i Egwene były uważane za dwie najsilniejsze kobiety, które pobierały nauki w Wieży od tysiąca lat lub więcej, ale pewnego razu sprawdził na nich swoją siłę i potem Elayne wyznała mu, że czuła się niczym kocię pochwycone przez wielkiego psa.

Asmodean jednak jeszcze nie skończył.

— Jeżeli dwie kobiety się połączą, ich siła nie podwaja się... połączenie nie jest tak proste jak dodawanie do siebie ich mocy... ale jeśli są dostatecznie silne, mogą pokonać mężczyznę. A kiedy stworzą krąg trzynastu, wówczas musisz się strzec. Trzynaście kobiet, nawet ledwie potrafiących przenosić, może po połączeniu zwyciężyć prawie każdego mężczyznę. Trzynaście najsłabszych kobiet

z Wieży może wziąć górę nad tobą czy nad jakimkolwiek mężczyzną, i ledwie się przy tym zadyszeć. W Arad Doman postyszałem kiedyś takie przysłowie: „Im więcej kobiet dookoła, tym ciszej stąpa ostrożny mężczyzna”. Lepiej to zapamiętać.

Rand zadrżał, wspominając czas, gdy otaczało go więcej Aes Sedai, a nie tylko trzynaście. Oczywiście, większość nie miała pojęcia, kim on jest. Gdyby wiedziały...

„Jeżeli Moiraine i Egwene połączą się...” — Nie chciał wierzyć, żeby Egwene mogła tak dalece utożsamić się z Wieżą, by zapomnieć o łączącej ich, niegdyś przynajmniej, przyjaźni. — „Ona wkłada serce we wszystko, co robi, a teraz się jeszcze zmienia w Aes Sedai. Elayne jest podobna”.

Mimo że wychylił swój puchar do połowy, myśl nie chciała opuścić jego głowy.

— A cóż jeszcze możesz mi powiedzieć o Przeklętych? — To było pytanie, które zadał już chyba ze sto razy, ale zawsze miał nadzieję, że może jeszcze zdobyć jakiś strzępek wiedzy. To lepsze niż wyobrażać sobie Moiraine i Egwene połączone, by...

— Powiedziałem ci już wszystko, co wiem. — Asmodean westchnął ciężko. — Raczej trudno nas nazwać przyjaciółmi, mówiąc najłagodniej. Uważasz, iż coś przed tobą taję? Nie wiem nawet, gdzie przebywają pozostali, jeśli o to ci chodzi. Z wyjątkiem Sammaela, ale ty wiedziałeś już, że wziął Illian za swoje królestwo, jeszcze zanim ci o tym powiedziałem. Graendel była przez czas jakiś w Arad Doman, ale podejrzewam, że już je opuściła, za bardzo lubi wygody. Sądzę, że Moghedien jest albo była gdzieś na zachodzie, lecz nikt nie znajdzie Pajęczycy, jeśli ona sama tego nie zechce. Rahvin przyjął do grona swych pieszczołek jakąś królową, możemy obaj tylko zgadywać, którym krajem ona rządzi dla niego. Tylko tak mogę pomóc w ich znalezieniu.

Rand słyszał to wszystko już wcześniej, wyglądało na to, że słyszał już co najmniej pięćdziesiąt razy wszystko, co Asmodean miał do powiedzenia o Przeklętych. Tak często, że chwilami miał nawet wrażenie, że od zawsze już wiedział to, co tamten mu opowiada. Czasami żałował, iż się w ogóle o pewnych rzeczach dowiedział — na przykład co tym, co Semirhage uważała za zabawne — a czasami niektóre nie miały dlań sensu. Demandred przeszedł na stronę Cienia, ponieważ zazdrościł Lewsowi Therinowi Telamonowi? Rand nie potrafił sobie wyobrazić, jak można zazdrościć komuś aż tak, by zrobić coś takiego. Asmodean twierdził, że jego uwiodła myśl o nieśmiertelności, o wiecznej muzyce Wieków, utrzymywał, iż przedtem był znanym kompozytorem. Nie miało to sensu. Jednak w tej masie mrozącej często krew w żyłach wiedzy może spoczywać klucz do przetrwania Tarmon Gai'don. Niezależnie od tego, co powiedział Moiraine, zdawał sobie sprawę, że prędzej czy później będzie im musiał stawić czoło. Opróżnił puchar i postawił go na posadzce. W winie nie utopi się faktów.

Kurtyna z paciorków zagrzechotała, spojrział przez ramię na wchodzących właśnie *gai'shain*, milczących, w bieli. Niektórzy zaczęli zbierać jedzenie i puchary, które wcześniej przyniesiono dla niego i wodzów, jeden mężczyzna podszedł z wielką srebrną tacą do stołu. Stały na niej przykryte naczynia, srebrny pucharek oraz dwa wielkie fajansowe dzbany w zielone paski. W jednym zapewne znajdowało się wino, w drugim zaś woda. Kobieta *gai'shain* przyniosła połączoną lampę, już zapaloną, i ustawiła ją obok tacy. Na niebo za oknami z wolna wypełzały czerwono-złote barwy zachodu, na krótki czas między żarem a niemalże mrozem powietrze stanie się łagodne i miłe.

Rand powstał, kiedy ostatni *gai'shain* opuścił pomieszczenie, ale nie poszedł za nimi.

— Co myślisz o moich szansach podczas Ostatniej Bitwy, Nataelu?

Asmodean, który właśnie wyciągał wełniany koc w czerwono-niebieskie paski spod swych poduszek, zawahał się i spojrział na niego, z przekrzywioną w charakterystycznej dla siebie manierze głową.

— Znalazłeś... coś... na placu, gdyśmy się tam spotkali.

— Zapomnij o tym — ochryple powiedział Rand. Nie jedno, lecz dwa. — Zniszczyłem to zresztą.

Wydawało mu się, że ramiona Asmodeana odrobinę zadrgały.

— A więc... Czarny... pożre cię żywcem. Jeżeli zaś chodzi o mnie, mam zamiar otworzyć sobie żyły tej samej chwili, gdy dowiem się, że wy dostał się na wolność. Jeżeli będę miał szansę. Szybka śmierć to najlepszy los, jaki może mnie czekać. — Odrzucił na bok koce i siadł, ponuro wpatrując się w przestrzeń. — To w każdym razie lepsze niż szaleństwo. Teraz grozi mi to w takim samym stopniu, jak tobie. Zerwałeś więzi, które mnie uprzednio chroniły. — W jego głosie nie było gorczy, tylko bezradność.

— A co, jeśli istnieje jakiś inny sposób, by ochronić się przed działaniem skazy? — dopytywał się Rand. — Być może da się ją jakoś usunąć? Czy wówczas dalej miałbyś ochotę się zabić?

Szczekliwy śmiech Asmodeana przepełniony był bezmierną gorczą.

— Niech mnie Cień porwie, ty chyba naprawdę zaczynasz myśleć, że jesteś jakimś przeklętym Stwórcą! Jesteśmy martwi. Obaj. Martwi! Czy jesteś zbyt zaślepiony pychą, aby tego nie dostrzec? Albo nazbyt głupi, ty beznadziejny pasterzu?

Rand nie dał się wciągnąć w sprzeczkę.

— A więc dlaczego nie zrobić tego od razu? — zapytał napiętym głosem.

„Nie byłem na tyle ślepy, by nie dostrzec tego, co zamierzaliście wraz z Lanfear. Nie byłem aż tak głupi, by nie oszukać jej i nie pojmać ciebie”.

— Skoro nie ma nadziei, żadnej szansy, nawet najmniejszej... to dlaczego jeszcze żyjesz?

Wciąż nie patrząc na niego, Asmodean potarł bok nosa.

— Widziałem kiedyś mężczyznę zwisającego z krawędzi zbocza — powiedział wolno. — Krawędź kruszyła się pod jego palcami, i jedyną rzeczą, jakiej mógł się uchwycić, była kępka trawy, kilka długich źdźbeł, korzeniami ledwie trzymających się skały. Tylko dzięki niej mógł wspiąć się z powrotem na zbocze. A więc chwycił ją. — W jego niespodziewanym chichocie nie było śladu wesołości. — Musiał wiedzieć, że go nie utrzyma.

— Uratowałeś go? — zapytał Rand, ale Asmodean nie odpowiedział.

Kiedy Rand ruszył w stronę drzwi, za jego plecami na powrót rozległy się ciche dźwięki *Marsza Śmierci*.

Szurki z paciorkami zagrzecotały za nim, Panny, które czekały w szerokim pustym korytarzu, zwinnie powstały z miejsc. Cała piątka, prócz jednej, była wysoka, choć nie jak na kobiety Aiel. Ich przywódczyni, Adelin, brakowało mniej niż dłoni, by mogła spoglądać mu prosto w oczy. Jedynym wyjątkiem była dziewczyna o płomiennorudych włosach, zwana Enaila, która nie była wyższa od Egwene, i strasznie drażliwa na tym punkcie. Podobnie jak u wodzów klanów, ich oczy były błękitne, szare lub zielone, a włosy — jasnobrazowe, słomiane lub rude — przycięte krótko, wyjąwszy kitkę na sklepieniu karku. Przy pasach miały pełne kołczany, po przeciwnej stronie długie noże, nosiły też na plecach futerały na łuki z rogu. Każda miała przy sobie dwie lub trzy włócznie oraz okrągłą tarczę z byczej skóry. Kobiety Aielów, które nie pragnęły domowego ogniska i dzieci, posiadały swą własną społeczność wojowniczek, *Far Dareis Mai*, Panny Włóczni.

Powitał je krótkim ukłonem, który wywołał uśmiechy na ich twarzach, to nie był obyczaj Aielów, a przynajmniej nie wykonywał go zgodnie z ich zasadami.

— Widzę cię, Adelin — powiedział. — Gdzie jest Joinde? Myślałem, że była z tobą wcześniej. Czy zachorowała?

— Widzę cię, Randzie al'Thor — odparła. Jej bladłosłomiane włosy okalały pociemniałą od słońca twarz, policzek przecinała długa biała blizna. — Cóż, można tak powiedzieć. Przez cały dzień mówiła do siebie, a nie dalej jak godzinę temu poszła złożyć ślubny wianek u stóp Garana z Jhirad Goshien.

Niektóre z pozostałych potrząsnęły głowami, małżeństwo oznaczało konieczność porzucenia włóczni.

— Jutro po raz ostatni będzie jej służył jako *gai'shain*. Joinde jest z Shaarad Czarnych Skał — dodała znacząco. Faktycznie, było to dziwne. Często zawierano małżeństwa z mężczyznami i kobietami, których pojmano jako *gai'shaira*, ale bardzo rzadko między klanami, które dzieliła waśń krwi, nawet waśń krwi zawieszona na jakiś czas.

— To szerzy się niczym jakaś choroba — powiedziała zapalczywie Enaila. Jej głos był równie płomienny jak kolor włosów, — Każdego dnia, od kiedy przyszliśmy do Rhuidean, jedna lub dwie Panny plotą swe ślubne wianki.

Rand skinął głową w geście, który, miał taką nadzieję, mógł uchodzić za współczucie. To była jego wina. Ale któż to wie, ile by przy nim zostało, gdy-

by im powiedział. Być może wszystkie, zatrzymałby je honor, a poza tym nie bały się bardziej niż wodzowie klanów. Jak dotąd przynajmniej były to tylko małżeństwa, nawet Panny mogły uważać małżeństwo za coś lepszego niżli to, czego doświadczyli niektórzy. Może nawet tak myślały.

— Za moment będę gotów pójść z wami — powiedział.

— Będziemy cierpliwie czekać — odparła Adelin. Nieszczególnie przypominało to cierpliwość, sprawiały raczej wrażenie gotowych w każdej chwili do skoku.

Rzeczywiście, tylko chwilę zabrało mu wykonanie tego, co zamierzał, zwiniecie strumieni Ducha i Ognia w klatkę wokół pomieszczenia oraz zaplecenie ich tak, by trzymały się własną mocą. Każdy mógł wejść do środka lub wyjść na zewnątrz — wyjąwszy człowieka, który potrafił przenosić. Dla niego — lub dla Asmodeana — przejście przez te drzwi równało się pokonywaniu ściany zgęstniałych płomieni. On sam przypadkowo odkrył ten splot — oraz fakt, że zablokowany Asmodean był za słaby, aby się przezeń przedostać. Nikt zapewne nie będzie kwestionował poczynań barda, ale na wypadek, gdyby ktoś tak uczynił, Jasim Natael miał w Rhuidean spać jak najdalej od Aielów. Była to decyzja, z którą przynajmniej woźnice i strażnicy Hadana Kadere mogli sympatyzować. Rand dzięki temu dokładnie wiedział, gdzie się tamten znajduje przez całą noc. Panny zaś nie zadawały żadnych pytań.

Odwrócił się. Panny poszły za nim w rozciągniętym szyku, czujne, jakby się spodziewały w każdej chwili ataku. Asmodean wciąż wygrywał swój lament.

Z ramionami wyciągniętymi na boki, Mat Cauthon spacerował po szerokim murze otaczającym wyschłą fontannę, śpiewał głośno, nie zważając na ludzi, którzy przyglądali się mu w zapadającym zmroku.

Będziemy pić wino, aż w kubku ukaże się dno,
i całować dziewczęta, by nie płakały w głos,
rzucimy kości i wybiegniemy w ciemną noc,
żeby zatańczyć z Widmowym Jakiem.

Powietrze zdawało się chłodne po upałach dnia, pomyślał przelotnie o zapięciu swego szykownego zielonego kaftana ze złotym haftem, ale w głowie huczały mu gigantyczne muchy od napitku, który Aielowie nazywali *oosquai*, a myśl ulatywała. Na postumencie w zakurzonej basenie stały białe, kamienne posągi trzech kobiet — wysokie na dwadzieścia stóp i całkowicie nagie. Każdą z nich wyrzeźbiono z dłonią uniesioną ku górze, drugą podtrzymywała ustawiony na ramieniu wielki kamienny dzban, z którego w zamierzeniu budowniczych miała się wylewać woda. Jednej brakowało głowy, dzban innej był roztrzaskany.

Przetańczymy całą noc w księżycu łkaniach,
będziemy huścić dziewczęta na kolanach,

a potem ty odjedziesz ze mną nad ranem,
żeby zatańczyć z Widmowym Jakiem.

— Wesółta pieśń, jeśli weźmie się pod uwagę, że opiewa śmierć! — wykrzyknął jeden z woźniców z ciężkim lugardzkim akcentem. Ludzie Kadere trzymali się razem, z dala od skupionych wokół fontanny Aielów, twardzi mężczyźni o brutalnych twarzach, a przecież każdy z nich uważał, że Aiel może mu poderżnąć gardło za jedno niewłaściwe spojrzenie. Niewiele się zresztą mylili. — Słyszałem, co moja babka opowiadała kiedyś o Widmowym Jaku — ciągnął dalej Lugardczyk o wielkich, odstających uszach. — To nie w porządku śpiewać w ten sposób o śmierci.

Mat mgliście zastanowił się, jaką to właściwie śpiewa piosenkę i skrzywił się. Nikt nie słyszał *Zatańczyć z Widmowym Jakiem* od czasu, gdy padło Adelshar, w jego głowie natomiast wciąż rozbrzmiewały żywe dźwięki buntowniczej pieśni, intonowanej wzdłuż szeregów, kiedy to Złote Lwy podejmowały swoją ostatnią nieudaną szarżę przeciwko otaczającej ich armii Artura Hawkwinga. Przynajmniej nie śpiewał w Dawnej Mowie. Nawet w połowie nie był tak pijany, na jakiego wyglądał, jednak tych czarek *oosquai* było rzeczywiście za dużo. To świństwo wyglądało i smakowało niczym brązowa woda, ale uderzało do głowy jak kopnięcie muła.

„Moiraine może mnie jeszcze zapakować na wóz i odesłać do Wieży, jeśli nie będę bardziej ostrożny. Choć tym sposobem mógłbym się znaleźć dalej od Randa”.

Być może jednak był bardziej pijany, niż mu się wydawało, skoro uznał to za uczciwy układ. Zmienił repertuar na *Druciarza w kuchni*.

Druciarz w kuchni roboty miał nie lada.
Pani na górze błękity swe wkłada. Frunie w dół po schodach, biodrem
kołysze dzielnie,
Druciarzu, ach Druciarzu, napraw mi patelnię.

Niektórzy ludzie Kadere przyłączyli się do pieśni, kiedy tanecznym krokiem wracał na poprzednie miejsce. Aielowie. milczeli, mężczyźni śpiewali tylko wówczas, gdy ruszali w bój albo lamentowali po poległych w walce, natomiast Panny śpiewały tylko w swoim towarzystwie.

Na murze przycupnęli dwaj Aielowie, gdyby nie odrobinę zaszkłone oczy, nie zdradzałyby żadnych oznak działania *oosquai*. Chętnie by wrócił tam, gdzie jasny kolor oczu stanowi rzadkość, dorastał, nie widząc innych oczu niżli piwne lub czarne, wyłączając oczywiście Randa.

Na szerokich kamieniach bruku leżało kilka kawałków drewna — stoczone przez robaki nogi i poręcze krzesła — tam nie było gapiów. Obok balustrady fontanny walał się pusty garniec emaliowany na czerwono, nieco dalej stał jeszcze

jeden, w tym jednak było jeszcze trochę *oosquai*, obok spoczywał srebrny kubek. Gra polegała na tym, że najpierw wychylało się kubek, a potem trafiało nożem do podzruczonego w powietrze celu. Żaden z ludzi Kadere i niewielu tylko Aielów odważyłoby się zagrać z nim w kości — wygrywał zdecydowanie za często — a w karty nikt tu grać nie potrafił. Rzucanie nożem miało niby wprowadzić jakąś odmianę, zwłaszcza jeśli piło się przy tym *oosquai*. Nie wygrywał równie często jak w kości, ale w basenie spoczywało już z pół tuzina zdobnych złotych kubków, dwa dzbany, bransolety i naszyjniki wysadzone rubinami, kamieniami księżycowymi i szafirami, a oprócz nich garść monet. Jego kapelusz z płaskim denkiem oraz dziwna włócznia o czarnym drzewcu leżały obok wygranych. Niektóre wygrał od Aielów. Chętniej płacili łupami niżli dźwięczącą monetą.

Kiedy nagle przestał śpiewać, Corman, jeden z Aielów siedzących na balustradzie, spojrzął w jego stronę. Biała blizna przecinali mu nos.

— Rzucasz nożem niemal tak dobrze jak kośćmi, Matrimie Cauthon. Czy na tym skończymy? Zaczyna już brakować światła.

— Światła jest jeszcze dużo. — Mat zerknął na niebo, blade cienie pokrywały już prawie całą dolinę Rhuidean, ale niebo było jeszcze na tyle jasne, że wszystko odcinało się wyraźnie na jego tle. — W takich warunkach mogłaby rzucać nawet moja babka. Ja potrafiłbym z zamkniętymi oczyma.

Jenric, drogi z Aielów, potoczył wzrokiem po obserwatorach.

— Czy są tu jakieś kobiety? — Był zbudowany niczym niedźwiedź i uważał się za niezwykle bystrego. — Mężczyzna mówi tak tylko wtedy, gdy w pobliżu są kobiety, na których chce wywrzeć wrażenie.

Rozproszone wśród tłumu Panny śmiały się równie głośno jak pozostali, być może nawet głośniejsz.

— Myślisz, że nie potrafię? — wymruczał Mat, zrywając z szyi czarną szarfę, którą nosił od czasu, gdy został powieszony. — Krzyknij tylko „już”, kiedy rzucisz, Corman.

Pośpiesznie zawiązał szarfę wokół głowy tak, że zasłoniła mu oczy, i wyciągnął z rękawa jeden ze swoich noży. W ciszy, która go nagle otoczyła, najgłośniejszym dźwiękiem były oddechy widzów.

„Trzeźwy? Jestem tak trzeźwy, jak smyczek od skrzypiec”.

I nagle poczuł swoje szczęście, poczuł jego napływ tak samo, jak wtedy, gdy wiedział dokładnie, jakie oczka pokażą kości, mimo iż jeszcze nie przestały się toczyć. Miał nawet wrażenie, że dzięki niemu rozjaśniło mu się trochę w głowie.

— Rzucaj — mruknął spokojnie.

— Już — zawołał Corman i ramię Mata odskoczyło najpierw w tył, a potem do przodu.

W absolutnej ciszy głuchy odgłos stali uderzającej w drewno zabrzmiał równie głośno, jak następujący wkrótce po nim stukot przedmiotu, który upadł na bruk.

Nikt nie powiedział ani słowa, dopóki nie zsunął szarfy na szyję. Kawałek poręczy krzesła, nie większy niż jego dłoń, leżał w samym centrum wolnej przestrzeni, ostrze trafiło prosto w środek. Wyglądało na to, że Corman postarał się, by on miał jak najmniejsze szanse. Cóż, wcale nie określił, jaki ma być cel. Zdał sobie nagle sprawę, że nawet nie ustalił stawki.

Wreszcie jeden z ludzi Kadere wykrzyknął:

— Szczęście Czarnego, nie ma co!

— Szczęście to koń, którego można osiągnąć jak każdego innego — powiedział do siebie Mat. Niezależnie od tego, skąd się brało. Co wcale nie znaczyło, że wiedział, skąd on bierze swoje szczęście, on tylko próbował je dosiąść najlepiej, jak potrafił.

Mimo iż powiedział to prawie szeptem, Jenric usłyszał i marszcząc brwi, zapytał:

— Powtórz, coś ty powiedział, Matrimie Cauthon?

Mat już otworzył usta, aby powtórzyć, i natychmiast zamknął je na powrót, przypomniawszy sobie wypowiedziane słowa. *Sene sovyaba donde ain dovinya*. Dawna Mowa.

— Nic — wymamrotał. — Mówiłem tylko do siebie.

Gapie zaczęli się powoli rozchodzić.

— Światła jest już chyba za mało, by ciągnąć dalej tę zabawę.

Corman oparł stopę na kawałku drewna, wyswobodził ostrze i wręczył nóż Matowi.

— Może innym razem, Matrimie. Cauthon, innego dnia.

W taki sposób Aie'lowie mówili „nigdy”, kiedy nie chcieli powiedzieć tego wprost.

Mat pokiwał głową, wsuwając ostrze do jednej z pochew w rękawie, tak samo było tamtego dnia, gdy wyrzucił sześć szóstek dwadzieścia trzy razy z rzędu. Nie miał właściwie powodu, by ich obwiniać. Nie tylko o szczęście tu chodziło. Zauważył z delikatnym ukłuciem zazdrości, że żaden z Aielów nie zachwiał się nawet nieznacznie, gdy dołączali do odchodzących.

Mat przecesał dłonią włosy i usiadł ciężko na balustradzie. Wspomnienia, kiedyś rozproszone w jego głowie niczym rodzynki w cieście, obecnie zwały się z jego własnymi. Częścią swego umysłu wiedział doskonale, że urodził się w Dwu Rzekach dwadzieścia lat temu, ale równocześnie pamiętał wyraźnie, jak prowadzi oskrzydłający atak, dzięki któremu odparto trolloki pod Maighande, tańczy na dworze Taramandewin i setki innych rzeczy, tysiące. Głównie bitwy. Pamiętał, jak umierał więcej razy, niżli wolałby pamiętać. Nie było już żadnych szwów czy przerw między żywotami, nie potrafił odróżnić własnych wspomnień, jeśli się dobrze nie zastanowił.

Nałożył kapelusz z szerokim rondem na głowę, dziwną włócznię położył na kolanach. Zamiast zwyczajnym ostrzem była zakończona czymś, co wygląda-

ło jak dwustopowa klinga miecza, oznaczona parą kruków. Lan powiedział, że włócznię tę wykonano za pomocą Jedynej Mocy podczas Wojny z Cieniem, czyli Wojny o Moc, Strażnik twierdził, iż nigdy nie potrzebuje ostrzenia i że nigdy się nie złamie. Mat stwierdził, że nie uwierzy w te zapewnienia, chyba że go zmuszą. Mogła sobie przetrwać trzy tysiące lat, ale on i tak niewielkim zaufaniem obdarzał Moc. Wzdłuż czarnego drzewca biegł pochyły napis w Dawnej Mowie, z obu stron zamknięty sylwetką kruka, wypełniony jakimś metalem ciemniejszym od drewna. Oczywiście potrafił go bez trudu odczytać.

Tak brzmią słowa naszego traktatu, oto zawarliśmy umowę
Myśl jest strzałą czasu, pamięć nigdy nie ginie.
To, o co się prosi, jest dane. Zapłacono cenę.

Jedną z szerokich ulic można było dojść do skweru znajdującego się w odległości jakiejś pół raili, który w wielu miastach byłby uważany za ogromny. Handlarze Aielów na noc odeszli, ale zostawili swe stragany, wykonane z tej samej szarobrazowej wełny co ich namioty. Setki handlarzy ściągały do Rhuidean ze wszystkich stron Pustkowia na największe święto, jakie kiedykolwiek zdarzyło się w dziejach Aielów, i z każdym dniem przybywało ich coraz więcej. Handlarze należeli do pierwszych, którzy zamieszkali w mieście.

Mat obserwował skwer, bo nie chciał patrzeć w przeciwną stronę, w stronę wielkiego placu. Widział sylwetki wozów Kadere, czekających na jutrzejszy załadunek. Tego popołudnia na jeden z nich załadowano to coś, co wyglądało jak wykoślawiona futryna drzwi, Moiraine skrupulatnie przypilnowała, by ją mocno przywiązano.

Nie miał pojęcia, co ona właściwie o tych odrzwiach wiedziała — nie miał też zamiaru jej pytać, wołał by w ogóle zapomnieć, że on żyje, chociaż na to akurat szanse były niewielkie — nie wątpił jednak, iż sam wie więcej. Przeszedł przez nie, głupiec poszukujący odpowiedzi na pytania. W zamian dostał głowę pełną cudzych wspomnień. Oraz śmierć. Zaciśnął szarfę ściślej wokół szyi. I jeszcze dwie inne rzeczy. Srebrny medalion w kształcie lisiej głowy, który nosił pod koszulą, oraz trzymaną właśnie na kolanach broń. Niewielka rekompensata. Przesunął dłonią po napisie. „Pamięć nigdy nie ginie”. Poczucie humoru tych ludzi z drugiej strony odrzwi było odpowiednie raczej dla Aielów.

— Czy potrafiłbyś tak za każdym razem?

Gwałtownie podniósł głowę i zobaczył obok siebie jakąś Pannę. Wysoka, nawet jak na Aiela, być może wręcz wyższa do niego, miała włosy o barwie złota, a oczy koloru jasnego nieba o poranku. Starsza od niego, być może nawet i dziesięć lat, ale to nigdy go nie zraziło. Niemniej jednak była to *Far Dareis Mai*.

— Jestem Melindhra — ciągnęła dalej — ze szczepu Junai. Czy potrafiłbyś tak za każdym razem?

Minęła dłuższa chwila, zanim zrozumiał, że miała na myśli ten rzut nożem. Wymieniła swój szczep, ale nie klan. Aielowie nigdy tak nie postępowali. Chyba że... Musiała być jedną z tych Panien Shaido, które się przyłączyły do Randa. Nigdy nie zrozumiał do końca, o co chodzi z tymi społecznościami, ale aż za dobrze pamiętał, że Shaido również i w niego wymierzili swe włócznie. Couladin nie cierpiał nikogo, kto związany był z Randem, a czego nienawidził Couladin, nienawidzili także Shaido. Z drugiej strony Melindhra przyszła tutaj, do Rhuidenan. Panna. A jednak na jej ustach błąkał się nieznaczny uśmiech, spojrzenie zaś lśniło kusząco.

— Na ogół mi się udaje — oznajmił zgodnie z prawdą. Nawet kiedy go nie czuł, jego szczęście można było określić jako znaczne, kiedy natomiast czuł, było wielkie. Uśmiechnęła się szeroko, jakby myślała, że się przechwala. Kobiety zazwyczaj orzekały, czy kłamałeś, zupełnie nie zwracając uwagi na fakty. Jednakże jeśli cię lubiły, to albo o to nie dbały, albo stwierdzały, iż najbardziej bezczelne kłamstwo jest prawdą.

Panny potrafiły być niebezpieczne, niezależnie od tego, do jakiego należały klanu — wszystkie kobiety potrafiły być niebezpieczne, przekonał się o tym na własnej skórze — ale oczy Melindhry zdecydowanie nie spoglądały na niego obojętnie.

Poszperał w swoich wygranych i wyciągnął naszyjnik zrobiony ze złotych spiral, w każdej tkwił ciemnoniebieski szafir, największy był tak duży, jak staw jego kciuka. Pamiętał jeszcze — gdy sięgał do własnej pamięci — czasy, kiedy spociałby się na widok najmniejszego z tych kamieni.

— Będą pasowały do twoich oczu — powiedział, wkładając ciężki naszyjnik w jej dłonie. Nie zauważył dotąd, by Panny nosiły tego typu świecidełka, lecz z doświadczenia wiedział, że wszystkie kobiety lubią biżuterię. I, co dziwne, niemal równie mocno lubiły kwiaty. Tego nie potrafił zrozumieć, jednak gdyby go zapytać, przyznałby, że rozumie kobiety w jeszcze mniejszym stopniu niż swoje szczęście, albo to, co zdarzyło się po drugiej stronie tamtych krzywych drzwi.

— Piękna robota — powiedziała, unosząc go do oczu. — Przyjmuję twoją propozycję.

Naszyjnik zniknął w sakwie, którą miała przymocowaną do pasa. Potem nachyliła się, zsuwając mu kapelusz na tył głowy.

— Masz piękne oczy. Przypominają wypolerowane kocie oczy. — Odwróciła się, usiadła na balustradzie, opłotła kolana ramionami i zaczęła mu się przyglądać. — Moja siostra włóchni opowiadała mi o tobie.

Mat nasunął kapelusz z powrotem na miejsce i przyjrzał jej się ostrożnie spod szerokiego ronda. Co ona jej naopowiadała? I o jaką „propozycję” chodzi? To tylko naszyjnik. Zaproszenie zniknęło z jej oczu, przypominała teraz kota wpatrzonego w mysz. Na tym polegał cały kłopot z Pannami Włóchni. Czasami trudno było orzec, czy chcą zatańczyć z tobą, pocałować cię czy zabić.

Ulica powoli pustoszała, cienie pogłębiały się — mimo to rozpoznał Randa, idącego ulicą, z fajką sterczącą z ust. Zapewne był jedynym człowiekiem w Rhuidean, który przechadzał się w towarzystwie oddziału *Far Dareis Mai*.

„Są przy nim zawsze — pomyślał Mat. — Strzegą go niczym stado wilczyc. Skacząc na każdy jego rozkaz”.

Niektórzy mężczyźni mogliby mu tego pozazdrościć. Ale nie Mat. W każdym razie nie zawsze. Gdyby to było stadka dziewcząt takich jak Isendre, wówczas...

— Przepraszam cię na moment — pośpiesznie zwrócił się do Melindhry. Oparł włócznię o wysoki mur otaczający fontannę i pobiegł. W głowie wciąż mu szumiało, lecz nie tak głośno jak poprzednio i nie zataczał się już. Nie troszczył się o swoje wygrane. Aielowie mieli ściśle określone poglądy na temat tego, co dozwolone — zdobycie łupów podczas napadu było jedną rzeczą, kradzież zupełnie czymś innym. Ludzie Kadere nauczyli się trzymać ręce przy sobie, od czasu jak jednego z nich przyłapano na kradzieży. Po chłóście, która krwawymi pręgami naznaczyła go od stóp do głów, został odesłany. Jeden worek z wodą, który pozwolono mu zabrać, z pewnością nie wystarczył na całą drogę do Muru Smoka, nawet gdyby wygnaniec miał na sobie jakiegokolwiek odzienie chroniące przed upałem. Teraz ludzie Kadere nie podnieśliby nawet miedziaka leżącego na ulicy.

— Rand?

Tamten szedł dalej w otoczeniu swej eskorty.

— Rand?

Nie znajdował się nawet w odległości dziesięciu kroków, ale mimo to nie drgnął. Niektóre z Panien obejrzały się za siebie, Rand nie. Mat poczuł nagle chłód, który nie miał nic wspólnego z nadciągającym wieczorem. Zwilżył wargi i odezwał się dużo ciszej niż poprzednio.

— Lews Therin.

I Rand się odwrócił. Mat niemal pożałował, że tak się stało.

Przez czas jakiś stali tylko, patrząc na siebie w półmroku. Mat wahał się, czy podejść bliżej. Usiłował sobie wmówić, że to z powodu Panien. Była wśród nich Adelin, jedna z tych, które nauczyły go gry zwanej Pocałunkiem Panny, gry, której chyba nigdy nie zapomni i w którą nigdy więcej nie miałby już ochoty zagrać, gdyby miał w tej sprawie coś do powiedzenia. Czuł również spojrzenie Enaili niczym świder borujący mu czaszkę. Któż mógłby przypuszczać, że ta kobieta zachowa się jak oliwa dolana do ognia tylko dlatego, iż powiedział jej, że jest najśliczniejszym kwiatuszkiem, jaki zdarzyło mu się spotkać w życiu.

Jednak tak naprawdę chodziło o Randa. On i Rand dorastali razem. W Polu Emonda, on, Rand i jeszcze Perrin, czeladnik kowalski, polowali razem, razem łowili ryby, włączyli się po Piaskowych Wzgórzach, docierając niekiedy aż do Gór Mgły, obozowali pod gwiazdami. Rand był wtedy jego przyjacielem. A teraz mógł rozłupać mu głowę, wcale nie mając takiego zamiaru. Perrin omal nie zginął przez Randa.

Zmusił się, by podejść do niego na odległość wyciągniętej ręki. Rand był wyższy od niego niemalże o głowę, a w półmroku wczesnego wieczoru zdawał się jeszcze większy. I zimniejszy niż kiedyś.

— Ostatnio dużo myślałem, Rand. — Wolałby, żeby jego głos tak bardzo nie chrypiał. Miał nadzieję, że Rand tym razem zareaguje na swoje właściwe imię. — Długo już przebywam poza domem.

— Obu nas to męczy — odrzekł cicho Rand. — Tyle czasu minęło.

Nagle zaśmiał się, niezbyt głośno, ale prawie tak samo, jak kiedyś.

— Zateśniłeś za dojeniem krów swego ojca?

Mat podrapał się za uchem i też lekko uśmiechnął.

— Nie o to chodzi. Pomyślałem sobie, że mógłbym się zabrać z wozami Kadere.

Rand nie odpowiadał przez dłuższą chwilę. Kiedy ponownie się odezwał, po przelotnej wesołości nie pozostało ani śladu.

— Do samego Tar Valon?

Teraz z kolei Mat się zawahał.

„On nie wydałby mnie w ręce Moiraine. A może jednak tak?”

— Być może — odrzekł ostrożnie. — Jeszcze nie wiem. Tam właśnie chciałaby mnie widzieć Moiraine. A może skorzystam z okazji i wrócę do Dwu Rzek. Sprawdźmy, czy w domu wszystko w porządku.

„Zobaczyłbym, czy Perrin żyje. Moje siostry, ojciec i matka”.

— Wszyscy robimy to, co musimy robić. Zazwyczaj wcale nie to, co chcemy. To, co musimy.

Dla Mata brzmiało to jak wymówka, jakby Rand prosił go o zrozumienie. Tylko, że on już kilka razy zrobił to, co musiał.

„Nie mogę winić go za Perrina. Nikt mnie, do cholery, nie zmuszał, bym szedł za nim jak tresowany pies!”

To też nie była cała prawda. Został zmuszony. Tylko nie przez Randa.

— Ty nie będziesz... powstrzymał mnie przed odejściem?

— Nie będę ci radził, czy masz odejść, czy zostać, Mat — powiedział Rand zmęczonym głosem. — To Koło splata Wzór, nie ja, a Koło obraca się tak, jak chce.

Na cały świat, mówił jak przeklęta Aes Sedai! Na poły gotowy do odejścia, Rand dodał jeszcze:

— Nie ufaj Kadere, Mat. W pewnym sensie jest to najbardziej niebezpieczny człowiek, jakiego spotkałeś w życiu. Nie ufaj mu nawet na jotę, bo możesz się obudzić z poderżniętym gardłem, a ty i ja nie będziemy jedynymi, którzy tego pożałują.

Potem odszedł w dal ulicy pośród gęstniejącego mroku, tuż za nim szły Panny niczym wilki w trop.

Mat odprowadził go wzrokiem. Ufać kupcowi?

„Nie zaufałbym Kadere, nawet gdyby siedział w zawiązanym worku”.

A więc to nie Rand spleta Wzór? Na pewno? Zanim się przekonali, że Proctwa w jakikolwiek sposób dotyczą ich samych, dowiedzieli się. wcześniej, że Rand jest *ta'veren*, jedną z tych rzadkich jednostek, które, miast biernie dawać się wciągać we Wzór, zmuszają go, by kształtował się wokół nich. Mat rozumiał, na czym polega bycie *ta'veren*, sam był jednym z nich, chociaż nie tak silnym jak Rand. Czasami Rand wywierał przemożny wpływ na ludzkie żywoty, zmieniał ich bieg, po prostu tylko dlatego, że akurat przebywał w tym samym mieście. Perrin też jest *ta'veren* — albo może był. Moiraine uważała za znaczące, że trzech młodzieńcy, którzy wychowywali się w jednej wiosce, okazali się *ta'veren*. Miała zamiar wciągnąć ich do swych planów. niezależnie od tego. na czym polegały.

To miało być coś wspaniałego — do *ta'varen*, o których Mat dotąd słyszał, należeli tacy mężczyźni jak Artur Hawkwing albo takie kobiety jak ta Mabriam en Shereed, która podobno stworzyła Konwencję Dziesięciu Narodów po Pęknięciu Świata. Jednak żadna z opowieści nie mówiła, co się staniu, gdy jeden *ta'varen* przebywa w pobliżu innego, równie silnego jak Rand. To przypominało uczucie, że jest się liściem, który wpadł w wir wodny.

Podeszła do niego Melinhra, podała mu jego włócznię oraz ciężki, kanciasty worek, głośno poszczękujący.

— Zebrałam twoje wygrane. — Naprawdę była wyższa od niego o dobre dwa calu. Spojrzała w ślad za Randem. — Słyszałam, że byłeś prawie-bratem Randa al'Thora.

— Można tak chyba powiedzieć — rzekł oschle.

— To nie jest ważne — odparła lekceważąco i skupiła na nim swój wzrok, wspierając pięści na biodrach. — Zwróciłeś na siebie moją uwagę, Macie Caution, ponieważ dałeś mi dar szacunku. Nie ma, oczywiście, mowy, bym porzuciła dla ciebie włócznię, ale już od wielu dni nie spuszczam cię z oka. Robisz miny jak chłopiec, który zamierza jakąś psotę. Podoba mi się to.

W zapadającym zmroku jej uśmiech zdawał się leniwy i szeroki. I pełen ciepła.

— Podobają mi się twoje oczy.

Mat wybił denko swego kapelusza, nie wiedząc, co począć z rękoma. Od ściągającego do ściganego, i to w mgnieniu oka. Z kobietą Aiel mogło się właśnie tak zdarzyć. W szczególności, gdy w grę wchodziła Panna.

— Czy imię Córka Dziewięciu Księżyców coś dla ciebie oznacza?

Było to pytanie, które czasem zadawał kobietom. Odpowiedź twierdząca zapewne sprawiłyby, że dzisiejszej nocy opuściłby Rhuidean, nawet gdyby miał podjąć próbę pokonania Pustkowiec pieszo.

— Nic — odrzekła. — Ale są rzeczy, które miałabym ochotę robić przy księżycu.

Otoczyła ramieniem jego plecy, zdjęła mu kapelusz i zaczęła szeptać do ucha. Po krótkim czasie zaczął się uśmiechać jeszcze szerzej niż ona.

ZMIERZCH

Rand, w towarzystwie eskorty *Far Dareis Mai*, zbliżał się do Dachy Panien w Rhuidean. Białe schody zajmujące całą szerokość wysokiego budynku, ze stopniami głębokości kroku, wiodły do grubych, skręconych spiralnie kolumn, które w zapadającym zmroku sprawiały wrażenie czarnych, mimo iż za dnia były jasnoniebieskie. Fronton budowli pokrywała mozaika z glazurowanych płytek, ułożonych w białe i błękitne na pozór nie kończące się spirale oraz wielkie, umieszczone dokładnie nad kolumnami okno z witrażem z kolorowego szkła, przedstawiającym ciemnowłosą kobietę, wysoką na piętnaście stóp, w kunsztownie skrojonych szatach, z prawą dłonią podniesioną jakby w błogosławieństwie lub wezwaniu, by się zatrzymać. Twarz miała jednocześnie spokojną i surową. Nie była z pewnością Aielem, wykluczały to jasna skóra i ciemne oczy. Zapewne, Aes Sedai. Rand postukał fajką o obcas buta i wsunął ją do kieszeni kaftana, potem ruszył w górę schodów.

Z wyjątkiem *gai'shain* mężczyznom nie pozwalano wchodzić pod Dach Panien, żadnemu mężczyźnie, we wszystkich siedzibach całego Pustkowia. Wódz lub powinowaty któregoś z Panien mógłby zostać zabity, gdyby spróbował, aczkolwiek żadnemu Aielowi nie przysłoby to nawet do głowy. To samo zresztą dotyczyło wszelkich społeczności wojowników, do środka wpuszczano jedynie członków oraz *gai'shain*.

Dwie wysokie Panny trzymały wartę przy wielkich drzwiach z brązu, rozmawiały migotliwą mową palców i błyskały oczyma w jego stronę, kiedy wędrował przez kolumnadę, a potem jeszcze nieznacznie uśmiechnęły się do siebie. Żałował, że nie rozumiał, co sobie przekazały. Nawet w tak suchym klimacie, jaki panuje w Pustkowie, brąz matowieje z upływem czasu, jednak *gai'shain* polerowali te drzwi tak długo, aż zaczęły wyglądać jak nowe. Były szeroko otwarte, dwie zaś wartowniczkę nie zrobiły nic, by go zatrzymać, kiedy przestąpił próg, wiodąc za sobą Adelin i pozostałe.

Szerokie korytarze wyłożone białymi płytami i przestronne izby pełne były Panien, siedziały na kolorowych poduszkach, rozmawiały, opatrywały broń, grały w kocia kołyskę, kamienie albo w Tysiąc Kwiatów, grę Aielów, która polegała na układaniu wzorów z płaskich kamiennych elementów, z setkami, jak się zdawało,

symboli wyrzeźbionych z jednej strony. Wśród nich uwijali się liczni *gai'shain*, którzy czyścili, usługiwali, naprawiali, pilnowali, by w lampach oświetlających wnętrza nie zabrakło oliwy. Lampy były najrozmaitsze, jedne proste, ceramiczne, inne pozlęcane, zdobyte na jakiejś wojennej wyprawie, a także wysokie lampy stojące, znalezione w mieście. Posadzki i ściany większości izb pokrywały kolorowe dywany i jaskrawe gobeliny. Na ścianach i sufitach pyszniły się mozaiki przedstawiające lasy, rzeki i barwy nieba, jakich próżno szukał w Pustkowiu.

Młode czy stare, Panny jednak uśmiechały się na jego widok, niektóre po ufale kiwały doń głowami, a nawet poklepywały po ramieniu. Inne zagadywały, pytając, jak się ma, czy jadł coś, czy chce, by *gai'shain* przynieśli mu wino lub wodę. Odpowiadał zdawkowo, chociaż zawsze z uśmiechem. Ma się dobrze, nie jest ani głodny, ani spragniony. Nie przerywał jednak swego marszu, nie zwalniał nawet wtedy, gdy odpowiadał na pytania. W przeciwnym razie z pewnością wkrótce musiałby przystanąć, a nie miał na to ochoty dzisiejszego wieczoru.

Far Dareis Mai zaadoptowały go, o ile tak można powiedzieć. Niektóre traktowały go jak syna, inne niczym brata. Wiek zdawał się nie mieć z tym nic wspólnego, kobiety o włosach całkowicie siwych mogły przy herbacie traktować go po bratersku, podczas gdy Panny starsze od niego tylko o rok próbowały mu matkować, sprawdzając na przykład, czy włożył odpowiedni ubiór na panujący upał. Nie dało się tego uniknąć — po prostu tak się zachowywały i oprócz użycia Mocy przeciwko całej ich gromadzie, nie przychodził mu do głowy żaden pomysł, jak im w tym przeszkodzić.

Zastanawiał się już, czy jakaś inna społeczność nie mogłaby dostarczyć mu osobistych strażników — być może *Shae'en M'taal*, czyli Kamienne Psy, albo *Aethan Dor*, Czerwone Tarcze, Rhuarc należał do Czerwonych Tarcz zanim został wodzem klanu — tylko jaki tu podać przekonujący powód? Nie mógł, rzecz jasna, powiedzieć prawdy. Robiło mu się nieswojo nawet na samą myśl, że miałby wszystko wyjaśnić Rhuarkowi, Aielowie mieli szczególne poczucie humoru, w tym przypadku nawet Han, mimo wiecznie kwaśnej miny, zapewne zrywałby boki ze śmiechu. Zresztą i tak pewnie nie wymyśliłby wystarczającego usprawiedliwienia, którym by nie obraził śmiertelnie wszystkich Panien. Przynajmniej nie starały się mu matkować publicznie, robiły to jedynie pod Dachem, gdzie nikt tego nie widział prócz nich samych, a *gai'shain* doskonale wiedzieli, że nie wolno im opowiadać o niczym, co się tutaj działo. „Panny” — powiedział pewnego razu — „strzegą mego honoru”. Wszyscy to zapamiętali, same Panny zaś były z tego tak dumne, jakby zaoferował im wszystkie trony świata. Ostatecznie okazało się, że to one decydują, jak będą go strzec.

Adelin i pozostała czwórka zostawiły go i przyłączyły się do przyjaciółek, ale gdy wspinał się po schodach na wyższe piętra, nie mógł narzekać na samotność. Właściwie na każdym kroku musiał odpowiadać na te same pytania. Nie, nie jest głodny. Tak, wie, że jeszcze nie nawykł do upału, i nie, nie spędził zbyt dużo czasu

na słońcu. Znosił to wszystko cierpliwie, ale nie mógł powstrzymać westchnienia ulgi, kiedy dotarł na drugie piętro, położone ponad wysokim oknem. Tutaj nie było już żadnych Panien i żadnych *gai'shain*, ani na szerokich korytarzach, ani na schodach wiodących wyżej. Nagie ściany i puste komnaty podkreślały tylko nieobecność ludzi, ale po pokonaniu niższych pięter samotność zdała mu się błogosławieństwem.

Jego sypialnia mieściła się w pozbawionej okien komnacie, nieomal w samym sercu budynku i stanowiła jedno z nielicznych pomieszczeń, które nie przerażały swym ogromem. Nie miał pojęcia, co znajdowała się tutaj pierwotnie, komnatę zdobiła jedynie mozaika winorośli otaczająca niewielki kominek. Można by przypuszczać, że było to kiedyś pomieszczenie dla służby, ale, w takich nie instalowano przecież drzwi z brązu, nawet pozbawianych wymyślnych zdobień, drzwi te zresztą przez większość czasu trzymał zamknięte. *Gai'shain* wypolerowali metal, dzięki czemu lśnił teraz ciemnym blaskiem. Na niebieskich płytach posadzki walało się kilka poduszek ozdobionych chwostami, na nich się siadało, do spania zaś służył gruby siennik ułożony na stercie dywaników. Obok „łóżka” stał prosty dzban z niebieskiej ceramiki oraz ciemnozielony kubek. Wraz z dwoma trójramiennymi wysokimi lampami, już zapalonymi, oraz stosem książek w kącie stanowiły całość umeblowania. Zmęczony legł na sienniku, nie zdejmując kaftana i butów, wiercił się, szukając dogodnej pozycji, jednak nie było mu na nim bardziej miękko niż na nagiej posadzce.

Chłód nocy wślizgiwał się powoli do pomieszczenia, ale nie chciało mu się wstać i zapalić wyschłego krowiego łajna zgromadzanego w palenisku kominka — wolał raczej stawić czoło zimnu, niżli wachać ten zapach. Asmodean próbował mu pokazać najprostszy sposób na ogrzanie pomieszczenia, niby prosty, a jednak tamtemu również nie udało się go zastosować. Rand sam spróbował go kiedyś wykorzystać, obudził się w środku nocy, ledwie łapiąc oddech, podczas gdy brzegi dywaników tliły się już od żaru podłogi. Po raz drugi nie ryzykował.

Zamieszkał w tym budynku, ponieważ był cały i stał blisko wielkiego placu: wysokie sufity stwarzały wrażenie chłodu nawet w najbardziej upalne godziny dnia, a grube ściany powstrzymywały najgorszy ziąb nocy. Początkowo nie był to oczywiście Dach Panien. Dopiero któregoś ranka obudził się i stwierdził, że Panny zajęły wszystkie izby na dwóch pierwszych piętrach i ustawiły przy wejściu swe straże. Minęło trochę czasu, zanim zrozumiał, iż przeznaczyły ten budynek na swój Dach w Rhuidean i że bynajmniej nie oczekują, iż on się wyprowadzi. W rzeczy samej gotowe były ruszyć za nim, dokądkolwiek by się przeniósł, dlatego właśnie musiał się spotykać z wodzami klanów w innym miejscu. Zdołał uzyskać jedynie tyle, że zgodziły się nie wchodzić na jego piętro, kiedy spał, śmiechem z tego nie było końca.

„Nawet *Car'a'carn* nie jest królem” — przypomniał sobie gniewnie.

Dwukrotnie przeprowadzał się na coraz wyższe piętra, w miarę jak podwajała

się liczba Panien. Czasami się zastanawiał, ile ich musiałoby jeszcze przybyć do Rhuidean, by on wyniósł się na dach.

To było lepsze niż rozpamiętywanie, że pozwolił Moiraine zaleźć sobie za skórę. Nie miał zamiaru wtajemniczać jej w swoje plany, dopóki Aielowie nie wyjdą z Rhuidean. Wiedziała dokładnie, jak manipulować jego uczuciami, jak rozniewać go do tego stopnia, żeby powiedział więcej, niż pragnął.

„Nigdy dotąd nie byłem taki wściekły. Dlaczego tak trudno mi powściągać emocje?”

Cóż, i tak nie mogła go w żaden sposób powstrzymać. Przynajmniej tak mu się wydawało. Musi jednak pamiętać o zachowaniu ostrożności w jej obecności. Im więcej potrafił, tym bardziej stawał się beztrojski, nawet jeśli był od niej dużo silniejszy, ona i tak wciąż więcej wiedziała, nawet pomimo nauk Asmodeana.

O wiele mniej istotne było zdradzenie się ze swoimi zamiarami przed Asmodeanem niż przed Aes Sedai.

„Dla Moiraine jestem wciąż prostym pasterzem, którym ona może powodować zgodnie z celami Wieży, natomiast dla Asmodeana tylko gałęzią, której on może się przytrzymać pośród wszechogarniającej powadzi”.

Mogło się to wydawać dziwne, że prawdopodobnie bardziej ufa jednemu z Przeklętych, niżli może wierzyć Moiraine. Choć żadnemu z dwojga i tak nie mógł zaufać bez reszty. Asmodean. Skoro więzi z Czarnym chroniły go przed działaniem skazy *saidina*, to w takim razie musiał istnieć jakiś inny sposób na zbudowanie takiej osłony. Albo na oczyszczenie Źródła.

Problem polegał na tym, że Przeklęci, po przejściu na stronę Cienia, należeli do najsilniejszych Aes Sedai Wieku Legend, kiedy to rzeczy, o jakich Biała Wieża nawet nie śniła, działały się na porządku dziennym. Jeżeli Asmodean nie znał sposobu, to być może dlatego, że takowy nie istniał.

„Musi istnieć. Jakiś musi. Nie mam zamiaru tylko siedzieć w miejscu i czekać, aż oszaleję i umrę”.

To była czysta głupota. Proroctwo naznaczyło mu spotkanie przy Shayol Ghul. Kiedy, nie wiedział, ale po nim już nie będzie musiał się przejmować swoim szaleństwem. Zadrzał i pomyślał o rozwinięciu koców.

Delikatny odgłos butów z miękkimi podeszwami w korytarzu sprawił, że poderwał się na równe nogi. Mówiłem im! Jeżeli nie mogą!... Kobieta z naręczem koców, która otworzyła drzwi, nie była kimś, kogo się spodziewał.

Aviendha zatrzymała się zaraz po wejściu do pokoju i zmierzyła go chłodnym spojrzeniem zielononiebieskich oczu. Co najmniej piękna, równa mu wiekiem, była kiedyś Panną, właściwie jeszcze niedawno, zanim nie porzuciła włóczni, żeby zostać Mądrą. Ciemnorude włosy wciąż nie sięgały jej nawet do ramion i prawie nie potrzebowały zwiniętej brązowej szarfy, którą przewiązywała je, aby nie wpadały do oczu. Wyraźnie nie przyzwyczyła się jeszcze do brązowego szala, jej ruchy zaś w szarych sukniach były trochę nazbyt niecierpliwe.

Poczuł ukąszenie zazdrości, gdy zobaczył, że jej szyję otacza srebrny naszyjnik — misternie wykonany szereg kręgów, z których każdy był inny.

„Kto jej go dał?”

Na pewno nie wybrała go sama, zdawała się nie lubić biżuterii. Oprócz naszyjnika jedyną ozdobą, którą nosiła, była szeroka bransoleta z kości słoniowej, wyrzeźbiona z najdrobniejszymi szczegółami w pąki róż. Był to prezent od niego i do teraz nie był pewien, czy mu to wreszcie przebaczyła. W każdym razie zazdrość z jego strony była aktem głupoty.

— Nie widziałem cię od dziesięciu dni — zaczął. — Myślałem, że Mądre przywiążą cię do mojego ramienia, kiedy przekonają się, że uniemożliwiłem im wstęp do moich snów.

Asmodean był rozbawiony, kiedy się dowiedział, jaka jest pierwsza rzecz, której pragnie się nauczyć, a potem sfrustrowany, że Rand potrzebuje na to tyle czasu.

— Ja się uczę, Randzie al’Thor. — Miała być jedną z nielicznych Mądrych, które potrafią przenosić, między innymi tego właśnie się uczyła. — Nie jestem jedną z waszych kobiet z mokradeł, która by cały czas stała obok ciebie, byś mógł na nią spojrzeć, kiedy tylko zechcesz.

Znała Egwene, a także Elayne, ale wciąż miała dziwnie wypaczone poglądy na temat zachowań kobiet z innych części świata — jak mawiała z mokradeł — i w ogóle mieszkańców mokradeł jako takich.

— Nie spodobało im się to, co zrobiłeś. — Miała na myśli Amys, Bair i Melaine, trzy Mądre wędrujące po snach, które ją uczyły i starały się go bezustannie obserwować. Aviendha ponuro pokręciła głową. — Szczególnie były niezadowolone, gdy zdradziłam ci, że one wędrują po twoich snach.

Zagapił się na nią.

— Powiedziałaś im? Ale przecież ty niczego mi nie zdradziłaś. Sam się tego domyśliłem, nawet nie potrzebne mi były twoje wskazówki. Aviendha, one same powiedziały mi, że potrafią rozmawiać z ludźmi w snach. Pozostawało tylko wyciągnąć wnioski.

— Czy chcesz jeszcze bardziej powiększać mój dyshonor? — Jej głos był pozbawiony wyrazu, ale oczy mogły zapalić paliwo zgromadzone na palenisku. — Nie zrezygnuję ze swego honoru ani dla ciebie, ani dla żadnego innego mężczyzny! Ja naprowadziłam cię na trop, którym poszedłeś i nie będę się wypierała swej winy. Powinnam pozwolić, byś zamarł.

Rzuciła mu koce, prawie prosto na głowę.

Wyplątał się z nich i położył obok siebie na sienniku, cały czas się zastanawiając, co powiedzieć. Znowu chodziło o *ji’e’toh*. Ta kobieta kłuła niczym krzak cierniowy. Pierwotnie miała uczyć go obyczajów Aielów, ale wiedział, że jej prawdziwa rola polega na szpiegowaniu go i donoszeniu Mądrym. Ujma na honorze, jaką przynosiło według Aielów uprawianie szpiegostwa, najwyraźniej nie dotyczyła Mądrych. Wiedziały, że on wie, ale z jakichś powodów zdawały się tym nie

przejmować, a dopóki chciały, by sprawy dalej toczyły się tym torem, nie miał powodów, by protestować. Po pierwsze, Aviendha nie była szczególnie wytrawnym szpiegiem, właściwie to nie próbowała nigdy niczego odkrywać, a poza tym nie manipulowała jego gniewem albo poczuciem winy w taki sposób. W jaki czyniła to Moiraine. Po drugie, czasami była naprawdę miłą towarzyszką, kiedy zapominała o swojej niechęci do niego. Przynajmniej wiedział, kim jest osoba, którą Amys i pozostałe napuściły na niego, gdyby nie ona, znalazłby się ktoś inny, a on bez przerwy zastanawiałby się, kto by to mógł być. Poza tym nie przebywała cały czas w jego towarzystwie.

Mat, Egwene, nawet Moiraine czasami patrzyli na niego jak na Smoka Odrodzonego albo w najlepszym razie jak na niebezpiecznego mężczyznę, który potrafi przenosić. Wodzowie klanów i Mądre widzieli Tego Który Przychodzi Ze Świtem, człowieka, któremu Proroctwa zwiastowały, że połamie Aielów niczym suche gałązki, jeżeli nawet nie czuli przed nim lęku, to jednak czasami traktowali go, jakby był czerwoną żmiją, z którą przyszło im żyć. Aviendha natomiast, niezależnie od tego, co w nim widziała, dokuczała mu zawsze, kiedy tylko miała ochotę, to znaczy przez większość czasu.

Dziwne, ale w porównaniu ze sposobem, w jaki traktowali go inni, rzeczywistość przynosiło to ulgę. Tęsknił za nią. Zrywał nawet kwiaty z jakichś ciernistych krzewów wokół Rhuidean — pokaleczył sobie palce do krwi, zanim zrozumiał, że może przecież użyć Mocy — i posyłał je do niej, Panny same zanosily kwiaty, miast wyryć się *gai'shain*. Oczywiście ani razu ich nie przyjęła.

— Dziękuję ci — powiedział na koniec, dotykając koców. Wydawało się, że koce to temat bezpieczny. — Noce tutaj są takie zimne, że nigdy ich chyba za wiele.

— Enaila poprosiła mnie, żebym ci je przyniosła, kiedy się dowiedziała, że idę się z tobą spotkać. — Kąciki jej ust zadrgały, jakby zwiastując uśmiech rozbawienia. — Spora część siostr włóczy obawia się, że może ci nie być dosyć ciepło nocami. Mam dopilnować, byś rozpałił na noc ogień, poprzedniej nocy tego nie zrobiłeś.

Rand poczuł jak czerwienieją mu policzki. Wiedziała.

„Cóż, na to chyba nie ma sposobu? Te przekłete Panny być może nie mówią jej już wszystkiego, ale też nic nie tajają specjalnie”.

— Dlaczego chciałaś się ze mną zobaczyć?

Ku jego zaskoczeniu zaplotła ramiona na piersiach i dwukrotnie przemierzyła komnatę, zanim przystanęła wreszcie, by spojrzeć na niego groźnie.

— To nie był podarunek szacunku — zaczęła oskarżycielskim tonem, potrząsając mu przed oczyma bransoletą. — Sam to przyznałeś.

To prawda, ale przecież wydawało mu się, że jeśli tego nie zrobi, to ona wsadzi mu nóż między żebra.

— Głupi podarunek od mężczyzny, który nie wiedział ani się nie przejmował

tym, co moje... co, siostry włóczni mogą sobie pomyśleć. Cóż, to teraz nie ma już znaczenia. — Wyciągnęła coś z sakwy i rzuciła na siennik obok niego. — To anuluje mój dług względem ciebie.

Rand podniósł rzucony przez nią przedmiot i obrócił go w dłoniach. Była to ozdobna sprzączka do pasa w kształcie smoka, wykonana z dobrej stali inkrustowanej złotem.

— Dziękuję ci. Jest piękna. Aviendha, nie było żadnego długu, który należałoby spłacać.

— Wyrzuc to, jeśli tego nie chcesz — oznajmiła twardo. — Znajdę coś innego, żeby spłacić dług. To zwykłe świecidełko.

— Trudno to nazwać zwykłym świecidełkiem. Musiałaś to u kogoś zamówić.

— Nie sądz, że to coś znaczy, Randzie al'Thor. Kiedy ja... porzuciłam włócznię, moje włócznie, mój nóż... — nieświadomie przesunęła dłonią po pasie w miejscu, gdzie zazwyczaj wisiał nóż o długim ostrzu — ...nawet groty moich strzał zostały mi odebrane i oddane kowalowi, aby zrobił z nich jakieś proste, przydatne przedmioty, które mogłabym porozdawać. Większość dałam przyjaciołom, ale Mądre zmusiły mnie, abym wymieniła trzech mężczyzn i trzy kobiety, których najbardziej nienawidzę i kazały mi osobiście dać każdemu z nich podarek wykonany z mojej broni. Bair powiedziała, że to lekcja pokory.

Z tym wściekłym wzrokiem i wyprostowanymi plecami, gdy tak wypluwała każde słowo, nie wyglądała ani trochę na pokorną.

— A więc nie myśl, że to cokolwiek znaczy.

— To nic nie znaczy — zgodził się, smutno kiwając głową. Nie, żeby chciał, aby to coś znaczyło, naprawdę, ale przyjemnie byłoby pomyśleć, że może zaczyna powoli widzieć w nim przyjaciela. Zazdrość o nią była doprawdy czystą głupotą. „Ciekawe, kto jej go dał?”

— Aviendha? Czy ja należę do tych, których najbardziej nienawidzisz?

— Tak, Randzie al'Thor. — Nie wiadomo dlaczego nagle zachrypla. Na moment odwróciła twarz, przymknęła powieki i zadrżała. — Nienawidzę cię z całego serca. Tak właśnie. I zawsze będę cię nienawidzić.

Nawet nie spytał dlaczego. Już raz zapytał ją kiedyś, dlaczego go nie lubi i omal nie dostał po nosie. Ale nawet wtedy mu nie powiedziała. A przecież czasami zdawała się zapominać o swej niechęci.

— Jeżeli naprawdę mnie nienawidzisz — rzekł z wahaniem — to poproszę Mądre, aby przysłały kogoś innego, żeby mnie uczył.

— Nie!

— Ale jeśli ty...

— Nie! — Jeżeli to w ogóle możliwe, jej odmowa tym razem była jeszcze gorętsza. Wsparła pięści na biodrach i cedziła słowa, jakby chciała każde wbić mu do głowy. — Nawet jeśli Mądre pozwoliłyby mi przestać się z tobą spotykać, mam swój *toh*, zobowiązania względem mojej prawie-siostry, Elayne, aby

pilnować ciebie dla niej. Należysz do niej, Randzie al'Thor. Do niej i żadnej innej kobiety. Pamiętaj o tym.

Ręce mu już opadały. Przynajmniej tym razem nie próbowała mu opisywać, jak Elayne wygląda bez ubrania, do niektórych obyczajów Aielów trzeba było się przyzwyczajać znacznie dłużej niżli do innych. Czasami zastanawiał się, czy ona i Elayne naprawdę zawarły jakąś umowę dotyczącą tej „obserwacji”. Nie potrafił w to uwierzyć, ale z kolei trudno było zrozumieć nawet te kobiety, które nie były Aielami. Co więcej, zastanawiał się także, przed kim niby miała go chronić Aviendha. Wyjawszy Mądre i Panny Włóczni, kobiety Aielów przypatrywały się mu na poły tak, jakby był przepowiednią obleczoną w ciało, a więc czymś nie do końca realnym, na poły zaś jakby był węzłem wpuszczanym między bawiące się dzieci. Mądre były niemalże równie paskudne jak Moiraine w tym zmuszaniu go do postępowania zgodnie z ich życzeniami, a o Pannach w ogóle nie chciał myśleć. Wszystko to obudziło w nim furie.

— To teraz ty mnie posłuchaj. Pocałowałem kilka razy Elayne i sędzę, że to jej się podobało w takim samym stopniu jak mnie, ale nie jestem przyobiecany nikomu. Nie jestem nawet pewien, czy ona jeszcze mnie chce. — W ciągu kilku godzin napisała do niego dwa listy, w jednym nazywała go najdroższym światłem swego serca, zanim przeszła do rzeczy, które sprawiły, że czerwienił się po same uszy, w drugim wyzwała go od nieczułych łotrów i oznajmiła, że nigdy więcej nie chce go widzieć na oczy, następnie oczerniła go dużo lepiej niż kiedykolwiek Aviendha. Kobiety były bezsprzecznie nie do pojęcia. — W każdym razie i tak nie mam czasu teraz myśleć o kobietach. Jedyne, o czym nie potrafię przestać myśleć, to zjednoczenie Aielów, nawet Shaido, jeśli mi się uda. Ja. . .

Zamilkł w pół słowa, gdy do izby weszła naprawdę ostatnia kobieta, jaką spodziewałby się tu zobaczyć. Pobrzękując biżuterią, niosła srebrną tacę, na której stał dzban z dętego szkła wypełniony winem i dwa srebrne pucharki.

Przezroczysta szarfa z czerwonego jedwabiu udrapowana wokół głowy Isendre nie skrywała jej pięknej, bladej twarzy w kształcie serca. Takich długich, ciemnych włosów oraz czarnych oczu nie miał żaden Aiel. Pełne, lekko wyduńte wargi kusiły — dopóki nie dostrzegła Aviendhy. Wtedy jej uśmiech zmienił się w coś doprawdy paskudnego. Oprócz szarfy zdobiło ją kilkanaście przynajmniej naszyjników ze złota i kości słoniowej, niektóre wysadzone perłami i oszlifowanymi kamieniami. Na każdym nadgarstku lśniło po kilka bransolet, jeszcze więcej kołysało się u kostek. I na tym koniec, poza tym nie miała na sobie już nic więcej. Próbował nie spuszczać wzroku z jej twarzy, ale nawet wtedy czuł, jak pałają mu policzki.

Aviendha przypominała burzową chmurę spęczniałą od błyskawic, natomiast Isendre wyglądała tak, jakby właśnie się dowiedziała, że ma być ugotowana żywcem. Rand zaś żałował, że nie znajduje się w Szczelinie Zagłady, czy też gdziekolwiek indziej, byle nie tutaj. A jednak podniósł się z siennika, tylko w ten sposób

— spoglądając na nie z góry — mógł sobie dodać odrobinę autorytetu.

— Aviendha — zaczął, ale zignorowała go.

— Czy ktoś cię z tym przysłał? — zapytała lodowatym głosem.

Isendre otworzyła usta, chcąc skłamać, lecz zdołała tylko przełknąć ślinę i wyszeptać:

— Nie.

— Ostrzegano cię przed tym, *sorda* — Tak Aielowie nazywali pewien gatunek szczurów, szczególnie według nich podstępnych i nie nadających się absolutnie do niczego, ich skóra tak cuchnęła, że nawet koty rzadko na nie polowały. — Adelin sądziła, że ostatnio czegoś cię nauczyła.

Isendre wzdrygnęła się i zachwiała, jakby miała zemdleć.

Rand wziął się w garść.

— Aviendha, czy ona została tu przysłana czy nie, nie ma znaczenia. Jestem trochę spragniony, a jeśli okazała się na tyle uprzejma, by przynieść mi wino, należą jej się za ta podziękowania. — Aviendha spojrzała chłodno na dwa pucharki i uniosła brew. Rand zrobił głęboki wdech. — Nie należy jej karać za to, że przyniosła mi coś da picia. — Starał się przy tym nie patrzeć na tacę. — Połowa Panien pytała mnie, czy...

— Ona została przyłapana przez Panny na kradzieży ich dóbr, Randzie al'Thor. — Głos Aviendhy stał się teraz lodowaty. — Już i tak za bardzo się mieszasz w sprawę *Far Dareis Mai*, więcej niż ci wolno. Nawet *Car'a'carn* nie może przeszkadzać w wymierzaniu sprawiedliwości, to nie powinno cię wcale interesować.

Skrzywił się — i postanowił nic nie mówić. Cokolwiek zrobiły jej Panny, Isendre z pewnością sobie zasłużyła. Nie tylko na to. Przyjechała do Pustkowia z Hadnanem Kadere, ale Kadere nawet nie mrugnął okiem, kiedy Panny ukarały ją za kradzież biżuterii, którą zresztą miała teraz na sobie za cały ubiór. Rand mógł dokonać tylko tyle, że nie pozwolił jej przegnać do Shary, spętanej niczym koza, albo odprawić nago w kierunku Muru Smoka z jednym tylko workiem na wodę, nie potrafił stać spokojnie z boku, gdy błagała o łaskę. Już raz w życiu zabił kobietę, kobietę, która chciała go zamordować, ale jej obraz wciąż płonął w jego pamięci. Nie przypuszczał, by kiedykolwiek był zdolny zrobić to ponownie, nawet gdyby od tego zależało jego życie. Głupi pomysł, zwłaszcza jeśli wziąć pod uwagę, że nie miał co liczyć, by Przekłete zawahały się przed rozlaniem jego krwi lub nawet czymś znacznie gorszym, tak jednak właśnie myślał. A jeśli nie potrafiłby zabić kobiety, to jak mógł stać i przyglądać się jej śmierci? Nawet jeśli sobie zasłużyła?

Na tym właśnie polegał dylemat. W każdej krainie na zachód od Muru Smoka Isendre czekała szubienica lub topór kata, biorąc pod uwagę wszystko, co o niej wiedział. O niej, o Kadere i zapewne o większości ludzi kupca, o ile nie dotyczyło to wszystkich. Byli Sprzymierzeńcami Ciemności. On jednak nie mógł ich wydać

w ręce sprawiedliwości. Nawet jeśli oni wiedzieli, że on wie.

Gdyby się któryś objawił jako Sprzymierzeniec Ciemności... Isendre wytrzymała wszystko najlepiej, jak potrafiła, nawet los służącej i chodzenie przez cały czas nago były bowiem lepsze od wystawienia na palące promienie słońca ze związanymi rękoma i nogami, ale nikt by niczego nie zataił, gdyby się dostał w ręce Moiraine. Aes Sedai nie litowała się nad Sprzymierzeńcami Ciemności bardziej niż inni, w krótkim czasie rozwiązałyby im języki. A Asmodean przyjechał do Pustkowia w wozie kupca jako jeszcze jeden Sprzymierzeniec Ciemności, wiedzieli to przynajmniej Kadere i jego ludzie, którzy nadto orientowali się co do jego wysokiej rangi. Bez wątplenia sądzili, iż zgodził się na służbę u Smoka Odrodzonego motywowany rozkazami jakiejś wyższej instancji. Aby zatrzymać swego nauczyciela, aby powstrzymać Moiraine przed niechybną próbą zabicia ich obu, Rand musiał utrzymywać wszystko w tajemnicy.

Na szczęście nikt się nie dopytywał, dlaczego Aielowie nie spuszczają oka z kupca oraz jego ludzi. Moiraine sadziła, że zazwyczaj są tak podejrzliwi względem wszystkich obcych, którzy przybywali do Pustkowia, a podejrzliwość wzmacniała jeszcze ich obecność w Rhuidean, musiała użyć wszystkich swoich środków perswazji, aby pozwolono Kadere wprowadzić wozy do miasta. Podejrzliwość w takim przypadku była zapewne normą, Rhuarc oraz pozostali wodzowie prawdopodobnie sami rozstawiliby warty, gdyby Rand a to nie poprosił. A Kadere był wyraźnie zachwycony, iż nikt jeszcze nie przebił mu włócznią serca.

Rand nie miał pojęcia, jak rozwiązać tę sytuację. Czy w ogóle to potrafi. Niezłe zamieszanie. W opowieściach bardów jedynie szubrawcy znajdowali się w takim położeniu.

Aviendha z powrotem przeniosła swój wzrok na drugą kobietę, pewna już, że on nie będzie się wtrącał.

— Możesz zostawić wino.

Isendre prawie przyklękła z gracją, gdy stawiała tacę obok siennika, a na jej twarzy zagościł szczególnie grymas. Rand dopiero po chwili zrozumiał, że ona próbuje się doń tak uśmiechnąć, by Aviendha tego nie zauważyła.

— A teraz pobiegiesz do pierwszej Panny, którą napotkasz- ciągnęła dalej Aviendha — i powiesz jej, co zrobiłaś. Biegnij, *sorda!*

Jęcząc i załamując ręce, Isendre wybiegła. Kiedy tylko znalazła się za drzwiami, Aviendha odwróciła się do niego. — Należysz do Elayne! Nie wolno ci uwodzić żadnych kobiet, a zwłaszcza takich!

— Miałbym ją uwieść? — Randowi aż dech zaparło ze zdumienia. — Myślisz, że ja... Uwierz mi, Aviendha. Gdyby była ostatnią kobietą na ziemi, trzymałbym się od niej tak daleko, jak tylko się da.

— Tak tylko mówisz. — Parsknęła. — Została wychłostana siedem razy... siedem!... za próbę wślizgnięcia się do twego łóżka. Nie zachowywałyby się w ten sposób, gdybyś jej nie zachęcał. *Far Dareis Mai* wymierzyły jej sprawiedliwość

i to nie powinno obchodzić nawet *Car'a'carna*. Potraktuj to jako lekcję na temat naszych obyczajów. I pamiętaj, że należysz do mojej prawie-siostry.

Wyszła z izby, nie dając mu dojść do słowa: na widok wyrazu jej twarzy przestraszył się, że Isendre nie przeżyje tego dnia, jeśli Aviendha ją dogoni.

Wypuścił długo wstrzymywany oddech i odstawił tacę oraz wino w najbardziej odległy kąt pomieszczenia. Nie miał zamiaru pić niczego, co mu przyniosła Isendre.

„Siedem razy próbowała do mnie dotrzeć?”

Musiała się dowiedzieć, że wstawił się za nią, bez wątpienia wyciągnęła stąd wniosek, iż skoro zrobił tyle za powłóczyście spojrzenie i uśmiech, to cóż uczyni dla niej za coś więcej? Na samą myśl zadrżał. Raczej wpuściłby skorpiona do łóżka. Jeżeli Panny jej nie przekonają, ta chyba powie jej, co wie. na jej temat, powinna wtedy skończyć z tymi podstępami.

Zgasił lampy i odszukał w ciemnościach swój siennik, a potem wpełzł pod koce, w butach i całkowicie ubrany. Wiedział, że ponieważ jednak nie rozpałił ognia, do rana będzie jeszcze dziękował Aviendzie za te koce. Niemal automatycznie ustawił tarcze Ducha, które strzegły jego snów przed niechcianymi gośćmi, ale mimo iż robił to już po raz nie wiadomo który, znowu zachichotał. Powinien wrócić do łóżka, a dopiero potem zgasić lampy za pomocą Mocy. Nigdy mu nie przyszło do głowy, że właśnie te najprostsze rzeczy można wykonywać przy użyciu Mocy.

Leżał, czekając, aż ciepło ciała rozgrzeje wnętrze koców. Nie potrafił pojąć, jak ta możliwe, że w tym samym miejscu może być tak gorąco za dnia i tak przeraźliwie zimno w nocy. Wsunął jedną dłoń pod kaftan i lekko dotknął na poły zagojonej rany w boku. Ta rana, której Moiraine nie potrafiła nigdy całkowicie uzdrowić, kiedyś go zabije. Nie mogło być najmniejszych wątpliwości. Jego krew na skałach Shayol Ghul. Tak właśnie mówiły Proroctwa.

„Ale jeszcze nie tej nocy. Nie będę teraz o tym myślał. Jeszcze zostało mi trochę czasu. Ale skoro pieczęcie można rozłupać nożem, to czy trzymają równie mocno jak kiedyś... ? Nie. Nie dzisiaj”.

Pod kocami zrobiło się trochę cieplej, a on, wierząc się, bezskutecznie szukał wygodniejszej pozycji.

„Powinienem się umyć” — pomyślał, zapadając w sen. Egwene przypuszczała, że znajduje się teraz w gorącym namiocie parowym. Prawie za każdym razem, kiedy on próbował z niego skorzystać, zawsze znajdowała się grupka Panien, które chciały razem z nim wejść do środka — i ze śmiechu niemalże tarzały się po ziemi, gdy nalegał, by pozostały na zewnątrz. Wystarczająco niewygodne było już rozbieranie się i ubieranie w kłębach pary.

Sen w końcu nadszedł, a wraz z nim marzenia senne, bezpiecznie strzeżone, zarówno przed Mądrymi, jak i przed wszystkimi innymi. Tylko przed własnymi myślami nie potrafił się uchronić. Trzy kobiety bezustannie zakłócały jego spo-

kój. Nie Isendre, choć pojawiła się na moment w koszmarze, który go omal nie obudził. Na zmianę były to Elayne, Min i Aviendha. Razem i osobno. Tylko Elayne czasami spoglądała na niego jak na mężczyznę, wszystkie trzy jednak widziały w nim tego, kim był, nie zaś to czym był. Z wyjątkiem tamtego koszmaru pozostałe sny były raczej przyjemne.

WŚRÓD MĄDRYCH

Egwene stała tak blisko, jak się tylko dało, maleńkiego ogniska, które płonęło dokładnie pośrodku namiotu, a mimo to trzęsła się, nalewając wodę z napełnionego po brzegi imbryka do szerokiej misy w niebieskie paski. Opuściła wprawdzie boczne klapy namiotu, ale chłód przenikał do wnętrza przez grube warstwy kolorowych dywaników, ułożonych na ziemi i wydawało się, że cały żar buchający z ogniska ucieka przez otwór kominowy w dachu, pozostawiając jedynie woń płonącego krowiego nawozu. Nie mogła powstrzymać szczękania zębami.

Para zaczynała już rzednąć, na krótki moment objęła *saidara* i przeniosła Ogień, żeby podgrzać wodę. Amys i Bair zapewne umyłyby się w zimnej, nawet jeśli zazwyczaj korzystali z kąpieli parowych.

„Przecież ja nie jestem taka zahartowana jak one. Nie wychowałam się w Pustkowiu. Nie muszę chyba zamarzać na śmierć i myć się w zimnej wodzie, jeśli nie mam na to ochoty”.

Namydliła szmatkę kostką lawendowego mydła, które kupiła od Hadnana Kadere, nadal przepełniona poczuciem winy. Mądre wcale nie żądały, by postępować inaczej, ale i tak miała wrażenie, że oszukuje.

Uwolnwszy Prawdziwe Źródło, westchnęła z żalem. Dygotała z zimna i jednocześnie śmiała się cicho ze swej głupoty. To cudowne uczucie, które towarzyszyło napływowi Mocy do jej wnętrza, zdumiewającemu potokowi życia i świadomości, było już samo w sobie niebezpieczne. Im więcej *saidara* się czerpało, tym bardziej się tego pragnęło, brak samodyscypliny mógł ostatecznie sprawić, że ilość przenoszanej Mocy przekraczała możliwości danej osoby, która w wyniku tego albo umierała, albo sama się ujarzmiła. I doprawdy nie było w tym nic śmiesznego.

„To jeden z twoich największych błędów — skarciła się w duchu. — Powinnas się umyć w zimnej wodzie, to cię nauczy dyscypliny wewnętrznej”.

Tylko że tyle było rzeczy, których należało się nauczyć, czasami miała wrażenie, że życia nie starczy. Jej nauczycielki, zarówno Mądre, jak i Aes Sedai w Wieży, były zawsze takie ostrożne, trudno się było powstrzymać, skoro wszak wiedziała, iż pod wieloma względami prześcignęła je już dawno.

„One nawet nie mają pojęcia, ile potrafię”.

Znienacka owiał ją silny strumień lodowatego powietrza, który jednocześnie rozdmuchał kłęby dymu z ogniska po całym wnętrzu namiotu, a jakiś kobiecy głos powiedział:

— Wybacz, proszę. . .

Egwene aż podskoczyła i mimo woli pisnęła przeraźliwie, zanim udało jej się wyszczekać:

— Opuść klapę! — Objęła ramionami swe drżące ciało. — Wejdz do środka i opuść wreszcie klapę!

Tyle starań, żeby się ogrzać, a teraz znowu od stóp do głów pokryła ją gęsia skórka!

Odziana w białą szatę kobieta wczółgała się do namiotu na czworakach i opuściła klapę. Miała spuszczone oczy, dłonie bojaźliwie złożone, gdyby Egwene ją uderzyła, zamiast tylko na nią nakrzyczeć, zachowywałaby się tak samo.

— Wybacz, proszę — powiedziała cicho — przysłała mnie Mądra Amys, mam cię przyprowadzić do namiotu-łaźni. Egwene jęknęła głośno, żałując, że nie może wleźć do ogniska.

„Oby Bair szczęła w Światłości, a wraz z nią jej upór!”

Gdyby nie siwowłosa Mądra, mogłyby mieszkać w komnatach miasta, nie zaś w namiotach na jego skraju.

„Mogłabym mieć izbę z przyzwoitym kominkiem. I drzwiami”.

Gotowa była się założyć, że Rand nie musiał tolerować ludzi, którzy nachodzili go, kiedy tylko chcieli.

„Ten cholerny Smok, Rand al’Thor, tylko pstryknie, a Panny zaraz skaczą dookoła niego jak dziewczki służebne. Założę się, że znalazły dla niego jakieś łóżko zamiast tego nędznego legowiska na ziemi”.

Była przekonana, że każdego wieczoru zażywa ciepłej kąpieli.

„Na pewno Panny co wieczór targają wiadra pełne gorącej wody do jego izby. Założę się, że znalazły nawet odpowiednią, miedzianą wannę”.

Amys, a nawet Melaine były skłonne wysłuchać sugestii Egwene, ale gdy wtrąciła się Bair, ustąpiły niczym *gai’shain*. Egwene przypuszczała, że w obliczu tych wszystkich zmian, które wprowadził Rand, Bair pragnęła zachować jak najwięcej dawnych obyczajów, osobiście jednak wolałaby, żeby swą nieugiętość zachowała względem zupełnie innych rzeczy.

Odmowa nie wchodziła w rachubę. Obiecała Mądrym zapomnieć, że jest Aes Sedai — przyszło to łatwo, skoro tak naprawdę wcale nią nie była — i że będzie robić dokładnie to, co jej każą. A to było już znacznie trudniejsze, dostatecznie długo przebywała poza Wieżą, by na powrót stać się panią samej siebie. Amys jednak powiedziała jej stanowczo, iż chodzenie po snach jest niebezpieczne nawet wtedy, jeśli się wie, co należy robić, zagrożenia zaś potęgują się niemalże niewyobrażalnie, gdy tej wiedzy się jeszcze nie posiadało. Jeśli nie okaże się posłuszna w świecie jawy, nie uwierzą, że będzie im posłuszna we śnie i nie będą

mogły przyjąć na siebie odpowiedzialności za jej los. Dlatego razem z Aviendhą wykonywała codzienne posługi, przyjmowała kary z takim wdziękiem, na jaki ją było stać, i skakała, kiedy Amys i Melaine kazały jej udawać żabę. Poniekąd. Żadna z nich nie widziała na oczy żaby.

„Pewnie chcą tylko, żeby im podać herbatę”.

Nie, tego wieczora przypadała kolej na Aviendhę.

Przez jakąś chwilę zastanawiała się, czy nie wdziac pończoch, ale ostatecznie zdecydowała się włożyć buty. Mocne buty, stosowne na Pustkowie, z jedwabnymi kamaszami, które nosiła w Łzie, musiała się raczej rozstać.

— Jak się nazywasz? — spytała, starając się być towarzyska.

— Cowinde — padła posłuszna odpowiedź.

Egwene westchnęła. Próbowwała nawiązywać przyjazne stosunki z *gai'shain*, ale oni na to zupełnie nie reagowali. Nie miała w życiu okazji, by przywyknąć do posiadania służby, choć oczywiście *gai'shain* nie byli tak do końca służącymi.

— Byłaś Panną?

Szybki, zapalczywy błysk ciemnoniebieskich oczu kobiety powiedział jej, że zgadła, szybko jednak ich spojrzenie na powrót utkwiała w ziemi.

— Jestem *gai'shain*. Co było przedtem i będzie potem, nie jest teraz, a tylko to się liczy.

— Z jakiego szczepu i klanu jesteś? — Normalnie nie należało o to pytać, nawet. *gai'shain*.

— Służę Mądrej Melaine ze szczepu Jhirad, z Goshied Aiel.

Egwene, zastanawiająca się właśnie, który z dwóch kaftanów wybrać, ten z brązowej wełny czy pikowany z niebieskiego jedwabiu, który kupiła od Kadere — kupiec wyprzedał wszystko, co miał na swoich wozach, żeby zrobić miejsce dla znaleźsk Moiraine, i to po wyjątkowo okazyjnych cenach — znieruchomiła, aby spojrzeć z ukosa na kobietę. To nie była właściwa odpowiedź. Słyszała, że niektórych *gai'shain* ogarniała swego rodzaju apatia, gdy upływał ich podyktowany obyczajem rok i jeden dzień, jakby po prostu nie chcieli zdjąć szaty.

— Kiedy się kończy twój czas? — spytała.

Cowinde pochyliła się jeszcze niżej, objąwszy rękoma kolana. niemalże zwinęła się w kłębek.

— Jestem *gai'shain*.

— Ale kiedy będziesz mogła wrócić do swego szczepu, siedziby?

— Jestem *gai'shain* — ochryple oznajmiła kobieta, mówiąc jakby do dywaników, które znajdowały się tuż przed jej twarzą. — Ukarz mnie, jeśli ta odpowiedź wywołuje twe niezadowolenie, ale innej ci podać nie mogę.

— Nie bądź głupia — skarciła ją Egwene. — I wyprostuj się. Nie jesteś ropuchą.

Kobieta w białej szacie natychmiast usłuchała i usiadła na piętach, potulnie czekając na następny rozkaz. Tamten krótki, odważny wybuch równie dobrze

mógłby w ogóle nie nastąpić.

Egwene zrobiła głęboki wdech. Ta kobieta poddała się apatii. Postąpiła głupio, ale Egwene nie mogła niczego w tej sprawie zmienić. A zresztą, powinna już pójść do namiotu-łaźni, nie zaś rozmawiać z Cowinde.

Zawahała się, przypomniawszy sobie zimny przeciąg. Tamten lodowaty podmuch sprawił, że dwa wielkie białe kwiaty ułożone w płytkiej misie stuliły płatki. Tak kwitła roślina zwana *segade*, której grube, bezlistne i skórzaste pędy całe jeżyły się od kolców. Tego ranka napotkała Aviendhę, która trzymała te kwiaty w dłoniach i przypatrywała się im, dziewczyna wzdrygnęła się na widok Egwene, po czym wepchnęła jej kwiaty w ręce, twierdząc, że właśnie dla niej je zerwała. Podejrzewała, iż Aviendha miała w sobie jeszcze dużo z Panny, skoro nie chciała się przyznać, że lubi kwiaty. Po zastanowieniu przypomniała sobie jednak, że widywała tę niegdysiejszą *Far Dareis Mai* z kwiatami wplecionymi we włosy tudzież przypiętymi do kaftana.

„Starasz się to odwlec, Egwene al’Vere. Natychmiast przestań być idiotką z wełną zamiast mózgu. Zachowujesz się równie głupio jak Cowinde”.

— Prowadź — powiedziała i ledwie zdążyła narzucić wełniany kaftan na swoje nagie ciało, Cowinde bowiem natychmiast odrzuciła zamaszystym ruchem klapę wejścia namiotu, otwierając ją przed nią i wpuszczając do wnętrza przenikający do szpiku kości chłód nocy.

Na tle ciemnego nieba odznaczały się ostre punkciki gwiazd, świecił jaskrawo księżyc w trzeciej kwadrze. Obozowisko Mądrych rozbite w odległości niecałych dwustu kroków od miejsca, w którym jedna z brukowanych ulic Rhuidean kończyła się twardą popękaną gliną, tworzyły dwa tuziny niskich kopczyków. Cienie rzucane przez księżyc zamieniły miasto w skupisko dziwacznych urwisk i turni. Klapy wszystkich namiotów były opuszczone, powietrze wypełniała mieszanina zapachów ognisk i warzonej na nich stawy.

Pozostałe Mądre spotykały się tu prawie codziennie, noce jednak spędzały wśród swych szczepów. Kilka nawet spało dzisiaj w Rhuidean. Ale nie Bair. Obozowisko znajdowało się w takiej odległości od miasta, na jaką zgodziła się Bair, gdyby nie mieszkał w nim Rand, bez wątpienia nakazałaby rozbić je w górach.

Egwene szła najszybciej, jak mogła, przyciskając płaszcz do ciała. Czuła wnioskujące podeń lodowate macki, które szarpia jej skórę za każdym razem, gdy nagie nogi rozchylają poły. Cowinde musiała podkasać swoją białą szatę do kolan, żeby nadążyć i stosownie iść parę kroków przed nią. Egwene nie potrzebowała, by *gai’shain* wskazywała jej drogę, ale ponieważ kobiecie kazano pójść po nią, naraziłaby ją na wstyd, a może nawet obraźliwą reprimendę, gdyby odprawiła ją wcześniej. Zaciskając szczękające zęby, żałowała, że jej przewodniczka nie biegnie.

Namiot, w którym mieściła się łaźnia parowa, nie różnił się niczym od pozostałych, tak samo niski i szeroki, z opuszczonymi wszystkimi klapami, na dodatek

z zakrytym otworem kominowym. Po ognisku, które rozpalono tuż obok, pozostały tylko rozżarzone węgle, rozsypane na paru kamieniach wielkości ludzkiej głowy. Za mało było światła, żeby określić, czym jest znacznie mniejszy, skryty w cieniu kopczyk obok wejścia do namiotu, Egwene wiedziała jednak, że to równo złożone ubrania kobiet.

Wziąwszy jeden głęboki, lodowaty wdech, pośpiesznie zrzuciła buty, strząsnęła kaftan z ramion i zanurkowała do wnętrza namiotu. Po krótkiej chwili przenikającego dreszczem zimna — zanim zdążyła opaść-klapa przesłaniająca wejście wzięła ją w swe kleszcze gorąca para, wyciskając pot, który w mgnieniu oka okrył jej ciało lśniąca powłoką, podczas gdy ona sama wciąż jeszcze gwałtownie próbowała zaczerpnąć tchu i nie mogła powstrzymać dygotania.

Trzy Mądre, które uczyły ją chodzenia po snach, siedziały na ziemi, nie zważając na zlewający je pot, ich długie do pasa włosy były całkiem wilgotne. Bair rozmawiała z Melaine, której piękne zielone oczy i rudozłote pukle stanowiły rażący kontrast z pomarszczoną twarzą i długimi, siwymi warkoczami starszej kobiety. Amys też miała siwe włosy — a może to tylko ich jasny odcień sprawiał takie wrażenie — ale mimo to nie wyglądała staro. Podobnie jak Melaine potrafiła przenosić — niewiele spośród Mądrych wykazywało takie zdolności — a jej twarz nie była naznaczona piętnem czasu, co przywodziło na myśl Aes Sedai. Moiraine, szczupła i drobna w porównaniu z pozostałymi, wyglądała na równie niewzruszoną, mimo potu, który spływał po jej jasnej, nagiej skórze i przylepiał ciemne włosy do czaszki. Mądre oczyszczały ciała z potu i brudu całego dnia za pomocą cienkich, zakrzywionych blaszek z brązu zwanych *staera*.

Ociekająca Aviendha przykucnęła obok wielkiego, czarnego kociołka wypełnionego rozgrzanyymi, okopconymi kamieniami, który stał dokładnie na środku namiotu, i posługując się parą szczypiec, ostrożnie przeniosła do niego ostatni kamień z mniejszego kociołka. Zrobiwszy to, opryskała kamienie wodą z tykwy, a w powietrze uniosły się kłęby pary. Gdyby z jej winy temperatura w namiocie opadła, zostałaby, w najlepszym przypadku, surowo skarcona. Podczas następnego spotkania Mądrych w łaźni kolej na pilnowanie kamieni przypadała Egwene.

Egwene przysiadła ostrożnie na skrzyżowanych nogach obok Bair — zamiast warstw dywaników, namiot miał tylko kamieniste podłoże, nieprzyjemnie gorąco, nierówne i wilgotne — i przeżyła szok, zauważywszy, że Aviendhę wychłostano i to niedawno. Kiedy dziewczyna ostrożnie zajęła swoje miejsce obok niej, mimo kamiennego wyrazu twarzy nie potrafiła ukryć zażenowania.

Czegoś takiego Egwene się nie spodziewała. Mądre stosowały surowszy reżim od dyscypliny narzucanej w Wieży, a Aviendha przykładła się do nauki przenoszenia z ponurą determinacją. Nie potrafiła wprawdzie, chodzić po snach, ale wkładała tyle samo starań w przyswajanie wszelkich umiejętności Mądrych, co w naukę władania bronią, kiedy jeszcze była Panną. Zdradziwszy Randowi, że Mądre obserwują jego sny, została oczywiście przez nie zmuszona do strawienia

trzech dni na wykopywaniu i zasypywaniu jam w ziemi, głębokich po szyję, ale była to jedna z nielicznych sytuacji, kiedy Aviendha postąpiła niewłaściwie. Amys i pozostałe dwie Mądre tak często stawiały ją za wzór potulnego posłuszeństwa i stosownego hartu ducha, że Egwene miała niekiedy ochotę wrzeszczeć, mimo że Aviendha była jej przyjaciółką.

— Dojście tutaj zabrało ci dużo czasu — zauważyła Bair zrędlwym tonem, podczas gdy Egwene wciąż jeszcze starała się umościć jak najwygodniej. Mówiła cienkim i łamiącym się głosem, który przywodził na myśl trzcinę, ale trzcinę ze stali. Nie przestała przy tym szorować ramion *staerq*.

— Przepraszam — powiedziała Egwene. O właśnie, zabrzmiało to chyba wystarczająco potulnie.

Bair pociągnęła nosem.

— Za Murem Smoka jesteś Aes Sedai, ale tutaj tylko uczennicą, a uczennica nie marnuje czasu. Aviendha pędzi biegiem, kiedy po nią posyłam albo coś jej zlecę, nawet jeśli chcę tylko, by przyniosła mi szpilkę. Stać cię na więcej, a nawet nie wzorujesz się na niej.

Zarumieniona Egwene zmusiła się, by jej głos zabrzmiał pokornie.

— Postaram się, Bair. — Był to pierwszy raz, kiedy któraś z Mądrych porównała ją z kimś w obecności innych osób. Zerknęła ukradkiem na Aviendhę i ze zdziwieniem odkryła, że przyjaciółka zastanawia się nad czymś głęboko. Czasami wolałaby, żeby jej „bliska-siostra” nie zawsze świeciła przykładem.

— Ta dziewczyna nauczy się albo nie, Bair — powiedziała z irytacją Melaine. — Później pouczysz ją o punktualności, o ile jeszcze będzie tego potrzebowała. — Starsza od Aviendhy o nie więcej jak dziesięć, dwanaście lat, mówiła zazwyczaj takim tonem. -jakby miała rzepy pod spódnicami. Może siedziała na kamieniu o wyjątkowo ostrych krawędziach. Bynajmniej nie przesiadłaby się, gdyby tak rzeczywiście było, oczekiwałaby, że to kamień zmieni miejsce. — Powtarzam ci po raz kolejny, Moiraine Sedai, Aielowie idą za Tym Który Przychodzi ze Świtem, nie za Białą Wieżą.

Naturalnie po Egwene spodziewano się, że sama połapie się, o czym one rozmawiają.

— Być może — dodała Amys zimnym tonem — Aielowie będą kiedyś znowu służyli Aes Sedai, ale ten czas jeszcze nie nastąpił, Moiraine Sedai. — Tylko na moment przestała się szorować, czujnie mierząc ją wzrokiem.

Egwene przeczuwała, że do tego dojdzie, teraz, kiedy Moiraine w końcu się dowiedziała, że niektóre Mądre potrafią przenosić. Aes Sedai będą organizowały wyprawy do Pustkowia w poszukiwaniu dziewcząt, które nadają się do nauki, podobnie jak to się działo na całym świecie, z reguły wszystkie, które już posiadały tę umiejętność, trafiały do Białej Wieży. Kiedyś niepokoiła się o los Mądrych, zastraszonych i zdominowanych, wleczonych do Wieży wbrew ich woli, Aes Sedai nigdy nie pozwalały kobiecie, która potrafiła przenosić, przebywać długo samo-

pas poza Wieżą. Przestała się już przejmować, aczkolwiek same Mądre najwyraźniej martwił ten problem. Amys i Melaine dorównywały każdej Aes Sedai siłą woli, co demonstrowały codziennie wobec Moiraine. Bair zapewne potrafiłaby zmusić Sivan Sanche do skakania przez obręcz, a przecież nawet nie potrafiła przenosić.

Bair nie była Mądrą obdarzoną najsilniejszą wolą, skoro już o tym mowa. Ten honor przypadał w udziale starszej od niej Sorilei, ze szczepu Jarra Chareen Aiel. Ta Mądra z Siedziby Shende nie potrafiła przenosić lepiej od większości nowicjuszek, ale umiała za to wysyłać inne Mądre z poleceniami niczym *gai'shain*. I one zgadzały się. Nie, nie było powodu, żeby się przejmować, iż ktoś będzie się zęcał nad Mądrymi.

— To rozumiałe, że chcesz oszczędzić wasze ziemie — wtrąciła Bair — jednak Rand al'Thor najwyraźniej nie zamierza poprowadzić nas po to, byśmy wymierzyli karę. Nikt, kto okaże posłuszeństwo Temu Który Przychodzi ze Świtem i Aielom, nie zazna krzywdy.

A więc o to chodzi.. No przecież.

— Nie zabiegam tylko o to, byście darowali ludziom życie albo oszczędzili ich ziemie. — Moiraine królewskim gestem otarła jednym palcem pot z czoła, jednak w jej głosie pobrzmiwało takie samo napięcie, jak w głosie Melaine. — Skutki będą katastrofalne, jeśli na to pozwolicie. Całe lata misternych planów niebawem winny już wydać owoce, a on chce to wszystko zniszczyć.

— Plany Białej Wieży — powiedziała Amys łagodnie, jakby się z nią zgadzała. — Te plany nie mają nic wspólnego z nami. My, a także inne Mądre, musimy brać pod uwagę dobro Aielów. Dopilnujemy, by Aielowie robili to, co jest dla nich najlepsze.

Egwene zastanawiała się, co by na to powiedzieli wodzowie klanów. Rzecz jasna, często się skarżyli, że Mądre wtrącają się do nie swoich spraw, więc coś takiego zapewne nie stanowiłoby dla nich niespodzianki. Wszyscy wodzowie sprawiali wrażenie mężczyzn inteligentnych i nieugiętych, niemniej jednak była przekonana, że w konfrontacji z Mądrymi mieli tyle samo szans, co Rada Wioski w sporze z Kołem Kobiet w jej rodzinnych stronach.

Tym razem Moiraine miała rację.

— Jeśli Rand. . . — zaczęła Egwene, ale Bair skarciła ją ostro.

— Później wysłuchamy tego, co masz do powiedzenia, dziewczyno. Twoja wiedza dotycząca Randa al'Thora jest cenna, ale zachowaj umiar i słuchaj, dopóki nie każe ci się przemówić. I nie dąsaj się teraz, bo potraktuję cię herbatą z ciernika.

Egwene skrzywiła się. Aes Sedai należało okazać choć odrobinę szacunku, nawet jeśli znajdowała się wśród równych sobie, nawet jeśli była tylko uczennicą. Trzymała jednak język na wodzy, na wszelki wypadek. Bair była zdolna posłać ją po woreczki z ziołami i rozkazać, by przyrządziła sama dla siebie nieprawdopodobnie gorzką herbatę, herbata ta nie leczyła z żadnych dolegliwości, jedynie

ze złego humoru, dąsów, wszystkiego, co mogło się nie podobać Mądrym., mocą samego tylko smaku. Aviendha pocieszająco poklepała ją po ramieniu.

— Uważacie, że dla Aielów to nie będzie katastrofa. — Nadanie swemu głosowi barwy przywodzącej na myśl chłodny strumień w środku zimy musi być trudne, gdy od stóp do głów jest się pokrytym warstwą skroplonej pary i potem, ale Moiraine najwyraźniej nie miała z tym żadnych problemów. — Znowu wybuchnie Wojna o Aiel. Będziecie zabijać, palić i grabić miasta, tak jak wtedy, aż wreszcie zwróciecie wszystkich przeciwko sobie, nie tylko mężczyzn, lecz również kobiety.

— Do piątej części mamy prawo, Moiraine — powiedziała Melaine, przerzucając długie pasma włosów na plecy, by móc szorować *staerą* swe gładkie ramię. Jej włosy, ciężkie i wilgotne od pary, nadal lśniły niczym jedwab. — Nawet mordercom drzew nie zabraliśmy więcej. — Znacząco spojrzała na Moiraine, wszystkie trzy wiedziały, że Aes Sedai pochodziła z Cairhien. — Wasi królowie i królowe biorą tyle samo z podatków.

— A jeśli narody zwrócą się przeciwko wam? — upierała się Moiraine. — Tak się stało podczas Wojny o Aiel. To może się powtórzyć i powtórzy na pewno, z wielkimi ofiarami po obu stronach.

— Nikt z nas nie obawia się śmierci, Aes Sedai — powiedziała jej Amys, uśmiechając się łagodnie, jakby wyjaśniała coś dziecku. — Życie to sen, z którego trzeba się obudzić, zanim znowu będzie można śnić. A poza tym, cztery nasze klany przekroczyły Mur Smoka pod wodzą Janduina. Sześć już tutaj dotarło, a ty powiadasz, że Rand al'Thor zamierza zabrać ich wszystkich.

— Proctwo Rhuidean mówi, że on nas zniszczy. — Iskra w zielonych oczach Melaine mogła być przeznaczona dla Moiraine, a może, wbrew tonom pobrzmiwającym w jej głosie, Mądra nie była wcale. tak przygnębiona treścią przepowiedni. — Jakie to ma znaczenie, czy to się zdarzy tutaj czy po drugiej stronie Muru Smoka?

— Straci poparcie wszystkich krain położonych na zachód od Muru Smoka — stwierdziła Moiraine. Wyglądała na równie opanowaną jak zawsze, jednak ostrzy ton głosu ostrzegał, że jest gotowa gryźć kamienie.

— Ma poparcie Aielów — odpowiedziała jej Bair głosem jednocześnie kruchym i nieugiętym. Podkreśliła znaczenie swych słów, gestykulując cienkim, metalowym ostrzem. — Klany nigdy nie tworzyły jednego narodu, ale on nas zjednoczy.

— Nie pomożemy ci, gdy będziesz próbowała na niego wpłynąć, Moiraine Sedai — dodała równie stanowczo Amys.

— Możesz nas teraz zostawić, Aes Sedai, jeśli tak sobie życzysz — rzekła Bair. — Tej nocy omówiliśmy już wszystko, o czym chciałaś z nami podyskutować. — Niby powiedziała to uprzejmym tonem, a jednak równało się to odprawie.

— Zostawię was same — odparła Moiraine, ponownie odzyskując spokój.

Zdążyła już przywyknąć do tego, że Mądre dawały jasno do zrozumienia, iż nie podporządkują się władzy Wieży. — Muszę dopatrzeć innych spraw.

Co naturalnie mogło być prawdą. Zapewne musiała dopilnować czegoś, co dotyczyło Randa. Egwene wiedziała, że nie należy pytać, gdyby Moiraine zechciała, sama by jej powiedziała, w przeciwnym zaś wypadku. . . W przeciwnym wypadku wygłosiłaby jakiś pokrętny wykład o tym, że Aes Sedai unikają kłamstw, albo wręcz oznajmiłaby bez ogródek, że to nie jej sprawa. Moiraine wiedziała, iż „Egwene Sedai z Zielonych Ajah” jest fałszerstwem. Tolerowała to kłamstwo publicznie, ale w innych sytuacjach, kiedy tak jej pasowało, dawała Egwene jasno do zrozumienia, gdzie jest jej miejsce.

Po wyjściu Moiraine, któremu towarzyszył gwałtowny napływ lodowatego powietrza do wnętrza namiotu, Amys powiedziała:

— Nalej herbaty, Aviendha.

Młoda kobieta wzdrygnęła się i dwukrotnie otworzyła usta, zanim wykrztusiła:

— Jeszcze nie zaparzyłam. — I z tymi słowami wymknęła się z namiotu na czworakach.

Mądre wymieniły spojrzenia, w których było niemal tyle samo zdziwienia, co we wzroku Aviendhy. Egwene miała podobne odczucia, Aviendha zawsze się wywiązywała ze swych najbardziej uciążliwych obowiązków, nawet jeśli nie zawsze gorliwie. Coś ją musiało mocno trapić, skoro zapomniała o czymś takim, jak przygotowanie herbaty. Mądre za każdym razem życzyły sobie, by im podać herbatę.

— Więcej pary, dziewczyno — rozkazała Melaine. Egwene połapała się, że było to skierowane do niej, Aviendha przecież wyszła. Pośpiesznie opryskała kamienie wodą, przenosząc Moc, by mocniej podgrzać je oraz kociołek, aż usłyszała, jak pękają, kociołek zaś zaczął buchać gorącym niczym otwarty piec. Kobiety Aiel były być może przyzwyczajone do takich skoków temperatury i nie przeszkadzało im, że raz gotowały się we własnym pocie, a chwilę później zamarały na kość, ale ona sama zapewne nie przywyknie do tego nigdy. Namiot wypełnił się gęstymi, skłębionymi obłokami pary. Amys przytaknęła z aprobatą, ona i Melaine zauważyły oczywiście łunę *saidara*, aczkolwiek sama Egwene jej zobaczyć nie mogła. Melaine nadal masowała ciało *staera*.

Wypuściwszy Prawdziwe Źródło, usiadła na ziemi i przysunęła się do Bair, by szepnąć:

— Czy Aviendha zrobiła coś bardzo złego? — Nie miała pojęcia, jak by to przyjęła sama Aviendha, ale nie widziała powodu, żeby ją zawstydząć, nawet za jej plecami.

Bair nie miała takich skrupułów.

— Masz na myśli te pręgi na jej ciele? — spytała najzwyczajszym tonem. — Przyszła do mnie i wyznała, że skłamała dziś dwukrotnie, aczkolwiek nie powie-

działa ani kogo okłamała, ani czego te kłamstwa dotyczyły. To jej sprawa, naturalnie, dopóki nie okłamała żadnej Mądrej, twierdziła jednak, że jej honor domaga się przyjęcia *toh*.

— Poprosiła cię, byś. . . — Egwene głośno złapała powietrze, ale nie potrafiła dokończyć zdania.

Bair przytaknęła, jakby w tym wszystkim nie było nic niezwykłego.

— Wymierzyłam jej kilka razy więcej za kłopot. Jeśli chodziło tutaj o *ji*, to jej zobowiązanie nie jest moją sprawą. Najpewniej tymi jej kłamstwami nie przejąłby się nikt z wyjątkiem *Far Dareis Mai*. Panny, nawet byłe Panny, potrafią narobić tyle samo zamieszania, co mężczyźni.

Amys obdarzyła ją ostrym spojrzeniem, które było widać nawet za zasłoną z gęstej pary. Podobnie jak Aviendha, Amys była *Far Dareis Mai*, zanim została Mądrą.

Egwene nie poznała dotąd ani jednego Aiela, który by nie robił zamieszania z powodu *ji'e'toh*. Ale coś takiego! Ci Aielowie są zupełnie pomyleni.

Bair najwyraźniej przestała już myśleć o całej sprawie.

— Nie pamiętam, by kiedykolwiek na Ziemi Trzech Sfer przebywało tylu Zatraconych — powiedziała, zasadniczo nie wyróżniając żadnej ze swych rozmówczyń. Takie właśnie miano Aielowie nadali Druciarzom, Tuatha'anom.

— Uciekają przed kłopotami za Murem Smoka. — Szyderstwo w głosie Melaine było oczywiste.

— Słyszałam — powiedziała wolno Amys — że część z tych, którzy uciekają po okresie apatii, udaje się do Zatraconych i prosi, by ich przyjęli.

Zapadło długie milczenie. Aielowie wiedzieli już, że Tuatha'nowie mieli tych samych przodków co oni, że oderwali się od nich, zanim Aielowie pokonali Grzbiet Świata, by wkroczyć do Pustkowie, ale ta wiedza tylko pogłębiła ich awersję.

— On przynosi zmiany — szepnęła ochryple Melaine, kierując swe słowa w wypełnioną parą przestrzeń.

— Myślałam, że już udało się wam pogodzić ze zmianami, które on przynosi — odezwała się Egwene ze współczuciem w głosie. To musi być bardzo ciężkie, nasze życie staje na głowie. Po części oczekiwała teraz, że powiedzą jej, aby trzymała język za zębami, Mądre jednak milczały.

— Pogodzić — powtórzyła Bair takim tonem, jakby smakowała to słowo. — Należałoby raczej powiedzieć, że musimy przetrwać je jakoś, najlepiej jak tylko będziemy potrafili.

— On wszystko odmienia. — Głos Amys zdradzał, że jest zakłopotana — Rhuidean. Zatraceni. Apatia i wyjawianie tego, o czym mówić się nie powinno.

Mądrym — wszystkim Aielom, skoro już o tym mowa — wciąż było trudno o tym choćby wspomnieć.

— Panny ciągną do niego, jakby zawdzięczały mu więcej niż własnym klanom — dodała Bair. — Jest pierwszym mężczyzną, którego wpuściły pod Dach Panien.

Przez chwilę wydawało się., że Amys zamierza coś dodać, ostatecznie jednak powstrzymała się, swą wiedzę na temat poczyznań *Far Dareis Mai* nie dzieliła się z nikim prócz tych, które. teraz lub w przeszłości były Pannami Włóczni.

— Wodzowie nie słuchają już nas tak, jak niegdyś — mruknęła Melaine. — Co prawda, proszą o nasze rady jak zawsze, nie zgłupieli jeszcze całkowicie, jednakże Bael nie zdradza mi już tego, co powiedział Randowi al'Thorowi, albo co Rand al'Thor powiedział jemu. Powiada, że muszę spytać Randa al'Thora, który z kolei każe mi spytać Baela. Z *Car'a'carnern* nie zrobić nie mogę, ale Bael... Zawsze był upartym, irytującym mężczyzną, teraz jednak przekroczył już wszelkie granice. Czasami mam ochotę zbić go kijem po głowie.

Amys i Bair zachichotały, jakby to był, jakiś wyborny dowcip. A może zwyczajnie miały ochotę się pośmiać i dzięki temu chociaż na chwilę zapomnieć o zmianach.

— Są tylko trzy rzeczy, które można zrobić z takim człowiekiem — wykrztusiła Bair. — Trzymać się od niego z daleka, zabić go albo poślubić.

Melaine zeszywniała. a jej ogorzała od słońca twarz pokrył rumieniec. Egwene przez chwilę myślała. że złotowłosa Mądra zacznie miotać słowami bardziej palącymi niż jej twarz. W tym momencie ostry podmuch obwieścił przybycie Aviendhy, która niosła srebrną tacę z żółtym, emaliowanym imbrykiem, cienkimi złotymi filiżankami z porcelany Ludu Morza oraz kamiennym słojem miodu.

Dziewczyna dygotała podczas nalewania — bez wątpienia nie narzuciła nic na siebie, kiedy przebywała poza namiotem — po czym pośpiesznie rozdała wszystkim filiżanki i miód. Sobie i Egwene herbaty nie nałała, dopóki Amys nie powiedziała jej, że oczywiście może to zrobić.

— Więcej pary — rzuciła Melaine, chłodne powietrze wyraźnie oziębiło jej nastrój.

Aviendha odstawiła filiżankę, nawet nie tknąwszy naparu, i rzuciła się do tykwy. starając się zrekompensować spóźnienie z podaniem herbaty.

— Egwene — powiedziała Amys, upijając łyk napoju — jak Rand al'Thor by to przyjął, gdyby Aviendha poprosiła o pozwolenie na spanie w jego sypialni.

Aviendha zastygła z tykwą w rękach.

— W jego... — Egwene gwałtownie zaczerpnęła powietrza. — Nie możecie żądać, by ona zrobiła coś takiego! Nie wolno wam!

— Głupia dziewczyna — mruknęła Bair. — Nie żądamy, by dzieliła z nim jego koce. Ale czy on tak właśnie nie zrozumie jej prośby? Czy w ogóle na to pozwoli? Mówiąc najogólniej, mężczyźni to dziwne istoty, a on na dodatek nie wychowywał się wśród nas, więc jest jeszcze dziwniejszy.

— Coś takiego z pewnością nie przysłoby mu do głowy — wybełkotała Egwene, po czym wolniej dodała: — Myślę, że nie. Ale to nie uchodzi. To zwy-

czajnie nie uchodzi.

— Proszę, byście tego ode mnie nie wymagały — powiedziała Aviendha, pokorniej jeszcze niż Egwene sądziła, że w ogóle potrafi. Opryskiwała machinalnie kamienie, wznecając coraz większe obłoki pary. — Dużo się ostatnio nauczyłam dzięki temu, że nie muszę spędzać z nim całych dni. A od czasu, gdy pozwoliłyście, by Egwene i Moiraine Sedai pomagały mi w przenoszeniu, uczę się jeszcze szybciej. Co wcale oczywiście nie znaczy, iż one są lepszymi nauczycielkami — dodała pospiesznie — tylko ja bardzo pragnę zdobywać wiedzę.

— Jeszcze będziesz się uczyć — zapewniła ją Melaine. — Nie będziesz musiała z nim spędzać każdej godziny. Jeżeli będziesz się przykładła, twoje nauki nic na tym nie stracą. Nie pobierasz ich przecież podczas snu.

— Nie mogę — wymamrotała Aviendha, pochylona nad tykwą z wodą. Głośniej i znacznie bardziej stanowczo dodała: — Nie zrobię tego. — Podniosła głowę, w jej oczach płonął niebieskozielony płomień. — Nie będę patrzeć na to, jak znowu wabi pod swe koce tę Isendre, co zadziera spódnice!

Egwene wytrzeszczyła na nią oczy.

— Isendre!

Widziała — i z całego serca ganiła — skandaliczny sposób, w jaki Panny potraktowały tę kobietę, rozbierając do naga i... a teraz jeszcze to!

— Naprawdę nie chcesz chyba powiedzieć, że on... .

— Zamilczcie! — Warknięcie Bair zabrzmiało jak trzaśnięcie z bata. Jej niebieskookie spojrzenie mogło ciosać kamienie. — Obydwie! Jesteście młode, ale nawet Panny wiedzą, że mężczyźni są głupi, zwłaszcza ci, którzy nie mają przypisanej im kobiety przewodniczki.

— Cieszę się — rzekła sucho Amsys — widząc, że już nie ulegasz tak bardzo swoim emocjom, Aviendho. Panny są równie głupie jak mężczyźni, skoro już o tym mowa, doskonale sama pamiętam i nadal mnie to zawstydza. Kiedy się uwalnia emocje, rozsądek może na chwilę ulec otumanieniu, ale gdy się je chowa w sercu, wówczas rozum pozostaje zawsze uśpiony. Pilnuj się po prostu, by nader często ich nie uzewnętrzniać, ale również nie sprawuj nad nimi nazbyt ścisłej kontroli — wszystko zależy od sytuacji.

Wsparta na dłoniach Melaine pochylała się do przodu, wydawało się, że krople potu z jej twarzy muszą wpadać do gorącego kociołka.

— Znasz swojej przeznaczenie, Aviendho. Zostaniesz Mądrą, która będzie dysponowała wielką siłą, władzą i nie tylko. Już masz w sobie dużo siły. Ona przemówiła podczas twego pierwszego sprawdzianu i teraz też się odezwie... .

— Mój honor — zaczęła ochryple Aviendha, po czym przełknęła ślinę, niezdolna mówić dalej. Przykucnęła, tuląc do siebie tykwę, jakby ona mieściła honor, który tak chciała chronić.

— Wzór nie widzi *ji'e'toh* — powiedziała jej Bair, z nieznacznym jedynie śladem współczucia. — Widzi tylko to, co musi być i co będzie. Mężczyźni i Panny

walczą z przeznaczeniem nawet wtedy, kiedy jest oczywiste, że Wzór nadal tka wbrew ich najgorętszym pragnieniom, ale ty już nie jesteś *Far Dareis Mai*. Musisz się nauczyć iść za przeznaczeniem. Tylko wtedy uzyskasz jakąś kontrolę nad własnym życiem, jeśli okażesz posłuszeństwo Wzorowi. Jeśli będziesz się buntować, Wzór będzie cię nadal zniewalał i znajdziesz jedynie nieszczęście tam, gdzie powinnaś znaleźć zadowolenie.

Zdaniem Egwene podobne słowa towarzyszyły udzielanym jej naukom na temat Jedynej Mocy. Żeby uzyskać kontrolę nad *saidarem*, należało okazać mu posłuszeństwo. Dziczał i opanowywał człowieka, gdy z nim walczyło, trzeba mu się było poddać i prowadzić go łagodnie, a wtedy postępował tak, jak się tego chciało. To jednak nie wyjaśniało, dlaczego Mądre nalegały, by Aviendha zrobiła, coś takiego. Zapytała o to, ponownie dodając:

— To nie uchodzi.

W odpowiedzi Amys rzekła jedynie:

— Czy Rand al'Thor nie zgodzi się jej wpuścić? Nie możemy go zmuszać.

Bair i Melaine patrzyły na Egwene z równym napięciem jak Amys.

Nie miały zamiaru jej powiedzieć, z jakiego powodu tego chcą. Łatwiej było zmusić kamień do gadania, niż wydostać coś z Mądrej wbrew jej woli. Aviendha przypatrywała się swym stopom z ponurą rezygnacją, wiedziała, że Mądre osiągną to, co chcą, w ten czy inny sposób.

— Nie wiem — odparła wolno Egwene. — Nie znam go już tak dobrze, jak kiedyś. — Żałowała, że tak jest, ale tyle się przecież zdarzyło, ponadto zrozumiała w końcu, iż kocha go najwyżej jak brata. Jej nauki, w Wieży i tutaj, zmieniły wszystko w takim samym stopniu jak to, kim on się stał. — Może, pod warunkiem, że dacie mu jakiś dobry powód. Sądzę, że on lubi Aviendhę.

Aviendha westchnęła ciężko, nie podnosząc wzroku.

— Dobry powód — parsknęła Bair. — Kiedy byłam młoda, każdy mężczyzna nie posiadałby się z radości, gdyby jakaś młoda kobieta okazywała mu takie zainteresowanie. Zaraz poszedłby zbierać kwiaty na jej weselny wianek.

Aviendha wzdrygnęła się i przeszła Mądre spojrzeniem, w którym tak jak dawniej kryła się wściekłość.

— Cóż, znajdziemy powód, który zaakceptuje nawet ktoś, kto się wychował na mokradłach.

— Do twojego umówionego spotkania w *Tel'aran'rhiod* zostało jeszcze kilka nocy — powiedziała Amys. — Tym razem z Nynaeve.

— Ta to mogłaby się wiele nauczyć — wtrąciła Bair — gdyby nie była taka uparta.

— Będziesz więc miała do tego czasu wolne noce — stwierdziła Melaine. — O ile przypadkiem nie wchodzisz do *Tel'aran'rhiod* bez nas.

Egwene spodziewała się, że to nastąpi.

— Jasne, że nie — zapewniła je. O mały włos. Jeszcze trochę, a na pewno się dowiedzą.

— Czy udało ci się znaleźć sny Nyaneve albo Elayne? — spytała Amys. Zdawkowo, jakby pytała o jakąś błahostkę.

— Nie, Amys.

Znajdowanie czyichś snów było znacznie trudniejsze niż samo wejście do *Tel'aran'rhiod*, czyli Świata Snów, zwłaszcza jeśli te osoby znajdowały się daleko. Im były bliżej i im lepiej się je znało, tym wszystko było łatwiejsze. Mądre nadal zabraniały jej wchodzić do *Tel'aran'rhiod*, jeśli nie towarzyszyła jej któraś z nich, ale cudzy sen mógł być równie niebezpieczny na swój własny sposób. W *Tel'aran'rhiod* panowała w znacznym stopniu nad sobą i swym otoczeniem, dopóki któraś z Mądrych nie decydowała się przejąć kontroli, o *Tel'aran'rhiod* wiedziała coraz więcej, ale nadal nie mogła się porównać z żadną z nich, brakowało jej wielu lat doświadczeń. W cudzym śnie natomiast, będąc dosłownie jego częścią, należało zrobić wszystko, by nie dać się podporządkować kaprysom sennym śniącego, nie znaleźć się tam, gdzie popchnął sen, a i tak czasami się to nie udawało. Mądre bardzo uważały, by podczas obserwacji snów Randa nigdy nie wchodzić w nie całkowicie. Mimo to nalegały, by poznała tę umiejętność. Skoro miały ją nauczyć chodzenia po snach, zamierzały przekazać jej wszystko, co na ten temat wiedziały.

Nie miała początkowo szczególnych obiekcji, dopóki z kilku wspólnych ćwiczeń z Mądrymi i raz z Rhuarkiem nie wyniosła pouczających doświadczeń. Mądre doszły do swoistego mistrzostwa we władaniu własnymi snami, więc to, do czego wtedy doszło — wyłącznie w celu unaocznienia jej niebezpieczeństwa, jak twierdziły — było w całości ich dziełem, jednak przeżyła szok, dowiadując się chociażby, że Rhuarc postrzega ją jako osobę niewiele starszą od dziecka, niczym jedną ze swych najmłodszych córek. I wtedy utraciła kontrolę, na jeden fatalny moment. Potem była już kimś niewiele starszym od dziecka. Kiedy spotkała go później na jawie, nadal nie potrafiła spojrzeć mu w oczy, nie przypominając sobie równocześnie, jak to dostała lalkę za przykładanie się do nauki. I że była zachwycona nie tylko lalką, lecz również jego aprobatą. Bawiła się tą lalką tak długo, aż musiała przyjść Amys i zabrać ją. Bała się teraz, że Rhuarc mógł coś zapamiętać z tego snu.

— Powinnaś bardziej się starać — powiedziała Amys. — Masz dość siły, by do nich dotrzeć, nawet jeśli są tak daleko. I wcale ci nie zaszkodzi, jeśli się dowiesz, jak one cię widzą.

Sama nie była tego tak pewna. Elayne to przyjaciółka, jednak Nynaeve była Wiedzącą w Polu Emonda przez większą część jej dorostania. Podejrzewała, że sny Nynaeve mogą się okazać jeszcze gorsze od snu Rhuarka.

— Tej nocy będę spała poza namiotami — kontynuowała Amys. — Niedaleko. Powinnaś mnie znaleźć z łatwością. Porozmawiamy sobie rano, jeśli mi się nie

przyśniesz.

Egwene stłumiła jęk. Amys zawiodła ją do snów Rhuarka — sama była w nich jedynie chwilę, na tyle krótką, by się przekonać, iż Rhuarc nadal ją widzi nie zmienioną, jako tę młodą kobietę, którą poślubił — a Mądre zawsze przebywały w tym samym namiocie podczas jej prób.

— Cóż — powiedziała Bair, zacierając dłonie — dowiedziałyśmy się już wszystkiego, czego trzeba się było dowiedzieć. Reszta może tu pozostać, jeśli chce, ale ja osobiście uważam, że jestem dość czysta, by wejść pod koce. Nie jestem już taka młoda jak wy. — Młoda czy stara, była w stanie zagonić je wszystkie na śmierć, a potem nieść przez resztę drogi.

Kiedy Bair wstawiała, odezwała się Melaine i to z dziwnym jak na nią wahaniem.

— Muszę... muszę poprosić cię o pomoc, Bair. I ciebie też, Amys.

Starsza kobieta usiadła z powrotem i obie z Amys spojrzały wyczekująco na Melaine.

— Chciałam prosić, żebyście zagadnęły Dorindhę w moim imieniu.

Te ostatnie słowa zostały wypowiedziane w pośpiechu. Amys uśmiechnęła się szeroko, a Bair głośno zarechotała. Aviendha też, najwyraźniej to zrozumiała i była tym mocno poruszona, natomiast Egwene zupełnie nie wiedziała, o co chodzi.

Wtedy Bair roześmiała się

— Zawsze twierdziłaś, że nie potrzebujesz i nie chcesz mieć męża. Ja pogrzebałam trzech i nie miałabym nic przeciwko jeszcze jednemu. Bardzo się przydają podczas zimnych nocy.

— Kobieta ma prawo zmienić zdanie. — Głos Melaine brzmiał dość stanowczo, ale towarzyszył mu głęboki rumieniec. — Nie mogę się trzymać z daleka od Baela i nie mogę go zabić. Jeśli Darindha zaakceptuje mnie jako siostrę-żonę, to uplotę mój weselny wianek, by złożyć go u stóp Baela.

— A jeśli on go zdepcze zamiast podnieść? — dopytywała się Bair.

Amys padła na plecy, zaśmiewając się i klepiąc po udach.

Egwene, znając obyczaje Aielów, wiedziała, że niebezpieczeństwo jest niewielkie. Jeśli Dorindha zdecyduje, że chce, by Melaine została jej siostrą-żoną, to Bael nie będzie miał wiele do powiedzenia w tej kwestii. Już jej to nie szokowało, że mężczyzna mógł mieć dwie żony. W każdym razie nie tak bardzo jak na początku.

„W różnych krajach panują różne obyczaje” — przypomniała sobie.

Nigdy jakoś się nie zdobyła, by kogoś o to zapytać, ale z tego, co wiedziała, kobiety Aielów też mogły mieć dwóch mężów. To był bardzo dziwny naród.

— Proszę was, byście w tej sprawie występowały jako moje pierwsze-siostry. Moim zdaniem Dorindha lubi mnie dostatecznie.

Ledwie Melaine wypowiedziała te słowa, wesołość kobiet zniknęła, ustępując miejsca zupełnie odmiennym emocjom. Nadal się śmiały, ale równocześnie

ściskały ją, zapewniając, że są szczęśliwe z jej powodu i że będzie jej dobrze z Baelem. Amys i Bair uznały, że akceptacja Dorindhy jest z góry przesądzona. Wszystkie trzy wyszły, trzymając się pod ręce, nadal się ciesząc i chichocząc jak małe dziewczynki. Oczywiście uprzednio nie zapomniały o wydaniu polecenia, aby Egwene i Aviendha posprzątały w namiocie.

— Egwene, czy kobieta z twoich ziem zaakceptowałaby siostrę-żonę? — spytała Aviendha, odsłaniając patykiem pokrywę otworu kominowego.

Egwene. pożałowała, że przyjaciółka nie dopełniła tego obowiązku na samym końcu, ciepło natychmiast zaczęło się rozpraszać.

— Nie wiem — odparła, szybko zbierając filiżanki i słój z miodem. *Staery* również powędrowały na tacę.

— Nie sędzę. Może gdyby to była bliska przyjaciółka — dodała pośpiesznie, nie miało sensu dawanie do zrozumienia, że potępia obyczaje Aielów.

Aviendha burknęła coś tylko i zaczęła odsuwać boczne kłapy namiotu.

Egwene wymknęła się na zewnątrz, zęby szczękały jej równie głośno, jak filiżanki i brązowe blaszki na tacy. Mądre ubierały się bez pośpiechu, jakby noc przesycalo iście balsamiczne powietrze, a one spały w izbach, w którejś z siedzib. Gdy jakaś odziana w biel postać odebrała od niej tacę, zaczęła pospiesznie szukać swego odzienia i butów. Nie znalazła ich wśród ubrań, które pozostały na ziemi.

— Kazałam zanieść twoje rzeczy do namiotu — oznajmiła Bair, zawiązując tasienki przy koszuli. — Na razie nie będą ci potrzebne.

Żołądek Egwene opadł jej chyba do pięt. Zaczęła podskakiwać w miejscu i klepać się po ramionach, daremnie próbując się rozgrzać, na całe szczęście nie kazały jej przestać. Nagle zauważyła, że postać w białej szacie, która odnosi tacę, jest za wysoka nawet jak na kobietę Aiel. Zgrzytając zębami, spojrzała ze złością na Mądre, których najwyraźniej nie obchodziło, czy ona przypadkiem nie zamarzną na śmierć. Dla kobiet Aiel mogło się nie liczyć, iż jakiś mężczyzna widział je bez ubrania, nawet jeśli był to tylko *gai'shain*, ale dla niej to jednak miało znaczenie!

Po chwili przyłączyła się do nich Aviendha, a gdy zobaczyła podskakującą Egwene, stanęła zwyczajnie, nawet nie zabierając się do szukania swoich rzeczy. Nie chciała okazać, iż zimno dokucza jej bardziej niż Mądrym.

— A teraz posłuchajcie — powiedziała Bair, narzucając szal na ramiona. — Ty, Aviendha, jesteś nie tylko uparta jak mężczyzna, ale na dodatek nie potrafisz zapamiętać prostego zadania, które wykonywałaś tyle razy. Ty, Egwene, jesteś równie uparta i nadal myślisz, że możesz się ociągać z przyjściem, kiedy zostajesz wezwana. Miejmy nadzieję, że wykonanie pięćdziesięciu okrążeń biegiem wokół obozu utemperuje wasz upór, oczyści wam umysły i przypomni, jak się odpowiada na wezwanie albo wykonuje codzienne obowiązki. Precz z moich oczu!

Aviendha bez słowa zaczęła sadzić długimi susami w stronę skraju obozowiska, z łatwością lawirując wśród ukrytych w mroku linek podtrzymujących namio-

ty. Egwene wahała się tylko chwilę, po czym ruszyła za nią. Przyjaciółka zwolniła tempo, dzięki czemu mogła ją dogonić. Nocne powietrze przenikało ją do szpiku kości, popękane zaś, gliniaste podłoże pełne kamieni było równie zimne i na dodatek grzęzły w nim palce stóp. Aviendha biegła z niewymuszoną swobodą.

Kiedy dobiegły do ostatniego namiotu i skręciły na południe, Aviendha zapytała:

— Czy wiesz, dlaczego tak się przykładam do nauki?

Ani zimno, ani wysiłek biegu nie uwidoczniły się w jej głosie.

Egwene dygotała tak mocno, że ledwie potrafiła wymówić słowo.

— Nie. Dlaczego?

— Bo Bair i pozostałe stale stawiają cię za wzór i powtarzają, że tobie nigdy nie trzeba powtarzać czegoś dwa razy, bo jesteś taka pojętna. Powiadają, że powinnam brać z ciebie przykład. — Spojrzała z ukosa na Egwene, a Egwene połapała się, że tamta chichocze podczas biegu. — To jeden z powodów. Drugim jest... treść wszystkiego, czego się uczę... — Aviendha potrząsnęła głową ze zdziwieniem, które było widoczne nawet w słabym świetle księżyca. — I sama Moc. Nigdy czegoś takiego nie czułam. Tyle życia. Czuję najłżejszy zapach, najmniejsze poruszenie w powietrzu.

— Zatrzymywanie jej zbyt długo jest niebezpieczne — ostrzegła Egwene. Bieg ją trochę rozgrzał, aczkolwiek co jakiś czas przeszywały ją dreszcze. — Mówiłam ci to i wiem, że Mądre też cię upominały.

Aviendha tylko pociągnęła nosem.

— Myślisz, że mogłabym przebić sobie stopę własną włócznią?

Przez jakiś czas biegły w milczeniu.

— Czy Rand naprawdę...? — spytała w końcu Egwene. Z trudem znajdowała słowa, ale chłód nie miał z tym nic wspólnego, w rzeczy samej, znowu zaczęła się pocić. — To znaczy... z Isendre? — Nie potrafiła wyrazić tego jaśniej.

Aviendha odpowiedziała jej po namyśle, wolno dobierając słowa:

— Nie sądzę, by to zrobił. — W jej głosie pobrzmiwał gniew. — Tylko dlaczego ona zlekceważyła chłostę, skoro on nie zdradzał żadnego zainteresowania jej osobą? To ślamazarna mieszkanka bagien, której zależy tylko na mężczyznach. Widziałam, jak na nią patrzył, chociaż starał się to ukryć. On uwielbia na nią patrzeć.

Egwene była ciekawa, czy przyjaciółka kiedykolwiek myślała o niej jako o ślamazarnej mieszkance mokradeł. Prawdopodobnie nie, bo inaczej nie byłyby przyjaciółkami. Ale Aviendha nigdy nie nauczyła się zważać na to, że mogłaby kogoś zranić, zapewne zdziwiłaby się, dowiadując, że Egwene w ogóle mogło przyjść do głowy, iż została zraniona.

— Panny ją ubierają w taki sposób — przyznała niechętnie Egwene — że każdy mężczyzna by patrzył. — Przypomniawszy sobie, iż zupełnie naga znajduje

się na otwartej przestrzeni, potknęła się i omal nie upadła, rozglądając z niepokojem dookoła. Na ile mogła się zorientować, okryta nocnym mrokiem okolica była pusta. Nawet Mądre rozeszły się już do swych namiotów. I grzały się teraz pod kocami. Ona pociła się, ale paciorki potu zdawały się zamarzać, ledwie się pojawiały.

— On należy do Elayne — rzuciła zapalczywym tonem Aviendha.

— Przyznaję, że nie poznałam do końca waszych obyczajów, ale nasze są inne. On nie jest zaręczony z Elayne.

„Dlaczego ja go bronię? To jego powinno się wychłostać!”

Jednak uczciwość nakazała jej dodać:

— Przecież nawet wasi mężczyźni mają prawo powiedzieć „nie”, kiedy się ich prosi o rękę.

— Ty i ona jesteście prawie-siostrami, tak jak ja i ty — zaprotestowała Aviendha, zwalniając i ponownie się rozpędzając. — Czy nie prosiłaś mnie, żebym się nim opiekowała w twoim imieniu? Czyżbyś nie chciała, by Elayne go zdobyła?

— Jasne, że tak. Pod warunkiem, że on też ją chce. — Co nie było do końca prawdą. Chciała szczęścia dla Elayne zakochanej w Smoku Odrodzonym, i gotowa była zrobić wszystko, z wyjątkiem może związania Randowi rąk i nóg, by sprawić, żeby Elayne dostała to, co chce. A może nawet związałyby go w razie potrzeby. Ale przyznanie się do tego było całkiem inną sprawą. Nie potrafiła się zdobyć na bezpośredniość, do jakiej były zdolne kobiety Aiel. — W innym przypadku byłoby to niewłaściwe.

— On należy do niej — powtórzyła z determinacją Aviendha.

Egwene westchnęła. Aviendha po prostu nie chciała zrozumieć obcych obyczajów. Nadal była zaszokowana, że Elayne nie oświadczy się Randowi i że tylko mężczyzna może to zrobić.

— Jestem pewna, że Mądre usłuchają jutro głosu rozsądku. Nie mogą cię zmusić, byś sypiała w sypialni mężczyzny.

Przyjaciółka spojrzała na nią z jawnym zdziwieniem. Na moment utraciła swą grację i zaryła stopą w nierównym gruncie, potknięcie wywołało kilka przekleństw, których nawet woźnice Kadere słuchaliby z zainteresowaniem — a Bair kazała zaparzyć herbatę z ciernika — ale biec nie przestała.

— Nie rozumiem, dlaczego tak się tym zdenerwowałaś — powiedziała, kiedy ucichło ostatnie przekleństwo. — Wiele razy sypiałam obok mężczyzny podczas wypraw, dzieliłam z nim nawet koce, jeśli noc była bardzo zimna, a ciebie niepokoi, że miałabym spać w odległości dziesięciu stóp od Randa. Czy to przez wasze obyczaje? Zauważyłam, że nie chcesz się kąpać razem z mężczyznami. Nie ufasz Randowi al’Thorowi? A może to mi nie ufasz? — Pod koniec zniżyła głos do pełnego niepokoju szeptu.

— Ależ oczywiście, że ci ufam — gorąco zapewniła ją Egwene. — I jemu też. Chodzi tylko o to... — Zawiesiła głos, niepewna, jak wszystko wytłuma-

czyć. Pojęcia Aielów na temat tego, co stosowne, były czasem bardziej surowe niż zasady, wśród których się wychowała, ale po wieloma względami mogliby sprawić, że członkinie Koła Kobiet w Dwu Rzekach nie wiedziałyby, jaką podjąć decyzję, czy mdleć, czy sięgać po mocny kij. — Aviendha, jeśli tu chodzi o twój honor. . . — To był drażliwy temat. — Jeśli wyjaśnisz to Mądrym w taki sposób, to z pewnością nie zmuszą cię, byś postąpiła wbrew nakazom honoru.

— Tu nie ma czego wyjaśniać — odparła beznamyślnie druga kobieta.

— Zdaję sobie sprawę, że nie rozumiem, na czym polega *ji'e'toh*. . . — zaczęła Egwene, a wtedy Aviendha roześmiała się.

— Powiadasz, że nie rozumiesz, Aes Sedai, a jednak dowodzisz, że żyjesz zgodnie z jego nakazami — Egwene pożałowała, że tego nie sprostowała — przekonanie Aviendhy, by nazywała ją zwyczajnie Egwene, okazało się trudną sztuką, czasami przez pomyłkę tytułowała ją w taki sposób — ale musiała utrzymywać to kłamstwo w tajemnicy, skoro chciała, by wierzyli w nie wszyscy.

— Jesteś Aes Sedai, dostatecznie potężną, by pokonać Amys i Melaine razem wzięte — kontynuowała Aviendha lecz powiedziałaś, że będziesz posłuszna, więc szorujesz garnki, kiedy one każą szorować i biegasz, kiedy każą biegać. Może nie znasz *ji'e'toh*, ale wypełniasz jego nakazy.

To wcale nie do końca o to chodziło, rzecz jasna. Zaciskała zęby i robiła, co jej kazały, nie było bowiem innego sposobu, aby nauczyć się wędrowania po snach, a ona pragnęła się tego nauczyć, pragnęła tego bardziej niż czegokolwiek innego, co mogła sobie wyobrazić. Już sama myśl, że mogłaby żyć zgodnie z nakazami tego głupiego *ji'e'toh* była po prostu idiotyczna. Robiła to, co musiała, ale tylko wtedy, gdy musiała i dlatego, że ją zmuszono.

Wracały już do miejsca, z którego zaczęły biec. Kiedy dotarły doń, Egwene powiedziała:

— Pierwsze okrążenie — i biegła dalej, mimo że nie widział jej nikt prócz Aviendhy, nikt, kto mógłby poświadczyć, że właśnie wróciła do właściwego namiotu. Aviendha by jej nie zdradziła, jednak Egwene nawet nie przyszło do głowy, iż mogłaby zrobić mniej niż pięćdziesiąt okrążeń.

BRAMY

Rand obudził się w całkowitych ciemnościach, leżał chwilę pod kocami, gło-
wiąc się, co go właściwie obudziło. Coś na pewno. Nie tamten sen, w którym
uczył Aviendhę pływać w jednym ze stawów Wodnego Lasu, w Dwu Rzekach.
Coś innego. Nagle to coś znowu się uobecniło w postaci mdłych, odrażających
wyziewów wypelzających spod drzwi. Tak naprawdę nie był to żaden zapach, ra-
czej poczucie obcości. To coś cuchnęło niczym truchło, które od tygodnia leżało
w stojącej wodzie. Po chwili zniknęło, lecz tym razem nie do końca.

Odrzucił koce i wstał, otaczając się *saidinem*. W Pustce, wypełniony Mocą,
czuł, jak jego ciało dygocze, ale chłód wydawał się pochodzić z jakiegoś innego
miejsca. Uchylił ostrożnie drzwi i wyszedł na zewnątrz. Sklepienie łukami okna
przy obu końcach korytarza wpuszczały kaskady księżycowego światła. Po czerni
zalegającej jego izbę wydawało mu się, że wszedł w sam środek dnia. Nic się
nie poruszyło, ale poczuł... coś... coraz bliżej. Coś złego. Takie samo uczucie
wywoływała skaza, która płynęła przez niego wraz z rwącym potokiem Mocy.

Wsunął dłoń do kieszeni kaftana, w której ukryta była rzeźbiona figurka
przedstawiająca krągłego człowieczka z mieczem ułożonym na kolanach. *Angre-
al*, za jego pomocą mógł przenieść taką ilość Mocy, której nie dałby rady bez
wspomagania. Uznał, że nie będzie przydatna. Ci, którzy stali za tym atakiem, nie
wiedzieli, z kim mają do czynienia. Nie należało pozwolić, by się obudził.

Wahał się przez chwilę. Mógł stanąć do walki z tym czymś nasłanym na niego,
uznał jednak, że to ciągle znajduje się gdzieś pod nim. Tam, gdzie, sądząc po ciszy,
spały Panny. Nie obudzi ich przy odrobinie szczęścia, o ile nie zbiegnie na dół,
by walczyć wśród nich. Wówczas bez wątpienia się obudzą, ale nie staną z boku,
żeby sobie popatrzeć. Lan uczył: pole walki, w miarę możliwości, wybieraj sam
i zmuszaj wroga, by przyszedł do ciebie.

Uśmiechając się i tupiąc głośno, dopadł do najbliższych kręconych schodów
i dalej wspinał się pędem na najwyższe piętro. Była tani jedna, wielka komna-
ta sklepiena kopułą i wypełniona wąskimi, spiralnie rzeźbionymi kolumnami.
Wszystkie jej zakamarki zalewały potoki księżycowego światła, które wpadało
do środka przez pozbawione szyb, zwieńczone łukami okna. W pokrywanej po-
sadzce warstwie kurzu, kamiennego pyłu i piachu wciąż odznaczały się niewyraź-

ne odciski jego stop, które pozostawił, kiedy był tu ostatnim razem, oprócz nich innych śladów nie było. Doskonale.

Wielkimi krokami doszedł do centralnego punktu komnaty, do mozaiki przedstawiającej starożytny symbol Aes Sedai o średnicy dziesięciu stóp. Właściwe miejsce. „Pod tym znakiem zwycięży”. To właśnie głosiło o nim Proroctwo Rhuidean. Stał z rozkraczonymi nogami na krętej linii dzielącej znak, jedną stopą na czarnej łzie, którą nazywano teraz Smoczym Kłem i która symbolizowała zło, drugą na białej, zwanej obecnie Płomieniem Tar Valon. Niektórzy twierdzili, że symbolizuje Światłość. Stosowne miejsce na przyjęcie ataku, w pół drogi między Światłością i ciemnością.

Cuchnąca woń stawała się coraz silniejsza, powietrze wypełnił zapach spalonej siarki. Nagle pod ścianami komnaty zaczęło coś biec, coś co odrywało się od schodów, podobne do cieni rzucanych przez księżyc. Powoli przybrało postać trzech psów wielkich jak kuce, ciemniejszych od nocy. Ze srebrzyście lśniącymi ślepiami otoczyły go czujnym kręgiem. Dzięki przepelniającej go Mocy, słyszał bicie ich serc, podobne do basowego dudnienia werbli. Nie słyszał natomiast ich oddechu, może po prostu nie oddychały.

Przeniósł Moc i w jego dłoniach pojawił się miecz, którego lekko zakrzywione ostrze ze znakiem czapli wykute było z ognia. Spodziewał się Myrddraala albo czegoś jeszcze gorszego niż Bezoki, ale ten miecz powinien wystarczyć na psy, nawet jeśli były Pomiotem Cienia. Ten, kto je przysłał, nie znał go. Lan twierdził, iż prawie już zasłużył na tytuł mistrza ostrza, a mimo to szczędził mu pochwał, by nie myślał, że jego umiejętności naprawdę osiągnęły ten poziom.

Przeraźliwie warcząc, psy pognały ku niemu z trzech stron, szybciej niżli galopujące konie.

Nie poruszył się, dopóki omal nie zwały się na niego, wtedy uskoczył płynnie, jakby tańczył, stając się jednym z mieczem. W mgnieniu oka forma zwana Wietrznym Wirem na Górze przeszła w Wicher Który Omiata Mur, a następnie w Rozkładanie Wachlarza. Wielkie czarne łby odpadły z impetem od czarnych cielsk, odbijały się od posadzki, nadal obnażając ociekające wilgocią zęby, podobne do wypolerowanej stali. Zeskoczył z mozaiki w momencie, gdy ciemne kształty zwały się, tworząc drżącą, krwawą stertę cielsk.

Śmiejąc się w duchu, pozwolił, by miecz zniknął, ale wciąż jeszcze nie wypuszczał *saidina*, rwącego potoku Mocy, słodczy i skazy. Po zewnętrznej skorupie Pustki sunęła pogarda. Psy. Pomiot Cienia, niewątpliwie, jednak... Śmiech zamarł mu na ustach.

Martwe ciała i łby psów zaczęły powoli się topić, a potem rozplýwać pod postacią kałuż płynnego cienia, który drżał nieznacznie, jakby żył. Znienacka mniejsze kałuże krwi popłynęły lepkimi strumieniami ku większym, te zaś wytryskiwały z posadzki w górę, coraz wyżej i wyżej, aż wreszcie znowu stały przed nim trzy ogromne, czarne psy, siadały na tężejących zadach, śliniąc się i obnażając kły.

Nie wiedział, skąd wzięło się to zdziwienie, przytępienie, poza Pustką. Psy, owszem, a jednak Pomiot Cienia. Ci, którzy je przysłali, nie byli aż tak beztroscy, jak myślał. Mimo to wciąż jeszcze go nie znali.

Zamiast ponownie dobyć miecza, przeniósł Moc w sposób, który zapamiętał z odległej przeszłości. Ogromne psy wyjąć, skoczyły i nagle z jego dłoni wytrysnął gruby strumień białego światła niczym stopiona stal, niczym płynny ogień. Omiótł nim sprężone w skoku stwory, na moment przemieniły się jakby w gorejące, dziwaczne cienie samych siebie, a potem ich ciała rozsypały się w roziskrzony pyłki, malejąc coraz bardziej, by po chwili zniknąć zupełnie.

Z ponurym uśmiechem zlikwidował swój twór, który, jak miał wrażenie, nadal płonie w postaci pręgi purpurowego światła.

Na płytkach posadzki leżały szczątki roztrzaskanej kolumny. Od innych kolumn podpadały równo ucięte płyty marmuru. Przez całą szerokość ściany za plecami Randa biegła na wylot szczelina.

— Czy któryś z nich cię ugryzł albo chlapnął na ciebie krwią?

Na dźwięk głosu Moiraine błyskawicznie odwrócił się. Na pięcie, pochłonięty tym, co zrobił, nie słyszał, jak wchodziła po schodach. Stała teraz, ściskając spódnicę w garści, wpatrzona w niego bacznie, z twarzą ukrytą w cieniu. Potrafiła wszystko wyczuwać tak samo jak on, ale żeby dotrzeć tutaj tak szybko, musiała biec.

— Panny cię przepuściły? Czyżbyś stała się *Far Dareis Mai*, Moiraine?

— One nadały mi niektóre przywileje Mądrych — wyjaśniła zniecierpliwiona, gwałtownie wyrzucając słowa. — Powiedziałam strażom, że muszę z tobą pilnie porozmawiać. Odpowiedz mi, natychmiast! Czy Psy Czarnego pogryzły cię albo ochlapały swą krwią? Czy padła na ciebie kropla ich śliny?

— Nie — odparł po namyśle. Psy Czarnego. Wiedział o nich niewiele z dawnych opowieści, którymi zwykło się straszyć dzieci na ziemiach położonych na południu. Niektórzy dorośli też wierzyli w ich istnienie.

— Czemu się tak przejmujesz, czy mnie pogryzły? Mogłabyś Uzdrowić taką ranę. Czy to oznacza, że Czarny jest na wolności? — Nawet strach wydawał się czymś odległym, kiedy otaczała go Pustka.

W opowieściach, które kiedyś poznał, Psy Czarnego uganiały się po nocach, z samym Czarnym jako łowczym, nie zostawiały śladów łap w najbardziej miękkim gruncie, tylko na kamieniach, i nie zatrzymywały się, dopóki nie pokonało się ich w walce albo nie odgrodziło od nich strumieniem wody. Powiadano, że rozstaje dróg są miejscem, w którym spotkanie z nimi jest szczególnie niebezpieczne, podobnie jak godziny bezpośrednio po zachodzie słońca albo poprzedzające jego wschód. Nasłuchał się zbyt wiele starodawnych opowieści, by uwierzyć, że również w tej coś może być prawdą.

— Nie, nie tak, Rand. — Wyraźnie odzyskiwała panowanie nad sobą, w jej głosie znowu odezwały się srebrne dzwoneczki, spokój i chłód. — To tylko jesz-

cze jedna odmiana Pomiotu Cienia, coś, co nigdy nie powinno było powstać. Ale ich ugryzienie oznacza śmierć równie niechybnie jak sztylet zatopiony w sercu, i nie sądzę, bym dała radę Uzdrowić taką ranę. Ich krew i ślina zawierają truciznę. Kropla na skórze potrafi zabić, powoli, na samym końcu sprawiając wielki ból. Masz szczęście, że pojawiły się tylko trzy Psy Czarnego. Chyba że zdążyłeś zabić więcej., zanim przyszedłem? Ich stada są zazwyczaj większe, liczą od dziesięciu do dwunastu sztuk, tak przynajmniej podają te szczątkowe informacje pozostałe po Wojnie z Cieniem.

Większe stada. Nie był w Rhuidean jedynym celem jednego z Przeklętych. . .

— Będziemy musieli porozmawiać o tym, czego użyłeś, żeby je pozabijać — zaczęła Moiraine, ale on biegł już najszybciej, jak potrafił, ignorując jej pytania.

Po schodach w dół, przez kilka kondygnacji, przez pociemniałe korytarze, gdzie zaspane Panny, obudzone tupotem jego butów, spozierały na niego skonsternowane, wyglądając z oświetlonych księżycową poświatą izb. Przez frontowe drzwi, do miejsca, gdzie w towarzystwie dwóch kobiet stał na straży niezמודowany Lan, w swym mieniącym się płaszczu narzuconym na ramiona, który sprawiał, że Strażnik zdawał się stapać po części z nocnym mrokiem.

— Gdzie jest Moiraine? — krzyknął, kiedy Rand przemknął obok niego, ale ten nie odpowiedział i już zbiegał po stopniach, pokonując po dwa przy każdym skoku.

Zanim dotarł do budynku, którego szukał, w połowie zaleczona rana w boku zaczęła promieniować bólem, pogrążony w Pustce ledwie zdawał sobie z tego sprawę. Budynek stał na samym skraju Rhuidean, daleko od placu i daleko od obozowiska, które razem z Mądrymi dzieliła Moiraine, rozbitego najdalej, jak się dało, a jednak wciąż w obrębie granic miasta. Górne piętra runęły, tworząc stertę rumoszu, który zalegał ocalałe dwie najniższe kondygnacje. Nie poddając się ciału, które przeszyte bólem usiłowało się zgiąć w pół, wparował do środka.

Wielki przedsionek, wokół którego biegł kamienny balkon, był niegdyś wysoki, obecnie stał się jeszcze wyższy, otwarty na nocne niebo, z jasną posadzką, zasłaną gruzem pochodzącym z zawałonej, górnej części budowli. W cieniach balkonu siedziały na zadach trzy Psy Czarnego, drapały pazurami i kłami okryte spizową blachą drzwi, które drżały pod ich naporem. W powietrzu zastygł aż nadto silny zapach palonej siarki.

Przypomniawszy sobie, co stało się wcześniej, uskoczył w bok, przenosząc jednocześnie Moc i sprawiając, że pręga płynnego, białego ognia ominęła drzwi, kiedy niszczyła psy. Starał się, by tym razem była mniejsza, ograniczona do minimum, niemniej jednak w grubym murze w przeciwnym końcu komnaty powstała ocieniona wyrwa. Nie na wylot, jak mu się zdawało — trudno to było określić w świetle księżyca — tak czy inaczej powinien był nauczyć się posługiwać tą bronią bardziej precyzyjnie.

Spizowa okrywa drzwi była pogięta i porozdzierana, jakby zęby i pazury psów

ze Sfory Cienia były rzeczywiście ze stali, przez otwory przesączało się światło lamp. W kamieniach posadzki odznaczyły się ślady łap, zadziwiająco nieliczne. Uwolniwszy *saidina*, poszukał miejsca, gdzie nie porozdzierałby dłoni na strzępy i załomotał. Ból w boku stał się nagle bardzo realny i obecny, zrobił głęboki wdech i usiłował go odepchnąć.

— Mat? To ja, Rand! Otwórz, Mat!

Po jakimś czasie drzwi uchyliły się odrobinę, wypuszczając strumień światła, w szczelinie pojawiła się niepewna twarz Mata, po czym przyjaciel otworzył drzwi szerzej, opierając się o nie, jakby właśnie przebiegł dziesięć mil z workiem kamieni na plecach. Z wyjątkiem srebrnego medalionu przypominającego lisią głowę, z okiem w kształcie starożytnego symbolu Aes Sedai, na które padał dziwny cień, Mat był całkiem nagi. Biorąc pod uwagę to, co Mat czuł do Aes Sedai, Rand dziwił się, że nie sprzedał jeszcze tego przedmiotu. W głębi izby stała wysoka, złotowłosa kobieta, która spokojnie otulała się kocem. Jakaś Panna, sądząc po włóczniach i skórzanej tarczy leżącej u jej stóp.

Rand pośpiesznie odwrócił wzrok i chrząknął.

— Chciałem się tylko upewnić, czy nic się wam nie stało.

— Nic nam nie jest. — Mat rozejrzał się niespokojnie po przedsiionku. — Już nic. Zabiłeś to, czy jak? Nie chcę wiedzieć, co to było skoro już znikło. Człowiekowi, który jest twoim przyjacielem, bywa niekiedy cholernie trudno.

Nie tylko przyjacielem. Jeszcze jednym *ta'veren* i być może kluczem do zwycięstwa w Tarmon Gai'don, każdy, kto miał powód, by napadać na Randa, miał również powód, by napadać na Mata. Mat jednak zawsze usiłował zaprzeczać obu tym rzeczom.

— Już ich nie ma, Mat. To były Psy Czarnego. Trzy.

— Powiedziałem ci, że nie chcę nic na ten temat wiedzieć — jęknął Mat. — Teraz jeszcze Psy Czarnego. Nie powiem, by przy tobie można było narzekać na brak atrakcji. Człowiek się nie zanudzi, aż do śmierci. Gdybym akurat nie wstał, żeby napić się wina, kiedy drzwi zaczęły się otwierać... — Zawiesił głos, dygotał lekko i drapał płamę czerwieni na prawej ręce, przypatrując się równocześnie zniszczonej metalowej osłonie. — Wiesz, ta zabawne, jakie figle potrafi ci spłatać własny umysł. Zanim dostawiłem wszystko, co się dało, żeby zabarykadować te drzwi, przysiągłbym, że jeden z nich wygryzł w nich dziurę na wylot. Widziałem jego przeklęty łeb. I zęby. Nie przejął się nawet na widok włóczni Melindhry.

Przybycie Moiraine było tym razem jeszcze bardziej spektakularne, Aes Sedai wpadła z podkasanymi spódnicami, dysząc ciężko i ziejąc gniewem. Lan deptał jej po piętach z mieczem w dłoni i posępną twarzą, a tuż za nimi na ulicę wylała się gromada *Far Dareis Mai*. Niektóre Panny nie miały na sobie nic poza bielizną, każda jednak trzymała w pogotowiu włócznię, ich głowy owijały *shoufy*, czarne zasłony kryły wszystka prócz oczu, w których czaiła się gotowość do zabijania. Wydawało się, że przynajmniej Mairaine i Lanowi ulżyło, gdy zobaczyli go roz-

mawiającego spokojnie z Matem, przy czym Aes Sedai wyraźnie miała zamiar powiedzieć mu kilka ostrych słów. Z powodu zasłon trudno było orzec, o czym myślały pozostałe kobiety.

Mat czknał głośno, szybko wycofał się w głąb izby i zaczął pośpiesznie wciągać spodnie, usiłując przy tym drapać się po ręce. Złotowłosa Panna obserwowała to z szerokim uśmiechem, który lada chwila mógł się przerodzić w otwarty wybuch radości.

— Co ci się stało w rękę? — spytał Rand.

— Powiedziałem ci, że umysł płata zabawne figle — odparł Mat, nadal próbując jednocześnie się drapać i ubierać. — Kiedy mi się wydało, iż ten stwór przegryzł się przez drzwi, odniosłem wrażenie, że oślinił mi rękę, a teraz mnie tak cholernie swędzi, jakby się paliła. To miejsce wygląda na poparzone.

Rand otworzył usta, ale Moiraine już przepchnęła się obok niego. Zapatrzonej na nią Mat, który właśnie gwałtownym ruchem próbował podciągnąć spodnie do końca, przewrócił się, ona zaś ukłękła obok niego, ignorując protesty, i objęła dłońmi jego głowę. Rand był już kiedyś Uzdrawiany i widział, jak to się robi, ale zamiast tego, czego się spodziewał, Mat tylko zadygotał i wskazał na medalion, tak że zawisł na skórzanym rzemyku z jego ręki.

— Ta cholerna rzecz nagle stała się zimna jak lód — mruknął. — Co ty robisz, Moiraine? Jak chcesz coś zrobić, to Uzdrów to cholerne swędzenie, czuję je teraz w całej ręce. — Jego prawa ręka była zaczerwieniona od nadgarstka do ramienia i wyglądała na spuchniętą.

Moiraine spojrzała na niego ze zdumieniem, jakie Rand rzadko kiedy widywał na jej twarzy. A może nawet nigdy.

— Zrobię to — powiedziała powoli. — Zdejmij medalion, skoro jest zimny.

Mat wykrzywił się do niej, a w końcu zdjął medalion przez głowę i położył go obok siebie. Ponownie ujęła jego głowę, a wtedy krzyknął, jakby zanurkował nią w lód, nogi mu zeszywniały, a plecy wygięły się w łuk, oczy patrzyły w pustkę, wytrzeszczone do granic możliwości. Kiedy Moiraine odjęła rękę, zwiotczał, łapczywie chwytając powietrze. Zaczerwienienie i opuchlizna zniknęły. Trzykrotnie próbował, zanim udało mu się wreszcie coś wykrztusić.

— Krew i popioły! Czy tak musi, do cholery, być za każdym, psiakrew, razem? To było tylko przekłete swędzenie!

— Uważaj, jak się wyrażasz w mojej obecności — ostrzegła go Moiraine, wstając — bo inaczej odszukam Nynaeve i powierzę cię jej pieczy. — Nie wkładała jednak serca w te słowa, równie dobrze mogła to mówić przez sen. Usiłowała nie patrzeć na głowę lisa, kiedy Mat zakładał ją z powrotem na szyję. — Przyda ci się odpoczynek — powiedziała nieobecnym głosem. — Zostań do jutra w łóżku, jeśli masz ochotę.

Owinięta kocem Panna — Melindhra? — ukłękła obok Mata i położyła mu dłonie na ramionach, popatrując na Moiraine ponad jego głowę.

— Dopilnuję, by postąpił, jak każesz, Aes Sedai. — Ni stąd, ni zowąd uśmiechnęła się szeroko i zmierzwiła mu włosy. — On jest teraz moim małym psotnikiem.

Sądząc po przerażonej minie, Mat gromadził już siły, by rzucić się do ucieczki.

Do Randa dotarło, że słyszy za swoimi plecami ciche śmiechy. Panny, z *shoufami* i zasłonami opuszczonymi już na ramiona, zbiły się w gromadkę i zaglądały teraz z ciekawością do izby.

— Naucz go śpiewać, siostró włóczni — powiedziała Adelin, a pozostałe Panny zarżały ze śmiechu.

Rand natarł na nie z całą stanowczością.

— Dajcie człowiekowi odpocząć. Czy niektóre z was nie powinny się ubrać?

Ustały niechętnie, nadal usiłując zajrzeć do izby, dopóki nie wyszła z niej Moiraine.

— Czy zechcecie zostawić nas w spokoju? — spytała Aes Sedai, kiedy zniszczone drzwi zatrzasnęły się za nią. Potem na poły odwróciła się, oglądając za siebie i z irytacją zaciskając usta. — Muszę porozmawiać z Randem al'Thorem w cztery oczy.

Kiwając głowami, Panny ruszyły w stronę wyjścia, niektóre wciąż jeszcze kpiły z pomysłu, że Melindhra — z klanu Shaido, bodajże, Rand był ciekaw, czy Mat o tym wie — miałyby uczyć Mata śpiewu. Cokolwiek to miało oznaczać.

Rand zatrzymał Adelin, kładąc dłoń na jej obnażonym ramieniu, te, które to zauważyły, też się zatrzymały, więc, przemówił do wszystkich.

— Skoro nie chcecie odejść, kiedy wam każę, co się stanie, jeśli będę was musiał użyć podczas bitwy? — Nie miał takiego zamiaru, wołałby za. wszelką cenę tego uniknąć, wiedział, że Panny są walecznymi wojownikami, niemniej jednak wychował się w przekonaniu, że w razie konieczności pierwszy ginie mężczyzna, a dopiero potem kobieta. Logicznie rzecz biorąc, można było uznać to rozumowanie za głupie, zwłaszcza w stosunku do takich kobiet, lecz tak właśnie czuł. Rozumiał też, że lepiej im tego nie mówić. — Pomyślicie, że to jakiś żart czy też postanowicie przystąpić do walki dopiero wówczas, kiedy wam się zachce?

Popatrzyły na niego z konsternacją kogoś, komu się właśnie dowodzi jego ignorancji w najprostszych sprawach.

— W tańcu włóczni — powiedziała mu Adelin — pójdziemy tak, jak nami pokierujesz, ale to przecież nie jest taniec. Poza tym wcale nie kazałeś nam odejść.

— Nawet *Car'a'carn* nie jest królem z mokradła — dodała jakaś siwowłosa Panna. Muskularna i silna mimo wieku, była ubrana tylko w krótką koszulę i *shoufe*

To powiedzenie zaczynało już go męczyć.

Panny zostawiły go samego z Moiraine i Lanem, po czym znowu zaczęły dowiecipkować. Strażnik schował wreszcie swój miecz i wyglądał już na równie opanowanego, jak zawsze, a równocześnie sprawiał wrażenie, jakby w każdej chwili

li gotował się do skoku. W porównaniu z nim Aielowie wyglądali na ospałych. Włosy Lana, siwiejące na skroniach, podtrzymywał pleciony rzemyk, a jego oczy upodabniały go do niebieskookiego jastrzębia.

— Muszę z tobą porozmawiać o... — zaczęła Moiraine.

— Porozmawiać możemy jutro — przerwał jej Rand.

Twarz Lana skamieniała jeszcze bardziej, o ile to w ogóle było możliwe, Strażnicy dbali o swoje Aes Sedai, zarówno o ich pozycję, jak i szacunek dla osoby, w znacznie większym stopniu niż o samych siebie. Rand zignorował Lana. Ból w boku sprawiał, że nadal miał ochotę zgiąć się w pół, ale jakoś udawało mu się ustać prosto, nie miał zamiaru okazywać wobec niej jakichkolwiek słabości.

— Jeśli ci się wydaje, że wydobędę od Mata tę głowę lisa, to radzę ci dwa razy się zastanowić, zanim o to poprosisz.

Ten medalion w jakiś niewiadomy sposób sprawił, że Moiraine nie mogła przynieść. A w każdym razie nie była w stanie oddziaływać Mocą na Mata, kiedy go dotykała.

— Zapłacił za niego wysoką cenę i teraz należy do niego. — Przypomniawszy sobie, jak obita mu ramiona, używając Mocy, dodał sucho: — Czasem będę mógł poprosić, żeby mi go pożyczył.

Odwrócił się od niej. Było jeszcze coś, co musiał sprawdzić, aczkolwiek nie było już powodów do pośpiechu, do tej pory Psy Czarnego zdążyłyby już zrobić wszystko, co chciały.

— Proszę, Rand — powiedziała Moiraine i ta jawnie błagalna nuta w jej głosie kazała mu się zatrzymać w pół kroku. Nigdy dotąd nie słyszał prośby z jej ust.

Lan natomiast poczuł się urażony.

— Myślałem, że jesteś już mężczyzną — powiedział oschle Strażnik. — Czy to tak postępuje mężczyzna? Bo ty się zachowujesz jak arogancki mały chłopiec.

Lan uczył go miecza — i lubił, zdaniem Randa — ale zapewne wystarczyłoby jedno słowo Moiraine, żeby spróbował go zabić.

— Nie będę ci towarzyszyła wiecznie — powiedziała Moiraine z przejęciem. Dłonie jej drżały, tak mocno ścisnęła fałdy spódnicy. — Mogę zgiąć podczas następnego ataku. Mogę spaść z konia i złamać sobie kark, albo zostać trafiona strzałą Sprzymierzeńca Ciemności w samo serce, a śmierci wszak Uzdrowić się nie da. Poświęciłam całe życie, żeby cię odnaleźć, a potem pomóc. Nadal nie wiesz, jaka jest twoja siła, nawet w połowie jej nie znasz. Ja... proszę... najpokorniej, abyś mi wybaczył wszelkie przykrości z mojej strony.

Te słowa — słowa, których się nigdy nie spodziewał usłyszeć z jej ust — padały jakby wbrew niej, ale ostatecznie padały, a nie mogła wszak kłamać.

— Pozwól, żebym ci pomogła, na ile potrafię, dopóki jeszcze mogę. Proszę.

— Trudno ci ufać, Moiraine. — Zlekceważył Lana, całą uwagę skupił na niej.

— Traktowałeś mnie jak kukielkę, zmuszałeś, bym tańczył, jak ty grasz, od dnia

naszego poznania. Uwalniałem się od ciebie tylko wtedy, kiedy znajdowałaś się gdzieś bardzo daleko albo kiedy cię ignorowałem. Nawet teraz. trudno ci ufać.

Jej śmiech był srebrzysty jak księżyc na niebie, ale skaziła go gorycz.

— To bardziej przypominało zapasy z niedźwiedziem niż pociąganie za sznurki kukielki. Czy chcesz mojej obietnicy, że już więcej nie będę tobą manipulowała? Daję ci ją. — Jej głos stwardniał, stając się podobny do kryształu. — Przysięgam nawet, że będę ci posłuszna jak jedna z Panien, jak *gai'shain*, jeśli zechcesz... tylko musisz... — Zrobiwszy głęboki wdech, zaczęła raz jeszcze, ciszej. — Proszę cię pokornie, byś pozwolił sobie pomagać.

Lan zagapił się na nią zdumiony, Rand natomiast odniósł wrażenie, że oczy zaraz mu wyskoczą z orbit.

— Przyjmę twą pomoc — odparł powoli. — I ja też przepraszam za okazywane ci grubiaństwo. — Podejrzewał, że nadal się nim manipuluje — zawsze, kiedy był nieuprzejmy, to miał ku temu powody — ale ona nie mogła. kłamać.

Napięcie wyraźnie ją opuściło. Podeszła bliżej, by spojrzeć mu w twarz.

— To, czego użyłeś do wybicia Psów Czarnego, nazywa się płomieniem stosu. Nadal wyczuwam tutaj jego osady.

On też to czuł, podobne do zapachu, jaki pozostaje po świeżo upieczonym cieście wyniesionym z izby, albo do wspomnienia po czymś, co zostało nagle zabrane z zasięgu wzroku.

— Od czasu Pęknięcia Świata nie wolno używać płomienia stosu. Biała Wieża zabrania nam się tego uczyć. Nawet Przekłęci i Pomiot Cienia używali go niechętnie podczas Wojny o Moc.

— Zabronione? — spytał Rand, unosząc brew. — Widziałem raz, jak go użyłaś. — Światło księżyca było blade, więc nie mógł być tego pewien, ale wydało mu się, że jej twarz okryła się rumieńcem. Przynajmniej raz to ona została zbita z tropu.

— Czasami trzeba robić to, co jest zabronione. — Jeśli nawet straciła głowę, jej głos tego nie zdradzał. — Jeśli coś zostaje zniszczone przez płomień stosu, to przestaje już istnieć przed momentem swojego zniszczenia, niczym nitka, która pali się, zanim dotknie jej płomień. Im większa jest siła płomienia stosu, tym głębiej w czas sięga owo nieistnienie. Najsilniejszy, jaki ja potrafię utworzyć, usuwa coś ze Wzoru na zaledwie kilka sekund wcześniej. Ty jesteś silniejszy. O wiele silniejszy.

— Ale skoro to coś przestaje istnieć, zanim je zniszczysz... — Rand przecesał włosy palcami, kompletnie skonsternowany.

— Nie widzisz jeszcze, jakich to może przysporzyć kłopotów, jakie spowodować niebezpieczeństwa? Mat pamięta jak widział Psa Czarnego, który przegryzł się przez drzwi, a przecież w drzwiach nie ma żadnego otworu. Mat już by nie żył, zanim bym do niego dotarła, gdyby pies rzeczywiście opryskał go śliną, tak jak to zapamiętał. Od momentu, od którego wymazałeś tego stwora z Wzoru, wszyst-

ko, co zrobił potem, już się nie zdarzyło. Pozostają tylko wspomnienia w pamięci tych, którzy coś widzieli albo czegoś doświadczyli. Realne jest tylko to, co stworzenie to zrobiło wcześniej. Kilka śladów po zębach na drzwiach i jedna kropla śliny, która padła na rękę Mata.

— To mi się podoba — powiedział jej. — Dzięki temu Mat żyje.

— To jest straszne, Rand. — W jej głos wkradł się natarczywy ton. — Jak myślisz, dlaczego nawet Przekłeci bali się go użyć? Pomyśl, jaki to może mieć wpływ na Wzór. jeśli pojedyncze pasmo, jeden człowiek, zostanie usunięty z wszystkich godzin albo dni, które już się utkały, niczym nitka częściowo wypruta z kawałka tkaniny. Fragmenty manuskryptów, które ocalały z Wojny o Moc powiadają, że kilka miast uległo całkowitemu zniszczeniu pod wpływem działania płomienia stosu, zanim obie strony uświadomiły sobie, czym to grozi. Setki tysięcy nitek wyciągniętych z Wzoru, które zniknęły z dni już minionych, a cokolwiek ci ludzie zrobili, pozostało nie zrobione, podobnie zresztą jak wszystkie wydarzenia i czyny innych będące skutkiem ich działań. Pozostały wspomnienia, ale nie zdarzenia. Nie da się zliczyć zmarszczek na powierzchni Wzoru. Sam Wzór omal się nie rozplótł. To mogło wywołać destrukcję wszystkiego, co istnieje. Świata, czasu, samego Stworzenia.

Dreszcz, który przeszył Randa nie miał nic wspólnego z otaczającym go chłodem.

— Nie mogę ci obiecać, że już więcej go nie użyję. Sama powiedziałaś, że bywają takie sytuacje, kiedy trzeba zrobić to, co jest zakazane.

— Bynajmniej nie oczekiwałam, że mi obiecasz — odparła chłodno. Jej podniecenie opadało, powracała równowaga. — Ale musisz być ostrożny.

Wróciła do słowa „musisz”.

— Dysponując takim *sa'angralem* jak *Callandor*, mógłbyś zniszczyć całe miasto za pomocą płomienia stosu. We Wzorze mogłyby powstać zakłócenia sięgające wielu lat w przód. Kto wie, czy nadal tkałby się wokół ciebie, mimo że jesteś *ta'veren*, do czasu aż by się wszystko nie uspokoiło? Fakt, że jesteś *ta'veren* i to silnym, może być dodatkowym atutem, niezbędnym do odniesienia zwycięstwa, nawet podczas Ostatniej Bitwy.

— Może i tak będzie — oznajmił ponuro. Bohaterowie kolejnych opowieści głosili, że interesuje ich tylko zwycięstwo albo śmierć. Wyglądało na to, że najlepszym, na co mógł liczyć, było zwycięstwo i śmierć. — Muszę sprawdzić, co się stało z pewną osobą — powiedział cicho. — Zobaczmy się rano.

Gromadząc w swym wnętrzu Moc, życie i śmierć w wirujących warstwach, utworzył w powietrzu otwór wyższy od niego, wejście do czerni, przy której światło księżyca przypominało dzień. Asmodean nazywał to bramą.

— Co to jest? — wykrztusiła Moiraine.

— Jak już coś raz zrobię, to potem pamiętam, jak tego dokonałem. W większości przypadków.

Nie była to żadna odpowiedź, ale nadszedł czas na sprawdzenie wartości przysięg Moiraine. Nie mogła kłamać, ale z kolei Aes Sedai potrafiły doszukiwać się szczelin nawet w litym kamieniu.

— Zostaw dzisiaj Mata w spokoju. I nie próbuj odebrać mu medalionu.

— Medalion powinna zbadać Wieża, Rand. To na pewno jakiś *ter'angreal*, ale nie znaleziono dotąd żadnego, który...

— Nieważne, co to jest — przerwał jej stanowczo — stanowi jego własność. Zostawisz mu go.

Przez chwilę najwyraźniej walczyła z sobą, sztywniały jej plecy i powoli unosiła głowę, by spojrzeć mu w twarz. Nie była przyzwyczajona do rozkazów wydawanych jej przez kogoś innego niż Siuan Sanche, Rand zaś był gotów się założyć, że nawet poleceń Amyrlin nie przyjmowała bez targów. W końcu kiwnęła głową, a nawet wykonała coś na kształt ukłonu.

— Jak sobie życzysz, Rand. Medalion należy do niego. Samodzielne uczenie się czegoś takiego jak płomień stosu może się równać samobójstwu, a śmierci Uzdrowić się nie da. — Tym razem nie kryło się za tym szyderstwo. — Do zobaczenia rano.

Kiedy wyszła, Lan ruszył jej śladem, obdarzając Randa dziwnym spojrzeniem, wyraz jego twarzy pozostał nieodgadniony, raczej nie mógł być zachwycony takim obrotem spraw.

Brama zniknęła, ledwie Rand przez nią przeszedł.

Stał na dysku, kopii starożytnego symbolu Aes Sedai o średnicy sześciu stóp. Nawet jego czarna połowa wydawała się jaśniejsza od bezkresnej czerni, która otaczała go zewsząd, od góry i od dołu: był pewien, że gdyby spadł z krążka, upadek nie miałby końca. Asmodean twierdził, że istnieje szybsza metoda wykorzystywania bram zwana podróżowaniem, ale nie był w stanie przekazać, na czym ona polega. po części dlatego, że otoczonemu tarczą Lanfear, brakowało sił na utworzenie bramy. W każdym razie podróżowanie wymagało doskonałej znajomości miejsca, z którego się wyruszało. Rand uznał, że logicznie myśląc, należało również dobrze znać miejsce, do którego się zmierza, ale Asmodean zdawał się uważać, że to jest tak samo jak z pytaniem, dlaczego powietrze nie jest wodą. Wiele rzeczy Asmodean traktował jako z góry przesądzone. W każdym razie przemykanie okazało się metodą dostatecznie szybką.

Krąg, ledwie na nim stanął, przesunął się chwiejnie na odległość około jednej stopy, po czym znieruchomiał, a przed nim pojawiła się jeszcze jedna brama. Wystarczająco szybko, jeśli wziąć pod uwagę tak krótki dystans. Wyszedł na korytarz biegnący obok komnaty Asmodeana.

Jedynym źródłem światła był księżyc, którego promienie wlewały się przez okna znajdujące się przy obu końcach korytarza, lampa Asmodeana nie paliła się. Strumienie, którymi oplótł izbę wciąż były na swoim miejscu, nadal mocno związane. Nic się nie poruszyło, ale wciąż czuł nikły zapach spalonej siarki.

Podszedł bliżej do zasłony z paciorków i zajrzał do środka przez uchylone drzwi. Izbę wypełniały cienie rzucane przez księżyc, jednym z nich był sam Asmodean, który miotał się pod kocami. Otulony w Pustkę, Rand słyszał bicie jego serca, zapach potu wywołanego przez dokuczliwe sny. Pochylił się, by zbadać jasnoniebieskie płytki posadzki i odcisnięte w nich ślady.

Tropienia nauczył się, kiedy był mały, więc odczytanie ich teraz przyszło bez trudu. Były tu trzy albo cztery Psy Czarnego. Wyglądało na to, że podchodziły do drzwi jeden po drugim, następując niemalże na ślady poprzednika. Czy sieć oplatająca izbę zatrzymała je w tym miejscu? Czy raczej miały się tylko rozejrzeć i złożyć sprawozdanie? Myśl, że nawet psy Pomiotu Cienia mogły dysponować taką inteligencją, była niepokojąca. Ale z kolei Myrddraale wysługiwały się krukami, szczurami i innymi zwierzętami blisko związanymi ze śmiercią. Oczy Cienia, tak nazywali je Aielowie.

Przenosząc drobne strumyczki Ziemi, wyrównał płytki posadzki i cofał się po śladach coraz dalej, aż wreszcie znalazł się na pustej, spowitej w nocny mrok ulicy, w odległości jakichś stu kroków od wysokiego budynku. Rankiem wszyscy zobaczą kończący się w tym miejscu trop, ale nikt nie będzie podejrzewał, że Psy Czarnego zbliżyły się do Asmodeana. Psy Czarnego nie miały powodów, aby się interesować Jasinem Nataelem, bardem.

Wszystkie Panny, które przebywały w mieście, prawdopodobnie już się obudziły, z pewnością zaś nie spała ani jedna z mieszkających pod Dachem Panien. Utworzył kolejną bramę, plamę głębokiej czerni na tle nocnego mroku i pozwolił, by krąg zaniósł go do własnej izby. Zastanawiał się, dlaczego właściwie wybrał ten starożytny symbol — sam tego wyboru dokonał, nieważne, że nieświadomie, kiedy indziej był to zwykły stopień albo fragment posadzki. Stopiona masa, jaką się stały Psy Czarnego, odpływała jak najdalej od tego znaku, zanim na powrót się ukształtowała.

„Pod tym znakiem zwycięży”.

Gdy znalazł się już w swej izbie, pogrążonej w smolistej czerni, przeniósł Moc, by zapalić lampy, ale nie uwolnił *saidina*. Przeniósł Moc raz jeszcze, uważając, by nie uruchomić żadnej z pułapek i część ściany zniknęła, ukazując niszę, którą sam wyłobił w tym miejscu.

W małej alkowie stały dwie figurki, wysokie może na stopę, przedstawiające mężczyznę i kobietę w zwiewnych szatach, o pogodnych twarzach, każda trzymała w ręku kryształową kulę. Okłamał Asmodeana, mówiąc, że je zniszczył.

Niektóre *angreale*, takie jak krągły człowieczek, który spoczywał w kieszeni Randa, oraz *sa'angreale*, na przykład *Callandor*, zwiększały porcję Mocy, którą można było bezpiecznie przenieść za pomocą *angreala*, podobnie jak *angreal* powiększał porcję Mocy przenoszonej bez wspomagania. Jedne i drugie należały do rzadkości, Aes Sedai bardzo je ceniły, aczkolwiek potrafiły rozpoznać tylko te, które dostrajały się do kobiet i *saidara*. Te dwie figurki były czymś innym,

nie tak rzadkie, ale równie cenne. *Ter'angreale* stworzono do używania Mocy nie po to, by ją potęgować, lecz wykorzystywać do specyficznych celów. Aes Sedai nie znały celu, w jakim stworzono większość *ter'angreali*, które miały w Białej Wieży, niektórymi się posługiwały, nie wiedząc jednak, czy jest to zgodne z ich pierwotnym przeznaczeniem. Rand znał przeznaczenie obu figurek.

Figurka mężczyzny mogła go połączyć z jej ogromną kopią, najpotężniejszym *sa'angrealem*, jaki kiedykolwiek powstał, nawet gdyby dzielił go od niej cały Ocean Aryth. Tworzenie tego ogromnego posągu zakończono po ponownym zapieczętowaniu więzienia Czarnego...

„Skąd ja to wiem?”

... a następnie ukryto go, nim któryś z popadających w obłęd mężczyzn Aes Sedai zdążył go znaleźć. Figurka kobiety funkcjonowała identycznie w ręku kobiety, łącząc ją z kobiecym ekwiwalentem w postaci ogromnego posągu, który, miał nadzieję, wciąż jeszcze znajdował się w Cairhien, do połowy zagrzebany w ziemi. Z taką ilością Mocy... Moiraine powiedziała, że śmierci Uzdrawić się nie da.

Pamięć, nieproszona, niechciana, powróciła do tamtego przedostatniego razu, kiedy ośmielił się ująć w swe ręce *Callandora*, na powierzchni Pustki zatańczyły obrazy.

Ciemnowłosa dziewczyna, prawie jeszcze dziecko, leżała na plecach, z oczyma zognionymi i wbitymi w sufit, z krwią czerwieniącą gors jej sukni, w miejscu, gdzie przebiegł po niej trollok.

Była w nim Moc. Callandor płonął, a on był Mocą. Przenosił, kierując strumieniem do ciała dziecka, szukając, próbując, szperając. Ciało dziewczynki poderwało się, ręce i nogi były nienaturalnie sztywne, targały nimi drgawki.

— *Rand, nie możesz tego zrobić* — krzyknęła Moiraine. — *Tylko nie to!*

Oddychać. Ona musi oddychać. Pierś dziewczynki uniosła się i opadła. Serce. Musi bić. Krew, już zgęstniała i ciemna, trysnęła, z rany na piersi.

— *Żyj! Żyj, a żebyś szczerła!* — zawył jego umysł. — *Nie chciałem się spóźnić!*

Jej oczy wpatrywały się w niego, zasnutę mgłą, nie poddając się przepętniającej go Mocy. Bez życia. Po jego policzkach spływały nie tamowane łzy.

Brutalnie odepchnął wspomnienie, odgródzone pancierzem Pustki, mimo to bolało. Z taką ilością Mocy... Nie należało mu ufać, gdy dysponował taką ilością Mocy. „Nie jesteś Stwórcą”, powiedziała mu Moiraine, kiedy stał nad tamtym dzieckiem. A jednak dzięki posągowi mężczyzny, dysponując jedynie połową jego mocy, przenosił kiedyś góry. Mając o wiele mniej, tylko *Callandora*, był pewien, że potrafi zawrócić obrót Koła, ożywić martwe dziecko. Nie tylko Jedyna Moc była uwodzicielska, sama moc posługiwania się nią mogła być równie groźna. Powinien zniszczyć oba posągi. Zamiast tego na powrót utkał strumienie, na nowo zastawił pułapki.

— Co ty tu robisz? — spytał kobiecy głos, kiedy ściana powróciła do swego pierwotnego stanu.

Pośpiesznie rozwiązał strumienie — łącznie z samym głównym węzłem, który wypełniały śmiertelne niespodzianki — zamknął Moc w swym wnętrzu i odwrócił się.

W porównaniu z Lanfear, całą w bieli i srebrze, Elayne, Min albo Aviendha wyglądałyby przeciętnie. Za same jej czarne oczy mężczyzna oddałby duszę. Na jej widok jego żołądek skurczył się do takiego stopnia, że zebrało mu się na wymioty.

— Czego chcesz? — rzucił ostro. Kiedyś odgradził Egwene i Elayne, obie jednocześnie, od Prawdziwego Źródła, ale nie mógł sobie przypomnieć, jak tego dokonał. Dopóki Lanfear mogła dotykać Źródła, dopóty miał większe szanse, że schwyta wiatr, niż że ją uwięzi.

„Jeden błysk płomienia stosu i...”

Nie mógł tego zrobić. Była jedną z Przeklętych, jednak wspomnienie kobiecej głowy toczącej się po ziemi sprawiło, że zastygł w miejscu.

— Masz je obydwie — powiedziała wreszcie. — Tak mi się wydawało, że dostrzegłam przelotnie... Jeden przedstawia kobietę, prawda?

Pod wpływem jej uśmiechu serce mężczyzny mogło stanąć i jeszcze byłby za to wdzięczny.

— Powoli zaczynasz się zastanawiać nad moim planem, nieprawdaż? Z nimi, razem, sprawimy, że inni Wybrani ukłękną u naszych stóp. Zajmiemy miejsce Wielkiego Władcy, rzucimy wyzwanie Stwórcy. My...

— Zawsze byłaś ambitna, Mierin. — Własny głos zazgrzytał mu w uszach. — Jak myślisz, dlaczego się odwróciłem od ciebie? Nie chodziło o Ilyenę, nawet jeśli tak sądziłaś. Wyrzuciłem cię ze swego serca, jeszcze zanim ją poznałem. Tobą rządzi wyłącznie ambicja. Władza jest wszystkim, czego kiedykolwiek pragnęłaś. Budzisz mój wstręt!

Wpatrywała się w niego zdumiona, z obiema dłońmi przyciśniętymi do brzucha, ciemne oczy stały się jeszcze większe niż zazwyczaj.

— Graendal powiedziała... — zaczęła omdlewającym głosem. Przełknąwszy ślinę, ciągnęła dalej: — Lews Therin? Kocham cię, Lewsie Therinie. Zawsze cię kochałam i zawsze będę cię kochać. Wiesz przecież. Musisz to wiedzieć!

Twarz Randa przypominała skałę, miał nadzieję, że dzięki temu ukrył, iż jest zaszokowany. Nie miał pojęcia, skąd mu się brały te słowa, ale naprawdę miał wrażenie, że ją sobie przypomina. Jakieś mgliste wspomnienie, z odległej przeszłości.

„Nie jestem Lewsem Therinem Telamonem!”

— Nazywam się Rand al'Thor! — warknął szorstko.

— Jasne, że tak się nazywasz. — Powoli skinęła głową, przypatrując mu się uważnie. Chłodne opanowanie powróciło. — No przecież. Asmodean nagadał ci

różnych rzeczy na temat Wojny o Moc oraz o mnie. On kłamie. Ty mnie naprawdę kochałeś. Dopóki ta żółtowołosa dziewczka, Ilyena, nie ukradła mi ciebie.

Na krótką chwilę wściekłość wykrzywiła jej twarz, nie sądził, by zdawała sobie z tego sprawę.

— Czy wiesz, że Asmodean odciął od Źródła własną matkę? Teraz to nazywają ujarzmianiem. Odciął ją i pozwolił Myrddraalom zabrać ją wrzeszczącą. Możesz ufać takiemu człowiekowi?

Rand wybuchnął głośnym śmiechem.

— Kiedy go schwytałem. sama mi pomogłaś uwięzić. go w pułapce, żeby mnie uczył. A teraz mi mówisz, że nie powinienem mu ufać?

— Żeby cię uczył. — Lekceważąco pociągnęła nosem. — Będzie to robił, ponieważ wie, iż już na zawsze dzieli twój los. Nawet gdyby udało mu się przekonać pozostałych, że był więźniem, to i tak rozedrą go na strzępy, i on o tym wie. Najślabszemu psu w stadzie często przypada taki los. A poza tym czasami obserwuję jego sny. Jemu się śni, że ty zwyciężysz Wielkiego Władcę i nadasz mu wysokie godności. Czasami śni o mnie. — Jej uśmiech mówił, że te sny są przyjemne dla niej, ale nie dla Asmodeana. — Jednak będzie próbował nastawić cię przeciwko mnie.

— Po co przysłaś? — spytał. Nastawić przeciwko niej? W tym momencie była z całą pewnością przepełniona Mocą, gotowa natychmiast otoczyć go tarczą, gdyby tylko nabrała podejrzeń, że on ma zamiar coś zrobić. Postępowała tak już przedtem, z upokarzającą łatwością.

— Podobasz mi się taki. Arogancki i dumny, pewien swojej siły.

Innym razem stwierdziła, że on jej się podoba, ba tyle w nim niepewności, Lews 'Therin był za to nazbyt arogancki.

— Po co przysłaś?

— Tej nocy Rahvin nasłał na ciebie Psy Czarnego — odparła spokojnie, splatając dłonie na brzuchu. — Przybyłabym wcześniej, żeby cię przestrzec, ale jeszcze nie mogę pokazać innym, że stoję po twojej stronie.

Po jego stronie. Jedna z Przeklętych kochała go, a raczej tego człowieka, którym był przed trzema tysiącami lat, i chciała tylko, aby oddał swą duszę Cieniowi i razem z nią władał światem. Albo przynajmniej zasiadł o stopień niżej przy tronie władzy. A oprócz tego, by spróbował zdetronizować zarówno Czarnego, jak i Stwórcę. Czy ona kompletnie oszalała? A może moc tych dwóch wielkich *sa'angreali* była rzeczywiście tak wielka, jak twierdziła? Wolał, by jego myśli nie podążały w tym kierunku.

— Dlaczego Rahvin miałby nagle norie zaatakować? Asmodean twierdzi, że on pilnuje własnych interesów i że nawet podczas Ostatniej Bitwy, jeśli będzie mógł, zaczeka na uboczu, aż Czarny mnie zniszczy. Dlaczego nie Sammael czy Demandred? Asmodean twierdzi, że oni mnie nienawidzą.

„Nie mnie. Oni nienawidzą Lewsa Therina”. Dla Przeklętych ta było to samo. „Światłości, błagam, jestem Rand al’Thor”.

Odepchnął nagle wspomnienie jak trzymał tę kobietę w swych ramionach, a oboje byli wówczas młodzi i dopiero się uczyli, co można zrobić z Mocą.

„Jestem Rand al’Thor!”

— Dlaczego nie Semirhage, Moghedien albo Graen... ?

— Bo obecnie zagrażasz właśnie jego interesom. — Roześmiała się. — To ty nie wiesz, gdzie on jest? W Andorze, w samym Caemlyn. Jest tam absolutnym władcą, tyle że nie nazwanym. Morgase wdzięczy się i tańczy, jak on jej zagra, ona i razem z nią pół tuzina innych. — Wydęła z niesmakiem usta. — Wysłał umyślnych, żeby przetrząsnęli wszystkie miasta i wsie w poszukiwaniu dla niego nowych ślicznotek.

Przez krótki moment nie potrafił się otrząsnąć z szoku. Matka Elayne w rękach jednego z Przeklętych. Mimo to nie okazał śladu zaniepokojenia. Lanfear nieraz udowodniła, że jest zazdrosna, była w stanie odszukać Elayne i zabić ją, gdyby podejrzewała, że Rand coś do niej czuje.

„A co ja do niej czuję?”

Oprócz tego zdał sobie sprawę z jeszcze jednej rzeczy, i wiedza ta unosiła się poza skorupą Pustki, zimna i okrutna w swej prawdzie. Nie ruszy do ataku na Rahvina, nawet jeśli Lanfear nie zmyśla.

„Wybacz mi, Elayne, nie mogę”.

Równie dobrze mogła kłamać — nie uroniłaby nawet jednej łzy po Przeklętym, którego by zabił, wszyscy stali na drodze do urzeczywistnienia jej planów — w każdym jednak razie nie mógł zareagować na to, co robili Przekłęci, bo mogliby wówczas na tej podstawie wywnioskować, co sobie zamierzył. Trzeba zmuszać ich by reagowali na jego działania, a potem zdziwią się tak, jak się zdziwili Lanfear i Asmodean.

— Czy Rahvin uważa, że ja popędzę na ratunek Morgase? — spytał. — Widziałem ją w życiu tylko raz. Dwie Rzeki na mapie stanowią część Andoru, ale ja nigdy nie widziałem członka Gwardii Królewskiej w Dwu Rzekach. Od pokoleń nikt tam żadnego nie widział. Powiedz mieszkańcowi Dwu Rzek, że Morgase jest jego królową, a zapewne pomyśli, że oszalałaś.

— Wątpię, by Rahvin oczekiwał, że popędzisz na ratunek swej ojczyźnie — odparła kwaśno Lanfear — spodziewa się natomiast, że będziesz bronił swoich ambicji. On ma zamiar zastąpić Morgase na Tronie Słońca i wykorzystać ją jako kukielkę do czasu, kiedy będzie mógł się ujawnić. Z każdym dniem do Andoru przybywa coraz więcej żołnierzy. A ty posłałeś taireńskie wojska na północ, by zabezpieczyć swoje panowanie nad tą krainą. Nic dziwnego, że zaatakował natchmiast, kiedy cię znalazł.

Rand potrząsnął głową. To wcale nie tak było z tym wysyłaniem Tairenian, ale nie sądził, by zrozumiała. Albo uwierzyła, gdyby jej nawet powiedział.

— Dziękuję ci za ostrzeżenie. — Uprzejmość względem Przeklętej! Rzecz jasna nie mógł nic zrobić, najwyżej mieć nadzieję, że przynajmniej część tego, co mu powiedziała, jest prawdą.

„Dobry powód, żeby jej nie zabijać. Powie ci więcej, niż jej się wydaje, jeśli będziesz uważnie słuchać”.

Miał nadzieję, że to jego własna myśl, nieważne, iż chłodna i cyniczna.

— Odgradzasz swoje sny przede mną.

— Przed wszystkimi. — Tak brzmiała prosta prawda, aczkolwiek ona na liście zajmowała równie poczesne miejsce, jak Mądre.

— Sny należą do mnie. Zwłaszcza twoje sny i ty sam. — Jej twarz pozostała gładka, ale głos stwardniał. — Mogę się przebić przez twoje zabezpieczenia. Nie spodoba ci się to.

Chcąc okazać obojętność, usiadł na swym legowisku z zaplecionymi nogami i dłońmi opartymi na kolanach. Uznał, że ma twarz równie spokojną jak ona. W jego wnętrzu wzbierała Moc. Miał przygotowane strumienie Powietrza, którymi zamierzał ją związać, a także strumienie Ducha. Z nich tkało się tarczę oddzielającą od Prawdziwego Źródła. Tortura, której poddał swój umysł, głowiąc się, jak to zrobić, wydawała się odległa, ale i tak nie potrafił sobie przypomnieć. Bez tego pozostałe działania były bezużyteczne. Mogła rozerwać albo posiekać wszystko, co on utka, nawet jeśli tego nie zobaczy. Asmodean próbował nauczyć go tej sztuczki, ale to okazało się trudne bez splotu kobiecego, na którym można by ćwiczyć.

Lanfear zmierzyła go niefrasobliwym wzrokiem, lekki grymas zmaćcił jej urodę.

— Zbadałam sny kobiet Aiel. Tych tak zwanych Mądrych. One nie bardzo wiedzą, jak się otaczać tarczą. Mogłabym je tak nastraszyć, że już nigdy nic im się nie przyśni, a już z pewnością nie przyjdzie do głowy, by wdzierać się do twoich snów.

— Myślałem, że nie zechcesz mi jawnie pomagać. — Nie odważył się powiedzieć, by zostawiła Mądre w spokoju, równie dobrze mogła coś im zrobić tylko po to, żeby mu dokuczyć. Od samego początku dawała do zrozumienia, nawet jeśli nie mówiła tego wprost, że zamierza mieć nad nim przewagę. — Czy przez to nie ryzykujesz, iż jeszcze jakiś Przeklęty się dowie? Nie jesteś jedyna, która wie, jak wchodzić do cudzych snów.

— Wybranych — odparła nieobecny głosem. Przez chwilę zagryzała swą pełną dolną wargę. — Sny dziewcząt też obserwuję. Egwene. Kiedyś myślałam, że coś do niej czujesz. Czy wiesz, o kim ona śni? O synu i o pasierbie Morgase. Najczęściej o synu, o Gawynie. — Śmiejąc się, udała, że jest zaszokowana. — Nie uwierzyłybyś, że prosta wieśniaczka może miewać takie sny.

Zorientował się, że usiłuje sprawdzić, czy jest zazdrosny. Naprawdę myślała, że on ogradza swoje sny, żeby ukryć myśli o jakiejś innej kobiecie!

— Panny mnie strzegą — powiedział pochmurnie. — Jeśli chcesz wiedzieć, do jakiego stopnia, to przyjrzyj się snom Isendre.

Na jej policzkach wystąpiły ciemniejsze plamy. Oczywiście. Nie miał zauważyć, o co jej chodzi. Zakłopotanie kłębiło się poza granicami Pustki. A może ona sądziła...? Isendre? Lanfear wiedziała, że Isendre jest Sprzymierzeńcem Ciemności. To właśnie Lanfear sprowadziła Kadere i tę kobietę do Pustkowie. I podrzuciła większość tej biżuterii, o której kradzież oskarżono Isendre, Lanfear była okrutna nawet w błahych sprawach. A mimo to uważała, że on może ją kochać, że Isendre była Sprzymierzeńcem Ciemności nie stanowiło w jej mniemaniu żadnej przeszkody.

— Powiniennem był pozwolić im ją wypędzić, żeby spróbowała szczęścia, starając się dotrzeć do Muru Smoka — powiedział niedbałym tonem — ale kto wie, co mogła im powiedzieć, aby się ratować? Muszę do pewnego stopnia bronić jej i Kadere, żeby chronić Asmodeana.

Rumieniec zbladł, ale gdy znowu chciała otworzyć usta, rozległo się pukanie do drzwi. Rand poderwał się na równe nogi. Nikt nie rozpoznałby Lanfear, ale gdyby odkryto jakąś kobietę w jego izbie, kobietę, której wejścia nie zauważyła żadna z Panien, zadawano by pytania, a on nie umiałby na nie odpowiedzieć.

Lanfear zdążyła jednak otworzyć już bramę wiodącą do jakiegoś miejsca pełnego białych jedwabi i srebra.

— Pamiętaj, że ja jestem twoją jedyną nadzieją na przetrwanie, najdroższy. — Nie nazywa się nikogo najdroższym takim chłodnym głosem. — U mego boku nie musisz się niczego bać. U mego boku będziesz mógł władać wszystkim, co istnieje albo istnieć będzie.

Uniosła swe śnieżnobiałe spódnice i przeszła na drugą stronę. Przejście zamigotało i zniknęło.

Pukanie rozległo się ponownie i zanim jeszcze zdążył odepchnąć *saidina*, drzwi się otworzyły.

Enaila popatrzyła na niego podejrzliwie, mrużąc:

— Myślałam, że może Isendre... — Obdarzyła go oskarżycielskim spojrzeniem. — Siostry-włóczni wszędzie cię szukają. Żadna nie widziała, jak wracałeś. — Wyprostowała się, kręcąc głową, zawsze starała się wyglądać na tak wysoką, jak to tylko było możliwe. — Wodzowie przybywają na rozmowę z *Car'a'carnem* — oznajmiła ceremonialnie. — Czekają na dole.

Ponieważ byli mężczyznami, czekali w otoczonym kolumnami portyku. Niebo było nadal ciemne, ale pierwsze błyski świtu obramowały już góry na wschodzie. Nie pokazali na swych ukrytych w cieniu twarzach, czy zirytowały ich dwie Panny zagradzające im drogę do wysokich drzwi.

— Shaido ruszają — warknął Han, ledwie Rand się pojawił. — A także Reyn, Miagoma, Shiande... wszystkie klany! — Zamierzają przyłączyć się do Couladina czy do mnie? — spytał Rand.

— Shaido idą w stronę przełęczy Jangai — wyjaśnił Rhuarc. — Jeszcze za wcześnie, by o innych coś orzec. Maszerują jednak z każdą włócznieą, niepotrzebną do obrony ich siedzib albo stad.

Rand tylko skinął głową. Tyle determinacji, by nikt mu nie dyktował, co ma robić, a teraz to. Niezależnie od tego, co zamierzały inne klany, Couladin opracował plan przeprawy do Cairhien. To oznaczało koniec jego wielkich planów zaprowadzenia pokoju, kiedy Shaido będą plądrowali Cairhien, on nie może siedzieć w Rhuidean i czekać na pozostałe klany.

— W takim razie my też ruszamy do Jangai — powiedział w końcu.

— Nie dogonimy go, jeśli ma zamiar przekroczyć przełęcz — ostrzegł go Erim. A Han dodał cierpkim tonem:

— Jeśli przyłączyli się do niego inni, to jesteśmy unieruchomieni niczym padalce na słońcu.

— Nie będę tu siedział i czekał na wieści — powiedział Rand. — Mam zamiar wkroczyć do Cairhien tuż za Couladinem, skoro nie mogę go dogonić. W górę włócznie. Postarajcie się, abyśmy mogli wyruszyć wraz z pierwszym brzaskiem.

Wodzowie pożegnali go tym dziwacznym ukłonem, który Aielowie stosowali tylko podczas najbardziej formalnych sytuacji, z jedną stopą wystawioną do przodu i wyciągniętą ręką, a potem wyszli. Tylko Han powiedział cokolwiek.

— Do samego Shayol Ghul.

WYMARSZ

Pośród szarzyzny wczesnego poranka, mocno ziewając, Egwene wskoczyła na grzbiet swej klaczy o sierści barwy mgły, i zaraz musiała mądrze pokierować wodzami, by uspokoić brykające zwierzę, które od wielu tygodni nie miało na sobie jeźdźca. Aielowie, którzy woleli własne nogi, niemal całkowicie unikali jazdy konnej, aczkolwiek wysługiwali się jucznymi końmi i mułami. Nawet gdyby na Pustkowie znajdowało się pod dostatkiem drewna na budowę wozów, to i tak jego powierzchnia nie nadawała się dla kół, o czym przekonał się w smutnych okolicznościach niejeden handlarz.

Nie cieszyła się z podróży na zachód. Słońce kryło się jeszcze za górami, kiedy jednak wypełnie na otwarte niebo, upał będzie się wzmagał z każdą godziną, a nie będzie już namiotu, do którego można by zanurkować i poczekać do zapadnięcia zmroku. Nie była poza tym pewna, czy ubranie, które dostała od Aielów, nadaje się do konnej jazdy. Szal narzucony na głowę zawsze zaskakująco dobrze chronił przed słońcem, ale w tych baniastych spódnicach będzie odsłaniała nogę do uda, jeśli nie będzie uważać. Równie mocno jak nakazami skromności przemawiała się pęcherzami.

„Z jednej strony słońce, a . . .”

Miesiąc bez siodła nie powinien wszak zmięknąć jej aż do tego stopnia. Liczyła na to, w przeciwnym razie bowiem podróż mogła się okazać bardzo długa.

Kiedy już uspokoiła Mgłę, zauważyła, że Amys patrzy na nią, więc wymieniła z Mądrą uśmiech. Całe tamto bieganie po nocy nie było powodem jej niewyspania, dzięki niemu spała nawet głębiej. Tej nocy znalazła sny Amys, podczas święta piły we śnie herbatę, w Siedzibie Zimnych Skał, wczesnym wieczorem, kiedy to dzieci bawiły się wśród tarasowatych pól, a przyjemny wiatr owiewał dolinę przy zachodzącym słońcu.

Oczywiście. mogło to w znacznym stopniu skrócić jej czas przeznaczony na odpoczynek, ale po opuszczeniu snów Amys była taka podniecona, że nie mogła się powstrzymać, nie mogła, nie wtedy, niezależnie od tego, co jej przykazała Amys. Zewsząd otaczały ją sny, aczkolwiek nie. miała pojęcia, do kogo należy większość. Większość, ale nie wszystkie. Melaine śniła o niemowlęciu, które ssało jej pierś, a Bair o jednym ze swych zmarłych mężów, oboje byli w tym śnie mło-

dzi i jasnowłosi. Bardzo się pilnowała, by nie wchodzić właśnie do nich, Mądre natychmiast zauważyłyby obecność intruza i Egwene poczuła dreszcz przeszywający ją na samą myśl o tym, co by jej zrobiły przed wypuszczeniem ze snów.

Wyzwanie stanowiły oczywiście sny Randa, wyzwanie, któremu nie mogła nie stawić czoła. Skoro teraz już potrafiła przeskakiwać ze snu do snu, to jak nie spróbować dokonać tego, co się nie powiodło Mądrym? A jednak próba wejścia do jego snów przypominała walenie głową o niewidzialny kamienny mur. Wiedziała, że po drugiej stronie tego muru znajdują się jego sny i była przekonana, iż znajdzie do nich drogę, ale tam nie było żadnego punktu zaczepienia. Mur z nicości. Był to problem, który zamierzała tak długo drażnić, aż wreszcie go rozwiąże. Była uparta niczym borsuk, kiedy już sobie coś wbiła do głowy.

Dookoła niej krzatali się *gai'shain*, zajęci pakowaniem dobytku Mądrych na grzbiety mułów. Niebawem już tylko Aiel albo ktoś równie wprawny w tropieniu śladów będzie w stanie orzec, że na tym spłachetku twardej gliny kiedykolwiek stały namioty. Krzątania ogarnęła również zbocza okolicznych gór, sięgając nawet do miasta. Wprawdzie nie wszyscy mieli wziąć udział w wyprawie, ale jej uczestników liczone w tysiące. Aielowie tłoczyli się na ulicach, a przez całą długość wielkiego placu stała karawana wozów pana Kadere, obładowanych znalezi-skami Moiraine. Na samym końcu szeregu stały trzy pomalowane na biało wozy do przewożenia wody, podobne do ogromnych beczek na kołach, z zaprzęgami liczącymi po dwadzieścia mułów. Wóz samego Kadere, na czele kolumny, przypominał mały biały domek na kołach, ze schodkami z tyłu i metalowym kominem wystającym z płaskiego dachu. Gruby obdarzony orlim nosem kupiec, ubrany tego dnia w jedwab koloru kości słoniowej, wykonał zamaszysty ukłon swym rażąco sfatygowanym kapeluszem, kiedy przejechała obok, szeroki uśmiech, którym błysnął w jej stronę, nie ogarnął skośnych oczu.

Zignorowała go lodowatą miną. Miał sny zdecydowanie mroczne i nieprzyjemne, przynajmniej te, które nie były lubieżne.

„Powinno mu się wsadzić głowę do beczki pełnej herbaty z błękitnika” — pomyślała ponuro.

Żeby dojechać do Dachy Panien musiała lawirować wśród rozbieganych *gai'shain* i cierpliwie stojących w miejscu mułów. Ku jej zdziwieniu jedna z kobiet pakujących rzeczy Panien ubrana była w czarną, nie zaś białą szatę. Kobieta, mniej więcej równa jej wzrostem, zataczała się pod ciężarem obwiązanego sznurkiem tobołka, który dźwigała na plecach. Mijając ją, pochyliła się, by zerknąć do wnętrza jej kaptura i wtedy zobaczyła wynędzniałą twarz Isendre, zalaną strugami potu. Cieszyła się, że Panny nie pozwalały już tej kobiecie wychodzić na zewnątrz — czy raczej przestały wyganiać ją na zewnątrz — najczęściej nago, niemniej jednak ubranie jej w czerń zakrawało na zbytek okrucieństwa. Jeżeli już teraz tak mocno się spociła, to mogła nawet umrzeć wraz z nastaniem prawdziwego upału.

Niestety, do spraw *Far Dareis Mai* nie mogła się wtrącać. Aviendha dała jej to

do zrozumienia delikatnie, ale stanowczo. Adelin i Enaila były w tej kwestii niemalże grubiańskie, żyłasta zaś, siwowłosa Panna o imieniu Sulin zagroziła wręcz, że zawlecze ją do Mądrych za ucho. Wbrew swym wysiłkom zmierzającym ku przekonaniu Aviendhy, by przestała ją tytułować Aes Sedai, z irytacją odkryła, że Panny, które najpierw obchodziły ją z niepewnością, uznały ostatecznie, że jest tylko jeszcze jedną uczennicą Mądrych. Nie pozwalały jej nawet przekroczyć progu Dachy, o ile nie wytłumaczyła, że przychodzi z jakimś zleceniem.

Pośpiech, z jakim prowadziła Mgłę w tym tłumie, bynajmniej nie miał nic wspólnego z jej stosunkiem do sprawiedliwości *Far Dareis Mai*, względnie z nieprzyjemną świadomością, że niektóre z Panien mierzą ją wzrokiem, bez wątpienia gotowe prawić jej kazanie, gdyby uznały, iż ona zamierza się wtrącać. Miał też niewiele wspólnego z faktem, że nie lubiła Isendre. Nie chciała nawet pamiętać o tym, co przelotnie dostrzegła w snach tej kobiety, na moment przedtem, jak obudziła ją Cowinde. To były sny o torturach, robiono w nich z nią takie rzeczy, że Egwene na ich widok umknęła ze zgrozą, ścigana przez coś ciemnego i złego. Nic dziwnego, że Isendre wyglądała na wynędzniałą. Cowinde, która właśnie kładła jej dłoń na ramieniu, odskoczyła gwałtownie, tak szybko bowiem Egwene obudziła się i zerwała na równe nogi.

Rand stał na ulicy przed Dachem Panien, ubrany w *shoufę*, która miała go ochronić przed słońcem, i kaftan z niebieskiego jedwabiu, tak gęsto haftowany złotą nitką, że nadawałby się do pałacowych wnętrz, zwłaszcza gdyby był zapięty do końca, a nie tylko do połowy. Przy pasie miał nową sprzączkę, bardzo ozdobną, w kształcie Smoka. Zaczął się bardzo przejmować swoją osobą, to było widać. Stał obok swego jabłkowitego wierzchowca, Jeade'ena, i rozmawiał z wodzami klanów oraz grupką Aielów-handlarzy, którzy mieli zostać w Rhuidean.

Depczący mu niemalże po piętach Jasin Natael, z harfą na plecach i wodzami osiodłanego muła, którego kupił od pana Kadere, w dłoni, ubrany był jeszcze strojnziej, w czarny kaftan niemal całkiem pokryty srebrnym haftem, z koronką wokół szyi i przy mankietach. Nawet cholewy wysokich butów, w miejscu, gdzie wywijają się pod kolanami, miał ozdobione srebrem. Cały efekt psuł charakterystyczny płaszcz barda z naszytymi kolorowymi łatkami, ale ostatecznie bardowie to dziwni ludzie.

Handlarze ubrani byli w *cadin'sor* i mimo że ich zatknięte za pasami noże nie dorównywały długością tym, które mieli przy sobie wojownicy, Egwene wiedziała, iż w razie potrzeby wszyscy będą potrafili posłużyć się włócznią, mieli zresztą w sobie coś z tej śmiertelnej gracji swych braci, którzy zawsze nosili przy sobie włócznie. W znacznie większym stopniu odróżniały się od pozostałych kobiet Aiel handlarki, ubrane w luźne białe bluzki z *algode* i obszerne, wełniane spódnice. Z wyjątkiem Panien i *gai'shain* — oraz Aviendhy — wszystkie kobiety Aiel obwieszały się mnóstwem bransolet i naszyjników ze złota, kości słoniowej, srebra oraz kamieni szlachetnych, część stanowiły wyroby Aielów, inne nabyto za

pomocą wymiany, a jeszcze inne pochodziły z łupów. Jednak nawet w porównaniu z nimi, handlarki nosiły dwa razy tyle ozdób, o ile nie więcej.

W ucho wpadł jej strzęp tego, co Rand mówił handlarzom.

— ... dajcie mularzom ogirów wolną rękę, przynajmniej jeśli idzie o to, co sami zbudowali. Na, tyle, na ile wam się uda, realizujcie własne pomysły. Nie ma sensu powtarzać przeszłości.

A zatem posyłał ich do *stedding*, żeby sprowadzili ogirów, którzy mieli odbudować Rhuidean. To dobrze. Spora część Tar Valon stanowiła dzieło ogirów, zapierające dech w piersiach.

Mat siedział już na grzbiecie swego wałacha, którego nazwał Oczko, w kapeluszu z szerokim rondem naciągniętym na czoło, koniec zaś drzewca dziwacznej włóczni wetknął w strzemię. Jak zwykle jego zielony kaftan z wysokim kołnierzem sprawiał takie wrażenie, jakby Mat w nim spał. Unikała jego snów. Jedną z Panien, bardzo wysoka, złotowłosa kobieta, obdarzyła Mata szelmowskim uśmiechem, który wyraźnie wprawił go w zakłopotanie. I nic dziwnego, była o wiele od niego starsza. Egwene pociągnęła nosem.

„Już ja wiem, co mu się śni, wielkie dzięki!”

Podjechała do niego tylko dlatego, że szukała Aviendhy.

— Kazał jej się uciszyć i ona go usłuchała — powiedział, kiedy Egwene zatrzymała Mgłę. Skinął głową w stronę Moiraine i Lana, ona, ubrana w bladoniebieskie jedwabie, ścisnęła wodze swej klaczy, on, w mieniącym się płaszczu, przytrzymał swego wielkiego, czarnego wierzchowca. Strażnik o kamiennej twarzy nie spuszczał oczu z Aes Sedai, ona natomiast piorunowała wzrokiem Randa, wyraźnie gotowa lada chwila wybuchnąć ze zniecierpliwienia.

— Zaczęła mu właśnie mówić, dlaczego nie należy tego robić, a brzmiało to tak, jakby powtarzała to już po raz setny, on zaś jej odpowiedział: „Ja tak postanowiłem, Moiraine. Stań sobie tutaj i bądź cicho, dopóki nie znajdę czasu dla ciebie”. Jakby się spodziewał, że ona zrobi to, co on jej każe. I ona to zrobiła. Czy mi się wydaje, czy z jej uszu wylatuje para?

Rechotał z takim zadowoleniem, tak rozbawiony własnym dowcipem, że mało co, a byłaby objęła *saidara* i dała mu nauczki na oczach wszystkich. Zamiast tego tylko pociągnęła nosem, na tyle głośno, by się dowiedział, że nie pochwała ani jego dowcipu, ani jego wesołości. Popatrzył na nią krzywo, z ukosa, i znowu parsknął śmiechem, który bynajmniej nie odmienił jej nastroju.

Przez chwilę przypatrywała się Moiraine z konsternacją. Aes Sedai postępowała tak, jak kazał jej Rand? Bez słowa protestu? To tak, jakby opowiadał o jakiejś Mądrej, która posłuchała czyjegoś rozkazu, albo o tym, że słońce weszło o północy. Słyszała, naturalnie, o napaści, tego ranka wszyscy powtarzali sobie pogłoski o ogromnych psach, które zostawiły odciski łap w kamieniach. Nie rozumiała, gdzie tu związek, lecz oprócz wieści o Shaido, była to jedyna nowa rzecz, jakiej się dowiedziała, ale to przecież nie mogło wystarczyć do wywołania takiej

reakcji. Nic jej nie mogło wywołać, nic, co jej przychodziło do głowy. Moiraine powie bez wątpienia, że to nie jej sprawa, ale ona się jakoś dowie, w taki czy inny sposób. Nie lubiła czegoś nie rozumieć.

Wypatrzwszy Aviendhę, która stała na dolnym stopniu Dachy, powiodła Mgłę dookoła zbiorowiska otaczającego Randa. Przyjaciółka wpatrywała się w niego równie twardym wzrokiem jak Aes Sedai, ale za to z twarzą całkowicie pozbawioną wyrazu. Bez końca obracała bransoletkę z kości słoniowej, która zdobiła przegub jej dłoni, najwyraźniej nie zdając sobie z tego sprawy. Z jakiegoś powodu ta bransoletka była źródłem części kłopotów Aviendhy związanych z Randem. Egwene nic nie rozumiała, Aviendha nie chciała o tym rozmawiać, a nie mogła zapytać wprost kogoś innego. Sama dostała od niej bransoletkę z kości słoniowej w kształcie płomienia, na przypieczętowanie ich związku jako prawie-siostr, ona w zamian dała jej srebrny naszyjnik, wykonany, jak twierdził pan Kadere, według wzoru Kandori zwanego „płatki śniegu”. Musiała poprosić Moiraine o odpowiednią kwotę, ale podarunek wydawał się stosowny dla kobiety, która w życiu nie widziała śniegu. Lub nigdy nie zobaczyłaby, gdyby nie wyjeżdżała z Pustkowia, szanse, że zdąży wrócić przed zimą, były niewielkie. Egwene była przekonana, iż ostatecznie rozwiąże tajemnicę bransoletki.

— Dobrze się czujesz? — spytała. Pochylając się z siodła o wysokim łęku, zadarła niechęcący spódnice i odsłoniła nogi, ale ledwie to zauważyła, tak bowiem była zaniepokojona stanem przyjaciółki.

Gdy powtórzyła pytanie, Aviendha wzdrygnęła się i wbiła w nią wzrok, unosząc głowę.

— Jak ja się czuję? Jasne, że dobrze.

— Pozwól mi porozmawiać z Mądrymi, Aviendha. Na pewno je przekonam, że nie mogą tak zwyczajnie ci kazać, być. . . — Nie mogła się zmusić, by to powiedzieć, nie tutaj, gdzie mógł ją usłyszeć ktoś z tłumu otaczającego Randa.

— Nadal się tym przejmujesz? — Aviendha poprawiła swój szary szal i nieznacznie pokręciła głową. — Wasze obyczaje wciąż nie przestają mnie zadziwiać. — Jej przeszywający wzrok ponownie powędrował w stronę Randa.

— Nie musisz się go obawiać.

— Ja się nie boję żadnego mężczyzny — zachnęła się jej rozmówczyni, z oczyma błyskającymi niebieskozielonym ogniem. — Nie chcę nieporozumień między nami, Egwene, ale nie powinnaś mówić takich rzeczy.

Egwene westchnęła. Przyjaciółka czy nie, Aviendha naprawdę była zdolna wytargać ją za uszy, gdyby ją dostatecznie obraziła. Poza tym wcale nie miała pewności, czy umiałaby się przyznać. Sen Aviendhy był tak bolesny, że nie dało się oglądać go zbyt długo. Naga, jedynie z ową bransoletką z kości słoniowej, która zdawała się jej tak ciężać, jakby ważyła sto funtów, Aviendha biegła najszybciej, jak mogła po popękanej, gliniastej równinie. A za nią podążał Rand, większy dwa razy od ogira, na ogromnym Jeade'enie, powoli, lecz nieubłaganie

ją doganiając.

Przyjaciółce, nie można powiedzieć prosto w twarz, że kłamie. Egwene lekko się zarumieniła. Zwłaszcza, gdy nie można zdradzić, skąd się to wie.

„Wytargałaby mnie wtedy za uszy. Już więcej tego nie zrobię. Już nie będę więcej buszowała po cudzych snach. A w każdym razie nie po snach Aviendhy”.

Nie wolno zakradać się na przeszpiegi do snów przyjaciółki. Nie były to, co prawda, takie prawdziwe przeszpiegi, ale...

Ludzie stłoczeni wokół Randa zaczęli się już rozchodzić. Zgrabnie wskoczył na siodło, Natael skwapliwie poszedł jego śladem. Jedna z handlarek, kobieta o szerokiej twarzy i włosach barwy ognia, obwieszona złotem, rżniętymi kamieniami i rzeźbioną kością słoniową, wartymi niewielką fortunę, ociągała się jednak.

— *Car'a'carn*, czy zamierzasz opuścić Ziemię Trzech Sfer na zawsze? Z tego, co mówiłeś, wynikało, jakbyś miał nigdy nie wrócić.

Słyszac to, pozostali zatrzymali się i odwrócili. W ślad za falą pomruków powtarzających pytanie szło milczenie.

Przez chwilę Rand również milczał, tocząc wzrokiem po zwróconych ku niemu twarzach. W końcu powiedział:

— Liczę, że wrócę, ale kto wie, co się zdarzy? Koło się obraca, jak chce. — Zawahał się, widząc wpatrzone w niego wszystkie oczy. — Ale pozostawię wam coś, abyście mnie zapamiętali — dodał, wsuwając dłoń do kieszeni.

Nieczynna fontanna obok Dachy ożyła nagle, z pysków morświnów stojących na ogonach trysnęła woda, z rąk wykutych z kamienia dwóch kobiet poleciał wodny pył. Znieruchomieli z oszołomienia Aielowie obserwowali wszystkie fontanny w Rhuidean, z których nagle zaczęła się lać strumieniami woda.

— Już dawno temu powinienem był to zrobić. — Rand mruknął to bez wątplenia do siebie, ale w tej ciszy Egwene słyszała go całkiem wyraźnie. Jedynym innym dźwiękiem był plusk setek fontann. Natael wzruszył ramionami, jakby nie spodziewał się niczego pośledniejszego.

Egwene gapiła się nie na fontanny, lecz na Randa. Mężczyzna, który potrafił przенosić.

„Rand. On nadal jest Randem, wbrew wszystkiemu”.

Niemniej jednak, za każdym razem, widząc, jak on to robi, uświadamiała sobie, że mógłby to w dowolnej chwili powtórzyć. Kiedy dorastała, uczono ją, że tylko Czarnego należy się bać bardziej od mężczyzny, który potrafi przенosić.

„Może Aviendha ma rację, że się go obawia”.

Kiedy jednak spojrzała na Aviendhę, zobaczyła, że jej twarz rozpromieniła się ze zdumienia, woda zachwyciła kobietę Aiel tak, jak ją mogłaby zachwycić najwspanialsza suknia z jedwabiu albo ogród pełen kwiatów.

— Czas ruszać — obwieścił Rand, kierując swego jabłkowitego wierzchowca na zachód. — Wszyscy, którzy nie są jeszcze gotowi, będą musieli nas dogonić.

Natael jechał tuż za nim na swym mule. Dlaczego Rand pozwala, by ten słuzalec trzymał się go tak blisko?

Wodzowie klanów zaczęli natychmiast wydawać rozkazy i rwetes spotęgował się po dziesięciokroć. Część Panien i Poszukiwacze Wody wysforowali się do przodu, jeszcze większa grupa *Far Dareis Mai* okrążyła Randa niczym honorowa straż, przypadkiem również otaczając Nataela. Aviendha szła obok Jeade'ena, tuż przy ostrodze Randa, z łatwością dotrzymując kroku ogierowi mimo obszernych spódnic.

Egwene zrównała się z Matem, jadącym tuż za Randem i jego eskortą. Zmarszczyła brwi. Jej przyjaciółka znowu przybrała wyraz zaciętej determinacji, jakby musiała włożyć rękę do jaskini pełnej węży.

„Muszę coś zrobić, żeby jej pomóc”.

Egwene nie rezygnowała z rozwiązania problemu, kiedy już się weń wgryzła.

* * *

Usadowiwszy się w siodle, Moiraine poklepała wygięty w łuk kark Aldieb, ale nie od razu ruszyła za Randem. Hadnan Kadere wyprowadzał swoje wozy na ulicę, sam powożąc tym, który jechał na czele. Powinna go była zmusić, by ten wóz również załadował, tak jak i inne, mężczyzna bał się jej na tyle, by usłuchać. Krzywa rama drzwi — *ter'angreal* — była przywiązana do pojazdu jadącego tuż za wozem Kadere, szczelnie opakowana w płótno, by nikt ponownie nie mógł do niej przypadkiem wpaść. Po obu stronach karawany szły długie szeregi Aielów *Seia Donn*, Czarne Oczy.

Kadere uklonił się jej z siedzenia, unosząc kapelusz, lecz jej wzrok sunął właśnie wzdłuż szeregu wozów, aż do wielkiego placu otaczającego las smukłych, szklanych kolumn, iskrzących się w porannym świetle. Zabrałaby wszystko z tego placu, gdyby mogła, a nie tylko tę niewielką część, która pomieściła się na wozach. Niektóre przedmioty były za duże. Na przykład te trzy pierścienie z mętnego, szarego metalu, każdy o średnicy co najmniej dwóch kroków, stojące na krawędzi i połączone w środku. Wokół nich rozciągnięto sznur z plecionego rzemienia, by ostrzec wszystkich przed wchodzeniem tam bez zezwolenia Mądrych. Nikt zresztą się do tego nie palił. Jedynie wodzowie klanów i Mądre wchodziłi na ten plac z jako takim spokojem, a tylko Mądre dotykały czegokolwiek i to z należytą ostrożnością.

Przez niezliczone lata drugi sprawdzian, z jakim musiała się zmierzyć kandydatka na Mądrą, polegał na wejściu w ten szereg połyskliwych, szklanych kolumn i zobaczeniu dokładnie tego samego, co widzieli mężczyźni. Z tej próby cało wy-

chodziło więcej kobiet niż mężczyzn — Bair twierdziła, że to dlatego, że kobiety są twardsze, zdaniem Amys, te, które były za słabe, by przeżyć takie doświadczenie, odsiewano, zanim dotarły do tego punktu — ale to wcale nie było takie pewne. Te, które wychodziły z tej próby cało, nie miały piętna na ciele. Mądre twierdziły, iż tylko mężczyźni potrzebują widomych znaków, w przypadku kobiety wystarczyło, że żyła.

Pierwszy sprawdzian, pierwszy odsiew, poprzedzający jakiegokolwiek szkolenie, polegał na przekroczeniu jednego z tych trzech pierścieni. Nie miało znaczenia którego, a może to przeznaczenie kierowało tym wyborem. Taki krok przeprowadzał kobietę jakby przez cały szereg żywotów, przez ukazującą się jej przeszłość, przez wszystkie potencjalne przyszłości wynikłe z wszelkich decyzji, jakie mogła podjąć do końca życia. Śmierć też, mogła się w nich zdarzyć, niektóre kobiety nie potrafiły stawić czoła przyszłości, podobnie jak te, które nie umiały się uporać z przeszłością. Oczywiście umysł nie był w stanie spamiętać tych wszystkich możliwości. Większość mieszała się ze sobą i blakła, niemniej jednak kobieta poddana tej próbie zyskiwała jakieś pojęcie o tym, co się jej zdarzy w życiu, o tym, co musiało albo mogło się jej zdarzyć. Ale zazwyczaj nawet to pozostawało dla niej ukryte, dopóki nie nadchodził właściwy moment. Też nie zawsze. Moiraine przeszła przez te pierścienie.

„Łyżka nadziei i filiżanka rozpacz” — pomyślała.

— Nie podobasz mi się taka — powiedział Lan. Wysoki, na grzbiecie potężnego Mandarba, patrzył na nią z góry, z grymasem niepokoju, który wyrzył mu bruzdy w kącikach ust. W jego przypadku to było tyle samo, co u innego mężczyzny łączy desperacji.

Obok ich koni sunęli Aielowie oraz *gai'shain* z jucznymi mułami. Moiraine była zaskoczona, widząc, że wozy Kadere z wodą już przejechały, nie zauważyła ich, bo tak długo patrzyła na plac.

— Jaka? — spytała, zawracając klacz, by przyłączyć się do pochodu. Rand i jego eskorta już wyjechali z miasta.

— Zmartwiona — rzekł bez ogródek. — Przestraszona. Nigdy cię nie widziałem przestraszonej, nawet wtedy, gdy otaczało nas mrowie trolloków i Myrddraali, nawet wtedy, kiedy się dowiedziałaś, że Przekłęci wydostali się na wolność i że Sammael siedzi nam niemalże na karku. Czy nadchodzi koniec?

Wzdrygnęła się i natychmiast tego pożałowała. Patrzył wprost przed siebie, ponad łbem swego wierzchowca, ale temu człowiekowi nigdy nie zdarzało się niczego przeoczyć. Czasami miała wrażenie, że zauważy liść opadający z drzewa za jego plecami.

— Mówisz o Tarmon Gai'don? Najmniejszy gil w Seleisin wie o tym równie dobrze jak ja. Będzie, jak Światłość da, dopóki jeszcze nie wszystkie pieczęcie zostały złamane. — Te dwie, które znalazła, znajdowały się w jednym z wozów Kadere, każda zapakowana w oddzielnej beczulce wysłanej wełną. Na innym wo-

zie niż ten z futryną, dopilnowała tego.

— A o czym innym miałbym mówić? — spytał powoli, nadal na nią nie patrząc i sprawiając, że pożałowała, iż nie ugryzła się w język. — Stałaś się... niecierpliwa. Pamiętam czasy, kiedy potrafiłaś całymi tygodniami czekać na strzępek informacji, na jedno słowo, nawet nie kiwnąwszy palcem, a teraz... — W tym momencie popatrzył na nią, spojrzenie jego niebieskich oczu onieśmieliłoby zaś większość kobiet. A zapewne również i mężczyzn. — Ta przysięga, którą złożyłaś chłopcu, Moiraine. Co cię, na Światłość, opętało?

— On się coraz bardziej oddala ode mnie, Lan, a ja muszę być blisko niego. On potrzebuje wszelkich wskazówek, jakich jestem mu w stanie udzielić, i zrobię wszystko, prócz dzielenia z nim łoża, aby je dostał.

W pierścieniach dowiedziała się, że byłaby to katastrofa. Nie brała wprawdzie tego pod uwagę — sam pomysł wciąż ją jeszcze szokował! — a jednak pierścienie mówiły o czymś, co miała lub mogła rozważyć w przyszłości. Bez wątpienia odkryła się w nich miara jej narastającej desperacji, ale wizje pierścieni przekonały ją w każdym razie definitywnie, że równałoby się to zniszczeniu wszystkiego. Żałowała, że już nie pamięta, jak to się może stać — we wszystkim, czego się dowiadywała na temat Randa al'Thora, można było znaleźć klucz do jego osoby — a tymczasem w jej pamięci pozostał jedynie prosty fakt klęski.

— Może sprawi, że bardziej spokojniejsz, jeśli ci powie, że masz mu przynosić kamasze i zapalać fajkę?

Zagapiła się na niego. To jakiś żart? Jeśli tak, to raczej mało zabawny. Nigdy nie uważała, by unізoność przysłużyła się w jakiegokolwiek sytuacji. Sivan twierdziła, że dorastanie w Pałacu Słońca w Cairhien głęboko zakorzeniło arogancję w kościach Moiraine, tam, gdzie nawet jej nie dostrzegała — i czego stanowczo się wypierała — ale mimo iż Sivan była córką prostego rybaka, dorównywała królowym w walce na spojrzenia i w jej mniemaniu arogancja oznaczała sprzeciw wobec jej własnych planów.

Lan zmieniał się, skoro pozwalał sobie na żarty, nawet jeśli były kiepskie i przewrotne. Towarzyszył jej od blisko dwudziestu lat i ratował życie więcej razy, niż chciało jej się liczyć, często ryzykując własnym. Zawsze traktował swoje życie jako coś miało istotnego, podporządkowanego wyłącznie realizacji jej potrzeb, niektórzy twierdzili, że zaleca się do śmierci niczym oblubieniec do swej wybranki. Nigdy nie posiadał jego serca i nigdy nie czuła się zazdrosna o te kobiety, które padały do jego stóp. Długo twierdził, że nie ma serca. A jednak zeszłego roku okazało się, że jest inaczej, kiedy ta kobieta nanizła je na sznur i zawiesiła wokół szyi.

Oczywiście wypierał się. Nie swej miłości do Nynaeve al'Meara, byłej Wiedzącej z Dwu Rzek, a obecnie Przyjętej z Białej Wieży, lecz tego, że może ją kiedykolwiek mieć. Twierdził, iż posiada tylko dwie rzeczy: miecz, który się nie złamie i wojnę, która się nigdy nie skończy i że nigdy nie ofiaruje ich swej ob-

lubienicy. O to przynajmniej Moiraine zadbała, aczkolwiek on nie miał się o tym nigdy dowiedzieć, dopóki się nie stanie. Gdyby się dowiedział, zapewne starałby się wszystko zmienić, bywał niekiedy takim upartym głupcem.

— A twoja pokora wyraźnie zwiędła w tej jałowej krainie, al’Lanie Mandragoran. Powinnam znaleźć jakąś wodę, żeby ją podlać i sprawić, by znów rozkwitła.

— Moja unizoność jest ostra jak brzytwa — odparł sucho. — Nigdy nie pozwoliłaś jej stępieć. — Zmoczył białą szarfę wodą ze swej skórzanej butli i podał jej wilgotną tkaninę. Bez komentarza zawiązała ją sobie na skroniach. Za nimi, nad górami zaczynało już wschodzić słońce, płonąca kula ze stopionego złota.

Szeroka kolumna pełzła po nagim zboczu Chaendaer niczym wąż, którego ogon był wciąż jeszcze w Rhuidean, a łeb już dotarł do szczytu i sunął teraz ku górzystym równinom, nakrapianym skalnymi iglicami i płasko zwieńczonymi nawisami. Powietrze było tak czyste, że Moiraine widziała wszystko na przestrzeni wielu mil, nawet kiedy już zeszli z Chaendaer. Wszędzie, jak okiem sięgnąć, wznosiły się ogromne, naturalne łuki, a poszarpane wierzchołki gór drapały niebo. Ziemię skąpo urozmaiconą niskimi, kolczastymi krzewami i pozbawionymi liści roślinami przecinały suche wąwozy i doliny. Rzadkie drzewa, powykręcane i skarlłowaciałe, miały zarówno kolce, jak i ciernie. A dzięki słońcu to wszystko przypominało wnętrze pieca. Twarda kraina, która ukształtowała twardego naród. Ale Lan nie był jedynym, który się zmieniał, ewentualnie dawał zmieniać. Żałowała, że nie zobaczy, co Rand zrobi ostatecznie z Aielami. Przed wszystkimi była długa podróż.

PRZEZ GRANICE

Kurczowo przywierając do swej żerdzi na tyłach podskakującego pojazdu, Nynaeve jedną ręką trzymała się wozu, drugą zaś przytrzymywała słomkowy kapelusz, patrząc jednocześnie na rozszalałą burzę piaskową, ginącą już za nimi w oddali. Szerokie rondo chroniło jej twarz przed porannym żarem, jednakże pęd powietrza wytwarzany przez opętańczą prędkość, z jaką pędziły wozy, mógł bez trudu zerwać jej kapelusz z głowy, mimo iż przywiązała go ciemnoczerwoną wstążką. Mijali pagórkowate, urozmaicone rzadkimi skupiskami zarośli łąki, trawa na nich zwiędła i zrzędnęła pod wpływem upałów późnego lata, pył, wzniecany przez koła wozów, częściowo ograniczał jej pole widzenia, a poza tym wywoływał kaszel. Te białe obłoki na niebie kłamały. Wiele tygodni minęło od ich wyjazdu z Tanchico i ani razu nie padało, i sporo też czasu minęło, odkąd po tym szerokim trakcie poruszały się wozy, więc nie był już tak ubity jak kiedyś.

Nikt więc nie wyjeżdżał z tej z pozoru litej ściany brązów. Jej złość na bandytów, którzy próbowali im przeszkodzić w ucieczce przed szaleństwem, jakie ogarnęło Tarabon, zdążyła już osłabnąć, a jeśli nie była zła, to nie wyczuwała Prawdziwego Źródła i oczywiście nie mogła przenosić. Zdziwiło ją, że potrafiła wywołać aż taką burzę, mimo wielkiej złości, raz wzniecony żywioł, pełen jej furii, zaczął żyć własnym życiem. Elayne też zdumiała się ogromem burzy, ale na szczęście nie wygadała się przed Thomem czy Juilinem. Ale nawet jeśli jej siła rosła — nauczycielki w Wieży to przewidziały, a z pewnością żadna nie była na tyle silna, by jak ona pokonać jedną z Przeklętych — to jednak miała swoje ograniczenia. Gdyby pojawił się znowu jakiś bandyta, to Elayne musiałaby samotnie stawić mu czoło, a tego Nynaeve nie pragnęła.

Niezdarnie wdrapała się po płótnie okrywającym stertę fasek z towarem i sięgnęła do jednej z beczek z wodą przywiązanych do burt wozu obok kufrów zawierających ich dobytek i zapasy. Kapelusz natychmiast zsunął się jej na plecy, przytrzymywany jedynie przez wstążkę. Palce wymacały wieko beczki, ale gdyby przy tych podskokach wozu, wypuściła sznur, który ścisnęła w drugiej dłoni, to zapewne rozbiłaby sobie nos.

Juilin Sandar, jadący blisko wozu na swym chudym, brązowym wążachu — wymyślił dla niego całkiem nieprawdopodobne imię: Leniuch — wyciągnął rękę

kę, by podać jej jedną ze skórzanych butli z wodą, które miał przytroczone przy siodle. Napiła się z wdzięcznością, aczkolwiek niezdarnie. Uwieszona tak niczym kiść winogron na gałęzi targanej przez wiatr, prawie tyle samo wody, ile wlała do gardła, rozlała na gors swej porządnej, szarej sukni.

Była to suknia odpowiednia dla kobiety-kupca, z wysokim kołnierzem, z dobrej wełny i zgrabnie skrojona, a przy tym skromna. Szpilka przypięta na jej piersi — mały złoty krążek wysadzany granatami — być może była zbyt kosztowna jak na kupca, ale dostała ją w podarunku od Panarch Tarabonu, razem z inną biżuterią, znacznie cenniejszą, ukrytą w skrzyni pod siedzeniem woźnicy. Nosiła tę szpilkę, by przypominała jej, że trzeba nawet kobiety zasiadające na tronach czasem wziąć za kark i potrząsnąć nimi. Odkąd rozprawiła się z Amatherą, z większą zyczliwością myślała o manipulacjach Wieży różnymi królami i królowymi.

Podejrzewała, że Amathera dała jej te prezenty jako łapówkę, by wreszcie wyjechały z Tanchico. Ta kobieta była gotowa kupić statek, żeby tylko nie zostały tam ani godziny dłużej, niż to było konieczne, ale nikt nie chciał jej sprzedać. Kilka tych, które jeszcze zostały w porcie Tanchico i nadawały się nie tylko do żeglowania przy brzegu, były wypełnione uchodźcami. Poza tym statek stanowił najszybszy środek transportu, a Czarne Ajah mogły szukać jej i Elayne po tym, co zaszło. Miały polować na Aes Sedai, które należały do Sprzymierzeńców Ciemności, a nie wpadać w ich zasadzki. Stąd ten wóz i mozolna wędrówka przez kraj rozdarty wojną domową i anarchią. Zaczynała już żałować, że tak się sprzeciwiała podróży statkiem. Co wcale nie znaczyło, że zamierzała przyznać ta przed pozostałymi.

Kiedy chciała oddać butlę Juilinowi, ten machnął ręką na znak, że ma ją sobie zatrzymać. Był mężczyzną twardym, jakby wyrzeźbionym z jakiegoś ciemnego drewna, ale na końskim grzbiecie najwyraźniej nie było mu szczególnie wygodnie. Jej zdaniem wyglądał śmiesznie, nie z powodu wymuszonej swobody, z jaką siedział w siodle, lecz przez ten głupi taraboński kapelusz — wysoki, ścięty na czubku stożek bez randa którym ostatnio zwykł nakrywać swe gładkie, czarne włosy. Nie najlepiej ponadto pasował do ciemnego, taireniańskiego kaftana, obcisłego w pasie, rozszerzającego się zaś ku dołowi. Uważała, że ten kapelusz nie pasuje w ogóle do niczego.

Dalej niezdarnie brnęła do przodu wozu, z butlą w jednym ręku i chyboczącym się kapeluszu, mrużąc pod nosem przekleństwa pod adresem taireniariskiego łowcy złodziei — „Tylko nie łapacz złodziei!” — Thoma Merrilina — „Nadęty bard!” — oraz Elayne z Domu Trakand, Dziedziczki Tronu Andor, którą też należałoby schwycić za kark i potrząsnąć!

Miała zamiar wślizgnąć się na drewnianą ławeczkę woźnicy, między Thoma i Elayne, ale jej złotowłosa towarzyszka podróży siedziała mocno przytulona do barda, ze słomkowym kapeluszem przewieszonym na plecach. Ścisnęła ramię tego starego durnia z siwymi wąsami, jakby się bała, że spadnie. Zacisnęła usta,

Nynaeve musiała usiąść z drugiej strony Elayne. Cieszyła się, że włosy ma znowu zaplecione w warkocz, gruby na pięść i sięgający talii, mogła go szarpać, zamiast wytarmosić Elayne za uszy. Ta dziewczyna wydawała się kiedyś całkiem rozsądna, ale niestety w Tanchico coś ją chyba do reszty otumanilo.

— Już nas nie ścigają — oznajmiła Nynaeve, z powrotem nasadzając kapelusz na głowę. — Możesz zwolnić, Thom.

Mogła to do nich zawołać z tyłu, zamiast gramolić się po tych wszystkich faskach, ale powstrzymała ją wizja samej siebie, jak podskakuje i pokrzykuje w ich stronę. Nie lubiła robić z siebie idiotki, a jeszcze mniej, gdy inni widzieli ją w takim świetle.

— Włóż kapelusz — powiedziała do Elayne. — Twoja skóra nie wytrzyma tak długiego wystawiania na słońce.

Tak jak się po części spodziewała, dziewczyna zlekceważyła jej przyjacielską radę.

— Jak ty wspaniale powozisz — rzekła wylewnym tonem Elayne, kiedy Thom ściągnął wodze, zmuszając konie do stępa. — Ani na moment nie utraciłeś kontroli.

Wysoki, żyłasty mężczyzna spojrział na nią, strzygąc nerwowo siwymi krzaczastymi brwiami, ale powiedział tylko:

— Spójrz przed siebie, dziecko, znowu mamy towarzystwo.

No cóż, może jednak nie był aż takim głupcem.

Nynaeve spojrzała w tamtą stronę i zobaczyła kolumnę jeźdźców w białych płaszczach, która zbliżała się w ich kierunku zza najbliższego niskiego wzniesienia, jakieś pół setki mężczyzn w wypolerowanych napierśnikach i błyszczących, stożkowatych hełmach, eskortujących równie liczne mocno obciążone czymś wozy. Synowie Światłości. Nagle przypomniała sobie o skórzanym rzemieniu, który wisiał na jej szyi, ukryty pod suknią, o dwóch pierścieniach dyndających na piersiach. Ciężki, złoty sygnet Lana, pierścień królów utraconej Malkier, nie znaczyłby nic dla Białych Płaszcz, gdyby jednak dojrzeli pierścień z Wielkim Wężem...

„Głupia kobieta! Nie zauważą go, chyba że się rozbierzesz!”

Pospieszenie omiotła wzrokiem swoje towarzystwo. Elayne nie przestała być piękna. Nawet teraz, gdy już puściła Thoma i poprawiała węzeł przy zielonej wstążce przytrzymującej kapelusz, wyglądała raczej na osobę, która powinna się znajdować w królewskich komnatach, a nie na wozie kupieckim, ale na szczęście jej suknia, prócz tego, że była niebieska, nie różniła się niczym od sukni Nynaeve. Nie nosiła żadnej biżuterii, podarunki od Amathery nazwała „jarmarcznymi”. Uda się, od Tanchico udawało jej się już z pięćdziesiąt razy. Ledwie. Tylko że to było ich pierwsze spotkanie z Białymi Płaszczami. Thom, w mocnej, brązowej wełnie mógł być jednym z tych tysięcy powykrzywianych, siwowłosych mężczyzn, którzy pracowali przy wozach. Juilin zaś był po prostu Juilinem. Wiedział, jak

się zachować, mimo tej miny mówiącej, że wolałby pewnie stapać po ziemi z laską albo poszczerbionym łamaczem mieczy, które nosił u pasa, a nie siedzieć na końskim grzbiecie.

Thom zmusił konie do zjechania na pobocze drogi i zatrzymał się, kiedy od czoła kolumny oderwało się kilku Białych Płaszczy. Nynaeve zdobyła się na powitalny uśmiech. Miała nadzieję, że tamci nie uznają, iż potrzebny im jeszcze jeden wóz.

— Oby Światłość cię oświeciła, kapitanie — powiedziała do mężczyzny o pociągłej twarzy, który prawdopodobnie dowodził oddziałem, a który jako jedyny nie trzymał w ręku lancy ze stalowym czubkiem. Nie miała pojęcia, jaką rangę symbolizują dwa złote węzły na jego piersi, tuż pod promienistym słońcem, które co prawda było wyhaftowane na płaszczach wszystkich żołnierzy, ale z doświadczenia wiedziała, że każdy mężczyzna lubi pochlebstwa.

— Bardzo jesteśmy radzi, że was spotykamy. Kilka mil wstecz próbowali nas obrabować bandyci, ale jakimś cudem wybuchła burza piaskowa. Ledwie uciek... .

— Jesteś kupcem? Od pewnego czasu niewielu kupców opuszcza Tanchico. — Głos mężczyzny był równie twardy jak jego twarz, a ta wyglądała tak, jakby cała radość wygotowała się z niego, zanim jeszcze opuścił kołyskę.. Ciemne, głęboko osadzone oczy przepełniało podejrzenie, Nynaeve nie wątpiła, że gości ono tam na stałe. — Dokąd się wybierasz i z czym?

— Wiozę barwniki, kapitanie.

Starła się nadal uśmiechać, wbrew wbitemu w nią srogiemu spojrzeniu nie mrugających oczu, poczuła niezmierną ulgę, gdy na krótką chwilę omiotło pozostałych. Thom znakomicie udawał, że jest znudzony niczym prawdziwy woźnica, któremu płaci się jednako za jazdę jak za postój, Juilin zaś, gdyby jeszcze zerwał z głowy ten idiotyczny kapelusz, co i tak kiedyś musi nastąpić, wyglądał przynajmniej na zainteresowanego tym wszystkim z gnuśnością typowego najemnego człowieka, który nie ma nic do ukrycia. Kiedy wzrok Białego Płaszca padł na Elayne, Nynaeve poczuła, że tamta sztywnieje, więc pośpiesznie dodała:

— Taraboniańskie barwniki. Najlepsze na świecie. Dużo za nie dostanę w Andorze.

Na sygnał dany przez kapitana — czy kimkolwiek był — inny Biały Płaszcz podjechał na swym koniu do tyłu wozu. Przeciął sztyletem jeden ze sznurów i gwałtownym ruchem zerwał płócienną płachtę, odsłaniając trzy albo cztery faski.

— Jest na nich wypalony napis „Tanchico”, poruczniku. Na tej jest napisane „purpura”. Czy życzysz sobie, bym kilka otworzył?

Nynaeve miała nadzieję, że oficer Białych Płaszczy odczyta niepokój wymalowany na jej twarzy we właściwy sposób. Nie patrząc nawet na Elayne, czuła, iż tamta ma ochotę zrugać żołnierza za jego maniery, ale każdy prawdziwy kupiec martwiłby się, że jego barwniki zostaną wystawione na działanie powietrza.

— Jeśli zechcesz wskazać, które chciałbyś otworzyć, kapitanie, byłabym bardziej niż uszczęśliwiona, mogąc zrobić to sama.

Mężczyzna zupełnie nie zareagował ani na pochlebstwo, ani na obietnice współpracy.

— Faski zostały uszczelnione, by nie dostał się do nich kurz albo woda. Rozbitego wieka nie da się ponownie zalać woskiem.

Pozostała cześć kolumny dotarła już do nich i teraz ich mijała. Wzniesając tumany pyłu, wozami powozili zgrzebnie ubrani, nijacy mężczyźni, natomiast żołnierze jechali sztywno wyprostowani, z długimi stalowymi lancami pochylonymi pod identycznym kątem. Mimo spoconych twarzy i kurzu na płaszczach wyglądali na twardych wojaków. Tylko woźnice zerknęli na Nynaeve i pozostałych.

Porucznik starł kurz z twarzy dłonią odzianą w rękawicę, po czym gestem nakazał drugiemu Białemu Płaszczowi ponownie podejść do tyłu wozu. Nawet na moment nie spuścił oka z Nynaeve.

— Pochodzisz z Tanchico?

Nynaeve — wcielenie współpracy i otwartości — skinęła głową.

— Tak, kapitanie. Z Tanchico.

— Jakie masz wieści z miasta? Krążą różne pogłoski.

— Pogłoski, kapitanie? Kiedy wyjeżdżaliśmy, mało tam było porządku. W mieście pełno uchodźców, a na wsi rebelianci i bandyci. Handel już prawie nie istnieje. — To była sama prawda. — Dlatego dobrze mi zapłacą za te barwniki. Moim zdaniem, taraboniańskie barwniki będą długo nieosiągalne.

— Nie obchodzą mnie uchodźcy, handel albo barwniki, kupcze — powiedział obojętnym tonem oficer. — Czy Andric zasiada jeszcze na tronie?

— Tak, kapitanie. — A więc zgodnie z tymi pogłoskami ktoś przejął władzę w Tanchico i zdetronizował króla, być może tak rzeczywiście było. Ale kto — jeden z rebelianckich lordów, którzy walczyli ze sobą równie zażarcie, jak z Andrikiem czy ktoś z Zaprzysięgłych Smokowi, jeden z tych, którzy opowiedzieli się za nim, nie widząc go nawet na oczy? — Kiedy wyjeżdżaliśmy, królem nadal był Andric, Panarch zaś Amathera.

Jego wzrok mówił, że podejrzewa kłamstwo.

— Powiadają, że w tę sprawę zamieszane były wiedźmy z Tar Valon. Czy widziałaś jakąś Aes Sedai, albo czy może o nich słyszałaś?

— Nie, kapitanie — odparła prędko. Pierścień z Wielkim Wężem wydawał się parzyć jej skórę. Pięćdziesięciu Białych Płaszczów, tuż obok niej. Tym razem burza piaskowa nie pomoże, a zresztą, mimo iż próbowała się tego zapierać, była bardziej przestraszona niż zła. — Prości kupcy nie mieszają się do takich spraw. — Gdy przytaknął, odważyła się zadać pytanie. Cokolwiek, byle tylko zmienić temat. — Kapitanie, zechciej nam powiedzieć, czy wjechaliśmy już do Amadicii?

— Granica jest w odległości pięciu mil na wschód — oznajmił. — Na razie. Pierwsza wieś, którą napotkacie, nosi nazwę Mardecin. Przestrzegajcie prawa,

a nic się wam nie sranie. Jest tam garnizon Synów Światłości. — Powiedział to takim tonem, jakby garnizon miał poświęcić cały swój czas na pilnowanie, czy będą przestrzegali prawa.

— Czy przybyliście tu po to, by przesunąć granicę? — ni stąd, ni zowąd zapytała chłodnym głosem Elayne. Nynaeve mogłaby ją za to udusić.

Podejrzliwy wzrok głęboko osadzonych oczu przeniósł się na Elayne, Nynaeve powiedziała pośpiesznie:

— Wybacz jej, lordzie kapitanie. To córka mojej najstarszej siostry. Jej się wydaje, że powinna się była urodzić damą, a poza tym nie stroni od chłopców. Dlatego właśnie jej matka przysłała ją do mnie.

Prychnięcie Elayne, przepelnione oburzeniem, było doskonałe. I prawdopodobnie wcale nie udawane. Nynaeve podejrzewała, że tego o chłopcach nie musiała dodawać, ale zdawało się dobrze pasować.

Biały Płaszcz przypatrywał im się jeszcze przez chwilę, po czym rzekł:

— Lord Kapitan Komandor posyła żywność do Tarabonu. W przeciwnym razie taraboniańska zaraza dotarłaby do granicy i jęła kraść wszystko, co da się przeżuć. Podążajcie w Światłości — dodał jeszcze i dopiero wtedy zaciął konia do galopu, kierując go w stronę czoła kolumny. Nie była to ani sugestia, ani błogosławieństwo.

Po odjeździe oficera Thom ruszył natychmiast, ale wszyscy troje jechali w milczeniu, wyjąwszy okazjonalne pokasływania, dopóki się mocno nie oddalili od ostatniego żołnierza i tumanu kurzu wzniecanego przez wozy tamtych.

Nynaeve zwilżyła gardło łykiem wody i podała butlę Elayne.

— O co ci chodziło? — spytała napastliwie. — Nie znajdujemy się w sali tronowej twojej matki, a zresztą ona też by tego nie pochwaliła!

Elayne najpierw opróżniła butlę, potem dopiero odpowiedziała.

— Ty się płaszczyłaś, Nynaeve. — Zaczęła pisać, udając służalczość — Jestem uczciwa i posłuszna, kapitanie. Czy mogę ucałować twoje buty, kapitanie?

— Mamy być kupcami, nie królowymi w przebraniu!

— Kupcy wcale nie muszą się podlizywać. Masz szczęście, że przez tę twoją służalczość nie pomyślał, iż coś ukrywamy!

— Kupcy nie zadzierają też nosa w obecności pięćdziesięciu Białych Płaszczu uzbrojonych w lance. A może myślałaś, że w razie potrzeby pokonamy ich Mocą?

— Dlaczego mu powiedziałaś, że ja nie stronię od chłopców? Nie musiałaś tego mówić, Nynaeve!

— Byłam mu gotowa powiedzieć cokolwiek, byle tylko odjechał i zostawił nas w spokoju! A ty...!

— Zamknijcie się obydwie — warknął nagle Thom — bo jeszcze zawrócą, by sprawdzić, która morduje którą!

Nynaeve nawet odwróciła się na drewnianej ławce, by popatrzeć za siebie, i dopiero wtedy uświadomiła sobie, że Białe Płaszcz są już zbyt daleko, by coś

usłyszeć, nawet jeśli głośno krzyczały. Cóż, może i krzyczały. Nic nie pomogło, że Elayne też krzyczała.

Nynaeve mocno ścisnęła swój warkocz i popatrzyła groźnie na Thoma, natomiast Elayne przytuliła się do jego ramienia i zagruchała:

— Masz rację, Thom. Przepraszam, że podniosłam głos.

Juilin obserwował ich z ukosa, udając, iż wcale nie patrzy, ale miał dość rozsądku, by nie podjeżdżać bliżej i nie brać udziału w sprzeczce.

Nynaeve puściła warkocz, nim zdążyła go wyrwać z korzeniami, poprawiła kapelusz i zapatrzyła się w dal, ponad łbami koni. Nieważne, co opętało tę dziewczynę, najwyższy czas, by ją od tego uwolnić.

Jedynie wysokie, kamienne słupy po obu stronach drogi wyznaczały granicę między Tarabonem a Amadicią. Oprócz nich nikt tą drogą nie jechał. Wzgórza stopniowo stawały się coraz wyższe, ale poza tym krajobraz nie zmienił się, sama zbrązowiła trawa, zarośla i trochę zieleni na sosnach, drzewach skórzanych i innych roślinach wiecznie zielonych. Pola otoczone kamiennymi murami oraz farmerskie domostwa kryte strzechami nakrapiały wzgórze i doliny, wyglądając jednak na opuszczone. Z kominów nie unosił się dym, nikt nie zbierał plonów, ani śladu owiec lub krów. Niekiedy na podwórkach farm, nieopodal drogi, w ziemi grzebały kury, ale całkiem już musiały zdziczeć, bo umykały w popłochu, kiedy zbliżał się ich wóz. Garnizon Białych Płaszczy czy nie, najwyraźniej z powodu takiej bliskości granicy nikt nie chciał ryzykować spotkania z taraboniańskimi bandytami.

Kiedy Mardecin pojawił się na szczycie wzniesienia, słońce wciąż czekała jeszcze daleka droga do zenitu. Osada wyglądała na zbyt dużą, by zasługiwać na miano wioski, rozciągała się na przestrzeni prawie całej mili, po obu stronach strumienia płynącego między dwoma wzgórzami. Widać w niej było tyle samo dachów krytych dachówkami, co strzechą i znaczny ruch na szerokich ulicach.

— Musimy kupić jakieś zapasy — oświadczyła Nynaeve — ale zrobimy to tak szybko, jak się tylko da. Przed wieczorem możemy jeszcze pokonać szmat drogi.

— Padamy ze zmęczenia, Nynaeve — zauważył Thom. — Codziennie od świtu do zmierzchu, i tak już blisko miesiąc. Jeden dzień odpoczynku nie robi różnicy, zanim dotrzemy do Tar Valon. — Sądząc po jego głosie, wcale nie był zmęczony. Miał raczej ochotę zagrać na swej harfie albo flecie i naciągnąć kogoś, by postawił mu wino.

Juilin podjechał wreszcie do wozu i dodał:

— Ja bym chętnie spędził jeden dzień na własnych nogach. Już sam nie wiem, co jest gorsze, to siodło, czy siedzenie. wozu.

— Myślę, że powinniśmy poszukać jakiejś gospody — powiedziała Elayne, patrząc na Thoma. — Mam już dość sypiania pod tym wozem i chętnie bym posłuchała twoich opowieści w głównej izbie.

— Kupcy, którzy mają jeden wóz, nie są o wiele bogatsi od zwykłych handlarzy — powiedziała ostrym tonem Nynaeve. — Nie mogą sobie pozwolić na gospodę w takiej wsi.

Nie miała pojęcia, czy to jest prawda, ale mimo iż sama pragnęła kąpieli i czystej pościeli, nie zamierzała pozwolić, by ta dziewczyna kierowała swoje sugestie do Thoma. Dopiero wtedy, kiedy te słowa opuściły jej usta, zdała sobie sprawę, że Thom i Juilin ją przekonali.

„Jeden dzień nie zaszkodzi. Do Tar Valon jeszcze daleka droga”.

Żałowała, że jednak nie uparła się przy statku. Szybkim statku, raker Ludu Morza dotarłby do Łzy trzykrotnie szybciej, niżli zabrała im przeprawa przez Tarabon, gdyby wiatry im sprzyjały i gdyby miały dobrą Poszukiwaczkę Wiatrów, zresztą ona albo Elayne mogłyby same się tym w razie czego zająć. Tairenianie wiedzieli, że ona i Elayne są przyjaciółkami Randa i jej zdaniem, gdyby czegoś od nich zażądały, wstępne spociliby się ze strachu, że mogą urazić Smoka Odrodzonego, na pewno dostarczyliby powóz i eskortę potrzebne w podróży do Tar Valon.

— Znajdźcie jakieś miejsce, gdzie można rozbić obóz — powiedziała z niechęcią. Powinna się była uprzeć przy statku. Do tej pory byłiby już w Wieży.

SYGNAŁ

Nynaeve musiała przyznać, że Thom i Juilin wybrali dobre miejsce na obozowisko, w rzadkim zagajniku na wschodnim zboczu, pełnym martwych liści, w odległości niecałej mili od Mardecin. Od drogi i miasteczka osłaniały ich rozsiane w znacznych odstępach drzewa sorgumowe i jakaś odmiana niewysokich wierzb o obwisłych konarach, a ponadto ze skalnej odkrywki blisko szczytu wzniesienia wytryskiwał strumyk o szerokości dwóch stóp, spływający dwakroć szerszym korytem wyżłobionym w zaschniętym błocie. Dość wody dla ich potrzeb. Łagodny, życzliwy wiatr sprawiał, że pod drzewami było chłodniej.

Mężczyźni napoili konie i spętali je na zboczu, gdzie mogły się paść w niezbyt gęstej trawie, po czym rzucali monetą, by zdecydować, który uda się razem z wynędzniałym wałachem do Mardecin, żeby tam kupić to, co im było potrzebne. Rzucanie monetą stało się już dla nich rytuałem. Thom, którego zręczne palce nawykły do kuglarskich sztuczek, nigdy nie przegrywał, kiedy rzucał monetą, dlatego obecnie zawsze robił to Juilin.

Tym razem i tak wygrał Thom, i w trakcie gdy zdejmował siodło z grzbietu Leniucha, Nynaeve wsunęła głowę pod siedzenie wozu, by podważyć nożem jedną z desek. Oprócz dwóch małych, połączonych skrzynek zawierających biżuterię, podarunki od Amathery, w schowku leżało ponadto kilka skórzanych sakiewek wypchanych monetami. Panarch była bardziej niż hojna w swym pragnieniu ujżenia ich pleców. W porównaniu z jej darami pozostałe przedmioty tam ukryte wyglądały na błahostki, niewielkie pudełko z ciemnego drewna, wypolerowane, lecz proste, bez żadnych rzeźbień, płaska, irchowa sakiewka, której kształt wskazywał, iż mieści jakiś krążek. W pudełku znajdowały się dwa *ter'angreale*, które odzyskały z rąk Czarnych Ajah, oba związane ze snami, sakiewka zaś... To była ich nagroda za Tanchico. Jedna z pieczęci z więzienia Czarnego.

Nie tylko pragnęła się dowiedzieć, gdzie będą teraz miały zgodnie z życzeniem Siuan Sanche ścigać Czarne Ajah, również ta pieczęć stanowiła powód, dla którego tak jej było spieszno dotrzeć do Tar Valon. W trakcie wyjmowania monet z wypchanych sakiewek bardzo się starała, by nie dotykać tej płaskiej, im dłużej pozostawała w jej posiadaniu, tym bardziej pragnęła ją oddać Amyrlin i nareszcie z tym skończyć. Czasami, kiedy znajdowała się blisko tego przedmiotu, odnosiła

wrażenie, że czuje Czarnego, który usiłuje wydostać się na wolność.

Wyprawiła Thoma z kieszenią pełną srebra i stanowczym przykazaniem, że ma poszukać jakichś owoców i zielonych warzyw, mężczyzna, pozostawiony samemu sobie, najpewniej kupiłby tylko mięso i fasolę. Kuśtykanie Thoma prowadzącego konia w stronę drogi przywołało grymas na jej twarz, dawna rana i nic z nią nie można było zrobić, tak twierdziła Moiraine. To budziło gorycz tak samo, jak owo powłóczenie nogą. Że nic nie można było zrobić.

Opuściła Dwie Rzeki, by służyć ochroną młodym ludziom z jej wioski, porwanym nocą przez Aes Sedai. Do Wieży pojechała jeszcze z nadzieją, że jakoś ich uchroni, a także z ambicją ukarania Moiraine za to, co ona zrobiła. Świat zmienił się od tego czasu. A może to tylko ona widziała go teraz inaczej.

„Nie, to nie ja się zmieniłam. Ja jestem taka sama, to cała reszta jest inna”.

Teraz mogła już tylko chronić samą siebie. Rand był tym, czym był, bezpowrotnie. Egwene skwapliwie powędrowała własną drogą, nie pozwalając, by ktokolwiek lub cokolwiek ją zatrzymało, nawet jeśli ta jej droga wiodła na skraj urwiska, Mat natomiast nauczył się nie myśleć o niczym, jak tylko o kobietach, hulankach i hazardzie. Ku swemu obrzydzeniu odkryła, że niekiedy sympatyzuje z Moiraine. Przynajmniej Perrin wrócił do domu, tyle wiedziała z drugiej ręki od Egwene, która z kolei usłyszała o tym od Randa, może chociaż Perrin był bezpieczny.

Polowanie na Czarne Ajah było zadaniem odpowiedzialnym, słusznym. przynoszącym zadowolenie, ale budziło także strach, mimo że próbowała to ukryć, była dorosłą kobietą, a nie małą dziewczynką, która musi się ukrywać w fartuchu swej matki — ale nie to było powodem, dla którego godziła się bezustannie walić głową w mur, wciąż próbując się nauczyć posługiwania Mocą, podczas gdy przeważnie nie potrafiła przenosić lepiej niż Thom. Tym powodem był talent zwany Uzdrawianiem. Jako Wiedząca z Pola Emonda czuła satysfakcję, kiedy udawało jej się zmusić Koło Kobiet, by myślały tak jak ona — zwłaszcza dlatego, że większość z nich mogła być jej matkami, niewiele starsza od Elayne, była najmłodszą z wszystkich Wiedzących w historii Dwu Rzek — a jeszcze większą, kiedy przedstawiciele Rady Wioski, ci jakże uparci mężczyźni, postępowali tak, jak należało. Największą jednak satysfakcję dawało odkrycie właściwej kombinacji ziół, która uleczała jakąś chorobę. Natomiast Uzdrawianie Mocą... Robiła to już, szperając po omacku, lecząc coś, czego nie uleczyłaby za pomocą swych innych umiejętności. Radość z takiego osiągnięcia potrafiła wycisnąć łzy z oczu. Miała zamiar Uzdrowić któregoś dnia Thoma i zobaczyć jak on tańczy. Któregoś dnia Uzdrowi nawet ranę w boku Randa. Z pewnością nie istniała taka dolegliwość, której nie można byłoby Uzdrowić, jeżeli kobieta władająca Mocą była dostatecznie zdeterminowana.

Kiedy odwróciła wzrok od oddalającego się Thoma, odkryła, że Elayne napełniła wiadro, które normalnie wisiało pod wozem i teraz kłęczała przy nim, myjąc

ręce i twarz, z ręcznikiem ułożonym na ramionach, żeby nie zmoczyć sobie sukni. To było dokładnie to, co sama chciała zrobić. W tym upale przyjemnie było czasem się umyć w chłodnej wodzie ze strumienia. Aż za często nie było wcale wody prócz tej w beczkach umocowanych do wozu. a tej potrzebowali bardziej do picia i gotowania niż mycia się.

Juilin siedział wsparty plecami o jedno z kół wozu, tuż obok niego stała jego laska grubości kciuka, wyciosana z jasnego, sękatego drewna. Głowę miał spuszczonej, ten głupi kapelusz nasunięty na oczy, ale Nynaeve nie poszłaby o zakład, że on, choć to przecież mężczyzna, śpi o tej porze dnia. Były takie rzeczy, o których on i Thom nie wiedzieli, rzeczy, o których lepiej dla nich, żeby nie wiedzieli.

Gruby dywan z martwych liści sorgumu zatrzeszczał głośno, kiedy usadowiła się obok Elayne.

— Uważasz, że Tanchico rzeczywiście padło?

Przyjaciółka, zajęta powolnym pocieraniem twarzy namydloną szmatką, nie odpowiedziała. Spróbowała raz jeszcze.

— Myślę, że te Aes Sedai, o których mówili Białe Płaszczce, to my.

— Być może. — Elayne miała chłodny głos, jakby wygłaszała jakieś oświadczenie z tronu. Jej oczy nabrały barwy lodowatego błękitu. Nie spojrzała na Nynaeve. — A być może wieści o tym, co zrobiliśmy, zmieszały się z innymi plotkami. Równie dobrze Tarabon może mieć nowego króla i nową Panarch.

Nynaeve trzymała swą złość na wodzy, a ręce z dała od warkocza. Zamiast go szarpać, zacisnęła dłonie na kolanach.

„Musisz sprawić, żeby poczuła się przy tobie swobodnie. Uważaj, co mówisz”.

— Amathera była trudna, ale nie życzę jej nic złego. A ty?

— Piękna kobieta — zauważył Juilin — zwłaszcza w sukni taraboniańskiej służącej, z tym uroczym uśmiechem. . . — Zauważył, że Elayne i ona patrzą na niego, szybko nasunął kapelusz na twarz, udając, że znowu śpi. Wymieniły z Elayne spojrzenia i Nynaeve wiedziała, iż tamta pomyślała sobie dokładnie to samo.

„Mężczyźni”.

— Cokolwiek się stało z Amatherą, Nynaeve, ona została już za nami. — Głos Elayne brzmiał aż nadto normalnie. Namydłona szmatka poruszała się teraz wolniej. — Życzę jej jak najlepiej, ale mam przede wszystkim nadzieję, że nie zostały za nami Czarne Ajah. To jest, chciałam rzec, że nie podążają za nami.

Juilin poruszył się niespokojnie, nie podnosząc głowy, nadal nie potrafił się uporać z wiedzą, iż Czarne Ajah istnieją naprawdę, a nie tylko w opowieściach z ulicy.

„Powinien się cieszyć, że nie wie tego, co my”.

Nynaeve musiała przyznać, że ta myśl nie jest całkiem logiczna, ale gdyby on wiedział, iż Przeklęci są na wolności, to nawet to głupie polecenie Randa, by się opiekował nią i Elayne, nie powstrzymałoby go przed ucieczką. Niemniej jednak

bywał przydatny. Thom również. To Moiraine przykuła do nich Thoma, a ten mężczyzna wiedział naprawdę dużo o świecie jak na zwykłego barda.

— Gdyby za nami jechały. to do tej pory już by nas dogoniły. — Tak na pewno było, zwłaszcza jeśli wziąć pod uwagę zwykłe, opieszale tempo, z jakim się toczył ich wóz. — Przy odrobinie szczęścia, nadal nie wiedzą, kim jesteśmy.

Elayne przytaknęła, ponura, ale na powrót taka, jak dawniej, i zaczęła oplotkiwać twarz. Była niemal równie zdeterminowana jak kobiety z Dwu Rzek.

— Liandrin i większość jej kompanek z pewnością uciekły z Tanchico. Może wszystkie. A my nadal nie wiemy, kto z Wieży wydaje rozkazy Czarnym Ajah. Jak by powiedział Rand, trzeba się będzie tym zająć, Nynaeve.

Nynaeve mimo woli skrzywiła się. Prawda, posiadały listę z jedenastoma nazwiskami, ale kiedy już wrócą do Wieży, niemal każda Aes Sedai, z którą porozmawiają, może się okazać Czarną Ajah. Względnie każda, którą spotkają po drodze. Jeśli już o to szło, to każdy napotkany człowiek mógł być sprzymierzeńcem Ciemności, ale to raczej -było co innego, nawet jeśli tylko w niewielkim stopniu.

— Bardziej niż o Czarne Ajah — ciągnęła Elayne — martwię się o Mo... — Nynaeve prędko położyła dłoń na jej ramieniu i nieznacznie skinęła głową w stronę Juilina. Elayne zakasłała i mówiła dalej, jakby to właśnie kaszel jej przerwał. — O matkę. Ona nie ma podstaw, żeby cię lubić, Nynaeve. Wręcz przeciwnie.

— Ona jest daleko stąd. — Nynaeve cieszyła się, że jej głos jest spokojny. Nie rozmawiały o matce Elayne, tylko o Przekłętej, którą ona pokonała. Żarliwie pragnęła, żeby Moghedien znajdowała się gdzieś daleko. Bardzo daleko.

— A jeśli nie?

— Na pewno jest daleko — odparła stanowczo Nynaeve, ale mimo to niespokojnie wzruszyła ramionami. Pamiętała upokorzenia, jakich zaznała z rąk Moghedien, i niczego tak nie pragnęła, jak znowu zmierzyć się z tą kobietą, znowu ją pokonać, tym razem na dobre. Tylko co się stanie, jeśli Moghedien weźmie ją z zaskoczenia, napadnie ją w momencie, kiedy nie będzie dość rozwścieczona, żeby przenieść Moc? To samo dotyczyło oczywiście wszystkich Przeklętych, względnie Czarnych sióstr, skoro już o tym mowa, ale po klęsce w Tanchico Moghedien miała powód, by jej nienawidzić osobiście. Wcale nie jest przyjemnie myśleć, że jedna z Przeklętych zna twoje imię i najprawdopodobniej chce twojej głowy.

„To już śmierzące tchórzostwo — skarciła się w duchu. — Nie jesteś i nie będziesz tchórzem!”

Ale to wcale nie uspokoiło tego swędzenia między łopatkami, które występowało za każdym razem, gdy przychodziła jej na myśl Moghedien, jakby ta kobieta wpatrywała się w jej plecy.

— Zdaje się, że to ciągłe wyglądanie bandytów sprawiło, iż stałam się nerwowa — powiedziała zdawkowym tonem Elayne, poklepując twarz rącznikiem. — Cóż, ostatnimi czasy, kiedy śnię, mam uczucie, że ktoś mnie obserwuje.

Nynaeve wzdrygnęła się, gdyż brzmiało to jak echo jej własnych myśli, ale

patem dotarło do niej, że słowo „śnie” zostało wypowiedziane z nieznacznym naciskiem. Tu nie chodziło o jakieś tam sny, tylko o *Tel'aran'rhiod*. Kolejna rzecz, o której obaj mężczyźni nie mieli pojęcia. Ona miała takie samo wrażenie, ale przecież w Świecie Snów często się wyczuwało jakieś niewidzialne oczy. Mogło to być nieprzyjemne, lecz o tym wrażeniu już kiedyś dyskutowały.

Postarała się, żeby jej głos zabrzmiał beztrzesko.

— Cóż, twoja matka nie występuje w naszych snach, Elayne, bo inaczej na pewno wytargałaby nas obie za uszy. — Moghedien zapewne torturowałaby je tak długo, aż zaczęłyby błagać o śmierć. Albo zorganizowałaby krąg złożony z trzynastu Czarnych sióstr i trzynastu Myrddraali, oni wszyscy mogliby cię nawrócić wbrew twojej woli na stronę Cienia, związać cię z Czarnym. Może Moghedien była władna zrobić to w pojedynkę. . .

„Nie bądź śmieszna, kobieto! Gdyby to mogła zrobić, to by to zrobiła. Pokonałaś ją, nie pamiętasz już?”

— Mam nadzieję, że nie — odparła posępnie przyjaciółka.

— Czy ty dasz mi wreszcie szansę umycia się? — spytała z irytacją Nynaeve. Tworzenie nieskrępowanej atmosfery to dobry pomysł, ale wołałaby mniej gadać o Moghedien. Przeklęci musieli być gdzieś daleko, nie pozwoliłaby im dotrzeć aż tutaj spokojnie, gdyby wiedziała, gdzie oni są.

„Światłości, spraw, żeby to była prawda!”

Elayne sama opróżniła i napełniła ponownie wiadro. Zazwyczaj była bardzo miłą dziewczyną, szczególnie kiedy pamiętała, że nie znajduje się w Pałacu Królewskim w Caemlyn. I kiedy nie robiła z siebie idiotki. Tym Nynaeve się zajmie po powrocie Thoma.

Kiedy Nynaeve doświadczyła już przyjemności powolnego, chłodzącego mycia twarzy i rąk, zajęła się przygotowywaniem obozowiska i posłała Juilina, by ten nałamał suchych gałęzi na ognisko. Do czasu, kiedy powrócił Thom z dwoma wiklinowymi koszami na grzbiecie wałacha, koce jej i Elayne były już rozesłane pod wozem, a koce obu mężczyzn pod zwisającymi gałęziami wierzb o wysokości dwudziestu stóp, mieli też spory stos drewna na ognisko, imbryk z herbatą chłodził się obok popiołów pozostałych po ognisku w kręgu oczyszczonym z liści, filiżanki zaś z grubej porcelany były już pozmywane. Juilin burczał coś pod nosem podczas nabierania w maleńkim strumyku wody, którą miał napełnić beczki. Nynaeve posłyszała to i była zadowolona, że ograniczył się do tych słabo słyszalnych pomruków. Ze swego miejsca na jednym z dyszli wozu Elayne ledwie starała się ukryć swe zainteresowanie tym, co on mówi. Obie z Nynaeve przebrały się za wozem w czyste suknie, jak się okazało o takich samych barwach.

Thom nałożył pęta na przednie nogi wałacha, po czym bez trudu ściągnął ciężkie kosze z jego grzbietu i zaczął je rozpakowywać.

— Mardecin nie prosperuje aż tak dobrze, jak to się wydaje z daleka. — Postawił na ziemi uplecioną ze sznurka torbę pełną drobnych jabłek i drugą z jakimś

ciemnozielonym, liściastym warzywem. — Z powodu ustania handlu z Tarabon to miasteczko wędnie.

Wyglądało na to, że reszta to same worki z suszoną fasolą i rzepą, wołowina przyprawiana papryką i solonymi szynkami. A także butlą z szarego fajansu zapieczętowaną woskiem, która, Nynaeve nie wątpiła, zawierała brandy, obaj mężczyźni narzekali, że nie mają kapki czegoś mocniejszego do wieczornej fajki.

— Nie zrobisz sześciu kroków, żeby nie napotkać kilku Białych Płaszcy. Garnizon liczy jakichś pięćdziesięciu żołnierzy, ich koszary znajdują się na wzgórzu za miastem, po drugiej stronie mostu. Garnizon był kiedyś znacznie większy, ale jak się zdaje, Pedron Niall ściga Białe Płaszcze zewsząd do Amadoru. — Zamyślił się na chwilę, pocierając siwe włosy. — Nie rozumiem, do czego on zmierza.

Thom nie był człowiekiem, któremu to mogło się spodobać, zazwyczaj wystarczyło, że spędził kilka godzin w jakimś miejscu, a zaraz zaczynał się doszukiwać jakichś trendów łączących arystokratyczne i kupieckie Domy, aliansów, knowań i kontrspisków, które tworzyły tak zwaną Grę Domów.

— Wszystkie plotki mówią, że Niall próbuje położyć kres wojnie między Illian i Altarą albo może między Illian i Murandy. On nie ma powodów do gromadzenia wojsk. Ale powiem wam jedno. Niezależnie od tego, co mówił tamten porucznik, ta żywność posyłana do Tarabon jest kupowana z Podatku Królewskiego i ludzie nie są tym zachwyceni. Nie są zachwyceni, że karmią Tarabonian.

— Król Ailron i Lord Kapitan Komandor to nie nasza sprawa — powiedziała Nynaeve, oglądając produkty, które im przyniósł. Trzy solone szynki! — Postaramy się przejechać przez Amadicię jak najszybciej, starając się nie rzucać w oczy. Może Elayne i ja będziemy miały więcej szczęścia w szukaniu jarzyn niż ty. Czy miałabyś ochotę na spacer, Elayne?

Elayne natychmiast wstała, wyglądając swe szare spódnice i biorąc kapelusz z wozu.

— To znakomity pomysł po tym całym siedzeniu w wozie. Byłoby inaczej, gdyby Thom i Juilin częściej odstępowali mi swoją kolejkę w jeździe na grzbiecie Leniucha.

Przynajmniej raz nie obdarzyła barda kokieterijnym spojrzeniem, a to już było coś.

Thom i Juilin spojrzeli po sobie, po czym taireniański łowca złodziei wyciągnął monetę z kieszeni kaftana, ale Nynaeve nie dała mu szansy jej podrzucenia.

— Same damy sobie radę. Nie powinny nas spotkać żadne kłopoty, skoro tyle Białych Płaszcy pilnuje tu porządku. — Nasadziwszy kapelusz na głowę, zawiązała wstążkę pod brodą i obrzuciła ich stanowczym spojrzeniem. — A poza tym należy pochować te wszystkie rzeczy, które przyniósł Thom.

Obaj mężczyźni przytaknęli, powoli i niechętnie, ale przytaknęli. Czasami traktowali swe role rzekomych opiekunów o wiele poważniej.

Razem z Elayne dotarły do pustej drogi i szły jakiś czas jej skrajem, po rzadkiej trawie, żeby nie wzniecać pyłu, zanim obmyśliła, jak ująć to, co chciała powiedzieć. Nie zdążyła jednak przemówić, Elayne bowiem odezwała się pierwsza.

— Najwyraźniej chciałaś się ze mną rozmówić w cztery oczy, Nynaeve. Czy chodzi o Moghedien?

Nynaeve zamrugła i zerknęła na drugą kobietę z ukosa. Powinna była pamiętać, że Elayne nie jest idiotką. Ona się tylko zachowuje jak idiotka. Nynaeve postanowiła, że będzie z całej mocy trzymać swój temperament na wodzy, rozmowa i tak zanosila się na trudną, jeśli nie miała się przerodzić w głośną kłótnię.

— Nie o to, Elayne. — Ta dziewczyna uważała, iż powinny polować również na Moghedien, wyraźnie nie umiała dostrzec różnicy między jedną z Przeklętych a, powiedzmy, Liandrin albo Chesmal. — Uważam, że powinniśmy porozmawiać o tym, jak ty się zachowujesz wobec Thoma.

— Nie wiem, o co ci chodzi — odparła Elayne, patrząc prosto przed siebie na leżące w oddali miasteczko, ale nagłe plamy czerwieni na policzkach zdradziły, że kłamie.

— Nie dość, że mógłby dwa razy być twoim ojcem, to...

— On nie jest moim ojcem! — zachnęła się Elayne. — Moim ojcem był Taringail Damodred, Księżę Cairhien i Pierwszy Księżę Miecza Andoru! — Bez potrzeby poprawiwszy kapelusz, mówiła dalej niezmiernie spokojnym tonem. — Przepraszam, Nynaeve. Nie chciałam krzyczeć.

„Temperament” — przypomniała sobie Nynaeve.

— Ja myślałam, że ty się kochasz w Randzie — powiedziała, starając się, by jej głos brzmiał łagodnie. Co nie było łatwe. — Mówią o tym bez wątplenia te wieści dla niego, które na twoją prośbę miałam przekazać Egwene. Spodziewam się, że jej powiesz to samo.

Rumieniec na policzkach przyjaciółki pogłębił się.

— Ja go naprawdę kocham, ale... On jest bardzo daleko, Nynaeve. W Pustkowiu, otoczony tysiącem Panien Włóczni, które skaczą na jego rozkazy. Nie mogę go zobaczyć, porozmawiać z nim albo go dotknąć. — Na końcu szeptała.

— Nie powinnaś uważać, że on obsypie względami jakąś Pannę — powiedziała z niedowierzaniem Nynaeve. — Jest mężczyzną, ale nie aż tak płochym, a poza tym każda z nich przebiję go włócznią, jeśli spojrzy na nią, choćby tylko ukradkiem, nawet jeśli on jest tym ich Świttem. A zresztą Egwene twierdzi, że Aviendha ma na niego oka w twoim imieniu.

— Ja wiem, ale... Powinnam była dopilnować, żeby on wiedział, iż go kocham. — Elayne powiedziała to głosem pełnym determinacji. I przejęcia. — Powinnam mu była to wyznać.

Przed Lanem Nynaeve prawie w ogóle nie patrzyła na mężczyzn, a w każdym razie nie traktowała ich poważnie, niemniej jednak widziała i nauczyła się wiele

jako Wiedząca: z jej obserwacji wynikało, że to najszybszy sposób, by zmusić mężczyznę do panicznej ucieczki, no chyba, iż on pierwszy wyzna coś takiego.

— Min miała chyba widzenie — ciągnęła Elayne. — O mnie, o Randzie. Kiedyś często żartowała, że trzeba się będzie nim dzielić, ale ja myślę, że to wcale nie był żart i że ona tylko nie potrafi się zmusić, by powiedzieć prawdę.

— To niedorzeczność. — Na pewno. Aczkolwiek w Łzie Aviendha opowiedziała jej o pewnym wstętnym obyczaju Aielów. . .

„Sama dzielisz Lana z Moiraine” — wyszeptał jakiś cichy głos.

„To wcale nie jest to samo” — odpowiedziała mu natychmiast.

— Jesteś pewna, że Min miała jedną ze swych wizji?

— Tak. Z początku nie byłam, ale im więcej o tym myślę, tym większej nabieram pewności. Żartowała na ten temat zbyt często, żeby to miało znaczyć coś innego.

No cóż, niezależnie od tego, co Min widziała, Rand nie był Aielem. Och tak, w jego żyłach płynęła być może krew Aielów, jak twierdziły Mądre, ale on się wychował w Dwu Rzekach, i ona nie będzie stała z boku i patrzyła, jak on się uczy tych obrzydliwych obyczajów Aielów. Mocno też wątpiła, by Elayne na to pozwoliła.

— Czy to właśnie dlatego — nie chciała powiedzieć „rzucasz się na” — droczysz się z Thomem?

Elayne zerknęła na nią z ukosa, na jej policzki wróciła purpura.

— Dziela nas tysiące lig, Nynaeve. Czy sądzisz, że Rand powstrzyma się od patrzenia na inne kobiety? „Mężczyzna to mężczyzna, czy to na tronie, czy to w chlewie”. — Miała w zapasie całe mnóstwo powiedzonek posłyszanych w dzieciństwie od swej niani, bystrej kobiety o imieniu Lini, którą Nynaeve miała nadzieję poznać. któregoś dnia.

— No cóż, ja nie rozumiem, dlaczego ty musisz flirtować, bo uważasz, że skoro Rand to robi, to i ty powinnaś. — Nie wspomniała nic o wieku Thoma.

„Lan ma dość lat, by móc być twoim ojcem” — mruknął ten sam cichy głos.

„Ja kocham Lana. Gdybym tylko wymyśliła, jak go uwolnić od Moiraine. . . To nie jest sprawa na teraz!”

— Thom jest mężczyzną, który ma mnóstwo tajemnic, Elayne. Przypomnij sobie, że to Moiraine kazała mu nam towarzyszyć. Kimkolwiek jest, nie jest na pewno prostym, wiejskim bardem.

— Był kiedyś wspaniałym człowiekiem — powiedziała cicho Elayne. — Byłby wspanialszy, ale nie zaznał miłości.

Po tych słowach temperament Nynaeve. ożył. Natarła na przyjaciółkę, chwytając ją za ramiona.

— Ten mężczyzna nie wie, czy przełożyć cię przez kolano czy. . . czy. . . wspiąć się na drzewo!

— Wiem. — Elayne westchnęła z przygnębieniem. — Ale ja nie, mam pojęcie, co jeszcze mogłabym robić.

Nynaeve zacisnęła zęby z taką siłą, że aż jej załomotało w głowie.

— Gdyby to usłyszała twoja matka, to by kazała Lini zawlec cię z powrotem do kołyski!

— Ja już nie jestem dzieckiem, Nynaeve. — Głos Elayne był napięty, a rumieniec na policzkach nie był już powodowany zawstydzeniem. — Jestem taką samą kobietą jak moja matka.

Nynaeve zaczęła maszerować w stronę Mardecin, ściskając swój warkocz tak mocno, że aż ją rozboleły stawy.

Po kilku krokach Elayne ją dogoniła.

— Czy naprawdę zamierzamy kupować jarzyny? — Twarz miała opanowaną, głos bez troski.

— Czyś ty widziała, co przywiózł Thom? — spytała oschle Nynaeve.

Elayne otrząsnęła się ostentacyjnie.

— Trzy szynki. I ta straszna paprykowa wołowina! Czy mężczyznom zdarza się jeść coś innego oprócz mięsa, jeśli im nie zostanie podane?

Gniew Nynaeve ostygł, gdy tak szły dalej, rozmawiając o słabostkach płci słabszej — o mężczyznach, rzecz jasna — i innych, podobnie błahych sprawach. Nie takich całkiem odległych, oczywiście. Lubiła Elayne i cieszyła się z jej towarzystwa, czasami odnosiła wrażenie, że ta dziewczyna jest naprawdę siostrą Egwene, jak same czasem na siebie mówiły. Pod warunkiem, iż Elayne nie zachowywała się jak jakaś dziewczka, która chętnie zadziera spódnice. Thom mógł położyć temu kres, ale ten stary głupiec pobłażał Elayne niczym dumny ojciec swej ulubionej córce, nawet wtedy, kiedy nie wiedział, czy ją odstraszyć, czy zemdleć. Tak czy inaczej, miała zamiar dokładnie to wy badać. Nie ze względu na Randa, ale dlatego, że Elayne była lepsza. To tak wyglądało, jakby ona nabawiła się jakiejś dziwnej gorączki. Nynaeve zamierzała ją z tego wyleczyć.

Ulice Mardecin wybrukowane były granitowymi płytami, wytartymi przez całe pokolenia stóp i kół wozów, wszystkie zaś budynki zbudowano albo z cegły, albo z kamienia. Od wielu jednakże i sklepów, i domów ziało pustką, niektóre frontowe drzwi stały otwarte na oścież, dzięki czemu Nynaeve widziała ich ogołoczone wnętrza. Doliczyła się trzech kuźni, w tym dwóch opuszczanych, a w trzeciej kowal bez uczucia przecierał swe narzędzia oliwą, w paleniskach zaś nie płonął ogień. W jednej krytej dachówkami gospodzie, przed którą na ławkach siedzieli pochmurni mężczyźni, powybijane były niektóre z okien, przy innej w przyległej stajni wrota kołysały się na zawiasach, na dziedzińcu stał zakurzony powóz, jedna samotna kura gnieździła się na wysokim koźle. W tej gospodzie ktoś grał na biternie *Czapkę w locie*, tak to przynajmniej brzmiało, ale melodii brakowała ducha. Drzwi trzeciej gospody zabito dwoma nieheblowanymi deskami.

Na ulicach roili się ludzie, ale poruszali się jakby w letargu, umęczeni upałem,

znudzone twarze mówiły, że krzątają się bez powodu, jedynie z przyzwyczajenia. Wiele kobiet w wielkich, głębokich czepcach, które niemal całkowicie skrywały im twarze, nosiło suknie o postrzępionych rąbkach, niejeden mężczyzna zaś obnosił się z podartym kołnierzem albo mankietem u sięgającego do kolan kaftana.

Po ulicach istotnie kręciło się sporo Białych Płaszczy: może nie aż tylu, jak to opisywał Thom, ale i tak dosyć. Nynaeve oddech wiązał w gardle za każdym razem, gdy widziała, jak „jakiś mężczyzna w nieskazitelnie białym płaszczu i lśniącej zbroi patrzy na nią. Wiedziała, że nie parała się Mocą tak długo, by wyglądać na Aes Sedai, ale ci mężczyźni równie dobrze mogli spróbować ją zabić — wiedźma z Tar Valon i wyjęta spod prawa w Amadicii — gdyby tylko nabrali podejrzeń, iż ona może mieć jakieś związki z Białą Wieżą. Kroczyli wśród cizby, wyraźnie nie zwracając uwagi na otaczającą ich nędzę i ludzi z szacunkiem ustępujących im drogi.

Ignorując Synów Światłości najlepiej, jak potrafiła, zajęła się szukaniem świeżych warzyw, nim jednak słońce, złota kula płonąca na wskroś rzadkich chmur, osiągnęło szczyt swej wędrówki, razem z Elayne przeszły w obie strony niski mostek i udało im się zdobyć jedynie niewielką kiść miodowych groszków, trochę drobnych rzodkiewek, kilka twardych gruszek oraz koszyk, w którym mogły to wszystko nieść. Być może Thom rzeczywiście szukał. O tej porze roku kopce i stragany powinny być pełne owoców lata, a tymczasem zobaczyły tylko stosy ziemniaków i rzepy, których najlepsze czasy już przeminęły. Rozmyślając o tych wszystkich opustoszałych farmach, które otaczały miasteczko, Nynaeve zastanawiała się, jak ci ludzie przeżyją zimę. Szła dalej przed siebie.

Obok drzwi krytego strzechą domu, w którym mieściła się pracownia szwaczki, ktoś zawiesił kwieciami w dół bukiet z jakiejś rośliny, przypominającej żarnowiec, z drobnymi, żółtymi kwiatkami, łodygi owinięto dokładnie białą wstążką, a następnie związano żółtą, pozostawiając długie, luźne końce. Być może jakaś kobieta próbowała, specjalnie się nie przykładając, wesoło przystroić dom wbrew ciężkim czasom. Nynaeve była jednak przekonana, że to coś innego.

Przystanęła przy jakimś pustym warsztacie, nad którego drzwiami wciąż jeszcze wisiał szyld z dłutem, i udając, że szuka kamienia w bucie, ukradkiem zbadała wnętrze pracowni szwaczki. Drzwi były otwarte, w niewielkich oknach stały bele kolorowych tkanin, ale nikt ani tam nie wchodził, ani stamtąd nie wychodził.

— Nie możesz go znaleźć, Nynaeve? Zdejmij but.

Nynaeve gwałtownie podniosła głowę, niemalże zapomniała, że Elayne tam jest. Nikt nie zwracał na nie uwagi i nikt nie stał dostatecznie blisko, by móc je podsłuchać. Mimo to zniżyła głos.

— Ta wiązka żarnowca na drzwiach. To znak Żółtych Ajah, sygnał ostrzegawczy od jakichś uszu i oczu Żółtych.

Nie musiała mówić Elayne, żeby się nie gapiła otwarcie, oczy dziewczyny niemalże niedostrzegalnie powędrowały w stronę sklepu.

— Jesteś pewna? — spytała cicho. — I skąd o tym wiesz?

— Jasne, że jestem pewna. To dokładnie to, nawet ten zwisający kawałek żółtej wstążki jest rozszczepiony. — Urwała dla zaczerpnięcia oddechu. O ile całym się nie pomyliła, to ten bukietek gałązek miał jakieś straszliwe znaczenie. Jeśli się myliła, to robiła z siebie idiotkę, a tego nie cierpiała. — W Wieży spędziłam wiele czasu na rozmowach z Żółtymi. — Żółte zajmowały się głównie Uzdrawianiem, zioła ich specjalnie nie interesowały, ale przecież zioła nie są ci potrzebne, jeśli potrafisz Uzdrawiać, używając Mocy. — Jedna z nich mi o tym powiedziała. Nie uważała, iż to będzie wielkie naruszenie tajemnicy, ponieważ była przekonana, że ja wybiorę Żółte. Poza tym nie używano tego znaku od blisko trzystu lat. Elayne, bardzo mało kobiet w każdej z Ajah wie, kim są dokładnie ich oczy i uszy, ale wiązka tak związanych i tak powieszonych żółtych kwiatów mówi każdej Żółtej siostrze, że tu właśnie jest taka osoba i że ma wiadomość tak pilną, iż jest gotowa zaryzykować, że zostanie wykryta.

— Jak sprawdzimy, o co tu chodzi?

Nynaeve to się spodobało. Nie: „Co zrobimy?” Ta dziewczyna miała jednak kręgosłup.

— Rób to, co ja — powiedziała i wstała, silniej ściskając pałąk koszyka. Liczyła, że dobrze zapamiętała to wszystko, co jej powiedziała Shemerin. Liczyła, że Shemerin powiedziała jej wszystko. Ta pulchna Żółta bywała niekiedy zbyt roztrzępana jak na Aes Sedai.

Wnętrze pracowni nie było duże, każdy skrawek ściany zajmowały półki z belami jedwabiu albo cienkiej wełny, szpule tasiemek i lamówek, wstążki i koronki wszelkich szerokości i wzorów. Wszędzie stały manekiny krawieckie poubierane w stroje zarówno jeszcze nie skończone, jak i już uszyte, od nadającej się do tańca haftowanej zielonej wełny, do perłowoszarego jedwabiu, który pasował do wnętrz pałacowych. Z pozoru wydawało się, że warsztat prosperuje i jest ciągle czynny, ale bystre oko Nynaeve wychwyciło odrobinę kurzu na koronce z Solinde, na wielkiej czarnej kokardzie przy pasie jednej z sukien.

W warsztacie były dwie ciemnowłose kobiety. Jedna, młoda i szczupła, usiłowała ukradkiem wytrzeć nos grzbietem dłoni, z niepokojem przyciskała do łona belę bladoczerwonego jedwabiu. Kaskada długich loków spływała jej do ramion, według mody obowiązującej w Amadicii, ale wyglądało to jak płatanina w porównaniu z gładką fryzurą drugiej kobiety. Ta druga, przystojna, w średnim wieku, była z pewnością szwaczką, co obwieszczała wielka, zjeżona poduszczonek na igły, przymocowana do jej nadgarstka. Nosiła suknię z porządnej zielonej wełny, dobrze skrojoną i uszytą, na dowód jej umiejętności, ale tylko nieznacznie przyozdobioną białymi kwiatkami wokół wysokiego karczka, dzięki czemu nie mogła przewyższać strojnnością swoich klientek.

Kiedy Nynaeve i Elayne weszły do środka, obie kobiety spojrzały na nie szeroko otwartymi oczyma, jakby do pracowni od roku nikt nie zaglądał. Szwaczka

otrząsnęła się pierwsza, przyjrzała im się z podejrzliwą godnością, nieznacznie dygając.

— Czym mogę wam służyć? Jestem Ronde Macura. Moja pracownia jest do waszych usług.

— Chcę mieć suknię ze staniczkiem haftowanym w żółte róże — powiedziała jej Nynaeeve. — Ale pamiętaj, żadnych cierni — dodała ze śmiechem. — Trudno je Uzdrowić. — Nie było takie ważne, co powie, pod warunkiem, że użyje słów „żółty” i „Uzdrowić”. Jeżeli ta wiązka kwiatów to nie był przypadek. W przeciwnym razie będzie musiała znaleźć powód, żeby nie kupować sukni z różami. I nie dopuścić, by Elayne opowiedziała o tym nieszczęsnym doświadczeniu Thomowi i Juilinowi.

Pani Macura wpatrywała się w nią przez chwilę ciemnymi oczyma, po czym zwróciła się do chudej dziewczyny, popychając ją w stronę tyłu pracowni.

— Idź do kuchni, Luci i przygotuj dzbanek herbaty dla tych dobrych pań. Z niebieskiej puszk. Woda jest gorąca, dzięki Światłości. No idźże, dziewczyno. Odłóż to i przestań się tak gapić. Szybko, szybko. Niebieska puszka, pamiętaj. To moja najlepsza herbata — powiedziała, zwracając się znowu do Nynaeeve, kiedy dziewczyna zniknęła za drzwiami. — Widzicie, mieszkam przy pracowni, kuchnia jest z tyłu. — Nerwowo wygładzała suknie, kciukiem i palcem wskazującym prawej dłoni rysując koło oznaczające pierścień z Wielkim Wężem. Wyglądało na to, że jednak nie trzeba będzie szukać wymówek w związku z suknią.

Nynaeeve powtórzyła znak i po jakiejś chwili zrobiła to również Elayne.

— Jestem Nynaeeve, a to jest Elayne. Zauważyłyśmy twój sygnał.

Kobieta zatrzepotała, jakby zaraz miała odfrunąć.

— Sygnał? Ach, No tak. Oczywiście.

— I cóż? — spytała Nynaeeve. — Cóż to za pilna wiadomość? — Nie powinnyśmy rozmawiać o tym tutaj. . . hm. . . pani Nynaeeve. W każdej chwili może ktoś tu wejść. — Nynaeeve wątpiła w to. — Opowiem wam przy filiżance herbaty. Mojej najlepszej herbaty, czy już o tym wspomniałam?

Nynaeeve wymieniła spojrzenia z Elayne. Jeśli pani Macura nie miała chęci wyjawic swych wieści, to musiały być istotnie okropne.

— Wystarczy, jeśli przejdziemy na tył pracowni — powiedziała Elayne — nikt nas tam nie usłyszy.

Szwaczka, słysząc jej władczy ton, wytrzeszczyła oczy. Przez chwilę Nynaeeve myślała, że to jakoś ukróci jej zdenerwowanie, ale już w następnej chwili głupia kobieta znowu zaczęła trajkotać.

— Herbata będzie gotowa za chwilę. Woda jest już gorąca. Kiedyś mieliśmy w tych okolicach taraboniańską herbatę. Chyba dlatego ja tu jestem. Nie z powodu herbaty, oczywiście. Cały handel, który tu kiedyś kwitł i wszystkie wieści, które wędrowały wozami w obie strony. One. . . wy interesujecie się przede wszystkim wybuchami chorób albo ich nowymi odmianami, ale ja sama uważam, że to in-

teresujące. Trochę się param... — Zakasłała i pospiesznie podjęła swój wywód, gdyby zaczęła gładzić suknie jeszcze mocniej, to wytarłaby w nich dziurę. — Trochę na temat Synów, ale one... wy... wcale się nimi tak nie interesujecie.

— Do kuchni, pani Macura — powiedziała stanowczo Nynaeve, kiedy kobieta urwała dla zaczerpnięcia oddechu. Skoro te wieści aż tak bardzo przerażały tę kobietę, to ona już nie ścierpi dalszej zwłoki, musi je natychmiast usłyszeć.

Tylne drzwi otworzyły się nieznacznie, na tyle, by zmieściła się w szparze twarz zaniepokojonej Luci.

— Herbata gotowa, proszę pani — oznajmiła bez tchu.

— Tędy, pani Nynaeve — powiedziała szwaczka, nadal pocierając przód swej sukni. — Pani Elayne.

Krótki korytarzyk wiódł obok wąskich schodów do schludnej kuchni ze stropem wspartym na belkach, z czajnika na palenisku szła para, wszędzie wisiały wysokie szafki. Między tylnymi drzwiami a oknem, które wychodziło na niewielkie podwórko otoczone wysokim, drewnianym płotem, wisiały miedziane rondle. Na małym stoliku ustawionym na samym środku stał jaskrawożółty imbryk, słoje z zielonym miodem, trzy różnokolorowe filiżanki oraz pękata puszka z niebieskiej porcelany, obok leżało wieko. Pani Macura chwyciła prędko puszkę, nakryła ją i pospiesznie odłożyła na półkę, na której stało kilkanaście innych, o różnych kształtach i barwach.

— Siadajcie, proszę — powiedziała, napełniając filiżanki. — Proszę.

Nynaeve usiadła na krześle z drabinkowym oparciem obok Elayne, szwaczka zaś ustawiła przed nimi filiżanki, po czym natychmiast rzuciła się do jednej z półek, by podać im cynowe łyżki.

— Co to za wiadomość? — spytała Nynaeve, kiedy kobieta usiadła naprzeciwko nich. Pani Macura była zbyt nerwowa, by tknąć swoją filiżankę, więc Nynaeve dodała odrobinę miodu do swojej i upiła łyk herbaty, napój był gorący, ale miał chłodny, miętowy posmak. Gorąca herbata mogła uspokoić nerwy tej kobiety, pod warunkiem, że uda się ją zmusić do jej wypicia.

— Smakuje wybornie — mruknęła Elayne znad swojej filiżanki. — Co to za herbata?

„Mądra dziewczyna” — pomyślała Nynaeve.

Jednak dłonie szwaczki tylko zatrzepotały obok filiżanki.

— To taraboniańska herbata. Z okolic Wybrzeża Cienia.

Westchnąwszy, Nynaeve upiła jeszcze jeden łyk, żeby uspokoić swój żołądek.

— Wiadomość — powtórzyła z napięciem. — Nie powiesiłaś tego sygnału, żeby nas zaprosić na herbatę. Cóż to za pilna wiadomość?

— A tak. — Pani Macura oblizwała wargi, zmierzyła je obie wzrokiem, po czym powoli powiedziała: — Nadeszła blisko miesiąc temu, wraz z rozkazami, że każda siostra, która będzie tędy przejeżdżać, ma ją za wszelką cenę usłyszeć.

— Znowu zwilżyła usta. — Wszystkie siostry są łaskawie proszone o powrót do Białej Wieży. W Wieży musi na nowo zapanować jedność i siła.

Nynaeve czekała na ciąg dalszy, ale kobieta pograżyła się w milczeniu. To jest ta straszna wiadomość? Spojrzała na Elayne, ale ciepło wyraźnie podziałało na dziewczynę, osuwała się z krzesła wpatrzona w swoje dłonie ułożone na stole.

— Czy to już wszystko? — spytała podniesionym tonem Nynaeve i ku swemu zdziwieniu ziewnęła. Na nią to ciepło też musiało podziałać.

Szwaczka tylko patrzyła na nią z napięciem.

— Powiedziałam... — zaczęła Nynaeve, ale ni stąd, ni zowąd poczuła, że ciąży jej głowa. Zauważyła, że Elayne osunęła się na stół, z zamkniętymi oczyma i zwisającymi bezwładnie rękoma. Nynaeve z przerażeniem zapatrzyła się na filiżankę w swoich dłoniach. — Coś ty nam dała? — spytała zachrypłym głosem, miętowy smak ciągle tam był, ale czuła, że spuchł jej język. — Mów natychmiast! — Wypuściwszy filiżankę, podźwignęła się, chwytając krawędzi stołu i czując, jak miękną jej kolana. — Obyś szczeła w Światłości, co to było?

Pani Macura odsunęła z hałasem swoje krzesło i odeszła z zasięgu jej ręki, natomiast jej wcześniejsze zdenerwowanie ustąpiło miejsca cichej satysfakcji.

Ciemność zalała Nynaeve, na koniec usłyszała jeszcze głos szwaczki:

— Łap ją, Luci!

FIGI I MYSZY

Elayne zrozumiała, że wnoszą ją po schodach, trzymając za ręce i kostki. Miała oczy otwarte, wszystko widziała, ale jej ciało równie dobrze mogłoby należeć do kogoś innego, nie miała nad nim władzy. Nawet przymknięcie powiek nie było łatwe. Zdawało jej się, że głowę ma wypchaną pierzem.

— Ona się budzi, pani! — Luci zadrżała, omal nie puszczając stóp Elayne. — Patrzy na mnie!

— Powiedziałam ci, żebyś się nie martwiła. — Głos pani Macura dochodził gdzieś sponad jej głowy. — Nie jest w stanie przenieść, czy chociażby ruszyć palcem, po tym jak wypła herbatę z widłokorzenia. Ten efekt odkryłam przypadkiem, ale z pewnością okazał się przydatny.

To była prawda. Elayne zwisała w ich dłoniach niczym szmaciana lalka, której pośladki obijają się o kolejne stopnie. Z równym powodzeniem mogłaby teraz biegać, jak przenieść. Potrafiła wyczuć Prawdziwe Źródło, ale próba objęcia go była niczym chwytanie zgrabiętymi od zimna palcami igły leżącej na tafli zwierciadła. Strach podchodził jej do gardła, łyzy ciurkiem spływały po policzkach.

Być może te kobiety zamierzały wydać ją Białym Płaszczom na stracenie, nie potrafiła jednak uwierzyć, że Synowie Światłości uciekli się do pomocy owych kobiet, by zastawić pułapki w nadziei, iż jakaś Aes Sedai przypadkiem w którąś wpadnie. Pozostawali więc Sprzymierzeńcy Ciemności — te kobiety służyły nie tylko Żółtym Ajah, lecz równocześnie Czarnym. Z pewnością zostanie wydana w ręce Czarnych Ajah, o ile oczywiście Nynaeve nie udało się uciec. Jeśli miała się wydostać z matni, to nie powinna liczyć na nikogo innego. A nie mogła poruszyć ani ręką, ani nogą, nie była też w stanie przenieść. Nagle zdała sobie sprawę, że choć próbuje krzyknąć, z jej gardła wydobywa się jedynie słaby, urywany szloch. Zdławienie go zabrało jej resztki sił.

Nynaeve знаła się na ziołach albo przynajmniej tak twierdziła — dlaczego się nie zorientowała, z czego jest ta herbata?

„Przestań wreszcie jęczeć! — Cichy, choć twardy głos gdzieś w głębi czaszki brzmiał dokładnie jak napomnienia Lini. — Prosię kwiczące pod płótem tylko zwraca na siebie uwagę lisa, a przecież powinno uciekać”.

Desperacko zmusiła się, by choć objąć *saidara*. To było najprostsze ćwicze-

nie, ale teraz równie dobrze mogłaby próbować objąć *saidina*. Wciąż jednak się starała, tylko to jej jeszcze zostało.

Pani Macura nie objawiała jednak śladów niepewności. Kiedy tylko rzuciły bezwładne ciało Elayne na wąskie łóżku w małym, ciasnym pokoju z pojedynczym oknem, natychmiast wypędziła Luci z powrotem na korytarz, nawet nie obejrzawszy się za siebie. Głowa Elayne opadła, toteż mogła dojrzeć drugie, wciśnięte do pomieszczenia łóżko oraz wysoki kredens ze zmatowiałymi uchwytnymi szuflad. Mogła jedynie poruszać gałkami oczu, wykonanie zaś choćby najdrobniejszego ruchu głową przekraczało jej możliwości.

Po kilku minutach obie kobiety wróciły i sapiąc, wnieśli do pokoju Nynaeve. Cisnęły ją na sąsiednie łóżko. Twarz tamtej była pozbawiona wyrazu i mokra od łez, ale oczy... Kotłowała się w nich wściekłość, lecz także i strach. Elayne miała nadzieję, że wściekłość przeważy, Nynaeve była silniejsza od niej, jednak tylko wówczas, gdy mogła przynosić, być może więc uda jej się tam, gdzie ona zawodziła raz za razem. Tak, to z pewnością były łyzy gniewu.

Nakazawszy szczerzej dziewczynie zostać z nimi, pani Macura ponownie wyszła z pomieszczenia. Tym razem wróciła z tacą, którą postawiła na kredensie. Na tacy stał żółty imbryk, jedna filiżanka, lejek i wysoka klepsydra.

— Uważaj teraz, Luci. Musisz każdej wlać do gardła dobre dwie uncje, gdy tylko klepsydra się opróżni. Pamiętaj, dokładnie w tej samej chwili!

— Dlaczego nie podać im zaraz, pani? — wyjęczała dziewczyna, załamując ręce. — Chcę, żeby już spały. Nie podoba mi się, kiedy tak na mnie patrzą.

— Wówczas będą spały jak zabite, dziewczyno, a tak możemy je zmusić, żeby wstały, kiedy będzie trzeba i poszły o własnych siłach. Zaaplikuję im odpowiednią dawkę, kiedy nadejdzie czas, by je odesłać. Będzie je potem bolała głowa i męczył żołądek, jednak przypuszczalnie i tak zasługują na coś gorszego.

— Ale co, jeśli one mogą przynosić, pani? Co, jeśli to zrobią? Patrzą na mnie.

— Przestań gadać bzdury, dziewczyno — żwawo odrzekła starsza. — Gdyby mogły przynosić, myślisz, że dotąd by tego nie zrobiły? Są bezbronne niczym kocięta w worku. I tak pozostanie do czasu, aż zaaplikujesz im następną przyzwoitą dawkę. A teraz masz zrobić, jak ci kazałam, rozumiesz? Muszę iść i powiedzieć staremu Avi, aby wysłał jednego ze swych gołębi, a potem załatwić parę spraw, ale wrócę tak szybko, jak tylko będę mogła. Na wszelki wypadek lepiej od razu sparz następny czajniczek widłokorzenia. Wyjdę tylnym wyjściem. Zamknij sklep. Ktoś niepowołany mógłby wejść do środka.

Po odejściu pani Macura Luci stała przez jakiś czas, przyglądając się im i wciąż rozpaczając, na koniec jednak sama również opuściła pomieszczenie. Odgłosy pociągania nosem cichły, kiedy schodziła po schodach.

Elayne mogła widzieć krople potu na czole Nynaeve, chciała wierzyć, że to wysiłek, nie zaś strach.

„Próbuj, Nynaeve”.

Sama również sięgnęła po Prawdziwe Źródło, desperacko próbując przedrzeć się przez zwały wełny, którymi zdawała się wypchana jej głowa, nie udało się, spróbowała ponownie, znowu się nie udało, i jeszcze raz. . .

„Och, Światłości, próbuj, Nynaeve! Próbuj!”

Nie mogła oderwać oczu od klepsydry, widok przesypującego się piasku całkowicie wypełniał jej pole widzenia. Ziarnko za ziarnkiem, każde z nich wyznaczało kolejną porażkę jej usiłowań. Spadło ostatnie. A Luci wciąż nie było. Elayne zdwoiła wysiłki osiągnięcia Źródła, wykonania choćby najlżejszego ruchu. Po chwili palce lewej dłoni nieznacznie zadrżały.

„Tak!”

Minęło jeszcze kilka minut i mogła już unieść dłoń, jedynie o drżący cal ponad miejsce, gdzie dotąd bezwładnie spoczywała, ale poruszyła się. Dokładając ogromnych wysiłków, zdołała odwrócić głowę.

— Walcz — wymamrotała gardłowo, ledwie zrozumiale Nynaeve. Jej dłonie wciąż ścisnęły kurczowo brzeg koca, na którym leżała. Nie udało jej się nawet poruszyć głową, jednak widać było, że też próbowała.

— Robię to — usiłowała odpowiedzieć Elayne, w jej własnych uszach zabrzmiało to jak chrząknięcie.

Powoli udało jej się tak unieść dłoń, że mogła dostrzec i utrzymać ją w górze. Przeszył ją triumfalny dreszcz.

„Bój się nas dalej, Luci. Zostań jeszcze trochę w kuchni, a. . .”

Drzwi otworzyły się z trzaskiem i poczuła, jak łzy zawodu napłynęły jej do oczu, gdy Luci wpadła niczym burza do środka. Była już tak blisko. Dziewczyna objęła je spojrzeniem i z jękiem przerażenia rzuciła się w stronę wysokiego kredensu.

Elayne próbowała stawiać opór, ale była tak słaba, że Luci jednym uderzeniem udało się odepchnąć na bok jej omdlałe dłonie i równie łatwo wepchnąć dziobek lejka między zęby. Dziewczyna dyszała jak po długim biegu. Zimny, gorzki napar wypełnił usta Elayne. Spojrzała w górę, na twarzy tamtej zobaczyła przerażenie, jakie ją samą przepełniało. Ale Luci zamknęła jej usta i ścisnęła za gardło z uśmiechem ponurej determinacji, dopóki nie przełknęła. Ciemność ogarnęła Elayne, usłyszała jeszcze tylko odległe protesty dochodzące ze strony łóżka, na którym leżała Nynaeve.

Kiedy ponownie otworzyła oczy, Luci znowu nie było w pokoju, a piasek, jak wcześniej, przesypywał się w klepsydrze. Ciemne oczy Nynaeve płonęły, ale czy strachem, czy gniewem tego nie potrafiłaby określić. Nie, Nynaeve się nie podda. Była to jedna z tych rzeczy, które u tamtej podziwiała. Nynaeve mogłaby leżeć z głową na katowskim pieńku, a jeszcze by walczyła.

„Nasze głowy właściwie już są pod toporem!”

Wstydziała się, że jest o tyle słabsza od Nynaeve. Pewnego dnia zostanie Królową Andoru, tymczasem teraz miała ochotę wyć z przerażenia. Nie robiła tego, nawet w myślach — zawzięcie próbowała zmusić swe usta, by wymówiły choć

jedno słowo, walczyła, by dotknąć *saidara* — ale przecież miała ochotę. W jaki sposób miałyby kiedykolwiek zostać królową, skoro jest taka słaba? Ponownie sięgnęła po Źródło. T znowu. I znowu. Prześcignąć ziarnka piasku. Kolejny raz.

I powtórnie stało się tak, że piasek w klepsydrze przesywał się do końca, a Luci nie było. Równie wolno udało jej się osiągnąć stan, w którym mogła znowu unieść dłoń. A potem głowę! Cóż z tego, kiedy natychmiast znowu opadła. Słyszała, jak Nynaeve mamrocze coś do siebie i była w stanie zrozumieć większość wypowiedzianych przez nią słów.

I znowu drzwi otworzyły się gwałtownie. Elayne uniosła głowę, przygotowana na powtórny zawód... i nie uwierzyła własnym oczom. W drzwiach, niczym bohater jednej ze swych opowieści, stał Thom Merrillin, jedną ręką ściskając za kark omdlewającą niemalże Luci, w drugiej dzierżąc gotowy do rzutu nóż. Elayne zaśmiała się radośnie, choć z jej gardła wydobył się jedynie skrzek.

Thom brutalnie pchnął dziewczynę w kąt pokoju.

— Zostaniesz tam albo naostrzę ten nóż na twojej skórze! — Po chwili był już u boku Elayne, odgarnął jej włosy, na jego pomarszczonej twarzy pojawiła się troska. — Co im dałaś, dziewczyno? Powiesz mi albo...

— Nie ona — wymamrotała Nynaeve. — Ta druga. Poszła. Pomóż mi. Muszę wstać.

Thom niechętnie, jak osądziła Elayne, odszedł od jej łóżka. Ponownie pogroził Luci swym nożem — skuliła się w taki sposób, jakby już nigdy nie miała choćby drgnąć — błysnęło ostrze, nóż zniknął w rękawie. Thom podźwignął Nynaeve i zaczął z nią spacerować, kilka kroków tam i z powrotem, na ile pozwalała skromna przestrzeń pokoju. Opierała się na nim bezwładnie i powłóczyła nogami.

— Zadowolony jestem, dowiadując się, że to nie ten mały przerażony kotek was pochwycił — powiedział. — Gdyby to była ona...

Potrząsnął głową. Bez wątpienia mocno by straciły w jego oczach, gdyby Nynaeve powiedziała mu prawdę, Elayne z pewnością tego nie chciała.

— Złapałem ją, jak pędziła po schodach, tak przerażona, że nawet nie usłyszała, iż idę za nią. To niedobrze, że drugiej udało się odejść, a Juilin niczego nie spostrzegł. Czy może sprowadzić innych ludzi ze sobą?

Elayne przewróciła się na bok.

— Nie wydaje mi się, Thom — wybełkotała. — Nie może pozwolić... by zbyt wielu... dowiedziało się o niej.

Po upływie kolejnej minuty była już w stanie usiąść. Spojrzała na Luci, dziewczyna cofnęła się pod jej wzrokiem, jakby próbowała się wtopić w ścianę.

— Białe Płaszczce... zajeliby się nią równie... szybko jak nami.

— Juilin? — zapytała Nynaeve. Jej głowa kiwała się, gdy patrzyła na barda. Jednak nie miała już kłopotów z artykulacją słów. — Kazałam wam obu zostać przy wozie.

Thom z irytacją podkręcił węża.

— Kazałaś nam załadować zapasy, a do tego nie potrzeba dwóch mężczyzn. Juilin poszedł za wami, a kiedy nikt z was nie wrócił, zacząłem go szukać. — Znowu parsknął. — Sądził, że wewnątrz znajduje się co najmniej tuzin ludzi, ale gotów był już sam wejść do środka. Wiąże Leniucha z tyłu domu. Dobrze, że zdecydowałem się pojechać za nim. Przypuszczam, iż koń będzie nam potrzebny, aby was stąd wywieźć.

Elayne uznała, że jest już w stanie usiąść — ledwie — powoli unosiła plecy, z dłońmi opartymi na kocu, ale kosztowało ją to tyle wysiłku, że omal znów nie legła bezwładnie. *Saidar* był równie nieosiągalny jak poprzednio, głowa wciąż wydawała się niby poduszka wypchana gęsim pierzem. Nynaeve trzymała się już odrobinę bardziej prosto, w miarę swobodnie unosiła stopy, wciąż jednak wspierała się na Thomie.

Po kilku minutach pojawił się Juilin, prowadząc przed sobą panią Macura, ostrzem noża szturchał ją w plecy.

— Przeszła przez furtkę w płocie z tyłu domu. Uznała mnie za złodzieja. Pomyślałem, że najlepiej będzie ją tu przyprowadzić.

Oblicze szwaczki tak pobladło na ich widok, iż na jego tle oczy zdały się całkiem czarne, nie mówiąc już o tym, iż omalże nie wyskakiwały z orbit. Oblizywała wargi i bezustannie wyglądała spodnicę, rzucając krótkie spojrzenia na nóż Juilina, jakby się zastanawiała, czy nie byłoby lepiej spróbować ucieczki. Jednak głównie patrzyła na Elayne i Nynaeve, Elayne pomyślała, że tamta zastanawia się, czy nie wybuchnąć płaczem, ewentualnie wręcz zemdleć.

— Daj ją tutaj — powiedziała Nynaeve, kiwając głową w stronę kąta, w którym wciąż trzęsła się i kulila Luci i pomóż Elayne. Nigdy dotąd nie słyszałam o widłokorzeniu, ale kiedy spacerujesz, skutki działania szybciej mijają. Ruch pomaga w wyrzucaniu z siebie takich szkodliwych substancji.

Juilin wycelował ostrze swego noża w kąt izby, pani Macura ruszyła w jego stronę, a potem usiadła obok Luci, wciąż w przestrachu zwilżając usta.

— Nie... zrobiłabym tego... co zrobiłam... tylko, że takie miałam rozkazy. Musicie to zrozumieć. Wykonywałam rozkazy. Delikatnie pomógłszy Elayne się podnieść, Juilin podtrzymał ją, kiedy przemierzała drobnymi kroczkami pokój, starając się nie zderzać z Nynaeve i Thomem. Jego ramię zdawało się otaczać jej kibić jakoś nazbyt swobodnie.

— Rozkazy od kogo? — wypluła z siebie Nynaeve. — Kto jest twoją przełożoną w Wieży?

Szwaczka wyglądała na śmiertelnie przerażoną, najwyraźniej jednak postanowiła milczeć.

— Jeżeli nie będziesz mówić — poinformowała ją Nynaeve, obrzucając jednocześnie groźnym spojrzeniem — oddam cię Juilinowi. To taireniański łowca złodziei, równie sprawny w wydobywaniu zeznań, jak każdy Śledczy Białych Płaszczy. Nieprawdaż, Juilin?

— Potrzebuję tylko kawałka liny, żeby ją związać — odpowiedział, uśmiechając się tak paskudnie, że Elayne omal nie odsunęła się od niego — trochę łachmanów, żeby zakneblować do czasu, aż będzie gotowa mówić, olej do smażenia, sól...

Zachichotał w taki sposób, iż Elayne poczuła, jak krew ścina się jej w żyłach.

— Będzie mówić.

Pani Macura siedziała sztywno, plecami wbita w ścianę i obserwowała go oczyma rozwartymi do granic możliwości. Luci zaś patrzyła na niego tak, jakby zamienił się w trolloka, wysokiego na osiem stóp, z parą rogów sterczących z czaszki.

— Bardzo dobrze — powiedziała po chwili Nynaeve. — Znajdziesz w kuchni wszystko, czego ci trzeba, Juilin.

Elayne toczyła zaskoczonym spojrzeniem od Nynaeve ku łowcy złodziei i z powrotem. Z pewnością ona nie ma zamiaru naprawdę?... Przecież nie Nynaeve!

— Narenwin Barda — nagle wypłuła z siebie szwaczka. A później słowa już równym strumieniem popłynęły z jej ust. — Wysyłałam moje raporty do Narenwin Barda, do gospody w Tar Valon zwanej „Wyścig w Górę Rzeki”. Na skraju miasta Avi Shendar trzyma dla mnie gołębie. Nie ma pojęcia, do kogo wysyłam informacje, ani od kogo je otrzymuję i nie interesuje go to. Jego żona jest śmiertelnie chora, więc...

Urwała nagle, zadrżała i wbiła wzrok w Juilina.

Elayne знаła Narenwin, a przynajmniej spotkała ją podczas pobytu w Wieży. Szczupła, drobna kobieta, tak cicha i niepozorna, że łatwo było zapomnieć o jej obecności. A na dodatek jeszcze bardzo życzliwa, przez jeden dzień w tygodniu pozwalała dzieciom przynosić zwierzęta na teren Wieży i tam je Uzdrawiała. Doprawdy trudno było ją podejrzewać o przynależność do Czarnych Ajah. Z drugiej jednak strony, wśród imion Czarnych Ajah, o których wiedziały, znajdowało się nazwisko Marilyn Gemalphin — uwielbiała koty, potrafiła porzucić najpilniejsze zajęcia, aby zaopiekować się zabłąkanym zwierzęciem.

— Narenwin Barda — ponuro powtórzyła Nynaeve. — Potrzebuję więcej nazwisk, zarówno kobiet z Wieży, jak i innych.

— Ja... nie znam żadnych innych — broniła się słabo pani Macura.

— To się dopiero okaże. Od jak dawna jesteś Sprzymierzeńcem Ciemności? Od kiedy służysz Czarnym Ajah?

Z piersi Luci wyrwał się pełen oburzenia wrzask.

— Nie jesteśmy Sprzymierzeńcami Ciemności! — Spojrzała na panią Macura i odsunęła się trochę od niej. — Przynajmniej ja nie jestem! Wędruję drogą Światłości! Naprawdę!

Reakcja drugiej kobiety była równie gwałtowna. Jeżeli przedtem jej oczy były wytrzeszczone, to teraz niemalże wyskakiwały z orbit.

— Czarne!... Twierdzenie, że one naprawdę istnieją? Ale Wieża zawsze zaprzeczała... Cóż, zapytałam o nie raz kiedyś Narenwin, tego dnia, gdy wybrała mnie na agentkę Żółtych, a skończyło się na tym, że dopiero następnego ranka przestałam płakać i mogłam się wyczołgać z łóżka. Nie... jestem... Sprzymierzeńcem Ciemności! Nigdy nie byłam i nie będę! Służę Żółtym Ajah! Żółtym!

Wciąż wisząc na ramieniu Julina, Elayne wymieniła zmieszane spojrzenia z Nynaeve. Oczywiście każdy Sprzymierzeniec Ciemności przeczyłby takim oskarżeniom, ale w głosach obu kobiet zdawała się pobrzmiwać szczerą prawdą. Gniew, jakim napełniły je te posądzania, był tak silny, że niemalże przewyciężył strach. Nynaeve również się wahała, zapewne odniosła podobne wrażenie.

— Jeżeli służycie Żółtym — powiedziała powoli — to dlaczego dałyście nam ten narkotyk?

— Chodziło o nią — odpowiedziała szwaczka, ruchem głowy wskazując na Elayne. — Miesiąc temu otrzymałam jej dokładny rysopis, z takimi szczegółami, jak sposób trzymania podbródka. Narenwin pisała, że może używać imienia Elayne, a nawet twierdzić, iż pochodzi ze szlacheckiego Domu.

Wraz z każdym kolejnym słowem, gniew, który w niej wzbudziło nazwanie Sprzymierzeńcem Ciemności, stawał się coraz bardziej widoczny.

— Być może ty jesteś Żółtą siostrą, ale ona nie jest żadną Aes Sedai, tylko zbiegłą Przyjętą. Narenwin powiedziała, że mam natychmiast donieść o spotkaniu z nią oraz z osobami jej towarzyszącymi. I zatrzymać ją, jak długo będę w stanie. Albo nawet schwytać. I wszystkich, którzy z nią będą. W jaki sposób oczekiwały, że uda mi się zatrzymać Przyjętą, nie mam zielonego pojęcia... nie sądzę, aby nawet Narenwin wiedziała o moim naparze z widłokorzenia... ale takie właśnie otrzymałam rozkazy! Napisane w nich było, że mogę nawet zaryzykować ujawnienie... tutaj, gdzie oznaczałoby to moją natychmiastową śmierć!... jeżeli nie będzie innego wyjścia! Poczekaj tylko, aż wpadniesz w ręce Amyrlin, młoda dziewczyno! Wszyscy wtedy zobaczą!

— Amyrlin? — wykrzyknęła Elayne. — A co ona ma z tym wszystkim wspólnego?

— Rozkazy pochodziły od niej. Napisane w nich było, „z rozkazu Zasiadającej na Tronie Amyrlin”. Napisane było, że sama Amyrlin nakazuje, abym uciekła się do wszelkich środków z wyjątkiem morderstwa. Będziecie żałować, że nie jesteście martwe, kiedy Amyrlin dostanie was w swe ręce! — Krótkie skinienie głowy, którym podkreśliła wypowiedziane słowa, pełne było wściekłej satysfakcji.

— Pamiętaj, że jak dotąd nie wpadłyśmy jeszcze w niczyje ręce — sucho odparowała Nynaeve. — Natomiast ty jesteś w naszych.

Jednak w jej oczach odbijało się to samo bezgraniczne zdumienie, które Elayne czuła w myślach.

— Czy podane zostały jakieś powody?

Przypomnienie, że to ją schwytano, spowodowało, iż kobieta jakby otrzeźwia-

ła odrobinę. Apatycznie wsparła się o Luci i tak trwały, nawzajem powstrzymując się od upadku na podłogę.

— Nie. Czasami Narenwin tłumaczy motywy swych rozkazów, ale tym razem było inaczej.

— Zamierzałaś trzymać nas tutaj pod wpływem narkotyku. zanim ktoś po nas przyjdzie?

— Planowałam odesłać was wozem, ubrane w jakieś stare rzeczy. — Głos kobiety nie zdradzał już nawet śladów oporu. — Wysłałam gołębia, aby Narenwin dowiedziała się, że tu jesteście i co zamierzam z wami zrobić. Therin Lugay winien mi jest wiele, chciałam dać mu tyle widłokorzenia, aby starczyło do Tar Valon, na wypadek gdyby Narenwin nie wysłała wcześniej siostr na wasze spotkanie. On myśli, że zachorowałyście, a napar jest jedyną rzeczą, która utrzyma was przy życiu, dopóki siostry was nie Uzdrwią. Kobieta, która w Amadicii para się lekami, musi być ostrożna. Wystarczy, że wyleczysz zbyt wielu albo zbyt dobrze, a już ktoś szepnie „Aes Sedai” i następnego dnia przekonasz się, iż twój dom spłonął aż do fundamentów. Albo jeszcze gorzej. Therin wie, że musi trzymać język za zębami, w kwestii tego co...

Nynaeve kazała Thomowi podprowadzić się bliżej i spojrzała z góry na szwaczkę.

— A wiadomość? Prawdziwa wiadomość? Nie wystawiłabyś znaku tylko w nadziei zwabienia nas do środka.

— Powiedziałam wam, jaka była prawdziwa wiadomość — oznajmiła zmęczonym głosem kobieta. — Nie sądziłam, żeby to miało komukolwiek zaszkodzić. Nie rozumiem jej i... proszę...

Nagle wybuchnęła szlochom, przyciskając się do Luci z taką samą siłą, z jaką młodsza kobieta tuliła się do niej, obie zaczęły zawodzić i jęczeć do wtóru.

— Proszę, nie pozwól mu użyć przeciwko mnie soli! Proszę! Tylko nie sól! Och, proszę!

— Zwiąż je — powiedziała po chwili z wyraźnym niesmakiem Nynaeve. — I zejdźmy na dół, żeby porozmawiać.

Thom pomógł jej usiąść na brzegu najbliższego łóżka, potem szybko pociął na pasy koc z sąsiedniego.

W przeciągu kilku chwil obie kobiety zostały związane plecami do siebie, dłonie jednej przywiązane były do stóp drugiej, zwinięte kawałki koca posłużyły jako kneble. Wciąż płakały, kiedy Thom pomagał Nynaeve wyjść z pokoju.

Elayne żałowała, że nie potrafi poruszać się jeszcze tak sprawnie jak tamta, wciąż potrzebowała pomocy Juilina, aby nie stoczyć się ze schodów. Poczowała drobne ukłucie zazdrości, gdy zobaczyła, jak Thom otacza ramieniem Nynaeve.

„Jesteś głupią małą dziewczynką” — skarcił ją głos Lini.

„Jestem dorosłą kobietą — odparła z takim zdecydowaniem, na jakie nie zdobyłaby się wobec swej starej piastunki nawet dzisiaj. — Naprawdę kocham Randa,

ale on jest tak daleko, natomiast Thom to wyrafinowany, inteligentny i . . .”

Brzmiało to w znacznej mierze jak wymówka, nawet w jej własnych uszach. Lini w tym momencie zapewne parsknęłaby śmiechem na znak, że ma już dosyć słuchania takich głupot.

— Juilin — zapytała z wahaniem — co zamierzałeś zrobić z solą i olejem do smażenia? Nie musisz podawać szczegółów — zastrzegła szybko. — Wystarczy mi ogólne pojęcie.

Patrzył na nią przez chwilę.

— Nie wiem. Ale one również o tym nie wiedziały. Na tym polega cała sztuczka, ich wyobraźnia podpowiedziała im gorsze rzeczy, niżli kiedykolwiek mógłbym wymyślić. Widziałem, jak załamał się naprawdę twardy człowiek, kiedy posłano po kosz fig i kilka myszy. Jednak trzeba z tym uważać. Niektórzy przyznają się do wszystkiego, czy będzie to prawda, czy całkowity fałsz, byle tylko uniknąć tego, co sobie wyobrażają. Nie sądzę jednak, żeby któraś z nich kłamała.

Ona również myślała podobnie. Jednak nie potrafiła pohamować dreszczu, który przeszył ją na wylot.

„Do czego ktoś mógłby użyć fig i myszy?”

Miała nadzieję, że przestanie o tym myśleć, zanim zaczną ją nawiedzać nocne koszmary.

Kiedy dotarli do kuchni, Nynaeve chodziła już, chwiejnie, ale za to bez pomocy Thoma, i teraz przeszukiwała kredens pełen kolorowych puszek. Elayne musiała usiąść na jednym z krzeseł. Niebieska puszka stała na stole, obok niej pełny zielony czajniczek, starała się jednak nie patrzeć w ich stronę. Wciąż nie mogła przynosić. Potrafiła objąć *saidara*, lecz kiedy starała się go utrzymać, wyslizgiwał się. Przynajmniej odzyskała pewność, że Moc powróci do niej. Odwrotna możliwość była zbyt straszna, by choćby o niej pomyśleć i aż do tej chwili wzbraniała się przed tym.

— Thom — powiedziała Nynaeve, nie przestając otwierać rozmaitych puszek i zaglądać do środka. — Juilin.

Przerwała na moment, wzięła głęboki oddech i wciąż nie patrząc na obu mężczyzn, rzekła:

— Dziękuję wam. Zaczynam rozumieć, dlaczego Aes Sedai mają Strażników. Jestem wam naprawdę wdzięczna.

Jej uwaga nie dotyczyła wszystkich Aes Sedai. Czerwone, na przykład, uważały wszystkich mężczyzn za skażonych z powodu tego, co robili ci, którzy potrafili przynosić, inne Ajah wcale nie troszczyły się o Strażników, nigdy bowiem nie opuszczały Wieży a jeszcze inne nie brały nowego Strażnika w miejsce tego, który poległ. Zielone były jedynymi, które zezwalały na nakładanie zobowiązań na więcej niż jednego Strażnika. Elayne chciała zostać właśnie Zieloną. Nie z powyższego powodu, rzecz jasna, ale dlatego, że Zielone nazywały się Bojowymi Ajah. Podczas gdy Brązowe poszukiwały utraconej wiedzy, Błękitne zaś

brały udział w sprawach świata, Zielone siostry przygotowywały się do Ostatniej Bitwy, podczas której miały stanąć przeciwko — tak, jak to miało miejsce wcześniej, podczas Wojen z Trollokami — nowym Władcom Strachu.

Obaj mężczyźni patrzyli na siebie, nie skrywając zdumienia. Najwyraźniej zdążyli się już przyzwyczać do ostrego języka Nynaeeve. Elayne również była co najmniej zdziwiona. Nynaeeve lubiła jak jej pomagano mniej więcej w tym samym stopniu, jak lubiła nie mieć racji, w obu przypadkach jeżyła się i prychała, chociaż oczywiście o sobie samej twierdziła zawsze, że stanowi ucieleśnienie przytomności umysłu i rozsądku.

— To Wiedząca — Nynaeeve nabrała szczyptę proszku z jednej z puszek, powąchała, potem posmakowała końcem języka. — Czy też jak się je tutaj nazywa.

— Wcale ich się nie nazywa — odrzekł Thom. — Niewiele kobiet w Amadicii para się twoim dawnym rzemiosłem. Jest ono zbyt niebezpieczne. Dla większości stanowi tylko uboczne zajęcie.

Nynaeeve wyciągnęła z głębi kredensu skórzaną torbę i zaczęła robić małe zawiniątka z odrobiną zawartości niektórych puszek.

— A co robią, gdy ktoś zachoruje? Wzywają znachora?

— Tak — odpowiedziała Elayne. Zawsze sprawiało jej przyjemność pokazywanie w obecności Thoma, że ona również zna się na rozmaitych sprawach tego świata. — W Amadicii to mężczyźni zajmują się badaniem ziół.

Nynaeeve skrzywiła się pogardliwie

— A co mężczyźni mogą wiedzieć na temat leczenia? Równie dobrze mogłabym prosić kowala o uszycie sukienki.

Nagle Elayne zrozumiała, iż właściwie usiłuje myśleć o czymkolwiek, byle tylko nie pamiętać o tym, co powiedziała pani Macura.

„Jeżeli nawet będziesz się starała ze wszystkich sił zapomnieć o cierniu wbitym w stopę, nie sprawisz, że będzie cię mniej bolało”.

Jedno z ulubionych powiedzeń Lini.

— Nynaeeve, jak sądzisz, co może oznaczać ta wiadomość? Wszystkim siostrom nakazuje się powrót do Wieży? To nie ma sensu. — Nie to chciała powiedzieć, ale przynajmniej nawiązała w jakiś sposób do tematu.

— Wieża ma swoje własne zasady — oznajmił Thom. — To, co Aes Sedai robią, robią dla swych własnych powodów, a często są one odmienne od tych, które podają. Jeżeli w ogóle podają jakieś powody.

Thom i Juilin wiedzieli oczywiście, że one są jedynie Przyjętymi, dlatego po części przynajmniej żaden z nich nie słuchał dokładnie ich poleceń.

Na twarzy Nynaeeve odbijały się wyraźnie wewnętrzne zmagania. Nie lubiła, jak jej ktoś przerywał albo odpowiadał za nią. Długa była lista rzeczy, których Nynaeeve nie lubiła. Ale dopiero przed momentem dziękowała Thomowi, trudno jest przywoływać do porządku człowieka, który właśnie uchronił cię przed potraktowaniem jak zwykłego śmiecia.

— Zazwyczaj niewiele działań Wieży wydaje się mieć jakikolwiek sens — dodała szorstko.

Elayne podejrzewała, że zgryźliwość w jej głosie była w równym stopniu przeznaczona dla Thoma, jak i dla Białej Wieży.

— Wierzysz w to, co ona powiedziała? — Elayne wciągnęła głęboko powietrze. — Że Amyrlin kazała nas sprowadzić z powrotem bez przebierania w środkach?

Nynaeve obrzuciła ją przelotnym spojrzeniem, w jej oczach rozbłysła iskierka współczucia.

— Sama nie wiem, Elayne.

— Mówiła prawdę. — Juilin odwrócił jedno z krzeseł stojących przy stole i usiadł na nim okrakiem. — Przesłuchałem wystarczająco wielu złodziei i morderców, aby rozpoznać prawdę, kiedy ją usłyszę. Przez większość czasu była zbyt przestraszona, by kłamać, przez resztę zaś nazbyt wściekła.

— Wy dwoje. . . — Wziąwszy głęboki oddech, Nynaeve rzuciła torbę na stół i zaplotła ramiona, jakby chciała uwięzić ręce, stale usiłujące szarpać warkocz. — Obawiam się, że Juilin ma najprawdopodobniej rację, Elayne.

— Ale Amyrlin wie, czym się zajmujemy. Przede wszystkim to ona sama odesłała nas z Wieży.

Nynaeve parsknęła głośno.

— Uwierzę we wszystko, czego się dowiem o Siuan Sanche. Miałabym ochotę dostać ją w swe ręce choćby na godzinę, kiedy nie mogłaby przenosić. Wtedy by się okazało, czy rzeczywiście jest taka twarda.

Elayne nie sądziła, by to czyniło jakąkolwiek różnicę. Wspominając rozkazujące spojrzenie błękitnych oczu tamtej, podejrzewała, że gdyby — co było oczywiście zupełnie nieprawdopodobne — zdarzyła się taka sytuacja, Nynaeve nabałaby się jedynie znacznej liczby siniaków.

— Ale co mamy teraz z tym zrobić? Wydaje się, że Ajah mają wszędzie swoje siatki szpiegowskie. Także sama Amyrlin. Przez całą drogę do Tar Valon każda napotkana kobieta będzie nam mogła wsypać coś do jedzenia.

— Nie, jeżeli będziemy wyglądały inaczej niż nas opisano. — Nynaeve wzięła żółty dzban z kredensu i postawiła obok czajniczka na stole. — To jest biały lulek pieprzowy. Pomaga na ból zębów, ale potrafi również nadać włosom kolor najgłębszej czerni.

Elayne musnęła dłonią swoje rudozłote loki — mogłaby się założyć, że chodzi o jej Włosy, nie zaś Nynaeve! — ale mimo iż nienawidziła tego pomysłu, wydawał się ze wszech miar słuszny.

— Zmienimy trochę krój naszych sukni i już nie będziemy wyglądać na kupców. Dwie damy podróżujące w towarzystwie służących.

— Jadące wozem pełnym barwników? — zapytał Juillin.

Chłodne spojrzenie. jakim go obdarzyła, mówiło jednoznacznie, że jej wdzięczność ma swoje granice.

— W stajni po drugiej stronie mostu stoi powóz. Przypuszczam, że właściciel zgodzi się nam go sprzedać. Jeżeli wróćcie do wozu, zanim ktoś zdąży go ukraść... nie pojmuję, co w was wstąpiło, tak go po prostu zostawić na łasce losu!... a więc, jeśli wciąż tam będzie, możecie wziąć jedną z sakiewek...

Kilku ludzi, którzy stali pod pracownią pani Macura, wytrzeszczyło oczy, kiedy przed front budynku zajechał powóz Noya Torvalda zaprzężony w czwórkę koni, ze skrzynią załadowaną po sam dach i luzakiem przywiązany z tyłu. Noy stracił wszystko, kiedy załamał się handel z Tarabon, z trudem zarabiał na życie, mając się przedziwnych zajęć, obecnie pracował dla wdowy Teran. Nikt z obecnych na ulicy nigdy dotąd nie widział jednak tego woźnicy, wysokiego pomarszczonego człowieka z długimi siwymi wąsami i chłodnym, władczym. spojrzeniem, ani też ciemnego forysia o twardym wyrazie twarzy, w taraboniańskim kapeluszu, który zręcznie zeskoczył, by otworzyć drzwi powozu. Kiedy z pracowni wyszły dwie kobiety, ściskając w dłoniach tobołki, wśród wytrzeszczających oczy rozeszły się szmery, jedna miała na sobie ubiór z zielonego jedwabiu, druga proste błękitne wełny, ale obie nosiły szale tak udrapowane wokół głów, że nie można było dostrzec włosów, wyjąwszy może pojedyncze kosmyki. Do powozu prawie wskoczyły.

Dwaj Synowie Światłości wolno podeszli bliżej, aby się dowiedzieć, kim są obcy, ale nim foryś zdążył się wgramolić na kozioł woźnica już zaświstał długim bitem i krzyknął coś o wolnej drodze dla lady. Jej imię zniknęło w zamieszaniu obaj Synowie musieli uskoczyć z drogi, omal nie przewracając się na zapyloną ulicę, powóz zaś pomknął, głośnie turkoczając kołami, ku Drodze do Amadoru.

Gapie rozchodzili się, mamrocząc coś między sobą, bez wątpienia tajemnicza lady z pokojówką, kupiła coś od Ronde Maura i chciała uniknąć spotkania z Synami. Ostatnio niewiele działo się w Mardecin, więc ta sprawa z pewnością dostarczy tematu do rozmów na najbliższych kilka dni. Synowie Światłości cisnęli się wściekle, ale w końcu doszli do wniosku, że jeśli złożą raport opisujący ten incydent, to wyjdą na głupców. A poza tym ich kapitan nie lubił szlachetnie urodzonych, najprawdopodobniej wyśle ich, by sprowadzili powóz z powrotem, czekałaby ich więc długa podróż w tym upale, w pogoni za jakąś arogancką latoroślą tego czy innego Domu. Jeżeli nie zostaną jej postawione żadne zarzuty — a to zawsze wymagało zawilej procedury w przypadku arystokratów — to nie kapitan weźmie na siebie winę. Rzecz jasna, nawet nie pomyśleli o przesłuchaniu Ronde Macura, zainteresowani wyłącznie, by plotki o ich poniżeniu nie stały się zbyt powszechnie znane.

Niedługo po całym incydencie Therin Lugay przyprowadził swój wóz na podwórze za pracownią, zapasy na długą podróż miał już spakowane pod okrągłą plandeką. W rzeczy samej, Ronde Macura wyleczyła go z gorączki, która zeszelej

zimy zabrała dwadzieścia trzy osoby, ale radość na myśl o podróży do dalekiego miejsca, gdzie żyją wiedźmy, odczuwał głównie dlatego, że dzięki niej uwolni się na jakiś czas od narzekań żony i swarliwej teściowej. Ronde wprawdzie powiedziała, iż ktoś może wyjechać mu na spotkanie — nie określiła kto — on wszak miał nadzieję, że uda mu się jednak dotrzeć aż do samego Tar Valon.

Pukał sześć razy do kuchennych drzwi, zanim wszedł do środka, ale nie spotkał nikogo, więc udał się na górę. W zapasowej sypialni, na łóżkach leżały Ronde i Luci, mimo iż słońce stało już wysoko na niebie, spały jeszcze, i to w zmiętych ubraniach. Żadna się nie obudziła, nawet kiedy potrząsał je za ramię. Nie potrafił pojąć, dlaczego śpią tak mocno, dlaczego na podłodze leży pocięty w pasy koc, dlaczego w pokoju są dwa puste czajniczki do herbaty i tylko jedna filiżanka, albo co robi lejek na poduszce obok Ronde. Ale przez całe życie zdawał sobie sprawę, że na świecie dzieje się wiele rzeczy, których nie rozumie. Wróciwszy do wozu, pomyślał o zapasach, na które Ronde wyłożyła pieniądze, potem o swej żonie i jej matce, ale kiedy zawracał wóz, myślał już tylko o tym, co też ciekawego przydarzyć mu się może w Altarze albo w Murandy.

Tak czy inaczej, minęło trochę czasu, zanim Ronde Macura przybiegła z rozwianym włosom do domu Avi Shendar i wysłała gołębia, przyczepiwszy do jego nóżki cienką kościaną tubkę. Ptak pomknął na północny wschód, prosto ku Tar Valon. Po chwili namysłu Ronde przygotowała kopię raportu na następnym wąskim pasku pergaminu i przyczepiła do nóżki ptaka z innej klatki. Ten wzbił się w powietrze i skierował na zachód, obiecała bowiem tam wysłać kopie wszystkich swoich informacji. W tych trudnych czasach kobieta musi się naprawdę bardzo starać, a przecież nikomu to w niczym nie zaszkodzi, nic takiego wszak ważnego nie donosiła Narenwin. Zastanawiając się, czy kiedykolwiek uda jej się pozbyć smaku widłokorzenia, który trawił jej usta, nie dbała w najmniejszej mierze o to, czy ów raport nie zaszkodzi tej, która miała na imię Nynaeve.

Avi, zajęta pracą w swym niewielkim ogródku nie zwracała najmniejszej uwagi na poczynania Ronde, jak to miała w zwyczaju. I tak jak zwykle, kiedy tamta odeszła, umyła dłonie i weszła do wnętrza domu. Wcześniej umieściła większy kawałek pergaminu pod skrawkami, na których pisała tamta, na pozór po to, by ostry koniec pióra nie drapał powierzchni. Kiedy uniosła go pod popołudniowe słońce, mogła z łatwością odczytać treść przekazu. Wkrótce trzeci gołąb wzbił się do lotu, zmierzając w innym jeszcze kierunku.

„DZIEWIĘCIOKONNY ZAPRZĘG”

Szerokie rondo kapelusza osłaniało twarz Siuan Sanche przed promieniami popołudniowego słońca, gdy pozwoliła Logainowi poprowadzić ich grupkę przez wiodącą do Lugardu Bramę Shilene. Zewnętrzne mury obronne miasta, wysokie i szare, dramatycznie domagały się naprawy, w dwóch miejscach znajdujących się w zasięgu jej wzroku kamienie wykruszyły się do tego stopnia, że mury nie były wyższe od zwykłego płotu przy zagrodzie. Min oraz Leane trzymały się blisko, obie zmęczone tempem, które Logain narzucił i utrzymywał przez całe tygodnie, jakie minęły od wydarzeń w Źródłach Kore. Chciał przewozić, zabrało jej niewiele czasu przekonanie go, iż tak jest w istocie. Jeżeli nawet mówił, że wyruszą z samego ranka, gdzie i kiedy zanocują, jeżeli zatrzymywał pieniądze, nawet jeśli oczekiwał, że będą gotować i podawać mu posiłki, niewiele to dla niej znaczyło. Mimo wszystko było jej przykro, gdy o nim myślała. Nie miał pojęcia, co dlań zaplanowała.

„Trzeba założyć dużą rybę na hak, aby złapać jeszcze większą” — pomyślała ponuro.

Nominalnie Lugard był stolicą Murandy, siedzibą króla Roedrana, ale lordowie Murandy już dawno temu wypowiedzieli mu posłuszeństwo, potem odmówili płacenia podatków, a reszta ludzi poszła za ich przykładem. Murandy tylko z nazwy stanowiło naród, mieszkańców nie spajała rzekoma wierność królowi lub królowej — bywało, iż tron zmieniał właściciela w doprawdy nieznaczących odstępach czasu — a tylko strach przed Andorem czy Illian skłaniał ich do trzymania się razem.

Miasto przecinały kamienne mury znajdujące się w jeszcze gorszym stanie niżli zewnętrzne fortyfikacje, ponieważ Lugard przez wieki rozrastał się zupełnie przypadkowo i niejedną raz dzielony był między rywalizujące rodziny szlacheckie. Miasto było brudne, większości głównych ulic nawet nie wybrukowano, wszystkie pokrywał pył. Mężczyźni w wysokich kapeluszach i kobiety w fartuchach oraz spódnicach ukazujących kostki przemykali między kupieckimi karawanami, dzieci zaś bawiły się w koleinach wozów. To handel utrzymywał Lugard

przy życiu, wozy kupieckie ściągające z Illian i Ebou Dar, z Ghealdan na północy i z Andoru na zachodzie. Na wielkich nie zabudowanych placach, rozrzuconych po całym mieście, stały os w os wozy, niektóre wypełnione aż po szczyt napiętych plandek, inne puste, oczekujące na załadunek. Wzdłuż głównych ulic, jedna przy drugiej stały gospody i stajnie, niemalże przewyższając liczbą szare kamienne budynki sklepów, wszystkie kryte dachówką w kolorach czerwieni, purpury, zieleni i błękitu. Powietrze pełne było kurzu i hałasu — metalicznego szczykania dochodzącego z kuźni, turkotu wozów i przekleństw woźniców, gwałtownych wybuchów śmiechu dobiegających przez okna gospód. Promienie zachodzącego słońca piekły bezlitośnie Lugard, a powietrze było tak suche, jakby już nigdy nie miało padać.

Kiedy Logain skręcił ostatecznie na podwórze którejś stajni i zsiadł z konia na tyłach gospody o zielonym dachu, noszącej miano „Dziewięciokonny Zaprzęg”, Siuan z ulgą zsunęła się z grzbietu Beli, potem niepewnie poklepała kudłatą klacz po pysku, wystrzegając się jednak jej zębów. Jej zdaniem dosiadanie grzbietu zwierzęcia nie była żadnym sposobem podróżowania. Łódź skręcała, jeśli się pociągnęło za rumpel, a koń mógł w każdej chwili postanowić, że odtąd sam będzie o sobie decydował. Łodzie ponadto nigdy nie gryzły, Bela, jak dotąd, zresztą również nie... ale przecież mogła. Przynajmniej minęło to potworne zeszywnienie wszystkich mięśni, które trapiło ją w pierwszych dniach, kiedy to nie miała najmniejszych wątpliwości, że Leane i Min śmieją się z niej za plecami, gdy wieczorami kuśtykała po obozowisku. Wciąż jednak po całym dniu spędzonym w siodle czuła się tak, jakby została zbita na kwaśne jabłko, lecz jakoś udawało jej się to ukryć.

Gdy tylko Logain zaczął się targować ze stajennym, szczupłym piegowatym mężczyzną w skórzanej kamizelce nałożonej na gołe ciało, Siuan podeszła do Leane.

— Jeżeli chcesz poćwiczyć swe fortele — powiedziała cicho — to zajmij się na jakąś godzinę Dalynem.

Leane rzuciła jej pełne powątpiewania spojrzenie — obdarzała uśmiechami i spojrzeniami niektórych mężczyzn z wiosek, przez jakie przejeżdżali, ale Logain znalazł w jej wzroku tylko pustkę — potem jednak westchnęła i skinęła głową. Wzięła głęboki oddech i ruszyła w stronę Logaina, kołysząc ciałem i uśmiechając się doń. Siuan nie potrafiła zrozumieć, jak tamta to robi, tak to wyglądało, jakby jej kości nagle stawały się giętkie niczym guma.

Podeszła bliżej do Min i równie cicho powiedziała:

— Kiedy Dalyn skończy już ze stajennym, powiedz mu, że zamierzasz się przyłączyć do mnie w środku. Potem szybko zmykaj i trzymaj się z dala od niego i Amaeny, dopóki nie wrócę. — Sądząc po odgłosach dochodzących z wnętrza gospody, w środku równie dobrze mogła obozować cała armia. Z pewnością ciżba była na tyle gęsta, że nikt nie znajdzie wśród niej jednej kobiety. Min już otwierała

usta, by niechybnie spytać dlaczego — Siuan uprzedziła ją. — Po prostu zrób tak, jak ci mówię, Serenla. Albo sprawię, że nie tylko będziesz mu podawać talerz, lecz również czyścić buty.

Mimo zaciętego wyrazu twarzy, Min przytaknęła posępnie.

Siuan wcisnęła jej wodze Beli w ręce, sama zaś szybko opuściła podwórze stajni i wyszła na ulicę.. mając nadzieję, że udaje się we właściwym kierunku. Nie miała ochoty błąkać się godzinami po mieście, nie w tej spiekocie i kurzu.

Ulice zatłoczone były masywnymi wozami zaprzęzonymi w szóstki, ósemki, a nawet dziesiątki koni, woźnice strzelali z długich batów, przeklinając zarówno swe zwierzęta jak i pieszych przemykających między pojazdami. Niechlujni mężczyźni w długich kaftanach woźniców przepychali się przez ścisk, czasami ze śmiechem zaczepiając kobiety w kolorowych fartuchach, niekiedy pasia-
stych, z głowami owiniętymi szerokimi szarfami, które przechodziły obok wozów z wzrokiem wbitym w przestrzeń przed sobą, udając, że niczego nie słyszą. Inne, bez fartuchów, z włosami swobodnie spływającymi na ramiona, o spódnicach kończących się o stopę, a nawet więcej nad ziemią, często odkrzykiwały bardziej jeszcze niewybredne repliki.

Siuan aż wzdrygnęła się, gdy zrozumiała, że niektóre zaczepki mężczyzn kierowane są do niej. Nie rozzłościły jej — w jej mniemaniu nie odnosiły się do niej w żadnej mierze — tylko zaskoczyły. Wciąż nie mogła przywyknąć do zmian, jakie przeszła. Tym mężczyznom mogła się wydawać atrakcyjna... Zerknęła na swe odbicie w brudnej szybie jakiejś wystawy, ale zobaczyła tylko niewyraźny obraz dziewczyny o gładkiej cerze, w słomianym kapeluszu. Była młoda, nie tylko zdawała się młoda, ale, na ile potrafiła ocenić, zwyczajnie była młoda. Nie starsza od Min. Po prostu młodzianka dziewczyna, patrząc z perspektywy lat, które naprawdę przeżyła.

„Korzyść wynikająca z bycia ujarzmioną” — powtórzyła sobie.

Spotykała kobiety, które zapłaciłyby każdą sumę, żeby tylko ujęto im piętnaście lub dwadzieścia lat, niektóre z nich zapewne uznałyby cenę, jaką ona zapłaciła, za dobry interes. Często sama się przyłapywała na tym, że wymienia kolejne takie korzyści, być może w daremnej próbie wmówienia sobie, iż są istotne. Przynajmniej mogła teraz kłamać do woli, skoro uwolniła się od Trzech Przysiąg. I nie rozpoznałby jej własny ojciec. Tak naprawdę to nie wyglądała tak samo jak za młodu, zmiany, jakie w jej twarzy wyryła dojrzałość, wciąż na niej były, tylko złagodzone przez świeżość młodego wieku. Doszła do wniosku, myśląc chłodno i obiektywnie, iż zapewne wyładniała, a przecież „ładna” to był największy komplement, jakim ją kiedykolwiek obdarzono. Określenie „przystojna” padało znacznie częściej. Nie potrafiła jednak połączyć tej twarzy ze sobą samą, z Siuan Sanche. Tylko wewnątrz nic się nie zmieniło, jej umysł wciąż zawierał całą swoją wiedzę. We własnej głowie była wciąż sobą.

Niektóre gospody i tawerny Lugardu miały takie nazwy, jak: „Młot Kowa-

la”, „Tańczący Niedźwiedź”, „Srebrna Świnia”, i często na ich frontonach wisiąły stosowne godła. Zdarzały się również nazwy, które powinny być zabronione, najmniej nieprzyzwoity był „Pocałunek Dziewki Domani”, któremu towarzyszył wizerunek miedzianoskórej kobiety — obnażonej aż do talii! — z wydętymi ustami. Siuan przez chwilę zastanawiała się, jak by na to zareagowała Leane, ale biorąc pod uwagę jej obecny sposób zachowania, i napis, i wizerunek mogły jej się wydać jak najbardziej stosowne.

Na koniec jednak, przy bocznej ulicy, równie szerokiej zresztą jak główna, tuż za pozbawioną odrzwi wyrwą w zrujnowanym wewnętrznym murze miasta, odnalazła gospodę, której szukała — dwupiętrowy budynek z szarego kamienia, o dachu krytym purpurową dachówką. Na godle ponad drzwiami namalowano wyjątkowo rozpustną kobietę, której całe odzienie stanowiły jedynie włosy, ułożone tak, by skrywały najmniej jak to tylko możliwe, siedzącą na oklep na koniu, nazwę gospody wyrzuciła z pamięci natychmiast po zaznajomieniu się z nią.

Wspólna izba była sina od fajkowego dymu, wypełniona po brzegi podejrzanymi mężczyznami, którzy pili, i śmiali się w głos i podszczyrywali służebne dziewczyny unikające, jak się dało ich dłoni, przylepione na stałe uśmiechy nie znikwały z ich twarzy. Ledwie słyszalne w tym hałasie cytra i flet akompaniowały młodej kobiecie, która śpiewała i tańczyła na blacie stołu w jednym z krańców długiego pomieszczenia. Od czasu do czasu śpiewaczka zadzierała spódnicę, ukazując nogi w całej niemalże okazałości, to, co Siuan zrozumiała ze słów piosenki, sprawiło, że miała ochotę podejść do tamtej i zetrzeć jej słowa z ust. Jak tak można? Paradować nago? I śpiewać o takich rzeczach bandzie pijanych łajdaków? Nigdy wcześniej nie była w takim miejscu. Zamierzała jak najbardziej skrócić swą wizytę tutaj.

Nie miała kłopotów ze znalezieniem właścicielki gospody. Wysoka, potężnie zbudowana kobieta, wbita w suknię z czerwonego, niemal jarzącego się jedwabiu, utrefione, sztucznie barwione loki — natura nigdy nie wytworzyłaby takiego odcienia czerwieni, z pewnością nie wraz z ciemnymi oczyma — otaczały wystający podbródek i zimne, twarde usta. Między rozkazami wykrzykiwanymi dziewczkom służebnym zatrzymywała się to przy jednym stoliku, to przy innym, aby zamienić kilka słów i poklepać po ramionach swych klientów.

Siuan sztywno wyprostowała plecy i starając się ignorować szacujące spojrzenia mężczyzn, podeszła do kobiety o szkarłatnych włosach.

— Pani Tharne? — Po trzykroć musiała powtórzyć nazwisko, za każdym razem głośniejsze niż poprzednio, zanim właścicielka wreszcie na nią spojrzała. — Pani Tharne, chciałabym dostać posadę śpiewaczki. Potrafię śpiewać...

— Potrafisz śpiewać, co? — Zaśmiała się wysoka kobieta. — Cóż, mam już śpiewaczkę, ale zawsze zatrudniam drugą, aby tamta mogła czasami odpocząć. Niech no zobaczą twoje nogi.

— Potrafię zaśpiewać *Pieśń o trzech rybach* — oznajmiła głośno Siuan. To

musiała być właściwa osoba. Z pewnością dwie kobiety w jednym mieście nie mogą mieć włosów takiej barwy, nie mówiąc już o tym, że we właściwej gospodzie zareagowała na właściwe imię.

Pani Tharne zaśmiała się jeszcze głośniejszym głosem i klepnęła w ramię jednego z mężczyzn siedzących przy najbliższym stole, tak silnie, że omal nie spadł z ławy.

— Nie ma chyba szczególnego zapotrzebowania na tę piosenkę, co, Pel?

Szczerbaty Pel, z długim batem woźnicy owiniętym wokół ramienia, zarechotał do wtóru.

— I potrafię jeszcze zaśpiewać *Brzask na błękitnym niebie*.

Kobieta potrząsnęła głową i zaczęła pocierać oczy, jakby przed chwilą rzeczywiście zaśmiewała się aż do łez.

— Potrafisz, co? Ach, jestem pewna, że chłopcom się to spodoba. Teraz pokaż mi nogi. Pokazujesz nogi, dziewczyno, albo wynocha!

Siuan zawahała się, ale pani Tharne stała tylko i patrzyła na nią. A oprócz niej coraz większa liczba męskich oczu. To musiała być właściwa kobieta. Powoli podciągnęła spódnicę do kolan. Właścicielka gospody niecierpliwie machnęła dłonią. Zamknąwszy oczy, Siuan zbierała coraz więcej materiału spódnicy w dłoniach. Z każdym calem jej twarz stawała się jeszcze bardziej czerwona.

— Skromnisia — zarechotała pani Tharne. — Cóż, jeśli te piosenki stanowią granicę twoich możliwości, to lepiej żebyś miała takie nogi, na widok których mężczyźni będą mdleli. Trudno to jednak stwierdzić, dopóki nie zdejmiesz tych wełnianych pończoch, co, Pel? Dobra, chodź ze mną. Może nawet masz jakiś głos, ale w tym hałasie i tak nie da się tego stwierdzić. Chodź, dziewczyno! No, ruszże tyłkiem!

Siuan otworzyła gwałtownie oczy, zapłonął w nich gniew, ale wysoka kobieta szła już na zaplecze wspólnej izby. Z kręgosłupem sztywnym jak żelazny pręt Siuan opuściła spódnicę i poszła za nią, starając się ignorować rechoty i grubiańskie propozycje skierowane pod jej adresem. Jej twarz była niczym wykuta z kamienia, jednak w duszy zmartwienie walczyło z gniewem.

Zanim została wyniesiona na Tron Amyrlin, kierowała szpiegowską siatką Błękitnych Ajah, niektóre z jej agentek, zarówno wtedy, jak i później, stanowiły jej osobiste oczy i uszy. Mogła nie być już dłużej Amyrlin, czy choćby nawet Aes Sedai, ale wciąż pamiętała te kobiety. Duranda Tharne służyła już Błękitnym, kiedy przejęła siatkę, jej informacje zaś były zawsze aktualne. Niełatwo znaleźć dobrych szpiegów, z ich wiarygodnością też bywało rozmaicie — po drodze z Tar Valon była tylko jedna, której ufała, w Czterech Królach, w Andorze, ale ona zniknęła — jednak wraz z kupieckimi karawanami przez Lugard przepływała masa informacji i plotek. Zapewne byli tu również szpiedzy innych Ajah, należało o tym pamiętać.

„Ostrożność przywiedzie łódź do portu” — upomniała się. Ta kobieta idealnie pasowała do opisu Durandy Tharne, z pewnością żadna inna gospoda nie mogła

nosić równie paskudnej nazwy, ale dlaczego odpowiedziała w taki sposób, gdy Siuan podała hasło identyfikujące ją jako agentkę Błękitnych? Musiała zaryzykować, Min i Leane, każda na swój sposób, stawały się równie niecierpliwe jak Logain. Ostrożność przywiedzie łódź do portu, ale czasami dzięki śmiałości można przywieźć pełną ładownię ryb. W najgorszym wypadku dzieli kobietę czymś po głowie i ucieknie tylnym wyjściem. Oszacowała szerokie ramiona, wzrost i twarde dłonie tamtej, miała jednak nadzieję, że jej się uda.

Przez skromne drzwi w korytarzu wiodącym w stronę kuchni weszły do skąpo umeblowanego pokoju, mieszczącego w sobie biurko z krzesłem na strzępie niebieskiego dywanu, duże lustro na ścianie i, co zaskoczyło Siuan, półkę z kilkoma książkami. Kiedy tylko drzwi się za nimi zamknęły, wygłuszając do pewnego stopnia hałas wspólnej izby, wysoka kobieta odwróciła się do Siuan, wspierając pięści na obszernych biodrach.

— No dobrze. Czego chcesz ode mnie? Nie musisz mi podawać swego imienia. Nie chcę go znać, nieważne, czy jest prawdziwe czy fałszywe.

Siuan poczuła jak opuszcza ją, po części przynajmniej, poprzednie napięcie. Gniew jednak pozostał.

— Nie miałaś prawa traktować mnie tam w taki sposób! Co chciałaś osiągnąć, zmuszając mnie bym...

— Miałam wszelkie prawo — odwarknęła pani Tharne — i zaręczam ci, że było to konieczne. Gdybyś przyszła w momencie, kiedy zamykam lub otwieram gospodę, jak to jest przewidziane, wpuściłabym cię do środka i nikt by niczego nie widział. Czy myślisz, że któryś z tych mężczyzn nie zacząłby się zastanawiać, gdybym odprowadziła cię na tyły niczym od dawien dawna nie widzianą przyjaciółkę? Nie mogę sobie pozwolić, żeby ktokolwiek zaczął się mną interesować. Masz szczęście, że nie kazałam ci zastąpić Susu na stole na czas jednej lub dwu piosenek. I uważaj, jak się do mnie odnosisz.

Ostrzegawczo uniosła w górę szeroką, twardą dłoń.

— Wydałam za mąż córki starsze od ciebie, ale kiedy je odwiedzam, stąpają skromnie i odzywają się właściwie. Jeżeli będziesz zachowywać się wobec mnie jak Pani Impertynentka, to wkrótce dowiesz się, dlaczego tak jest. Nikt tam nie usłyszy twoich krzyków, a jeśli nawet, to i tak nie będzie się wtrącał. — Energicznie kiwnęła głową, jakby potwierdzając tym własne słowa i ponownie wsparła dłonie na biodrach. — A teraz mów, czego chcesz?

Siuan kilkakrotnie podczas tej przemowy próbowała wtrącić choć jedno słowo, ale strumień płynący z ust tamtej przewalał się po nich niczym fala przypląwu. Nie była do czegoś takiego przyzwyczajona. Kiedy pani Tharne skończyła, cała aż trzęsła się z gniewu, obie dłonie zaciskając na krawędziach spódnicy, aż pobieleły jej kłykcie. Z równą siłą starała się trzymać na wodzy swój temperament.

„Występuję tutaj tylko jako inna agentka” — upominała się zdecydowanie. —

„Już nie Amyrlin, tylko inna agentka”.

Poza tym spodziewała się, iż kobieta może wprowadzić w życie swe groźby. To było dla niej wciąż nowym doświadczeniem, że musi strzec się kogoś tylko dlatego, że jest większy i silniejszy.

— Otrzymałam wiadomość, którą muszę dostarczyć do zgromadzenia tych, które służą. — Miała nadzieję, że pani Tharne weźmie napięcie w jej głosie za objaw przestachu, może okazać się bardziej pomocna, gdy uzna Suan za stosownie onieśmiałą. — Nie było ich tam, gdzie mi powiedziano. Mogę mieć tylko nadzieję, że wiesz coś, co pomoże mi je znaleźć.

Zaplótszy ramiona na masywnych piersiach, pani Tharne wpatrywała się w nią przez jakiś czas.

— Wiesz, jak opanować swój temperament, kiedy jest to potrzebne, co? Dobrze. Co się stało w Wieży? I nie próbuj zaprzeczać, że stamtąd przybywasz, moja dumna pięknotko. Jest to wypisane na twojej twarzy i z pewnością nie nabyłaś tych snobistycznych manier w jakiejś wsi.

Suan wzięła głęboki oddech, zanim odpowiedziała.

— Suan Sanche została ujarzmiona. — Jej głos nawet nie zadrżał i była z tego dumna. — Nową Amyrlin jest Elaida a'Roihan.

Tym razem jednak nie potrafiła całkowicie stłumić goryczy, jaka zabrzmiała w tych słowach.

Pani Tharne w najmniejszej mierze nie zdradziła, co poczuła, słysząc te wieści.

— Cóż, to przynajmniej tłumaczy niektóre z rozkazów, jakie otrzymałam. Przynajmniej ich część. Ujarzmiły ją, powiadasz? Myślałam, że będzie już Amyrlin na zawsze. Widziałam ją raz, kilka lat temu w Caemlyn. Z daleka. Wyglądała, jakby potrafiła przeżuwać rzemienie uprząży na śniadanie. — Niemożliwie szkarłatne loki zafalowały, gdy potrząsnęła głową. — Cóż, co się stało, to się nie odstanie. Ajah się podzieliły, nieprawdaż? To jest jedyne możliwe wytłumaczenie moich rozkazów i tego, że ujarzmiły tego starego sępa. Jedność Wieży zniszczona, a Błękitne uciekły.

Suan zazgrzytała zębami. Próbowwała wytłumaczyć sobie, że ta kobieta jest lojalna wobec Błękitnych Ajah, nie zaś osobiście względem niej, ale to nie pomagało.

„Stary sęp? Sama jest wystarczająco stara, aby być moją matką. A gdyby była, to chyba bym się utopiła”.

Z wysiłkiem nadała swym słowom pokorne brzmienie.

— Moja wiadomość jest bardzo ważna. Muszę ruszać w drogę tak szybko, jak się tylko da. Możesz mi pomóc?

— Ważna wiadomość? No cóż, wątpię w to. Problem polega na tym, że mogę ci coś zaoferować, ale sama będziesz musiała rozszyfrować, co to takiego. Chcesz tego? — Ta kobieta nie zamierzała niczego ułatwić.

— Tak, proszę.

— Sallie Daera. Nie mam pojęcia, kim ona jest, czy też kim była, ale kazano mi podać to imię każdej Błękitnej, która się tu pojawi i będzie wyglądać na zagubioną, jeżeli można tak powiedzieć. Możesz nie być jedną z siostr, ale zadzieraszaś nos tak wysoko, że wyglądasz przynajmniej na taką. Więc ci mówię. Sallie Daera. Zrób z tym, co zechcesz.

Siuan stłumiła dreszcz podniecenia i ponownie przybrała obojętny wyraz twarzy.

— Ja również nigdy o niej nie słyszałam. Muszę więc dalej ich szukać.

— Gdy je znajdziesz, powiedz Aeldene Sedai, że wciąż jestem lojalna, cokolwiek się wydarzy. Od tak dawna pracuję już dla Błękitnych, że nie wiedziałabym, co dalej ze sobą począć.

— Powiem jej — zapewniła ją Siuan. Nawet nie wiedziała, że Aeldene zastąpiła ją w kierowaniu siatką Błękitnych, Amyrlin, niezależnie od tego, z których Ajah ją wyniesiono, należała do wszystkich, a jednocześnie do żadnej. — Przypuszczam, że znajdziesz jakiś powód, dla którego nie możesz mnie jednak zatrudnić. Naprawdę nie potrafię śpiewać, to powinno wystarczyć.

— Jakby to miało jakiegokolwiek znaczenie dla tej bandy za drzwiami. — Wielka kobieta uniosła brew i uśmiechnęła się w sposób, który nie spodobał się Siuan. — Coś wymyślę, dziewczyno. I dam ci drobną radę. Jeżeli nie zejdziesz o szczebel czy dwa, jakies Aes Sedai mogą cię ściągnąć na sam dół drabiny. Zaskoczona jestem, że jeszcze się tak nie stało. Teraz idź już. Wynoś się stąd.

„Wstrętna kobieta — Siuan aż warknęła w duszy. — Gdyby to było możliwe, przydzieliłabym jej takie kary, aż by jej oczy wyszły na wierzch”.

Ta kobieta sądziła, że należy jej się więcej szacunku, czyż nie?

— Dziękuję ci za pomoc — oznajmiła chłodno i wykonała ukłon stosowny do pałacowego wnętrza. — Byłaś dla mnie doprawdy zanadto uprzejma.

Przeszła już trzy kroki w głąb wspólnej izby, kiedy za nią pojawiła się pani Tharne, wybuch jej przeraźliwego śmiechu przebił się przez, wszechogarniający gwar.

— To ci dopiero wstydliva panienska! Nóżki tak białe i smukłe, że wszystkim by ślina z ust ciekła, a rozpłakała się jak dziecko, kiedy jej powiedziałam, że będzie musiała wam je pokazać! Po prostu siadła na podłodze i zaczęła ryczeć! Biodra krągłe, iż każdemu by się spodobały, a ona...!

Siuan aż zatoczyła się pod huraganem śmiechu, który jednak nie stłumił całkowicie litanii tamtej. Udało jej się przejść w miarę wolno jeszcze trzy kroki, z twarzą czerwoną niczym burak, potem rzuciła się biegiem.

Zatrzymała się dopiero na ulicy, usiłując odzyskać oddech i uspokoić łomoczące serce.

„Wstrętna stara zdzira! Powinam...!”

Nie miało znaczenia, co powinna zrobić, ta obrzydliwa kobieta powiedziała jej wszystko, czego potrzebowała. Nie Sallie Daera, w ogóle nie chodziło o kobietę. Tylko Błękitne będą wiedziały lub choćby podejrzewały. Salidar. Miejsce narodzin Deane Aryman, Błękitnej siostry, która została Amyrlin po Bonwhin i uratowała Wieżę przed zniszczeniem, na jakie naraziła ją tamta. Salidar. Jedno z ostatnich miejsc, gdzie ktokolwiek szukałby Aes Sedai, tak blisko przecież Amadicii.

Dwaj mężczyźni w śnieżnobiałych płaszczach i błyszczących, wypolerowanych puklerzach jechali w jej stronę po ulicy, niechętnie ustępując z drogi wozom. Synowie Światłości. Obecnie można ich było spotkać wszędzie. Siuan cofnęła się pod niebiesko-zieloną ścianę gospody i spuściwszy głowę, obserwowała ostrożnie Białe Płaszczki spod runda swego kapelusza. Spojrzeli na nią przelotnie, przejeżdżając obok — twarde twarze pod lśniącymi stożkowymi hełmami — i pojechali dalej.

Siuan aż zagryzła usta ze złości. To przypuszczalnie fakt, że się kuliła, ściągnął ich uwagę. A gdyby zobaczyli jej twarz...? Nic by się oczywiście nie stało. Białe Płaszczki mogą się pokusić o zabicie samotnej Aes Sedai, ale przecież jej twarz nie była już dłużej twarzą Aes Sedai. Zauważyli tylko, jak się stara przed nimi ukryć. Gdyby Duranda Tharne nie rozdrażniła jej do tego stopnia, nigdy nie popełniłaby tak głupiego błędu. Pamiętała czasy, gdy pod wpływem czegoś tak błahego, jak uwagi pani Tharne nie zmyliłaby nawet kroku, czasy, kiedy ta przerośnięta zeschła ryba nie ośmieliłaby się odezwać do niej ani słowem.

„Gdyby tej jędzy nie spodobały się moje maniery, to bym jej dopiero...”

I ostatecznie mogła się tylko udać w swoją stronę wystarczająco szybko, żeby pani Tharne nie stłukła jej tak, by przez tydzień nie mogła usiąść w siodle. Czasami trudno było pamiętać, że czasy, gdy królowie i królowe przybywali na każde jej wezwanie, minęły bezpowrotnie.

Kroczyła po ulicy ze wzrokiem pałającym taką wściekłością, iż niektórzy z woźniców mefli w ustach komentarze, które mieli zamiar wygłosić pod adresem samotnej ślicznej dziewczyny. Niektórzy.

* * *

Min siedziała na ławie pod ścianą w zatłoczonej wspólnej izbie gospody „Dziewięciokonny Zaprzęg”, obserwując stół otoczony przez stojących mężczyzn, niektórzy mieli przy sobie długie baty, inni przypasane miecze, co pozwalało się w nich domyślać strażników kupieckich karawan. Kolejnych sześciu siedziało ramie przy ramieniu za stołem. Ledwie potrafiła dojrzeć Leane i Logaina

przy przeciwległym jego krańcu. Nie mogła opanować grymasu niezadowolenia, widząc, jak tamten zdawał się spijać każde z przetykanych uśmiechem słów, które spływały z jej ust.

Powietrze ciężkie było od tytoniowego dymu, ludzie przekrzykiwali się nawzajem, prawie całkowicie zagłuszając muzykę fletu i tamburyna oraz śpiew kobiety tańczącej na stole między kamiennymi kominkami. Jej piosenka opowiadała o dziewczynie, która potrafiła przekonać sześciu mężczyzn, że każdy z nich jest wymarzoną kochanką, Min ubawiła się setnie, mimo że momentami nie mogła opanować rumieńca. Śpiewaczka od czasu do czasu rzucała zazdrosne spojrzenia w stronę stołu, przy którym tłoczyli się tamci. A raczej w stronę Leane.

Wysoka kobieta Domani zdążyła całkowicie zdominować Logaina, jeszcze zanim weszli do gospody, a jej kołyszący się płynny krok i światło w oczach natychmiast przyciągnęły do niej innych mężczyzn tak, jak miód przyciąga pszczoły. Omal nie wybuchła bójka, Logain i strażnicy stali naprzeciw siebie z dłońmi na rękojeściach mieczy, wyciągano już noże, krępy właściciel i dwaj potężnie umięśnieni ludzie biegli już ze swymi pałkami. A Leane zdużyła płomień równie łatwo, jak go roznieciła, uśmiechając się do jednego, tu rzucając kilka słów, tamtego poklepując po policzku. Nawet karczmarz zmarudził przez jakiś czas przy ich stole, uśmiechając się głupawo, dopóki nie odciągnęły go obowiązki względem innych klientów. A Leane twierdziła, że potrzebuje więcej praktyki. To było doprawdy nie w porządku.

„Gdybym potrafiła zrobić coś takiego temu jednemu mężczyźnie, byłabym bardziej niż zadowolona. Być może ona mnie nauczy... Światłości, o czym ja myślę?” — Zawsze pozostawała sobą, a inni mogli ją akceptować taką, jaką była alba wcale. A teraz myślała, aby się zmienić, i to dla mężczyzny. Było już wystarczająco źle, że musiała się przebierać w suknie, zamiast jak kiedyś nosić kaftan i spodnie. — „Popatrz na siebie w głęboko wyciętej sukni. Masz przecież więcej do pokazania niż Leane, a ona... Skończ z tym!”

— Musimy ruszać na południe — usłyszała głos Suan za sobą i wzdrygnęła się. Nie zorientowała się, kiedy tamta nadeszła. — Zaraz.

Wywnioskowała z błysku w tych błękitnych oczach, że Suan musiała się czegoś dowiedzieć. Czy podzieli się z nimi informacjami, to już, była zupełnie inna sprawa. Przeważnie zdawała się sądzić, że wciąż jest Amyrlin.

— Nie zdążymy przed zmrokiem dotrzeć do żadnej innej gospody — protestowała Min. — Równie dobrze możemy tutaj zostać na noc.

Przyjemnie byłoby znowu spać w łóżku zamiast gdzieś pod płotem, albo w stogu siana, nawet jeśli musiałyby, tak jak zawsze, dzielić łóżko z Leane i Suan. Logain chciał wynajmować im oddzielne pokoje, lecz Suan była skąpa, mimo że to on płacił.

Suan rozejrzała się dookoła, ale wśród zgromadzonych we wspólnej izbie każdy, kto nie patrzył na Leane, słuchał śpiewaczki.

— To nie jest możliwe. Wydaje mi się... że Białe Płaszczce mogą o mnie rozpytywać.

Min zagwizdała cicho przez zęby.

— Dalynawi się to nie spodoba.

— A więc nic mu nie mów. — Suan potrząsnęła głową, widząc zgromadzenie wokół Leane. — Tylko powiedz Amaenie, że musimy już jechać. On pójdzie za nią. Należy mieć nadzieję, że pozostali nie postąpią podobnie.

Min uśmiechnęła się krzywo. Suan mogła twierdzić, że nie dba o to, iż Logain — Dalyn — objął prowadzenie, ignorując wszystkie jej próby zmuszenia go, by cokolwiek zrobił, ale wciąż się starała przywołać go do porządku.

— A tak w ogóle, co to jest dziewięciokonny zaprzęg? — zapytała, wstając. Wcześniej wyszła nawet na zewnątrz w nadziei, że godło dostarczy jej jakiejś wskazówki, ale nad drzwiami gospody była tylko nazwa. — Widziałam ośmio lub dziesięciokonne, ale nigdy dziewięciokonne.

— W tym mieście — odparła sztywno Suan — lepiej o takie rzeczy nie pytać.

Plamy czerwieni, które znienacka wykwitły na jej policzkach, nasunęły Min podejrzenie, że sama doskonale wie, co to znaczy.

— Idź, powiedz im. Mamy do przebycia długą drogę i ani chwili do stracenia. I nie pozwól, by ktoś cię podsłuchał.

Min parsknęła cicho. Żaden z mężczyzn nawet jej nie zauważy, interesował ich tylko ten leciutki uśmiech, który igrał na twarzy Leane. Bardzo chciała się dowiedzieć, w jaki sposób Suan udało się wpaść w oko Białym Płaszczom. To była ostatnia rzecz, jakiej im było trzeba, a wszak popełnianie błędów nie leżało w stylu Suan. Żałowała, że nie umie skłonić Randa, by patrzył na nią tak, jak ci mężczyźni spoglądali na Leane. Jeżeli mają jechać przez całą noc — a podejrzewała, że na to się zanoszą — być może tamta zechce jej udzielić kilku wskazówek.

STARA FAJKA

Podmuch wiatru podrywającego kurz na ulicy Lugardu porwał aksamitny kapelusze Garetha Bryne i zaniósł go dokładnie pod jeden z turkoczających obok wozów. Żelazna obręcz koła wbiła go natychmiast w twardą glinę ulicy, pozostawiając po sobie płaską jak naleśnik ruinę. Przez chwilę wpatrywał się w resztki swego nakrycia głowy, potem bez słowa poszedł dalej.

„I tak już podniszczył się podczas podróży” — próbował się pocieszyć.

Jego jedwabny kaftan także cały pokryty był kurzem, zanim jeszcze dotarli do Murandy. Szczotkowanie nie zdawało się na wiele, nawet jeśli chciało mu się kłopotać tym zajęciem. Obecnie wyglądał raczej na brunatny niżli szary. Powinien znaleźć sobie coś prostszego, przecież nie udawał się na bal.

Przeciskał się między wozami łomoczącymi po porytej koleinami drodze, nie zwracając uwagi na ścigające go przekleństwa woźniców — każdy przyzwoity kawalerzysta umiał kłać siarczyściej, nawet przez sen — aż wreszcie doszedł do krytej czerwonym dachem gospody pod nazwą „Pozycja Woźnicy”. Malunek na ścianie określał interpretację nazwy.

Wspólna izba przypominała wszystkie inne wspólne izby, jakie dotąd widział w Lugardzie, woźnice i strażnicy karawan przemieszani ze stajennymi, kowalami, robotnikami najemnymi, ludzie wszelkiego pochodzenia i profesji, wszyscy gadali i śmiali się najgłośniej, jak potrafili, pili przy tym, ile się tylko dało, jedną ręką trzymając pucharek, drugą zaczepiając służebne dziewczyny. To wnętrze nie różniło się zresztą od wspólnych izb gospód i tawern w innych miastach, chociaż zazwyczaj panował w nich większy spokój. Hoża młoda kobieta, w bluzce tak luźnej, że wydawała się niemal zsuwać jej z ramion, płaśała i śpiewała na stole pod jedną ze ścian pomieszczenia, do rytmu niesłychanych w gwarze dwóch fletów i dwunastostrunowej bitterny.

Nie miał szczególnego ucha do muzyki, ale zatrzymał się na moment, by wsłuchać się w słowa piosenki, spodobałaby się w wielu obozach żołnierskich, jakie widział w swym życiu. Ale przecież dziewczyna cieszyłaby się wzięciem nawet, gdyby nie potrafiła zaśpiewać choćby jednej nutki. Taka bluzka jej wystarczy, by szybko znalazła sobie męża.

Joni i Barim byli już w środku, potężna sylwetka Joniego budziła taki respekt,

że pomimo przeredzonych włosów i bandaża owiniętego wokół skroni, mieli dla siebie oddzielny stół. Obaj słuchali śpiewu dziewczyny. A może tylko na nią patrzyli. Klepnął lekko każdego w ramię i ruchem głowy wskazał boczne drzwi, prowadzące na podwórze stajni, dokąd ponury, zezowaty stajenny zabrał ich konie za srebrnego pensa od sztuki. Rok czy dwa lata wcześniej Bryne mógłby za taką sumę kupić dobrego konia. Kłopoty na zachodzie i w Cairhien sprawiły, że handel i ceny oszalały.

Żaden nie odezwał się słowem, dopóki nie wydostali się z miasta i nie znaleźli na rzadko używanym trakcie, wiodącym zakosami ku rzece Storn.

— Byli tu wczoraj, mój panie — przemówił wówczas Barim.

Tyle Bryne zdążył się już sam dowiedzieć. Trzy śliczne młode kobiety, najwyraźniej obce, nie są w stanie przejechać przez takie miasto jak Lugard nie zauważone. Przynajmniej przez mężczyzn.

— One i barczysty mężczyzna — ciągnął dalej Barim. — Wychodzi na to, że to ten Dalyn co był z nimi, jak spaliły szopę Nema. Ktokolwiek to był, na krótki czas zatrzymali się w „Dziewięciokonnym Zaprzęgu”, ale wypili tam tylko coś i zaraz ruszyli dalej. Ta dziewczyna Domani, o której tyle opowiadali chłopcy, omal nie doprowadziła do bójki tym swoim kołyszającym chodem i szafowaniem uśmiechami, a potem tym samym sposobem wszystko uspokoiła. Niech szeszę, ale chciałbym kiedyś spotkać prawdziwą kobietę Domani.

— Czy wiesz, którądy odjechali, Barim? — cierpliwie zapytał Bryne. Jemu nie udało się tego dowiedzieć.

— Och, nie, mój panie. Ale słyszałem, że przejeżdżało tędy mnóstwo Białych Płaszczy, wszyscy kierowali się na zachód. Myślisz, że może stary Pedron Niall coś planuje? Może w Altarze?

— To nie jest już nasz interes, Barim. — Bryne czuł, że jego cierpliwość zaczyna się powoli wyczerpywać, ale Barim był przecież wytrawnym weteranem i sam powinien wiedzieć, czego należy się trzymać.

— Ja wiem, dokąd oni pojechali, mój panie — oznajmił Joni. — Na zachód, drogą Jehannah i pędzili szybko, z tego co słyszałem.

W jego głosie pobrzmiwało zatroskanie.

— Mój panie, spotkałem dwóch strażników z karawany jakiegoś kupca, chłopaków, którzy kiedyś byli w Gwardii i postawiłem im wino. Tak się zdarzyło, że byli właśnie w knajpie zwanej „Niezła Nocna Przejażdżka”, kiedy tam przyszła ta dziewczyna, Mara, i starała się o pracę śpiewaczki. Nie dostała jej... nie chciała pokazywać nóg, jak to robią te, co śpiewają w większości takich miejsc, ale czy można jej się dziwić?... i zaraz wyszła. Wiem od Barima, że wkrótce po tym odjechali na zachód. Nie podoba mi się to, mój panie. Ona nie jest z tych dziewczyn, które szukają pracy w takich miejscach. Myślę, że stara się jakoś uciec od tego człowieka, tego Dalyna.

Dziwne, ale mimo guza na głowie, Joni nie czuł w ogóle żalu do trzech mło-

dych kobiet. Wedle jego zapatrywań, którymi bezustannie dzielił się ze wszystkimi od czasu opuszczenia dworu, te dziewczyny borykały się z jakimiś kłopotami, przed którymi należało je uchronić. Bryne podejrzewał, że jeśli złapią dziewczyny i zawiozą z powrotem do dworu, Joni będzie chciał wziąć je do siebie jako własne córki.

Barim jednakże nie podzielał jego odczuć.

— Ghealdan. — Nachmurzył czoło. — Albo być może Altara, czy Amadicia. Prędzej chyba pocałujemy Czarnego, niż uda nam się je sprowadzić z powrotem.

Bryne nic nie odpowiedział. Jechali za nimi już tak długo, a Murandy nie było najlepszym miejscem dla Andoran, zbyt wiele niesnasek granicznych, trwających już latami. Tylko głupiec gnałby do Murandy za pięknymi oczami wiarołomnej kobiety. O ileż większym głupcem byłby ten, który by ją ścigał przez pół świata?

— Te chłopaki, z którymi rozmawiałem. . . — z niedowierzaniem zaczął Joni. — Mój panie, wygląda na to, że wielu tych żołnierzy, którzy. . . którzy kiedyś służyli pod tobą, zostało odprawionych. — Ośmielony milczeniem Bryne'a ciągnął dalej: — A przyjęto wielu nowych ludzi. Bardzo wielu. Ci chłopcy mówili, że przynajmniej czterem na pięciu powiedziano, iż nie są już dłużej potrzebni. Zostali tylko tacy, którzy raczej wolą sprawiać kłopoty, niżli kłaść im kres. Są tam też tacy, którzy zwą się Białymi Lwami i odpowiadają tylko przed samym Gaebrilem. . . — splunął, by podkreślić, co myśli na ten temat — i nie uważają się już za część Gwardii. I nie należą też do żadnego z Domów. Właściwie z tego, co mówili, wynika, że Gaebriel ma pod bronią dziesięciokrotnie więcej ludzi, niż liczy Gwardia, a wszyscy oni zaprzysięgli wierność tronowi Andoru, ale nie królowej.

— To nie jest już nasza sprawa — lakonicznie uciął Bryne.

Barim wypchał językiem policzek, co czynił zawsze, gdy wiedział coś, czego nie chciał powiedzieć lub był niepewny, czy jest to wystarczająco ważne.

— O co chodzi, Barim? Powiedzże wreszcie, człowieku.

Mężczyzna o pomarszczonej twarzy spojrzał nań ze zdumieniem. Barim nigdy nie rozszyfrował, skąd Bryne zawsze wie, co mu chodzi po głowie.

— Cóż, mój panie, część tych, z którymi rozmawiałem, mówiła, że wczoraj Białe Płaszczki wypytywali ludzi o dziewczynę, z opisu podobną do tej Mary. Chcieli wiedzieć, kim jest i dokąd się udaje. Coś w tym stylu. Słyszałem, że naprawdę zainteresowali się nią, kiedy usłyszeli, że wyjechała. Jeżeli ją ścigają, to może się okazać, iż zostanie powieszona, zanim ją znajdziemy. Złapią ją i być może wcale nie będą zadawali pytań, aby się przekonać, czy naprawdę jest Sprzymierzeńcem Ciemności. Czy też kimś innym, w zależności od powodu, dla którego ją ścigają.

Bryne zmarszczył brwi. Białe Płaszczki? Czegóż mogli od Mary chcieć Synowie Światłości? Nigdy nie uwierzy, że jest Sprzymierzeńcem Ciemności. Ale przecież sam widział młodego człowieka o dziecinnej twarzy powieszzonego w Camlyn, Sprzymierzeńca Ciemności, który głośił na ulicach dzieciom chwałę Czar-

nego — Wielkiego Władcy Ciemności, jak o nim mówił. W ciągu trzech lat chłopak zabił dziewięcioro, przynajmniej o tylu się dowiedzieli, tych, którzy potencjalnie mogli go wydać.

„Nie. Ta dziewczyna nie jest Sprzymierzeńcem Ciemności, mogę się założyć o własne życie”.

Białe Płaszczę podejrzewali wszystkich. Ale jeśli sobie wbiją do głowy, że uciekła z Lugardu, aby uniknąć spotkania z nimi. . .

Pognał Wędrowca krótkim cwałem. Gniady wałach o szerokim pysku nie był szczególnie szybki, ale cechował się wytrzymałością i odwagą. Pozostali dwaj dogonili go prędko, lecz nie powiedzieli już ani słowa, doskonale zdając sobie sprawę z nastroju dowódcy.

Jakieś dwie mile za Lugardem skręcili, wjeżdżając w zagajnik dębów i skórzanymi liści. Reszta jego ludzi rozbiła tutaj tymczasowy obóz, na niewielkiej polanie pod grubymi, rozłożystymi gałęziami dębu płonęło kilka niedużych, nie dających dymu ognisk — gotowi byli skorzystać z każdej sposobności, by się napić herbaty. Niektórzy cicho pochrapywali, sen to kolejna rzecz, dla której doświadczony żołnierz wykorzystywał każdą okazję.

Ci, którzy nie spali, natychmiast obudzili pozostałych, wszyscy spojrzeli na niego. Przez chwilę siedział nieruchomo w siodle, uważnie im się przyglądając. Siwe włosy, łysiejące głowy, twarze poznaczone zmarszczkami przeżytych lat. Wciąż twardzi i sprawni, ale mimo to. . . Byłby głupcem, gdyby ryzykował zabranie ich do Murandy tylko po to, żeby się dowiedzieć, dlaczego jakaś kobieta złamała przysięgę. A na dodatek mogli ją ścigać Białe Płaszczę. Nie potrafił im powiedzieć, jak daleko odjadą od rodzinnych domów, zanim wszystko nareszcie się skończy. Gdyby zawrócili teraz, mieliby przed sobą dwa tygodnie podróży do Źródeł Kore. Natomiast dalszy pościg mógł nie skończyć się wcześniej niżli na wybrzeżach Oceanu Aryth. Powinien zabrać tych ludzi do domu, powinien sam wrócić do domu. Powinien. Nie miał prawa wymagać od nich, żeby wyrwali te dziewczęta z rąk Białych Płaszczę. Powinien zostawić Marę na łasce Synów Światłości.

— Ruszamy na zachód — oznajmił, a oni natychmiast zabrali się za gaszenie ognisk, na których gotowali wodę na herbatę, i przytracanie imbryków do siodeł. — Będziemy musieli jechać szybko. Mam zamiar złapać je w Altarze, ale jeśli się nie uda, trudno powiedzieć dokąd nas zawiedzie pościg. Być może dotrzemy do Jehannah, do Amadoru albo Ebou Dar, zanim z tym skończymy.

Zaśmiał się z pewnym przymusem.

— Jeżeli dotrzemy do Ebou Dar, okaże się, jacy jesteście twardzi. Są tam tawerny, gdzie barmanki obdzierają mieszkańców Illian ze skóry za cenę obiadu i plują dla zabawy na Białe Płaszczę.

Zaśmiali się odrobinę za głośno, biorąc pod uwagę, ile warty był ten żart.

— Nic nam nie grozi, dopóki będziesz z nami, mój panie — zarechotał Thad,

upychając swój blaszany kubek w jukach. Jego twarz była pomarszczona niczym spękana skóra. — Cóż, słyszałem, że kiedyś miałeś sprzeczkę z samą Amyrlin i...

Jar Silvin kopnął go w kostkę, a on pogroził młodszemu mężczyźnie — obaj mieli siwe włosy, jednakże tamten wciąż był sporo młodszy — ręką zaciśniętą w kułak.

— Dlaczego to zrobiłeś, Silvin? Jeżeli chcesz zarobić guza, to tylko... Co? — Wreszcie dotarło doń znaczenie spojrzeń, jakimi obrzucili go Silvin i pozostali. — Ach. Ach, tak.

Przez czas jakiś zdawał się zupełnie pochłonięty sprawdzaniem popręgów swego siodła, ale nikt się już więcej nie śmiał. Bryne zmusił się, by rozluźnić odrobinę stężale rysy. Najwyższy czas zapomnieć o przeszłości. Tylko dlatego, że kobieta, z którą dzielił łożę — i coś znacznie ważniejszego, jak mu się wówczas zdawało — tylko dlatego, że ta kobieta w pewnej chwili spojrzała na niego, jakby go widziała po raz pierwszy w życiu, to jeszcze nie powód, aby zakazywać wymieniania jej imienia. Choć wypędziła go z Caemlyn, pod groźbą śmierci, za to, że udzielił jej rady, której przysiągł udzielać... Jeśli nawet przepadła dla tego lorda Gaebрила, który niespodziewanie pojawił się w Caemlyn, nie powinno to już stanowić przedmiotu jego zmartwień. Oznajmiła mu wtedy głosem równie bezbarwnym i zimnym jak gładki lód, że jego imię nigdy nie zostanie już wypowiedziane w pałacu, że tylko jego długa i wierna służba powstrzyma ją przed natychmiastowym oddaniem go w ręce kata za zdradę. Zdradę! Opanował się z wysiłkiem. Należało trzymać uczucia na wodzy, zwłaszcza że zapowiadał się długi pościg.

Wsparł kolano o wysoki łęk siodła, wyciągnął kapciuch, fajkę i nabił tytoniem. Główka fajki wyrzeźbiona była w kształcie łba dzikiego byka, którego szyję otaczała obroza z Korony Róż Andoru. Od tysiąca lat było to godło Domu Bryne — siła i odwaga w służbie królowej. Potrzebował nowej fajki, ta już się zestarzała.

— Wcale nie poradziłem sobie wówczas tak dobrze, jak niektórzy z was zapewne słyszeli. — Skinął na jednego z mężczyzn, aby podał mu wciąż żarzącą się gałązkę z któregoś z zaduszonych ognisk, by zapalić fajkę. — To było jakieś trzy lata temu. Amyrlin odwiedzała kolejne stolice krajów. Cairhien, Łzę, Illian, wreszcie Caemlyn, przed samym powrotem do Tar Valon. W owym czasie nękały nas problemy z lordami pogranicza z Murandy... jak zwykle zresztą.

Zaśmiali się cicho, każdy z nich przez czas jakiś służył na granicy z Murandy.

— Wysłałem część Gwardii, aby uświadomiła Murandianom, czyje właściwie są owce i bydło po naszej stronie granicy. Nawet przez chwilę nie przypuszczałem, że Amyrlin zechce się wtrącić.

Bez wątpienia udało mu się skupić ich uwagi, przygotowania do drogi wciąż trwały, ale przebiegały teraz nieco wolniej.

— Siuan Sanche i Elaida zamknęły się wraz z Morgase... — Ponownie wy-

powiedział jej imię i nawet go to nie zabolalo. — ... a kiedy wyszly z komnaty, Morgase wygladala po czesci niczym chmura burzowa... jej oczy ciskały błyskawice... po czesci zaś jak dziesięciolatka, którą matka przyłapała na kradzieży miodowych ciastek. Jest twardą kobietą, ale mając przeciwko sobie Elaidę oraz Zasiadającą na Tronie Amyrlin... .

Potrząsnął głową, a oni zachichotali, towarzyskie spotkania z Aes Sedai były czymś, czego żaden z nich nie zazdrościł lordom i władcom.

— Rozkazała mi natychmiast wycofać wszystkich żołnierzy z granicy murandiańskiej. Poprosiłem, by pozwolono mi omówić z królową tę decyzję na osobności, a wtedy Siuan Sanche natarła na mnie. W obecności połowy dworu obsztorcowała mnie niczym surowego rekruta. Powiedziała, że jeśli nie potrafię postąpić, jak mi kazano, to zrobi ze mnie przynętę na ryby... .

Musiał prosić ją o wybaczenie, zanim skończyła, i wszyscy się temu przypatrywali — a przecież próbował tylko postępować zgodnie ze złożoną wcześniej przysięgą — ale nie było potrzeby teraz o tym mówić. Nawet kiedy już przeprosił, nie miał pewności, czy Amyrlin nie skłoni Morgase, aby jednak kazała uciąć mu głowę albo czy sama tego na miejscu nie zrobi.

— Musiała mieć ochotę na złowienie naprawdę grubej ryby — zaśmiał się ktoś, a pozostali zawtórowali.

— Skończyło się na tym — ciągnął dalej Bryne — że ja dostałem w skórę, a żołnierze zostali odwołani z granicy. Tak więc, jeśli spodziewacie się po mnie, że ochronię was w Ebou Dar, musicie pamiętać, że moim zdaniem te barmanki byłyby zdolne powiesić Amyrlin na słońcu, żeby wyschła w naszym towarzystwie.

Zanieśli się głośnym śmiechem.

— Czy kiedykolwiek dowiedziałaś się, o co chodziło, mój panie? — chciał wiedzieć Joni.

Bryne potrząsnął głową.

— Jakież manipulacje Aes Sedai, jak przypuszczam. One nie mówią takim jak wy czy ja, o co im chodzi. — Teraz też kilku zachichotało.

Dosiedli koni z gotowością, która przeczyła wiekowi.

„Niektórzy nie są wcale starsi ode mnie” — pomyślał gniewnie. Zbyt stary jednak, by gonić za parą ślicznych oczu, należących do kobiety, która by mogła być jego córką, jeśli nie wnuczką. — „Chcę się tylko dowiedzieć, dlaczego zła mała przysięgę — próbował sobie wmówić. — Tylko tyle”.

Uniesioną dłonią dał sygnał do wymarszu, skierowali się na zachód, zostawiając za sobą ogon kurzu. Żeby je dogonić trzeba będzie narzucić forsowne tempo. Ale już się zdecydował. W Ebou Dar czy w Szczelinie Zagłady — znajdzie je.

MAŁY POKÓJ W SIENDZIE

Elayne z całych sił opierała się kołysaniu skórzanych resorów powozu, starając się jednocześnie nie zwracać uwagi na kwaśną minę siedzącej naprzeciwko Nynaeve. Zasłony powozu były odsunięte, pomimo że czasami wiatr wnosił do wnętrza tuman kurzu, bryza nieznacznie łagodziła skwar późnego popołudnia. Za oknami przemykały pofałdowane, porośnięte lasem wzgórza, od czasu do czasu pojawiały się wśród nich niewielkie pola. Kilka mil od drogi dostrzegła na szczycie jednego ze wzgórz dwór jakiegoś lorda, zbudowany w obowiązującym w Amadicii stylu — wielka kamienna budowla, wysoka na pięćdziesiąt stóp, ze zdobnymi balkonami i wyszukaną drewnianą konstrukcją wieńczącą szczyt krytego czerwonymi płytkami dachu. Kiedyś wszystko byłoby zbudowane z kamienia, jednak minęło już dużo czasu, odkąd lordowie potrzebowali fortec w Amadicii, a obowiązujące prawo królewskie nakazywało wznosić drewniane budowle. W ten sposób żaden zbuntowany lord nie mógłby się długo opierać siłom królewskim. Rzecz jasna Synów Światłości prawo to nie dotyczyło, podobnie jak wiele innych egzekwowanych w Amadicii. Od czasów dzieciństwa musiała się dowiedzieć co nieco na temat obcych praw i obyczajów.

Na odległych wzgórzach dostrzegła rozsiane pola uprawne, niczym brązowe łaty na zielonej odzieży, pracujący na nich ludzie wyglądali jak mrówki. Wszystko sprawiało wrażenie wysuszonego na proch, wystarczyłaby jedna błyskawica, a ogień rozniósłby się na wiele lig. Ale błyskawica oznaczała deszcz, te nieliczne zaś chmury, które pełzły po niebie, znajdowały się nazbyt wysoko i były zbyt rozrzedzone, aby zapowiadać opady. Leniwie zastanawiała się, czy dałaby radę wywołać deszcz. Nauczyła się już sporo o kontroli pogody. Jednakowoż gdyby nawet, byłoby to zapewne bardzo trudne, ponieważ trzeba by zaczynać właściwie od zera.

— Czy moja pani jest znudzona? — zapytała złośliwie Nynaeve. — Po sposobie, w jaki moja pani wpatruje się w otaczającą okolicę. . . z noskiem tak zadartym do góry. . . sądzę, że zapewne zechciałaby podróżować szybciej.

Sięgnęła ręką za głowę, odsunęła niewielką klapkę i wykrzyknęła:

— Szybciej, Thom. Nie sprzeczasz się ze mną! Ty również pohamuj swój język, Juilinie, łowco złodziei! Szybciej, powiedziałam!

Drewniana zapadka zamknęła się, jednak Elayne udało się dosłyszeć gniewne mamrotania Thoma. Najprawdopodobniej przeklinał, Nynaeve warczała na obu mężczyzn od samego rana. Chwilę później usłyszała świst bata, powóz zaś wystrzelił do przodu jeszcze szybciej, trzęsąc tak mocno, że obie kobiety aż podskoczyły na siedzeniach krytych złotym jedwabiem. Materiał był już całkowicie zakurzony, kiedy Thom przyprowadził świeżo kupiony powóz, wyściółka siedzeń również dawno temu stwardniała. A jednak, mimo że podskakiwała niczym piłka, wyraz twarzy Nynaeve dowodził jednoznacznie, że nie poprosi Thoma o to, by zwolnił, zaraz po tym, jak kazała mu przyspieszyć.

— Proszę, Nynaeve — zaczęła Elayne. — Ja. . .

Tamta przerwała jej w pół słowa.

— Czy mojej pani jest niewygodnie? Wiem, że damy są przyzwyczajone do wygód, o których nie może nic wiedzieć zwykła pokojówka, z pewnością jednak moja pani chce dotrzeć do następnego miasta przed zapadnięciem ciemności? Tym sposobem służąca mojej pani będzie jej mogła przygotować kolację, a potem podać ją do łóżka.

Jej zęby aż zazgrzytały, kiedy gwałtownie zderzyła się z podskakującym siedzeniem, potem spojrzała groźnie na Elayne, jakby to była jej wina.

Elayne westchnęła ciężko. W Mardecin, kiedy wyruszały, Nynaeve zdawała się wszystko rozumieć. Dama nigdy nie podróżowała bez pokojówki, a dwie damy oznaczałyby dwie służące. O ile nie miały zamiaru przebierać Thoma i Julina w suknie, jedna z nich musiała wziąć na siebie tę rolę. Nynaeve powinna przecież zrozumieć, że Elayne więcej wie na temat zachowania dam, przedstawiła całą sprawę bardzo delikatnie, a Nynaeve zazwyczaj potrafiła przychylić się do sensownych propozycji. Zazwyczaj. Ale to było dawno temu, w sklepie pani Macura, po tym jak napoiły obie kobiety ich własnym potwornym wywarem.

Po opuszczeniu Mardecin, jechały nieprzerwanie aż do północy, kiedy wreszcie dotarły do małej wioski, w której była gospoda, musiały czekać, aż właściciel wstanie z łóżka, potem wynajęły dwa ciasne pokoje z dwoma wąskimi łóżkami, wczoraj obudziły się wraz z pierwszym brzaskiem i jechały dalej, omijając Amador w odległości kilku mil. Żadnej z nich nie można było wziąć za kogoś innego, niżli się podawały, przynajmniej na pierwszy rzut oka, jednak nie czułyby się specjalnie bezpiecznie, przejeżdżając przez miasto pełne Białych Płaszczy. W Amadorze znajdowała się Forteca Światłości. Elayne nieraz spotykała się ze stwierdzeniem, że w Amadorze na tronie zasiada król, ale rządzi Pedron Niall.

Kłopoty zaczęły się zeszłej nocy, w miejscu o nazwie Bellon, położonym nad brzegiem błotnistego strumienia, szumnie określanego jako rzeka Gaeon, jakieś dwadzieścia mil za stolicą. Gospoda „Bród na Bellon” była większa od tej, w której spały poprzedniej nocy. pani Alfara zaś, właścicielka, zaproponowała lady Morelin prywatną jadalnię, a Elayne nie umiała jej odmówić. Pani Alfara pewna była, że jedynie służąca lady Morelin potrafi właściwie zadbać o swoją panią,

damy wymagają, aby wszystko robiono dokładnie wedle ich wymagań, oznajmiła karczmarka, i oczywiście mają do tego prawo, natomiast jej dziewczęta nie są przyzwyczajone do usługiwania damom. Nana będzie najlepiej wiedziała, w jaki sposób lady Morelin chce mieć pościelone łóżko i z pewnością przygotuje jej odpowiednią kąpiel po całym dniu podróży w tym upale. Lista rzeczy, jakie Nana zrobi zgodnie z życzeniem swej pani, nie miała końca.

Elayne sama nie była pewna, czy rzeczywiście szlachta Amadcii ma takie wymagania, czy też po prostu pani Alfara zrzucała pracę na obcą służącą. Próbowwała jakoś oszczędzić Nynaeve, ale ta kobieta nie dawała się zbić z tropu, wciąż powtarzając „jak sobie życzysz, moja pani” albo „moja pani z pewnością ma szczególne przyzwyczajenia”. Wyszłaby na głupią lub co najmniej dziwną, gdyby zbyt mocno naciskała w tej sprawie. Starły się przecież unikać niepotrzebnego zainteresowania.

Dopóki były w Bellon, Nynaeve na oczach wszystkich odgrywała rolę doskonałej służącej. Kiedy jednak znajdowały się sam na sam, wszystko wyglądało zupełnie inaczej. Elayne żałowała, że tamta zwyczajnie nie zacznie się zachowywać po dawnemu, zamiast ironicznie podkreślać swoją rolę pokojówki damy z Ziemi Granicznych. Przeprosiny zbywane były słowami: „moja pani jest zbyt uprzejma dla mnie” albo po prostu pomijane milczeniem.

„Więcej jej nie przepraszę” — pomyślała setny chyba raz. — „Nie za coś, co nie jest moją winą”.

— Zastanawiałam się właśnie, Nynaeve... — Ściskając uchwyt w dłoni, czuła się niczym piłka w dziecięcej grze, zwanej w Andorze „podbijaniem”, która polegała na jak najdłuższym podbijaniu kolorowej drewnianej piłki krótkim wiosłem. Nie poprosi jednak, by tamci choć odrobinę zwolnili. Wytrzyma to równie długo jak Nynaeve. Co za uparta kobieta! — Chciałabym pojechać do Tar Valon i dowiedzieć się, co tam zaszło, ale...

— Moja pani raczyła się zastanawiać? Z wysiłku moją panią zapewne rozboleła głowa. Zrobię mojej pani znakomitej herbaty z korzenia owczego języka i czerwonej stokrotki, kiedy tylko...

— Bądź cicho, Nana — powiedziała Elayne spokojnie, lecz twardo, naśladowując matkę. Nynaeve aż szczęka opadła. — Czy zamiast szarpać swój warkocz, kiedy na mnie patrzysz, nie wolałabyś przypadkiem jechać na dachu w towarzystwie bagaży?

Nynaeve wydała z siebie jakiś niewyraźny, bulgoczący odgłos, tak usilnie starając się odpowiedzieć, że w końcu nie udało jej się wykrztusić ani słowa. Całkiem nieźle.

— Czasami zdajesz się myśleć, że wciąż jestem dzieckiem, ale to ty zachowujesz się niczym mała dziewczynka. Nie prosiłam cię, byś mi umyła plecy, ale przecież nie będę się z tobą biła, aby cię przed tym powstrzymać. Pamiętaj, że zaproponowałam, iż w zamian wyszoruję twoje. I chciałam spać na rozkładanym łóżku. Ale ty wlałeś do niego i nie chciałeś wyjść. Przestań się dąsać. Jeśli

chcesz, to ja będę służącą w następnej gospodzie.

To zapewne oznaczałoby katastrofę. Nynaeve bez wątpienia krzyczałyby przy wszystkich na Thoma albo chciałyby wytargać kogoś za uszy. Ale Elayne tak bardzo marzyła o odrobinie spokoju.

— Możemy się w każdej chwili zatrzymać i zamienić w lesie suknie.

— Wybrałyśmy taką suknię, żeby pasowała na ciebie — burknęła Nynaeve po krótkiej chwili. Odciągnawszy ponownie zapadkę, krzyknęła: — Zwolnijcie! Chcecie nas zabić? Głupi mężczyźni!

Odpowiedziała jej martwa cisza, ale powóz po chwili zwolnił i jechał teraz ze znacznie rozsądniejszą prędkością, jednak Elayne gotowa się była założyć, że obaj mężczyźni mieli sobie dużo do powiedzenia. Poprawiła włosy, najlepiej jak potrafiła bez zwierciadła. Wciąż nie mogła się przyzwyczaić do widoku czarnych loków, kiedy zdarzało się jej przypadkiem spojrzeć w jakieś lustro. Zielona jedwabna suknia będzie też potrzebowała szczotkowania.

— O czym więc myślałaś, Elayne? — zapytała Nynaeve. Jej policzki zabarwiły szkarłatne rumieńce. Ostatecznie wiedziała, że Elayne ma rację, ale rezygnacja z pretensji stanowiła całe przeprosiny, na jakie ją było stać.

— Pędzimy do Tar Valon, ale czy mamy najmniejsze choćby pojęcie, co nas czeka w Wieży? Jeżeli to naprawdę Amyrlin wydała te rozkazy... Nie mogę w to do końca uwierzyć i nie rozumiem o co tu chodzi, ale nie zamierzam wrócić do Wieży, dopóki się wszystko nie wyjaśni. „Tylko głupiec wsadza dłoń do dziupli w drzewie, nie przekonawszy się wpierrw, co może być w środku”.

— Mądra kobieta z tej Lini — powiedziała Nynaeve. — Może dowiemy się czegoś więcej, jeśli znowu zobaczą wiązkę żółtych kwiatów powieszoną kwieciami w dół, ale do tego czasu powinnyśmy przyjąć, że Czarne Ajah opanowały Wieżę.

— Pani Macura na pewno zdążyła już do tej pory posłać kolejnego gołębia do Narenwin. Razem z opisem tego powozu, naszych sukienek, a zapewne wyglądu Thoma i Juilina również.

— Na to już nic nie poradzimy. Nie doszłoby do tego, gdybyśmy nie postanowiły marnować czasu na drogę przez Tarabon. Trzeba było wynająć statek. — Elayne otworzyła szeroko oczy ze zdumienia, słysząc oskarżycielski ton tamtej, jednak Nynaeve była na tyle przyzwoita, iż natychmiast się zarumieniła. — Cóż, co się stało, to się nie odstanie. Moiraine zna Siuan Sanche. Być może Egwene mogłaby ją zapytać, czy...

Nagle powóz gwałtownie zwolnił, a Elayne padła bezwładnie na Nynaeve. Rozpaczliwie starając się wyplatać, słyszała kwiczenie miotających się w uprzęży koni, równocześnie Nynaeve próbowała ją zrzucić z siebie.

Objęła *saidara* i wystawiła głowę za okno — i natychmiast z ulgą wypuściła Jedyne Źródło. Oto spotkały się z czymś, co nieraz widywała w Caemlyn. Na zasłanej cieniami popołudniowego słońca dużej polanie, tuż przy drodze, rozbiła

swój obóz wędrowną menażeria. W jednej z klatek, która zajmowała cały tył wozu, leżał, półśpiąc, ogromny lew z czarną grzywą, we wnętrzu drugiej spacerowały nerwowo jego dwie żony. Trzecia klatka była otwarta, przed nią kobieta tresowała dwa czarne niedźwiedzie o białych pyskach, balansujące na wielkich czerwonych kulach. Następną klatkę mieściła stworzenie, które wyglądało jak wielki włochaty dzik, wyjąwszy to, że miało nazbyt szpiczasty pysk i łapy zakończone pazurami, wiedziała, że pochodzi z Pustkowiec Aiel i nazywa się *capar*. W pozostałych klatkach znajdowały się jeszcze inne zwierzęta oraz jaskrawo upierzone ptaki, ale w przeciwieństwie do wszystkich menażerii, jakie widziała., wraz z tą podróżowali artyści — dwaj mężczyźni żonglowali, rzucając sobie cienkie niczym wstążka obręcze, czwórka akrobatów ćwiczyła piramidę, stając sobie wzajem na ramionach, jedna kobieta karmiła tuzin psów, które spacerowały przed nią na tylnych łapach i wykonywały salta. Jacyś inni ludzie stawiali dwa wysokie słupy, nie miała pojęcia, do czego miały służyć.

Jednak to nie któraś z wyżej wymienionych atrakcji śmiertelnie przeraziła konie, które, mimo wysiłków Thoma, nie przestawały szarpać się w uprzęży i przewracać oczami. Sama potrafiła wyczuć zapach lwów, ale wzrok koni wbity był w trzy wielkie, pomarszczone szare zwierzęta. Dwa były tak wysokie jak powóz, z wielkimi uszami i potężnymi zakrzywionymi kłami wyrastającymi z obu stron długiego nosa, który zwisał ku ziemi. Trzecie zwierzę, znacznie niższe, choć równie potężnie zbudowane jak tamte, nie posiadało kłów. Młode, jak osądziła. Kobieta o jasnych słomianych włosach drapała je za uchem mocnym, zakrzywionym ościeniem. Elayne widziała już przedtem takie stworzenia. Ale nie spodziewała się, że je kiedykolwiek jeszcze zobaczy.

Z obozowiska wyłonił się wysoki, ciemnowłosy mężczyzna, mimo upału odziany w płaszcz z czerwonego jedwabiu, którego poły zawirowały, gdy wykonał głęboki ukłon. Miał zgrabne nogi i w ogóle był bardzo przystojny, z czego doskonale zdawał sobie sprawę.

— Wybacz mi, moja pani, jeśli wielkie konio-dziki przestraszyły twoje zwierzęta. — Wyprostował się i gestem nakazał swoim ludziom, by pomogli w uspokajaniu koni, potem na moment znieruchomiał, spojrzął na nią i wymamrotał: — Nic nie mów, moja śliczna.

Słowa były ciche, nie ulegało wątpliwości, że są przeznaczone wyłącznie dla uszu Elayne.

— Jestem Valan Luca, moja pani, artysta pierwszej klasy. Twoja obecność przepelnia moje serce radością.

Wykonał kolejny ukłon, jeszcze bardziej wyszukany niż poprzedni.

Elayne wymieniła spojrzenia z Nynaeve, dostrzegając na twarzy tamtej ten sam, pełen rozbawienia uśmiech, jaki zapewne musiał się malować na jej obliczu. Ten Valan Luca miał o sobie bardzo wysokie mniemanie. Jego ludzie z łatwością uspokoili konie, wciąż parskały, przestępując z nogi na nogę, ale z ich oczu znik-

nał już dziki wyraz. Thom i Juilin patrzyli na dziwne zwierzęta niemalże w taki sam sposób jak konie.

— Konio-dziki, panie Luca? — zapytała Elayne. — A skąd też one pochodzą?

— Gigantyczne konio-dziki, moja pani — padła skwapliwa odpowiedź — pochodzą z legendarnej Shary, do której, aby je pochwyć, sam prowadziłem liczne ekspedycje poprzez pustkowia pełne najdziwniejszych cywilizacji i osobliwych widoków. Sprawiłoby mi niekłamana przyjemność, gdybym mógł ci o wszystkim opowiedzieć. O gigantycznych ludziach, dwukrotnie wyższych od ogirów. — Podkreślił swe słowa skomplikowanym gestem, mającym zapewne wskazywać rozmiary tamtych. — Stworzenia bez głowy. Ptaki tak wielkie, że mogą porwać dorosłego byka. Węże., co potrafią połknąć człowieka. Miasta zbudowane z litego złota. Opuść ten powóz na chwilę, moja pani, i pozwól, bym ci opowiedział.

Elayne nie miała najmniejszych wątpliwości, że Luca sam siebie umiałby zachwyć przedstawianymi opowieściami, ale oczywiście wątpiła, by te zwierzęta pochodziły z Shary. Po pierwsze z tego względu, iż nawet Lud Morza widział jedynie otoczone murami porty legendarnego miasta, poza które nie wolno im było wychodzić, bo kto naruszył te restrykcje, nigdy więcej nie oglądał swoich bliskich. Aielowie nie wiedzieli więcej. Drugim powodem był fakt, że i ona, i Nynaeve widziały już takie stworzenia w Falme, podczas inwazji Seanchan. Seanchanie używali ich jako zwierząt pociągowych i bojowych.

— Obawiam się, że to niemożliwe, panie Luca — odpowiedziała mu.

— A więc pozwól byśmy zabawili cię przedstawieniem — szybko ciągnął dalej. — Będziesz się mogła przekonać, że nie jest to zwyczajna wędrowna menażeria, ale coś zupełnie nowego. Prywatne przedstawienie, tylko dla ciebie. Akrobaci, żonglerzy, tresowane zwierzęta, najsilniejszy człowiek na świecie. Nawet fajerwerki. Jest z nami Iluminator. Kierujemy się ku Ghealdan i już jutro nasze ślady zasypie wiatr. Ale za drobnym wynagrodzeniem. . .

— Moja pani powiedziała, że jej to nie interesuje — wtrąciła się Nynaeve. — Ma ciekawsze rzeczy, na które może wydawać pieniądze, niżli oglądanie zwierząt.

Po prawdzie to ona sama twardą ręką dzierżyła ich fundusze, skąpo wydzielając tylko na zaspokojenie niezbędnych potrzeb. Zdawała się chyba sądzić, że wszystko powinno kosztować tyle, ile w jej rodzinnych stronach, w Dwu Rzekach.

— Dlaczego chcesz dotrzeć do Ghealdan, panie Luca? — zapytała Elayne. Druga kobieta swoją gwałtownością sprawiła, że sytuacja stała się nieprzyjemna, i znowu ona musiała jakoś wszystko załagodzić. — Słyszałam, że można się tam natknąć na spore kłopoty. Słyszałam też, że armia nie dała rady pokonać człowieka, który nazywa się Prorokiem i głosi imię Smoka Odrodzonego. Z pewnością nie chciałbyś jechać do miejsca szarpanego takimi niepokojami?

— To są znacznie przesadzone wieści, moja pani. Znacznie przesadzone. Gdzie zbiorą się tłumy, ludzie pragną zabawy. A gdzie ludzie pragną zabawy,

zawsze życzliwie powitają moje przedstawienia.

Luca zawahał się, potem podszedł bliżej powozu. Wyraz konfuzji pojawił się na jego twarzy, kiedy spojrzał w oczy Elayne.

— Moja pani, prawda jest taka, że sprawisz mi niekłamaną przyjemność, zgadzając się być widzem mego przedstawienia. Niestety, jeden z konio-dzików sprawił trochę kłopotów w najbliższym miasteczku. To był zwykły przypadek — dodał pośpiesznie — zapewniam cię. To bardzo łagodne stworzenia. W żadnej mierze nie są niebezpieczne. Ale po tym co się stało, mieszkańcy Siendy nie tylko nie chcieli wyrazić zgody na moje przedstawienie, ale nawet przyjść na nie za miastem. . . Cóż, resztę moich funduszy pochłonęła zapłata za spowodowane szkody oraz grzywna. — Zamrugał. — W szczególności grzywna. Jeżeli pozwolisz, abym cię zabawił., za naprawdę symboliczną opłatą. . . uczynię cię patronką mego przedstawienia, gdziekolwiek znajdę się w świecie, tym samym rozpowszechniając sławę twej szczodroblewości, moja pani. . . ?

— Morelin — powiedziała. — Lady Morelin z Domu Samared.

Z nowym kolorem włosów mogła uchodzić za Cairhieniankę. Nie miała czasu na oglądanie jego pokazu, niezależnie od tego, jak bardzo mógłby się jej spodobać w innych okolicznościach, i to mu też powiedziała, dodając:

— Ale mogę cię trochę wspomóc, jeśli zupełnie nie masz pieniędzy. Daj mi coś. Nana, aby dzięki temu miał jakieś szanse dotrzeć do Ghealdan. — Tylko tego jej brakowało, żeby „rozpowszechniał jej sławę”, ale pomoc biednym i znajdującym się w potrzebie stanowiła obowiązek, od którego nie mogła się uchylić, nawet na obcej ziemi.

Mamrocząc coś pod nosem, Nynaeve wyciągnęła woreczek z sakwy przy pasie, pogrzebała w nim, po czym wychyliła się z powozu, żeby wcisnąć datek w dłoń Luki. Popatrzył na nią t zaskoczony, gdy powiedziała:

— Znajdź sobie jakąś przyzwoitą pracę, to nie będziesz musiał żebrać. Jedźmy, Thom!

Thom trzasnął z bata, a nagle szarpnięcie powozu wtoczyło i Elayne w oparciu siedzenia.

— Nie musisz być taka niegrzeczna — powiedziała. — Ani gwałtowna. Ile mu dałaś?

— Srebrny grosz — odrzekła spokojnie Nynaeve. — To i tak więcej, niż mu się należało.

— Nynaeve — jęknęła Elayne. — On pewne pomyśli, żeśmy sobie z niego zażartowały.

Nynaeve parsknęła głośno.

— Z takimi ramionami na pewno nie umrze, jeśli przepracuje choć jeden dzień.

Elayne nic nie odpowiedziała, chociaż nie zgadzała się z przyjaciółką. Nie do końca przynajmniej. Z pewnością odrobina pracy nie wyrządzi tamtemu szcze-

gólnej krzywdy, ale nie sądziła, by tak łatwo można było ją gdzieś dostać.

„Choć i tak nie przypuszczam, by pan Luca zgodził się na jakąkolwiek pracę, przy której nie mógłby nosić swego kapelusza”.

Gdyby jednak podniosła tę kwestię, Nynaeve z pewnością zaczęłaby się kłócić — kiedy delikatnie wskazywała na rzeczy, o których tamta nie miała pojęcia, zawsze dochodziło do tego, że była oskarżana o wywyższanie się czy arogancki sposób bycia — a Valan Luca nie był wart następnej sprzeczki i to wkrótce po tym, jak udało jej się załagodzić poprzednią.

Kiedy dotarły do Siendy, cienie wieczoru wydłużyły się już znacznie, wioska była stosunkowo duża, domy zbudowane z kamienia, z dachami krytymi strzechą, dwie gospody. Pierwsza, „Królewski lansjer” miała ziejącą dziurę w miejscu, gdzie powinny być frontowe drzwi, a tłum przyglądał się rzemieślnikom naprawiającym ścianę. Zapewne konio-dzikowi pana Luki nie spodobał się szyld gospody, oparty teraz o ścianę obok dziury, a przedstawiający szarżującego żołnierza z opuszczoną lancą.

Ku jej zaskoczeniu, na zatłoczonej gliniastej ulicy było jeszcze więcej Białych Płaszcy niżli w Mardecin, a prócz nich jeszcze inni żołnierze, w kolczugach i stożkowatych stalowych hełmach z naszytą na błękitnych płaszczach Gwiazdą i Ostem, godłem Amadicii. W pobliżu musiał znajdować się garnizon. Żołnierze króla i Synowie Światłości najwyraźniej za sobą nie przepadali. Albo przechodzili mimo, patrząc w drugą stronę, jakby wojak noszący inne barwy zupełnie nie istniał, albo mierzyli się wyzywającymi spojrzeniami, gotowi w każdej chwili dobyć mieczy. Niektórzy z ludzi odzianych w biel mieli na płaszczach czerwoną laskę pasterską na tle promienistego słońca. Ręka Światłości, tak się sami określali — Ręka, która poszukuje prawdy — ale wszyscy inni nazywali ich Śledczymi. Nawet pozostali Białe Płaszcze trzymali się od nich z dala.

To wszystko wystarczyło, by Elayne poczuła, jak ją coś ściska w żołądku. Ale do zmierzchu pozostała nie więcej niż godzina, jeśli w ogóle chociaż tyle, należało bowiem wziąć pod uwagę gwałtowne zachody późnego lata. Nawet gdyby jechały znowu przez pół nocy, nic nie gwarantowało, że trafią na następną gospodę, a nadto jazda nocą mogła ściągnąć na nie niepotrzebną uwagę. Poza tym miały przecież powody, by dzisiejszego wieczora zatrzymać się wcześniej.

Wymieniła spojrzenia z Nynaeve, po krótkiej chwili tamta skinęła głową i powiedziała:

— Powinnyśmy się zatrzymać.

Kiedy powóz przystanął przed frontem „Światła Prawdy”, Juilin zeskoczył z kozła, by otworzyć drzwiczki, a Nynaeve zaczęła z pełnym szacunku wyrazem twarzy, aby podać dłoń Elayne. Jednak uśmiechnęła się do niej przelotnie, zapewne na znak, że nie będzie się już dąsać jak poprzednio. Skórzany zwój, który zarzuciła na ramię, wydawał się trochę niestosowny do całości, ale nie za dużo, przynajmniej taką Elayne miała nadzieję. Teraz, gdy Nynaeve zdobyła już trochę

ziół i maści, nie miała zamiaru spuszczać ich z oka nawet na moment.

Pierwsze spojrzenie na szyld gospody — błyszczące złote słońce dokładnie takie, jak to, które Synowie nosili na płaszczach — sprawiło, że pożałowała, iż konio-dzik oszczędził to miejsce na niekorzyść drugiej gospody. Przynajmniej na tle słońca nie czerwieniał pastorał. Połowa mężczyzn wypełniających wspólną izbę odziana była w śnieżnobiałe płaszcze, hełmy położyli na stołach przed sobą. Wciągnęła głęboko powietrze i wzięła się w garść, aby przy pierwszej sposobności nie odwrócić się na pięcie i nie uciec.

Pominąwszy obecność żołnierzy, w gospodzie panowała miła atmosfera. Ściętymi zielonymi gałęziami przystrojono wygasłe paleniska dwu wielkich kominów, a z kuchni dolatywały przyjemne zapachy. Odziane w białe fartuchy służące uśmiechały się wesoło, lawirując między stołami z tacami pełnymi wina i jedzenia.

Przybycie lady wywołało poruszenie tylko nieznaczne, wioska znajdowała się bowiem blisko stolicy. A może miało to związek z tym dworem lorda, który niedawno miały. Kilku mężczyzn spojrzało na nią, więcej oczu z zainteresowaniem zmierzyło „służącą”, choć gdy zobaczyli, że na twarzy Nynaeve pojawił się odpychający grymas, kiedy zdała sobie sprawę, iż na nią patrzą, szybko wbili wzrok na powrót w puchary pełne wina. Nynaeve zdawała się uważać skierowane na nią spojrzenia mężczyzn za rodzaj przestępstwa, nawet jeśli nie mówili nic i nie zaczepiali jej. Biorąc to pod uwagę, Elayne często się zastanawiała, dlaczego tamta nie nosi sukien mniej rzucających się w oczy. Musiała się mocno napracować, zanim wreszcie udało jej się odpowiednio dopasować na nią prostą szarą sukienkę. Sama Nynaeve kompletnie nie potrafiła dać sobie rady z igłą i nitką.

Właścicielka gospody, pani Jharen, była pulchną kobietą o długich posiwiałych włosach, ciepłym uśmiechu i badawczym spojrzeniu ciemnych oczach. Elayne podejrzewała, że z odległości dziesięciu kroków potrafi wypatrzeć postrzępioną lamówkę lub pustą sakiewkę. Im najwyraźniej udało się korzystnie przejść oględziny, karczmarka wykonała bowiem głęboki ukłon, szeroko unosząc szare spódnice i przywitała ją wylewnie, koniecznie chcąc się dowiedzieć, czy lady zdążyła do Amadoru czy w przeciwną stronę.

— Z Amadoru — odrzekła Elayne z leniwą niedbałością — Bale w mieście były nawet przyjemne, a król Ailron dokładnie tak przystojny, jak powiadają, co nie często jest prawdą w przypadku koronowanych głów, ale niestety muszę wracać do swych posiadłości. Chciałabym otrzymać pokój dla siebie i dla Nany oraz coś dla mego forysia i woźnicy.

Pomyślała o Nynaeve i rozkładanym łóżku i szybko dodała:

— Muszę mieć dwa przyzwoite łóżka, Nana powinna spać blisko mnie, a jeśli będzie miała tylko rozkładane, jej chrapanie nie pozwoli mi zasnąć.

Po pełnej szacunku twarzy Nynaeve przemknęło nieznaczne drgnienie — leciutkie skrzywienie na szczęście tylko — ale była to szczerza prawda. Chrapała

straszliwie.

— Oczywiście, moja pani — zgodziła się pulchna oberżystka. — Mam właśnie coś odpowiedniego. Ale twoi ludzie będą musieli się przespać w stajni, na stryszku z sianem. Jak sama widzisz, mam obecnie wielu gości. Wczoraj trupa włóczęgów przyprowadziła ze sobą jakieś straszne wielkie stworzenia, a jedno z nich zupełnie zniszczyło „Królewskiego Lansjera”. Biedny Sim, stracił co najmniej połowę swoich klientów i wszyscy oni musieli przyjść do mnie.

W jej uśmiechu było jednak znacznie więcej satysfakcji niżli prawdziwego współczucia.

— Wszakże mam jeszcze jeden wolny pokój.

— Pewna jestem, że będzie najzupełniej odpowiedni. Gdybyś mogła, przyślij mi na górę zapasową świecę i trochę wody do mycia, przypuszczam, że wyruszę wczesnym rankiem. — Za oknem wciąż jeszcze błyszczało na niebie słońce, jednak delikatnie przyłożyła dłoń do ust jakby tłumiąc ziewnięcie.

— Oczywiście, moja pani. Jak sobie życzysz. Tędy proszę.

Pani Jharen zdawała się sądzić, że musi zabawiać Elayne, kiedy prowadziła je na pierwsze piętro gospody. Cały czas mówiła o tym, jak wielu ma gości, i że to prawdziwy cud, iż został jej jeszcze jeden pokój, o włóczęgach z ich zwierzętami, o tym jak ich wyrzucono z miasteczka i przegnano precz, o wszystkich szlachetnie urodzonych, którym przez lata zdarzyło się zatrzymać w jej domu, raz nawet gościła samego Lorda Kapitana Komandora Synów Światłości. Cóż, poprzedniego dnia przejeżdżał tędy Myśliwy Polujący na Róg, udając się do Łzy, a przecież powiadają, że Kamień Łzy wpadł w ręce jakiegoś fałszywego Smoka i czy nie jest to straszną nikczemnością, że ludzie potrafią robić takie potworne rzeczy?

— Mam nadzieję, że nigdy go nie znajdą. — Jej siwe loki zafalowały, gdy gwałtownie potrząsnęła głową.

— Rogu Valere? — zapytała Elayne.. — Dlaczego nie?

— Cóż, moja pani, jeśli go znajdą, oznaczać to będzie, że zbliża się Ostatnia Bitwa. Że Czarny się uwolnił. — Pani Jharen zadrżała. — Niechaj Światłość sprawi, by Rogu nigdy nie znaleziono. W ten sposób Ostatnia Bitwa nigdy nie nastąpi, nieprawdaż?

Raczej niemożliwe byłoby znalezienie właściwej odpowiedzi na tak dziwną logikę.

Sypialnia okazała się jeśli nie ciasna, to z pewnością przytulna. Dwa wąskie łóżka z pasiastymi kapami stały po obu stronach okna wychodzącego na ulicę. Między nimi znajdował się małeńki stoliczek, na którym stała lampa i krzesiwo z hubką, skromny, kwiciasty dywanik oraz umywalnia z małym lustrem dopełniały umeblowania pomieszczenia. Wszystko było czyste i wypucowane.

Karczmarka uklepała poduszki i wygładziła koce, potem poinformowała je, że materace wypchano najlepszym gęsim puchem, że ludzie pani mogą wnieść jej kufer tylnymi schodami i będzie im z pewnością bardzo przyjemnie, nocą bo-

wiem wieje nawet lekki wiatr, jeżeli się otworzy okno i zostawi uchylone drzwi. Jakby ona spała z drzwiami otwartymi na korytarz, po którym wszyscy chodzą! Dwie dziewczyny w fartuchach wniosły wielki dzban pełen parującej wody oraz dużą emaliowaną tacę, przykrytą białą serwetą, zanim Elayne udało się wreszcie pozbyć pani Jharen.

— Sądzę, że jej się wydaje, iż nawet mimo dziury w ścianie mogłybyśmy pójść do „Królewskiego Lansjera” — powiedziała, kiedy drzwi za tamtą zamknęły się na dobre. Rozejrzała się po pokoju i skrzywiła. Ledwie starczy miejsca dla nich i kufra. — Nie jestem wcale pewna, czy nie powinnyśmy.

— Ja wcale nie chrapię — oznajmiła Nynaeve napiętym głosem.

— Oczywiście, że nie. Musiałam coś jednak powiedzieć.

Nynaeve głośno i znacząco odkaszlnęła, ale rzekła tylko:

— To dobrze, że jestem na tyle zmęczona, by bez przeszkód zasnąć. Oprócz widłokorzenia w sklepie tej Macury nie znalazłam nic, co by pomagało na sen.

Thom i Juilin musieli trzy razy wchodzić po schodach, zanim udało im się wnieść wszystkie drewniane kufry wzmocnione żelaznymi sztabami, przez cały czas narzekali, jak to zwykle mężczyźni, że muszą wciągać je po wąskich schodach w tylnej części gospody. Nie podobało im się również, że muszą spać w stajni, ale kiedy wtargali do pomieszczenia pierwszy kufer, trzymając go z dwu stron — miał zawiasy w kształcie liści, mieściła się w nim większość ich pieniędzy oraz innych wartościowych rzeczy, wśród nich *ter'angreale* — wystarczył im tylko jeden rzut oka na pokój, by nie rzec ani słowa więcej. Przynajmniej na ten temat.

— Zamierzamy posłuchać, o czym rozmawiają ludzie we wspólnej izbie — oznajmił Thom, kiedy ostatni kufer znalazł się w środku. Przestrzeni zostało niemal tyle tylko, by można było dojść do umywalni.

— I być może przespacerujemy się po wiosce — dodał Juilin. — Ludzie dużo mówią, kiedy coś im się nie podoba, a na ulicy wyczuwałem dużo niechęci.

— Bardzo dobrze — powiedziała Elayne. Tak bardzo chcieli wierzyć, że przydadzą się do czegoś więcej niżli tylko do powożenia końmi i noszenia bagaży. Tak rzeczywiście było w Tanchico — oraz w Mardecin, oczywiście — i mogło znowu się zdarzyć, ale raczej nie tutaj.

— Bądźcie ostrożni i nie wchodźcie w drogę Białym Płaszczom. — Wymienili zdumione spojrzenia, jakby nie widziała ich już z pokrwawionymi i pokaleczonymi twarzami, wracających z poszukiwania informacji, ale wybaczyła im wszystko i uśmiechnęła się do Thoma. — Już się nie mogę doczekać, kiedy usłyszę, czego się dowiedzieliście.

— Rankiem — twardo oznajmiła Nynaeve. Nie patrzyła na Elayne, ale jej nieruchome oczy, wbite w jakiś punkt na ścianie, jednoznacznie mówiły, że równie dobrze mogłaby cały swój gniew skierować przeciwko niej. — Jeżeli zakłócicie nam spokój wcześniej, z jakiegoś powodu mniej znaczącego niż napaść trolloków,

odczujecie to na własnej skórze.

Mężczyźni spojrzeli na siebie wymownie — dostrzegłszy to, Nynaeve uniosła groźnie brwi — ale kiedy z niechęcią wręczyła im kilka monet, wyszli, zgadzając się nie zakłócać im snu.

— Jeżeli nie mogę porozmawiać nawet z Thomem. . . — zaczęła Elayne, ale Nynaeve przerwała jej.

— Nie mam zamiaru pozwolić, by mnie nachodzili śpiącą w samej bieliźnie. — Niezgrabnie odpinała już guziki z tyłu swej sukni. Gdy Elayne podeszła, by jej pomóc, powiedziała: — Dam sobie radę. Ty możesz podać mi pierścień.

Elayne z westchnieniem podniosła spódnicę i sięgnęła do małej kieszonki, którą naszyła od spodu. Jeżeli Nynaeve ma ochotę się irytować, należy jej na to pozwolić, ona się nie odezwie, nawet jeśli tamta znowu zacznie się otwarcie wściekać. W kieszonce były dwa pierścienie. Zostawiła złotego Wielkiego Węża, którego otrzymała na znak wyniesienia do godności Przyjętej i wyciągnęła kamienny pierścień.

Cały nakrapiany i paskowany na czerwono, niebiesko i brązowo, był za duży, by nosić go na palcu, a poza tym zbyt poskręcany i spłaszczony. Wydawało się to dziwne, ale miał tylko jedną powierzchnię, gdyby przeciągnąć palcem po całej jego długości, dotarłoby się do miejsca, z którego się zaczęło. To był *ter'angreal*, pomagał się dostać do *Tel'aran'rhiod* nawet komuś, kto nie posiadał talentu, jaki Egwene dzieliła ze spacerującymi po snach. Żeby zadziałał, wystarczyło spać, trzymając go blisko przy skórze. W przeciwieństwie do dwóch *ter'angreali*, które zabrały Czarnym Ajah, nie wymagał przenoszenia. Na ile Elayne się orientowała, mógł go używać nawet mężczyzna.

Nynaeve, odziana tylko w lnianą bieliznę, nawlekła pierścień na skórzany ramię obok zawieszzonego na nim sygnetu Lana i jej własnego pierścienia z Wielkim Wężem, potem zawiązała go na powrót i zawiesiła na szyi, zanim legła w jednym z łóżek. Uważnie poprawiła na skórze pierścienie i ułożyła głowę na poduszkach.

— Czy zostało jeszcze trochę czasu, zanim Egwene i Mądre się pojawią? — zapytała Elayne. — Jakoś nigdy nie potrafię sobie wyobrazić, która godzina jest w Pustkowiu.

— Czasu jest dość, chyba że postanowi przyjść wcześniej, ale zapewne tego nie uczyni. Mądre trzymają ją na bardzo krótkiej smyczy. Ostatecznie wyjdzie to jej tylko na dobre. Zawsze była uparta.

Nynaeve otworzyła oczy, spojrzała prosto na nią — na nią! — jakby te ostatnie słowa stosowały się również do Elayne.

— Pamiętaj poprosić Egwene, by powiedziała Randowi, że o nim myślę. — Nie miała zamiaru dopuścić, by wszczęła awanturę. — Powiedz jej, żeby. . . powiedziała mu, iż kocham go i nikogo więcej.

Już. Miała to za sobą.

Nynaeve przewróciła oczami w naprawdę obraźliwy sposób.

— Skoro tak sobie zyczysz — oznajmiła sucho, moszcząc się na poduszkach.

Kiedy jej oddech stał się spokojniejszy, Elayne przyciągnęła jeden z kufrów pod drzwi, siadła na nim i zaczęła wyczekiwać. Zawsze nienawidziła czekania. Nynaeve dopiero by jej pokazała, gdyby zeszła teraz do wspólnej izby. Thom zapewne wciąż tam będzie i . . . I nic. Przecież w oczach świata miał być jej woźnicą. Zastanawiała się, czy Nynaeve pomyślała o tym, zanim zgodziła się zostać pokojówką. Z westchnieniem oparła się o drzwi. Naprawdę nienawidziła czekania.

SPOTKANIA

Skutki działania *ter'angreal*a a kształcie pierścienia już nie potrafiły zaskoczyć Nynaeve. Była dokładnie w tym miejscu, o którym myślała, zanim nadszedł sen — w wielkiej komnacie w Łzie zwanej Sercem Kamienia, znajdującej się we wnętrzu masywnej fortecy, w Kamieniu Łzy. Połączone stojące lampy były zgazowane, jednak blade światło, zdające się docierać zewsząd i znikąd jednocześnie, oświetlało ją dookoła, w oddali rozpluwając się w mglistych cieniach. Przynajmniej nie było gorąco, nigdy nie czuła ani gorąca, ani zimna w *Tel'aran'rhiod*.

Las masywnych kolumn z czerwonego kamienia rozciągał się na wszystkie strony, kopulaste sklepienie ginęło wysoko ponad głową, gdzieś tam, skąd zwieszały się na złotych łańcuchach kolejne złote lampy. Blade płyty posadzki pod jej stopami były powycierane, Wysocy Lordowie Łzy przychodzili do tej komnaty — rzecz jasna, w świecie jawy — tylko wtedy, gdy wymagało tego prawo lub obyczaj, ale działo się tak od czasów Pęknięcia Świata. Pośrodku, pod samą kopułą znajdował się *Callandor*, przypominający z pozoru lśniący tysiącem iskier kryształowy miecz, zatopiony do połowy ostrza w kamieniu posadzki. Dokładnie tak, jak go zostawił Rand.

Nie miała ochoty zbliżyć się do niego. Rand twierdził, że przy pomocy *saidina* upłócił wokół miecza pułapki, których nie potrafiłaby dostrzec żadna kobieta. Spodziewała się, iż są doprawdy paskudne — najlepsi mężczyźni okazują się wstrętami, kiedy postanowią się zachować przebiegle — paskudne i zapewne zwrócone w takim samym stopniu przeciwko kobietom, jak i mężczyznom, choć tylko mężczyźni mogli używać tego *ter'angreal*a. Musiał zabezpieczyć go nie tylko przed Przekłętymi, ale także przed tymi, które mieszkały w Wieży. Wyjąwszy samego Randa, ten który by dotknął *Callandora*, naraziłby się zapewne na śmierć, i to bez wątpienia okrutną.

Taka była podstawowa zasada obowiązująca w *Tel'aran'rhiod*. Co znajdowało się w świecie jawy, tutaj również było, aczkolwiek niekoniecznie na odwrót. Świat Snów, Niewidzialny Świat, odbijał świat prawdziwy czasami w przedziwny sposób, być może zresztą również i inne światy. Verin Sedai powiedziała Egwene, że istnieje wzór spleciony ze światów, z rzeczywistości znajdujących się tutaj i gdzie indziej, dokładnie przypominający splot ludzkich losów, który two-

rzy Wzór Wieków. *Tel'aran'rhiod* stykał się ze wszystkimi tymi światami, chociaż jedynie nielicznym udawało się przypadkiem doń dostać i zazwyczaj nie pamiętali niczego z tych przelotnych chwil, pogrążeni w swych ziemskich snach. Były to niebezpieczne momenty dla owych śniących, chociaż nie zdawali sobie z tego sprawy, chyba że mieli pecha. Poza tym to, co przydarzało się śniącemu w *Tel'aran'rhiod*, okazywało się realne również w świecie jawy. Śmierć w Świecie Snów równała się jak najbardziej rzeczywistej śmierci.

Miała wrażenie, że spośród cieni zalegających między kolumnami coś ją obserwuje, ale nie kłopotowała się tym uczuciem. To z pewnością nie była Moghedien.

„Wyimaginowane oczy, tutaj nie ma obserwatorów. Sama kazałam Elayne nie zwracać na nie uwagi, a teraz. . .”

Moghedien na pewno nie ograniczyłaby się jedynie do obserwacji. A choćby nawet. . . żałowała tylko, że nie jest wystarczająco zagniewana, by przynieść. Oczywiście wcale nie czuła strachu. Nie była też wściekła. Bynajmniej nie przestraszona.

Poskręcany kamienny pierścień, ukryty pod bielizną, zdawał się lekki jak puch, w tym momencie zorientowała się, że nie ma na sobie nic więcej. Ledwie pomyślała o ubraniu, już miała na sobie sukienkę. To była sztuczka z *Tel'aran'rhiod*, którą lubiła najbardziej, w jakiś sposób przenoszenie okazywało się niekonieczne, tutaj bowiem mogła robić rzeczy, których, jej zdaniem, żadna Aes Sedai nie dokonałaby przy użyciu Mocy. Jednak nie była to suknia, jakiej oczekiwała — z mocnej, workowatej wełny z Dwu Rzek. Wysoki karczek obrzeżony koronką z Jaercruz podchodził jej pod sam podbródek, ale bladeżółte jedwabie przylegały do ciała w sposób, który jakby trochę za mocno zdradzał kształty. Ileż to razy nazwała takie taraboniańskie suknie nieprzyzwoitymi, kiedy musiała je wkładać, by wtopić się w tłum na ulicach Tanchico? Wyraźnie jednak przywykła do nich bardziej, niż jej się zdawało.

Szarpnęła ostro za swój warkocz, karcąc się za takie rozproszenie myśli i zostawiła suknię w spokoju. Choć nie odpowiadała dokładnie jej pierwotnym zamiarom, nie jest przecież żadną kapryśną dziewczuchą, żeby tak się przejmować i troszczyć o własny ubiór.

„Suknia to suknia”. — Będzie ją miała na sobie podczas spotkania z Egwene oraz tą Mądrą, która tym razem przybędzie razem z nią, a niech tylko któraś odważy się cokolwiek powiedzieć. . . — „Nie po to przybyłam wcześniej, by teraz paplać do siebie o sukienkach!”

— Birgitte? — Odpowiedziała jej cisza, podniosła więc głos, choć to raczej nie było konieczne. W tym miejscu każdy powinien usłyszeć swoje imię, choćby je wypowiedziano na drugim krańcu świata. — Birgitte?

Spomiędzy kolumn wyszła kobieta, w jej błękitnych oczach lśnił spokój i dumna wiara we własne siły, długie włosy zaplecione miała w warkocz o znacznie bardziej skomplikowanych splotach niżli fryzura Nynaeve. Krótki biały kaftan

i obszerne spodnie z żółtego jedwabiu, zebrane w kostkach nad krótkimi butami o podwyższonych obcasach, stanowiły ubiór pochodzący sprzed ponad dwu tysięcy lat, ale ten upodobała sobie najbardziej. Strzały, których pióra sterczały z zawieszzonego przy pasie kołczana, były chyba ze srebra, podobnie jak łuk trzymany w dłoni.

— Czy Gaidal jest w pobliżu? — zapytała Nynaeve. Zazwyczaj trzymał się blisko Birgitte i sprawiał, że Nynaeve czuła się niepewnie, odmawiał bowiem uznania jej istnienia i denerwował się, gdy Birgitte z nią rozmawiała. Za pierwszym razem był to dla niej nie lada wstrząs, kiedy się okazało, że spotkała Gaidala Caina i Birgitte — dawno zmarłych bohaterów występujących obok siebie w tak wielu legendach i opowieściach — w *Tel'aran'rhiod*. Ale, jak to ujęła sama Birgitte w jakim innym miejscu, bohaterowie przykuci do Koła Czasu mieliby oczekiwać na powtórne narodziny niżli w śnie? W śnie, który istniał od tak dawna jak samo Koło. To właśnie ich, Birgitte i Gaidala Caina, Rogosha Sokole Oko i Artura Hawkwinga, oraz wielu innych miał wezwać Róg Valere z powrotem, aby walczyli w Tarmon Gaidon.

Warkocz Birgitte zakołysał się, kiedy potrząsnęła głową.

— Nie widziałam go od jakiegoś czasu. Sądzę, że Koło na powrót wplotło go w świat. Zawsze się tak dzieje. — W jej głosie zabrzmiało jednocześnie oczekiwanie i zatroskanie.

Jeśli Birgitte miała rację, wówczas gdzieś w świecie narodził się chłopiec, kwilące niemowlę pozbawione wiedzy o tym, kim jest, choć przeznaczone do przygód, które dadzą początek nowym legendom. Koło wplatało bohaterów we Wzór zgodnie z zaistniałą potrzebą, by kształtowali sam Wzór, a kiedy umierali, wracali z powrotem do miejsca, gdzie przychodziło im czekać. To właśnie oznaczało przykucie do Koła. Nowi bohaterowie przekonują się, że sami są również do niego przykuci, ci mężczyźni i te kobiety, których odwaga i dokonania wyniosły ponad przeciętność — ale kiedy raz to już nastąpi, będzie tak aż po kres czasów.

— Jak długo wypadnie ci czekać? — zapytała Nynaeve. — Z pewnością będą musiały minąć lata.

Birgitte zawsze była związana z Gaidalem, we wszystkich opowieściach, we wszystkich Wiekach, w przygodach i romansach, więziami, których nawet Koło Czasu nie rozerwało. Zawsze rodziła się po nim, rok, pięć, dziesięć lat, ale zawsze później.

— Nie wiem, Nynaeve. Czas biegnie tutaj inaczej niżli w świecie jawy. Zdaje mi się, że spotkałam cię dziesięć dni temu, a Elayne dopiero wczoraj. Jak to było długo dla ciebie?

— Cztery dni i trzy noce — wymruczała Nynaeve. Ona i Elayne wchodziły w sen, by rozmawiać z Birgitte tak często, jak tylko mogły, chociaż nie zawsze było to możliwe, zwłaszcza kiedy Thom i Juilin spali razem z nimi i trzymali wartę. Birgitte pamiętała z własnego doświadczenia Wojnę o Moc a przynajmniej

swój żywot w owych czasach — oraz Przeklętych. Jej przeszłe życia były niczym książki przeczytane wiele lat temu, po których przechowała się odległa tylko pamięć, im dawniejsze, tym mniej wyraźnie, ale Przeklętych przypominała sobie dobrze. Szczególnie Moghedien.

— Widzisz, Nynaeeve? Tutaj nawet upływ czasu może się zmieniać na rozmaite sposoby. Mogą minąć miesiące, zanim znów się odrodzę, albo tylko dni. Tutaj, dla mnie. W świecie jawy przeminą lata, nim to się stanie.

Nynaeeve z wysiłkiem stłumiła swój niepokój.

— Dlatego nie wolno nam marnować czasu, który pozostał. Czy widziałas któreś z nich od naszego ostatniego spotkania? — Nie było potrzeby wspominać, kogo.

— Aż nazbyt wielu. Lanfear często, rzecz jasna, odwiedza *Tel'aran'rhiod*, ale oprócz niej widziałam Rahvina, Sammaela i Graendel. Także Demandreda. Oraz Semirhage. — W głosie Birgitte przy tym ostatnim imieniu pojawiło się nieznaczne napięcie, nawet Moghedien, która jej nienawidziła, nie potrafiła wywołać tak wyraźnego przestachu na jej twarzy, Semirhage to była jednak zupełnie inna sprawa.

Nynaeeve również zadrżała — złotowłosa kobieta powiedziała jej zbyt dużo na temat tamtej — i zdała sobie sprawę, że ma na sobie gruby wełniany płaszcz, z kapturem nasuniętym głęboko, aby ukryć twarz, zarumieniła się i natychmiast sprawiła, iż zniknął.

— Żadne z nich cię nie widziało? — zapytała z niepokojem. Birgitte była na wiele sposobów bardziej podatna na ciosy, pomimo jej większej wiedzy na temat *Tel'aran'rhiod*. Nie potrafiła przenosić, każde z Przeklętych mogło ją zniszczyć z równą łatwością, z jaką się rozdeptuje mrówkę, nawet nie myląc kroku. A gdyby została tutaj zabita, nie odrodziłaby się już nigdy więcej.

— Nie jestem tak bezradna... ani głupia... by na to pozwolić. — Birgitte wsparła się na swym srebrnym łuku, legenda głosiła, że nigdy nie rozstawała się ani z nim, ani ze srebrnymi strzałami. — Oni są zanadto zajęci sobą, by się przejmować kimś innym. Widziałam Rahvina i Sammaela oraz Graendel i Lanfear, starali się podkraść do siebie niezauważenie. A Demandred i Semirhage ich śledzili. Od czasu, kiedy się uwolnili, nie widziałam ich tyłu naraz w tym miejscu.

— Pewnie coś knują. — Nynaeeve przygryzła wargę w pełnym niepokoju namyśle. — Ale co?

— Nie potrafię jeszcze powiedzieć, Nynaeeve. Podczas Wojny z Cieniem przez cały czas spiskowali, równie często przeciwko sobie, ale ich dzieła nigdy nie służyły dobrze światu, czy to jawy, czy snu.

— Spróbuj się dowiedzieć, Birgitte, oczywiście nie narażając się zanadto. Nie podejmuj niepotrzebnego ryzyka.

Wyraz twarzy drugiej kobiety nie zmienił się, ale Nynaeeve wydało się, że tamta jest rozbawiona, głupia, traktowała niebezpieczeństwa z równą pogardą jak

Lan. Żałowała, że nie może jej zapytać o Białą Wieżę, o knowania Siuan Sanche, ale Birgitte nie mogła przecież ani zobaczyć, ani oddziaływać na rzeczywisty świat, o ile nie została nań wezwana przez głos Rogu.

„Cały czas próbujesz uniknąć tego pytania, które naprawdę chcesz zadać!”

— Czy widziałas Moghedien?

— Nie — westchnęła Birgitte — ale nie dlatego, że nie próbowałam. Normalnie zawsze potrafię odszukać każdego, kto dobrze wie, że przebywa w Świecie Snów, można wyczuć takiego człowieka, jakby rozchodziły się odeń zmarszczki przez powietrze. Albo może źródłem tych zaburzeń jest raczej świadomość, naprawdę nie wiem. Jestem żołnierzem, nie uczoną. Albo ona nie pojawiła się w *Tel'aran'rhiod* od czasu, jak ją pokonałaś, albo... — Zawahała się, a Nynaeve z całych sił pragnęła, by ona nie wymieniała tej drugiej możliwości, jednak Birgitte była zbyt silna, aby uchylać się od głoszenia przykrych rzeczy. — Albo ona wie, że jej szukam. Wówczas mogłaby się skryć przed moim wzrokiem. Nie na darmo nazywa się ją Pajęczycą.

Słowem *moghedien* określano w Wieku Legend małego pajęczka, który tkął swe sieci w tajemnych miejscach, jego jad był tak trujący, że zabijał w mgnieniu oka.

Nynaeve poczuła nagle nieprzyjemny dreszcz. Nie, wcale nie zadrżała. To był tylko przelotny dreszcz, nie zaś dygotanie ze strachu. I choć wciąż starała się pamiętać o tej obcistej taraboniańskiej sukience, znienacka zorientowała się, że ma na sobie zbroję. Wystarczająco ją coś takiego kłopotowało, kiedy była sama, a cóż dopiero czuła pod chłodnym spojrzeniem niebieskich oczu kobiety tak męznej, by być partnerką Gaidala Caina.

— Czy możesz ją jednak odnaleźć, mimo że pragnie pozostać w ukryciu, Birgitte? — To była doprawdy wielka prośba, zwłaszcza jeżeli Moghedien rzeczywiście zdawała sobie sprawę, że jest ścigana, bo wówczas szukanie jej przypominało polowanie na lwa w wysokich trawach, z kijem jako jedyną bronią.

Druga kobieta jednak nie wahała się ani przez moment.

— Być może. Spróbuję. — Zważyła łuk w dłoni i dodała: — Muszę już iść. Nie chcę ryzykować, by tamte mnie zobaczyły, kiedy się tu pojawią.

Nynaeve położyła dłoń na jej ramieniu, chcąc ją jeszcze na chwilę zatrzymać.

— To by nam pomogło, gdybyś pozwoliła im powiedzieć. Mogłabym się podzielić z Egwene i Mądrymi twoją wiedzą na temat Przeklętych, a one mogłyby powiedzieć Randowi. Birgitte, on musi się o tym dowiedzieć...

— Obiecałaś, Nynaeve. — Jasne błękitne oczy były zimne niczym lód. — Nie wolno nam nikomu mówić, że żyjemy w *Tel'aran'rhiod*. Złamałam już wiele zakazów podczas rozmów z tobą, a jeszcze więcej... udzielając ci pomocy, ponieważ nie mogłam stać z boku i przyglądać się, jak samotnie walczysz z Cieniem... toczyłam tę wojnę w tak wielu żywotach, że wszystkich nawet już nie pamiętam... ale będę stosowała się do tak wielu obowiązujących reguł, jak to

tylko możliwe. Musisz dotrzymać złożonej obietnicy.

— Oczywiście, iż tak się stanie — odrzekła z oburzeniem — chyba, że sama zwolnisz mnie z przyrzeczenia. I właśnie proszę cię, abyś...

— Nie.

I Birgitte zniknęła. W jednej chwili dłoń Nynaeve spoczywała na białej materii kaftana tamtej, w następnej zaś czuła już tylko pustkę pod palcami. Przez głowę przemknęło jej kilka tych przekleństw, które posłyszała od Thoma i Juilina, za które ostro skarciłaby Elayne, gdyby się dowiedziała, że ona ich słucha, a co dopiero używa. Nie było sensu powtórnie wzywać imienia Birgitte. Najpewniej nie pojawiłaby się. Nynaeve mogła mieć tylko nadzieję, że odpowie następnym razem, gdy ona lub Elayne zechcą się z nią spotkać.

— Birgitte! Dotrzymam mojej obietnicy, Birgitte!

Powinna usłyszeć. Być może do następnego spotkania dowie się czegoś więcej o poczynaniach Moghedien. Niemalże pragnęła, by tak się nie stało. Jeżeli Birgitte ją znajdzie, to będzie oznaczało, że Moghedien naprawdę czai się w *Tel'aran'rhiod*.

„Głupia kobieta! — Jeżeli nie baczysz na węże, nie skarż się potem, gdy któryś cię ukąsi”.

Chciałaby kiedyś spotkać tę Lini od Elayne.

Pustka wielkiej komnaty zaczynała już jej ciążyć, te kolumny z polerowanego kamienia rozciągające się jak okiem sięgnąć, poczucie bycia obserwowaną spośród zalegających wśród nich cieni.

„Gdyby ktoś naprawdę tam był, Birgitte by o tym wiedziała”.

Przyłapała się na tym, że wygląda fałdy jedwabiu opinające jej biodra i aby przestać myśleć o tych obserwujących ją oczach, których wszak wcale tam nie było, skoncentrowała się na swojej sukni. To właśnie w dobrych wełnach z Dwu Rzek Lan zobaczył ją po raz pierwszy, kiedy zaś wyznał jej swą miłość, miała na sobie prostą, skromnie ozdobioną suknię, niemniej byłoby przyjemnie, gdyby ją zobaczył w takim stroju. I cała sytuacja nie miałaby w sobie nic nieprzyzwoitego, wszak tylko on by ją widział.

Przed nią pojawiło się wysokie stojące lustro, odbijało jej wizerunek, kiedy odwracała się to w tę, to w drugą stronę, a nawet spoglądała przez ramię. Żółte fałdy jedwabiu opinały ją ściśle, sugerując zupełnie jednoznacznie to, co skrywały. Członkinie Koła Kobiet w Polu Emonda za taki ubiór bez wątplenia zawlokłyby ją na rozmowę w jakimś ustronnym miejscu, i nic nie pomogłaby godność Wiedzącej. A jednak była naprawdę piękna. Tutaj, zupełnie sama, mogła się przed sobą przyznać, że już właściwie oswoiła się, a wręcz polubiła noszenie publicznie takich strojów.

„Sprawia ci to przyjemność — skarciła się w duchu. — Jesteś dokładnie tak samo nieprzyzwoita, jak zdaje się stawać z każdą chwilą Elayne”.

Ale przecież ona była piękna. I być może nawet nie tak nieskromna, jak zwykła o niej zawsze sądzić. Nie miała przecież dekoltu do samych kolan niczym Pierwsza z Mayene. Cóż, być może dekolt Berelain nie był tak głęboki, jednak bez wątpienia głębszy niż wymagał tego szacunek dla samej siebie.

Słyszała, co zwykły często nosić kobiety Domani, nawet Tarabonianie nazywali ten ubiór nieprzyzwoitym. Wraz z tą myślą żółte jedwabie zmieniły się w zmarszczone fałdy, spięte wąskim paskiem ze złotej plecionki. I przezroczyste. Policzki jej poczerwieniały. Prawie całkowicie przezroczyste. W rzeczy samej ledwie cokolwiek zasłaniały. Gdyby Lan zobaczył ją w takiej sukni, z pewnością nie mamrotałby o tym, że jego miłość do niej jest beznadziejna i że nie ma zamiaru ofiarowywać jej wdowiego wieńca na podarunek ślubny. Jedno spojrzenie i już zawrzałyby w nim krew. A wtedy...

— A cóż to, w imię Światłości, ty masz na sobie, Nynaeve? — zapytała Egwene zgorzonym tonem.

Nynaeve aż podskoczyła, odwróciła się błyskawicznie, a kiedy wreszcie spojrzała na Egwene i Melaine — to zapewne musiała być Melaine, ponieważ akurat jej tylko brakowałoby w tej sytuacji — lustro zniknęło, ona zaś miała na sobie ciemną wełnianą sukienkę, jaką nosiła w Dwu Rzekach, wystarczająco grubą, by chroniła przed chłodem najmroźniejszej zimy. Upokorzona tym, że ją zaskoczono — głównie tym, że ją zaskoczono — natychmiast zmieniła na powrót swą sukienkę, nie myśląc nawet, w cienką pajęczynę stroju Domani, a zaraz potem, równie szybko, w żółte taraboniańskie fałdy.

Twarz jej spłonęła rumieńcem. Przypuszczalnie uznają ją za skończoną idiotkę. I to jeszcze tak się wygłupić przed Melaine. Mądra była piękną kobietą, z długimi włosami o barwie czerwonego złota, jasnymi zielonymi oczyma. Nie chodziło o to, że szczególnie dbała, jak tamta wygląda. Ale Melaine była obecna również przy jej ostatnim spotkaniu z Egwene i wyśmiewała się z niej w związku z Lanem. Nynaeve straciła wówczas panowanie nad sobą. Egwene twierdziła, że nie były to żadne kpiny, przynajmniej wśród kobiet Aielów, ale Melaine przecież wygłosiła szereg komplementów na temat ramion Lana, jego dłoni, oczu. Jakie prawo miała ta zielonooka kocica przyglądać się ramionom Lana? Nie miała oczywiście żadnych podstaw, by wątpić w jego wierność, ale przecież był mężczyzną, znajdował się daleko od niej, Melaine zaś była tam, tuż przy nim i... Zdecydowanie nakazała sobie porzucić ten tok rozumowania.

— Czy Lan...? — Miała wrażenie, że jej twarz zaraz chyba spłonie.

„Czy nie możesz uważać na to, co mówisz, kobieto?”

Ale nie mogła — nie potrafiła — się wycofać, nie w obecności Melaine. Rozbawiony uśmiech Egwene był już wystarczająco nieprzyjemny, ale Melaine ośmieliła się nawet obrzucić ją spojrzeniem pełnym zrozumienia.

— Czy ma się dobrze? — Próbowała wypowiedzieć te słowa tonem pełnym chłodnego opanowania, ale wydostały się z jej gardła zduszone, jakby sprawiły

jej ból.

— Ma się dobrze — odrzekła Egwene. — On również martwi się, czy ty jesteś bezpieczna.

Nynaeve zdała sobie sprawę, że właśnie wypuściła długo wstrzymywany oddech. Pustkowie było niebezpiecznym miejscem, nawet bez takich postaci jak Coladin i jego Shaido, a ten człowiek nie znał znaczenia słowa ostrożność. Martwił się o jej bezpieczeństwo? Czy ten głupi mężczyzna sądzi, że ona nie potrafi sama o siebie zadbać?

— Nareszcie. dotarliśmy do Amadicii — powiedziała szybko, chcąc ukryć poprzednie zmieszanie.

„Kłapiesz językiem, a potem jęczysz! Ten mężczyzna odebrał mi resztki zdrowego rozsądku!”

Na podstawie wyrazu ich twarzy nie umiała osądzić, czy jej się udało.

— Wioska nazywa się Sienda, na wschód od Amadoru. Pełno wszędzie Białych Płaszczy, ale nawet nie spojrzeli na nas powtórnie. To tymi drugimi powinniśmy się przejmować.

Rozmawiając w obecności Melaine, musiała ostrożnie dobierać słowa — w istocie, nawet odrobinę naginać prawdę, to tu, to tam — ale opowiedziała im o Ronde Macura, jej dziwnej wiadomości i o tym, jak próbowała je odurzyć narkotykiem. Użyła słowa „próbowała”, ponieważ nie potrafiłaby się przyznać, stojąc twarzą w twarz z Melaine, że tamtej się właściwie udało.

„Światłości, co ja robię? Nigdy dotąd, w całym moim życiu, nie okłamałam Egwene!”

Rzekomy powód — sprowadzenie z powrotem zbiegłej Przyjętej — oczywiście nie mógł się pojawić w jej opowieści, nie wówczas, kiedy słuchała wszystkiego jedna z Mądrych. Utrzymywały je w przekonaniu, że ona i Elayne są pełnymi Aes Sedai. Jednak w jakiś sposób musiała Egwene przekazać prawdę.

— To może mieć coś wspólnego z jakimś spiskiem dotyczącym Andoru, ale Elayne, ciebie, Egwene, oraz mnie łączą pewne rzeczy, dlatego powinnaś być równie ostrożna jak Elayne. — Dziewczyna wolno pokiwała głową, wyglądała na osłupiałą, w czym zresztą nie było nic dziwnego, ale chyba zrozumiała. — Dobrze się stało, że smak tej herbaty wydał mi się podejrzany. Wyobraź sobie, próbowała napoić widłokorzeniem kogoś, kto zna się na ziołach tak jak ja.

— Spiski wewnątrz spisków — wymruczała Melaine. — Wielki Wąż to właściwe dla was godło, Aes Sedai, pewnego dnia same się połkniecie przez przypadek.

— My również mamy ci do przekazania wieści — powiedziała Egwene.

Nynaeve nie rozumiała, skąd ten pośpiech.

„Nie stracę znowu panowania nad sobą przez tę kobietę. A już na pewno nie rozgniewam się tylko dlatego, że obraża Wieżę”.

Wypuściła warkocz z dłoni. Ale to, co powiedziała Egwene, natychmiast wyparło wszelki gniew z jej myśli.

Couladin przekroczył Grzbiet Świata — to była już dostatecznie ponura informacja — a ta, że Rand poszedł za nim, niewiele bardziej radosna, maszerował ostrym tempem, od świtu do zmierzchu, ku Przełęczy Jangai, Melaine dodała, że wkrótce do niej dotrze. Sytuacja panująca obecnie w Cairhien była już dostatecznie zła, nawet bez wojny między Aielami na jego terytorium. W konsekwencji zapewne mogło to doprowadzić do kolejnej Wojny z Aielami, jeśli Randowi uda się wcielić w życie swój szalony plan. Szalony. Z pewnością Rand jeszcze nie oszalał. W jakiś sposób musiał zachowywać zdrowe zmysły.

„Ile czasu minęło, odkąd jeszcze chciałam go chronić? — pomyślała gorzko. — A teraz pragnę tylko, by zachował jasność umysłu do czasu, aż będzie musiał stoczyć Ostatnią Bitwę”. — Nie tylko o to jej chodziło, prawda, ale o to wszakże też. Był, kim był. — „Żeby mnie Światłość spaliła, jestem równie zła jak Siuan Sanche i cała reszta!”

Ale dopiero ta, co Egwene powiedziała na temat Moiraine, przyprawiło ją o prawdziwy wstrząs.

— Ona go słucha? — zapytała z niedowierzaniem. Egwene żywo przytaknęła, na głowie miała ten idiotyczny szal Aielów.

— Zeszłej nocy pokłócili się... ona starała się go przekonać, by nie przekraczał Muru Smoka... i na koniec on kazał jej odejść i nie wracać, póki nie ochłonie, wyglądała, jakby połknęła język, ale posłuchała. Przez godzinę w każdym razie spacerowała sama w ciemnościach nocy.

— To nie jest stosowne — oznajmiła Melaine, zdecydowanym ruchem poprawiając swój szal. — Mężczyźni nie mają żadnego prawa rozkazywać Aes Sedai, podobnie jak Mądrym. Nawet *Car'a'carn*.

— Oczywiście, że nie mają — zgodziła się Nynaeve, po chwili jednak zdała sobie sprawę, że urwała i zamarła z rozdziawionymi ustami, aż musiała przyłożyć dłoń do nich rękę.

„A co mnie to maże obchodzić, jeśli Moiraine tańczy, jak on jej zagra? Nazbyt często sama zmuszała do tego nas wszystkich”. — Ale to było nie w porządku. — „Ja wcale nie chcę zostać Aes Sedai, chcę się tylko dowiedzieć więcej na temat Uzdrawiania. Chcę zostać tym, kim jestem. Niech on jej rozkazuje do woli!”

A jednak nie mogła się pozbyć przekonania, że to nie w porządku.

— Przynajmniej teraz zaczął z nią rozmawiać — kontynuowała Egwene. — Przedtem robił się wyjątkowo nieprzyjemny, kiedy tylko znalazła się bliżej niż dziesięć stóp od niego. Nynaeve, on z każdym dniem zadziera nosa coraz wyżej.

— Kiedyś myślałam, że będziesz moją następczynią jako Wiedząca — gniewnie odparowała Nynaeve. — Uczyłam cię, jak sobie z tym radzić. Lepiej byłoby dla niego, gdybyś mu trochę utarła nosa, zanim sobie zacznie wyobrażać, że jest największym bykiem na pastwisku. Chociaż być może właśnie nim jest. Wydaje

mi się, że królowie... i królowe... mogą wyjść na głupców, kiedy zapomną, kim są i jak powinni się zachowywać, ale stają się jeszcze gorsi, gdy pamiętają tylko, kim są, a nie ta, jakie zachowanie im przystoi. Większość powinna mieć przy sobie kogoś, kto będzie im nieustannie przypominał, że jedzą, pocą się i płaczą dokładnie tak samo, jak zwykły wieśniak.

Melaine owinęła się szalem, jakby na znak, że nie ma pewności, czy powinna się zgodzić z tym stwierdzeniem, czy nie, ale Egwene powiedziała:

— Próbuję, ale czasami on wydaje się zupełnie odmieniony, a nawet wówczas, gdy zachowuje się jak dawny Rand, ma w sobie tyle arogancji, że nie sposób do niego dotrzeć.

— Staraj się, jak możesz. Jeżeli uda ci się sprawić, że nie zapomni o tym, kim jest, zrobisz najlepszą rzecz, jaką ktokolwiek w ogóle może dla niego zrobić. Dla niego i dla reszty świata.

Po tej wypowiedzi zapadło milczenie. Ona i Egwene z pewnością nie lubiły rozmawiać o szaleństwie Randa, Melaine bez wątpienia również.

— Mam ci jeszcze coś ważnego do powiedzenia — podjęła po dłuższej chwili. — Wydaje mi się, że Przekłęci coś planują.

To nie było równoznaczne z poinformowaniem jej o Birgitte. Opowiedziała wszystko w taki sposób, aby wyglądało, iż to ona sama widziała Lanfear i pozostałych. Tak naprawdę to potrafiłaby rozpoznać wyłącznie Moghedien, gdyby ją spotkała, być może również Asmodeana, chociaż widziała go tylko raz i to z od-dali. Miała nadzieję, że żadna z nich nie zechce zapytać, w jaki sposób odkryła, kto jest kim, ani dlaczego sądzi, że Moghedien może gdzieś tu czatować. Okazało się, że ten problem w ogóle się nie pojawił.

— Czy wędrujesz sama po Świecie Snów? — Oczy Melaine lśniły niczym zielony lód.

Nynaeve odpowiedziała na jej twardy wzrok podobnym spojrzeniem, nie zwracając uwagi na to, że Egwene niespokojnie kręci głową.

— Zapewne nie udałoby mi się zobaczyć Rahvina i pozostałych, gdyby było inaczej, nieprawdaż?

— Aes Sedai, wiesz niewiele, a porywasz się na zbyt trudne dla ciebie zadania. Nie powinnyśmy cię były w ogóle uczyć, nawet tych kilku rzeczy, które dzięki nam znasz. Jeśli o mnie chodzi, często żałuję, że zgodziłyśmy się choćby na te spotkania. Niedouczonym kobietom powinno się raz na zawsze zakazać wstępu do *Tel'aran'rhiod*.

— Sama nauczyłam się więcej, niżli wy mi kiedykolwiek powiedziałyście. — Nynaeve dokładała wszelkich starań, by nie uzewnętrznić targających nią emocji. — Sama nauczyłam się przenosić i nie rozumiem, dlaczego w Świecie Snów miałoby być inaczej.

To tylko wynikający z gniewu upór skłonił ją do wypowiedzenia tych słów. Sama nauczyła się przenosić, prawda, ale nie mając pojęcia, czym jest to, co robi,

a co i tak robiła tylko w bardzo ograniczonym zakresie. Przed Białą Wieżą czasami udawało się jej kogoś Uzdrowić, jednak robiła to nieświadomie, dopóki Moraine nie powiedziała jej, na czym to wszystko polega. Jej nauczycielki w Wieży mówiły, iż to dlatego, że musi się rozzłościć, by przerosnąć, sama przed sobą skrywała swe zdolności, obawiając się ich, a tylko wściekłość potrafiła przezwyciężyć strach od dawna zagrzebany głęboko w duszy.

— A więc jesteś jedną z tych, które Aes Sedai nazywają dzikuskami. — W ostatnim słowie zabrzmiała jakaś odległa nuta, ale czy było to szyderstwo, czy litość, Nynaeve i tak się nie podobało. Pojęcia tego w Wieży rzadko używano jako komplementu. Oczywiście, wśród Aielów nie było dzikusów. Mądre, które potrafiły przerosnąć, odnajdywały wszystkie dziewczęta rodzące się z naturalną iskrą talentu, a więc takie, które wcześniej czy później same rozwinęłyby w sobie zdolność przeroszenia, nawet gdyby się tego nie uczyły. Utrzymywały również, że znalezione przez nie dziewczęta, które nie mają owej iskry, pod odpowiednim kierownictwem nauczą się, jak władać Mocą. Żadna z Aielów nie umierała, próbując się uczyć na własną rękę. — Znasz więc niebezpieczeństwa, jakie towarzyszą nauce posługiwania się Mocą bez odpowiedniej nauczycielki, Aes Sedai. Nie sądz, że niebezpieczeństwa czyhające w snach są mniejsze. Są równie wielkie., być może nawet jeszcze większe dla tych, którzy ryzykują, nie dysponując dostateczną wiedzą.

— Jestem ostrożna — powiedziała Nynaeve napiętym głosem. Nie miała zamiaru pozwolić, aby ta złotowłosa jęczała jej lekcji. — Wiem, co robię, Melaine.

— Nic nie wiesz. Tak samo uparta była ona, kiedy do nas przyszła. — Mądra obdarzyła Egwene uśmiechem, w którym kryła się prawdziwa sympatia. — Poskromiliśmy jej nadmierny entuzjazm i teraz uczy się łatwo. Chociaż wciąż popełnia zbyt wiele pomyłek.

Uśmiech zadowolenia zniknął z twarzy Egwene, Nynaeve podejrzewała, że to ze względu na ten uśmiech Melaine dodała ostatnie słowa.

— Jeżeli chcesz wędrować po snach — ciągnęła dalej kobieta Aiel — przyjdź do nas. Wyćpiemy również twoją gorliwość i nauczymy cię.

— Nie potrzebuję, by coś we mnie tępiono, dziękuję ci bardzo — odparowała Nynaeve z grzecznym uśmiechem.

— *Aan'allein* nie przeżyje dnia, kiedy się dowie, że umarłaś.

Nynaeve poczuła lodowate ukłucie w sercu. *Aan'allein* było imieniem, jakie Aielowie nadali Lanowi. Jedyne Człowiek, w Dawnej Mowie, lub Samotny Człowiek, albo wreszcie Człowiek Który Jest Całym Ludem, dokładne tłumaczenia z Dawnej Mowy często przysparzały trudności. Aielowie darzyli Lana wielkim szacunkiem jako człowieka, który nie zrezygnował ze swej walki z Cieniem, z wrogiem, który zniszczył jego lud.

— Stasujesz chwyty poniżej pasa — wymamrotała.

Melaine uniosła brwi.

— A walczymy ze sobą? Jeżeli tak, to wiedz, że w boju są tylko zwycięstwa i porażki. Reguły, których należy przestrzegać, by komuś nie stała się krzywda, odnoszą się jedynie do gier. Chcę, żebyś mi obiecała, że nie zrobisz, nic w śnie, nie zapytawszy pierwszej jednej z nas. Wiem, że Aes Sedai nie mogą kłamać, a więc chciałabym usłyszeć, jak to mówisz.

Nynaeve zazgrzytała zębami. Łatwo byłoby wypowiedzieć te słowa. Nie musiałyby ich potem przestrzegać, nie była związana Trzema Przysięgami. Ale oznaczałoby to przyznanie racji Melaine. Nie wierzyła jej, a więc nie powie nic.

— Ona nie obieca, Melaine — powiedziała na koniec Egwene. — Kiedy ma w oczach to mułowate spojrzenie, to nie wyszłyby z domu, nawet gdybyś jej pokazała, że dach już płonie.

Nynaeve popatrywała na nią ponuro. Mułowate spojrzenie, patrzcie sobie! A ona przecież tylko nie zgodziła się, by ją traktowano jak szmacianą lalkę.

Po dłuższej chwili Melaine westchnęła.

— Cóż, dobrze. Ale lepiej będzie, jeśli zapamiętasz, Aes Sedai, że jesteś tylko dzieckiem w *Tel'aran'rhiod*. Chodź Egwene. Czas już na nas.

Przez twarz Egwene przemknął błysk rozbawienia, kiedy obie zniknęły.

Nagle Nynaeve zdała sobie sprawę, że jej ubiór się odmienił. Został zmieniony, Mądre wiedziały dość na temat *Tel'aran'rhiod*, by dokonywać przemian u innych z równą łatwością, jak u siebie. Miała na sobie białą bluzkę i ciemną spódniczkę, ale w przeciwieństwie do spódnic kobiet, które przed momentem opuściły jej towarzystwo, jej spódnica kończyła się wysoko nad kolanami. Buty i pończochy zniknęły, włosy zaś zaplecione były w dwa warkocze wysoko nad uszami i zakończone żółtymi kokardami. Obok jej bosych stóp siedziała szmaciana lalka z główką wyrzeźbioną z drewna. Zazgrzytała zębami. Zdarzyło się to nie po raz pierwszy, po tamtym razie udało jej się dowiedzieć od Egwene, że w taki sposób Aielowie ubierają małe dziewczynki.

Ogarnięta furją, natychmiast wróciła do żółtych taraboniańskich jedwabii — tym razem przylegały jeszcze ściślej do ciała — i kopnęła lalkę. Poleciała w bok, rozptywając się w powietrzu. Ta Melaine chyba jednak miała jakieś zamiary wobec Lana, wszyscy Aielowie zdawali się sądzić, że jest jakimś bohaterem. Wysoki karczek zmienił się w suty koronkowy kołnierz, a głęboki wąski dekolt ukazał rowek między piersiami. Jeżeli ta kobieta choćby uśmiechnie się do niego...! Jeżeli on...! Nagle zdała sobie sprawę, że jej dekolt błyskawicznie pogłębia się i poszerza, więc szybko doprowadziła rzeczy do poprzedniego stanu, nie do końca zresztą, ale na tyle, by się nie rumieniła przed samą sobą. Sukienka stała się tak obcisła, że wręcz nie mogła się poruszyć, tym również się zajęła.

Oczekiwano od niej, że poprosi o pozwolenie, czyż tak? Że pójdzie błagać Mądre, zanim cokolwiek zrobi? Czy nie pokonała Moghedien? W swoim czasie naprawdę wywarło to na nich wrażenie, ale teraz najwyraźniej już zapomniały.

Jeżeli nie mogła uciec się do pomocy Birgitte, by się dowiedzieć, co zaszło w Wieży, to być może uda jej się dokonać tego na własną rękę.

CZEGO MOŻNA SIĘ DOWIEDZIEĆ W SNACH

Nynaeve uważnie odtworzyła w umyśle obraz gabinetu Amyrlin, dokładnie w taki sam sposób, w jaki wyobraziła sobie Serce Kamienia, kiedy kładła się spać. Zmarszczyła czoło, nic bowiem Się nie zdarzyło. Powinna się przenieść do Białej Wieży, do pomieszczenia, o którym myślała. Spróbowała ponownie, tym razem przywołując obraz pomieszczenia, które odwiedzała o wiele częściej, mimo iż bywała wówczas znacznie bardziej nieszczęśliwa.

Serce Kamienia zamieniło się w gabinet Mistrzynie Nowicjuszek, solidne, pokryte ciemną boazerią ściany, pokój wypełniony prostymi mocnymi meblami, których używały całe pokolenia kobiet sprawujących ten urząd. Kiedy wykroczenia nowicjuszek były tak duże, że zwykła pokuta, czyli dodatkowe godziny szorowania podłóg albo inne tego typu zajęcia okazywały się niewystarczające, wówczas odsyłano je do tego gabinetu. W przypadku Przyjętej otrzymanie takiego wezwania równało się bardzo poważnemu wykroczeniu, ale idąc tam, miała nogi jak z waty, gdyż wiedziała, że kara będzie równie bolesna, być może nawet bardziej.

Nynaeve nie miała ochoty przyglądać się dokładniej pomieszczeniu — podczas jej licznych wizyt w tym miejscu Sheriam określała ją jako umyślnie upartą — ale przyłapała się na tym, że patrzy w lustro zawieszone na ścianie, w którym nowicjuszki i Przyjęte musiały oglądać odbicie swego zapłakanego oblicza, słuchając jednocześnie wykładu Sheriam na temat przestrzegania reguł lub okazywania odpowiedniego szacunku, czy czego tam jeszcze. Posłuszeństwo względem reguł ustanawianych przez innych, tudzież okazywanie wymaganego szacunku zawsze przychodziło Nynaeve z trudem. Ledwie widoczne pozostałości po złoceniami na rzeźbionej ramie lustra wskazywały, że musi wisieć tutaj od czasów Wojny Stu Lat, a być może nawet od samego Pęknięcia.

Taraboniańska sukienka była piękna, ale każdy kto ją w niej zobaczy, od razu nabierze podejrzeń. Nawet kobiety Domani zazwyczaj ubierały się skromnie, kiedy składały wizytę w Wieży, a nie potrafiła wyobrazić sobie nikogo, kto śniłby o swej bytności w tym miejscu i nie zachowywałby się równocześnie najlepiej, jak potrafi. Nie chodziło o to, że spodziewała się tutaj spotkać kogoś, wyjąw-

szy być może tych, którzy na kilka chwil wsnili się najzupełniej przypadkowo do *Tel'aran'rhiod*, przed Egwene od dawna nie było w Wieży żadnej kobiety zdolnej do wejścia w Świat Snów, to znaczy od czasów Corianin Nedeal, ponad czterysta lat temu. Z drugiej jednak strony, wśród *ter'angreali* skradzionych z Wieży, które wciąż pozostawały w rękach Liandrin i jej współpracownic, jednaście badała właśnie Corianin. Dwa pozostałe obiekty jej badań, te dwa, które miały ona i Elayne, stwarzały możliwość przeniesienia się do *Tel'aran'rhiod*, należało więc zakładać, iż pozostałe pełnią podobne funkcje. Szanse na to, że Liandrin albo któraś z pozostałych powróciła we śnie do Wieży, z której wcześniej uciekła, były doprawdy niewielkie, ale nie należało ryzykować, skoro istniało choćby najmniejsze prawdopodobieństwo wpadnięcia w pułapkę. Jeśli już o to chodzi, nie mogła być do końca pewna, że lista ukradzionych *ter'angreali* zawiera wszystkie, które badała Corianin. Zapisy w księgach często bywały niejasne, jeśli chodzi o *ter'angreale*, których działania żadna z sióstr nie rozumiała, a więc inne, podobnie działające równie dobrze mogły pozostawać w rękach Czarnych sióstr wciąż obecnych w Wieży.

Sukienka zmieniła się całkowicie, miała teraz na sobie białą wełnę pośledniejszego gatunku, obszytą lamówką z siedmioma kolorowymi paskami, po jednym dla każdego Ajah. Gdyby zobaczył ją ktoś, kto nie zniknąłby po paru chwilach, mogłaby swobodnie się przenieść natychmiast do Siendy, ta osoba zaś pomyślałaby, że ta tylko jedna z Przyjętych dotknęła *Tel'aran'rhiod* w swoim śnie. Nie. Nie do gospody, lecz do gabinetu Sheriam. Każda, przed którą musiałaby się w ten sposób chować mogłaby przecież być jedną z Czarnych Ajah, a je wszak zobowiązana była ścigać.

Dokończyła swego przebrania i szarpnęła za warkocz, który nagle zaczął połyskiwać czerwonym złotem, potem wykrzywiła się do patrzącej na nią z lustra twarzy Melaine. Tak, oto była kobieta, którą z radością wydałaby w ręce Sheriam.

Gabinet Mistrzynie znajdował się w pobliżu kwater nowo przyjętych, na szerokim zaś, wykładanym płytami korytarzu skrzyła się biel sukien przerażonych nowicjuszek znikająca w wyszukanych draperiach ścian i za zgaszonymi stojącymi lampami. Doprawdy wiele dziewczęcych koszmarów dotyczyła Sheriam. Nie zwracała na nie uwagi, śpiesząc się, nie znajdowały się zresztą w Świecie Snów na tyle długo, aby ją zobaczyć, a jeśli nawet, te z pewnością uznają ją za część własnego snu.

Do gabinetu Amyrlin można było łatwo dotrzeć po szerokich schodach. Kiedy podeszła bliżej, nagle pojawiła się przed nią Elaida, pot spływał jej po twarzy, miała na sobie czerwoną suknię, stała zaś Zasiadającej na Tronie Amyrlin otaczała jej ramiona. Czy też coś, co przypominała stułę Amyrlin, nie było bowiem na niej błękitnego pasa.

Bezwzględne ciemne oczy spoczęły na postaci Nynaeve.

— Ja jestem Zasiadającą na Tronie Amyrlin, dziewczyno! Czy nie wiesz, jak

okazać należy mi szacunek? Pokażę ci wię... — W pół słowa zniknęła.

Nynaeve stała przez chwilę, ciężko dysząc. Elaida jako Amyrlin, to z pewnością był koszmar.

„Przypuszczalnie jej najśmielsze marzenia” — pomyślała gniewnie. — „Prędzej śnieg spadnie w Łzie, niż ona wzniesie się tak wysoka”.

Przedpokój był taki sam, jak go zapamiętała, z szerokim stołem i ustawianym za nim krzesłem — miejscem Opiekunki Kronik. Pod ścianami znajdowało się kilka krzeseł przeznaczonych dla Aes Sedai, które oczekiwały na audiencję u Amyrlin, nowicjuszek i Przyjęte w takich wypadkach musiały stać. Jednak porządek, który panował na stole wśród dokumentów, zwojów papieru i pergaminu zupełnie nie pasował do Leane. Nie żeby była bałaganiarą, wręcz przeciwnie, jednak Nynaeve zawsze się wydawało, że dopiero nocami tamta porządkowała swój stół.

Pchnęła drzwi wiodące do wewnętrznego pomieszczenia, ale kiedy weszła do środka, poczuła, że nogi ma jak z waty. Nic dziwnego, iż nie była w stanie wśnić się tutaj — pomieszczenie w niczym nie przypominało obrazu, jaki zapamiętała. Ten zdobnie rzeźbiony stół i wysokie, przypominające tron krzesło. Rzeźbione w liście winorośli stołki stały idealnym półkolem przed stołem, żaden nawet na cal nie wysuwał się do przodu. Siuan Sanche lubiła proste umeblowanie, jakby chciała tym samym pokazać, że wciąż jest tylko zwykłą córką rybaka, i miała w pokoju tylko jedno dodatkowe krzesło, z którego zresztą nie zawsze pozwalała odwiedzającym korzystać. I jeszcze ta biała waza pełna czerwonych róż, sztywno stercząca na postumencie jak pomnik. Siuan lubiła kwiaty, ale preferowała bukiety złożone z rozmaitych kolorów, niczym miniaturowe pola porośnięte dzikim kwieciami. Nad kominkiem wisiał kiedyś prosty rysunek przedstawiający łodzie rybackie o wysokich masztach. Teraz zastąpiły go dwa obrazy, scenę przedstawianą przez jeden z nich Nynaeve natychmiast rozpoznała — Rand walczący z Przeklętym, który nazywał siebie Ba'alzamonem, w chmurach nad Falme. Drugi, składający się z trzech drewnianych paneau, przedstawiał sceny, których nie potrafiła skojarzyć z niczym, co znała.

Drzwi otworzyły się, a Nynaeve serce podeszło do gardła. Rudowłosa Przyjęta, której nigdy dotąd nie widziała, weszła do pomieszczenia i zapatrzyła się na nią. W przeciwieństwie do pozostałych nie zniknęła natychmiast. Dokładnie w tej samej chwili, gdy Nynaeve już była gotowa się przenieść z powrotem do gabinetu Sheriam, rudowłosa przemówiła:

— Nynaeve, gdyby Melaine dowiedziała się, że posługujesz się jej twarzą, nie poprzestałaby na przebraniu cię w dziewczęcą sukienkę.

I zupełnie zniemacka okazało się, że stoi przed nią Egwene odziana w zwykły ubiór Aielów.

— Tak mnie przeraziłaś, że omal się nie postarzałam o dziesięć lat — wymamrotała Nynaeve. — A więc Mądre na koniec pozwoliły ci swobodnie poruszać się

po snach? Czy też Melaine jest gdzieś...

— Powinnaś się bać — warknęła Egwene, a rumieńce zabarwiły jej policzki.

— Jesteś głupia, Nynaeve. Dziecko bawiące się świeczką w stodole pełnej siana. Nynaeve aż otwarła usta ze zdumienia.

„Egwene ją strofuje?”

— Posłuchaj mnie, Egwene al’Vere. Nie pozwoliłam Melaine traktować się w taki sposób i nie zniosę tego...

— Lepiej, żebyś komuś wreszcie pozwoliła, zanim zostaniesz zabita.

— Ja...

— Powinnam zabrać ci ten kamienny pierścień. Powinnam dać go Elayne i powiedzieć, by w ogóle nie pozwalała ci z niego korzystać.

— Spróbuj jej tylko to...!

— Czy ty sądzisz, że Melaine przesadzała choć odrobinę? — powiedziała zdecydowanie Egwene, celując w nią palcem dokładnie tak samo, jak wcześniej Melaine. — Nie przesadzała, Nynaeve. Mądre bez przerwy powtarzają ci prostą prawdę na temat *Tel’aran’rhiod*, ale ty najwyraźniej sądzisz, że to pogwizdywania głupców podczas wichury. A na pozór jesteś dorosłą kobietą, nie zaś głupim małym dzieckiem. Przysięgam, że o ile miałaś kiedyś choć odrobinę zdrowego rozsądku, teraz wygląda na to, że się ulotnił niczym kłęb dymu. Cóż, znajdź go, znajdź, Nynaeve!

Parsknęła głośno, poprawiając szal na ramionach.

— Teraz właśnie próbujesz igrać z porządnym ogniem płonącym na kominku, zbyt głupia, by zdać sobie sprawę, że możesz wpaść do środka.

Nynaeve stała, patrząc na nią w zadziwieniu. Kłóciły się wystarczająco często, ale Egwene nigdy dotąd nie próbowała się zwracać do niej jak do dziewczynki schwytej z ręką w dzbanie z miodem. Nigdy! Suknia. Miała na sobie suknię Przyjętej i cudzą twarz. Szybko zmieniła się, powracając do swego poprzedniego wyglądu, do dobrych, niebieskich wełen, które często zakładała, na spotkania Koła i wtedy, gdy trzeba było przywołać do porządku Radę. Poczwała, jak wraz z ubiorem powraca do niej cała autorytet Wiedzącej.

— Doskonale zdaję sobie sprawę, jak niewiele wiem — oznajmiła pozbawionym intonacji głosem — ale te kobiety Aiel...

— A czy zdajesz sobie sprawę, że możesz wśnić się w coś, z czego nie będziesz mogła się wydostać? Tutaj sny są realne. Jeżeli zanurzysz się w jakiś dziwny, choćby nawet miły sen, może cię on pochwyć. Sama możesz wpaść we własną pułapkę, w której pozostaniesz, dopóki nie umrzesz.

— Czy...

— W *Tel’aran’rhiod* ucieleśniają się koszmary, Nynaeve.

— Czy dopuścisz mnie wreszcie do głosu? — warknęła Nynaeve. Albo raczej próbowała warknąć na Egwene, w jej głosie było nazbyt dużo konsternacji i prosby, by ją ta zadowoliło. W każdym razie tego już było dla niej za wiele.

— Nie, nie dopuszczę — twardo odrzekła Egwene. — Dopóki nie będziesz miała do powiedzenia czegoś, co byłoby warte wysłuchania. Koszmary, powiedziałam i miałam na myśli koszmary, Nynaeve. Kiedy ktoś śni koszmar, a znajduje się akurat w *Tel'aran'rhiod*, ten koszmar również staje się rzeczywisty. I czasami udaje mu się przeżyć tego, który go wyśnił. Nie zdajesz sobie z tego sprawy, nieprawdaż?

Nagle potężne dłonie pochwyciły Nynaeve za ramiona. Jej głowa zaczęła się trząść, oczy wyszły z orbit. Dwaj ogromni mężczyźni w łachmanach podnieśli ją do góry, spływające śliną usta odsłaniały ostre, pożółkłe zęby. Usiłowała sprawić, by zniknęli — jeżeli mogły tego dokonać. spacerujące po snach Mądre, również jej to się musi udać — a wtedy jeden z nich rozdarł jej suknię niczym zetłaly pergamin. Drugi ujął podbródek zrogowaciałą, pokrytą brodawkami i zgrubieniami dłonią, przysunął do swojej twarzy, nachylił się nad nią, otworzył usta. Czy chciał ją pocałować, czy ugryźć, nie wiedziała, ale pewna była, że raczej woli umrzeć, niżli zgodzi się na jedno bądź drugie. Sięgnęła rozpaczliwie po *saidara* i nie znalazła nic, wypełniało ją najczystsze przerażenie, nie zaś gniew. Potężne paznokcie zagłębiły się w jej policzkach, nie miała jak poruszyć głową. To wszystko było dziełem Egwene. Egwene w jakiś sposób to zrobiła.

— Proszę, Egwene! — Z jej ust wydarł się pisk, ale była nazbyt przestraszona, by się tym przejmować. — Proszę!

Ci ludzie — te stwory — zniknęli, a jej stopy ciężko grzmotnęły o posadzkę. Przez chwilę zdolna była tylko się trząść od szarpiących nią łkań. Potem jednak pospiesznie naprawiła poszarpaną suknię, ale zadrapania po długich pazurach pozostały na jej szyi i piersiach. Z ubiorem w *Tel'aran'rhiod* radziła sobie łatwo, ale co się działo z ciałem. . . Kolana drżały pod nią tak mocno, że musiała bardzo się starać, by nie upaść.

Na poły oczekiwała, że Egwene podejdzie i pocieszy ją, tym razem przyjęłaby to z zadowoleniem. Ale tamta powiedziała tylko:

— Są tutaj znacznie gorsze rzeczy, jednak same koszmary już bywają wystarczająco złe. Te ja stworzyłam i zniszczyłam, ale nawet ja miałam kłopoty z tymi, na które się dotąd natknęłam. I specjalnie się nie starałam ich podtrzymywać, Nynaeve. Gdybyś wiedziała, jak je zniszczyć, nie miałabyś z tym najmniejszych problemów.

Nynaeve gniewnie podrzuciła głowę, postanawiając nie ocierać łez spływających po policzkach.

— Mogłam się wśnić w jakieś inne miejsce. Do gabinetu Sheriam albo z powrotem do swego łóżka. — Nie zabrzmiało to szczególnie ponuro. Z pewnością nie.

Patrzyła płonącymi oczyma na drugą kobietę, ale nie działało to w taki sposób jak zazwyczaj, zamiast wdać się z nią w sprzeczkę, Egwene zwyczajnie uniosła brwi.

— Żadna z tych rzeczy nie pasuje do Suan Sanche — powiedziała po chwili Nynaeve, aby zmienić temat. Co wstąpiło w tę dziewczynę?

— To prawda — zgodziła się Egwene, rozglądając się po pomieszczeniu. — Teraz rozumiem, dlaczego musiałam się przenieść do swego dawnego pokoju w kwaterach nowicjuszek. Ale przypuszczam, że ludzie czasami decydują się na zmianę wystroju.

— To właśnie miałam na myśli — cierpliwie tłumaczyła jej Nynaeve. Jej głos nie brzmiał już ponuro, ona zaś nie wyglądała na zagniewaną. To było bezsensowne. — Kobieta, która umeblowała ten pokój, nie patrzy na świat w taki sam sposób, jak ta, która wybrała poprzednie umeblowanie. Spójrz na te obrazy. Nie mam pojęcia, co pokazuje ten potrójny, ale ten drugi możesz rozpoznać z równą łatwością jak ja. — Obie były przy przedstawionych na nim wydarzeniach.

— Powiedziałabym, że to jest Bonwhin — z namysłem oznajmiła Egwene. — Nigdy nie słuchałaś wykładów tak uważnie, jak powinnaś. A nazywa się tryptyk.

— Jakkolwiek się nazywa, istotny jest ten drugi. — Wystarczająco uważnie słuchała wykładów udzielanych przez Żółte. Cała reszta, a przynajmniej spora część, to był zbiór bezużytecznych nonsensów. — Wydaje mi się, że kobieta, która to powiesiła, potrzebowała ciągłego napomnienia a tym, jak niebezpieczny jest Rand. Jeśli Suan Sanche z jakiegoś powodu zwróciła się przeciwko Randowi... Egwene, to może być znacznie gorsze niżli tylko próba sprowadzenia Elayne do Wieży.

— Możliwe — odrzekła z namysłem Egwene. — Być może dowiemy się czegoś z tych dokumentów. Ty poszukaj tutaj, kiedy skończę z biurkiem Leane, przyjdę ci pomóc.

Nynaeve odprowadziła Egwene urażonym wzrokiem, kiedy tamta wychodziła z pomieszczenia.

„Ty poszukaj tutaj, dobre sobie!” — Egwene nie miała prawa wydawać jej rozkazów. Powinna pójść za nią i oznajmić to w nie budzący żadnych wątpliwości sposób. — „Dlaczego więc stoisz tutaj jak jakiś kloc?” — zapytała siebie z gniewem.

Przeszukanie dokumentów było znakomitym pomysłem, równie dobrze mogła to zrobić tutaj jak i tam. W rzeczywistości zapewne ważniejsze rzeczy znajdowały się na biurku Amyrlin. Mamrocząc coś pod nosem na temat tego, co robi, aby przywołać Egwene do porządku, podeszła do bogato rzeźbionego stołu, z każdym krokiem potykając się o spódnicę.

Na stole nie było nic prócz trzech zdobnie lakierowanych szkatułek, rozstawionych na nim z bolesną niemalże precyzją. Pamiętając a pułapkach, jakie mógł zastawić ktoś, kto chciał zachować pewne rzeczy w sekrecie, stworzyła długi kij, którym uniosła zamocowane na zawiasach wieczko pierwszego pudełka, złotozielone, zdobione w brodzące czaple. Była to szkatułka z przyborami do pisania, mieściła pióra, atrament i piasek. Największa szkatułka, z czerwonymi różami

rozkwitającymi poprzez złote spirale, zawierała co najmniej dwadzieścia maleńkich figurek ludzi i zwierząt, precyzyjnie wyrzeźbionych z kości słoniowej i turkusu. Wszystkie leżały na bladoszarym aksamicie.

Kiedy podniosła wieko trzeciej szkatułki — złote jastrzębie walczące wśród białych chmur na błękitnym niebie — zauważyła, że pierwsze dwie z powrotem były już zamknięte. 'Takie rzeczy zdarzały się tutaj, wszystkie przedmioty zachowywały się tak, jakby chciały powrócić do stanu, w jakim znajdowały się w świecie jawy, a na dodatek, gdy się coś na moment spuściło z oka, szczegóły mogły być już całkowicie różne, kiedy się spojrzało po raz drugi.

W trzeciej szkatułce znajdowały się dokumenty. Kij zniknął, ona zaś ostrożnie wzięła do ręki leżący na samym wierzchu pergamin. Podpisany przez Joline Aes Sedai, zawierał pokorną prośbę o odsłuzenie szeregu kar, na których widok Nynaeve mocno się skrzywiła. Nie było to nic ważnego, choć oczywiście Joline zapewne myślała inaczej. Pośpiesznie dopisana u dołu, kanciastym charakterem pisma, uwaga głosiła: „Zgadzam się”. Kiedy wyciągnęła rękę, by odłożyć pergamin na swoje miejsce, rozwiął jej się w dłoni, szkatułka również na powrót była zamknięta.

Westchnęła i otworzyła ją ponownie. Dokumenty w środku wyglądały jakos inaczej. Przytrzymując wieczko, wyciągała je jeden po drugim i szybko przebiegała wzrokiem. Przynajmniej próbowała. Czasami listy i raporty zniknęły, zanim jeszcze zdążyła unieść je do oczu, czasami zanim przeczytała choćby pół strony. Jeżeli nawet posiadały jakiś nagłówek zazwyczaj było to proste: „Matko, zwracam się z całym szacunkiem”. Jedne były podpisane przez Aes Sedai, niektóre przez kobiety noszące szlacheckie tytuły, a jeszcze inne w ogóle pozbawione były zwrotów grzecznościowych. Żaden z nich nie wydawał się w najmniejszej choćby mierze dotyczyć interesujących je spraw. Nie można odkryć miejsca pobytu Marszałka Generała Saldae i jego armii, królowa Tetrobia zaś odmawia współpracy, ten raport — doczytała go do końca — zakładał, że czytelnik będzie doskonale wiedział, dlaczego tamtego nie ma w Saldae i dlaczego królowa powinna współpracować. Już od trzech tygodni brak było raportów z którejkolwiek siatki szpiegowskiej dowolnych Ajah w Tanchico, ale nie udało jej się przeczytać więcej niżli tylko to. Jakies kłopoty na granicy Illian i Murandy zmniejszyły się, a Pedron Niall przypisywał sobie całą zasługę, nawet w tych kilku linijkach potrafiła niemalże wyczuć, jak pisząca te słowa zgrzyta ze złości zębami. Listy były bez wątpienia niezwykle ważne, zarówno te, które była w stanie pośpiesznie przejrzeć, jak i te, które rozplywały się jej przed oczyma, ale dla niej nie miały żadnej wartości. Zaczęła właśnie coś, co zdawało się raportem na temat podejrzanego — tego właśnie użyto słowa — miejsca zebrania Błękitnych sióstr, kiedy z sąsiedniego pokoju dobiegł ją żalostny okrzyk:

— Och, Światłości, nie!

Rzuciła się ku drzwiom, a w jej ręku pojawiła się krótka drewniana pałka

z głownią najeżoną kolcami. Kiedy wpadła do przedpokoju gabinetu, spodziewając się zastać Egwene walczącą o życie, tamta stała tylko bez ruchu przed stołem Opiekunki, wpatrując się w przestrzeń. Na jej twarzy gościł wyraz skrajnego przerażenia, jednak na tyle, na ile Nynaeve ogarniała sytuację, nie działa jej się żadna krzywda.

Egwene wzdrygnęła się na jej widok, potem najwyraźniej zebrała się w sobie.

— Nynaeve, Elaida jest Zasiadającą na Tronie Amyrlin.

— Gadasz jak głupia gęś — zadrwiła Nynaeve. Jednakże tamten pokój, tak niepodobny do Suan Sanche... — Musiałś sobie coś wyobrazić. To jest niemożliwe.

— Miałam w dłoniach pergamin, Nynaeve, podpisany „Elaida do Avri-ny a’Roihan, Strażniczka Pieczęci Płomienia Tar Valon, Zasiadająca na Tronie Amyrlin” i przypieczętowany znakiem Amyrlin.

Nynaeve miała wrażenie, że jej żołądek zaczął trzepotać.

— Ale jak? Co się stało z Suan? Egwene, Wieża nie usunie żadnej Amyrlin, chyba że będzie chodziło o coś wyjątkowo poważnego. Zdarzyło się to tylko dwa razy w ciągu niemalże trzech tysięcy lat.

— Być może sprawa Randa jest wystarczająco poważna — głos Egwene był mocny, chociaż oczy wciąż odrobinę zbyt szeroko otwarte. — Być może zachorowała na coś, czego Żółte nie potrafiły Uzdrowić, albo spadła ze schodów i skręciła kark. Znaczenie ma tylko to, że Elaida jest obecnie Amyrlin. Nie przypuszczam, by popierała Randa w takim samym stopniu, jak czyniła to wcześniej Suan.

— Moiraine — wymruczała Nynaeve. — Tak pewna, że za przykładem Suan poprze go cała Wieża.

Nie potrafiła sobie wyobrazić, by Suan Sanche mogła nie żyć. Nienawidziła tej kobiety, a czasami nawet trochę się jej bała — teraz mogła się do tego przyznać, przynajmniej przed sobą — ale również ją szanowała. Myślała, że Suan będzie żyła wiecznie.

— Elaida. Światłości! Ona jest podła jak wąż i okrutna jak kot. Nie da się przewidzieć, do czego okaże się zdolna.

— Obawiam się, że mam wskazówkę. — Egwene przycisnęła obie ręce do brzucha, jakby ona też chciała w ten sposób uspokoić rozdygotany żołądek. — To był bardzo krótki dokument. Udało mi się przeczytać go w całości. „Wszystkie lojalne wobec Wieży siostry zobowiązane są donieść o spotkaniu z kobietą nazywającą się Moiraine Damodred. Należy ją zatrzymać, o ile okaże się to możliwe, używając wszelkich dostępnych środków i dostarczyć do Wieży, gdzie czeka ją proces o zdradę”. Napisany tym samym językiem, którego najwyraźniej użyto w sprawie Elayne.

— Skoro Elaida chce aresztować Moiraine, to w takim razie wie, że ona pomaga Randowi i nie podoba jej się to. — Słowa wypływające z jej ust przynosiły odrobinę ukojenia. Dzięki temu nie miała ochoty tylko wyć. Zdrada. Za coś takie-

go ujarzmiano kobiety. Sama chciała wcześniej zniszczyć Moiraine. Teraz Elaida robi to za nią. — Ona z pewnością nie popiera Randa.

— Rzeczywiście.

— Lojalne siostry. Egwene, to zgadza się z wiadomością tej kobiety, Macury. Cokolwiek przydarzyło się Siuan, Ajah się podzieliły w związku z wyniesieniem Elaidy na Tron Amyrlin. Musiało tak być.

— Tak, oczywiście. Bardzo dobrze, Nynaeve. Sama bym tego nie dostrzegła.

Jej uśmiech był tak miły, że Nynaeve musiała odpowiedzieć jej tym samym.

— Na biurku Siu... na biurku Amyrlin znajduje się raport dotyczący zgromadzenia Błękitnych. Czytałam go właśnie, kiedy krzyknęłaś. Założę się, że Błękitne nie popierają Elaidy. — Błękitne i Czerwone Ajah w najlepszych czasach znajdowały się w stanie czegoś, co można by określić jako zbrojny pokój, a w najgorszych gotowe były skakać sobie do gardeł.

Kiedy jednak wróciły do wewnętrznego pomieszczenia, raportu nigdzie nie można było znaleźć. Przejrzały mnóstwo dokumentów — ponownie pojawił się list Joline, Egwene rzuciła tylko nań okiem i brwi podjechały jej niemal pod samą granicę włosów — ale tego, czego szukały, nie było.

— Pamiętasz może, co tam było napisane? — zapytała Egwene.

— Przeczytałam tylko kilka linijek, kiedy krzyknęłaś i... Po prostu nie pamiętam.

— Spróbuj sobie przypomnieć, Nynaeve. Postaraj się.

— Próbuję, Egwene, ale to się na nic nie zda. Naprawdę próbuję.

To, co właśnie przed chwilą zrobiła, uderzyło Nynaeve niczym nagły cios młotem między oczy. Usprawiedliwia się. Przed Egwene, dziewczyną, której spuściła lanie za napady złego humoru nie dalej jak dwa lata temu. A chwilę wcześniej była zadowolona niczym kura, co zniosła jajko, Egwene bowiem ją pochwaliła. Całkiem wyraźnie pamiętała dzień, kiedy równowaga między nimi została zachwiana, kiedy przestały być Wiedzącą i dziewczyną, która podaje, gdy Wiedząca mówi „podaj”, a zamiast tego były po prostu dwoma kobietami z dala od domu. Wyglądało na to, że równowaga przesunęła się jeszcze dalej, a to się jej szczególnie podobało. Musiała coś zrobić, aby przywrócić rzeczy do takiego stanu, w jakim były wcześniej.

Kłamstwo. Z rozmysłem okłamywała Egwene od pierwszego razu aż do dzisiaj. W ten sposób właśnie straciła swój autorytet moralny, dlatego właśnie brnęła i grzęzła teraz, niezdolna do odzyskania twarzy.

— Wypiłam tę herbatę, Egwene. — Z wysiłkiem wyduszała z siebie każde słowo. Musiała się zmuszać, by je wypowiedzieć. — Herbatę z widłokorzemia u tej kobiety, Macury. Ona i Luci zawlokły nas obie na górę niczym worki z pierzem. To ci najlepiej pokaże, ile nam zostało sił. Gdyby Thom i Juilin nie przyszli i nie wywlekli nas za karki, przypuszczalnie do tej pory byśmy tam leżały. Albo już

byśmy jechały do Wieży, pełne po dziurki w nosie widłokorzenia, i nie obudziłybyśmy się prędzej niż dopiero na miejscu.

Wzięła głęboki oddech i spróbowała mówić tonem pełnym nieustępliwego przekonania o własnej słuszności, ale było to trudne, skoro przed chwilą wyznała właśnie, że zachowała się jak skończona idiotka. To, co ostatecznie udało się jej osiągnąć, brzmiało o wiele mniej pewnie, niżby pragnęła.

— Jeżeli powiesz o tym Mądrym... a w szczególności Melaine... oberwę ci uszy.

To, co przed chwilą powiedziała, powinno obudzić gniew Egwene. Dziwne byłoby, gdyby teraz zaczęły się kłócić — zwłaszcza, że zazwyczaj ich sprzeczki polegały na tym, iż Egwene nie chciała zaakceptować rozsądnych argumentów, rzadko zaś kończyły się przyjemnie, tamta bowiem nabrała zwyczaju bezustannego negowania jej racji — lecz z pewnością tak byłoby lepiej. Jednak Egwene tylko uśmiechnęła się do niej. Uśmiechem pełnym rozbawienia. Uśmiechem pełnym protekcyjnego rozbawienia.

— Podejrzywałam, że tak się stało, Nynaeve. Całymi dniami i nocami gadasz tylko o ziołach, ale nigdy nie wspomniałaś o czymś, co zwałoby się widłokorzeń. Pewna byłam, że ty również nigdy nie słyszałaś tej nazwy, dopóki nie wymieniła jej ta kobieta. Zawsze starałaś się pokazywać siebie w lepszym świetle, niż wynikało to z faktów. Jeżeli wsadzałaś głowę do chlewa, przekonywałaś potem wszystkich, że zrobiłaś to celowo. Teraz jednak musimy postanowić...

— Nigdy tak się nie zachowywałam — wypluła z siebie Nynaeve.

— A właśnie, że tak. Mówią o tym fakty. Równie dobrze mogłabyś przestać skomleć na ten temat i pomóc mi zdecydować...

Skomleć! Wszystko toczyło się zupełnie inaczej, niż chciała.

— Tak się nie działo. Nie myślę tutaj o faktach. Nigdy nie zachowywałam się w taki sposób, jak mówisz.

Przez chwilę Egwene patrzyła na nią w milczeniu.

— Nie darujesz sobie tego, nieprawdaż? Cóż, dobrze. Okłamałaś mnie...

— To nie było kłamstwo — wymamrotała. — Nie w ścisłym tego słowa znaczeniu.

Druga kobieta nie zwracała na nią uwagi.

— ...I okłamałaś samą siebie. Czy pamiętasz, co kazałaś mi wypić ostatnim razem, kiedy nie powiedziałam ci prawdy? — Nagle w jej dłoni pojawił się kubek pełen paskudnego, obrzydliwego zielonego napoju, wyglądał, jakby zaczerpnięto go z jakiegoś pełnego szumowin stawu, w którym woda gniła już od bardzo dawna. — Jedyne raz, kiedy cię okłamałam. Wspomnienie tego smaku skutecznie zniechęca mnie do kłamstw. Jeżeli więc nie potrafisz nawet przed sobą przyznać się do prawdy...

Nynaeve mimowolnie cofnęła się o krok, dopiero po chwili zdając sobie sprawę, co robi. Sparzona kocia narecznica i sproszkowany liść mawinii, jej język

skręcał się na samą myśl.

— Tak naprawdę, to wcale nie skłamałam. — Dlaczego znowu się usprawiedliwia? — Po prostu nie powiedziałam całej prawdy.

„Jestem Wiedzącą! Byłam Wiedzącą, to powinno coś jeszcze znaczyć”.

— Nie sądzisz chyba, że...

„Po prostu powiedz jej to. Nie jesteś żadnym dzieckiem i z pewnością nie musisz tego pić”.

— Egwene, ja... — Egwene podsunęła jej kubek niemalże pod sam nos, mogła już poczuć kwaśny odór. — W porządku — dodała pośpiesznie.

„To się nie dzieje naprawdę!”

Ale nie potrafiła spuścić wzroku z parującego kubka i nie potrafiła powstrzymać potoku wylewających się z niej słów.

— Czasami naginałam fakty, by przedstawić się w lepszym świetle. Czasami. Ale nie wtedy, gdy dotyczyło to czegoś ważnego. Nigdy... nie kłamałam... w żadnej ważnej sprawie. Nigdy, przysięgam. Chodziło tylko o drobne rzeczy.

Kubek zniknął, a Nynaeve odetchnęła z ulgą.

„Głupia, głupia kobieta! Ona nie potrafiłaby cię zmusić, byś go wypila! Co się z tobą dzieje?”

— Musimy zdecydować — ciągnęła dalej Egwene, jakby nic przed chwilą nie zaszło — komu o tym powiedzieć. Moiraine z pewnością musi wiedzieć, Rand również, ale jeśli wszyscy o tym usłyszą... Aielowie mają osobliwy stosunek do Aes Sedai, tak samo jak do innych rzeczy. Myślę, że niezależnie od wszystkiego pójdą za Randem, skoro jest Tym Który Przychodzi Ze Świtem, ale kiedy dowiedzą się, że nie popiera go już Biała Wieża, mogą okazać się mniej chętni.

— Dowiedzą się wcześniej czy później — wymamrotała Nynaeve.

„Ona nie mogłaby mnie zmusić, bym to wypila!”

— Lepiej więc później niż wcześniej, Nynaeve. A więc kontroluj swoje emocje, żebyś czegoś nie powiedziała Mądrym podczas naszego następnego spotkania. Najlepiej byłoby, gdybyś w ogóle nie wspominała o tej wizycie w Wieży. Tym sposobem łatwiej ci będzie dochować tajemnicy.

— Nie jestem taka głupia — odparła sztywno Nynaeve i poczuła, jak coś ją pali w środku, kiedy Egwene znowu uniosła brwi w ten swój denerwujący sposób. Nie miała najmniejszego zamiaru wspominać o tej wizycie Mądrym. Nie dlatego, że łatwiej było się im przeciwstawiać za ich plecami. W żadnej mierze. A ona przecież nie zawsze próbowała ukazywać siebie w korzystnym świetle. To nie w porządku, że Egwene może sobie biegać, gdzie chce po *Tel'aran'rhiod*, kiedy ona musi wysłuchiwać wykładów i obelg.

— Wiem, że nie jesteś — powiedziała Egwene. — Dopóki twój temperament nie bierze nad tobą władzy. Musisz trzymać na wodzy swoje emocje i zachowywać za wszelką cenę zdrowy rozsądek, jeśli prawdą jest to, co mówisz o Przeklętych, a w szczególności na temat Moghedien.

Nynaeve spojrzała na nią palającym wzrokiem, otworzyła już usta, by powiedzieć, że potrafi panować nad sobą i wytarga ją za uszy, jeśli będzie uważała inaczej, ale tamta nie dopuściła jej do głosu.

— Musimy się dowiedzieć, gdzie jest to zgromadzenie Błękitnych sióstr. Jeżeli znajdują się w opozycji do Elaidy, być może... tylko być może... będą chciały udzielić poparcia Randowi tak, jak robiła to Sivan. Czy w tym raporcie było wymienione jakieś miasto? Może wioska? Chociaż kraj?

— Myślę, że... Nie pamiętam. — Ze wszystkich sił starała się stłumić te defensywne tony pobrzmiewające w jej głosie.

„Światłości, wyznałam wszystko, zrobiłam z siebie idiotkę, i tylko jeszcze pogorszyłam całą sprawę!”

— Postaram się sobie przypomnieć.

— Dobrze. Musimy je znaleźć, Nynaeve. — Przez chwilę Egwene wpatrywała się w nią badawczo, podczas gdy ona ze wszystkich sił starała się powstrzymać przed powtarzaniem tej głupiej frazy. — Nynaeve, będziesz musiała się zająć Moghedien. I nie szarżuj niczym niedźwiedz na wiosnę tylko dlatego, że uciekła ci wtedy w Tanchico.

— Nie jestem głupia, Egwene — ostrożnie powiedziała Nynaeve. To było naprawdę trudne trzymać swoje emocje na wodzy, ale jeśli Egwene najzwyczajniej ignorowała wybuchy jej gniewu albo po prostu traktowała ją z góry, niczego więcej nie mogła osiągnąć, niż tylko wyjść na jeszcze większą prostaczkę niżli dotąd.

— Wiem. Ty tak powiedziałaś. Tylko zawsze o tym pamiętaj. Bądź ostrożna. — Egwene nie rozplynęła się tym razem powoli, zniknęła równie nagle jak Birgitte.

Nynaeve patrzyła tępych wzrokiem na miejsce, gdzie przed chwilą stała tamta, w głowie kłębiły jej się słowa, których nigdy by nie wypowiedziała. Na koniec zdała sobie sprawę, że równie dobrze mogłaby tutaj stać całą noc, powtarzała więc sobie, że czas na to, by cokolwiek powiedzieć, nieodwołalnie minął. Mamrocząc coś pod nosem, wyszła z *Tel'aran'rhiod* prosto do swego łóżka w Siendzie.

* * *

Egwene wytrzeszczonymi oczyma starała się przeniknąć całkowitą ciemność, rozświetloną tylko nieznacznie promieniami księżyca wślizgującymi się przez otwór odprowadzający dym. Zadowolona była, że głęboko zagrzebała się pod sterką kocy, ogień wygasł, a mroźne zimno wypełniało wnętrze namiotu. Jej oddech zamieniał się w parę tuż przed twarzą. Nie unosząc głowy, uważnie przyglądała się otoczeniu. Żadnych Mądrych. Wciąż była sama.

To było przedmiotem jej największych obaw podczas samotnych wypraw do *Tei'aran'rhiod* — że powracając, zastanie Amys lub jedną z pozostałych w swoim namiocie. Cóż, być może nie tego bała się najbardziej — niebezpieczeństwa, jakie czyhały w Świecie Snów były rzeczywiście tak groźne, jak to powiedziała Nynaeve — ale w każdym razie obawiała się tego bardzo. Nie chodziło tutaj nawet o karę, nawet taką, jakiej mogłaby się spodziewać od Bair. Gdyby się obudziła i zastała jedną z Mądrych wpatrującą się w nią, łatwo zgodziłaby się ponieść nawet najsurowszą karę, jednak Amys powiedziała jej, prawie na samym początku, że jeśli wejdzie do *Tel'aran'rhiod* bez jednej z nich., to odeślą ją wówczas i nie będą już dłużej niczego jej uczyć. Tego właśnie obawiała się bardziej niż czegokolwiek innego, co mogłyby jej zrobić. Ale nawet mając to na uwadze, musiała tak postępować. Niezależnie od tego, jak szybko starały się ją wszystkiego nauczyć, dla niej było to zbyt wolno. Chciała już teraz wiedzieć, wiedzieć wszystko.

Przeniosła i zapaliła lampę, potem roznieciła ogień na palenisku, nic nie zostało do spalenia, ale splotła strumienie w taki sposób, że ogień płonął bez konieczności utrzymywania splotów. Leżała przez chwilę nieruchomo, obserwując, jak jej oddech zamienia się w parę tuż przy ustach i czekając, aż zrobi się dosyć ciepło, by mogła się ubrać. Było już późno, ale być może Moiraine jeszcze nie śpi.

To, co się zdarzyło z Nynaeve, wciąż przepełniało ją rozbawieniem.

„Przypuszczam, że naprawdę by wypięła, gdybym ją dalej naciskała”.

Tak bardzo się obawiała, że Nynaeve dowie się, iż właściwie wcale nie ma pozwolenia Mądrych na samodzielną włóczęgę po Świecie Snów. Była do tego stopnia przekonana, że rumieniec zażenowania ją zdradzi, iż potrafiła tylko myśleć o tym, jak nie dopuścić tamtej do głosu, nie pozwolić jej odkryć prawdy. Nie wątpiła, że na koniec wszystko i tak wyjdzie na jaw — ta kobieta była najzupełniej zdolna do tego, by ją wydać i twierdzić, że to dla jej dobra — potrafiła więc tylko nieprzerwanie mówić, każdorazowo starając się kierować rozmowę na to, co Nynaeve źle robiła. Nieważne do jakiego stopnia Nynaeve udałoby się ją rozczłóścić, i tak byłaby niezdolna nawet do podniesienia głosu. Ale dzięki temu w jakiś sposób udało jej się osiągnąć przewagę.

Jeśli już o to chodzi, to Moiraine również rzadko podnosiła głos, a kiedy już tak czyniła, wówczas okazywało się, że to najmniej skuteczny sposób na osiągnięcie zamierzonego celu. Było tak również, zanim zaczęła się zachowywać tak dziwnie względem Randa. Mądre także nigdy na nikogo nie krzyczały — wyjąwszy siebie nawzajem, czasami — i mimo całego narzekania, że wodzowie ich nie słuchają, jakoś udawało im się o wiele częściej postawić na swoim niż odwrotnie. Istniało stare powiedzenie, którego nigdy dotąd w pełni nie rozumiała: „Wyteż się, by usłyszeć szept ten, kto odmawia przyjęcia do wiadomości krzyku”. Nigdy więcej odtąd nie będzie już krzyczeć na Randa. Cichy, nieustępliwy, kobiecy głos,

o to właśnie chodziło. A poza tym nie powinna krzyczeć na Nynaeve również dlatego, że była kobietą, nie zaś dziewczynką kierowaną napadami złego humoru.

Przylapała się na tym, że chichocze. W szczególności nie powinna podnosić głosu w obecności Nynaeve, kiedy spokój przynosił takie rezultaty.

W namiocie na koniec zrobiło się wystarczająco ciepło, że mogła wypełznąć spod koców, ubrała się szybko. Musiała jednak rozbić skorupę lodu w miednicy, żeby zmyć ślady snu z twarzy. Narzuciła płaszcz z ciemnej wełny na ramiona i rozwiązała nici Ognia — Ogień sam z siebie mógł się stać niebezpieczny, gdy się go zostawiało bez dozoru — a kiedy płomień zgasł, wymknęła się z namiotu. Chłód pochwycił ją w swe objęcia niczym szczęki imadła, kiedy śpieszyła przez obóz.

Widziała tylko najbliższe namioty, niskie ocienione kształty, które równie dobrze mogły być częścią poszarpanego terenu, mimo że obóz rozciągał się na wiele mil w każdą stronę.

Wysokie, ostre szczyty ponad głową nie były jeszcze Grzbietem Świata, ten był o wiele wyższy i leżał o dzień drogi na zachód. Z wahaniem podeszła do namiotu Randa. Wzdłuż pokrywy wejścia dostrzegła srebrne niteczki światła. Kiedy znalazła się bliżej, na jej powitanie uniosła się z ziemi Panna, z rogowym łukiem na plecach, kołczanem przy pasie, włóczniami i tarczą w dłoniach. Egwene nie mogła w mroku dostrzec pozostałych, ale wiedziała, że one tam są, nawet tutaj, w otoczeniu sześciu klanów, które przysięgły lojalność *Car'a'carnowi*. Miagoma znajdowali się gdzieś na zachodzie, szli równolegle do trasy ich marszu, Timolan nie określił, jakie są jego zamiary. Gdzie były pozostałe klany, o to Rand najwyraźniej się nie troszczył. Jego uwagę zajmował wyścig do Przełęczy Jangai.

— Czy on już śpi, Enaila? — zapytała.

Cienie księżycowej poświaty zadrgały na twarzy Panny, gdy pokręciła głową.

— Śpi zdecydowanie za mało. Mężczyzna nie poradzi sobie bez wystarczającego odpoczynku. — W jej głosie, gotowa była przysiąc, brzmiały tony właściwa raczej matce lamentującej nad swoim synem.

Cień obok namiotu poruszył się, rozpoznała w nim Aviendhę, opatuloną szczelnie szalem. Zdawała się zupełnie nie odczuwać zimna, martwiła się jedynie późną porą.

— Zaśpiewałabym mu kołysankę, gdybym sądziła, że to coś pomoże. Słyszałam o kobietach, które nie śpią przez całe noce z powodu swego dziecka, ale dorosły mężczyzna powinien wiedzieć, że inni też chcieliby odpocząć. — Ona i Enaila zaśmiały się razem, krótkim chichotem.

Kręcąc głową nad osobliwym poczuciem humoru Aielów, Egwene nachyliła się, by zajrzeć przez szparę do wnętrza. W środku paliło się kilka lamp. Nie był sam. Ciemne oczy Nataela patrzyły cokolwiek dziko, bard tłumiał ziewanie. Przynajmniej jemu chciało się spać. Rand leżał wyciągnięty blisko jednej ze złotych oliwnych lamp, czytał oprawioną w zniszczoną skórę książkę. Na ile go

znała, jakieś tłumaczenie kolejnych Proroctw Smoka.

Nagle przerzucił kilka stron do tyłu, przeczytał i zaśmiał się. Próbowwała ze wszystkich sił się przekonać, że nie było śladu szaleństwa w tym śmiechu, tylko gorycz.

— Dobry żart — powiedział do Nataela, zatrzasnął książkę i rzucając mu. — Przeczytaj stronę dwieście osiemdziesiątą siódmą i czterechsetną i powiedz mi, czy się z tym zgadzasz.

Egwene wyprostowała się, zaciskając usta. Naprawdę mógłby bardziej ostrożnie obchodzić się z książkami. Nie mogła teraz z nim mówić, nie w obecności barda. To wstyd, że musi korzystać z towarzystwa człowieka, którego ledwie zna. Nie. Ma Aviendhę, wodzowie też często u niego bywają, Lan codziennie, nieco rzadziej Mat.

— Dlaczego nie przyłączysz się do nich, Aviendha? Gdybyś była w środku, być może miałby ochotę porozmawiać o czymś innym zamiast tylko o tej książce.

— Chciał porozmawiać z bardem, Egwene, a rzadko to czyni w obecności mojej lub kogoś innego. Gdybym nie wyszła, on wyszedłby razem z Nataelem.

— Dzieci przysparzają mnóstwo kłopotów, jak słyszałam — zaśmiała się Enaila. — A synowie są najgorsi. Możesz się sama przekonać, czy to jest prawda, teraz, kiedy porzuciłaś włócznie.

Aviendha spojrzała na nią krzywo, a potem wycofała się na swoje miejsce przy ścianie namiotu niczym obrażony kot. Enaila zdawała się sądzić, że to również jest śmieszne, aż trzymała się za boki, zanosząc rechotem.

Mrucząc coś do siebie na temat poczucia humoru Aielów — chyba nigdy go nie zrozumie — Egwene poszła w kierunku namiotu Moiraine, stał niedaleko namiotu Randa. Tutaj również srebrna nitka światła znaczyła miejsce, gdzie kłapa stykała się ze ścianą i zrozumiała, że Aes Sedai także nie śpi. Moiraine przenosiła niewielkie porcje Mocy, ale Egwene i tak je wyczuła. Lan leżał w pobliżu, spał, owinięty w swój płaszcz Strażnika, oprócz głowy i butów, reszta zdawała się częścią nocy. Zebrawszy poły swego płaszcza, podniosła spódnice i ruszyła na czubkach palców, nie chcąc go budzić.

Rytm jego oddechu się nie zmienił, ale coś jej kazało spojrzeć na niego znowu. Poświata księżycy lśniła w oczach Lana, otwartych, czujnych. Kiedy tylko odwróciła głowę, zamknęły się na powrót. Nie drgnął w nim żaden mięsień, równie dobrze mógłby się wcale nie budzić. Czasami ten człowiek doprowadzał ją do szaleństwa. Cokolwiek widziała w nim Nynaeve, ona z pewnością nie potrafiła tego dostrzec.

Uklękła przy kłapie namiotu, zajrzała do wnętrza. Moiraine siedziała otoczona poświatą *saidara*, mały błękitny kamień, który zazwyczaj wisiał na czole, kołysał się teraz na łańcuszku przed jej twarzą. Lśnił, dodając odrobinę swego blasku do światła pojedynczej lampy. Na palenisku były już tylko popioły, nawet woń zdążyła się rozwiać.

— Mogę wejść?

Musiała powtórzyć, zanim Moiraine usłyszała.

— Oczywiście. — Poświata *saidara* zgasła, Aes Sedai zaczęła wplatać delikatny złoty łańcuszek na powrót we włosy.

— Podśluchiwałaś Randa? — Egwene rozgościła się obok tamtej. W namiocie było równie zimno jak na zewnątrz. Przeniosła płomienie na kupkę popiołów na palenisku i zaplotła strumień. — Powiedziałaś, że nigdy już tego nie będziesz robić.

— Powiedziałam, że skoro Mądre mogą śledzić jego sny, powinniśmy mu dać odrobinę prywatności. Nie poprosiły o to ponownie, od kiedy zamknął je przed nimi, ja zaś nie proponowałam. Pamiętaj, że one mają swoje własne cele, które niekoniecznie muszą się pokrywać z celami Wieży.

Tym samym zbliżyły się do meritum sprawy. Egwene wciąż nie była pewna, jak oznajmić to, czego się dowiedziała, nie zdradzając się jednocześnie przed Mądrymi, ale przypuszczalnie jedyną metodą było po prostu powiedzieć, a potem wymyślić jakiś sposób.

— Elaida jest Amyrlin, Moiraine. Nie wiem, co stało się z Suan.

— Skąd to wiesz? — cicho zapytała Moiraine. — Czy dowiedziałaś się czegoś podczas spacerów po snach? Czy twój Talent Śniącej w końcu doszedł do głosu?

Oto była droga wyjścia. Niektóre z Aes Sedai w Wieży sądziły, że ona może być Śniącą, kobietą, której sny przepowiadały przyszłość. Miewała sny, o których wiedziała, że są znaczące, ale umiejętność ich interpretacji była zupełnie inną sprawą. Mądre powiedziały, że ta wiedza przyjść musi z jej wnętrza, a żadna z Aes Sedai nie mogła jej bardziej pomóc. Rand siedział na krześle i skądś wiedziała, że poprzedni właściciel tego krzesła będzie morderczo wściekły, iż mu je zabrano, że jest to na dodatek kobieta, tyle tylko rozumiała, i nic więcej. Czasami jej sny były bardziej skomplikowane. Perrin trzymający Faile na kolanach i całujący ją, podczas gdy ona zabawiała się kosmykami jego brody, którą nosił we śnie. Za nimi falowały na wietrze dwa sztandary, czerwony łeb wilka i szkarłatny orzeł. Człowiek w jaskrawożółtym kaftanie stał blisko ramienia Perrina, miecz miał przewieszony przez plecy. Skądś wiedziała, że jest to Druciarz, a przecież żaden Druciarz nigdy nie wzięłby miecza do ręki. I każdy szczegół tego snu, z wyjątkiem brody, zdawał się istotny. Sztandary, Faile całująca Perrina, nawet Druciarz. Za każdym razem, kiedy zbliżał się do Perrina, było tak, jakby na wszystko padał cień zagłady. Inny sen. Mat rzuca kości, a krew spływa po jego twarzy, szerokie rondo kapelusza nasunięte ma tak nisko, że nie widać rany, podczas gdy Thom Merrill wkłada ręce do ognia, aby wyciągnąć zeń mały błękitny kamyczek, który w rzeczywistości wisi na czole Moiraine. Czy też sen o burzy, wielkich czarnych chmurach przetaczających się po niebie bez najbliższego choćby podmuchu wiatru, podczas gdy rozwidlone błyskawice, wszystkie identyczne, biją w ziemię. Miewała sny, ale jako Śniąca dotąd zawodziła.

— Widziałam nakaz aresztowania ciebie, Moiraine, podpisany przez Elaidę jako Amyrlin. I to nie był zwykły sen. — Wszystko prawda. Tylko, że nie cała. Nagle poczuła zadowolenie, że Nynaeve nie ma w pobliżu.

„Gdyby tu była, to ja zagładałabym do wnętrza kubka”.

— Koło kręci się tak, jak chce. Być może to nie będzie tak istotne jeżeli Rand przeprowadzi Aielów przez Mur Smoka. Wątpię, by Elaida dalej wysyłała poselstwa do władców, nawet jeśli wie, że tak postępowała Suan.

— I to wszystko, co powiesz? Myślałam, że Suan była kiedyś twoją przyjaciółką. Nie uronisz nawet jednej łzy?

Aes Sedai spojrzała na nią, a w jej chłodnym, spokojnym spojrzeniu wyczytała, jak daleką musi odbyć drogę, zanim sama będzie mogła używać tego tytułu. Egwene była od niej prawie o głowę wyższa, poza tym potężniejsza we władaniu Mocą, ale nie sama siła czyniła z kobiety Aes Sedai, trzeba było czegoś więcej.

— Nie mam czasu na łzy, Egwene. Mur Smoka znajduje się niewiele dni drogi stąd, a Alguenya... Suan i ja niegdyś byliśmy przyjaciółkami. Za kilka miesięcy minie dwudziesta pierwsza rocznica, odkąd rozpoczęliśmy poszukiwania Smoka Odrodzonego. Tylko my dwie, świeżo wyniesione Aes Sedai. Wkrótce potem Sierin Vayu została Amyrlin, Szara, ale z czymś więcej w sercu niżli muśnięcie Czerwieni. Gdyby się dowiedziała, co zamierzamy, spędziłybyśmy resztę naszego życia na odbywaniu wyznaczonych nam kar, Czerwone siostry zaś obserwowałyby nas nawet we śnie. Istnieje takie powiedzenie w Cairhien, chociaż słyszałam je właściwie wszędzie, od Tarabonu po Saldaę. „Bierz, co chcesz, i płac”.

Suan i ja obrałyśmy drogę, jaką chciałyśmy i obie wiedziałyśmy, że na koniec przyjdzie nam zapłacić cenę.

— Nie rozumiem, jak możesz być tak spokojna. Suan może być martwa, czy nawet ujarzmiona. Elaida albo przeciwstawi się Randowi, albo spróbuje uwięzić go gdzieś do czasu Tarmon Gaidon, wiesz, że nigdy nie pozwoli mężczyźnie, który potrafi przenosić, swobodnie biegać po świecie. Przynajmniej nie wszystko zależy od Elaidy. Niektóre z Błękitnych Ajah gdzieś się gromadzą... nie wiem tylko jeszcze gdzie... i sądzę, że pozostałe również opuściły Wieżę. Nynaeve mówi, że otrzymała wiadomość poprzez siatkę szpiegowską Żółtych skierowaną do wszystkich sióstr, aby wracały do Wieży. Jeżeli Żółte i Błękitne razem odeszły, pozostałe również musiały. A skoro przeciwstawiają się Elaidzie, mogą poprzeć Randa.

Moiraine cicho westchnęła.

— Czy spodziewasz się, że będę szczęśliwa, widząc, jak pęka jedność Wieży? Jestem Aes Sedai, Egwene. Poświęciłam swoje życie Wieży na długo przedtem, zanim w ogóle podejrzewałam, że Smok odrodzi się za mojego życia. Wieża stanowiła bastion oporu przeciwko Cieniowi od trzech tysięcy lat. Prowadziła władców ku mądrym decyzjom, powstrzymywała wojny, zanim wybuchły, kładła kres tym, które zdążyły się już rozpętać. To, że ludzkość w ogóle pamiętała, że Czarny

ma wy dostać się na wolność, że nadejdzie Ostatnia Bitwa, wszystko zawdzięczamy Wieży. Wieża, cała i zjednoczona. Niemalże pragnę, by wszystkie siostry zaprzysięły wierność Elaidzie, niezależnie od tego, co stało się z Suan.

— A Rand? — Egwene starała się nadać głosowi równie pewne brzmienie, równie łagodne. Płomienie powoli zaczynały ogrzewać wnętrze, ale to co powiedziała Moiraine, przejęło ją chłodem. — Smok Odrodzony. Sama powiedziałaś, że nie będzie w stanie się przygotować do Tarmon Gaidon, jeśli nie zostawi mu się swobody, zarówno po to, by się uczył, jak i po to, by wedle swego uznania wpływał na świat. Zjednoczona Wieża uwięziłaby go pomimo wszystkich Aielów w Pustkowiu.

Moiraine uśmiechnęła się nieznacznie.

— Uczysz się. Chłodne rozumowanie jest zawsze lepsze od zapalczywych słów. Ale zapominasz, że tylko trzynaście siostr połączonych razem może na zawsze oddzielić mężczyznę od *saidina*, a jeśli nie znają sztuczki z łączeniem strumieni, jeszcze mniejsza ich liczba jest w stanie utkać tarczę.

— Wiem, że się nie poddasz, Moiraine. Co masz zamiar zrobić?

— Mam zamiar brać świat takim, jaki jest, tak długo jak będę mogła. Przynajmniej Rand stanie się... łatwiejszy w obejściu... teraz, kiedy już dłużej nie próbuję powstrzymać go przed tym, czego chce. Przypuszczam, że będzie zadowolony, iż nie pozwolił, bym to ja przyrządziła mu jego wino. Na ogół słucha uważnie tego, co mówię, nawet jeśli rzadko daje do zrozumienia, co o tym myśli.

— Pójdę już, by opowiedzieć mu o Suan i o Wieży. — W ten sposób chciała uniknąć niewygodnych pytań, skoro Rand był tak zarozumiały, jak się ostatnio prezentował, mógł zechcieć się dowiedzieć więcej o jej Śnieniu, niżli potrafiłaby wymyślić na poczekaniu. — Jest jeszcze coś. Nynaeve widziała Przeklętych w *Tel'aran'rhiod*. Wymieniła wszystkich, którzy jeszcze żyją, wyjąwszy Asmodeana i Moghedien. Również Lanfear. Ona sądzi, że knują jakiś spisek, być może wspólnie.

— Lanfear — powiedziała po chwili Moiraine.

Obie wiedziały, iż Lanfear odwiedziła Randa w Łzie, a być może również innymi razy, o czym im nie wspomniał. Nikt nie wiedział zbyt wiele o Przeklętych, z wyjątkiem samych Przeklętych — jedynie strzępy fragmentów przetrwały w Wieży — ale wiadomo było, że Lanfear kochała Lewsa Therina Telamona. One dwie oraz Rand zdawali sobie sprawę, że wciąż go kocha.

— Jeżeli będziemy miały szczęście — ciągnęła dalej Aes Sedai — nie będziemy musiały się przejmować Lanfear. Pozostali, których widziała Nynaeve, to zupełnie inna sprawa. Musimy się ich strzec tak bacznie, jak to tylko możliwe. Żałuję, że więcej Mądrych nie potrafi przenosić. — Zaśmiała się krótko. — Ale równie dobrze mogłabym sobie życzyć, żeby wszystkie były szkolone w Wieży, jeśli już o tym mowa, albo żebym żyła wiecznie. Mogą być silne na wiele rozmaitych sposobów, ale w innych kwestiach niestety brakuje im tak dużo.

— Mieć się na baczności, bardzo dobrze, ale co jeszcze? Jeżeli sześcioro Przeklętych napadnie na niego pospołu, będzie potrzebował wszelkiej pomocy, jakiej tylko będziemy mogli mu udzielić.

Moiraine pochylała się, położyła dłoń na jej ramieniu, w jej oczach pojawiło się ciepłe światło.

— Nie możemy zawsze prowadzić go za rękę, Egwene. Nauczył się już chodzić o własnych siłach. Teraz uczy się biegać. Możemy mieć tylko nadzieję, że zdobędzie wiedzę, zanim złapią go wrogowie. I, oczywiście, musimy wciąż mu doradzać. Prowadzić go tam, gdzie możemy. — Wyprostowała się, przeciągnęła i wierzchem dłoni stłumiła ziewnięcie. — Jest już późno, Egwene. A spodziewam się, że Rand już za kilka godzin zarządzi zwijanie obozu, nawet jeśli tej nocy sam nie zmruży oka. Ja jednakże chciałabym odpocząć choć odrobinę, zanim znów zmierzę się z siodłem.

Egwene była gotowa do wyjścia, najpierw jednak postanowiła zadać jeszcze jedno pytanie.

— Moiraine, dlaczego zaczęłaś robić wszystko, co Rand ci każe? Nawet Ny-naeve nie uważa, by to było słuszne.

— Ona tak nie uważa, no popatrz? — wymruczała Moiraine. — Będzie jeszcze z niej Aes Sedai, niezależnie od tego, co sama na ten temat myśli. Dlaczego? Ponieważ wiem, jak kontrolować *saidara*.

Po chwili Egwene pokiwała głową. Aby kontrolować *saidara*, najpierw musisz się mu poddać.

Dopiero gdy, trzęsąc się z zimna, zmierzała w stronę swego namiotu, zdała sobie sprawę, że Moiraine przez cały czas traktowała ją jak równą sobie. Być może chwila, gdy będzie wybierać swoje Ajah, była bliżej, niż jej się zdawało.

NIEOCZEKIWANA PROPOZYCJA

Nynaeve obudziły promienie słońca wkradające się przez okno. Przez chwilę leżała bez ruchu rozciągnięta na pasiastej kapie przykrywającej pościel. Elayne spała na sąsiednim łóżku. Mimo wczesnego ranka powietrze było już upalne, a noc nie przyniosła chłodu, jednak to nie dlatego bielizna Nynaeve była cała wymięta i przesiąknięta potem. Sny, które nawiedzały ją już po tym, jak przedstawiła Elayne wszystko, czego dowiedziała się w nocy, nie były szczególnie przyjemne. Nękały ją wizje, że oto na powrót znajduje się w Wieży, że doprowadzono ją przed oblicze Amyrlin, która miała w sobie coś z Elaidy, a trochę z Moghedien. W innym śnie Rand leżał obok biurka Amyrlin niczym pies na smyczy, z obrozą na szyi, w kagańcu. Sny dotyczące Egwene były niemalże równie nieprzyjemne, choć w inny nieco sposób, sparzona kocia narecznica i sproszkowany liść mawinii smakowały równie paskudnie we śnie, jak na jawie.

Wstała, przecisnęła się do umywalki i spryskała wodą twarz, potem wyczyściła zęby solą i sodą. Woda nie była ciepła, ale również nie zimna. Zdjęła przepocowaną bieliznę i zastąpiła ją świeżą, wydobytą z kufra razem ze szczotką i lusterkiem. Spoglądając w lustro, żałowała, że dla wygody rozplotła warkocz. Niewiele jej to pomogło, a teraz włosy potargały się aż do talii. Usiadła na kufrze i zaczęła je rozplątywać, potem sto razy przeczesała je szczotką.

Trzy zadrapania biegły w dół karku, znikając pod bielizną. Niebyły tak czerwone jak poprzednio, dzięki maści, którą zabrała od tamtej kobiety, Macury. Powiedziała Elayne, że podrapała się o kolce jeżyn. Głupio — podejrzewała, iż ona wie dokładnie, że to nieprawda, pomimo opowieści o tym, jak po rozstaniu z Egwene chciała się rozejrzeć jeszcze po terenie Wieży — ale była zbyt zdenerwowana, żeby myśleć racjonalnie. Warknęła kilkakrotnie na przyjaciółkę tylko dlatego, że wciąż powracała do kwestii złego potraktowania jej przez Egwene i Melaine.

„Choć i tak wyjdzie jej tylko na dobre, jeśli będzie pamiętać, że tutaj nie jest żadną Dziedziczką Tronu”.

Ale przecież to nie była w najmniejszym stopniu wina tamtej, sama z pewno-

ścią to rozumie.

W lustrze zobaczyła, że Elayne również już wstała i teraz się myje.

— Wciąż, uważam, że mój plan jest najlepszy — powiedziała Elayne, szorując twarz. Jej ufarbowane na kruczoczarno włosy wyglądały na uczesane, pomimo tej masy loków. Mogłybyśmy szybciej dotrzeć do Łzy.

Jej pomysł polegał na tym, by zrezygnować z powozu po dotarciu do Eldaru, w jakieś małej wiosce, gdzie zapewne nie będzie tylu Białych Płaszcy i, co równie istotne, żadnych szpiegów Wieży. Potem miałyby wsiąść na statek płynący do Ebou Dar, gdzie przesiądą się na następny, zmierzający do Łzy. Że musiały się dostać do Łzy, nie podlegało już żadnej dyskusji. Tar Valon natomiast należało unikać za wszelką cenę.

— Ile czasu upłynie, zanim zawita tam jakiś statek? — spytała cierpliwie Nynaeve. Wydawało jej się, że już wszystko ustaliły, zanim poszły spać. I pewnie tak było, ale tylko w jej przekonaniu. — Sama powiedziałaś, że zapewne nie zechce tam zawinąć żaden statek. I jak długo będziemy musiały czekać w Ebou Dar, zanim znajdziemy statek, który płynie do Łzy?

Odłożyła na bok szczotkę i zaczęła splatać warkocz.

— Mieszkańcy wioski wywieszają flagę, kiedy chcą, by statek się zatrzymał, większość przybija wtedy do brzegu. A w porcie takim jak Ebou Dar zawsze można znaleźć jakiś statek odpływający w wybranym kierunku.

Jakby ta dziewczyna kiedykolwiek była w porcie dowolnej wielkości, zanim wraz z Nynaeve opuściła Wieżę. Elayne zawsze sądziła, że czegokolwiek nie nauczyła się o świecie jako Dziedziczka Tronu, tego dowiedziała się w Wieży, nawet gdy okoliczności świadczyły o jej pomyłce.

— Nie uda nam się znaleźć tego zgromadzenia Błękitnych, jeśli będziemy na pokładzie statku, Elayne.

Jej plan polegał na dalszej podróży powozem, pokonaniu reszty drogi przez Amadicię, potem zaś Altarę i Murandy, aby dotrzeć do Far Madding na Wzgórzach Kintary, następnie przez Równinę Maredo do Łzy. Z pewnością trwałoby to dłużej, ale pominąwszy już nawet możliwość dowiedzenia się czegoś na temat tego zgromadzenia, powozy rzadko tonęły. Oczywiście potrafiła pływać, ale czuła się bardzo nieswojo, kiedy traciła ląd z oczu.

Wytarłszy twarz do sucha, Elayne zmieniła bieliznę i podeszła, by pomóc jej w zaplataniu warkocza. Nynaeve nie była taka głupia, z pewnością zaraz znowu usłyszy coś na temat statków. Oczywiście to nie strach przed podróżą morską miał wpływ na jej decyzję. Po prostu, jeśli mogła sprawić, by Aes Sedai opowiedziały się po stronie Randa, warto było zmitrzyć czas na dłuższą podróż.

— Czy przypomniałaś sobie tę nazwę? — zapytała Elayne, splatając pasma włosów.

— Przynajmniej pamiętam, że to była jakaś nazwa. Światłości, daj mi trochę czasu. — Pewne było, że chodzi o nazwę. Musiało to być jakieś miasteczko

lub miasto. Nie mogłoby się przecież zdarzyć, by widziała nazwę kraju, a potem ją zapomniała. — Wciągnęła głęboko powietrze, powinna bardziej panować nad swymi emocjami, dlatego też swoją wypowiedź skończyła zdecydowanie łagodniejszym tonem. — Przypomnę sobie, Elayne. Daj mi tylko trochę czasu.

Elayne dyplomatycznie odkasznęła, nie przerywając splatania warkocza. Po chwili powiedziała:

— Czy to naprawdę było mądre wysłać Birgitte na poszukiwania Moghedien?

Nynaeve rzuciła tamtej spojrzenie spode łba, marszcząc na dodatek brwi, ale po Elayne spłynęło to niczym woda po impregnowanym oliwą płótnie. Skoro chciała zmienić temat, to dlaczego wybrała taki, który stawiał ją w nie najlepszym świetle.

— Lepiej, jeśli to my ją znajdziemy, a nie ona nas.

— Też. tak sędzę. Ale co zrobimy, jeśli ją znajdziemy?

Na to nie znalazła odpowiedzi. Ale lepiej być myśliwym niż ofiarą, jak by to nie brzmiało nieprzyjemnie. Tego nauczyła się od Czarnych Ajah.

Wspólna izba gospody była stosunkowo pusta, kiedy zeszły na dół, ale mimo wczesnej pory, wśród gości dostrzegły błyski białych płaszczy, w większości byli to starsi mężczyźni, z odznaczeniami znamionującymi szarże oficerskie. Bez wątplenia woleli jadać potrawy przygotowane w kuchni gospody zamiast tego, co kucharz mógłby przyrządzić im w garnizonie. Nynaeve wolałaby chyba ponownie zjeść przyniesiony na tacy posiłek, jednak ten mały pokój był niczym cela. Wszyscy ci mężczyźni skupieni byli na zawartości swoich talerzy, Białe Płaszcze w równej mierze jak pozostali. Z pewnością nic im tu nie groziło. Zapachy gotowanych potraw wypełniały powietrze, najwyraźniej ci mężczyźni nawet na śniadanie preferowali wołowinę lub baraninę.

Dopiero jak Elayne zeszła z ostatniego stopnia wiodącego na dół, pani Jharen wypadła z kuchni i zaproponowała im, a raczej zaproponowała „lady Morelin”, prywatną jadalnię. Nynaeve nawet nie spojrzała w stronę Elayne, ale tamta i tak powiedziała:

— Myślę, że raczej zjemy tutaj. Rzadko mam sposobność jadać we wspólnej izbie, a naprawdę lubię to robić. Niech któraś z twoich dziewcząt przyniesie nam coś chłodnego do picia. Jeżeli dzień będzie tak upalny, na jaki się zapowiada, obawiam się, że możemy się usmażyć, zanim dotrzemy do następnego postoju.

Nynaeve nie mogła się nadziwić, że za tak aroganckie zachowanie jeszcze nikt nie wyrzucił ich za drzwi. Dotąd spotkała wystarczająco wielu lordów i wiele dam, by wiedzieć, że wszyscy zachowują się w podobny sposób, jednak... Ona nawet przez minutę nie pozwoliłaby się tak traktować. Natomiast karczmarza tylko zgięła się w ukłonie, uśmiechnęła, wytarła dłonie o fartuch, a potem zaprowadziła je do stołu w pobliżu okna wychodzącego na ulicę i szybko pobiegła spełnić polecenie Elayne. Być może w taki sposób odpłacała jej pięknym za nadobne.

Przy stole siedziały zupełnie same, z dala od mężczyzn, ale każdy, kto przechodził ulicą, mógł się im do woli przyglądać, a gdyby zaś ich jedzenie miało być gorące — oczywiście, miała nadzieję, że nie będzie — to siedziały tak daleko od kuchni, jak to tylko było możliwe.

Kiedy posiłek wreszcie się pojawił, okazało się, że śniadanie składa się z mocno przyprawionej baraniny — przykrytej białą serwetą, więc wciąż ciepłej, ale mimo to przyjemnej — żółtego grochu, niebieskich winogron, które wyglądały na trochę nieświeże, oraz czerwonej galaretki, nazywanej przez służącą żurawiną, chociaż nie przypominała żadnego wina, jakie Nynaeve w życiu piła. Z pewnością też nie smakowała jak żur, mimo że znakomicie podkreślała smak baraniny. Elayne twierdziła, iż słyszała już o nich, ale ona zawsze tak mówiła. Lekko przyprawione wino, chłodzone rzekomo w piwniczce zbudowanej na źródleku — jeden łyk powiedział jej, że źródleko nie jest szczególnie zimne, jeśli w ogóle istniało — dopełniało odświeżającego porannego posiłku.

Najbliższy gość siedział trzy stoły dalej — miał na sobie ciemny wełniany kaftan, zapewne dobrze prosperujący handlowiec — jednak one i tak milczały. Na rozmowy zostanie im dużo czasu, gdy już wyruszą w drogę, a nadto będą miały pewność, że nie podsłuchają ich niczyje uszy. Nynaeve skończyła jeść znacznie szybciej niż Elayne. Obserwując sposób, w jaki ta dziewczyna obierała gruszkę, można było dojść do wniosku, że zamierzają siedzieć przy stole przez cały dzień.

Nagle oczy Elayne otwały się szeroko, niewielki zaś nóż z trzaskiem upadł na blat. Nynaeve błyskawicznie odwróciła głowę i zobaczyła, że miejsce na ławce po przeciwnej stronie stołu zajmuje jakiś mężczyzna.

— Tak sądziłem, że to ty, Elayne, ale z początku zmyliły mnie włosy.

Nynaeve zagapiła się na Galada, przyrodniego brata Elayne. Określenie „zagapiła się” było w tej sytuacji jak najwłaściwsze. Wysoki i smukły, z ciemnymi włosami i oczyma, był najprzystojniejszym mężczyzną, jakiego kiedykolwiek w życiu widziała. Przystojny to nawet nie było trafne określenie, był wspaniały. W Wieży widziała go bez przerwy otoczonego kobietami, nawet Aes Sedai, a wszystkie uśmiechały się jak głupie na jego widok. W tej samej chwili zorientowała się, że sama również ma idiotyczny uśmiech na twarzy. Przybrała surową minę. Ale nie potrafiła nic zrobić z sercem bijącym jak oszalałe, ani spowolnić rytmu oddechu. Nie czuła nic do niego, po prostu był taki piękny.

„Opanuj się, kobieto!”

— Co ty tutaj robisz? — Zadowolona była, że głos ma normalny, nie zaś, jak się obawiała, zduszony. To nie w porządku, żeby mężczyzna tak wyglądał.

— I co robisz w tym stroju? — powiedziała cicho Elayne tonem, w którym jednak słychać było stłumiony gniew.

Nynaeve zamrugła i dopiero teraz spostrzegła, że Galad ma na sobie lśniącą kolczugę i biały płaszcz z dwoma złotymi węzłami pod promienistym słońcem. Poczwała, jak rumieniec wypęła jej na policzki. Patrzeć tak uporczywie w twarz

mężczyzny, żeby nawet nie zobaczyć, co ma na sobie! Poczuli się do tego stopnia poniżona, że miała ochotę schować twarz w dłoniach.

Uśmiechnął się, a Nynaeve musiała wciągnąć głęboko powietrze.

— Znalazłem się tutaj, ponieważ wraz z innymi Synami odwołano mnie z północy. A jestem Synem Światłości dlatego, że wydawało mi się to rzeczą słuszną. Elayne, kiedy wy dwie oraz Egwene zniknęłyście, nie zabrało mi i Gawynowi dużo czasu, by odkryć, że niezależnie od tego, co nam mówiono, nie odbywacie żadnej kary na farmie. Nie miały prawa mieszać cię w swe machinacje, Elayne. Żadnej z was.

— Wygląda na to, że szybko awansowałaś — zauważyła Nynaeve. Czy ten głupi mężczyzna nie rozumie, iż mówienie tutaj o machinacjach Aes Sedai to najprostsza droga, która może doprowadzić do ich egzekucji?

— Eamon Valda zdawał się sądzić, że mam odpowiednie umiejętności bez względu na to, gdzie zdobyte. — Wzruszeniem ramion jednoznacznie określił, jakie znaczenie ma dla niego jego ranga. Nie było w tym żadnej skromności, żeby określić rzecz ściśle, ale również żadnego fałszu. Najlepszy szermierz wśród tych, którzy pojawili się w Wieży, by ćwiczyć pod kierunkiem Strażników, znakomicie sobie także radził na kursach strategii i taktyki, ale Nynaeve nie pamiętała, by kiedykolwiek chełpił się swoimi osiągnięciami, nawet żartem. Nic dla niego ni.: znaczyły, być może z tego powodu, iż przychodziły mu tak łatwo.

— Czy Matka wie o wszystkim? — dopytywała się Elayne wciąż tym przyciszonym głosem. Jednak wyraz jej twarzy mógłby przerazić dzika.

Galad drgnął lekko, niespokojnie.

— Jakoś nie było odpowiedniej okazji. Ale nie bądź taka pewna, że potępi moją decyzję. Nie jest już tak przyjazna północy jak kiedyś. Słyszałem, że interdikt ma być ustanowiony z mocą prawa.

— Ja wyślę do niej list, w którym wszystko wyjaśnię — w oczach Elayne wściekłość ustąpiła konsternacji. — Będzie musiała zrozumieć. Ona również uczyła się w Wieży.

— Mów ciszej — upomniał ją stanowczym szeptem. — Pamiętaj, gdzie się znajdujesz.

Twarz Elayne spłonęła głęboką czerwienią, ale czy z gniewu, czy z konsternacji, Nynaeve nie potrafiłaby powiedzieć.

Nagle zrozumiała, że Galad mówi tak cicho, jak one i równie ostrożnie. Ani razu dotąd nie napomknął w rozmowie o Wieży, czy o Aes Sedai.

— Czy Egwene jest z wami? — ciągnął dalej.

— Nie — odrzekła, a on, słysząc te słowa, westchnął głęboko.

— Miałem nadzieję... Gawyn ze zmartwienia odchodził od zmysłów, kiedy zniknęła. On również bardzo się o nią troszczył. Powiecie mi, gdzie ona jest?

Nynaeve zwróciła uwagę na to „również”. Ten człowiek został Białym Płaszczem, a mima to troszczył się o kobietę, która była Aes Sedai. Mężczyźni bywali

tak dziwni, że czasami trudno było ich niemalże nazwać ludźmi.

— Nie powiemy — zdecydowanie oznajmiła Elayne, rumieńce zniknęły już z jej policzków. — Czy Gawyn jest z tobą? Nigdy nie uwierzę, że został... — Miała dość rozsądku, by jeszcze bardziej zniżyć swój głos, ale jednak powiedziała: — Białym Płaszczem!

— Został na północy, Elayne.

Nynaeve przypuszczała, iż oznacza to Tar Valon, ale bez wątpienia Gawyn musiał stamtąd również odejść. Przecież nie mógł popierać Elaidy.

— Nie macie pojęcia, co się tam stało — ciągnął dalej. — Cała deprawacja i zło tego miejsca wybiły się wreszcie na powierzchnię, co było zresztą do przewidzenia. Kobieta, która was wysłała, została usunięta. — Rozejrzał się dookoła i jeszcze bardziej zniżył głos, do cichego szeptu, chociaż w pobliżu nie było nikogo, kto mógłby go podsłuchać. — Ujarmiona i stracona. — Wziął głęboki oddech i wydał z siebie pełen niesmaku odgłos. — To nigdy nie było miejsce dla was. Ani dla Egwene. Od niedawna jestem wraz z Synami, ale nie mam wątpliwości, że mój kapitan da mi przepustkę, abym odwiózł moją siostrę do domu. Tam właśnie jest twoje miejsce, przy boku Matki. Powiedz mi tylko, gdzie jest Egwene, a ja już dopatrzę, aby ona również znalazła się w Caemlyn. Obie będziecie tam bezpieczne.

Nynaeve poczuła się jak sparaliżowana. Ujarmiona. I stracona. Nie była to więc przypadkowa śmierć ani choroba. Mimo iż wzięła tę możliwość pod uwagę, prawda okazała się dla niej nie mniej wstrząsająca. To musiało się zdarzyć z powodu Randa. Jeżeli była jeszcze jakaś choćby najmniejsza nadzieja, że Wieża nie wystąpi przeciwko niemu, teraz rozwiała się jak dym. Na twarzy Elayne nie było widać żadnych emocji, ale jej oczy patrzyły tępo w przestrzeń.

— Widzę, że moje wieści wstrząsnęły wami — powiedział cicho. — Nie mam pojęcia, jak głęboko ta kobieta wciągnęła was w swoje knowania, ale teraz jesteście już wolne. Pozwólcie się odwieźć do Caemlyn. Oprócz innych dziewcząt, które tam się uczyły, nikt nie musi wiedzieć, że miałyście z nią jakieś bliższe kontakty. Dotyczy to was obu.

Nynaeve obnażyła zęby w grymasie, który, jak miała nadzieję, choć trochę przypominał uśmiech. To miło, że w końcu o niej również pomyślał. Chętnie by go czymś uderzyła. Gdyby tylko nie był tak przystojny.

— Muszę się nad tym zastanowić — powoli powiedziała Elayne. — To, co powiedziałaś, ma sens, ale musisz, mi dać czas na podjęcie decyzji. Chcę nad tym pomyśleć.

Nynaeve zagapiła się na nią. To ma sens? Ta dziewczyna bredziła.

— Mogę ci dać trochę czasu — zgodził się — ale niewiele, jeśli mam wystąpić o zgodę na wyjazd, W każdej chwili mogą nas odesłać...

Nagle obok wyrósł Biały Płaszcz, ciemnowłosy mężczyzna o szerokiej twarzy, klapnął Galada po ramieniu i uśmiechnął się szeroko. Choć znacznie starszy od

niego, również miał dwa węzły naszyte na płaszczu.

— Cóż, młody Galadzie, nie możesz zatrzymywać wszystkich ślicznych kobiet dla siebie. Każda dziewczyna w tym miasteczku wdycha już do ciebie, kiedy tak sobie spacerujesz, zresztą odnosi się to również do ich matek. Przedstaw mnie.

Galad odsunął swoją ławę i wstał.

— Sądziłem... sądziłem, że je znam, kiedy zobaczyłem je z dołu schodów, Trom. Ale niezależnie od tego, o jaki urok mnie posądzasz, nie podzielał na tę damę. Nie polubiła mnie i nie przypuszczam, żeby polubiła kogoś z moich przyjaciół. Jeżeli poćwiczysz dzisiaj ze mną walkę na miecze, być może uda ci się zwrócić uwagę jednej lub drugiej.

— Nigdy mi się nie uda, jeśli ty będziesz w pobliżu — poskarżył się dobrotliwie Trom. — A prędeż pozwolę, by kował poćwicył swój młot na mojej głowie, niżli będę z tobą walczył na miecze.

Pozwolił jednak, by Galad odprowadził go w stronę drzwi, i tylko z żalem oglądał się na dwie kobiety. Kiedy odchodzili, Galad również zerknął przez ramię pełen zawodu i niezdecydowania.

Elayne poczekała, aż wyjdą z gospody, potem szybko wstała.

— Nana, będziesz mi potrzebna na górze. — Pani Jharen pojawiła się nagle przy jej boku, koniecznie chcąc się dowiedzieć, czy posiłek im smakował, Elayne powiedziała tylko: — Natychmiast proszę znaleźć mojego woźnicę i forysia. Nana ureguluje rachunek.

Ruszyła w stronę schodów, zanim dokończyła swą kwestię.

Nynaeve chciała już iść za nią, zatrzymała się jednak, wyciągnęła sakiewkę i zapłaciła, zapewniając jednocześnie kobietę, że wszystko bardzo smakowało jej pani i starając się nie mrugnąć nawet okiem na widok ceny. Kiedy już się jej pozbyła, wdrapała się śpiesznie po schodach. Zastała Elayne wpychającą rzeczy jak popadło do jednej ze skrzyń, razem z ich przepoconą bielizną, którą rozwiesiły w nogach łóżka, aby wyschła.

— Elayne, o co chodzi?

— Musimy natychmiast ruszać. Nynaeve. Natychmiast. — Nawet nie obejrzała się, dopóki ostatnia rzecz nie znalazła się w kufrze. — W tej chwili, bez względu na to, gdzie się znajduje, Galad głowi się nad rozwiązaniem sytuacji, w jakiej nigdy dotąd nie zdarzyło mu się znaleźć. Dwie rzeczy wydają mu się słuszne, choć są sprzeczne ze sobą. Po pierwsze, uważa za całkowicie usprawiedliwione, by przywiązać mnie, jeśli to będzie konieczne, do grzbietu konia i zawieźć do Matki, aby rozproszyć jej zmartwienia i uchronić mnie przed zostaniem Aes Sedai, oczywiście nie obchodzi go przy tym, czego ja mogę chcieć. Z drugiej strony jednak, jak najbardziej zgodne z jogo sumieniem byłoby wydanie nas w ręce Białych Płaszczy lub armii króla. „Takie bowiem obowiązują prawa w Amadicii i jest to również prawo Białych Płaszczy. Aes Sedai są tutaj wyjęte spod prawa, a dotyczy to wszystkich kobiet, które pobierały nauki w Wieży. Matka spotkała się

kiedyś z Aironem, aby podpisać, traktat, ale spotkanie musiało się odbyć w Altarze, ponieważ Matka nie mogła legalnie wjechać w granice Amadicii. W chwili gdy go zobaczyłam, natychmiast objęłam *saidara* i nie wypuszczę go do czasu, aż znajdziemy się z dala od niego.

— Z pewnością przesadzasz, Elayne. On jest twoim bratem.

— On nie jest moim bratem! — Elayne wzięła głęboki wdech, a potem powoli wypuściła powietrze z płuc. — Mieliśmy tego samego ojca — ciągnęła dalej znacznie już spokojniejszym głosem — ale on nie jest moim bratem. Nie potrafię go do niczego przekonać, Nynaeve. Powtarzam ci to bez przerwy, ale ty zdajesz się nie rozumieć. Galad robi to, co jest słuszne. Zawsze. Nigdy nie kłamie. Czy słyszałaś, co powiedział temu Tromowi? Nie powiedział, że nas nie zna. Każde słowo było czystą prawdą. On robi to, co jest słuszne niezależnie od tego, komu przy okazji wyrządza krzywdę, nawet jeśli to dotyczy jego samego. Jeżeli poweźmie złą decyzję, Białe Płaszczki zastawią na nas zasadzkę jeszcze w granicach tej wioski.

W ciszy, która zapadła po jej słowach, rozbrzmiało pukanie do drzwi, a Nynaeve poczuła, jak oddech zamiera jej w gardle. Z pewnością Galad nie mógłby... Twarz Elayne przybrała zacięty wyraz, gotowa była do walki.

Nynaeve z wahaniem uchyliła drzwi. To byli Thom i Juilin, ten drugi trzymał w dłoni swój idiotyczny kapelusz.

— Moja pani życzyła sobie naszej obecności? — zapytał Thom z nutką słaźczości w głosie na wypadek, gdyby ktoś podsłuchiwał.

Zdolna wreszcie normalnie oddychać, nie dbając o to, czy ktoś słucha, otworzyła drzwi na oścież.

— Właźcie mi zaraz do środka! — Męczył ją już ten sposób, w jaki patrzyli po sobie za każdym razem, gdy otwierała usta.

Zanim jednak na powrót zatrzasnęła drzwi, Elayne powiedziała:

— Thom, musimy natychmiast ruszać. — Na jej twarzy pojawił się wyraz skrajnej determinacji, w głosie zabrzmiał lęk. — Galad jest tutaj. Musisz pamiętać, jakim był potworem jako dziecko. Cóż, kiedy dorósł, nie zmienił się nawet odrobinę, a poza tym został Białym Płaszczem. On może...

Słowa zamarzyły jej w gardle. Patrzyła na Thoma, poruszając bezgłośnie wargami, ale w jego rozszerzonych oczach widać było tylko identyczne osłupienie.

Usiadł ciężko na jednym z kufrów i nie przestawał się wpatrywać w Elayne.

— Ja... — Odkasznęła i ciągnęła dalej. — Wydawało mi się, że go widziałem, jak obserwował gospodę. Biały Płaszcz. Ale wyglądał dokładnie tak, jak mężczyzna, w którego mógł się zmienić tamten chłopiec. Przypuszczam, że w związku z tym nie powinno być dla nikogo niespodzianką, kim się stał.

Nynaeve podeszła do okna, Elayne i Thom ledwie chyba zauważyli, jak precisnęła się między nimi. Na ulicy powoli zaczynał się ruch, farmerzy, ich wozy oraz mieszkańcy wioski mieszał się z Białymi Płaszczami i żołnierzami. Po dru-

giej stronie ulicy samotny Biały Płaszcz siedział na odwróconej do góry dnem baryłce, tego doskonałego oblicza nie można było pomylić z żadnym innym.

— Czy on...? — Elayne przełknęła ślinę. — Czy on cię również rozpoznał?

— Nie. Piętnaście lat to dla mężczyzny więcej niż dla chłopca. Elayne, przez jakiś czas sądziłem, że ty również zapomniałaś.

— Przypomniałam sobie w Tanchico, Thom. — Z niepewnym uśmiechem Elayne sięgnęła dłonią i szarpnęła za jeden z jego długich wąsów. Thom uśmiechnął się w odpowiedzi, niemalże równie niepewnie, wyglądał tak, jakby się zastanawiał nad skokiem z okna.

Juilin podrapał się po czuprynie, Nynaeve zaś żałowała, że sama również nie ma pojęcia, o czym oni rozmawiają, w każdym razie czekały ich teraz ważniejsze sprawy.

— Wciąż musimy się stąd jakoś wydostać, zanim sprowadzi nam na głowy cały garnizon. Nie będzie to łatwe, skoro on tam siedzi i obserwuje. Wśród gości żaden nie wyglądał na posiadacza powozu.

— Nasz jest jedyny w stajni — powiedział Juilin.

Thom i Elayne wciąż patrzyli sobie w oczy, najwyraźniej nie słysząc ani słowa.

A więc wyjazd ze spuszczoneymi zasłonami w oknach nie był żadnym rozwiązaniem. Nynaeve mogłaby się założyć, że Galad od dawna już wie, w jaki sposób dostały się do Siendy.

— Czy w stajni jest tylne wyjście?

— Brama na tyle szeroka, by się mógł przecisnąć jeden człowiek — sucho oznajmił Juilin. — A po jej drugiej stronie wąska alejka. W tej wiosce nie ma więcej niż dwie, trzy ulice dość szerokie, by zmieścić się na nich powóz.

Wpatrywał się w swój cylindryczny kapelusz, obracając go w dłoniach.

— Mogę się podkraść wystarczająco blisko, by go ogłuszyć. Jeżeli będziecie przygotowane, może uda się wam wyjechać, korzystając z zamieszania. Dogonię was po drodze.

Nynaeve parsknęła głośno.

— Jak? Galopując na Leniuchu? Nawet gdybyś nie spadł z siodła po przejechaniu mili czy sądzisz, że w ogóle udałoby ci się dopaść konia po zaatakowaniu na oczach wszystkich Białego Płaszcz?

Galad wciąż czekał po przeciwnej stronie ulicy, Trom zaś dołączył do niego, obaj najwyraźniej rozmawiali na jakiś błahy temat. Pochyliła się i ostro szarpnęła Thoma za jeden z wąsów.

— Czy chcesz coś do tego dodać? Jakiś błyskotliwy plan? Czy całe wasze wysłuchiwanie wiejskich plotek dało coś, co mogłoby nam pomóc?

Przyłożył dłoń do twarzy i obrzucił Nynaeve obrażonym spojrzeniem.

— Nie, chyba że uznasz, iż możemy jakoś skorzystać z faktu, że Ailron rości sobie prawo do granicznych wiosek w Altarze. Właściwie do całego pasa tych

wiosek, ciągnącego się wzdłuż granicy od Salidaru aż do So Eban i Mosry. A czy to nam w czymś może pomóc, Nynaeve? Naprawdę? Próba wyrwania mężczyźnie wąsów z twarzy? Ktoś powinien ci już dawno natrzeć uszu.

— A co by przyszło Ailronowi z pasa nadgranicznego, Thom? — zapytała Elayne. Być może rzeczywiście była tego ciekawa, zdawała się interesować każdym najdrobniejszym zwrotem w polityce i dyplomacji, albo może chciała tylko przerwać rozpoczynającą się kłótnię. Przez cały czas próbowała łagodzić kolejne nabrzmiałe sytuacje, zanim wdała się w ten flirt z Thomem.

— Tutaj nie chodzi o króla, dziecko. — Kiedy zwrócił się do niej, jego głos nabrął cieplejszej barwy. — Chodzi o Pedrona Nialla. Ailron zazwyczaj robi, co mu się każe, choć on i Niall starają się sprawiać wrażenie, że wcale tak nie jest. Większość wiosek opustoszała podczas Wojny Białych Płaszczy, którą sami Synowie nazywają Kłopotami. Niall dowodził wówczas wojskami w polu i wątpię, by kiedykolwiek porzucił zamiar podbicia Altary. Gdyby kontrolował oba brzegi Eldar, mógłby zdławić handel z Ebou Dar, a gdyby zniszczył handel z Ebou Dar, wówczas reszta Altary wpadłaby mu w ręce niczym ziarno wysypujące się z dziury w worku.

— To wszystko bardzo pięknie — zdecydowanie wtrąciła się Nynaeve, zanim któreś z nich podjęło temat. W słowach Thoma było coś, co poruszyło jakąś strunę w jej pamięci, ale nie potrafiłaby powiedzieć, co to było, ani dlaczego. W każdym razie nie mieli czasu na wykłady o stosunkach między Amadicią i Altarą, nie w sytuacji, gdy Galad i Trom obserwowali front gospody. Tyle też im oznajmiła, dodając: — A co z tobą, Juilin? Ty znasz środowisko różnych podejrzanych typów?

Łowca złodziei przez całe życie szukał w mieście towarzystwa kieszonkowców, włamywaczy i rabusiów, twierdził, że wiedzą więcej o tym, co się naprawdę dzieje niżli urzędnicy.

— Czy są tu jacyś przemytnicy, którym mogłybyśmy zapłacić za przeszmurowanie nas albo... albo... Wiesz dokładnie, czego nam trzeba, człowieku.

— Niewiele się dowiedziałem. Złodziei jest w Amadicii niewiele, Nynaeve. Za pierwsze wykroczenie karą jest napiętnowanie żelazem, potem ucięcie prawej ręki, za trzecim razem się wisi, niezależnie od tego, czy będzie chodziło o bochenek chleba, czy o koronę królewską. W miasteczku takiej wielkości nie ma wielu złodziei, żadnych, którzy kradliby profesjonalnie — żywił pogardę dla amatorów — ale wszyscy i tak chcą rozmawiać tylko o dwu rzeczach. Czy Prorok naprawdę zamierza ruszyć na Amadicię, jak głoszą plotki, oraz czy ojcowie miasta ulegną i pozwolą jednak tej objazdowej menażerii dać tutaj przedstawienie. Sienda leży zbyt daleko od granic, aby przemytnicy mogli w niej...

Przerwała mu z nie ukrywaną satysfakcją.

— To jest to! Menażeria.

Wszyscy razem popatrzyli na nią, jakby zwariowała.

— Oczywiście — powiedział Thom nazbyt jakoś łagodnym głosem. — Możemy namówić Luke, aby przyprowadził z powrotem swoje konio-dziki i wyjechać, podczas gdy one będą niszczyć kolejne partie miasta. Nie wiem, ile mu dałaś, Nynaeve, ale kiedy odjeżdżaliśmy rzucił za nami kamieniem.

Choć raz Nynaeve wybaczyła mu jego sarkazm oraz brak rozumu, który nie pozwalał mu dojrzeć tego, co ona widziała jasno jak na dłoni.

— Może i tak, Thomie Merrillin, ale pan Luca potrzebuje protektorów, a Elayne i ja zamierzamy nimi zostać. Będziemy musiały tylko porzucić ten powóz i zaprzęg. . . — To jej się zdecydowanie nie podobało, w Dwu Rzekach mogłaby za nie kupić wygodny dom — . . . i wyslizgnąć się tylnym wyjściem.

Odrzuciła wieko kufra z zawiasami w kształcie liści i zaczęła wyciągać ubrania, koce i garnki, wszystko to, czego nie chciała zostawić z wozem pełnym barwników — dopilnowała wtedy, by mężczyźni spakowali wszystko z wyjątkiem uprzęży — dopóki nie dokopała się do połączonych szkatulek i sakiewek.

— Thom, ty i Juilin wyjdziecie tylnym wyjściem i znajdziecie wóz oraz jakiś zaprzęg. Kupcie też trochę zapasów, spotkamy się na drodze wiodącej do obozu Luki.

Z ociąganiem napełniła garście Thoma złotem, jednak nawet nie zatroszczyła się o przeliczenie go, nie dało się bowiem stwierdzić, ile co będzie kosztować, a ona nie chciała, by tracił czas na targowanie.

— To wspaniały pomysł — oznajmiła Elayne, uśmiechając się. — Galad będzie szukał dwóch kobiet, nie zaś trupy kuglarzy i stada zwierząt. I nigdy nie przyjdzie mu do głowy, że mogłyśmy zechcieć ruszyć w kierunku Ghealdan.

Nynaeve nawet o tym nie pomyślała. Miała zamiar namówić Luke, by skierował się prosto do Łzy. Pewna była, że ta jego menażeria może zarobić na swoje utrzymanie wszędzie. Ale jeśli Galad zechce ich szukać albo wyśle kogoś ich śladem, z pewnością wpierw pomyśli o wschodzie. I może być nawet na tyle sprytny, żeby skontrolować menażerię, mężczyźni czasami zdradzali podejrzenie dużo rozsądku, zwłaszcza gdy się człowiek tego po nich nie spodziewał.

— To była pierwsza rzecz, o której pomyślałam, Elayne. — Zignorowała nagły przyływ paskudnego smaku w ustach, kwaśne wspomnienie sparzonej kociej narecznicy i sproszkowanego liścia mawinii.

Thom i Juilin oczywiście zaprotestowali. Nie przeciwko samemu pomysłowi jako takiemu, ale uważali, że jeden z nich powinien zostać, aby chronić ją i Elayne przed Galadem i Białymi Płaszczami. Najwyraźniej nie zdawali sobie sprawy, iż gdyby przyszło co do czego, Moc okaże się bardziej skuteczna niżli ich dwóch, czy choćby dziesięciu takich jak oni. Wciąż wydawali się mieć wątpliwości, kiedy wreszcie udało jej się wypchnąć ich z pomieszczenia z ostrym zaleceniem:

— I nie ważcie mi się tu wracać. Spotkamy się na drodze.

— Jeżeli będziemy musiały przenosić — powiedziała cicho Elayne, kiedy drzwi się za nimi zamknęły — szybko się okaże, że mamy przeciwko sobie cały

garnizon Białych Płaszczy, a najprawdopodobniej również garnizon armii. Moc nie czyni nas niewycięzonymi. Wystarczą dwie strzały.

— Będziemy się tym przejmować, kiedy przyjdzie na to czas — uspokoiła ją Nynaeve.

Miała nadzieję, że mężczyźni o tym nie pomyśleli. Gdyby było inaczej, mogłoby się okazać, że jeden z nich zaczął się gdzieś w pobliżu, co może wywołać podejrzenia ze strony Galada, jeśli przypadkiem zostanie zauważony. Gotowa była przyjąć ich pomoc, gdy okazywała się naprawdę potrzebna — tego nauczyła ją Ronde Macura, chociaż wciąż goryczą napełniały ją wspomnienia, jak to uratowano ją niczym kocię ciśnięte do studni — ale to ona będzie decydować, kiedy potrzebna jej pomoc, nie zaś oni.

Pobiegła szybko na dół, by znaleźć panią Jharen. Jej pani zmieniła zamiar, nie sądzi, by mogła stawić czoło upałowi i podróżować w tym kurzu tak prędko, jak dotąd. Zamierza się przespać trochę i nie chce, by jej przeszkadzano aż do kolacji, po którą pośle na dół. Oto pieniądze za następną noc. Karczmarka wykazała wiele zrozumienia dla delikatności szlachetnej damy oraz zmienności jej kaprysów. Nynaeve pomyślała, że pani Jharen okazałaby wyrozumiałość dla wszystkiego, prócz chyba morderstwa, pod warunkiem, że wystawiony przez nią rachunek zostanie uregulowany.

Zostawiwszy pulchną kobietę, Nynaeve na chwilę wzięła na stronę jedną ze służących. Kilka srebrnych groszy zmieniło właścicielkę i dziewczyna śmignęła w swym białym fartuchu, by znaleźć dwa głębokie czepki, które miały dawać cień i chłód, nie było to oczywiście coś, co założyłaby jej pani, ale dla niej będą w sam raz.

Kiedy wróciła do pokoju, Elayne już ułożyła na kocu pozłacane szkatułki, zawierające odzyskane *ter'angreale* oraz skórzaną sakiewkę z pieczęcią. Wypchane sakiewki z pieniędzmi leżały obok zawiniątka Nynaeve na sąsiednim łóżku. Elayne zwinęła koc i obwiązała węzełek mocnym rzemieniem wyciągniętym z któregoś z kufrów. Nynaeve naprawdę spakowała wówczas wszystko.

Żałowała, że teraz musi się z tym rozstać. Właściwie nie chodziło o stratę. Nie tylko, przynajmniej. Nigdy się nie wie, kiedy coś może się przydać. Na przykład te dwie wełniane suknie, które Elayne ułożyła na jej łóżku. Nie były dość dobre dla damy, z kolei zaś nazbyt strojne dla pokojówki, ale gdyby zostawiła je w Mardecin, jak chciała Elayne, miałyby teraz ogromne kłopoty z dobraniem sobie strojów.

Nynaeve uklękła i zaczęła przetrząsać zawartość kolejnego kufra. 'Trochę bieleziny, dwie dodatkowe suknie na zmianę. Dwie rynienki do pieczenia z żeliwa byłyby znakomite, ale zbyt ciężkie do noszenia, mężczyźni zaś z pewnością nie zapomną kupić zastępczych. Przybory do szycia w zgrabnym pudełku wykładanym kością słoniową, na pewno nie przyjdzie im do głowy kupić choć szpilkę. Jednak jej uwaga po części tylko skierowana była na to, co robi.

— Znałaś Thoma już wcześniej? — zapytała, jak się jej zdawało, zdawkowym tonem. Obserwowała Elayne kątem oka, udając, że jest całkowicie pochłonięta zwijaniem pończoch.

Dziewczyna zaczęła wyciągać własne rzeczy, wzdychając nad jedwabiami, które odkładała na bok. Zamarła z rękoma zanurzonymi głęboko w kufrze i nie spojrziała nawet na Nynaeve.

— Był nadwornym bardem w Caemlyn, kiedy byłem mała — odpowiedziała cicho.

— Rozumiem. — Nic nie rozumiała. W jaki sposób człowiek może od nadwornego barda zabawiającego rodzinę królewską, a więc omalże równego pozycją szlachcie, stoczyć się do zwykłego śpiewaka wędrującego od wioski do wioski?

— Był kochankiem Matki po śmierci Ojca. — Elayne powróciła do swego zajęcia, a powiedziała te słowa tak rzeczowym tonem, że Nynaeve aż zamarła z rozdziawionymi ustami.

— Twojej Matki. . .

Druga kobieta wciąż jednak nie patrzyła na nią.

— Nie mogłam go sobie przypomnieć aż do Tanchico. Byłam wtedy bardzo mała. Dopiero te jego wąsy, kiedy stanęłam dość blisko, by spojrzeć mu w twarz, i gdy usłyszałam, jak recytuje fragment *Wielkiego Polowania na Róg*. On pomyślał, że powtórnie zapomniałam. — Jej twarz lekko poróżowiła — Wypiłam wtedy. . . trochę za dużo wina i następnego dnia twierdziłam, iż nic nie pamiętam.

Nynaeve była w stanie tylko kręcić głową. Pamiętała tę noc, kiedy Elayne wlała w swoje głupie gardło zbyt wiele wina. Przynajmniej nigdy więcej już tego nie zrobiła, ból głowy następnego ranka musiał się okazać skuteczną kuracją. Teraz już rozumiała, dlaczego dziewczyna zachowywała się wobec Thoma w taki sposób. Kilkakrotnie w Dwu Rzekach widziała podobne obrazki. Dziewczyny ledwie dorosłe, by myśleć o sobie jak o kobietach. Z kim jeszcze mogłyby się porównywać jak nie z własną matką? A czasami, z kim lepiej konkurować, by dowieść sobie, że jest się prawdziwą kobietą? Zazwyczaj nie prowadziło to do niczego więcej niżli do starań, by być we wszystkim lepszą, poczynając od gotowania, a kończąc na szyciu, czy może do niegroźnego zupełnie flirtu z własnym ojcem, ale w przypadku jednej wdowy Nynaeve obserwowała, jak jej niemalże dorosła córka zrobiła z siebie kompletną idiotkę, usiłując usidlić mężczyznę, którego jej matka zamierzała poślubić. Kłopot polegał na tym, że Nynaeve nie miała pojęcia, co począć z tymi głupstwami w przypadku Elayne. Pomimo surowych napomnień i nie tylko, zarówno od niej jak i Koła Kobiet, Sari Ayellin nie uspokoiła się, zanim jej matka powtórnie nie wyszła za mąż, a i ona nie znalazła sobie męża.

— Przypuszczam, że musiał być dla ciebie jak ojciec — powiedziała ostrożnie. Udawała, że ją również zajmuje tylko pakowanie rzeczy. Thom z pewnością patrzył na nią w ten sposób. To tyle wyjaśniało.

— O ojcu prawie wcale nie myślę. — Elayne pozornie skupiła się na decyzji, ile zabrać jedwabnych sukien, ale jej oczy posmutniały. — Niewiele pamiętam. Byłam jeszcze dzieckiem, kiedy umarł. Gawyn mówi, że cały swój czas spędzał z Galadem. Lini próbowała go jakoś usprawiedliwić, ale ja wiem, iż ani razu nie przyszedł do pokoju dziecinnego, aby zobaczyć mnie czy Gawyna. Z pewnością by się nami zajął, wiem o tym, kiedy bylibyśmy już na tyle dorośli, by zacząć się czegoś uczyć jak Galad. Ale umarł.

Nynaeve spróbowała ponownie.

— Przynajmniej Thom jest sprawny jak na swój wiek. Ładnie byśmy wyglądały, gdyby cierpiał na reumatyzm. Starszym mężczyznom często się to zdarza.

— Wciąż potrafiłby robić salta, gdyby nie ta jego noga. Zresztą nie dbam o to, że on utyka. Jest inteligentny i tyle wie o świecie. Jest delikatny i czuję się bezpieczna w jego obecności. Nie sądzę, że powinnam mu o tym mówić. Próbuje mnie chronić w wystarczającym stopniu.

Nynaeve z westchnieniem poddała się. Przynajmniej na razie. Thom mógł sobie patrzeć na Elayne jak na swoją córkę, ale jeśli ta dziewczyna będzie dalej się tak zachowywać, on może sobie przypomnieć w pewnej chwili, że wcale nią nie jest, a wtedy Elayne dopiero wpakuje się w kabałę.

— Thom jest bardzo miły dla ciebie. — Czas już zmienić temat. — Jesteś pewna, jeśli chodzi o Galada? Elayne? Elayne, czy jesteś pewna, że Galad może nas wydać?

Tamta wzdrygnęła się, z jej czoła zniknął lekki mars.

— Co? Galad? Jestem jak najbardziej pewna, Nynaeve. A jeśli się dowie, że nie mamy zamiaru pozwolić mu, by odwiózł nas do Caemlyn, to tylko przyspieszy swoją decyzję.

Mrucząc coś do siebie, Nynaeve wyciągnęła z kufra jedwabną suknię do konnej jazdy. Czasami myślała, że Stwórca powołał na świat mężczyzn jedynie po to, by przysparzali kobietom kłopotów.

NA ZACHÓD

Kiedy zjawiła się służąca z czepkami, Elayne leżała wyciągnięta na jednym z łóżek, w jedwabnej bieliźnie, z wilgotnym kompresem na czole, Nynaeve zaś początkowo udawała, że naprawia rąbek bładozielonej sukni, którą Elayne nosiła, gdy przyjechały do miasteczka. Dopóki nie ukuła się w palec, nigdy by się do tego przed nikim nie przyznała, ale nieszczerze radziła sobie z szyciem. Ona oczywiście miała na sobie swoją suknię — pokojówki przecież nie zachowywały się równie niedbale jak damy — ale nie rozpuściła włosów. Najwyraźniej nie miały zamiaru w najbliższym czasie opuszczać izby. Podziękowała dziewczynie szeptem, jakby nie chciała budzić swej pani, i wcisnęła jej w dłoń następny srebrny grosz, powtórnie nakazując, by pod żadnym pozorem nie przeszkadzano lady.

Ledwie drzwi się zamknęły, Elayne zerwała się na równe nogi i zaczęła wyciągać ich tobołki spod jednego z łóżek. Nynaeve sięgnęła do pleców, by rozpiąć guziki swojej sukni. Błyskawicznie były gotowe, Nynaeve miała na sobie zielone wełny, Elayne niebieskie, tobołki przewiesiły przez plecy. Nynaeve wzięła zwój z ziołami i pieniądze, Elayne szkatułki owinięte kocem. Głębokie, wygięte daszki czepków dobrze osłaniały ich twarze, Nynaeve przyszło na myśl, że mogłyby przejść tuż obok Galada, a ten by ich nie poznał, szczególnie biorąc pod uwagę schowane włosy, nie rozpoznałby jej nawet po warkoczu. Jednak pani Jharen z pewnością zatrzyma dwie obce kobiety schodzące z tobołkami po schodach jej gospody.

Tylne schody biegnące na zewnątrz budynku składały się z szeregu wąskich stopni umocowanych w ścianie. Nynaeve poczuła przelotne współczucie dla Thoma i Juilina, którzy musieli wlec ciężkie kutry po tych schodach na górę, ale jej uwaga skupiona była głównie na podwórzu stajni i jej pokrytym łupkiem budynku. Żółty pies leżał w cieniu pod ich powozem, chroniąc się przed upałem, coraz bardziej dającym się we znaki, ale wszyscy stajenni byli we wnętrzu. Przez otwarte wrota mogła widzieć od czasu do czasu jakieś ruchy, ale nikt się nie pokazał na zewnątrz.

Przebiegły szybko przez podwórze stajni do alejki wiodącej między jej ścianą a wysokim kamiennym murem. Załadowany po brzegi wóz, otoczony rojem much i ledwie mieszczący się w alejce, z turkotem przejechał obok. Nynaeve podejrze-

wała, że Elayne otacza poświęca, *saidara*, chociaż sama nie mogła jej zobaczyć. Ja natomiast przepełniała wiara, że psu nie zachce się czekać, że nikt nie wyjdzie z kuchni czy stajni. Gdyby musiały użyć Mocy, nie byłoby sposobu by wymknąć się cicho, plotki zaś o tym, jak otworzyły sobie drogę, zapewne by dotarły do Galada, wskazując mu ślad ich ucieczki.

Nierówna drewniana brama w końcu alejki była zamknięta jedynie na zasuwę, a wąska ulica za nią, wzdłuż której stały proste domy z kamienia kryte przeważnie strzechami, świeciła pustką, wyjąwszy garstkę chłopców grających w jakąś grę, która zdawała się polegać na wzajemnym obrzucaniu się woreczkami wypełnionymi fasolą. Jedynym dorosłym w zasięgu wzroku był mężczyzna karmiący stadko gołębi na dachu po przeciwnej stronie ulicy, z otworu w dachu wystawały mu tylko ramiona i głowa. I on, i chłopcy spojrzeli na nie przelotnie, kiedy zamknęły bramę i ruszyły krętą uliczką, zachowując się tak, jakby miały wszelkie prawo tu przebywać.

Przeszły dobre pięć mil drogą wiodącą ze Siendy na zachód, zanim dogonili je Thom i Juilin. Thom powoził czymś, co przypominało z wyglądu wóz Druciarza, z tym że pojazd pomalowany był na jeden tylko kolor, płowozielony, a na dodatek farba wielkimi płatami schodziła z burt. Nynaeve była jednak wdzięczna, że może wcisnąć swe tobołki pod siedzenie woźnicy, ale mniej okazała się zadowolona, gdy zobaczyła, że Juilin dosiada Leniucha.

— Mówiłam ci, żebyś nie wracał do gospody — upomniała go, przysięgając sobie jednocześnie, że go czymś uderzy, jeżeli spojrzy znowu na Thoma.

— Nie wróciłem — powiedział nieświadom, że właśnie udało mu się uniknąć guza. — Powiedziałem głównemu stajennemu, że moja pani pragnie świeżych jagód z lasu, że Thom i ja zostaliśmy wysłani, aby ich nazbierać. 'To są głupoty, które niektórzy arysto. . .

Urwał i odchrząknął, kiedy siedząca obok Thoma Elayne rzuciła mu chłodne spojrzenie.

— Musieliśmy wymyślić jakiś powód, żeby opuścić gospodę i stajnię — oznajmił Thom, smagając batem konie. — Przypuszczam, że wy powiedziałyście, iż omdlałe od upału musicie wycofać się do swej izby na krótki wypoczynek, ale stajenni zapewne zaczęliby się zastanawiać, dlaczego my wolimy włączyć się gdzieś w tym żarze, zamiast zostać na przyjemnie chłodnym stryszkę na sianie, nie mając nic do roboty, a być może z dzbanem ale pod ręką. Przypuszczam jednak, że nikt nie będzie sobie zawracał nami głowy.

Elayne rzuciła Thomowi pozbawione wyrazu spojrzenie bez wątpienia za owe „omdlałe od upału” — ale udał, iż nic nie widzi. Albo być może rzeczywiście nie dostrzegł. Mężczyźni potrafili być ślepi, kiedy im tak było wygodnie. Nynaeve parsknęła głośno, ona tego nie zapomni. Thom zaś, skończywszy swą kwestię, trzasnął mocno batem ponad głowami prowadzących koni wystarczająco szybko, by uciąć dalszą dyskusję. Była to tylko wymówka, aby mogli się zmieniać podczas

jazdy. Kolejna rzecz, którą robili mężczyźni — znajdowali sobie wymówki, aby robić dokładnie to, co chcieli. Przynajmniej Elayne patrzyła teraz na niego spoode łba, zamiast się głupio wdzięczyc.

— Ostatniej nocy dowiedziałem się czegoś jeszcze — ciągnął dalej Thom po dłuższej chwili. — Pedron Niall próbuje zjednoczyć narody przeciwko Randowi.

— Nie żebym ci nie wierzyła, Thom — odparła Nynaeve — ale jak się tego dowiedziałeś? Nie wierzę, by jakiś Biały Płaszcz zwyczajnie ci o tym powiedział.

— Zbyt wielu ludzi powtarzało tę samą plotkę, Nynaeve. Że w Łzie objawił się fałszywy Smok. Mówili o nim, nawet nie wspominając o prorocत्वach dotyczących upadku Kamienia Łzy czy o *Callandorze*. Ten człowiek jest niebezpieczny, powiadali tym samym, a narody winny się zjednoczyć tak, jak się to zdarzyło podczas Wojen o Aiel. A któż lepiej nadaje się, by poprowadzić je przeciwko temu fałszywemu Smokowi niżli Pedron Niall? Kiedy zbyt wiele języków powtarza te same słowa, tych samych myśli można się doszukiwać wyżej, a w Amadicii nawet Ailron nie pozwolił sobie na głośne wypowiedzenie własnych myśli, nie poradziwszy się wpierr Pedrona Nialla.

Stary, prosty bard zawsze łączył ze sobą pogłoski oraz szept i bardzo często dedukował z nich poprawne odpowiedzi. Nie, nie prosty bard, powinna o tym pamiętać. Cokolwiek o sobie twierdził, był kiedyś nadwornym bardem i najprawdopodobniej mógł obserwować z bliska wszystkie te dworskie intryki, o których mówiły jego opowieści. Być może nawet sam w nich uczestniczył, skoro był kochankiem Morgase. Spojrzała na niego spod oka, pomarszczona twarz z krzaczystymi siwymi brwiami, długie wąsy równie śnieżnobiałe jak włosy na głowie. Mogły przypaść do gustu niektórym kobietom.

— Należało się czegoś takiego spodziewać. — Nigdy by jej to nie przyszło do głowy. A powinno.

— Matka na pewno poprze Randa — powiedziała Elayne. — Wiem, że tak będzie. Ona zna Proroctwa. A ma równie wielkie wpływy jak Pedron Niall.

Thom leciutko pokręcił głową, negując przynajmniej ostatnią część jej wypowiedzi. Morgase rządziła bogatym narodem, ale Białe Płaszcze były wszędzie, w ich szeregach znajdowali się żołnierze pochodzący z każdego kraju. Nynaeve rozumiała, że powinna zacząć przykładać baczniejszą uwagę do tego, co mówi Thom. Być może on naprawdę posiadał tę wiedzę, do której rościł sobie pretensje..

— A więc sądzisz, że powinnyśmy pozwolić Galadowi odwieźć nas do Caemlyn?

Elayne pochylała się do przodu i rzuciła jej ostre spojrzenie.

— Na pewno nie. Po pierwsze dlatego, że nie ma sposobu, aby upewnić się, iż jest to jego własna decyzja. A po drugie... — Wyprostowała się, kryjąc za ciałem Thoma, wyglądało to tak, jakby mówiła do siebie, napominała samą siebie. — Po drugie, jeżeli Matka naprawdę zwróciła się przeciwko Wieży, wolę wytłumaczyć

jej wszystko listownie, kiedy nadarzy się odpowiednia okazja. Ona potrafiłaby uwięzić nas obie w pałacu, oczywiście dla naszego dobra. Może być niezdolna do przenoszenia, ale nie mam ochoty próbować się jej przeciwstawiać, dopóki nie będę pełną Aes Sedai. Jeśli w ogóle.

— Silna kobieta — powiedział z zadowoleniem Thom. — Morgase szybko nauczyłaby cię dobrych manier, Nynaeve.

Potraktowała go kolejnym głośnym parsknięciem — te luźne włosy spływające jej na ramiona zupełnie nie nadawały się do szarpania — ale stary głupiec jedynie uśmiechnął się do niej szeroko.

Kiedy dotarli do obozowiska menażerii, słońce stało już wysoko na niebie, tamci wciąż koczowali na starym miejscu, na polanie przy drodze. Utrzymujący się nieprzerwanie upał powodował, że nawet dęby wyglądały na nieco zmarniałe. Wyjawszy konie i wielkie szare konio-dziki, wszystkie zwierzęta zamknięte były w swoich klatkach, w zasięgu wzroku nie dało się dostrzec również żadnego człowieka, bez wątpienia wszyscy pochowali się w swoich wozach, które zresztą nie różniły się szczególnie od ich pojazdu. Nynaeve i pozostali zdążyli już zejść na ziemię, zanim pojawił się Valan Luca, wciąż w tej głupawej pelerynie z czerwonego jedwabiu.

Tym razem nie przywitały ich żadne kwieciste przemowy, żadne ukłony połączone z zamiataniem połami peleryny. Jego oczy rozszerzyły się, kiedy rozpoznał Thoma i Juilina, zwężyły gdy spojrział na pudełkowany wóz. Pochylił się, aby zajrzeć pod daszki czepków, a jego uśmiech nie był już wcale przyjemny.

— Czyżby nie powiodło się w świecie, moja *lady* Morelin? A może nigdy nią nie byliśmy? Ukradłaś powóz i trochę rzeczy, nieprawdaż? Cóż, niechętnie bym oglądał takie śliczne czołko z wypalonym piętnem. A tak właśnie tutaj postępują, na wypadek gdybyś nie wiedziała, o ile nie robią gorszych rzeczy. A więc, ponieważ wygląda na to, że się o tym dowiedziałaś... w przeciwnym razie czemu byś uciekała?... sugerowałbym, żebyś śpieszyła, ile tylko sił. Jeżeli chcesz z powrotem dostać ten swój przeklęty grosz, to leży gdzieś na drodze. Rzuciłem go za tobą i może sobie tam leżeć aż do czasu Tarmon Gai'don, jeśli o mnie chodzi.

— Potrzebujesz protektora — powiedziała Nynaeve, kiedy odwrócił się, by odejść. — My możemy być twoimi protektorami.

— Wy? — warknął. Ale zatrzymał się. — Nawet jeśli kilka monet ukradzionych z sakiewki jakiegoś lorda mogłoby się okazać w czymkolwiek pomocne, to nie przyjmę kradzionych...

— Zwrócimy co do grosza twoje wydatki, panie Luca — wtrąciła Elayne tym jej chłodnym aroganckim tonem — a oprócz tego otrzymasz sto złotych marek, jeżeli zabierzesz nas ze sobą do Ghealdan i jeśli zgodzisz się nie zatrzymywać nigdzie przed dotarciem do granicy.

Luca zapatrzył się na nią, oblizując językiem usta.

Nynaeve jęknęła z cicha. Sto marek, i to złotych! Sto srebrnych z łatwością

wystarczyłoby na pokrycie jego wydatków, do Ghealdan, a nawet jeszcze dalej, niezależnie od tego, co jedzą te tak zwane konio-dziki.

— Ukradłaś aż tyle? — ostrożnie zapytał Luca. — Kto cię ściga? Nie będę się narażał Białym Płaszczom ani armii. Wtrąca nas wszystkich do więzienia, a zwierzęta najpewniej zabijają.

— Mój brat — odparła Elayne, zanim Nynaeve zdążyła gniewnie zaprzeczyć, jakoby cokolwiek ukradły. — Wygląda na to, że kiedy byłam poza domem, zaaranżowano moje małżeństwo i wysłano po mnie mego brata. Nie mam zamiaru wracać do Cairhien, aby wyjść za mężczyznę niższego ode mnie o głowę, trzykrotnie grubszego i trzykrotnie starszego.

Jej policzki poczerwieniały w dość zadowalającej imitacji gniewu, nerwowe odkaszlnięcie przydało jej jeszcze odrobinę wiarygodności.

— Mój ojciec marzy o zgłoszeniu swych roszczeń do Tronu Słońca, o ile uda mu się zdobyć odpowiednie poparcie. Ja marzę o rudowłosym Andoraninie, którego poślubię, niezależnie od tego, co mówi ojciec. Tyle ci powinno wystarczyć, panie Luca, jeśli chodzi o wiedzę na mój temat, a nawet tego już za dużo.

— Być może rzeczywiście jesteś tą, za którą się podajesz — powiedział powoli Luca — a może nie. Pokaż mi trochę tych pieniędzy, które obiecujesz. Za same obietnice można kupić niewielki doprawdy kubek wina.

Nynaeve wściekła zanurzyła rękę w swym zwoju, wymacała najgrubszą sakiewkę i potrząsnęła mu przed nosem, kiedy jednak po nią sięgnął, wepchnęła ją z powrotem na poprzednie miejsce.

— Dostaniesz tyle, ile ci będzie potrzebne, kiedy przyjdzie na to czas. Oraz sto marek po przybyciu do Ghealdan. — Sto marek w złocie! Będą musiały znaleźć jakiegoś bankiera i wykorzystać jeden z tych listów zastawnych, jeśli Elayne dalej będzie się tak zachowywać.

Luca jęknął z niesmakiem.

— Bez względu na to, czy je ukradłyście czy nie, wciąż przed kimś uciekacie. Nie będę ryzykował losu całego swojego cyrku, niezależnie od tego, czy szuka was armia, czy też tylko jakiś cairhieński lord. Lord zresztą może się okazać znacznie gorszy, jeśli uzna, że porwałem mu siostrę. Będziecie musiały jakoś wtopić się w otoczenie. — Paskudny uśmiech znowu wypełził na jego twarz, nie miał zamiaru zapomnieć tamtego srebrnego grosza. — Wszyscy, którzy ze mną podróżują, mają jakieś zajęcie, wy również będziecie musieli coś robić, jeśli nie chcecie się odznaczać. Jeżeli pozostali się dowiedzą, że płacie za swoją podróż, zaczną gadać, a tego byście zapewne nie chcieli. Możecie czyścić klatki, woźnice zawsze skarżyli się, że muszą to robić. Mogę nawet znaleźć ten grosz i dać go wam jako zapłatę. Nikt potem nie powie, że Valan Luca nie jest szczodry.

Nynaeve chciała już oznajmić niedwuznacznie, że nie po to płacą za swoją drogę do Ghealdan, żeby równocześnie pracować, kiedy Thom położył dłoń na jej ramieniu. Potem bez słowa pochylił się, podniósł z ziemi kamienie i zaczął

nimi żonglować, sześcioma naraz w kręgu.

— Mam już żonglerów — skomentował to Luca. Wtedy sześć zmieniło się w osiem, później w dziesięć, w tuzin. — Jesteś niezły.

Krąg zmienił się w dwa, a potem się oba splotły. Luca potarł policzek.

— Być może dla ciebie znajdę jakieś zajęcie.

— Potrafię także połykać ogień — powiedział Thom, pozwalając kamieniom opaść na ziemię — i występuję z nożami. — Pokazał puste wnętrze dłoni, potem zaś zniemacka wyciągnął kamień z ucha Luki. — Robię też kilka innych rzeczy.

Luca stłumił przelotny uśmiech.

— Ty to potrafisz, ale co z resztą? — Wyglądało, że jest zły na siebie za okazanie choć śladu entuzjazmu czy aprobaty.

— Co to jest? — zapytała Elayne, wyciągając dłoń.

Dwa wysokie słupy, których wznoszenie obserwowała Nynaeva, teraz były już umocowane za pomocą naciągniętych lin, na każdym u góry umocowano małą platformę, między nimi zaś rozciągnięto napiętą linę długości może trzydziestu kroków. Z każdej platformy zwisała sznurowa drabinka.

— To jest przyrząd Sedrina — odparł Luca, potem potrząsnął głową. — Sedrin był linoskoczkiem dokonującym olśniewających wyczynów dziesięć kroków nad ziemią na cienkiej linie. Głupiec.

— Potrafiłabym po niej przejść — poinformowała go Elayne.

Thom wyciągnął rękę, próbując złapać ją za ramię, ale ona już zdjęła czepek i ruszyła w stronę przyrządu, zresztą zrezygnował, gdy nieznacznie pokręciła głową i uśmiechnęła się.

Jednak Luca zagroził jej drogę.

— Posłuchaj, Morelin, czy też jak tam masz naprawdę na imię, twoje czoło może rzeczywiście jest zbyt śliczne, aby je znaczyć piętnem, ale twój kark z pewnością jest zbyt piękny, żebyś miała go sobie skrócić. Sedrin wiedział, co robi, a skończyło się na tym, że pogrzebaliśmy go nie dalej jak godzinę temu. To dlatego wszyscy są w swoich wozach. Oczywiście, prawdą jest, że za dużo wypił ostatniej nocy, po tym jak nas wygnano ze Siendy, ale widziałem wcześniej, jak tańczył na linie z żołądkiem pełnym brandy. Powiem ci, co zrobimy. Nie będziesz musiała czyścić klatek. Zamieszkaś w moim wozie i powiemy wszystkim, że jesteś damą mojego serca. To będzie oczywiście tylko taka historyjka. — Jednak przebiegły uśmiech na jego twarzy mówił wyraźnie, że liczy na coś więcej niżli tylko historyjka.

Dziwne, że nie zamarzył pod wpływem uśmiechu, jakim odpowiedziała mu Elayne.

— Dziękuję ci za twoją propozycję, panie Luca, ale gdybyś zechciał łaskawie zejść mi z drogi. . . — Musiał, gdyż w przeciwnym razie chyba by po nim przeszła.

Juilin miał swój cylindryczny kapelusz w dłoniach, potem zaś, kiedy zaczęła wspinać się po jednej z tych sznurowych drabinek, płacząc się odrobinę w swoich

sukniach, wcisnął go sobie z rozmachem na głowę. Nynaeve rozumiała jednak, co tamta zamierza. Thom też chyba to wiedział, chociaż wciąż wyraźnie był gotów lada chwila podbiec i złapać ją, gdyby spadła. Luca podszedł bliżej, jakby w głowie miał tę samą myśl.

Przez chwilę Elayne stała na platformie, wygładzając suknię. Kiedy tak stała, platforma wyglądała na jeszcze mniejszą, jeszcze wyższą. Potem, unosząc delikatnie suknię, jakby chciała przejść przez błoto, weszła na wąską linę. Równie dobrze mogłaby naprawdę przechodzić przez ulicę. I w jakiś sposób tak właśnie było. Nynaeve nie mogła dostrzec strumieni *saidara*, ale wiedziała, że Elayne uplotła ścieżkę między dwoma platformami, bez wątpienia z Powietrza, które ukształtowała tak, że stało się twarde niczym kamień.

Nagle Elayne pochyliła się i wykonała dwa przewroty, jej kruczoczarne włosy spłynęły w dół, jedwab pończoch załśnił w promieniach słońca. Przez tę chwilę, kiedy się prostowała, jej spódnice zdały się muskać gładką, równą powierzchnię, potem uniosła je znowu. Jeszcze dwa kroki i już była na drugiej platformie.

— Czy pan Sedrin potrafił to zrobić, panie Luca?

— Robił salta — odrzyknął w odpowiedzi. Cicho zaś, pod nosem, dodał: — Ale nie miał takich nóg. Co za dama! Ha!

— Nie tylko ja jedna posiadam takie umiejętności — zawołała Elayne. — Juilin i...

Nynaeve zdecydowanie pokręciła przecząco głową, przenoszenie czy nie, jej żołądek zapewne zareagowałby na tę wysoką linę równie gwałtownie, jak na sztorm na otwartym morzu.

— ...i ja robiliśmy to wielokrotnie. Chodź, Juilin. Pokażemy mu.

Łowca złodziei miał taką minę, jakby już raczej wolał czyścić klatki gołymi rękoma. Klatki lwów, z lwami w środku. Zamknął oczy, ustami poruszał w bezgłośnej modlitwie i podszedł do drabinki sznurowej jak człowiek idący na szafot. Kiedy znalazł się na szczycie, popatrzył na Elayne, potem na linę, na jego twarzy odbiło się skupienie. Nagle ruszył naprzód, szybko, gwałtownie, z rękami rozciągniętymi po bokach, oczy utkwił w Elayne, usta zaś wciąż powtarzały modlitwę. Dziewczyna zesła odrobinę po drabince, żeby zrobić miejsce, potem pomogła mu znaleźć szczeble i sprowadziła na dół.

Thom uśmiechnął się do niej z dumą, kiedy wróciła do nich i wzięła czepek z rąk Nynaeve. Juilin wyglądał, jakby go zanurzono w gorącej wodzie, a potem wyżęto.

— To było dobre — powiedział Luca, pocierając z namysłem policzek. — Nie tak dobre jak Sedrin wprawdzie, ale niezłe. W szczególności podobało mi się, że tobie zdawało się to nie sprawiać najmniejszej trudności, podczas gdy... Juilin?... wyglądał na śmiertelnie przerażonego. To może wywołać znakomity efekt.

Juilin posłał mu błądy uśmiech, w którym było coś takiego, jakby zaraz chciał

sięgnąć po nóż. Luca odwrócił się do Nynaeve, zakręcił połami czerwonej peleryny, naprawdę wyglądał na bardzo usatysfakcjonowanego.

— A ty, moja droga Nano? Jakież to zaskakujący talent posiadasz? Akrobatka może? Połykaczka mieczy?

— Ja rozdaję jałmużnę — powiedziała mu, klepiąc zwój. — Chyba, że mnie również chciałbyś zaproponować swój wóz?

Obrzuciła go uśmiechem, który sprawił, że zadowolenie zniknęło z jego oblicza, a potem ruszyła na niego tak, że cofnął się o dobre dwie stopy.

Okrzyki wywołały ludzi z wozów, wszyscy skupili się wokół, gdy Luca przedstawiał nowych członków trupy. Na temat Nynaeve wypowiadał się raczej oględnie, nazywając jej umiejętności zaledwie zaskakującymi, postanowiła, że jednak będzie musiała z nim porozmawiać.

Woźnice — furmani, jak Luca nazywał ludzi, którzy nie zdradzali żadnych talentów — wyglądali dość paskudnie, zachowywali się zaś gburowato, być może dlatego, że byli gorzej opłacani. Biorąc pod uwagę ilość wozów, było ich stosunkowo niewiele. Okazało się, że wszyscy muszą pomagać w pracy, włączywszy powożenie, w wędrownym menażerii nie przelewało się, nawet w takiej jak ta. Pozostali stanowili przedziwną zbieraninę.

Petra, siłacz, był największym człowiekiem, jakiego Nynaeve widziała w życiu. Niezbyt wysoki, za to szeroki w barach, skórzana kamizelka odsłaniała ramiona grubości pni drzew. Jego żoną była Clarine, pulchna kobieta o rumianych policzkach, która tresowała psy, przy rum wyglądała na jeszcze mniejszą niż w rzeczywistości. Latelle, która występowała z niedźwiedziami, była ciemnowłosą kobietą o surowej twarzy i krótko przyciętych czarnych włosach, kąciki jej ust wyginały się, jakby zaraz miała zacząć na wszystkich warczeć. Aludra, szczupła kobieta, rzekomy Iluminator, mogła nawet nim być. Ciemnych włosów nie zaplatała w taraboniańskie warkoczyki, co nie było niczym zaskakującym, zważywszy nastroje w Amadicii, ale miała właściwy akcent, a któż mógł wiedzieć, co się stało z Gildią Iluminatorów? Ich kapitułarz w Tanchico z pewnością zamknął swe podwoje. Dalej akrobaci, twierdzili, że są braćmi i nazywają się Chavana, lecz choć wszyscy byli niscy i krępi, różnili się znacznie barwą skóry. Najbledszy był Taeric o zielonych oczach — wystające policzki i zakrzywiony nos wskazywały na domieszkę saldaeańskiej krwi — najciemniejszy zaś Barit, o cerze bardziej śniadej niżli skóra Juilina, z tatuażami Ludu Morza na przedramionach, chociaż bez żadnych kolczyków.

Wszyscy prócz Latelle ciepło powitali nowych członków zespołu, więcej wykonawców oznaczało większą liczbę publiczności podczas przedstawień, czyli więcej pieniędzy. Dwaj żonglerzy, Bari i Kin — okazało się później, że naprawdę byli braćmi — wciągnęli Thoma w pogawędkę o swym rzemiośle, kiedy tylko okazało się, że on stosuje zupełnie inne techniki. Przyciąganie większej liczby widzów to była jedna rzecz, konkurencja zaś była czymś zupełnie innym. Jednak

uwagę Nynaeve przyciągnęła kobieta o jasnej skórze, która zajmowała się konio-dzikami. Cerandin stała sztywno, trzymając się z boku i prawie się nie odzywała — Luca twierdził, że podobnie jak jej zwierzęta pochodzi z Shary — ale jej miękki, niewyraźny sposób mówienia sprawił, że Nynaeve nadstawiła uszu.

Trochę czasu minęło, zanim ustawili wóz w przeznaczonym dla niego miejscu. Thom i Juilin wydawali się bardziej niż zadowoleni, że ich końmi zajmą się wreszcie woźnice, ich nadzieje ostatecznie okazały się próżne, natomiast do Elayne i Nynaeve zaczęły napływać zaproszenia. Petra i Clarine poprosili je na herbatę, kiedy tylko się rozlokują. Bracia Chavana chcieli, aby obie kobiety zjadły z nimi kolację, Kin i Bari zaś mieli podobne życzenie, co sprawiło, że nieprzyjemny grymas Latelle zamienił się w otwarte szczerzenie zębów. Zaproszenia te zostały grzecznie odrzucone, Elayne zapewne zachowywała się bardziej przyzwoicie niż Nynaeve, wspomnienie tego, jak wytrzeszczała oczy na Galada niczym jakaś żaba, było zbyt świeże by teraz mogła się zdobyć na coś więcej niż tylko minimum grzeczności wobec jakiegokolwiek mężczyzny. Luca też chciał zaprosić samą Elayne, o czym poinformował ją, gdy Nynaeve nie mogła niczego słyszeć. Zarobił za to policzek, a Thom zaczął ostentacyjnie błyskać nożami, które zdawały się pojawiać i znikać w jego dłoniach, dopóki tamten nie odszedł, burcząc coś pod nosem i pocierając twarz.

Zostawiwszy Elayne, by rozpakowała rzeczy w wozie — rozrzuciła je po prawdzie, mrużąc coś przy tym wściekle — Nynaeve poszła do miejsca, w którym trzymano spętane konio-dziki. Wielkie szare stworzenia wydawały się dość spokojne, ale pamiętając dziurę w kamiennej ścianie „Królewskiego Lansjera”, nie ufała zbyt skórzonym rzemieniom łączącym ich masywne przednie nogi. Cerandin drapała wielkiego samca ościeniem zakończonym hakiem z brązu.

— Jak one się naprawdę nazywają? — Nynaeve z oporami poklepała długi nos samca, czy też pysk, cokolwiek to było. Te kły były równie grube jak jej nogi i długie na dobre trzy kroki, samica miała niewiele mniejsze. Zwierzę sapnęło przez nos w jej suknie, ona zaś cofnęła się pośpiesznie.

— *S’redit* — powiedziała kobieta o jasnej skórze. — To są *s’redit*, jednak pan Luca uznał, że lepsza będzie nazwa, którą łatwiej wymówić.

Tego przeciągłego akcentu nie sposób było z niczym pomylić.

— Czy *s’redit* są powszechne w Seanchan?

Oścień znieruchomiał na moment, potem jednak kobieta podjęła drapanie.

— Seanchan? Gdzie to jest? *S’redit* pochodzą z Shary, podobnie jak ja. Nigdy nie słyszałam o...

— Być może nawet i widziałas Share, Cerandin, ale ja osobiście w to wątpię. Jesteś Seanchanką. O ile się nie mylę, musiałas przyplynać razem z wojskami inwazyjnymi na Głowę Tomana, a potem nie zdążyli cię zabrać z Falme..

— Nie ma najmniejszej wątpliwości — powiedziała Elayne, stając przy niej. — Słyszałyśmy już seanchański akcent w Falme, Cerandin. Nie zrobimy ci

krzywdy.

To było więcej, niż Nynaeve gotowa była obiecać, jej wspomnienia o Seanchanach nie należały do przyjemnych. A jednak. . .

„Pewna Seanchanka pomogła ci, kiedy tego potrzebowałaś. Oni nie wszyscy są źli. Tylko większość”.

Cerandin westchnęła głęboko, a potem pochyliła głowę. Wyglądała, jakby opuściło ją napięcie, które od tak dawna było w niej, że przestała zdawać sobie z niego sprawę.

— Bardzo niewielu ludzi, których dotąd spotkałam, wiedziało coś choćby nieznacznie zbliżonego do prawdy na temat Powrotu czy Falme. Słyszałam setki opowieści, jedne bardziej fantastyczne od drugich, ale nigdy słowa prawdy. Tylko z korzyścią dla mnie. Rzeczywiście zostawiono mnie, jak również wiele *s’redit*. Te trzy tylko udało mi się zebrać. Nie mam pojęcia, co stało się z resztą. Byk nazywa się Mer, krowa Sanit, a cielę Nerin. Ono nie jest dzieckiem Sanit.

— Tym się właśnie zajmujesz? — zapytała Elayne. — Tresujesz *s’redit*?

— Czy też byłaś może *sul’dam*? — dodała Nynaeve, zanim tamta zdążyła odpowiedzieć.

Cerandin potrząsnęła głową.

— Zostałam sprawdzona, wszystkie dziewczęta przechodzą próby, ale nie potrafiłam nic zrobić z *a’dam*. Byłam szczęśliwa, że wybrano mnie do pracy ze *s’redit*. To są wspaniałe zwierzęta. Musicie dużo wiedzieć, jeśli macie pojęcie o *sul’dam* i *damane*. Nie spotkałam dotąd nikogo, kto by cokolwiek o nich wiedział. — Nie okazywała nawet śladu lęku. Choć, być może cały strach wypalił się w niej od czasu, jak przekonała się, że jest sama w obcym kraju. A może jednak kłamała.

Seanchanie byli równie wstrętni jak Amadicianie, jeśli chodziło o traktowanie kobiet, które potrafią przenosić, być może nawet gorsi. Nie wypędzali ich ani nie zabijali, więzili i wykorzystywali. Przy pomocy instrumentu zwanego *a’dam* — Nynaeve nie miała wątpliwości, że musi być to rodzaj *ter’angreala* — kobieta posiadająca zdolność przenoszenia Jedynej Mocy mogła być kontrolowana przez inną kobietę, *sul’dam*, która zmuszała *damane* do używania jej talentów zgodnie z życzeniami Seanchanów, nawet w charakterze broni. *Damane* traktowano niczym zwierzęta, nawet jeśli dobrze się z nimi obchodzono. A *damane* stawała się każda kobieta, u której odkryto zdolność do przenoszenia lub wrodzoną iskrę talentu, Seanchanie przeszukali Głowę Tomana znacznie dokładniej, niżli Wieży się kiedykolwiek śniło. Na samą myśl o *a’dam*, *sul’dam* i *damane* Nynaeve poczuła, że ściska ją w żołądku.

— Wiemy niewiele — powiedziała do Cerandin — ale chciałobyśmy się dowiedzieć więcej.

Seanchanie odpłynęli, przegnani przez Randa, ale to nie oznaczało, że któregoś dnia nie powrócą. Zagrożenie było wprawdzie dość odległe, w porównaniu z tymi, którym musiały wkrótce stawić czoło, jednak gdy masz cierń wbity w sto-

pę, nie powinienes uważać, iż nie zaogni się ramię zadrapanie przez kolec dzikiej róży.

— Lepiej będzie, jak odpowiesz zgodnie z prawdą na nasze pytania. Będzie na to czas podczas podróży na północ. — Przrzekam, że nic ci się nie stanie — dodała Elayne.

— Obronię cię, jeśli będzie trzeba.

Spojrzenie bladokórej kobiety przenosiło się od jednej do drugiej, i znienacka, ku zdziwieniu Nynaeve, padła na ziemię przed Elayne.

— Ty jesteś Czcigodną tej ziemi, dokładnie tak, jak powiedziałaś panu Luca. Nie zdawałam sobie sprawy. Wybacz mi, Czcigodna. Padam do twych nóg. — I pocałowała ziemię przed stopami Elayne. Oczy tamtej wyglądały, jakby miały zaraz wyskoczyć z orbit.

Nynaeve pewna była, że sama nie prezentuje się lepiej.

— Wstań — syknęła, rozglądając się nerwowo dookoła, żeby zobaczyć, czy ktoś nie patrzy. Luca, a żeby go pokarało! I Latelle, wciąż z tym ponurym grymasem, jednak już nic nie można było z tym zrobić. — Wstań!

Kobieta nawet nie drgnęła.

— Podnieś się, Cerandin — powiedziała Elayne. — Na tej ziemi nikt nie wymaga, by ludzie się tak zachowywali. Nawet władcy. — Kiedy Cerandin gramoliła się niezgrabnie, dodała: — Nauczę cię właściwych obyczajów w zamian za odpowiedzi na nasze pytania.

Kobieta skłoniła się, opierając dłonie na kolanach i pochylając głowę.

— Tak, Czcigodna. Będzie, jak powiesz. Możesz mną dysponować.

Nynaeve westchnęła ciężko. Na pewno nie będą się nudzić podczas podróży do Ghealdan.

PIES CIEMNOŚCI

Liandrin prowadziła swego konia przez zatłoczone ulice Amadoru, grymas jej różanych ust skrywał głęboki, wygięty czepek. Nie znosiła sytuacji, kiedy musiała rezygnować ze swoich licznych warkoczyków, a jeszcze bardziej nienawidziła niedorzecznej mody tej absurdalnej krainy, czerwienie i żółcie kapelusza oraz sukni do konnej jazdy nawet jej odpowiadają, pomijając przyczepione do nich wielkie aksamitne kokardy. Jednakże czepek skrywał jej brązowe oczy, które wraz z włosami barwy miodu, pozwoliłyby każdemu natychmiast rozpoznać w niej Taraboniankę, co nie było obecnie korzystne w Amadicii — a ponadto jeszcze coś, co okazałoby się zapewne znacznie gorsze: twarz Aes Sedai. Bezpiecznie zamaskowana mogła spokojnie uśmiechać się do Białych Płaszczy, a co piąty chyba mężczyzna na ulicy był Synem. Nie żeby żołnierze, którzy stanowili kolejną, piątą część tłumu, byli w jakikolwiek sposób lepsi. Żaden z nich jednak nawet nie pomyślał, by zajrzeć pod czepek. Aes Sedai były tutaj wyjęte spod prawa, co w ich mniemaniu oznaczało zapewne, że tych kobiet tu nie ma.

Mimo to poczuła się znacznie lepiej, kiedy skręciła w zdobną żelazną bramę przed domem Jorina Arene. Kolejna bezowocna podróż w poszukiwaniu wieści z Białej Wieży, nie było nic od czasu, jak dowiedziała się, że Elaida sądzi, iż kontroluje Wieżę, oraz że usunięto tę kobietę, Sanche. Sivan uciekła, to prawda, ale teraz nie była niczym więcej jak bezużytecznym łachmanem.

Ogród rozciągający się za murem z szarego kamienia, pełen kwiatów, które usychały z braku deszczu, był mimo to świetnie utrzymany, wystrzyżony w kule i sześciany, korona zaś jednego z drzew przypominała skaczącego konia. Tylko jedna, oczywiście. Kupcy tacy jak Arene naśladowali lepszych od siebie, ale nie ośmielali się posunąć za daleko, żeby ktoś nie pomyślał, iż ich mniemanie o sobie za wysoko sięga. Dekoracyjne bariery balkonów zdobiły wielki drewniany dom, kryty czerwoną dachówką, wyposażony nawet w kolumnadę, ale w przeciwieństwie do siedziby lorda, którą imitował, stał na kamiennej podmurówce nie wyższej niż na stopę. Dziecinna pretensja do posiadania szlacheckiego dworu.

Żyłasty, siwowłosy mężczyzna, który pośpieszył, by z unізieniem przytrzymać jej strzemię, kiedy zsiadała z konia, a potem wziął od niej wodze, był cały odziany w czerń. Jakikolwiek kolor wybrałby kupiec na liberię dla swej służby,

mógł być pewien, że akurat trafi na barwy jakiegoś prawdziwego lorda, a nawet pomniejszy lord potrafił narobić prawdziwych kłopotów najbogatszemu choćby sprzedawcy dóbr. Lud na ulicy nazywał czerń „kupiecką liberią” i parskał przy tym śmiechem. Liandrin gardziła czarnym kaftanem stajennego w takim samym stopniu, jak domem Arene i samym Arene. Kiedyś będzie miała prawdziwe dwory. Pałace. Zostało jej to obiecane, a wraz z nimi obiecano jej władzę.

Ściągnęła rękawiczki, których używała do konnej jazdy, weszła po idiotycznej rampie, wiodącej pochyło wzdłuż podmurówki budynku aż do rzeźbionych w liście winorośli drzwi. Fortece lordów posiadały takie rampy, a więc oczywiście kupiec, który szanował samego siebie, nie mógł mieć zwyczajnych schodów. Odziana na czarno młoda służąca odebrała od niej rękawiczki i kapelusz w okrągłym holu wejściowym, otoczonym mnogimi drzwiami, jaskrawo pomalowanymi kolumnami i biegnącym dookoła balkonem. Malunek na suficie imitował mozaikę, tysiące złotych gwiazd na tle czarnego nieba.

— Za godzinę wezmę kąpiel — zwróciła się do służącej. — Tym razem ma mieć właściwą temperaturę, tak?

Służąca pobladła, wykonując ukłon, wyjąkała potwierdzenie i śpiesznie umknęła.

Amellia Arene, żona Jorina, wyszła z którychś drzwi pogrążona w konwersacji z grubym, łysiejącym mężczyzną w śnieżnobiałym fartuchu. Liandrin pogardliwie wydeła usta. Ta kobieta miała swoje pretensje, jednak nie tylko osobiście rozmawiała z kucharzem, lecz również wzywała go z jego kuchni, by omówić skład posiłku. Traktowała służącego jak... jak przyjaciela!

Gruby Evon zobaczył ją pierwszy i aż przełknął ślinę, spojrzenie jego świńskich oczek natychmiast uciekło w bok. Nie lubiła, jak mężczyźni patrzyli wprost na nią i już pierwszego dnia powiedziała mu ostro parę rzeczy na temat sposobu, w jaki czasami zawiesza na niej spojrzenie. Próbował jej przeczyć, ale ona już dobrze знаła paskudne obyczaje mężczyzn. Evon, nie chcąc zostać natychmiast odprawiony przez swą panią, prawie pobiegł z powrotem drogą, którą przyszedł.

Siwiejąca żona kupca była kobietą o surowej twarzy, kiedy Liandrin z pozostałymi przybyły do jej domu. Teraz oblizywała nerwowo usta i zupełnie niepotrzebnie wygładzała udekorowaną kokardami zieloną jedwabną sukienkę.

— Jest ktoś na górze wraz z pozostałymi, maja pani — powiedziała nieśmiało. Tamtego pierwszego dnia uznała, że może Liandrin mówić po imieniu. — W salonie od frontu. Z Tar Valon, jak sądzę.

Zastanawiając się, któż to może być, Liandrin ruszyła na górę najbliższymi krętymi schodami. Ze względów bezpieczeństwa znała oczywiście tylko kilka Czarnych Ajah, czego inne nie wiedzą, tego nie będą mogły zdradzić. W Wieży znała wcześniej tylko jedną z dwunastki, która poszła z nią, kiedy opuściła Tar Valon. Dwie z tych dwunastu nie żyły już, ona zaś wiedziała, kogo należy obciążyć za to winą. Egwene al’Vere, Nynaeve al’Meara i Elayne Trakand. W Tanchico

wszystko poszło tak źle, że gotowa była przypuszczać, iż te trzy niedowarzone Przyjęte mogły tam być, gdyby nie fakt, że były tak głupie, iż już dwukrotnie weszły posłusznie do pułapek, które na nie zastawiała. I że uciekły z nich bez żadnych konsekwencji. Gdyby rzeczywiście znalazły się w Tanchico, to by na pewno wpadły w jej ręce. Następnym razem kiedy je znajdzie, już jej nie uciekną. Skończy z nimi od razu, niezależnie od otrzymanych rozkazów.

— Moja pani — wyjąkała Amellia. — Mój mąż, moja pani. Jorin. Czy jedna z was nie mogłaby mu pomóc? On nie chciał tego, moja pani. Zrozumiał już swoją nauzkę.

Liandrin znieruchomiała z jedną dłonią na rzeźbionej poręczy i spojrzała przez ramię.

— Nie powinien był sądzić, że przysięgi, które składał Wielkiemu Władcy, można tak łatwo i swobodnie puścić w niepamięć, nieprawdaż?

— On już to wie, moja pani. Proszę. Przez cały dzień leży pod kocami... w tym upale!... i trzęsie się z zimna. Płacze, gdy się go dotyka, albo mówi głośniejszym głosem niż szeptem.

Liandrin milczała przez chwilę, jakby się zastanawiając, a potem łaskawie skinęła głową.

— Poproszę Chesmal, żeby zobaczyła, co da się zrobić. Rozumiesz, że nie jest to żadna obietnica?

Niepewne podziękowania kobiety ścigały ją, gdy szła na górę po schodach, ale puściła je mimo uszu. Temaile dała się ponieść swym namiętnościom. Zanim została Czarną Ajah była Szarą i zawsze sprawiała ból, nawet gdy leczyła, odnosiła wielkie sukcesy jako mediatorka, lubiła bowiem cudzy ból. Chesmal powiedziała, że za kilka miesięcy kupiec będzie zdolny do wykonywania prostych zadań, pod warunkiem, iż nie będą szczególnie ciężkie i nikt nie będzie przy nim podnosił głosu. Była jedną z najlepszych Uzdrawicielek wśród kilku ostatnich pokoleń Żółtych, więc zapewne wiedziała, co mówi.

Widok, jaki zastała w salonie od frontu, zaskoczył ją. Dziewięć z dziesięciu Czarnych sióstr, które przybyły tu z nią, stało pod rzeźbioną i malowaną boazerią, chociaż na dywanie ze złotymi frędzlami było mnóstwo wykładanych jedwabnymi poduszkami krzeseł. Dziesiąta, Temaile Kinderode, podawała delikatną porcelanową filiżankę z herbatą ciemnowłosej, przystojnej kobiecie o zaciętej twarzy, w brązowej szacie obcego kroju. Siedząca kobieta zdawała się jakoś odległe znajoma, chociaż z pewnością nie była Aes Sedai, zbliżała się najwyraźniej do średniego wieku, a mimo gładkich policzków na jej twarzy nie było widać owego charakterystycznego braku śladów działania czasu.

Jednak nastrój panujący w pomieszczeniu sprawił, że Liandrin zachowała ostrożność. Temaile była zwodniczo krucha na pierwszy rzut oka, z wielkimi, błękitnymi oczami dziecka, które sprawiały, że ludzie jej ufali, teraz jednak w tych oczach gościła troska, wręcz niepokój, filiżanka grzechotała leciutko na spodecz-

ku, dopóki tamta kobieta nie odebrała jej od niej. Wszystkie twarze znaczył lęk, wyjąwszy oblicze tej jakby znajomej kobiety. Jeaine Caide o miedzianej skórze, odziana w jedną z tych niesmacznych sukien Domani, które nosiła w domu, wciąż miała lśniące ślady łez na policzkach, była niegdyś Zieloną i lubiła wdzięczyć się do mężczyzn bardziej nawet niżli większość Zielonych. Rianna Andomeran, niegdyś Biała, zawsze chłodna, arogancka morderczyni, nerwowo dotykała pasma siwizny przecinającego czarne włosy na lewej skroni. Jej arogancja jakby zmalała.

— Co tu się dzieje? — zażądała wyjaśnień Liandrin. — Kim ty jesteś i co...?

Nagle wspomnienia ożyły w jej pamięci. Sprzymierzeniec Ciemności, służąca w Tanchico, która bezustannie wynosiła się ponad nią.

— Gyldin! — warknęła. Ta służąca w jakiś sposób podążała ich śladem, a teraz najwidoczniej usiłowała się podać za kurierkę Czarnych, przywożącą niecierpiące zwłoki wieści. — Tym razem posunęłaś się za daleko.

Próbowała objąć *saidara*, ale zanim zdążyła tego dokonać, tamtą kobietę również otoczyła poświata, Liandrin zaś odbiła się od niewidzialnej, mocnej ściany oddzielającej ją od Źródła. Mogła je poczuć, wisiało tam niczym słońce, dręcząco nieosiągalne.

— Przestań się tak gapić, Liandrin — powiedziała spokojnie tamta. — Wyglądasz jak ryba z tymi rozdziawionymi ustami. Nie jestem Gyldin, lecz Moghedien. Tej herbacie przydałoby się więcej miodu, Temaile.

Szczupła kobieta o lisiej twarzy szybko podbiegła, by odebrać od niej filiżankę.

Nie mogło być wątpliwości. Któż inny potrafiłby tak je nastraszyć? Liandrin spojrzała na dziewczyny stojące pod ścianami. Eldrith Jondar o okrągłej twarzy przynajmniej raz nie wyglądała na zatopioną w myślach, mimo smugi atramentu na nosie, tylko żywo kiwała głową. Pozostałe zamarły z przerażenia. Dlaczego jedna z Przeklętych — oczekiwano od nich, że nie będą używać tego imienia, chociaż zazwyczaj i tak się nim posługiwały w rozmowach między sobą — dlaczego Moghedien ukryła się pod przebraniem służącej, tego nie potrafiła pojąć. Ta kobieta miała lub mogła mieć wszystko, czego Liandrin sama pragnęła. Nie tylko wiedzę na temat Jedynej Mocy, przekraczającą jej najśmielsze sny, lecz również władzę. Władzę nad innymi, władzę nad światem. I nieśmiertelność. Władzę w życiu, które nigdy nie dobiegnie końca. Ona i jej siostry czasami spekulowały na temat waśni wśród Przeklętych, zdarzało im się otrzymywać od nich sprzeczne rozkazy, rozkazy zaś, jakie otrzymywali inni Sprzymierzeńcy Ciemności, pozostawały w sprzeczności z ich poleceniami. Być może Moghedien kryła się przed pozostałymi Przeklętymi.

Liandrin, najlepiej jak potrafiła, rozłożyła swe rozcięte spódnice do konnej jazdy w głębokim ukłonie.

— Witamy cię, Wielka Pani. Pod przewodnictwem Wybranej z pewnością za-

triumfujemy, nim nastanie Dzień Powrotu Wielkiego Władcy.

— Ładnie powiedziane — sucho zauważyła Moghedien, biorąc filiżankę z rąk Temaile. — Tak, tak jest znacznie lepiej.

Temaile wydawała się absurdalnie wręcz zaszczycona oraz przepelniona uczuciem ulgi. Co ta Moghedien im zrobiła?

Nagle Liandrin przyszła do głowy pewna myśl, nieprzyjemna myśl. Potraktowała jedną z Wybranych jak służącą.

— Wielka Pani, w Tanchico nie wiedziałam, że ty...

— Oczywiście, że nie wiedziałam — z irytacją odparła Moghedien. — Cóż dobrego by przyszło z mojego oczekiwania w cieniach, gdybyście mnie znały?

Nieoczekiwanie lekki uśmiech wygiął kąciki jej ust, ale nie objął reszty twarzy.

— Martwisz się tymi wszystkimi razami, które odebrała Gyldin, gdy wysyłałaś ją do kucharki? — Na czoło Liandrin nagle wystąpiły kropelki potu. — Czy naprawdę sądzisz, że pozwoliłabym na coś takiego? Ta kobieta z pewnością doniosła ci o wszystkim, ale pamiętała tylko tyle, ile kazałam jej pamiętać. Tak naprawdę było jej bardzo przykro z powodu Gyldin, tak okrutnie traktowanej przez swoją panią. — Ta myśl najwyraźniej bardzo ją rozbawiła. — Dawała mi trochę tych deserów, które dla ciebie przyrządzała. Nie sprawiłaby mi przykrości wieść, że ona wciąż jeszcze żyje.

Liandrin wypuściła od dawna wstrzymywane powietrze. Nie umrze.

— Wielka Pani, nie ma potrzeby oddzielać mnie od Źródła. Ja również służę Wielkiemu Władcy. Złożyłam moje przysięgi Sprzymierzeńca Ciemności, zanim jeszcze poszłam do Białej Wieży. Poszukiwałam Czarnych Ajah od dnia, kiedy zrozumiałam, że potrafię przenosić.

— Czyżbyś miała się okazać jedyną w tym niewychowanym stadzie, która nie potrzebuje nauki? — Moghedien uniosła brew. — Nie posądzałabym cię o to.

Otoczająca ją poświata zniknęła.

— Mam dla ciebie zadanie. Dla was wszystkich. Zapomnijcie o tym, co robiliście dotąd. Jesteście nieudolną bandą, dowiodłyście tego w Tanchico. Kiedy ja będę trzymała smycz, być może zaczniecie polować bardziej skutecznie.

— Oczekujemy na rozkazy z Wieży, Wielka Pani — powiedziała Liandrin. Nieudolne! Omal nie udało im się znaleźć tego, czego szukały, kiedy nagle w mieście wybuchły zamieszki, ledwie uniknęły śmierci z rąk Aes Sedai, które jakby znikąd wkroczyły w sam środek tak dobrze opracowanych planów. Gdyby Moghedien się ujawniła albo chociaż stanęła po ich stronie, wówczas by zwyciężyły. Jeżeli ich porażka była czyjąkolwiek winą, to samej Moghedien. Liandrin sięgnęła do Prawdziwego Źródła nie po to, by je objąć, ale żeby się upewnić, że tarcza nie została zapleciona na stałe. Zniknęła. — Zostałyśmy obarczone poważną odpowiedzialnością, mamy wielkie dzieło do wykonania i z pewnością otrzymamy rozkazy, by je kontynuować...

Moghedien przerwała jej ostro.

— Służycie temu z Wybranych, któremu przyjdzie do głowy was wykorzystać. Ktokolwiek wysyła wam rozkazy z Białej Wieży, otrzymuje swoje od nas i najprawdopodobniej podczas ich wysłuchiwania czołga się na brzuchu, Będziesz mi służyć, Liandrin. Możesz być tego pewna.

Moghedien nie wiedziała, kto kieruje Czarnymi Ajah. To była niespodzianka. Moghedien nie wiedziała wszystkiego. Liandrin zawsze sobie wyobrażała, że Przekłęci są omalże wszechwiedzący. :Być może ta kobieta naprawdę odłączyła się od pozostałych. Wydanie jej w ich ręce z pewnością poprawiłoby status Liandrin. Może. nawet zostałaby jedną z nich, Znała pewną sztuczkę, której nauczyła się w młodości. I mogła już dotknąć Źródła.

— Wielka Pani, służymy Wielkiemu Władcy, podobnie jak ty. Nam również obiecano wieczny żywot i władzę, kiedy Wielki Władca powró...

— Czy ty sobie wyobrazasz, że jesteś mi równa, mała siostrzyczko? — Moghedien skrzywiła się z niesmakiem. — Czy stanęłaś w Szczelinie Zagłady, aby poświęcić swą duszę Wielkiemu Władcy? Czy smakowałaś słodki smak zwycięstwa pod Paaran Disen albo gorzkie popioły pod Asar Don? Jesteś ledwie wytresowanym szczeniaczkiem, nie zaś przewodniczką stada i pójdziesz tam, gdzie ci każe, dopóki nie zechcę wyznaczyć ci innego miejsca. Tamte też uważały, że są czymś lepszym niż w rzeczywistości. Czy chcesz spróbować zmierzyć się ze mną?

— Oczywiście, że nie, Wielka Pani. — Nie, dopóki tamta jest czujna i gotowa. — Ja...

— Ty to zrobisz, wcześniej lub później, wolałabym więc mieć już to wszystko za sobą. Dlaczego, jak sądzisz, twoje towarzyszki wyglądają tak pogodnie? Każdej musiałam udzielić dzisiaj tej samej lekcji. Nie mam zamiaru się zastanawiać, czy tobie ona też jest potrzebna. Zrobię to od razu. Próbuj.

Liandrin przerażona oblizwała wargi. Potem rozejrzała się po kobietach stojących sztywno pod ścianami. Tylko Asne Zaremone odważyła się zamrunąć, nawet nieznacznie pokręciła głową, Nakrapiane tęczęwki Asne, wystające kości policzkowe i wydatny nos wskazywały jednoznacznie na Saldaeankę, a Asne była ucieleśnieniem słynnej saldaeańskiej śmiałości. Jeżeli odradzała, jeżeli w jej ciemnych oczach można było dostrzec cień przestachu, wówczas lepiej będzie się ukorzyć, niezależnie od tego, jak wiele potrzeba, by przebłągać Moghedien. A potem, miała jeszcze przecież tę swoją sztuczkę.

Padła na kolana, opuściła głowę, potem podniosła wzrok na Przekłątą, na poły jedynie udając strach. Moghedien rozparła się w krześle, popijając herbatę.

— Wielka Pani, błagam o wybaczenie, jeśli pozwoliłam sobie na zbyt wiele. Wiem, że jestem tylko robakiem u twoich stóp. Błagam jako ta, która będzie twoim wiernym psem, abys zlitowała się nad swym zwierzęciem.

Moghedien zapatrzyła się na swoją filiżankę, Liandrin zaś, pod wpływem

chwili, kiedy słowa jeszcze płynęły z jej ust, objęła Źródło i przeniosła, szukając tej szczeliny, która musiała istnieć w podstawach wiary w samą siebie u Przeklętej, szczeliny, która u każdego człowieka tworzy pęknięcie w fasadzie siły.

Kiedy tylko sięgnęła ku tamtej Mocy, poświęta *saidara* otoczyła również Moghedien, a Liandrin w tym samym momencie poczuła ból. Padła na dywan, z gardła wyrwał jej się skowyt, ale ból, jakiego nie zaznała dotąd w życiu, zamknął jej usta. Zdawało się, że oczy wyskoczą jej z czaszki, skóra, jakby odchodziła pasami od ciała. Udręka targała jej członkami przez całą wieczność, a kiedy zniknęła, równie nagle jak się pojawiła, mogła tylko leżeć nieruchomo, trzęsąc się i zanosząc szlochem.

— Zaczynasz powoli rozumieć? — zapytała spokojnie Moghedien, oddając Temaile pustą filiżankę ze słowami: — Ta była już niezła. Ale następnym razem proszę o trochę mocniejszą.

Temaile spojrzała na nią z takim wyrazem twarzy, jakby miała zemdleć.

— Nie jesteś dostatecznie szybka, Liandrin, nie masz dosyć siły, ani nie wiesz wystarczająco wiele. Ta żalosna, marna sztuczka, której zamierzałaś przeciwko mnie użyć. Czy chciałabyś zobaczyć, na czym naprawdę polega?

Przeniosła.

Liandrin patrzyła na nią z uwielbieniem. Pełzała po posadzce, a słowa wylewały się z jej ust w przerwach między szlochami, których nie potrafiła powstrzymać.

— Przebacz mi, Wielka Pani. — Ta wspaniała kobieta, niczym gwiazda na niebiosach, przecudna kometa, ponad wszystkimi królowymi i królami, spowita w chwałę. — Przebacz, proszę — błagała, całując raz za razem rąbek spódnicy Moghedien i nie przerywając potoku słów. — Wybacz, robakiem jestem, psem. — Była do głębi duszy zawstydzona, że wcześniej te rzeczy nie przysły jej do głowy. Przecież tak wyglądała prawda. — Pozwól mi służyć sobie, Wielka Pani. Zgódź się, bym ci służyła. Błagam. Błagam.

— Ja nie jestem Graendal — powiedziała Moghedien, odsuwając ją brutalnie stopą obutą w aksamitny pantofel.

Nagle wszelkie poczucie oddania zniknęło. Liandrin jednak zapamiętała to wszystko, leżąc bezwładnie na podłodze i płacząc. Zdjęta ostatecznym przerażeniem spojrzała na Przekłątą.

— Jesteś już przekonana, Liandrin?

— Tak, Wielka Pani — udało jej się wykrztusić. Była. Przekonana, że nie ośmieli się nawet pomyśleć o powtórnej próbie, o ile nie będzie całkowicie pewna zwycięstwa. Jej sztuczka była jedynie bladym odbiciem tego, co zrobiła Moghedien. Ale może mogłaby się tego nauczyć. . .

— Zobaczmy. Myślę, że ty możesz być jedną z tych, którym potrzeba powtórnej lekcji. Módl się, żeby tak nie było, Liandrin, w moim przypadku powtórna lekcja bywa nadzwyczaj nieprzyjemna. Teraz stań sobie tam pod ścianą. Przekonasz się, że zabrałam niektóre z tych przedmiotów, które miałyście w swo-

ich pokojach. Drobiazgi, które zostawiłam, możecie sobie zatrzymać. Czyż nie jestem łaskawa?

— Wielka Pani jest bardzo łaskawa — zgodziła się Liandrin, wśród szlochów i łkań, które od czasu do czasu wciąż wyrwały się z jej piersi i których nie potrafiła powstrzymać.

Chwiejnie podniosła się i odeszła, by stanąć obok Asne, opierając się plecami o boazerię, mogła się wreszcie wyprostować. Widziała, jak splatały się strumienie Powietrza, to było tylko Powietrze, jednak wzdrygnęła się, kiedy zakneblowało jej usta i sprawiło, że przestała cokolwiek słyszeć. Oczywiście nie próbowała się opierać. Nawet nie pozwoliła sobie pomyśleć *o saidarze*. Kto wie, do czego może się posunąć jedna z Przeklętych? Być może czytała w myślach. Liandrin omal nie rzuciła się do ucieczki. Nie. Gdyby Moghedien знаła jej myśli, już by nie żyła. Albo wciąż wrzeszczałaby na posadzce. Albo całowała jej stopy, błagając ją, by pozwoliła sobie służyć. Liandrin przeszył dreszcz, nad którym nie potrafiła zapanować, gdyby nie ten knebel w ustach, zaczęłaby szczekać zębami.

Moghedien otoczyła podobnymi splotami wszystkie z wyjątkiem Rianny, której władczy ruchem palca nakazała klęknąć przed sobą. Potem ją odesłała, kolej zaś przyszła na Marillin Gemalphin, która została uwolniona ze splotów i wezwana przed oblicze Przekłętej.

Liandrin mogła ze swojego miejsca obserwować ich twarze, nawet jeśli usta poruszały się bezdźwięcznie. Najwyraźniej każda kobieta otrzymywała przeznaczone tylko dla siebie rozkazy, o których pozostałe miały nic nie wiedzieć. Jednak z wyrazu twarzy potrafiła coś niecoś odczytać. Rianna tylko słuchała, w jej oczach widać było ślad ulgi, potem skłoniła głowę na znak zgody i odeszła. Marillin wyglądała z początku na zaskoczoną, potem w jej spojrzeniu zabłysnął entuzjazm, ale przecież była Brązową, a Brązowe z zapałem powitają każdą możliwość odkrycia jakichś zakurzonych strzępów dawno zapomnianej wiedzy. Na twarzy Jeaine Caide w pewnym momencie odbiło się najczystsze przerażenie, najpierw potrząsnęła przecząco głową, usiłując się wycofać, jakby chciała gdzieś się schować razem z tym swoim przejrzystym nieprzyzwoitym ubiorem, ale w tym momencie rysy Moghedien stwardniały, Jeaine zaś pośpiesznie pokiwała głową i odeszła na bok, jeśli nie z równą ulgą jak Marillin, to przynajmniej równie szybko. Berylla Naron, szczupła tak, że niemalże można by ją nazwać kościstą, a jednocześnie znakomita manipulatorka i mistrzyni tajemnych knowań, oraz Falion Bhoda, o ciąglej, pomimo goszczącego na niej nie skrywanego strachu, chłodnej twarzy, zdradziły równie mało emocji jak przedtem Rianna. Ispan Shefar, pochodząca podobnie jak Liandrin z Tarabon, chociaż ciemnowłosa, naprawdę pocałowała rąbek szaty Moghedien, zanim powstała.

Wreszcie strumienie wiążące Liandrin rozplotły się. Myślała, że teraz nadeszła jej kolej, aby zostać wysłaną, Cień jeden tylko wie dokąd, z jakąś osobliwą misją, dopóki nie zobaczyła, że więzy obejmujące pozostałe bynajmniej nie

zniknęły. Palec Moghedien skinął rozkazująco i Liandrin uknęła między Asne i Chesmal Emry, wysoką przystojną kobietą, ciemnowłosą i ciemnooką. Chesmal, niegdyś Żółta, potrafiła Uzdrawiać i zabijać z równą łatwością, ale intensywność spojrzenia, jakie wbijała w Moghedien, sposób, w jaki drżały jej dłonie wczepione w spódnice, jasno oznajmiały, że teraz pragnie tylko słuchać.

Liandrin rozumiała, że powinna więcej uwagi zwracać na te oznaki. Próba podzielenia się z jedną z pozostałych swoim przekonaniem, że za wydanie Moghedien w ręce innych Przeklętych mogą otrzymać nagrodę, mogłaby się okazać katastrofalna, gdyby któraś z nich zdecydowała, iż w jej interesie jest pozostać wiernym psem. Niemalże zaszlochała na myśl o „powtórnej lekcji”.

— Was zatrzymam przy sobie — oznajmiła Przekłeta — dla realizacji najważniejszego zadania. To, co mają zrobić tamte, może zrodzić słodkie owoce, ale dla mnie to wasza misja przyniesie najważniejsze plony. Osobiste plony. Jest kobieta, która nazywa się Nynaeeve al’Meara.

Liandrin aż uniosła głowę, a w tym momencie spojrzenie ciemnych oczu Moghedien stwardniało.

— Znasz ją?

— Gardzę nią — odpowiedziała zgodnie z prawdą Liandrin. — Jest brudną dzikuską, której nigdy nie powinno się pozwolić przekroczyć progów Wieży.

Gardziła wszystkimi dzikuskami. Marząc o zostaniu Czarną Ajah, zaczęła na własną rękę uczyć się przenoszenia na rok przed udaniem się do Wieży, ale oczywiście we własnym mniemaniu nie była żadną dzikuską.

— Bardzo dobrze. Wasza piątka ma ją dla mnie znaleźć. Chcę mieć ją żywą. O tak, chcę mieć ją żywą. — Uśmiech Moghedien sprawił, że Liandrin zadrżała, oddanie Nynaeeve i pozostałych dwóch w ręce tamtej powinno być jak najbardziej korzystne. — Przedwczoraj znajdowała się w wiosce zwanej Sienda, jakieś sześćdziesiąt mil na wschód stąd, w towarzystwie innej młodej kobiety, która może mi się przydać, ale potem obie zniknęły. Wy...

Liandrin słuchała chciwie. Dla takiej sprawy może zostać wiernym psem. Jeśli chodzi o inne, cierpliwie zaczeka.

WSPOMNIENIA

— Moja królowo?

Morgase uniosła oczy znad książki, którą trzymała na kolanach. Promienie słońca wpadały przez okno do salonu sąsiadującego z jej sypialnią. Dzień był gorący, bez śladu wiatru, wilgotna warstwa potu pokrywała jej twarz. Niedługo miało już nadejść południe, a ona jeszcze nie ruszyła się ze swego pokoju. To było zupełnie do niej niepodobne, nie mogła sobie przypomnieć, dlaczego postanowiła nic nie robić tego ranka i zająć się wyłącznie lekturą. Ostatnimi czasy trudno było jej się skupić nad jakąkolwiek książką. Wedle złotego zegara stojącego na gzymsie marmurowego kominka minęła godzina od czasu, jak po raz ostatni przeczuciła stronę, a nie potrafiła przypomnieć sobie żadnego z przeczytanych słów. Winny musiał być ten upał.

Młody oficer Gwardii w czerwonym kaftanie uklęknął przed nią, przyciskając pięść do czerwono-złotego dywanu, wydawał się skądś znajomy. Kiedyś знаła imiona wszystkich Gwardzistów przydzielonych do służby w pałacu. Przypuszczałnie to przez te nowe twarze.

— Tallanvor — powiedziała nagle, zaskakując samą siebie. Był wysokim, dobrze zbudowanym młodym mężczyzną, ale nic umiałaby powiedzieć, dlaczego to jego w szczególności zapamiętała. Przyprowadził kogoś do niej któregoś razu? Dawno temu? — Porucznik Gwardii, Martyn Tallanvor.

Spojrzał na nią zaskakująco niechętnie, zanim ponownie wbił wzrok w dywan.

— Moja królowo, wybacz mi, ale zaskoczony jestem, że wciąż przebywasz w swoich apartamentach, biorąc pod uwagę poranne wieści.

— Jakie wieści?

Dobrze byłoby się dowiedzieć czegoś nowego prócz plotek Alteimy z taireniańskiego dworu. Czasami miała wrażenie, że jest coś jeszcze, o co chciała tamtą spytać, ale kończyło się na plotkowaniu, a przecież, nie pamiętała, by kiedykolwiek oddawała się takim zajęciom. Gaebriel zdawał się z przyjemnością ich słuchać, siedząc na swoim wysokim krześle przed kominkiem, ze skrzyżowanymi nogami i uśmiechem zadowolenia na twarzy. Alteima zaczęła nosić raczej śmiałe suknie, Morgase musi jej zwrócić na to uwagę. Miała niejasne wrażenie, że już o tym wcześniej pomyślała.

„Nonsens. Gdyby tak było, już bym z nią porozmawiała”.

Potrząsnęła głową, zdając sobie sprawę, że całkowicie zapomniała o młodym oficerze, który przecież zaczął coś mówić i przerwał, kiedy zorientował się, że go nie słucha.

— Opowiedz mi raz jeszcze. Zamyśliłam się. I wstań.

Podniósł się, z twarzą wykrzywioną gniewem, spojrzął na nią płonącymi oczyma, po czym natychmiast spuścił wzrok. Powiodła wzrokiem za jego spojrzeniem i zarumieniła się, jej suknia była doprawdy wycięta wyjątkowo nisko. Ale Gaebriel lubił, jak takie nosiła. Pomyślawszy o nim, natychmiast przestała się przejmować, że oto niemalże naga przyjmuje jednego ze swoich oficerów.

— Tylko krótko — powiedziała lakonicznie.

„Tak on się ośmielił patrzeć na mnie w ten sposób? Powinnam go kazać wychłostać”.

— Cóż to za ważne wieści, skoro sądzisz, iż możesz wejść do mojego salonu niczym do tawerny? — Jego twarz pociemniała, ale czy to z jak najbardziej stosownego wstydu, czy z gniewu, nie potrafiła stwierdzić.

„Jak on śmie się gniewać na swoją królową? Czy temu człowiekowi wydaje się, że nie mam nic innego do roboty niżli słuchać tego, co on ma do powiedzenia?”

— Bunt, moja królowo — powiedział bezbarwnym głosem i natychmiast wszystkie myśli o gniewie i spojrzeniach ulotniły się.

— Gdzie?

— W Dwu Rzekach, moja królowo. Ktoś wznosił stary sztandar Manetheren, Czerwonego Orła. Dziś rano przybył posłaniec z Białego Mostu.

Morgase zabębniła palcami po książce jej myśli od dawna nie były tak jasne. Coś na temat Dwu Rzek, jakaś iskra w pamięci, której nie potrafiła rozdmuchać na tyle, by wybuchnęła płomieniem wspomnienia. Tamten region ledwie można było nazwać częścią Andoru i to już od wielu pokoleń. Ona i trzy królowe przed nią miały ogromne trudności z utrzymaniem choćby minimum kontroli nad górniami i hutnikami z Gór Mgły, ale nawet tego minimum nie udałoby się zachować, gdyby istniała jaka inna droga transportu metali, która nie przebiegałaby przez Andor. Wybór między złotem, żelazem oraz innymi metalami z kopalń, a wełną i tytoniem z Dwu Rzek nie był trudny. Jednak otwarty bunt, nawet w tej części domeny, którą władała wyłącznie na mapie, mógł rozprzestrzeniać się niczym pożar lasu do miejsc, które były faktycznie w jej posiadaniu. Poza tym Manetheren zniszczone podczas Wojen z Trollokami, Manetheren z legend i opowieści, wciąż było żywe w umysłach niektórych ludzi. A zresztą Dwie Rzeki były jej. Nawet jeśli już od tak dawna pozwolono im iść swoją własną drogą, wciąż stanowiły część królestwa.

— Czy lord Gaebriel został już poinformowany? — Oczywiście, że nie. Przecież najpierw przyszedłby do niej z wieściami i propozycjami, co należy dalej

począć. Jego propozycje były zawsze wyjątkowo celne.

„Propozycje?”

W jakiś sposób zdało jej się, że przypomina sobie, jak on mówi jej, co ma robić. To było, rzecz jasna, niemożliwe.

— Został, moja królowo. — Głos Tallanvora wciąż był wyprany z emocji, w przeciwieństwie do twarzy, na której dalej tlił się gniew. — Śmiał się. Powiedział, że z tymi Dwoma Rzekami są same kłopoty i że będzie trzeba pewnego dnia coś z tym zrobić. Nazwał całą tę sprawę drobną niedogodnością, która będzie musiała poczekać, aż załatwione zostaną ważniejsze problemy.

Książka spadła na posadzkę, kiedy Morgase poderwała się z krzesła. Miała wrażenie, że w przelocie widzi pełny satysfakcji uśmiech Tallanvora, gdy przeżywała obok niego. Od służącej dowiedziała się, gdzie może znaleźć Gaebriła, pomaszzerowała więc prosto na otoczony kolumnami dziedzińiec z marmurową fontanną i basenem pełnym kwiatów lili oraz ryb. Było tam chłodniej, więcej cienia.

Gaebrił siedział na szerokiej białej balustradzie fontanny, otoczony przez lordów i damy. Rozpoznała mniej niż połowę twarzy. Ciemnowłosa, o kwadratowym obliczu Jarid z Domu Sarand oraz jego kłótniwa żona z włosami barwy miodu, Elenia. Ta wdzięcząca się Arymilla z Domu Marne i jej puste brązowe oczy zawsze szeroko otwarte w udawanym zainteresowaniu, a także kościsty, obdarzony twarzą kozła Masin z Domu Caern, który napastował wszystkie kobiety, jakie udało mu się przyprzeć do ściany, mimo że na głowie miał już tylko rzadkie kępki siwych włosów. Naean z Domu Arawn, jak zwykle z paskudnym grymasem szpecącym jej delikatną urodę, oraz Lir z Domu Baryn, nędzna żmija, na dodatek jeszcze z mieczem przy boku, i Karind z Domu Anshar, z tym samym pustym spojrzeniem, o którym ktoś kiedyś powiedział, że pogrzebało trzech mężów. Pozostałych w ogóle nie знаła, co było dość dziwne, ale nawet wyżej wymienionych nigdy nie wpuszczała do pałacu, wyjąwszy uroczystości państwowe. Wszyscy opowiedzieli się przeciwko niej podczas Sukcesji. Elenia i Naean chciały Tronu Lwa dla siebie. Co Gaebrił zamierzał osiągnąć, zbierając ich tutaj razem?

— ...zasięg naszych posiadłości w Cairhien, mój panie — usłyszała Morgase, podchodząc bliżej. Mówiła Arymilla, pochylając się nad Gaebriłem. Nikt nie poświęcił jej więcej jak tylko przelotne spojrzenie. Jakby była służącą, która przyniosła wino!

— Chciałabym omówić z tobą kwestię Dwu Rzek, Gaebriłu. Na osobności.

— To jest już załatwione, moja droga — odrzekł niedbale, przebierając palcami w wodzie. — Zajmują mnie teraz inne rzeczy. Sądzę, że powinnaś udać się do siebie i ze względu na panujący upał poświęcić dzień na lekturę. Przeczekać najgorszy żar, zanim wieczór przyniesie chłód, tak byłoby najlepiej.

Moja droga. Nazwał ją swoją drogą w obecności tych wszystkich natrętów! Tak bardzo lubiła, jak wypowiadał te słowa, kiedy byli sami... Elenia zakryła

usta dłonią.

— Sądzę, że nie, lordzie Gaebriłu — chłodno oznajmiła Morgase. — Pójdiesz ze mną teraz. A wszyscy tu obecni opuszczą natychmiast pałac, ma nie być po nich śladu, kiedy wrócę. W przeciwnym razie zostaną pozbawieni prawa pobytu w Caemlyn.

Gaebrił wstał nagle, zagórował nad nią. Nie była w stanie patrzeć na cokolwiek innego jak tylko w jego ciemne *oczy*, poczuła dreszcz przebiegający po skórze, jakby na dziedzińcu powiał lodowato zimny wiatr.

— Pójdiesz i zaczekasz na mnie u siebie, Morgase. — Jego głos niby odległy, ściszony ryk grzmotu wypełnił jej uszy. — Zająłem się wszystkim, czym trzeba się było zająć. Przyjdę do ciebie dzisiaj wieczora. Teraz idź już sobie. Masz odejść!

Stała z jedną dłonią na klamce drzwi wiodących do jej salonu, zanim uświadomiła sobie, gdzie jest. I co się stało. Powiedział jej, by sobie poszła, a ona go posłuchała. Wpatrując się z przerażeniem w drzwi, potrafiła sobie w tej chwili przypomnieć uśmiechy na twarzach mężczyzn, nieskrywane wybuchy radości niektórych kobiet.

„Co się ze mną stało? Jak mogłam do tego stopnia dać się opętać jakiemuś mężczyźnie?”

A jednak wciąż czuła wewnętrzny nakaz wejścia do środka i oczekania na niego.

Oszołomiona, zmusiła się, by zawrócić i odejść. Co wymagało nie lada wysiłku. Wewnątrz aż kuliła się ze strachu na myśl, jakie będzie rozczarowanie Gaebriła, kiedy nie zostanie jej tam, gdzie oczekiwał, zdawszy zaś sobie sprawę z tych służalczych myśli, zadrzała jeszcze mocniej.

Początkowo nie miała najmniejszego pojęcia, dokąd zmierza i dlaczego, wiedziała tylko, że nie będzie posłusznie czekać, nie na Gaebriła, ani na żadnego mężczyznę czy kobietę w tym świecie. Przed oczyma wciąż stał jej obraz tego dziedzińca z fontanną, on rozkazujący jej odejść, i te nienawistne, rozbawione twarze patrzących. Jej myśli wciąż spowijała mgła. Nie potrafiła pojąć, w jaki sposób albo dlaczego dopuściła do tego. Musiała pomyśleć o czymś, co będzie mogła zrozumieć, o czymś, z czym będzie umiała sobie poradzić. Jarid Sarand i tamci.

Kiedy wstąpiła na tron, przebaczyła im to, czego dopuścili się podczas Sukcesji, przebaczyła wszystkim, którzy występowali przeciwko niej. Wydawało się, że lepiej będzie pogrzebać wszelkie animozje, zanim zdążą rozkwitnąć tym rodzajem spisków i knowań, które skaziły tak wiele krajów. Nazywano to Grą Domów — *Daes Dae'mar* — czy też Wielką Grą, a prowadziła ona do nie kończących się, splecionych waśni między Domami, do obalania władców, Gra była sercem wojny domowej w Cairhien, a bez wątpienia stanowiła po części przyczynę zamętu, który ogarnął Arad Doman i Tarabon. Przebaczenie, którego udzieliła tamtym,

miało nie dopuścić do powstania i rozkwitu *Daes Dae'mar* w Andorze, ale gdyby jednak chciała wówczas nie podpisać jakichś aktów łaski, byłyby to pergaminy z tymi siedmioma nazwiskami.

Gaebril wiedział o tym. Publicznie nie okazywała nikomu swej niełaski, jednak prywatnie chciała rozmawiać o tych, którym nie ufała. Zmuszono ich, więc otworzyli usta i zaprzysięgli wierność lenną, ale słyszała kłamstwo na ich językach. Każdy skorzystałby z najmniejszej szansy, by strącić ją z tronu, cała zaś siódemka razem. . .

Mógł z tego wynikać tylko jeden wniosek. Gaebril spiskował przeciwko niej. Nie mogło chodzić o osadzenie Elenii czy Naeana na tronie.

„Nie, bo już ma mnie” — pomyślała gorzko — „a ja zachowuję się niczym wierny piesek”.

Najprawdopodobniej chciał ją zastąpić. Żeby zostać pierwszym królem w dziejach Andoru. Ale wciąż czuła pragnienie powrotu do swej książki i zamieszkania, aż do niej przyjdzie. Wciąż do bólu tęskniła za jego dotykiem.

Dopiero gdy zobaczyła postarzałe twarze otaczające ją w korytarzu, pomarszczone policzki i często przygięte plecy, zrozumiała, gdzie się znalazła. Kwatery Emerytów. Niektórzy służący wracali do swych rodzin, kiedy się starzeli, ale pozostali od tak dawna mieszkali w pałacu, że nie potrafili sobie wyobrazić innego życia. Tutaj mieli swoje skromne apartamenty, swój własny ocieniony ogród i przestrzenny dziedziniec. Jak wszystkie królowe przed nią, dopłacała do ich pensji, pozwalając kupować pożywienie w kuchniach pałacowych po niższej cenie oraz leczyć choroby w infirmerii. W ślad za nią szły sztywne i drżące ukłony oraz szepty w rodzaju: „Niech cię Światłość oświeca, moja królowo”, „Niech cię Światłość błogosławi, moja królowo” czy „Niech cię chroni Światłość, moja królowo”. Odpowiadała na nie mechanicznie. Teraz już wiedziała, dokąd idzie.

Drzwi pokoju Lini niczym nie różniły się od pozostałych umieszczonych w równych odstępach wzdłuż wykładanego zielonymi płytkami korytarza, nie ozdobione niczym prócz reliefu przedstawiającego Lwa Andoru. Nawet nie pomyślała o tym, by zapukać, wchodząc, była królową, a to był jej pałac. Starej piastunki nie było w środku, ale czajnik z wodą na herbatę buchający parą nad małym ogniem płonącym na ceglany kominku świadczył, że niedługo wróci.

Dwa ciasne pomieszczenia były wygodnie umeblowane, łóżko zaścielone w idealny sposób, dwa krzesła dokładnie przysunięte do stołu, na którym stał mały wazonik z bukietem zielonych roślin. Lini zawsze była niesamowicie schludna. Morgase mogła się założyć, że w niewielkiej szafie w sypialni każda suknia leży równo ułożona obok innych, to samo z pewnością dotyczyło garnków w kredensie stojącym przy kominku.

Sześć malowanych miniatur z kości słoniowej w małej drewnianej gablocie wyznaczało dokładnie linię gzymsu nad kominkiem. W jaki sposób Lini udało się je nabyć za pensję piastunki, Morgase nie wiedziała, oczywiście, nigdy nie

zapytałyby jej o to. Ustawione parami, przedstawiały trzy młode kobiety oraz ich podobizny z dzieciństwa. Była tu Elayne, była i ona. Wzięła do ręki swoją podobiznę zrobioną w wieku czternastu lat, szczupłą dziewczynką, nie potrafiła teraz uwierzyć, że mogła wówczas wyglądać tak niewinnie. W dniu, kiedy wyruszyła do Białej Wieży, miała na sobie tę jedwabną suknię w kolorze kości słoniowej i nawet nie śniła o tym, że zostanie królową, w sercu tylko chowała próżną nadzieję, iż może stanie się Aes Sedai.

Nieświadomym ruchem przekręciła pierścień z Wielkim Wężem, noszony na palcu lewej ręki. Ściśle rzecz biorąc, nie należał jej się, kobiety, które nie potrafiły przenosić, nie miały prawa do pierścienia. Ale wkrótce po swych szesnastych imieninach powróciła do domu, by ubiegać się o Różaną Koronę w imieniu Domu Trakand, a kiedy dwa lata później wstępowała na tron, podarowano jej pierścień. Zgodnie z tradycją, Dziedziczka Tronu Andoru zawsze pobierała nauki w Wieży, a dla potwierdzenia dawnej przyjaźni Andoru dla Wieży otrzymywała pierścień, niezależnie od tego, czy potrafiła przenosić czy nie. Ona była jedynie dziedziczką Domu Trakand w Wieży, ale dały jej pierścień, kiedy Różana Korona spoczęła na jej skroniach.

Odłożyła na miejsce swoją podobiznę i zdjęła wizerunek matki, zrobiony kiedy była może dwa lata starsza od niej. Lini była piastunką trzech pokoleń kobiet Trakand. Maighdin Trakand była naprawdę piękna. Morgase pamiętała jej uśmiech, widziała, jak rozpromienia się macierzyńską miłością. To Maighdin powinna zasiąść na Tronie Lwa. Ale gorączka zabrała ją, a młoda dziewczyna nagle stała się Głową Domu Trakand w samym środku walki o tron, mogąc początkowo oczekiwać pomocy tylko od swoich domowników i barda Domu.

„Zdobyłam Tron Lwa. Nie oddam go i nie pozwolę, by mi go zabrał mężczyzna. Od tysiąca lat królowe władają Andorem, nie pozwolę, by teraz miało się to skończyć!”

— Znowu szperasz w moich rzeczach, co, dziecko? Dźwięk tych słów i brzmienie głosu wyzwoliło dawno zapomniane odruchy. Morgase schowała miniaturę za plecami, nim zdała sobie sprawę z tego, co czyni. Smętnie pokręciła głową i odstawiła podobiznę z powrotem do gabloty.

— Nie jestem już małą dziewczynką, Lini. Nie wolno ci o tym zapominać, bo w przeciwnym razie pewnego dnia powiesz coś, z czego będę musiała wyciągnąć konsekwencje.

— Mój kark jest chudy i stary — powiedziała Lini, kładąc na stole siatkę pełną marchwi i rzepy. W swej schludnej szarej sukni wyglądała bardzo krucho, siwe włosy upięła w kok, skóra opinająca wąską twarz przypominała pergamin, jednak trzymała się prosto, jej głos był jasny i mocny, a ciemne oczy patrzyły równie przenikliwie jak zawsze. — Nie widzę przeszkód, jeżeli zechcesz oddać mnie katu. Załatwiłam już prawie wszystkie swoje sprawy. „Na poskręcanej starej gałęzi stępi się ostrze, które łatwo ścina młode drzewko”.

Morgase westchnęła. Lini nigdy się nie zmieni. Nie ukłoniłaby się przed nią nawet w obecności całego dworu.

— Im jesteś starsza, tym trudniej cię strawić. Nie mam wcale pewności, czy kat zdołałby znaleźć topór wystarczająco ostry na twój kark.

— Od pewnego czasu przestałaś do mnie przychodzić, więc pewnie musisz teraz powziąć jakąś decyzję. Kiedy byłaś mała... i później też... zawsze przychodziłaś do mnie, jeśli nie potrafiłaś sobie z czymś poradzić. Mogę zaparzyć herbaty?

— Od jakiegoś czasu, Lini? Przychodzę do ciebie co tydzień, zresztą zastanawiam się, czy powinnam tak postępować, biorąc pod uwagę sposób, w jaki się do mnie odnosisz. Skazałabym na banicję pierwszą damę Andoru, gdyby powiedziała choć połowę tego, co ty mówisz.

Lini spojrzała na nią wzrokiem zupełnie pozbawionym wyrazu.

— Nie stałaś w mych drzwiach od wiosny. A mówię do ciebie w taki sam sposób, jak zawsze, jestem zbyt stara, by się teraz zmieniać. Chcesz herbaty?

— Nie. — Morgase zmieszana przyłożyła dłoń do czoła. Odwiedzała Lini co tydzień. Przecież pamiętała... Niczego nie mogła sobie przypomnieć. Gaebrił wypełnił godziny jej dnia tak dokładnie, że czasami trudno było sobie przypomnieć cokolwiek poza nim. — Nie, nie chcę herbaty. Nie wiem, dlaczego do ciebie przysłałam. Nie pomożesz mi.

Jej dawna piastunka parsknęła śmiechem, chociaż w jakiś sposób zabrzmiało to delikatnie.

— Twój kłopot to Gaebrił, nieprawdaż? Tylko że teraz wstydzisz się o tym powiedzieć. Dziewczyno, zmieniałam ci pieluszki, kiedy leżałaś w kołysce, opiekowałam się tobą, gdy byłaś chora i mdłości wywracały ci żołądek, powiedziałam ci też wszystko, co powinnaś wiedzieć o mężczyznach. Nigdy nie wstydziałaś się rozmawiać ze mną na żaden temat.

— Gaebrił? — Oczy Morgase rozszerzyły się. — Wiesz? Ale skąd?

— Och, dziecko — ze smutkiem powiedziała Lini — wszyscy wiedzą, choć nikt nie ma odwagi ci powiedzieć. Ja bym mogła, ale trzymałaś się z dala ode mnie, a z pewnością nie jest to coś, z czym powinnam do ciebie przybiec, czyż nie? To jest ten rodzaj rzeczy, w które kobieta nie wierzy, dopóki sama ich nie odkryje.

— O czym ty mówisz? — zażądała odpowiedzi Morgase. — Twoim obowiązkiem było przyjść do mnie, jeśli wiedziałaś, Lini. To było obowiązkiem każdego! Świątłości, jestem ostatnią, która się dowiadyje, a teraz może być już za późno, by wszystko powstrzymać!

— Za późno? — powiedziała z niedowierzaniem Lini. — Niby dlaczego za późno? Wygonisz Gaebriła z pałacu, w ogóle z Andoru, a wraz z nim Alteimę i pozostałe, i po sprawie. Za późno, dobre sobie.

Przez chwilę Morgase nie potrafiła wykrztusić słowa.

— Alteimę — rzekła na koniec — i... pozostałe?

Lini popatrzyła na nią, potem pokręciła z niesmakiem głową.

— Jestem zbyt stara i głupia, mój rozum chyba już zupełnie się zesechł. Cóż, teraz już wiesz. „Nie wsadzisz z powrotem do plastra raz wyjętego zeń miodu”. — Jej głos nabrał cieplejszej barwy, stając się jednocześnie bardziej stanowczy, tym tonem zazwyczaj informowała Morgase, że jej kuc złamał sobie nogę i że trzeba go było uśpić. — Gaebriil spędza większość nocy z tobą, ale Alteima jest przy nim niemal równie często. Pozostała szóstka spotyka się z nim znacznie rzadziej. Pięć ma pokoje w pałacu. Jest takie jedno wielkookie młode stworzenie, które on przemyca do środka z jakichś powodów całe ściśle owinięte płaszczem pomimo tych upałów. Być może ma męża. Przykro mi, dziewczyno, ale taka jest prawda. „Lepiej zmierzyć się z niedźwiedziem, niżli przed nim uciekać.”

Morgase poczuła, jak ugięły się pod nią kolana, a gdyby Lini szybko nie przysunęła jej jednego z krzesel stojących przy stole, zapewne usiadłaby na podłodze. Alteima. Obraz Gaebriila przyglądającego się, gdy wymieniają plotki, nabrał teraz nowego znaczenia. Mężczyzna z przyjemnością oglądający jak jego dwa kociaki się bawią. I sześć innych! Gniew zawrzał w niej, gniew, który zaczął wygasać, kiedy tylko pomyślała, że chodzi mu o jej tron. O tym potrafiła myśleć spokojnie i z taką jasnością, jak jej się ostatnio nie zdarzało. To było niebezpieczeństwo, na które należało spoglądać chłodnym wzrokiem. Ale to! Ten człowiek zainstalował swoje ladacznice w jej pałacu. Uczynił z niej jedną ze swoich dziewczek. Zapragnęła jego głowy. Chciała, by żywcem obdarto go ze skóry. Świątości, pomóż, pragnęła, żeby jej dotknął.

„Ja chyba oszalałam!”

— To zostanie załatwione wraz z pozostałymi sprawami — oznajmiła chłodna. Wiele zależało od tego, kto pozostał w Caemlyn, a kto wyjechał do swych posiadłości. — Gdzie jest lord Pelivar? Lord Abelle? Lady Arathelle?

Wszyscy mieli za sobą silne Domy i wielu popleczników.

— Wygnani — powiedziała wolno Lini, patrząc na nią ze zdziwieniem. — Wygnałaś ich z miasta zeszłej wiosny.

Morgase odpowiedziała pustym spojrzeniem. Nic nie pamiętała. Teraz pomału sobie przypominała, ale bardzo mętnie.

— Lady Ellorien? — zapytała powoli. — Lady Aemlyn i lord Luan?

Kolejne silne Domy. Domy, które popierały ją, zanim wstąpiła na tron.

— Wygnani — równie wolno odrzekła Lini. — Kazałaś wychłostać Ellorien za to, że chciała się dowiedzieć dlaczego.

Pochyliła się, by odsunąć pasma włosów z twarzy Morgase, sękaty palce spoczęły na jej policzku, jak wówczas, gdy sprawdzała, czy nie ma gorączki.

— Dobrze się czujesz, dziecko?

Morgase przytaknęła tępo, ale dlatego tylko, że powoli sobie przypominała, mgliście i niejasno. Ellorien krzycząca z wściekłości, kiedy zdarto jej szatę z ple-

ców. Dom Traemane był pierwszym, który udzielił swego poparcia Domowi Tra-
kand, na jego czele stała wówczas pulchna śliczna kobieta kilka lat starsza od
Morgase. Ellorien, która później została jedną z jej najbliższych przyjaciółek. Te-
raz już pewnie nią nie była. Elayne dostała imię po babce. Ellorien. Powoli stawały
jej przed oczyma obrazy innych opuszczających miasto, teraz było oczywiste, że
chcieli się od niej odseparować. A ci, którzy zostali? Domy zbyt słabe, by mogły
na coś się przydać, albo zwykli pochlebcy. Zdawało jej się, że pamięta, jak pod-
pisywała liczne dokumenty, które kładł przed nią Gaebriel, nadawała nowe tytuły.
Pochlebcy Gaebрила i jej wrogowie, byli wszystkim, na co mogła liczyć w Caem-
lyn.

— Nie dbam o to, co powiesz — zdecydowanie oznajmiła Lini. — Nie masz
gorączki, ale coś jest nie tak. Potrzebujesz Uzdrowicielki Aes Sedai.

— Żadnych Aes Sedai.

Głos Morgase był jeszcze twardszy. Przez krótką chwilę znowu obracała pier-
ścień na palcu. Wiedziała, że jej urazy wobec Wieży urosły ostatnimi czasy do
poziomu przekraczającego zdrowy rozsądek, mimo to nie potrafiła już dłużej ufać
Białej Wieży, która najwyraźniej ukrywała gdzieś przed nią jej córkę. List do no-
wej Amyrlin, w którym domagała się powrotu Elayne — nikt nigdy nie domagał
się w ścisłym tego słowa znaczeniu niczego od Amyrlin, jednak ona tak — list
ten pozostawał jak dotąd bez odpowiedzi. Zresztą zapewne ledwie dotarł do Tar
Valon. W każdym razie wiedziała, że nie ma najmniejszej ochoty na bliskość Aes
Sedai. A mimo to nie potrafiła myśleć o Elayne bez wzbierającej w niej dumy.
Wyniesiona do godności Przyjętej po tak krótkim czasie. Elayne może z łatwością
zostać pierwszą kobietą, która jako pełna Aes Sedai, nie zaś tylko wychowanka
Wieży, zasiądzie na tronie Andoru. To nie miało najmniejszego sensu, że potrafiła
równocześnie żywić przeciwstawne uczucia, ale ostatnio niewiele rzeczy miała
sens. A jej córka nigdy nie zasiądzie na Tronie Lwa, jeżeli Morgase nie zachowa
go dla niej.

— Powiedziałam, żadnych Aes Sedai, Lini, a więc możesz przestać patrzeć
na mnie w ten sposób. Tym razem nie zmusisz mnie do przełknięcia żadnych
paskudnych mikstur. A poza tym wątpię, by w Caemlyn dało się obecnie znaleźć
jakąkolwiek Aes Sedai.

Jej dawni poplecznicy wyjechali, wygnani jej własnym nakazem, być może
nawet zmienili się już na dobre w jej wrogów, po tym co zrobiła z Ellorien. No-
wi lordowie i lady zajęli ich miejsca w pałacu. Nowe twarze w Gwardii. Któż
zachował wobec niej lojalność?

— Czy znasz porucznika Gwardii nazywającego się Tallanvor, Lini? — Kiedy
tamta krótko skinęła głową, ciągnęła dalej: — Znajdź go i przyprowadź tutaj.
Ale nie pozwól, by się dowiedział, że tu jestem. W ogóle powiedz wszystkim
w Kwaterach Emerytów, że gdyby ktokolwiek pytał, w ogóle mnie tu nie było.

— Tu chodzi o coś więcej niż tylko o Gaebрила i te jego kobiety, nieprawdaż?

— Idź już, Lini. I pośpiesz się. Zostało mało czasu.

Po długości cieni w pełnym drzew ogrodzie, który widziała za oknem, mogła osądzić, że słońce minęło już najwyższy punkt swej wędrówki po nieboskłonie. Wielkimi krokami zbliżał się wieczór. Pora, kiedy Gaebriil zacznie jej szukać.

Po wyjściu Lini Morgase nie ruszyła się z krzesła. Nie odważyła się wstać, odzyskała już władzę w kolanach, ale obawiała się, że jeśli zacznie chodzić, zatrzyma się dopiero w swym salonie, czekając na Gaebriila. Ten nakaz był tak silny, szczególnie gdy zostawała sama. A kiedy tylko on spojrzy na nią, kiedy jej dotknie, bez wątpienia przebaczy mu wszystko. Może nawet zapomni o wszystkim, biorąc pod uwagę, jak rozmyte i fragmentaryczne były jej wspomnienia z ostatnich dni, miesięcy. Gdyby nie wiedziała, że to niemożliwe, pomyślałaby, iż w jakiś sposób stosował wobec niej Jedyną Moc, ale żaden z mężczyzn potrafiących przenosić nie dożywał jego wieku.

Lini często powtarzała jej, że zawsze znajdzie się na świecie taki mężczyzna, dla którego kobieta będzie zachowywać się jak pozbawiona mózgu idiotka, ale nigdy nie sądziła, iż coś takiego może się jej przydarzyć. To prawda, kiepsko wybierała sobie mężczyzn, chociaż w swoim czasie wydawali się właściwi.

Taringaila Damodreda poślubiła dla racji politycznych. Był mężem Tigraine, Dziedziczki Tronu, która zniknęła, co było powodem wszczęcia Sukcesji po śmierci Modrellein. Wychodząc za niego za mąż, ustanawiała swego rodzaju więź z dawną królową, zagłuszając tym samym wątpliwości większości swych oponentów, a co ważniejsze, przypieczętowując przymierze, które kończyło ciągłe wojny z Cairhien. W ten właśnie sposób królowe wybierają sobie mężów. Taringail był zimnym mężczyzną, zachowującym dystans względem każdego i nigdy właściwie nie było między nimi miłości, choć spłodzili dwoje wspaniałych dzieci, niemal z ulgą powitała wieść o jego śmierci podczas polowania.

Thomdril Merrilin, bard Domu Trakand i nadworny bard Andoru, z początku był zabawką, inteligentny i mądry, wiecznie uśmiechnięty człowiek, który stosował sztuczki Gry Domów, by pomóc jej zasiąść na tronie, a potem umocnić Andor. Był dwukrotnie od niej starszy, jednak mogła wyjść za niego — w Andorze mariaże ze zwykłymi ludźmi nie były niczym niezwykłym — ale zniknął bez słowa, a ona nie potrafiła utrzymać na wodzy swych namiętności, które przyćmiły wówczas lepsze strony jej charakteru. Nigdy się nie dowiedziała, dlaczego odszedł, ale teraz to i tak nie miało znaczenia. Kiedy na koniec wrócił, z pewnością uchyliłaby nakaz aresztowania, ale gdy się spotkali, zamiast delikatnie załagodzić jej gniew, jak to miał w zwyczaju, na ostre słowa odpowiedział podobnie, mówiąc rzeczy, których nigdy nie mogła mu wybaczyć. Wciąż czuła, jak palą ją uszy na wspomnienie tego dnia, gdy nazwał ją rozpieszczonym dzieckiem i kukiełką Tar Valon. Nawet nią potrząsnął, swoją królową!

Potem był Gareth Bryne, silny, uzdolniony, prostoduszny jak jego twarz i równie uparty jak ona, okazał się na koniec zdradzieckim głupcem. Na dobre już prze-

gnała go ze swego życia. Wydawało się jej, że minęły lata, odkąd ostatni raz go widziała, a przecież było to niewiele ponad pół roku.

I na koniec Gaebriel. Ukoronowanie szeregu jej złych wyborów. Przynajmniej pozostali nie chcieli odebrać jej korony.

Niewielu mężczyzn jak na życie kobiety, jednak z drugiej strony, aż nazbyt wielu. Lini powiadała, że mężczyźni nadają się tylko do trzech rzeczy, a za to są w nich bardzo dobrzy. Dopiero gdy zasiadła na tronie, Lini uznała, że jest na tyle dorosła, by dowiedzieć się, jakie to są rzeczy.

„Przypuszczalnie gdybym poprzestała na tańcu” — pomyślała gniewnie — „nie miałabym z nimi tylu kłopotów”.

Cienie w ogrodzie za oknem wskazywały upływ dobrej godziny, zanim Lini powróciła z młodym Tallanvorem, który przykląkł na kolano, kiedy tamta jeszcze zamykała drzwi.

— Najpierw nie chciał ze mną pójść — oznajmiła. — Zapewne pięćdziesiąt lat temu, gdy mogłam mu pokazać to samo, co ty teraz obnażasz przed światem, pomknąłby za mną rącho, dziś jednak musiałam odwołać się do pomocy słodkich słówek.

Tallanvor odwrócił głowę i spojrzał na nią cierpko.

— Zagroziłaś mi kijem, jeśli nie pójdę z tobą. Masz szczęście, że zaciekało mnie, co może być dla ciebie takie ważne, w przeciwnym razie kazałbym zawlec cię do infirmerii. — Jej ostre parsknięcie nie zbiło go z tropu. Przeniósł wzrok na Morgase i w jego spojrzeniu znowu pojawił się gniew. — Rozumiem, że spotkanie z lordem Gaebrielem nie przebiegło właściwie, moja królowo. Miałem nadzieję na... więcej.

Patrzył jej prosto w oczy, ale komentarz Lini sprawił, że znowu zdała sobie sprawę z tego, co ma na sobie. Miała wrażenie, że płonące strzały wbijają się w jej odsłonięte łono.

— Zadziorny z ciebie chłopiec, Tallanvorze. I wierzę, że lojalny, w przeciwnym razie nie przyszedłbyś do mnie z wieściami na temat Dwu Rzek.

— Nie jestem chłopcem — warknęła, ale nie powstał z klęczek. — Jestem mężczyzną, który zaprzysiągł oddać swe życie w służbie królowej.

Nie wytrzymała i wyładowała na nim swój gniew.

— Jeżeli jesteś mężczyzną, to zachowuj się jak mężczyzna. Wstań i odpowiedz zgodnie z prawdą na moje pytanie. I pamiętaj, że ja naprawdę jestem twoją królową, młody Tallanvorze. Cokolwiek myślisz na temat zdarzeń, ja jestem władczynią Andoru.

— Wybacz mi, moja królowo. Słucham i jestem posłuszny. — Słowa zostały właściwie wypowiedziane, nawet jeśli zabrakło w nich skruchy, ale postawa? Stał przed nią wyprostowany, z wysoko uniesioną głową i patrzył na nią tak samo wyzywająco, jak zawsze. Światłości, ten człowiek był bardziej uparty niż Gareth Bryne.

— Ilu lojalnych ludzi da się znaleźć wśród Gwardzistów w pałacu? Ilu wier-
nych swym przysięgom pójdzie za mną?

— Ja — powiedział cicho i nagle cały jego gniew zniknął, chociaż wciąż z na-
pięciem wpatrywał się w jej oczy. — Jeżeli chodzi o pozostałych... Jeżeli chcesz
znaleźć lojalnych żołnierzy, musisz szukać w zewnętrznych garnizonach, być mo-
że aż w Białym Moście. Niektórych wysłano wraz z rekrutami do Cairhien, ale ci,
którzy zostali, są co do jednego ludźmi Gaebrila. Ich nowe... ich nowe przysięgi
odnoszą się do tronu i prawa, nie zaś królowej.

Było gorzej niż myślała, ale w istocie czegoś takiego się spodziewała. Gaebril,
cokolwiek o nim powiedziec, nie był głupcem.

— A więc muszę się udać w jakieś inne miejsce, aby na powrót odzyskać
władzę. — Domy trudno będzie z powrotem pozyskać po nałożonej na nie banicji,
po tym co zrobiła Ellorien, ale trzeba tego dokonać. — Gaebril może próbować
powstrzymać mnie przed opuszczeniem pałacu... — przypominała sobie słabo,
że dwukrotnie próbowała uciec i za każdym razem Gaebril ją zatrzymywał —
... a więc ty przygotujesz dwa konie i będziesz czekał na ulicy za południowymi
stajniami. Tam cię znajdę, ubrana do konnej jazdy.

— Zbyt wielu ludzi tam się kręci — powiedział. — I zbyt blisko. Ludzie Ga-
ebrila mogą cię rozpoznać, niezależnie od tego, w co się przebierzesz. Znam jed-
nego człowieka... czy będziesz umiała znaleźć gospodę zwaną „Błogosławień-
stwo Królowej”, w zachodniej części Nowego Miasta? — Nowe Miasto było no-
we tylko w odniesieniu do Wewnętrznego Miasta.

— Dam sobie radę. — Nie lubiła, gdy się jej przeciwstawiano, nawet jeśli
nie miała racji. Bryne również tak postępował. Przyjemnie będzie pokazać temu
młodzieńcowi, jak umiejętnie potrafi się przebrać. Miała zwyczaj co roku — zdała
sobie sprawę, że w tym roku jeszcze tego nie robiła — przebierać się za prostą
kobietę i wędrować po ulicach, wyczuwając tętno swego ludu. Nikt nigdy jej nie
rozpoznał. — Ale czy temu człowiekowi można zaufać, młody Tallanvorze?

— Basel Gill jest równie lojalny względem ciebie jak ja. — Zawahał się, po
jego twarzy przemknął cień udreki, ale raz jeszcze wyparł ją gniew. — Dlaczego
tak długo zwlekałaś? Musiałaś wiedzieć, a jednak czekałaś, dopóki Gaebril nie
zacisnął swych rąk na gardle Andoru. Dlaczego tak długo czekałaś?

A więc to tak. Jego gniew rodził się z uczciwych motywów, domagał się więc
uczciwej odpowiedzi. Tylko że ona sama nie znała żadnej, której mogłaby mu
udzielić.

— Kwestionowanie postępowania królowej nie należy do twoich obowiązków,
młody człowieku — oznajmiła na koniec, delikatnie i stanowczo jednocześnie. —
Lojalny żołnierz, a za takiego cię uważam, służy, nie zadając pytań.

Wypuścił długo wstrzymywany oddech.

— Będę czekał na ciebie w stajni „Błogosławieństwa Królowej”, moja królo-
wo. — I wykonawszy ukłon odpowiedni na oficjalną audiencję, wyszedł.

— Dlaczego przez cały czas nazywałaś go młodym? — chciała wiedzieć Lini, gdy tylko drzwi za tamtym się zamknęły. — Przez to cały sztywniał. „Tylko głupiec kładzie sobie osiet pod siodło, zanim wyruszy w drogę”.

— On jest młody, Lini. Mógłby być moim synem.

Lini parsknęła i tym razem nie było to łagodne parsknięcie.

— Jest kilka lat starszy od Galada, a Galad jest za stary, żeby mógł być twój. Bawiłaś się lalkami, kiedy Tallanvor już się urodził i myślałaś, że dzieci się robi w taki sam sposób jak lalki.

Wzdychając, Morgase zastanawiała się, czy ta kobieta traktowała jej matkę w podobny sposób. Zapewne. A jeśli Lini pożyje na tyle długo, by Elayne zdążyła zasiąść na tronie w co jakoś nie wątpiła, Lini będzie żyła wiecznie — zapewne nie będzie traktować Elayne inaczej. Bardziej już wątpliwe było, czy zostanie jakimkolwiek tron, który mogłaby odziedziczyć jej córka.

— Pytanie brzmi, czy on jest tak lojalny, jak się wydaje, Lini? Jedyny wierny Gwardzista, kiedy wszyscy pozostali lojalni wobec mnie ludzie zostali odesłani z pałacu? Nagle wydało mi się to zbyt piękne, by mogło być prawdziwe.

— Złożył nową przysięgę. — Morgase otworzyła już usta, ale Lini uprzedziła jej wątpliwości. — Widziałam go po tym, samotnego za stajnią. Dzięki temu wiedziałam o kim mówisz, poznałam jego imię. On mnie nie spostrzegł. Klęczał, łzy spływały mu po twarzy. Na przemian przeproszał ciebie i powtarzał słowa starej przysięgi. Nie tylko ze zwrotem „królowej Andoru”, lecz „królowej Andoru Morgase”. Przysięgał starym sposobem na swój miecz, nacinając ramię, aby dowieść, że wytoczy ostatnią kroplę krwi, zanim złamie przysięgę. Znam się trochę na mężczyznach, dziewczyno. Ten pójdzie za tobą z gołymi rękoma przeciwko całej armii.

Przyjemnie było się o tym dowiedzieć. Gdyby nie mogła mu ufać, w następnej kolejności powinna przestać wierzyć Lini. Nie, Lini nigdy. Przysięgał w dawny sposób? Coś takiego nadawało się do opowieści barda. Ale znowu przestała panować nad swymi myślami, znowu błąkały się samopas. Przecież Gaebriel w tej chwili nie panował już całkiem nad jej umysłem. Czemu więc coś w niej pragnęło, by wróciła do salonu i zaczekała? Należało się skoncentrować.

— Potrzebuję prostej sukni, Lini. Takiej, która nie przylega zbyt dobrze do ciała. Odrobina sadzy z kominka. . .

Lini koniecznie chciała opuścić pałac razem z nią. Morgase musiałaby chyba przywiązać ją do krzesła, żeby powstrzymać przed pójściem za sobą, nie była jednak pewna, czy starsza kobieta dałaby się przywiązać, wyglądała na kruchą, ale w istocie okazywała się silniejsza, mimo pozorów jakie stwarzała jej mało imponująca postura. Kiedy wyslizgnęły się przez wąską boczną bramę, Morgase w niewielkim stopniu przypominała obecną królową Andoru. Odrobina sadzy przyczerniła jej rudozłote włosy, odebrała im połysk, sprawiając, że wyglądały na zupełnie zwyczajne. Pot spływający po twarzy również dodawał wyglądowi

pospolitości. Nikt nie uwierzyłby, że królowe mogą się pocić. Bezkształtna suknia z grubej — bardzo grubej szarej wełny, z rozciętymi spódnicami dopełniała przebrania. Nawet jej bielizna i pończochy utkane były z pospolitej wełny. Wyglądała na wieśniaczkę, która przyjechała koniem z zaprzęgu na jarmark, a teraz ma ochotę zobaczyć trochę miasta. Lini natomiast wyglądała jak to ona, ze sztywnym karkiem i bardzo serio, w sukni do konnej jazdy z zielonej wełny, dobrze skrojonej, lecz niemodnej co najmniej od dziesięciu już lat.

Żałując, że nie może się podrapać, Morgase żałowała także, że tamta za mocno wzięła sobie do serca jej uwagi dotyczące niezbyt dobrze dopasowanej sukni. Podczas wpychania jej poprzedniego stroju pod łóżko, stara piastunka wymruczała jakieś porzekadło o pokazywaniu towarów, których się nie ma zamiaru sprzedawać, kiedy zaś Morgase twierdziła, że to zmyśliła, odparła, iż jest tak stara, że każde zmyślane przez nią porzekadło ujdzie i tak za prawdziwe. Morgase była właściwie prawie pewna, iż ten nowy, wywołujący swędzenie, fatalnie skrojony ubiór, to kara za tamtą suknię.

Wewnętrzne Miasto zostało zbudowane na wzgórzach, ulice poprowadzono wedle naturalnych krzywizn terenu i zaplanowano tak, by nagle wychodziły na parki pełne drzew i pomników albo kryte dachówkami wieże lśniące setką kolorów w promieniach słońca. Nagłe prześwity prowadziły wzrok ponad całym Caemlyn aż ku pofałdowanym równinom i lasom za miastem. Morgase nie widziała nic, śpiesznie przepychając się przez tłumy zalegające ulice. Kiedy indziej próbowałaby słuchać, co mówią ludzie, wyczuwać ich nastroje. Tym razem jednak słyszała jedynie szum i gwar wielkiego miasta. Nie wpadła na pomysł poderwania ich do buntu. Tysiące ludzi uzbrojonych głównie w kamienie i własny gniew nie byłoby w stanie pokonać Gwardii w Królewskim Pałacu, ale gdyby nawet nie wiedziała o tym wcześniej, to rozruchy wiosną tego roku, dzięki którym spotkała Gaebrila, oraz rozruchy z poprzedniego roku pokazały jej jasno, do czego zdolny jest motłoch. Pragnęła władać Caemlyn, a nie oglądać zgliszcz.

Za białymi ścianami Wewnętrznego Miasta rozpościerało się Nowe Miasto o swoistej urodzie. Wysokie smukłe wieże z kopułami lśniącymi bielą i złotem, wielkie przestrzenie czerwonych dachów, górujące nad nimi zewnętrzne mury, bladoszare, paskowane srebrem i bielą. Szerokie bulwary przecięte w środku szerokimi pasami trawy i drzew, po których ciągnęli ludzie, powozy i fury. Z tego wszystkiego zauważyła przelotnie tylko, że trawa wysycha z braku deszczu, tak pochłonięta była bowiem poszukiwaniem pewnego miejsca.

Na podstawie doświadczenia nabytego podczas corocznych wycieczek ostrożnie wybierała ludzi. Głównie mężczyzn. Wiedziała, jak wygląda, nawet z sadzą na włosach, niektóre kobiety z czystej zazdrości mogłyby ją skierować w złą stronę. Mężczyźni z kolei wysilali swe umysły, aby wyrzeć na niej jak największe wrażenie. Żadnego jednak z nazbyt ubrudzoną twarzą czy szorstko wyglądającego. Ci pierwsi, zagadnięci, często zachowywali się obraźliwie, jakby sami nie porusza-

li się pieszo, drudzy zaś zdawali się sądzić, że kobieta pytająca o kierunek musi mieć coś innego na myśli.

Jeden z zapytanych, mężczyzna ze zbyt dużym podbródkiem, zachwalający tace pełną igieł i szpilek, uśmiechnął się do niej i powiedział:

— Czy ktoś mówił ci już kiedyś, że odrobinę przypominasz królową? Narobiła nam zamieszania, ale jest przecież śliczna.

Odpowiedziała na to wyuzdanym uśmiechem, na który Lini zareagowała ostrym spojrzeniem.

— Zachowaj swoje komplementy dla żony. Druga ulica na lewo, powiedziałeś? Dziękuję. I za komplement również.

Kiedy przeciskała się przez tłum, nagle mars wypetził na jej czoło. Zbyt często o tym słyszała. Nie, że jest podobna do królowej, ale że Morgase narobiła zamieszania. Gaebrił podniósł podatki, by móc opłacać swoich rekrutów, jak się wydawało, ale to ona ponosiła za wszystko winę, zresztą całkiem słusznie. Odpowiedzialność spoczywała na królowej. Poza tym pałac wydawał także inne prawa, prawa, które nie miały większego sensu, a za to czyniły życie ludzi trudniejszym. Dotarły do niej nawet poszeptywania, że Andorem już zbyt długo rządzi królowe. Bardzo ciche, ale co jeden człowiek odważył się powiedzieć szeptem, dziesięciu myślało w skrytości ducha. Wychodziło na to, że nie będzie tak łatwo, jak jej się zdawało, podburzyć tłum przeciwko Gaebriłowi.

Na koniec dotarła do celu, dużej gospody z kamienia, godło nad drzwiami przedstawiało mężczyznę klęczącego przez złotowłosą kobietą w Różanej Koronie, która trzymała dłoń na jego głowie. „Błogosławieństwo Królowej”. Podobna nie była zachwycająca, jeżeli to rzeczywiście ją przedstawiała. Policzki miała zbyt wydatne.

Dopiero przed frontem gospody zorientowała się, że Lini ciężko sapie. Narzuciła ostre tempo, a ta kobieta nie była już przecież młoda.

— Lini, przepraszam. Nie powinnam iść tak. . .

— Gdybym nie potrafiła ci dotrzymać kroku, kobieto, to jak miałabym nianaczyć dzieci Elayne? Masz zamiar stać tutaj? „Powłóczenie nogami nigdy nie prowadzi do celu podróży”. Powiedział, że będzie czekał w stajni.

Siwowłosa kobieta ruszyła, chcąc obejść budynek gospody, i mruczała coś do siebie. Morgase nie miała innego wyjścia, jak pójść za nią. Zanim weszła do kamiennej stajni, ocieniła oczy dłonią i spojrzała na słońce. Do zmierzchu pozostały nie więcej jak dwie godziny, Gaebrił zacznie jej wówczas szukać, o ile już tego nie robił.

We wnętrzu stajni, w korytarzu prowadzącym do przegród dla koni, czekał Tallanvor, ale nie sam. Kiedy przykleknął na jedno kolano, dotykając nim zasłanego słomą klepiska — odziany był w zielony wełniany kaftan, spięty pasem, u którego wisiał miecz — wraz z nim ukleknęli dwaj mężczyźni i kobieta, z niejakim wahaniem, nie do końca będąc pewni, z kim mają do czynienia. Krępy mężczyzna,

o różowej twarzy, łysiejący, to musiał być karczmarz, Basel Gill. Potężny brzuch opinała skórzana kurta naszyta metalowymi krążkami, przy biodrze również miał miecz.

— Moja królowo — powiedział Gill — od lat nie nosiłem już miecza. . . dokładnie od czasu Wojen o Aiel. . . ale poczytałbym sobie za honor, gdybyś pozwoliła mi ruszyć z tobą.

O dziwo, wcale nie wyglądał przy tym śmiesznie.

Morgase przyjrzała się pozostałej dwójce, niezgrabnemu człowiekowi w szorstkim kaftanie, z ciężkimi powiekami opadającymi na oczy, ze złamanym nosem i twarzą poznaczoną bliznami, oraz niskiej, bardzo pięknej kobiecie, zbliżającej się już do średniego wieku. Wyglądało na to, że jest razem z tym ulicznym zabijaką, ale jej błękitna wełniana suknia z wysokim karczkiem wydawała się zbyt dobrze uszyta, by mogła być prezentem od niego.

Mężczyzna zapewne wyczuł jej wątpliwości, jego leniwy wzrok wbrew pozorom chyba widział wszystko.

— Jestem Lamgwin, moja królowo, twój wierny poddany. To, co się stało, nie jest właściwe i należy wszystko przywrócić do pierwotnego stanu. Ja również chciałbym pójść z tobą. I Breane także.

— Wstańcie — powiedziała. — Może jeszcze minąć wiele dni, zanim będziecie mogli swobodnie zwracać się do mnie jak do królowej. Jestem zadowolona, mogąc podróżować w twoim towarzystwie, panie Gill. I w twoim również, panie Lamgwin, ale bezpieczniej byłoby, gdyby wasza kobieta została w Caemlyn. Nie będzie nam łatwo.

Breane, otrzepując spódnice ze słomy, rzuciła jej ostre spojrzenie. Podobnie zresztą jak i Lini.

— Przyzwyczyłam się już do tego, że nie jest mi łatwo — powiedziała, w jej głosie można było dosłyszeć cairhieniański akcent. Szlachetnie urodzona, o ile Morgase się nie myliła, jedna z uciekinierek. — I nigdy dotąd, dopóki nie spotkałam Lamgwina, nie poznałam ani jednego dobrego człowieka. Albo dopóki on mnie nie znalazł. Lojalność i miłość, jakie on żywi dla ciebie, ja odczuwam wobec niego po dziesięciokroć. On pójdzie za tobą, ja jednak pójdę za nim. Nie zostanę tutaj sama.

Morgase wciągnęła głęboko powietrze, potem skinęła głową na zgodę. W każdym razie kobieta tak zrozumiała jej gest. Niezły początek armii, która miałaby jej pomóc odzyskać tron: młody żołnierz, który obrzucał ją gniewnymi spojrzeniami, łysiejący karczmarz, wyglądający jakby od dwudziestu lat nie siedział na końskim grzbiecie, uliczny rozrabiaka, sprawiający wrażenie na poły śpiącego i arystokratka z Cairhien, jasno dająca do zrozumienia, że jej lojalność sięga tak daleko, jak przywiązanie złodziejaszka. No i oczywiście Lini. Lini, która traktowała ją w taki sposób, jakby wciąż była małą dziewczynką. Cóż, tak, znakomity początek.

— Dokąd się udamy, moja królowo? — zapytał Gill, wyprowadzając już, osio-

dłane konie z boksów. Lamgwin z zaskakującą energią zaczął siodłać jeszcze jednego dla Lini.

Morgase zrozumiała, że tego nie wzięła pod uwagę.

„Światłości, Gaebril wciąż zaćmiewa mi umysł”.

Ciągle czuła przymus powrotu do swego salonu. To nie on. Potem musiała się skoncentrować na sposobie opuszczenia pałacu i dostaniu tutaj. Kiedyś udałaby się w pierwszym rzędzie do Ellorien, chociaż Pelivar i Arathelle zapewne równie chętnie by ją przyjęli. Gdyby tylko potrafiła wymyślić, jak wytłumaczyć ich wygnanie.

Zanim zdążyła otworzyć usta, Tallanvor powiedział:

— To musi być Gareth Bryne. Wielkie Domy nie żywią obecnie do ciebie ciepłych uczuć, moja królowo, ale jeśli Bryne pójdzie za tobą, zapewne inni odnowią swoje śluby posłuszeństwa, choćby tylko dlatego, że zdają sobie sprawę, iż on wygra każdą bitwę.

Zacisnęła zęby, żeby powstrzymać się przed natychmiastowym zaprzeczeniem. Bryne był zdrajcą. Ale był także jednym z największych żyjących generałów. Jego obecność stanowiłaby przekonujący argument, gdyby musiała namawiać Pelivara i pozostałych, aby zapomnieli jej tę banicję. Bardzo dobrze. Bez wątplenia Garreth chętnie skorzysta z szansy zostania jeszcze raz Kapitanem Generałem Gwardii Królowej. A jeśli nie, równie łatwo poradzi sobie bez niego.

Kiedy tarcza słońca dotknęła horyzontu, znajdowali się już w odległości pięciu mil od Caemlyn, na drodze wiodącej w stronę Źródeł Kore.

* * *

Noc była porą, gdy Padan Fain czuł się najpewniej. Kiedy szedł po ozdobionych sztukateriami korytarzach Białej Wieży, było tak, jakby ciemności panujące na zewnątrz spowijały go płaszczem przed jego wrogami, mimo iż w istocie wysokie stojące lampy, lśniące złotem i odbijające swe światło w lustrach, paliły się wszędzie. Wiedział, że to uczucie pewności jest złudne, jego wrogowie byli liczni i w każdym momencie mógł się spodziewać, że ich spotka. W tej chwili, jak zawsze, gdy nie spał, czuł obecność Randa al'Thora. Nie dokładnie miejsce jego pobytu, ale fakt, że gdzieś tam żyje w świecie. Wciąż żyje. To był dar, który został mu ofiarowany w Shayol Ghul, w Szczelinie Zagłady, ta świadomość obecności al'Thora.

Jego umysł odepchnął wspomnienia tego, co zrobiono mu w Szczelinie. Został tam przedestylowany, złożony na nowo. Ale później, w Aridhol, narodził się powtórnie. Narodził po to, by porazić swych wrogów, i starych, i nowych.

Gdy tak wędrował nocą po pustych korytarzach Wieży, czuł jeszcze coś, rzecz, która należała do niego, a którą mu ukradziono. Pożądał jej w tej chwili tak mocno, że uczucie to tłumilo nawet marzenie o śmierci al'Thora, o zniszczeniu Wieży czy nawet o zemście na swym najdawniejszym wrogu. Dojmujące pragnienie, by znowu stanowić całość.

Ciężkie, rzeźbione drzwi wisiały na mocnych zawiasach, zabezpieczały je nadto żelazne sztaby i potężny czarny, metalowy zamek, wielki jak jego głowa. Niewiele drzwi w Wieży w ogóle zamykano — któż ośmieliłby się kraść w samym sercu siedziby Aes Sedai? — jednak pewne rzeczy, które się w niej znajdowały, uważano za zbyt niebezpieczne, by mógł mieć do nich dostęp każdy. Najbardziej niebezpieczne z nich trzymano za tymi drzwiami, strzeżone mocnym zamkiem.

Zachichotał cicho, wyjął z kieszeni kaftana dwa cienkie, wygięte, metalowe pręty, wsadził je do zamka, gmerał nimi przez chwilę, naciskał, wreszcie obrócił. Rygiel odskoczył z cichym trzaskiem. Przez chwilę stał, opierając się o drzwi i śmiejąc ochryple. Strzeżone przez mocny zamek. Otoczone całą potęgą Aes Sedai i strzeżone przez zwykły metal. Nawet służący czy nowicjuszy z pewnością o tej porze skończyli już wypełniać swe obowiązki, ale ktoś mógł nie spać albo zwyczajnie przypadkiem tędy przechodzić. Przelotne wybuchy rozbawienia wciąż wstrząsały jego ramionami, kiedy schował wytrychy do kieszeni, a następnie wyjął z niej grubą woskową świecę i zapalił knot od stojącej najbliżej lampy.

Wszedł do środka, zamknął za sobą drzwi, uniósł świecę wysoko i rozejrzał się dookoła. Wzdłuż wszystkich ścian stały półki, na których umieszczono zwykłe pudełka i zdobne szkatuły rozmaitych kształtów i rozmiarów, niewielkie figurki z kości i kości słoniowej albo jakiegoś poczerńiałego materiału, przedmioty z metalu, szkła i kryształu połyskujące w świetle świecy. Nic nie wydawało się na pierwszy rzut oka szczególnie niebezpieczne. Kurz pokrywał wszystko grubą warstwą, nawet Aes Sedai rzadko tutaj przychodziły, a nikomu innemu na to nie pozwalały. To, czego szukał, wzywało go do siebie.

Na sięgającej mu do piersi półce stała czarna metalowa szkatuła. Otworzył ją, okazało się, że jej ścianki zrobione są z ołowiu grubego na dwa cale, w środku zaś zostało niewiele miejsca, by pomieścić zawartość — zakrzywiony sztylet w złotej pochwie, z rękojeścią ozdobioną wielkim rubinem. Jego nie interesowało ani złoto, ani połyskujący niczym ciemna krew klejnot. Pośpiesznie nakapał odrobinę wosku na powierzchnię półki obok szkatułki, postawił na nim świecę i porwał sztylet.

Westchnął ciężko i przeciągnął się z rozmarzeniem. Znowu był całością, stanowiął jedność z tym, co przykuło go do siebie tak dawno temu, co obdarzyło go nowym życiem.

Żelazne zawiasy zazgrzytały cicho, on zaś przypadł do posadzki, obnażając zakrzywione ostrze. Młoda kobieta o bladej skórze, która stanęła w drzwiach, mia-

ła tylko tyle czasu, aby zagapić się na niego, potem podjąć próbę skoku w stronę drzwi, zanim ciał ją przez twarz, jednym ruchem upuścił pochwę sztyletu, pochwycił tamtą za ramię i wciągnął do magazynu. Wystawił głowę na zewnątrz i rozejrzał się po korytarzu. Dalej pusto.

Następnie cofnął głowę i zamknął drzwi. Wiedział, co zobaczy w środku.

Młoda kobieta rzucała się na kamiennej posadzce, napinając się w niemym krzyku. Rękoma drapała twarz, która już zdążyła poczerwieć, puchnąc nie do poznania., ciemne plamy sięgały ramion niczym spływająca na nie czarna oliwa. Śnieżnobiała suknia, obrzeżona lamówką, falowała wokół bezradnie wierzgających stóp. Oblizwał kroplę jej krwi, która upadła mu na dłoń i zachichotał, podnosząc z posadzki pochwę.

— Jesteś głupcem.

Odwrócił się błyskawicznie z wyciągniętym ostrzem, ale w tym momencie powietrze wokół niego nagle zgęstniała, więżąc go od szyi aż po podeszwy butów. Zawisł niemalże nad posadzką, balansując na czubkach palców, ze sztyletem wystawionym do ciosu i patrzył na Alviarin, która spokojnie zamykała za sobą drzwi i pochylała się, by mu się przyjrzeć z bliska. Tym razem zawiasy nawet nie skrzypnęły. Ciche szuranie pantofli umierającej dziewczyny żadną miarą nie potrafiłoby stłumić tego dźwięku, zamrugał, chcąc usunąć krople potu, które znie-nacka spłynęły mu do oczu.

— Czy naprawdę sądziłeś — ciągnęła dalej Aes Sedai — że przy tym pokoju nie będzie żadnej straży, że pozostanie nie strzeżony? Ten zamek został obłożony zabezpieczeniami. Zadaniem tej głupiej dziewczyny na dzisiejszą noc była obserwacja działania zabezpieczeń. Gdyby postąpiła zgodnie z zaleceniami, w tej chwili za tymi drzwiami znajdowałby się tuzin Strażników i tyleż samo Aes Sedai. Zapłaciła cenę za swoją głupotę.

Odgłosy wydawane przez ciało miotające się po posadzce za jego plecami uci-chły powoli, jego oczy zwęziły się. Alviarin nie była wprawdzie Żółtą Ajah, ale mimo to mogła podjąć próbę Uzdrawienia umierającej dziewczyny. I nie podniosła alarmu, co powinna zrobić tamta, w przeciwnym razie nie byłaby tutaj sama.

— Jesteś Czarną Ajah — wyszeptał.

— Niebezpieczne oskarżenie — odrzekła spokojnie. Nie było jasne, dla kó-rego z nich dwojga mogłoby się okazać niebezpieczne. — Sivan Sanche podczas przesłuchania próbowała twierdzić, że Czarne Ajah istnieją naprawdę. Błagała, byśmy jej pozwoliły o nich opowiedzieć. Elaida nie chciała o tym słyszeć i nigdy nie pozwoli w swojej obecności mówić na ich temat. Opowieści o Czarnych Ajah to złośliwa potwarz wymierzona przeciwko Wieży.

— Jesteś Czarną Ajah — powtórzył, tym razem głośniej.

— Chciałeś to ukraść? — mówiła dalej, jakby w ogóle nie usłyszała jego słów. — Rubin nie jest wart włożonego w rabunek wysiłku, Fain. Czy też jak tam się naprawdę nazywasz. To ostrze jest zatrute, tylko głupiec ujmie je gołą ręką, za-

miast pomóc sobie szczypcami. Widzisz, jaki efekt wywarło na Verine. Dlaczego więc przyszedłeś tutaj i ruszyłeś prosto do czegoś, o czego istnieniu w ogóle nie powinienes wiedzieć? Nie miałeś dość czasu na jakiegokolwiek poszukiwania.

— Mogę usunąć dla ciebie Elaide. Jedno dotknięcie i nawet Uzdrawianie nic jej nie pomoże. — Próbował wykonać znaczący gest sztyletem, ale nie mógł nawet palcem ruszyć, gdyby potrafił, Alviarin byłaby już martwa. — Możesz być pierwszą w Wieży, nie zaś drugą.

Wybuchnęła na te słowa śmiechem niczym chłodna, pogardliwa melodia.

— Czy sądzisz, że nie byłabym pierwszą, gdybym tego chciała? Drugie miejsce najzupełniej mi odpowiada. Niech Elaida przypisuje sobie zasługi za wszystko, co określa jako swoje sukcesy i niech poci się nad swymi porażkami. Ja wiem, gdzie spoczywa prawdziwa władza. Teraz odpowiedz na moje pytanie, w przeciwnym razie bowiem rankiem znalezione tu zostaną dwa trupy zamiast jednego.

Stanie się tak w każdym razie, niezależnie od tego, czy odpowie na jej pytanie stosownymi kłamstwami czy nie, nie miała zamiaru pozwolić, by uszedł z życia.

— Widziałem Thakan'dar. — Nawet wypowiedzenie tej nazwy bolało, wspomnienia, które nasuwała, przepalały go bólem agonii. Zdławił jęk i zmusił się, by mówić dalej. — Wielkie morze mgły falującej i rozbijającej się w absolutnej ciszy a czarne skały klifów, ognie kuźni płonące pod nim czerwonym światłem i błyskawice nakłuwające niebo, którego wygląd mógł doprowadzać ludzi do szaleństwa. — Nie chciał kontynuować opowieści, mimo to nie przerwał jej. — Wybrałem ścieżkę wiodącą do wnętrza Shayol Ghul, w dół, tam gdzie kamienie niczym zęby przeczesywały me włosy, aż do brzegu jeziora ognia i stopionej skały. . .

„Nie, tylko nie to!”

— . . .które w swych niepomiarowych głębiach skrywa Wielkiego Władcę Ciemności. Niebiosa ponad Shayol Ghul są czarne od jego oddechu nawet w samo południe.

Alviarin stała teraz wyprostowana, patrzyła na niego rozszerzonymi oczami. Nie bała się, ale najwyraźniej jego opowieść wywarła na niej wrażenie.

— Słyszałam o. . . — zaczęła cicho, potem jednak otrząsnęła się i popatrzyła na niego równie ostro jak poprzednio. — Kim ty jesteś? Dlaczego tu przyszedłeś? Czy wysłało cię jedno z Prze. . . jedno z Wybranych? Dlaczego nikt mnie nie poinformował?

Odrzucił do tyłu głowę i zaśmiał się.

— Czy o zadaniach, które zleca się takim jak ja, tacy jak ty są informowani? — Akcent rodzimego Lugardu znowu wyraźnie przebijał w jego głosie, rodzimego tylko w pewnym sensie. — Czy Wybrani mówią ci wszystko? — Coś w nim krzyczało, że nie jest to właściwy sposób postępowania, ale nienawidził Aes Sedai, a to coś wewnątrz niego nienawidziło ich również. — Bądź ostrożna, śliczna mała Aes Sedai, w przeciwnym razie bowiem oddadzą cię Myrddraalowi, żeby się z tobą zabawił.

Jej spojrzenie zmieniło się w dwa lodowe kolce, które wbiła w jego oczy.

— Zobaczmy, panie Fain. Uprzątnę ten bałagan po tobie, a potem zobaczymy, które z nas ma wyższe notowania u Wybranych.

Spojrzała na sztylet i wyszła z pomieszczenia. Powietrze wokół niego wciąż, pozostawało niewzruszone, więzy rozluźniły się dopiero po minucie.

W całkowitej ciszy warknął na samego siebie. Głupiec. Grać w grę Aes Sedai, płaszczyć się przed nimi, a potem jedna chwila gniewu i wszystko zniszczone. Przy chowaniu sztyletu do pochwy, zaciął się, oblizał ranę i dopiero potem wcisnął potworny przedmiot pod kaftan. W ogóle nie był tym, za kogo go uważała. Kiedyś był Sprzymierzeńcem Ciemności, ale teraz jest czymś innym. Czymś więcej. Jeśli uda się jej porozumieć z jednym z Przeklętych, zanim on zdała się jej pozbyć... Lepiej nie próbować. Nie ma już czasu na poszukiwanie Rogu Valere. Za miastem czekali na niego. Powinni jeszcze czekać. Napełnił ich dusze strachem. Miał wszakże nadzieję, że przynajmniej niektórzy z ludzi wciąż pozostają przy życiu.

Zanim wstało słońce, zdążył opuścić teren Wieży i wyspę, na której leżało Tar Valon. Al'Thor gdzieś tam był, gdzieś tam. A on na powrót stał się jednością.

PRZEŁĘCZ JANGAI

Pod majaczącymi gdzieś wysoko w mgle iglicami Grzbietu Świata, Rand prowadził Jeade'ena kamienistym zboczem, które od podnóża gór wiodło ku Przełęczy Jangai. Zęby Muru Smoka wgrzyzały się w niebo — w porównaniu z nim wszystkie pozostałe góry przypominały kopczyki ziemi — pokryte śniegiem szczyty zadawały kłam piekącemu upałowi popołudniowego słońca. Najwyższe z nich sterczały wysoko ponad chmury drwiące z Pustkowiec obietnicą deszczu, który nigdy nie miał spaść. Rand nie potrafił sobie wyobrazić, dlaczego człowiek miałby się na nie wspinać, jednak powiedziano mu, że ci, którzy próbowali, musieli zawrócić pokonani przez strach i brak powietrza. Nietrudno było uwierzyć, że wspiąwszy się tak wysoko, człowiek może przestraszyć się do tego stopnia, iż nie będzie w stanie złapać tchu.

— ... jednak choć Cairhienanie są całkowicie pochłonięci Grą Domów — ciągnęła jadąca przy jego boku Moiraine — pójdą za tobą, dopóki będą widzieli twoją siłę. Bądź więc dla nich twardy, ale proszę cię, byś traktował ich sprawiedliwie. Władca, który potrafi być sprawiedliwy. . .

Próbował nie słuchać tego, co mówiła, podobnie zresztą ignorował pozostałych jeźdźców oraz skrzywienie osi i turkot kół wozów Kadere, które mozolnie pełzły jego śladem. Pokonali już kręte wąwozy i parowy Pustkowiec, ale te poszarpane wzniesienia, niemalże równie nagie i jałowe, wcale nie były bardziej dogodne dla wozów. Od dwudziestu lat nikt nie podążał tą drogą.

Moiraine rozmawiała z nim w ten sposób niemalże od świtu do zmierzchu, oczywiście kiedy udzielał jej na to zgody. Jej wykłady dotyczyły bądź to rzeczy drobnych — szczegółów dworskiej etykiety, powiedzmy, w Cairhien czy Saldaei, albo gdziekolwiek indziej — bądź poważnych: politycznych wpływów Białych Płaszczy czy na przykład efektów, jakie może wywierać handel na decyzje władców dotyczące przystąpienia do wojny. Wyglądało tak, jakby postanowiła zapewnić mu wykształcenie godne arystokraty, i to zanim osiągną drugą stronę gór. Zaskakujące, jak często jej informacje i wnioski stanowiły odbicie czegoś, co każdy w Polu Emonda określiłby jako zwykły zdrowy rozsądek I jakże często bywało odwrotnie.

Od czasu do czasu zdarzało jej się powiedzieć coś naprawdę zaskakującego —

na przykład, że nie powinien ufać żadnej kobiecie z Wieży z wyjątkiem jej samej, Egwene, Elayne i Nynaeve albo że Elaida jest teraz Zasiadającą na Tronie Amyrlin. Niezależnie od przysięgi posłuszeństwa nie chciała mu powiedzieć, jak się o tym dowiedziała. Poinformowała go tylko, że wieści te pochodzą od kogoś jeszcze innego i że ten ktoś sam mu ujawni ich źródło, jeśli uzna to za stosowne, ona zaś nie ma zamiaru zdradzać cudzych sekretów. Podejrzewał, że dowiedziała się tego ad spacerujących po snach Mądrych, chociaż gdy wysuwał wobec nich takie przypuszczenia., patrzyły mu prosto w oczy, odmawiając powiedzenia wprost tak albo nie. Żałował, iż nie może zmusić Mądrych, by złożyły przysięgę podobną do tej, do jakiej skłonił Moiraine, wciąż wtrącały się w sprawy jego i wodzów, jakby chciały, żeby tylko za ich pośrednictwem mógł się z nimi kontaktować.

W tej jednak chwili nie miał ochoty myśleć o Elaidzie czy o Mądrych, ani też słuchać Moiraine. Przyglądał się leżącej przed nimi przełęczy — głęboka szczelina w masywie górskim wiła się jakby wyrąbano ją jakimś gigantycznym tępym toporem, uderzającym trochę na oślep. Kilka chwil szybkiej jazdy i już stałby na niej.

Po jednej stronie wejścia do przełęczy strome zbocze wygładzone zostało na szerokość. ponad stu kroków, wryto w nim ogromną płaskorzeźbę — zerodowany przez wiatry wąż owijał się wokół kija wysokiego na dobre trzysta piędzi, pomnik, znak albo godło władcy. Z pewnością pozostałość po jakimś ztraconym w mrokach dziejów narodzie, datująca się sprzed epoki Artura Hawkwinga, a być może nawet sprzed Wojen z Trollokami. Już przedtem widywał pozostałości po ludach, które dawno zniknęły z powierzchni ziemi, często nawet Moiraine nie potrafiła wyjaśnić pochodzenia tych szczątków.

Wysoko po przeciwnej stronie, tak wysoko, że nie miał pewności, czy widzi to naprawdę, czy mu się tylko zdaje, tuż pod linią śniegów, stało coś jeszcze bardziej dziwnego. Coś, przy czym ten pierwszy pomnik sprzed kilku tysięcy lat zdawał się rzeczą zupełnie pospolitą. Przysiągłby, że oto patrzy na pozostałości zrujnowanych budowli, lśniących szarością na tle ciemnych gór, a co jeszcze dziwniejsze, pobudowanych z tego samego materiału co dok portowy i nachylonych pod zupełnie niesamowitym kątem względem zbocza góry. Jeżeli nie była to tylko gra wyobraźni, ruiny musiały pochodzić sprzed Pęknięcia Świata. W owych czasach oblicze ziemi zostało ostatecznie odmienione. Przedtem mogło tu być dno oceanu. Będzie musiał zapytać Asmodeana. Nawet gdyby miał czas, nie sądził, by chciało mu się wspinać na tę wysokość, aby sprawdzić na własne oczy.

U stóp gigantycznego węża leżało Taien, otoczone wysokimi murami miasto średniej wielkości, ocalałe z czasów, kiedy Cairhienianom pozwalano wysyłać karawany przez Ziemię Trzech Sfer, a bogactwa płynęły Jedwabnym Szlakiem z Shary. Z tej odległości miał wrażenie, że ponad miastem krążą ptaki, mury obronne zaś w regularnych odstępach znaczą ciemne plamy. Mat stanął w strzemiach Oczka, osłonił oczy szerokim rondem swego kapelusza i spo-

glądał, marszcząc brwi, w górę przełęczy. Na twardej twarzy Lana nie było śladu jakichkolwiek emocji, jednak czuło się, iż patrzy z podobnym napięciem, zabłąkany podmuch wiatru, który tutaj był odrobinę chłodniejszy, zawinął wokół jego ciała poły płaszcza i na moment cała prawie jego postać, od ramion aż po buty, zlała się z tłem kamienistego wzgórza, porośniętego z rzadka kolczastymi krzewami.

— Słuchasz mnie? — nagle zapytała Moiraine, podprowadzając bliżej siwą klacz. — Musisz...! — Przerwała, by wziąć głęboki oddech. — Proszę, Rand. Jest tyle rzeczy, o których muszę ci powiedzieć, tak wiele jeszcze powinieneś się nauczyć.

Delikatny ślad prośby w jej głosie sprawił, że spojrzał na nią uważniej. Pamiętał jeszcze czasy, gdy sama jej obecność go przytłaczała. Teraz wydawała się całkiem niewysoka, mimo swych królewskich manier. Głupia rzecz, ale czuł się za nią odpowiedzialny, jakby musiał ją chronić.

— Mamy mnóstwo czasu przed sobą, Moiraine — powiedział łagodnie. — Nie udaję, że wiem tyle o świecie co ty. I mam zamiar trzymać cię blisko siebie.

Ledwie zdał sobie sprawę, jak bardzo się wszystko zmieniło od czasu, kiedy to ona trzymała go blisko siebie.

— Ale teraz mam coś innego na głowie.

— Oczywiście. — Westchnęła. — Jak sobie życzysz. Mamy jeszcze dużo czasu.

Rand puścił swego srokatego ogiera klusem, pozostali zaś ruszyli za nim. Wozy również przyśpieszyły, chociaż nie mogły dotrzymać im tempa na dość stromym zboczu. Naszywany kolorowymi łatkami płaszcz barda Jasina Nataela — Asmodeana — powiewał za nim podobnie jak sztandar, którego koniec masztu zatknął w strzemię, pośrodku jaskrawoczerwonego tła widniał biało-czarny symbol starożytnych Aes Sedai. Na jego twarzy gościł ponury grymas, nie był szczególnie zadowolony, że uczyniono go chorążym. Pod tym znakiem zwycięży, powiadało Proroctwo Rhuidean, a ponadto być może nie przerazi on świata w takim stopniu jak Sztandar Smoka, sztandar Lewsa Therina, który powiewał teraz nad Kamieniem Łzy. Niewielu w istocie będzie wiedziało, co to godło oznacza.

Ciemne plamy na murach Taien to były ciała, poskręcane w agonii, spalone promieniami słońca, wisiały równym rzędem, który zdawał się obiegać całe miasto. Nad nimi krążyły lśniące czernią kruki oraz sępy o plugawych głowach i szypach. Niektóre z ptaków przysiadły na ciałach, skubały je, nie dbając o obecność przybyszów. Słodki, mdły odór rozkładu wisiał w suchym powietrzu, w nozdrza gryzł kwaśny zapach spalenizny. Żelazne kraty w bramach stały otworem, ukazując obraz zniszczenia, poznaczone śladami sadzy kamienne budynki i zapadnięte dachy. Wszędzie panował bezruch.

„Niczym Mar Ruois”.

Próbował odpędzić tę myśl, ale oczyma wyobraźni widział już obraz wielkie-

go miasta po tym, jak zostało ponownie odbite, wysokie wieże poczerniały i częściowo zwalone, pozostałości ogromnych stosów na skrzyżowaniach ulic, gdzie tych, którzy odmówili złożenia przysięgi Cieniowi, związanych rzucono żywcem w ogień. Wiedział, czyje to były wspomnienia, chociaż nie odważył się rozmawiać o tym z Moiraine.

„Jestem Rand al’Thor. Lews Therin Telamon nie żyje już od trzech tysięcy lat. Jestem sobą!”

To była jedyna bitwa, którą z pewnością miał zamiar wygrać. Jeśli ma umrzeć przy Shayol Ghul, umrze jako on sam. Zmusił się, by myśleć o czymś innym.

Minęło pół miesiąca od czasu, jak opuścili Rhuidean. Pół miesiąca, podczas którego Aielowie narzucali takie tempo, maszerując nieprzerwanie od wschodu do zachodu słońca, że konie ledwie nadażały. Ale Couladin szedł tą drogą już tydzień wcześniej, zanim Rand w ogóle się dowiedział o jej istnieniu. Jeżeli nie uda im się nadrobić choć trochę straconego dystansu, to Couladin będzie pustoszyć Cairhien tak długo, aż Rand nie dotrze do niego. Albo jeszcze dłużej, zanim Shaido zostaną pokonani. Niezbyt wesoła perspektywa.

— Ktoś nas obserwuje zza tych skał po lewej stronie — powiedział cicho Lan. Pozornie był całkowicie pochłonięty obserwacją ruin Taien. — Nie Aiel, gdyż wątpię, bym wówczas zobaczył błysk ostrza.

Rand był zadowolony, że nakazał Egwene i Aviendzie pozostać z Mądrymi. Widok tego miasta stanowił dodatkowy powód, obecność zaś obserwatora pasowała do pierwotnego zamiaru, który powziął w nadziei, że Taienianie uciekną. Egwene przecież, podobnie jak Aviendha, wciąż miała na sobie ubiór Aielów, a Aielowie, nie byli specjalnie lubiani w Taien. Bez wątplenia po mieszkańcach miasta, którzy przeżyli masakrę, nie należało się spodziewać szczególnie serdecznego powitania.

Obejrzał się na wozy zatrzymujące się niedaleko u dołu stoku. Teraz, kiedy mogli wyraźnie zobaczyć miasto i ornamenty jego murów, woźnice zaczęli coś między sobą szeptać. Kadere, który tego dnia znowu wbił swe potężne ciało w biel, ocierał swą obdarzoną jastrzębim nosem twarz wielką chustką, wydawał się obojętny wobec rozciągającego się przed nim obrazu. Zagryzał tylko wargi, jakby o czymś intensywnie myślał.

Rand przypuszczał, że Moiraine będzie musiała znaleźć sobie nowych woźniców, wkrótce po tym, jak pokonają przełęcz. Kadere i jego ludzie zapewne uciekną, gdy tylko nadarzy się okazja. A on będzie musiał pozwolić im odejść. To nie było w porządku — to nie było sprawiedliwe — ale konieczne, by chronić Asmodeana. Od jak dawna już robił to, co konieczne zamiast tego, co słuszne? W prawidłowo skonstruowanym świecie obie te rzeczy zapewne były tożsame. Zaśmiał się, kiedy o tym pomyślał, ochryplym śmiechem, który zabrzmiał jak skrzek. Daleką przebył drogę od tego wiejskiego chłopca, którym był niegdyś, ale czasami tamten chłopak niespodzianie do niego wracał. Pozostali spojrzeli na

niego i musiał zwalczyć pokusę, by nie poinformować ich, że wcale jeszcze nie oszalał.

Minęło kilka długich chwil, zanim zza skał wyszli dwaj mężczyźni bez kaftanów oraz kobieta, wszyscy obszarpani, brudni i bosi. Zbliżali się niepewnie, przekrzywiając z wahaniem głowy, spojrzenie przeskakiwało od jeźdźca do jeźdźca, jakby w każdej chwili gotowi byli się rzucić do ucieczki. Zapadnięte policzki i chwiejny krok wyraźnie wskazywały, że nie jedli już od jakiegoś czasu.

— Dzięki Światłości — powiedział na koniec jeden z mężczyzn. Był siwy — żadne z tej trójki nie było pierwszej młodości — a twarz przecinały głębokie zmarszczki. Jego spojrzenie prześlizgnęło się po postaci Asmodeana, po pianie koronek u mankietów i kołnierza, ale przywódca oddziału nie dosiadałby przecież muła i nie dzierżył sztandaru. Zdecydował w końcu i przypadł do strzemienia Randa. — Światłości niech będą dzięki, że udało wam się żywym wydostać z tych strasznych ziem, mój panie.

Musiał zaważyć niebieski, jedwabny kaftan, który Rand miał na sobie, haftowany na ramionach złotem, a może sztandar, wreszcie zwykła służalczość. Ten człowiek z pewnością nie miał powodu, by sądzić, że są kimś lepszym od zwykłych kupców, choćby nawet byli trochę lepiej ubrani.

— Te mordercze dzikusy znowu się zbuntowały. Wybuchła nowa Wojna o Aiel. Nocą, kiedy spaliśmy, przeszli przez mury, wymordowali wszystkich, którzy próbowali się bronić i ukradli wszystko, co nie było przybite gwoździami.

— Nocą? — zapytał ostro Mat. Spod opuszczonego nisko ronda kapelusza wciąż obserwował zrujnowane miasto. — Czy strażnicy spali? Przecież wystawiliście chyba warty, znajdując się tak blisko wroga? Nawet Aielowie mieliby kłopoty ze zdobyciem miasta, gdybyście uważnie go strzegli.

Lan rzucił mu pochwalne spojrzenie.

— Nie, mój panie. — Siwowłosa spojrział na Mata, zamrugął, po czym dalszą część odpowiedzi skierował do Randa. Wspaniały, zielony kaftan Mata mógłby swobodnie uchodzić za odzież jakiegoś lorda, gdyby nie był rozpięty i nie wyglądał tak, jakby tamten w nim sypiał. — My... mieliśmy tylko stróżów przy każdej bramie. Tyle czasu minęło, odkąd po raz ostatni widzieliśmy któregoś z tych dzikusów. Ale tym razem... Czego nie ukradli, spalili, a nas wypędzili, byśmy pomarli z głodu. Bestie nikczemne! Dzięki Światłości, że wy się pojawiliście, by nas uratować, mój panie, w przeciwnym razie wszyscy byśmy tutaj zginęli. Jestem Tal Nathin. Jestem... byłem... rymarzem. Dobrym rymarzem, mój panie. To jest moja siostra Aril i jej mąż, Ander Corl. Robi niezłe buty.

— Brali też ludzi w niewolę — powiedziała kobieta zbolałym głosem. Nieco młodsza od brata, kiedyś mogła być nawet przystojna, lecz przemożne zmartwienie wyryło ślady w jej twarzy, Rand podejrzewał, że nigdy już nie znikną. Jej mąż miał w oczach wyraz zagubienia, jakby nie był nawet pewny, jak się nazywa. — Moją córkę, mój panie, i mojego syna. Zabrali wszystkich młodych, wszystkich,

którzy ukończyli szesnasty rok życia, a i nawet dwukrotnie starszych. Powiedzieli, że są gai-jakoś-tam, zdarli z nich ubiory na ulicy i pognali przed sobą. Mój panie, czy mógłbyś...?

Urwała, kiedy zrozumiała bezsens swojej prośby, przymknęła oczy i osunęła się na ziemię. Niewielkie były szanse, że kiedykolwiek jeszcze zobaczy swe dzieci.

Moiraine natychmiast zeskoczyła z siodła i podbiegła do niej. Wynędniała kobieta westchnęła głośno, kiedy dotknęły jej dłonie Aes Sedai, od stóp do głów targnęło ją drżenie. Zdumione spojrzenie pytająco spoczęło na Moiraine, ale tamta tylko pomogła jej wstać.

Mąż kobiety nagle zamarł z szeroko rozwartymi oczyma, patrzył na sprzączkę przy pasie Randa, prezent od Aviendhy.

— Na rękach miał takie same znaki. Jak ten. Oplatały całą ich długość niczym węże górskie. Tal niepewnie spojrzął na Randa.

— Wódz dzikusów, mój panie. On... miał takie same znaki na przedramionach. Ubrany był równie dziwnie jak oni wszyscy, ale rękawy kaftana miał ucięte, by mieć pewność, iż widać owe znaki.

— To podarunek, który otrzymałem w Pustkowiu — oznajmił Rand. Upewnił się, że jego dłonie wciąż spoczywają na łąku siodła, rękawy kaftana skrywały jego własne Smoki, oprócz ich głów, dostrzegłby je każdy na wierzchach jego dłoni, kto przyjrzałby się uważniej. Aril zdążyła już zapomnieć o tym, co przed chwilą zrobiła dla niej Moiraine, cała trójka wyraźnie miała ochotę rzucić się do ucieczki. — Jak dawno temu odeszli?

— Sześć dni temu, mój panie — odparł Tal. — To, co zrobili, zajęło im całą noc i dzień, następnego dnia zaś odeszli. Poszlibyśmy również, ale co by było, gdybyśmy natknęli się na nich, jak będą wracać? Z pewnością musieli zostać odparci pod Selan.

To było miasto po drugiej stronie przełęczy. Rand wątpił, by Selan znajdowało się obecnie w lepszym stanie niżli Taien.

— Czy oprócz waszej trójki komuś jeszcze udało się przeżyć?

— Jest nas jakaś setka, mój panie. Może więcej. Nikt nie liczył.

Nagle zawrzał w nim gniew, choć starał się utrzymać go na wodzy.

— Setka? — Jego głos przypominał zlodowaciałe żelazo. — I minęło sześć dni? To dlaczego zostawiliście swych zmarłych kruków? Dlaczego zwłoki wciąż zdobią mury miasta? To ciała waszych ludzi wypełniają odorem rozkładu wasze nosy! — Zbili się w niepewną gromadkę, odsuwając się od jego wierzchowca.

— Baliśmy się, mój panie — ochryple odrzekł Tal. — Odeszli, ale przecież mogą wrócić. A on nam powiedział... Ten ze znakami na rękach przykazał nam, byśmy niczego nie ruszali.

— Wiadomość — głuchym głosem dodał Ander. — Wybierali tych, których mieli powiesić, zwyczajnie wyciągali ich z tłumu, dopóki nie otoczyli całych mu-

rów miasta. Kobiety, mężczyźni, nieważne. — Jego oczy wciąż utkwione były w sprzączce przy pasie Randa. — Powiedział, że to jest wiadomość dla jakiegoś człowieka, który idzie za nim. Oraz że chce, aby ten człowiek wiedział... wiedział, co zamierzają robić po drugiej stronie Grzbietu Świata. Powiedział... powiedział, że temu człowiekowi zrobi jeszcze gorsze rzeczy.

Oczy Aril rozszerzyły się raptownie, a cała trójka spojrzała gdzieś za plecy Randa i zamarła. Potem z wrzaskiem rzucili się do ucieczki. Przy skałach, spoza których wyszli, pojawiła się sylwetka zamaskowanego Aiela, skierowali się więc w inną stronę. Ale tam również czekał na nich kolejny Aiel, a wtedy padli bezwładnie na ziemię, szlochając i tuląc się do siebie, jakby się poddawali. Moiraine miała twarz chłodną i opanowaną, ale w jej oczach nie było śladu spokoju.

Rand odwrócił się w siodle. Rhuarc i Dhearic nadchodzili po stoku, w marszu odpinając zasłony i zdejmując *shoufy* z głów. Dhearic był nieco bardziej krępy od Rhuarka, miał wydatny nos, jego złote włosy znaczyły pasma siwizny. Przyprowadził Reyn Aiela, dokładnie tak jak to Rhuarc przewidział.

Timolan i jego Miagoma przez trzy dni podążali równolegle do trasy ich marszu, od północy, wymieniając od czasu do czasu wieści przez posłańców, ale nie zdradzając nawet śladu swych zamiarów. Codarra, Shiande i Daryne wciąż byli gdzieś na wschodzie, szli ich śladem, tego dowiedziały się Amys i pozostałe podczas rozmów w snach z ich Mądrymi, ale wędrowali powoli. Tamte Mądre nie miały większego pojęcia o zamiarach wodzów swoich klanów niżli Rand o intencjach Timolana.

— Czy to było konieczne? — zapytał, kiedy dwaj wodzowie podeszli bliżej. Najpierw sam postraszył trochę tych ludzi, ale miał ku temu powody, lecz nie chciał przecież, by myśleli, że zaraz zostaną zabici.

Rhuarc zwyczajnie wzruszył ramionami, Dhearic zaś powiedział:

— Niepostrzeżenie rozstawiliśmy włócznie wokół tego miejsca, jak sobie zażyczyłeś, ale wyglądało na to, że nie ma powodu dłużej czekać, skoro nie został nikt, kto byłby w stanie zatańczyć włócznię. Poza tym, to są tylko mordercy drzew.

Rand wciągnął głęboko powietrze. Zdawał sobie sprawę, że ta kwestia do pewnego stopnia może nastreczyć równie poważne problemy, jak poczynania Couladina. Blisko pięćset lat temu Aielowie podarowali Cairhienianom sadzonkę, odrósł *Avendesory* wraz z prawem, którego nie zyskał żaden inny naród — swobodnej przeprawy karawan kupieckich przez Ziemię Trzech Sfer do Shary. Nie podali żadnych powodów — ich stanowisko wobec mieszkańców mokradeł można było w najlepszym przypadku określić mianem obojętnej niechęci — ale postąpili zgodnie z wymaganiami *ji'e'toh*. Podczas trwającej wiele lat tułaczki, która w końcu przywiodła ich do Pustkowiec, tylko jeden lud ich nie zaatakował i pozwolił im swobodnie czerpać wodę z nielicznych pozostałych zbiorników, podczas gdy cały świat piekł się w żarze. Na koniec znaleźli wreszcie potomków tych

ludzi. Cairhienian.

Przez pięćset lat Cairhien bogaciło się dzięki napływającym doń jedwabiom i kości słoniowej. Pięćset lat *Avendoraldera* rosła w Cairhien. A potem król Lamana ściął drzewo, by zbudować sobie z niego tron. Narody wiedziały, dlaczego Aielowie dwadzieścia lat temu przeszli Grzbiet Świata — nazywano to Grzechem Lamana albo Pychą Lamana — ale mało kto wiedział, że dla Aielów to nie była wojna. Cztery kłany wyruszyły na poszukiwania tego, który złamał przysięgę, a kiedy został zabity, wrócili do Ziemi Trzech Sfer. Ale ich pogarda dla morderców drzew, dla wiarołomców, nigdy nie wygasła. Moiraine jako Aes Sedai zrezygnowała ze swego cairhieniańskiego rodowodu, ale Rand nigdy się nie dowiedział, do jakiego stopnia.

— Ci ludzie nie złamali żadnej przysięgi — oznajmił im. — Znajdźcie pozostałych, rymarz powiedział, że jest ich około setki. I postępujcie z nimi łagodnie. Zapewne wszyscy zmykają teraz w góry, jeżeli któryś z nich nas obserwował.

Aielowie już się odwracali, kiedy dodał jeszcze:

— Czy słyszeliście, co mi powiedzieli? Jakie jest wasze zdanie na temat tego, co Couladin tutaj zrobił?

— Zabili więcej, niż musieli — odrzekł Dhearic, z niesmakiem kręcąc głową. — Jak łasice w kurniku.

Zabijanie jest równie łatwe jak umieranie, powiadali Aielowie, każdego głupca na to stać.

— A o tej drugiej rzeczy? Że wzięli więźniów. *Gai'shain*.

Rhuarc i Dhearic wymienili spojrzenia, Dhearic zacisnął usta. Najwyraźniej słyszeli już i czuli się z tego powodu skrępowani. A trzeba było wiele zachodu, by Aielowie odczuwali skrępowanie.

— To niemożliwe — oznajmił na koniec Rhuarc. — Jeżeli to... *Gai'shain* to sprawa *ji'e'toh*. Nie można uczynić *gai'shain* z kogoś, kto nie przestrzega *ji'e'toh*, chyba że zrobili z nich ludzkie zwierzęta, takie same, jakie trzymają Shaarad.

— Couladin nie stosuje się już do wymogów *ji'e'toh* — Dhearic powiedział to w taki sposób, jakby mówił, że kamieniom wyrosły skrzydła.

Mat doprowadził Oczko bliżej wierzchowca Randa. Zawsze był najwyżej przyzwoitym jeźdźcem, ale ostatnimi czasy, zwłaszcza kiedy myślał o czymś innym, tak dosiadał konia, jakby urodził się w siodle.

— To was dziwi? — zapytał. — Po tym wszystkim, co już dotąd zrobił? Ten człowiek oszukałby własną matkę przy grze w kości.

Spojrzeli na niego oczyma pozbawionymi wyrazu, podobnymi do błękitnych kamieni. Z wielu względów *ji'e'toh* stanowiło samo serce natury Aielów. A cokolwiek jeszcze Couladin zrobił, w ich oczach był wciąż Aielem. Szczep przed klanem, klan przed obcymi, ale Aielowie przed mieszkańcami mokradeł.

Przyłączyły się do nich niektóre z Panien, Enaila i Jolien, Adelin oraz żyłasta, siwowłosa Sulin, która została wybrana panią Dachy Panien w Rhuidean. Powie-

działa Pannom, które tam zostały, że mają wybrać którąś z pozostałych, sama zaś poprowadziła Panny za Randem. Wyczuły panujący nastrój i nie powiedziały nic, tylko cierpliwie czekały, z grotami włóczni wbitymi w ziemię. Aielowie, jeśli tak chcieli, potrafili sprawić, że kamienie wyglądały na popędliwe.

Lan przerwał milczenie.

— Couladin mógł zostawić jakąś niespodziankę na przełęczy, jeśli spodziewał się, że za nim pójdziesz. Setka ludzi dałaby radę bronić niektórych tych przesmyków przeciwko całej armii. Tysiąc...

— A więc tu rozbijemy obóz — oznajmił Rand — i wyślemy zwiadowców, by przekonali się, czy droga jest wolna. *Duadhe Maahdi'in?*

— Poszukiwacze Wody — zgodził się Dheeric, wyraźnie zadowolony. To była jego społeczność, zanim został wodzem klanu.

Sulin i pozostałe Panny popatrzyły na Randa niezbyt przyjemnym wzrokiem, kiedy wódz Reyn schodził w dół po zboczach. Przez ostatnie trzy dni wybierał zwiadowców z innych społeczności, kiedy zaczął się obawiać tego, co zastanie tutaj, ale miał wrażenie, że one wiedzą, iż nie chodzi tylko o to, by pozostali wypełniali przypadającą na nich część obowiązków. Spróbował zignorować ich spojrzenia. Z Sulin było szczególnie trudno, ta kobieta mogłaby wbijać gwoździe spojrzeniem swoich jasnoniebieskich oczu.

— Rhurarc, kiedy odnajdą się ci, którzy przeżyli, dopatrz, by ich nakarmiono. I żeby ich dobrze traktowano. Zabierzemy ich ze sobą. — Jego wzrok przyciągnęły mury miasta. Niektórzy Aielowie strzelali już do kruków. Czasami Pomiot Cienia używał kruków i innych padlinożernych zwierząt jako szpiegów, Oczy Cienia, tak nazywali je Aielowie. Te akurat nie potrafiły przerwać swej potwornej uczty, dopóki nie padły na ziemię przeszyte strzałą, ale rozważny człowiek nie będzie ryzykował z krukami czy szczurami. — I zajmijcie się pogrzebaniem zabitych.

Przynajmniej w tej jednej sprawie słuszność i konieczność były tym samym.

DAR OSTRZA

Szybko przystąpili do rozbijania obozu u samego wejścia na Przełęcz Jangai, w pewnej odległości od Taien, rozciągał się wśród wzgórz otaczających dostęp do przełęczy, wśród rozproszonych kolczastych krzewów, a nawet na zboczach gór. Obóz był właściwie niewidoczny, wyjąwszy sam teren przełęczy, namioty Aielów stapały się z tłem kamienistej gleby tak dobrze, że można było łatwo je przeoczyć nawet wówczas, gdy wiedziało się, czego szukać i gdzie. Na wzgórzach Aielowie rozbili się zgodnie z przynależnością klanową, ale ci, którzy postawili namioty na przełęczy, zgrupowali się wedle społeczności. Głównie Panny, ale męskie społeczności również przysłały swoich przedstawicieli, każda po około pięćdziesięciu ludzi, których namioty wkrótce już stały wysoko ponad ruinami Taien w rozdzielonych nieznacznymi odstępami obozowiskach. Wszyscy rozumieli albo przynajmniej zdawali się rozumieć, że Panny strzegą honoru Randa, ale każda społeczność pragnęła bronić *Car'a'carna*.

Moiraine — oczywiście w towarzystwie Lana — poszła zająć się wozami Kadere, mieli rozbić swój obóz tuż pod miastem, Aes Sedai chuchała na zawartość wozów niemalże w takim samym stopniu, jak na Randa. Woźnice mruczeli, przeklinając odór dochodzący z ruin i unikali spoglądania w stronę Aielów odcinających ciała z murów, jednak po wielu miesiącach spędzonych w Pustkowiu, zdawali się zadowoleni nawet z obecności tych zgliszczy, które przynajmniej stanowiły choć pozostałość po cywilizacji.

Gai'shain wznosili namioty Mądrych — w których miały mieszkać Amys, Bair i Melaine — poniżej miasta, prosto na nie uczęszczanej drodze, która wiodła w góry. Rand nie miał najmniejszych wątpliwości, że zapytane powiedziałyby, iż wybrały to miejsce, aby łatwy dostęp do nich miał zarówno on, jak i niezliczone dziesiątki Mądrych obozujących poniżej, ale zapewne nie było to zbiegiem okoliczności, że każdy, kto przyszedłby doń ze wzgórz, musiałby albo obejść ich obóz, albo przejść przez niego. Zaskoczył go lekko jedynie widok Melaine kierującej poczynaniami postaci w białych szatach. Dopiero trzy dni temu wzięła ślub z Baelem, podczas ceremonii, za sprawą której stała się nie tylko jego żoną, lecz również pierwszą siostrą jego wcześniejszej żony, Dorindhy. Najwyraźniej ta część uroczystości była równie ważna jak małżeństwo, Aviendha byłaby wstrzą-

śnięta jego zdziwieniem, być może nawet zła.

Egwene przyjechała, wioząc za sobą Aviendhę na swej szarej klaczy, bufiaste spódnice miały zadarte nad kolana, wyglądały bardzo podobnie, wyjąwszy odmienny kolor włosów, oraz fakt, że Aviendha była o tyle wyższa, iż mogła swobodnie spoglądać Egwene przez ramię, obie nosiły też po jednej bransoletce z kości słoniowej i po jednym naszyjniku. Praca nad usuwaniem powieszonych ciał ledwie się rozpoczęła. Większość kruków została już jednak zabita, kupki czarnych piór zaścierały ziemię, ale sępy zbyt objedzone, by wznieść się w powietrze, wciąż spacerowały po popiołach miasta.

Rand żałował, że nie ma jakiegoś sposobu, by oszczędzić obu kobietom tego widoku, ale ku jego zaskoczeniu, żadnej bynajmniej nie zbierało się na mdłości. Cóż, tak naprawdę po Aviendzie nie mógł się tego spodziewać, widywała wszak śmierć dostatecznie często, toteż i ten widok nie przeraził jej, w jej wzroku nie było śladu emocji. Ale nie oczekiwał zwykłego współczucia w oczach Egwene, kiedy patrzyła, jak Aielowie odcinają szerniałe ciała.

Podprowadziła Mgłę do Jeade'ena i położyła Randowi dłoń na ramieniu.

— Tak mi strasznie przykro, Rand. Nie mogłeś temu zapobiec.

— Wiem — odpowiedział.

Nie wiedział nawet, że tutaj w ogóle jest jakieś miasto, dopóki Rhuarc przypadkowo nie wspomniał o nim przed pięcioma dniami — jego narady z wodzami dotyczyły głównie tego, czy nie da się wędrować szybciej, oraz co zamierza Coladin po przekroczeniu Jangai — a w tym czasie Shaido już przecież zdążyli je zniszczyć i odejść. Wszystko więc, co mógł zrobić, to tylko przekląć się za głupotę.

— Cóż, powinienesz po prostu o tym pamiętać. To nie była twoja wina. — Wbiła obcasy w boki swej klaczy i odjechała, zanim jeszcze znalazła się poza zasięgiem głosu, zaczęła mówić do Aviendhy: — Cieszę się, że tak dobrze to zniósł. Ma zwyczaj poczuwania się do winy za rzeczy, które i tak pozostają poza jego kontrolą.

— Mężczyźni zawsze wierzą, że kontrolują cały otaczający ich świat — odrzekła Aviendha. — Kiedy przekonują się, że jest inaczej, wydaje im się, że zawiedli, miast zrozumieć prostą prawdę, którą kobiety znają od dawna.

Egwene zachichotała.

— To jest prosta prawda. Kiedy zobaczyłam te ciała, spodziewałam się, że ujrzymy go, jak gdzieś wymiotuje.

— To on ma tak wrażliwy żołądek? Ja. . .

Głosy ścisły, gdy klacz oddaliła się na odpowiednią odległość. Rand wyprostował się w siodle, czuł, że się rumieni. Próbował je podsłuchiwać, zachował się niczym idiota. Nie przestał jednak dalej marszczyć brwi, kiedy tak patrzył w ślad za nimi. Przecież on przyjmował odpowiedzialność jedynie za to, co rzeczywiście było jego dziełem. Tylko za rzeczy, na które mógł mieć jakikolwiek wpływ.

I w związku z takimi sprawami, które powinien był rozwiązać. Nie podobało mu się, gdy tak o nim mówiły. Czy to za plecami, czy w jego obecności. Światłość jedna wie, o co im właściwie chodziło.

Zsiadł z konia i ruszył na poszukiwanie Asmodeana, który najwyraźniej gdzieś się zapodział. Po tylu dniach spędzonych w siodle dobrze było spacerować znowu po twardej ziemi. Wzdłuż przełęczy pojawiły się skupiska namiotów, zbocza górskie i urwiska stanowiły właściwie nieprzebyte. zapory, jednak Aielowie tak rozłożyli swe obozowiska, jakby się w każdej chwili spodziewali ataku. Wcześniej próbował maszerować wraz z nimi, ale wystarczyło pół dnia, by dał za wygraną i z powrotem znalazł się w siodle. Wystarczająco trudno było dotrzymać im kroku, jadąc konno, kiedy rzeczywiście narzucali ostre tempo, potrafili nieźle umęczyć wierzchowce.

Mat również zsiadł ze swego ogiera, przykucnął teraz na ziemi, z wodzami w jednej dłoni, swą włócznię o czarnym drzewcu ułożył sobie na kolanach i spoglądał przez otwarte na oścież bramy w głąb miasta, mamrocząc coś do siebie, podczas gdy Oczko próbował skubać kolczaste krzewy. Mat patrzył na miasto badawczo, a nie tylko zwyczajnie się przyglądał. Skąd mu się wzięła ta uwaga na temat wart? Ostatnimi czasy Mat często mówił różne dziwne rzeczy, zaczęło się to od momentu, gdy po raz pierwszy poszli razem do Rhuidean. Rand zdecydowanie wolałby, żeby przyjaciel podzielił się z nim opowieścią o tym, co się tam wydarzyło, ale tamten konsekwentnie utrzymywał, że nic się nie stało, skąd więc ta włócznia, medalion z głową lisa i blizna wokół szyi? Melindhra, Panna Shaido, z którą Mat ostatnio się zaprzyjaźnił, stała z boku, obserwując go, dopóki nie przyszła Sulin i nie zapędziła jej do jakiejś pracy. Rand zastanawiał się, czy Mat wie, że Panny robią zakłady o to, czy Melindhra porzuci dla niego włócznię, czy też nauczy go śpiewać. Jednak kiedy Rand pytał o znaczenie tego ostatniego zwrotu, śmiały się tylko.

Dźwięki muzyki doprowadziły go do Asmodeana, tamten siedział samotnie na granitowej odkrywce skalnej, trzymając harfę na kolanach. Szkarłatny sztandar stał wbity w kamienistą glebę, do jego drzewca przywiązany był muł.

— Sam widzisz, mój Lordzie Smoku — powiedział wesoło — twój chorąży lojalnie wypełnia swe obowiązki. — Nagle wyraz jego twarzy zmienił się, dodał innym już głosem: — Jeżeli musisz mieć coś takiego, dlaczego nie miałby go nosić Mat albo Lan? Względnie Moiraine, jeśli już o to chodzi? Byłaby szczęśliwa, mogąc dzierżyć sztandar i czyścić twoje buty. Uważaj na nią. To przebiegła kobieta. Kiedy kobieta powie, że będzie ci posłuszna i to z własnej woli, należy od tej chwili spać lekko i rozglądać się na boki.

— Nosisz sztandar, ponieważ zostałeś do tego wybrany, panie Jasinie Nataelu. — Asmodean wzdrygnął się i rozejrzał dookoła, chociaż znajdowali się z dala od wszystkich pozostałych, a nadto tamci byli zbyt zajęci swoją pracą, by słuchać. W każdym razie i tak nikt prócz nich dwu nie zrozumiałby ukrytego sensu słów.

— Co wiesz na temat tych ruin tuż pod linią śniegu? Muszą pochodzić z Wieku Legend.

Asmodean nawet nie spojrzął w kierunku szczytu.

— Ten świat jest w znacznej mierze różny od tego, w którym... położyłem się spać. — W jego głosie zabrzmiało zmęczenie, ciało zadrżało nieznacznie. — Cała moja wiedza na temat tego, gdzie co się znajduje, pochodzi z okresu po przebudzeniu.

Od strun jego harfy wzbily się żalosne dźwięki *Marsza Śmierci*.

— Ale wiem, że mogą to być pozostałości miasta, w którym się urodziłem. Shorelle było nadmorskim portem.

Słońce miało jeszcze jakąś godzinę do szczytów Grzbietu Świata, tak blisko gór noc zapadała wcześniej.

— Dzisiejszego wieczora jestem zbyt zmęczony na jedną z naszych dyskusji.

— Tak właśnie określali oficjalnie lekcje, których udzielał mu Asmodean, nawet jeśli nikogo nie było w pobliżu. Od momentu opuszczenia Rhuidean czas, jaki zajmowały mu te lekcje wraz z ćwiczeniami u Lana i Rhuarka, pozostawiał niewiele nocy na sen. — Kiedy odpoczniesz, weźmiesz go do swego namiotu, zobaczymy się rankiem. Razem ze sztandarem.

Naprawdę nie było nikogo, kto mógłby nosić tę przeklętą rzecz. Może uda się znaleźć kogoś w Cairhien.

Kiedy już się odwracał, by odejść, Asmodean szarpnięciem wydobył ze strun jakiś zgrzytliwy akord, po czym zapytał:

— Żadnych ognistych sieci wokół mojego namiotu dzisiejszej nocy? Czy na koniec zacząłeś mi ufać?

Rand spojrzął na niego przez ramię.

— Będę ufał ci jak bratu. Aż do dnia, kiedy mnie zdradzisz. Zostało ci przebaczone tamto, co zrobiłeś, w zamian za twe nauki, i na pewno jest to lepszy układ, niżli sobie zasłużyłeś, ale tego samego dnia, gdy zwrócisz się przeciwko mnie, podrę na strzępy naszą umowę i pogrzebię z twoim ciałem we wspólnej mogile. — Asmodean otworzył usta, lecz Rand uprzedził jego pytanie. — To mówię ja, Rand al'Thor. Ludzie z Dwu Rzek nie cierpią tych, którzy wbijają im nóż w plecy.

Zdenerwowany, sięgnął po wodze srokacza i odszedł, zanim tamten zdążył cokolwiek powiedzieć. Nie był pewien, czy Asmodean żywi jakieś podejrzenia, że od dawna martwy człowiek próbuje opanować jego duszę, ale jeśli nawet, to nie powinien sam dawać mu dodatkowych wskazówek. Przeklęty i tak był już absolutnie przekonany, iż jego sprawa jest przegrana, jeżeli zacznie podejrzewać, że Rand nie w pełni panuje nad swoim umysłem, że być może zaczyna owładać nim szaleństwo, opuści go w okamgnieniu, a trzeba się było jeszcze tyle przecież nauczyć.

Odziani w biel *gai'shain* wznosili jego namiot pod kierunkiem Aviendhy, głęboko w wejściu do przełęczy, dokładnie pod tym wielkim, wyrzeźbionym w zbo-

czu góry węzem. *Gai'shain* będą spać w swoich własnych namiotach, ale je oczywiście wzniosą dopiero na końcu. Adelin wraz z kilkunastoma Pannami przykucnęła w pobliżu, będą obserwować, strzec jego snu. Mimo iż każdej nocy otaczały go tysiące Panien, one nie rezygnowały z wart przy jego namiocie.

Zanim podszedł bliżej, przez *angreal* w kieszeni swego kaftana sięgnął po *saidina*. Oczywiście wcale nie musiał fizycznie dotykać figurki małego tłustego człowieczka z mieczem. Wypełniła go mieszanina słodczy i brudu, rwąca rzeka ognia, niszczycielska lawina lodu. Przeniósł, jak to robił każdej nocy od czasu opuszczenia Rhuidean i rozstawił zabezpieczenia wokół całego obozu, nie tylko tego w wejściu do przełęczy, ale również dookoła wszystkich namiotów na znajdujących się niżej wzgórzach, a także na górskich stokach. Potrzebował *angreala*, aby objąć zabezpieczeniami tak duży obszar, ale być może dałby sobie radę i bez niego. Już przedtem myślał, że jest silny, jednak dzięki naukom Asmodeana robił się z każdym dniem coraz silniejszy. Żaden człowiek ani zwierzę przechodzące przez linie tych zabezpieczeń niczego nie zauważy, jednak gdy tylko muśnie je choćby Pomiot Cienia, podniesie się takie larum, iż wszyscy w namiotach usłyszą. Gdyby zrobił to w Rhuidean, Psy Czarnego nigdy by się nie dostały niepostrzeżenie do środka.

Ewentualnymi ludzkimi wrogami zajmą się sami Aielowie. Zabezpieczenia wymagały skomplikowanych splotów, nawet jeśli bardzo wiotkich, próba zaś przystosowania ich do kilku różnych funkcji mogła się skończyć całkowitą ich bezużytecznością. Mógł tak spleść strumienie, by zamiast zwykłego ostrzeżenia od razu zabijały Pomiot Cienia, ale wówczas byłyby widoczne niczym boja w ciemnościach dla każdego Przeklętego, a także i dla Myrddraala. Nie było potrzeby kusić wroga, który być może nie wiedział, gdzie on się znajduje. Tych splotów Przeklęty nie zobaczy, nawet z bardzo bliska, a Myrddraal dopiero wówczas, kiedy już będzie za późno.

Wypuszczenie *saidina* było ćwiczeniem wzmacniającym samokontrolę, pomimo paskudztwa skazy, pomimo że Moc próbowała porwać go ze sobą niczym ziarno piasku na dnie rzeki, by spalić go, pochłonąć. Unosił się w ogromnej przestrzeni Pustki, a jednak potrafił wyczuć dokładnie, jak wiatr muska każdy włos na jego głowie, widział fakturę tkaniny, z której wykonano szaty *gai'shain*, wciągał w nozdrza ciepły zapach Aviendhy. Chciał więcej. Ale nie mógł nie czuć woni popiołów Taien, unoszącego się w powietrzu odoru spalenizny ciała już skremowanych, i gnicia tych, które jeszcze wisały na murach, a nawet tych, które już pogrzebano i których zapach mieszał się z suchą wonią gleby, gdzie znalazły schronienie. To pomogło. Przez chwilę po odejściu *saidina* mógł tylko głęboko oddychać gorącym, wyjałowionym powietrzem, w porównaniu z tym, co czuł poprzednio, powiew śmierci był w nim zupełnie nieobecny, samo zaś powietrze czyste i cudowne.

— Zobacz, co nas tutaj czekało — powiedziała Aviendha, gdy pozwolił kobie-

cie o pokornej twarzy, odzianej w białe szaty, odprowadzić Jeade'ena. Trzymała w dłoni brązowego węża, martwego, niemniej grubego jak jego ramię i długiego na trzy kroki. Był to wąż krwi, który swoją nazwę brał stąd, że w wyniku jego ukąszenia w ciągu kilku chwil cała krew w żyłach zamieniała się w galaretę. O ile się nie mylił, zgrabne cięcie tuż za głową było dziełem jej noża. Adelin i pozostałe Panny patrzyły na nią z aprobatą.

— Czy chociaż przez moment pomyślałaś, że on może cię ukąsić? — zapytał.
— Czy przyszło ci do głowy, żeby użyć Mocy zamiast tego przeklętego nożyka? Dlaczego właściwie nie pocałowałaś go przed śmiercią? Musiałaś być wystarczająco blisko.

Wyprostowała się, a w jej wielkich zielonych oczach zaślniła zapowiedź nocnego chłodu.

— Mądre powiadają, że nie należy zbyt często używać Mocy. — Wyraźnie akcentowane słowa wypowiedane były tonem równie zimnym jak jej spojrzenie. — Mówią, że można zaczerpnąć zbyt wiele i wyrządzić sobie krzywdę. — Marszcząc nieznacznie czoło, dodała, bardziej jednak do siebie: — Chociaż ja nie zbliżyłam się jeszcze do tego, co jestem w stanie przenieść. Nie mam wątpliwości.

Kręcąc głową, zanurkował do namiotu. Tej kobiecie nie da się nic wytłumaczyć.

Dopiero gdy rozmościł się na jedwabnej poduszce w pobliżu wciąż nie zapałonego ognia, wślizgnęła się za nim. Na szczęście bez trupa węża krwi, zamiast niego ostrożnie niosła jakiś długi pakunek owinięty w grube warstwy pasiastego szarego koca.

— Martwiłeś się o mnie — powiedziała pozbawionym wyrazu głosem. Na jej twarzy nie było śladu emocji.

— Oczywiście, że nie — skłamał.

„Głupia kobieta. Jeszcze kiedyś da się zabić, tylko dlatego, że nie ma pojęcia, kiedy należy zachować ostrożność”.

— Martwiłem się w takim samym stopniu, jak martwiłbym się o każdego innego. Nie chcę, by kogoś pokąsał wąż krwi.

Przez chwilę spoglądała na niego z powątpiewaniem, potem krótko skinęła głową.

— Dobrze. Dopóki to nie będzie się odnosić do mnie. — Rzuciła mu pod nogi zwinięty koc i przysiadła na piętach po przeciwnej stronie paleniska. — Nie przyjąłeś sprzączki jako daru anulującego mój dług. . .

— Aviendha, nie ma żadnego długu. — Sądził, że zdążyła już o tym zapomnieć. Jednak ona ciągnęła dalej, jakby w ogóle się nie odezwał:

— . . . więc być może przyjmiesz. to.

Wzdychając, rozwinął pasiasty koc — ostrożnie, zresztą już wcześniej trzymała go w dłoniach znacznie bardziej niepewnie niżli ciało węża: w istocie, węża zaś trzymała niczym sztukę odzieży — a gdy to zrobił, aż zaparło mu dech. Zo-

baczył miecz z, pochwą tak bogato wysadzaną rubinami i kamieniem księżycowym, że trudno było dojrzeć pod nimi złoto, wyjąwszy miejsca, gdzie wstawiono wschodzące słońce o licznych promieniach. Długa, dwuręczna rękojeść z kości słoniowej inkrustowana była jeszcze jednym złotym słońcem, masywna głowica aż puchła od rubinów i kamieni księżycowych, a kolejne otaczały jelec. Tego miecza nie przeznaczono do walki, tylko do oglądania. Do podziwiania.

— To musiało kosztować... Aviendha, w jaki sposób zdołałaś za niego zapłacić?

— Kosztował niedużo — powiedziała tonem, w którym było tyle chęci usprawiedliwienia się, że równie dobrze mogłaby na głos oznajmić, że to kłamstwo.

— Miecz. Skąd w ogóle zdobyłaś miecz? W jaki sposób Aiel mógłby w ogóle posiadać miecz? Nie powiesz mi chyba, że Kadere miał go gdzieś w swoich wozach.

— Niosłam go zawiniętego w koc. — W jej głosie usłyszał rozdrażnienie jeszcze bardziej wyraźne niż wówczas, gdy mówiła o cenie. — Nawet Bair powiedziała, że nic się nie stanie, pod warunkiem, iż go nie dotknę.

Wzruszyła niepewnie ramionami i poprawiła owijający ją szal.

— Ten miecz należał do mordercy drzew. Do Lamana. Został odjęty od jego pasa na dowód, że nie żyje, ponieważ głowa nie wytrzymałaby tak długiego transportu. Potem przechodził z rąk do rąk młodych mężczyzn i głupich Panien, które chciały posiadać dowód jego śmierci. Kolejni właściciele zastanawiali się, czym on jest, i niebawem sprzedawali go następnym głupcom. Od czasu jak pierwszy raz został sprzedany, cena mocno spadła. Żaden Aiel nie dotknie go ręką, nawet po to, by wyłupać kamienie.

— Cóż, jest bardzo piękny. — powiedział, tak taktownie jak go tylko było stać. Tylko prawdziwy bufon nosiłby coś tak zbytkownego. A ta rękojeść z kości słoniowej nie leżałaby pewnie w dłoni śliskiej od potu czy krwi. — Ale nie mogę ci pozwolić...

Urwał, gdy z nawyku obnażył kilka cali ostrza, aby sprawdzić głownię. W lśniącej stali wygrawerowano stojącą czapkę, symbol mistrza miecza. Kiedyś sam nosił broń z takim znakiem. Nagle poczuł, że gotów jest się założyć, iż to ostrze jest takie samo, jak tamto na włóczni Mata, naznaczone krukami, że zrobiono je z metalu poddanego obróbce Mocą, dzięki czemu nigdy nie potrzebowało ostrzenia i nigdy się nie łamało. Większość kling mistrzów miecza stanowiła jedynie kopie. Lan potrafiłby to stwierdzić ostatecznie, ale w głębi umysłu już miał pewność.

Wyciągnął miecz do końca z pochwy, potem pochylił się nad paleniskiem i położył ją przed Aviendhą.

— Przyjmę tę klingę jako spłatę długu, Aviendha. — Była długa, lekko zakrzywiona, jednostronna. — Tylko klingę. Rękojeść możesz też wziąć z powrotem.

Może sobie zrobić nową rękojeść i pochwę w Cairhien. Być może jeden z ocalałych z Taien okaże się przyzwoitym płatnerzem.

Patrzyła rozszerzonymi oczyma to na pochwę, to na niego, usta miała naprawdę rozdziawione, po raz pierwszy od czasu jak się poznali, wyglądała na zaszokowaną.

— Ale te klejnoty warte są o wiele więcej, niż ja... Próbujesz znowu wtrącić mnie w długi, Randzie al'Thor.

— Ależ wcale tak nie jest. — Jeżeli ta klinga spoczywała przez nikogo nie tkniętą i nie konserwowaną ponad dwadzieścia lat w swej pochwie, musiała być tym, co podejrzewał. — Nie przyjąłem pochwy, a więc nadal jest twoją własnością.

Podrzucił jedną z poduszek w górę i wykonał formę zwaną Lekkim Podmuchem Wiatru, spadł na nich deszcz pierza, gdy klinga przecięła poduszkę na pół.

— I nie przyjąłem również rękojeści, więc również jest twoja. Jeżeli chcesz ją sprzedać z zyskiem, twoja sprawa.

Zamiast okazać radość spowodowaną nagłym uśmiechem losu — podejrzewał, że za miecz musiała oddać wszystko, co posiadała, a co zapewne zwróci jej się po stokroć dzięki sprzedaży pochwy — zamiast wyglądać chociażby na zadowoloną, czy też wdzięczną, patrzyła przez spływający na nich deszcz pierza z taką obrazą, jaką okazywałyby każda dobra gospodyni w Dwu Rzekach na widok tego, że śmieją jej na podłogę. Sztywno zaklaskała u. dłonie, a natychmiast pojawił się jeden z *gai'shain* i na kolanach zaczął sprzątać bałagan.

— To jest mój namiot — powiedział znacząco. Aviendha parsknęła, idealnie naśladowując Egwene. Te kobiety zdecydowanie zbyt dużo czasu spędzały razem.

Było już całkowicie ciemno, kiedy wreszcie zasiadł do kolacji, składającej się ze zwykłego jasnego chleba oraz przyprawionego mocno suszonym pieprzem gulaszu z fasoli i kawałków białego mięsa. Tylko uśmiechnął się do niej szeroko, gdy poinformowała go że je węża krwi. *Gara* — jadowita jaszczurka — jego zdaniem była najgorsza, nawet niekoniecznie pod względem smaku, którym przypominała kurczaka, ale dlatego, że była jaszczurką. Czasami wydawało mu się, że w Pustkowiu musi być więcej jadowitych stworzeń — węży, jaszczurek, pajaków, spotykało się nawet trujące rośliny — niżli w reszcie świata.

Aviendha, po której raczej trudno było stwierdzić, co sobie w głębi ducha myśli, tym razem zdawała się rozczarowana, że natychmiast nie wypluł gulaszu. Czasami wyglądało na to, że zbijanie go z tropu sprawia jej wielką radość. Gdyby spróbował udawać, iż jest Aielem, na pewno ze wszystkich sił starałaby się dowieść, że jest dokładnie odwrotnie.

Zmęczony i senny zdjął jedynie kaftan i zzuł buty, zanim wpełzł pod koce, potem odwrócił się plecami do Aviendhy. Aielowie mogli się razem kąpać w łaźniach parowych, mężczyźni i kobiety, ale krótki czas spędzony w Shienarze, gdzie postępowano podobnie, upewnił go, że obyczaje te pozostaną mu na zawsze obce,

robił się za każdym razem tak czerwony na twarzy, że chyba wolałby umrzeć niżli przeżywać ponownie coś takiego. Próbował nie słuchać szelestu zdejmowanej odzieży, dochodzącego spod jej koca. Przynajmniej tyle miała w sobie skromności, niemniej na wszelki wypadek wołał się odwrócić plecami.

Utrzymywała, że powinna spać w jego namiocie, ponieważ oczekuje się od niej, iż będzie nadal uczyła go o obyczajach Aielów, a przecież większość dnia spędzał z wodzami. Oboje wiedzieli, że to kłamstwo, chociaż nie potrafił sobie wyobrazić, co Mądre chciały w ten sposób uzyskać. Rozbierając się, mruczała chwilami do siebie, kiedy zaczęła się o coś, i mamrotała pod nosem.

Nie chciał słuchać tych odgłosów i domyslać się, co oznaczają, więc powiedział:

— Ślub Melaine był doprawdy imponujący. Czy Bael naprawdę nic nie wiedział, dopóki Melaine i Dorindha mu nie powiedziały?

— Oczywiście, że nie — odrzekła pogardliwie, przerywając, by, jak mu się wydawało, ściągnąć pończochy. — Skąd miał to wiedzieć, zanim Melaine położyła u jego stóp swój ślubny wianek i zapytała go? — Nagle zaśmiała się. — Melaine niemalże do szaleństwa doprowadziła siebie i Dorindhę, poszukując kwiatów *segade* na wianek. Niewiele ich rośnie tak blisko Muru Smoka.

— Czy to oznacza coś szczególnego? Kwiecie *segade*? — To właśnie jej kiedyś wysłał kwiaty, których nie przyjęła.

— Że ona ma drażliwą naturę i nie zamierza z tego rezygnować. — Kolejna przerwa wypełniona pomrukami. — Gdyby użyła liści lub kwiatów słodkiego korzenia, oznaczałoby to, iż jej charakter jest słodki. Poranna łza oznaczałaby, że będzie uległa, a... Jest tego zbyt dużo, by wymienić wszystkie. Potrzebowałbyś wielu dni na nauczenie się wszelkich kombinacji, a przecież ta wiedza wcale nie jest ci potrzebna. Nie będziesz miał żony z Aielów. Należysz do Elayne.

Omali nie spojrział na nią, kiedy użyła słowa „uległa”. Nie umiał wyobrazić sobie kobiety Aielów, którą dałoby się określić tym mianem.

„Przypuszczalnie oznacza to, że możesz się spodziewać ostrzeżenia, zanim ugodzi cię nożem”.

Słowa, które kończyły ostatnie zdanie, były nieco przytłumione. Zrozumiał, że Aviendha ściąga właśnie bluzkę przez głowę. Żałował, że lampy wciąż się pała. Nie, wtedy byłoby jeszcze gorzej. Ale mimo to każdej nocy, odkąd opuścili Rhuidean, musiał przechodzić przez to samo i przeżywać podobne katusze. Trzeba położyć temu kres. Od tej chwili ta kobieta będzie spała z Mądrymi, tam gdzie jest jej miejsce, a uczyć się od niej może przy innych okazjach. Dokładnie to samo myślał już od piętnastu nocy.

Próbując wygnać obrazy nachodzące jego myśli, powiedział:

— Ten fragment na końcu. Po tym, jak już wypowiedziano przysięgi.

Sześć Mądrych wyrzekło swe błogosławieństwa dopiero wtedy, gdy stu krewnych Melaine otoczyło ją z włóczniami w dłoniach, to samo spotkało Baela, mu-

siał wywalczyć sobie do niej dostęp. Nikt oczywiście nie miał na twarzy zasłony — wszystko stanowiło część obyczajów — ale po obu stronach poląła się krew.

— Kilka minut wcześniej Melaine przysięgała, że go kocha, ale kiedy chciał ją objąć, walczyła niczym przyparty do ściany górski kot. — Gdyby Dorindha nie biła jej po żebrach, być może Baelowi w ogóle nie udało się przerzucić jej przez ramię i unieść z miejsca, gdzie odbywała się ceremonia. Wciąż jeszcze kuleje i ma podbite oko.

— Czy miała zachowywać się jak słabeuszka? — zapytała, na wpół już śpiąc, Aviendha. — Powinien znać jej wartość. Nie jest żadnym świecidełkiem, które mógłby schować sobie do kieszeni.

Ziewnęła głośno, on zaś usłyszał, jak głębiej zagrzebuje się pod koce.

— Co oznacza „uczenie mężczyzny śpiewu”?

Mężczyźni Aielów śpiewali dopiero wtedy, gdy byli już za starzy, by wziąć włócznię do ręki, wyjątek stanowiły pieśni bojowe i lamentacje po zmarłych.

— Myślisz o Macie Cauthonie? — Naprawdę zachichotała. — Czasami mężczyzna porzuca włócznię dla Panny.

— Coś chyba zmyślasz. Nigdy o czymś takim nie słyszałem.

— Cóż, nie polega to na prawdziwym porzuceniu włóczni. — W jej głosie brzmiało już otępiłe zmęczenie. — Czasami mężczyzna pragnie Panny, która nie zechce dla niego porzucić włóczni, wtedy aranżuje sytuację tak, by zostać jej *gai'shain*. Oczywiście jest to głupota. Żadna Panna nie spojrzy na *gai'shain* w taki sposób, jak tamten by tego pragnął. Pracuje potem ciężko i trzymany jest krótko, pierwszą zaś rzeczą, jaka go czeka, to nauka śpiewu, by zabawiał siostry włóczni podczas jedzenia. „Ona będzie go uczyć śpiewu”. Tak mówią Panny, kiedy mężczyzna traci głowę dla jednej z sióstr włóczni. Bardzo dziwni ludzie.

— Aviendha? — Obiecał, że już nigdy nie zapyta o to ponownie. Lan powiedział, iż jest to robota Kandori, wzór zwany śnieżnymi płatkami. Prawdopodobnie łup z jakiegoś rajdu na północ. — Kto dał ci ten naszyjnik?

— Przyjaciół, Randzie al'Thor. Przebyliśmy dzisiaj długą drogę i kazałeś nam wstać wcześniej. Śpij, abyś mógł się przebudzić, Randzie al'Thor. — Tylko Aielowie życzyli sobie dobrej nocy, wyrażając jednocześnie nadzieję, że nie umrzesz we śnie.

Nałożył znacznie mniejsze, ale też bardziej złożone zabezpieczenia na swoje sny, po czym przeniósł strumyk Mocy, by zgasić lampy i spróbował zasnąć. Przyjaciół. Reyn nadeszli z północy. Ale ten naszyjnik miała już w Rhuidean. Dlaczego w ogóle go to interesuje? Wolny oddech Aviendhy rozbrzmiewał głośno w jego uszach, dopóki wreszcie nie zapadł w sen, a potem śniło mu się, jak Min i Elayne pomagają mu przerzucić Aviendhę, ubraną jedynie w naszyjnik, przez ramię, ona zaś bije go po głowie wiązką kwiecica *segade*.

OKRZYK PTAKA WŚRÓD NOCY

Mat leżał z zamkniętymi oczami i rozkoszował się dotykiem kciuków Melindhry wędrujących w dół po jego kręgosłupie. Nic nie było równie przyjemne jak masaż po długim dniu spędzonym w siodle. Cóż, po prawdzie to istniały rzeczy przyjemniejsze, ale w tej chwili miał ochotę poprzestać wyłącznie na jej dłoniach.

— Jesteś dobrze umięśniony jak na tak niskiego mężczyznę, Macie Cauthon.

Otworzył jedno oko i spojrzął na nią, siedziała na nim okrakiem. Rozpaliła ogień dwukrotnie większy, niżli to było konieczne i teraz pot ściekał po jej ciele. Jej piękne złote włosy były krótko przycięte, wyjąwszy charakterystyczny dla Aielów kosmyk u nasady karku, i przylegały ściśle do czaszki.

— Jeżeli jestem dla ciebie za niski, zawsze możesz poszukać kogoś innego.

— Mnie się taki podobasz — zaśmiała się, czochrając mu włosy. Były dłuższe niż jej. — I jesteś milutki. Rozluźnij się. Na nic się to nie zda, jeśli będziesz się napinał.

Jęknął i na powrót zamknął oczy. Milutki?

„Światłości!”

I niski. Tylko w oczach Aielów mógł uchodzić za niskiego. W każdym innym kraju, we wszystkich, jakie dotąd odwiedził, był wyższy od większości mężczyzn, choć czasem tylko nieznacznie. Pamiętał czasy, kiedy był wysoki. Wyższy od Randa, gdy wyruszał przeciwko Arturowi Hawkwingowi. I jak był o dłoń niższy niż teraz, gdy walczył u boku Maecine przeciwko Aelgari. Rozmawiał na ten temat z Lanem, twierdząc, że imiona te gdzieś przypadkowo wpadły mu w ucho, Strażnik poinformował go, że Maecine był królem Eharon, jednego z Dziesięciu Narodów — tyle Mat już sam wiedział — jakieś czterysta lub pięćset lat przed Wojnami z Trollokami. Lan wątpił, by nawet Brązowe Ajah wiedziały więcej, tyle zostało zatraczone podczas Wojen z Trollokami, jeszcze więcej podczas Wojny Stu Lat. Takie były najwcześniejsze i najmłodsze wspomnienia, jakie zostały mu wtłoczone do głowy. Nic z czasów po Arturze Paendragu Tanreallu i nic sprzed Maecine z Eharon.

— Zimno ci? — zapytała z niedowierzaniem Melindhra. — Drżysz.

Zeszła z niego i usłyszał, jak dorzuca drew do ognia, w tym miejscu chrustu było pod dostatkiem. Dała mu mocnego klapsa, kiedy weszła z powrotem na koc

i wymruczała:

— Silne mięśnie.

— Rób tak dalej — wymamrotał — a pomyślę, że masz zamiar upiec mnie na kolację niczym trollok.

Nie chodziło o to, żeby mu nie było dobrze z Melindhra — przynajmniej dopóki powstrzymywała się od wytykania, że jest odeń wyższa — ale zaczynał się czuć już trochę niewygodnie w tej sytuacji.

— Nie będę cię piekła, Matrimie Cauthon. — Jej kciuki mocno zagłębiły się w jego ramionach. — Teraz dobrze. Rozluźnij się.

Zakładał, że któregoś dnia się ożeni i osiadzie na stałe w jednym miejscu. Tak właśnie zazwyczaj postępowali ludzie. Kobieta, dom, rodzina. Przykuty do jednego miejsca na resztę swego życia.

„Nigdy nie słyszałem o żonie, która by lubiła, jak jej mąż pije i gra”.

A jeszcze było to, co powiedzieli ci ludzie po drugiej stronie drzwi, będących *ter'angrealem*. Że przeznaczone mu jest „poślubić Córkę Dziewięciu Księżyców”.

„Przypuszczam, że mężczyzna musi się wcześniej czy później ożenić”.

Z pewnością jednak nie miał zamiaru brać sobie żony spośród Aielów. Miał ochotę tańczyć z tak dużą ilością kobiet, jak się da i dopóki się da.

— Myślę, że nie jesteś przeznaczony do pieczenia na rożnie, ale do wielkich zaszczytów — powiedziała cicho Melindhra.

— To brzmi nieźle.

Tylko że teraz nie potrafił sprawić, by inna kobieta choć spojrzała na niego, czy to Panna, czy któraś z pozostałych. Tak jakby Melindhra zawiesiła na nim wielką tablicę z napisem WŁASNOŚĆ MELINDHRY Z JUMAI SHAIIDO. No może dwa ostatnie słowa by się na niej nie znalazły. A jednak któż może wiedzieć, do czego zdolne są kobiety Aielów, a w szczególności Panna Włóczni? Kobiety rozumowały inaczej niż mężczyźni, kobiety Aielów zaś rozumowały inaczej niż ktokolwiek na świecie.

— To dziwne, że do takiego stopnia pomniejszasz swoją wartość.

— Pomniejszam swoją wartość? — wymamrotał. Jej dłonie naprawdę przynosiły ukojenie, znikały splątane węzły mięśni, o których nawet nie wiedział. — W jaki sposób?

Zastanawiał się, czy to ma coś wspólnego z naszyjnikiem. Melindhra wyraźnie przypisywała mu wielką wagę, a przynajmniej samemu faktowi ofiarowania. Rzecz jasna, nie nosiła go. Panny nie nosiły biżuterii. Ale miała go w swej sakwie i pokazywała każdej kobiecie, która o to poprosiła.

— Sam stawiasz się w cieniu Randa al'Thora.

— Nie stawiam się w niczym cieniu — powiedział z roztargnieniem.

To nie może chodzić o naszyjnik. Dawał przecież biżuterię również innym kobietom, także Pannom, lubił ofiarowywać prezenty pięknym dziewczynom, nawet

jeśli w zamian otrzymywał tylko uśmiech. Nigdy nie, oczekiwał niczego więcej. Jeżeli kobieta nie lubi się całować i przytulać w takim stopniu jak on, to jaki ma to sens?

— Oczywiście pozostawanie w cieniu *Car'a'carna* to swoisty zaszczyt. Chcąc być blisko potężnych, musisz stać w ich cieniu.

— Cieniu — zgodził się Mat, nawet nie słysząc tego, co powiedziała.

Czasami kobiety przyjmowały jego podarunki, czasami nie, żadna jednak nie deklарowała, że go zdobędzie. To naprawdę przepajało go goryczą. Nie miał zamiaru pozwolić, by posiadała go jakakolwiek kobieta, nieważne jak piękna. I niezależnie od tego, jak zręcznie rozluźniała dłońmi węzły splątanych mięśni.

— Twoje blizny powinny być bliznami honoru zdobytymi we własnym imieniu, nie zaś takimi jak ta. — Palcem przesunęła po wisielczej bliźnie otaczającej jego szyję. — Czy otrzymałeś ją w służbie *Car'a'carna*?

Strząsnął jej dłoń z pleców, uniósł się na łokciach i odwrócił głowę, by na nią spojrzeć.

— Czy jesteś pewna, że „Córka Dziewięciu Księżyców” nic dla ciebie nie znaczy?

— Już ci powiedziałam, że nie. Połóż się.

— Jeżeli mnie okłamujesz, przysięgam, iż spuszczę ci lanie.

Wsparła dłoń na biodrach i spojrzała na niego groźnie.

— Czy sądzisz, że jesteś w stanie... spuścić mi lanie, Matrimie Cauthon?

— Przynajmniej spróbuję. — Prawdopodobnie mogłaby przedziurawić mu żebra włócznią. — Przysięgasz, że nigdy nie słyszałaś o Córce Dziewięciu Księżyców?

— Nigdy w życiu — oznajmiła powoli. — Kim ona jest? Albo czym? Połóż się i pozwól mi...

Nagle rozległ się śpiew kosa, zdawał się dobiegać zewsząd, jakby ptak śpiewał w samym namiocie, a także na zewnątrz, po chwili zaśpiewał drozd. Dobre ptaki z Dwu Rzek. Rand wybrał do swych zabezpieczeń głosy tych, które zgodnie z jego wiedzą nie występowały w Pustkowiu.

W jednej chwili Melindhra zeskoczyła z niego, owinęła *shoufę* wokół głowy i pochwywszy tarczę oraz włócznię, zasłoniła twarz. I w takim stanie wyskoczyła z namiotu.

— Krew i popioły! — mamrotał Mat, wbijając się w spódnie. Drozd oznaczał południe. On i Melindhra rozbili swój namiot na południu wraz z Chareen, tak daleko od Randa, jak się tylko dało, nie opuszczając jednocześnie obozowiska. Ale nie miał zamiaru śladem Melindhry wybiegać w te kolczaste krzewy nago. Kos oznaczał północ, gdzie rozbili obóz Shaarad, tamci nadeszli z dwóch stron naraz.

Wzwał buty i spojrzał na srebrną głowę lisa leżącą obok koców. Na zewnątrz rozbrzmiewały już krzyki, metal szczerkał o metal. W końcu wreszcie udało mu

się zrozumieć, że to ten medalion w jakiś sposób nie pozwolił Moiraine Uzdrowić go, kiedy próbowała za pierwszym razem. Dopóki jego skóra miała z nim kontakt, Moc nie oddziaływała na niego. Nigdy nie słyszał o Pomioście Cienia zdolnym do przenoszenia, ale przecież były te Czarne Ajah — tak powiedział Rand, a on mu wierzył — i zawsze istniała szansa, że jeden z Przeklętych w końcu przyszedł po Randa. Założył skórzany rzemień na szyję, tak że medalion spoczął na jego piersi, porwał swoją włócznię naznaczoną sylwetkami kruków i wypełził w oświetloną księżycową poświatą zimną noc.

Nie zdążył nawet poczuć dojmującego chłodu. Jeszcze nie wylażł z namiotu do końca, a już omal nie stracił głowy pod wygiętym niczym ostrze kosy mieczem trolloka. Padł na twarz, ostrze musnęło mu włosy, przetoczył się i stanął na nogach z włócznią gotową do ciosu.

Na pierwszy rzut oka, w tych ciemnościach trollok mógł ująć za zwałistego mężczyznę, wysokiego jak półtora Aiel, odzianego w czarną kolczugę z kolcami wokół ramion i łokci, z hełmem, do którego przyczepiono rogi kozła. Ale w istocie rogi te wyrastały z nazbyt ludzkiej czaszki, a pod oczyma sterczał koźli pysk.

Trollok rzucił się na niego z obnażonymi zębami i zawył. Mat zakreślił włócznią niby pałą, odbił w bok ciężkie, wygięte ostrze i przeszył korpus stworza, kolczuga rozstała się pod wykutą Mocą stałą równie łatwo jak ciało, które przykrywała. Trollok o koźlim pysku zawył dziko, zwierzęco, a Mat wyrwał swą broń z jego cielska i odskoczył na bok, kiedy tamten padał.

Zewsząd otaczali go Aielowie, niektórzy ubrani jedynie do połowy, ale wszyscy z czarnymi zasłonami na twarzach, walczyli z trollokami — w mroku lśniły wygięte kły dzików, migotały wilcze pyski lub orle dzioby, w łapach fruwały te dziwne wygięte miecze, topory z kolcami po przeciwnej stronie ostrza, trójzęby i włocznie. Tu i tam niektóre używały potężnych łuków, aby wystrzeliwać strzały o haczykowatych grotach, wielkie niczym włocznie. Wraz z trollokami walczyli również ludzie, w złachmanionych kaftanach, z mieczami w dłoniach, krzyczeli rozpaczliwie, gdy przychodziło im umierać pośród cierni.

— Sammael!

— Sammael i Złote Pszczoły!

Sprzymierzeńcy Ciemności padali właściwie od razu, gdy starli się z Aielami, ale trolloki umierały wolniej.

— Nie jestem żadnym przeklętym bohaterem! — Wrzasnął Mat, kierując swój okrzyk w przestrzeń, kiedy starł się z trollokiem o pysku niedźwiedzia i włocho-tych uszach, ten był już jego trzecim. Stwór posługiwał się toporem o długim stylisku zakończonym błyszczącym ostrzem, dość wielkim, by nim rozłupać drzewo — niczym zabawkę podrzucał go w swych potężnych, owłosionych dłoniach. To przebywanie blisko Randa było przyczyną tych wszystkich kłopotów. A on chciał od życia tylko kubka dobrego wina, gry w kości i kilku ładnych dziewczyn.

— Nie chcę się w to więcej mieszać! — Zwłaszcza gdy Sammael jest gdzieś

w pobliżu. — Słyszysz mnie?

Trollok padł z rozciętym gardłem, a wtedy okazało się, że stoi przed nim Myrddraal, który dopiero co zabił dwóch Aielów. Półczłowiek wyglądał jak mężczyzna, biały niczym mąka, w czarnej zbroi z nachodzących na siebie łusek, przypominającej skórę węża. Poruszał się również jak wąż, zwinnie, jakby nie miał kości, płynny i szybki, czarny niczym noc płaszcz wisiał na nim nieruchomo, niezależnie od gwałtowności ruchów. I nie miał oczu. Tylko śmiertelnie białą fałdę skóry w miejscu, gdzie powinny się znajdować.

To bezokie spojrzenie zwróciło się na niego, a wtedy zdrzął, strach zmroził mu krew w żyłach.

— Spojrzenie Bezokiego to strach — powiadali w Ziemiach Granicznych, a tam się powinni na tym znać, zresztą nawet Aielowie przyznawali, że wzrok Myrddraala przenika mrozem aż do szpiku kości. To była najważniejsza broń potwora. Półczłowiek zdawał się płynąć nad ziemią, kiedy ruszał na niego.

Mat skoczył mu na spotkanie, głośno krzycząc, włócznia wirowała mu w dłoniach niczym pałka, jakby napędzana własną mocą. Potwór miał w rękę klingę czarną jak płaszcz, miecz wykuty w kuźniach Thakan'dar, gdyby choć zadrasnął go tym ostrzem, byłoby właściwie po nim, chyba żeby Moiraine udało się go szybko Uzdrowić. Ale istniał tylko jeden pewny sposób, by zwyciężyć Pomora. Ciągły atak. Trzeba go pokonać, zanim on pokona ciebie, a najłżejsza choćby myśl o obronie może być już zaproszeniem skierowanym do własnej śmierci. Nie mógł nawet kątem oka dostrzec bitwy, która gorzała wokół.

Ostrze Myrddraala zamigotało niczym język węża, skoczyło naprzód jak czarna błyskawica, ale tylko po to, by powstrzymać atak Mata. Kiedy naznaczona krukami, wykuta w ogniu Mocy stal spotkała się z metalem wytopionym w Thakan'dar, wokół posypały się jasnoblękitne skry, rozległ się trzask wyładowań.

Nagle wściekły atak Mata napotkał ciało. Czarny miecz wraz z trzymającą go bladą dłonią poleciał w bok, kolejny zaś cios otworzył gardło Myrddraala, Mat jednak nie przestał na tym. Pchnął w serce, podciął jedno ścięgno kolanowe, potem drugie, wszystko właściwie w kolejnych, następujących po sobie ruchach. Dopiero wówczas odsunął się na bok od istoty, która wciąż szarpała się, wijąc na ziemi, drapiąc grunt jedną dłonią i kikutem drugiej, z ran spływała atramentowa krew. Półludziom dużo czasu zabierało poddanie się śmierci, walczyli o życie aż do nadejścia świtu.

Mat rozejrzał się dookoła i stwierdził, że atak właściwie już się skończył. Ci Sprzymierzeńcy Ciemności czy trolloki, którzy nie padli, uciekli, przynajmniej nie widział żadnych stojących sylwetek oprócz Aielów. Niektórzy z nich również leżeli na ziemi. Zdarł chusteczkę z karku zabitego Sprzymierzeńca Ciemności i otarł krew Myrddraala z ostrza swej włóczni. Gdyby została na nim zbyt długo, mogłaby nadeźreć metal.

Ten nocny napad nie miał najmniejszego sensu. Wnioskując z ciał, których

liczbę mógł oszacować w księżycowej poświacie, zarówno ludzkich, jak trolloków, żaden z napastników nie przedarł się choćby za pierwszą linię namiotów. I nawet ze znacznie większymi siłami nie mogliby liczyć na wiele więcej.

— Co to była, co krzyczałeś? Coś tam *carai*. Dawna Mowa?

Obejrzał się i spojrzał w twarz Melindrze. Odpięła już zasłonę, ale wciąż nie miała na sobie nic prócz *shoufy*. Wokół mógł dostrzec inne Panny, a także mężczyzn, mających na sobie równie niewiele, i troszczących się o to w takim samym stopniu. Nie mieli w sobie ani odrobiny skromności, to było to. Żadnej skromności. Ona nawet zdawała się nie czuć panującego zimna, chociaż przy każdym oddechu z jej ust wydobywała się para. Był równie spocony jak ona, ale teraz, kiedy walka o życie już go nie pochłaniała, marzył.

— Coś, co kiedyś słyszałem — poinformował ją. — Lubię dźwięk tych słów.

Carai an Caldazar! Za honor Czerwonego Orła. Bitewne zawołanie Manetheren. Większość jego wspomnień pochodziła z Manetheren. Niektóre z nich nawiedzały go jeszcze, zanim przestąpił tamte wykoślawione drzwi. Moiraine mówiła, że to zew Dawnej Krwi dobywa się z niego. Wszystko dobrze, dopóki nie zaczniesz dobywać się zeń jego własna krew.

Otoczyła ręką jego ramiona, gdy tylko ruszył do namiotu. — Widziałam, jak walczyłeś z Jeźdźcem Nocy, Macie Cauthon. — To było jedno z imion, nadane Myrddraalom przez Aielów. — Jesteś tak wysoki, jak powinien być mężczyzna.

Uśmiechnął się i objął ją w talii, ale nie potrafił wyrzucić tego ataku ze swojej głowy. Pragnął — jego myśli były nazbyt uwikłane w te niechciane wspomnienia — ale nie potrafił. Dlaczego ktoś miałby się porywać na tak beznadziejny szturm? Tylko głupiec napada bez powodu przeważające siły. To była myśl, której nie potrafił odegnąć. Nikt nie atakuje bez powodu.

* * *

Słyszac wołanie ptaków, Rand obudził się natychmiast, a kiedy odrzucił koce, pochwycił *saidina* i wybiegł na dwór, bez kaftana, bez butów. Noc była zimna, rozświetlona księżycową poświatą, odległe odgłosy bitwy dobiegały ze wzgórz położonych poniżej wejścia do przełęczy. Wokół niego Aielowie kłębili się niczym mrówki, biegnąc w noc ku miejscu, skąd również mógł nadejść atak. Ale wówczas przecież zabezpieczenia zadziałają ponownie — Pomiot Cienia na przełęczy sprowokuje okrzyk zięby — dopóki ich nie zdejmie rankiem, nie było jednak powodu, by głupio ryzykować.

Wkrótce na przełęczy na powrót zapanowała cisza, *gai'shain* wrócili do swych namiotów, nawet teraz nie mieli prawa wziąć do ręki broni, pozostali Aielowie

obsadzili miejsca, które mogły zostać zaatakowane. Nawet Adelin odeszła wraz z pozostałymi Pannami, jakby wiedziała, że je zatrzyma, jeśli zaczekają. Słyszał niewyraźne pomruki dobiegające od strony wozów stojących blisko murów miasta, ale ani woźnice, ani Kadere się nie pokazali, zresztą wcale się tego po nich nie spodziewał. Dalekie odgłosy bitwy — krzyki, wrzaski, jęki umierających — dochodziły z dwu miejsc. Oba znajdowały się niżej, ale dość daleko od niego. Ludzie skupili się również wokół namiotów Mądrych, wychodziło na to, że przyglądali się odległej bitwie.

Atak na obóz położony niżej nie miał najmniejszego sensu. To nie mogli być Miagoma, chyba że Timolan przyjął Pomiot Cienia do swego klanu, ale było to równie prawdopodobne, jak Białe Płaszczce werbujący trolloki. Odwrócił się, chcąc wrócić do namiotu, i wtedy, choć otoczony Pustką, zadrżał.

Aviendha wyszła na zalaną poświatą księżycową noc, owinęła się kocem. Tuż za nią stał wysoki mężczyzna otulony ciemnym płaszczem, cienie tańczyły na wychudzonej twarzy, zbyt bladej, o nazbyt wielkich oczach. Rozległ się jękliwy zaśpiew, a płaszcz rozwinął się w szerokie skórzaste skrzydła niby u nietoperza. Ruszając się niczym we śnie, Aviendha szła bezwolnie ku oczekującym ją objęciom.

Rand przeniósł i cienka na palec pręga ognia stosu, strzała stężałego światła, przemknęła obok Aviendhy, trafiając Draghkara w głowę. Skutek działania wąskiej strugi płomienia był wolniejszy, ale równie pewny jak podczas napaści Psów Czarnego. Stwór rozjarzył się negatywami swych barw, to co ciemne stało się jasne, to co jasne było teraz ciemne, a po chwili tylko płaty sadzy niczym śmy fruwały w powietrzu.

Aviendha potrząsnęła głową, gdy jęklive zawroźnienie umilkło, spojrzała na znikające części ciała monstrem i odwróciła się w stronę Randa, ciaśniej owijając się kocem. Uniosła dłoń, a strumień ognia o średnicy większej niż przekrój ludzkiej głowy runął w jego stronę.

Śmiertelnie zaskoczony, mimo spowijającej go Pustki nawet nie pomyślał o Mocy, rzucił się tylko na ziemię, chcąc uniknąć falujących płomieni. Zgasły w jednej chwili.

— Co ty wyprawiasz? — warknął na poły wściekły, na poły wstrząśnięty, do tego stopnia, że granice Pustki pękły, a *saidin* wyrwał się z jego uchwytu. Niezdarnie wstał i ruszył w jej stronę. — To przewyższa wszelką niewdzięczność, o jakiej kiedykolwiek słyszałem!

Miał zamiar potrząsać nią dopóty, dopóki nie zacznie szczekać zębami.

— Właśnie uratowałem ci życie, mówię to na wypadek, gdybyś nie spostrzegła, a jeśli udało mi się obrazić jakiś przeklęty obyczaj Aielów, to nie. . . !

— Następnym razem — odwarknęła — zostawię wielkiego *Car'a'carna*, by radził sobie na własną rękę!

Otuliła się kocem i zeszytniała wślizgnęła się do namiotu.

Po raz pierwszy obejrzał się za siebie. I spojrzął na następnego Draghkara, który zdążył się już zmienić w kupkę spowitą płomieniem. Był tak wściekły, że nie usłyszał trzaskania i syczenia płonącego mięsa, nie poczuł odoru palonego tłuszczu. Nawet nie wyczuł zła, którym promieniował potwór. Draghkar zabijał, wpierv wysysając duszę, dopiero potem życie. Musiał być blisko, by tego dokonać, ale ten leżał w odległości nie większej niż dwa kroki od miejsca, gdzie przedtem stał. Nie był pewien, jak skuteczna jest pieśń Draghkara wobec kogoś, kto wypełniony jest *saidinem*, niemniej cieszyło go, że nie musi sprawdzać tego na własnej skórze.

Wciągnął głęboko powietrze, ukląkł przed klapą namiotu. — Aviendha? — Nie potrafił wejść do środka. Lampa była zapalona, a ona mogła swobodnie siedzieć tam naga, w ten sposób dając mu nauczkę, na którą zresztą ze wszech miar zasłużył. — Aviendha, przykro mi. Przepraszam. Okazałem się głupcem, mówiąc takie rzeczy, i nie zapytawszy najpierw, dlaczego. Powinienem wiedzieć, że nie chcesz mi zrobić krzywdy, i ja... ja... jestem głupi — skończył słabym głosem.

— Przynajmniej tyle wiesz, Randzie al'Thor — nadeszła stłumiona odpowiedź. — Jesteś głupcem!

W jaki sposób Aielowie przepaszali? Nigdy o to nie zapytał. Biorąc pod uwagę *ji'e'toh*, uczenie mężczyzn śpiewania, obyczaje weselne, nie sądził, by miał się kiedykolwiek na to zdobyć.

— Tak, jestem. I przepraszam. — Tym razem odpowiedzi nie było. — Czy leżysz już pod kocem? — Milczenie.

Wymamrotał coś pod nosem, wyprostował się i teraz stał tak, grzebiąc ubranymi tylko w skarpety stopami w zmarzniętej ziemi. Miał zamiar zostać tu, dopóki nie będzie pewien, że ona jest przyzwoicie przykryta. Bez butów i bez kaftana. Pochwycił *saidina*, razem ze skazą i wszystkim, tylko po to, by wewnątrz Pustki znaleźć schronienie przed zimnem.

Nadbiegły trzy Mądre spacerujące po snach, a wraz z nimi Egwene, wszystkie spoglądały na płonące ciało Draghkara. Potem spojrzały na niego i niemalże identycznym ruchem owinęły szalami ramiona.

— Tylko jeden, dzięki Światłości — powiedziała Amys. — Jestem jednak zaskoczona.

— Były dwa — poinformował ją Rand. — Ja... zniszczyłem tego drugiego.

Skąd ta niepewność w głosie? Tylko dlatego, że Moiraine powiedziała mu o ogniu stosu? Broń taka sama jak każda inna.

— Gdyby Aviendha nie zabiła tego tutaj, mógł mnie dopaść.

— Czułyśmy, jak przenosiła, i dlatego tu jesteśmy — powiedziała Egwene, oglądając go od stóp do głów. Początkowo uznał, że szuka ran, ale potem zobaczył, że ze szczególną uwagą wpatruje się w jego skarpetki, potem zaś przenosi wzrok na namiot, gdzie w szczelinie między klapą a ścianką widniało światło. — Znowu ją zdenerwowałaś, czy tak? Uratowała ci życie, a ty... Mężczyźni!

Z niesmakiem potrząsając głową, przeszła obok niego i wsunęła się do wnętrza namiotu. Słyszał ciche głosy, ale nie potrafił odróżnić słów.

Melaine szarpnęła lekko krawędź swego szala.

— Jeśli nie potrzebujesz nas, to pójdziemy zobaczyć, co się dzieje tam w dole.
— Odeszła, nie czekając nawet na pozostałe.

Gdy wreszcie ruszyły za nią, Bair paplała do Amys.

— Zakład, kogo sprawdzi najpierw? Mój ametystowy naszyjnik, który tak ci się podoba, przeciwko tej twojej szafirowej bransolecie?

— Zgoda. Ja wybieram Dorindhę.

Starsza Mądra zachichotała.

— W jej oczach wciąż odbija się Bael. Pierwsza siostra to pierwsza siostra, ale nowy mąż...

Ich głosy ścichły w oddali, a on pochylił się ponownie nad klapą namiotu. Wciąż nie słyszał, co mówią, chyba że przyłożyłby ucho do szczeliny, ale na to nie było go stać. Z pewnością skoro Egwene weszła do środka, Aviendha już się przykryła. Z drugiej zaś strony, Egwene do tego stopnia przyjęła obyczaje Aielów, iż równie dobrze sama mogła się rozebrać.

Cichy szelest pantofli zapowiedział przybycie Moiraine i Lana. Rand wyprostował się. Chociaż słyszał już ich oddechy, buty Strażnika nadal prawie nie wydawały dźwięku. Włosy Moiraine opadały jej na twarz, włożyła ciemną szatę, jedwabie połyskujące w księżycowej poświacie. Lan był całkowicie ubrany, uzbrojony, otulony w ten swój płaszcz, w którym stawał się częścią nocy. Szczęk walki zamierał na wzgórzach poniżej miejsca, gdzie stali.

— Zaskoczony jestem, że nie pojawiłaś się wcześniej, Moiraine. — W głosie miał chłód, ale lepiej, że dotyczyło to głosu, a nie ciała. Wciąż nie puszczał *saidina*, walczył z nim, przenikliwy ziąb nocy zdawał się czymś odległym. Był go świadom, świadom każdego włoska na swoich przedramionach jeżącego się z zimna pod rękawami koszuli, ale sam chłód nie miał doń dostępu. — Zwykle przychodzisz, by mnie chronić, ledwie wyczujesz kłopoty.

— Nie mam zwyczaju wyjaśniać wszystkiego, co robię i czego nie robię. — Jej głos był tajemniczy i opanowany jak zawsze, jednak nawet w świetle księżyca Rand mógłby niemalże przysiąc, że się zarumieniła. Lan wyglądał na zmartwionego, choć w jego przypadku trudno było coś orzec z całą pewnością. — Nie mogę cię zawsze prowadzić za rękę. W końcu będziesz musiał pójść sam.

— Zrobiłem to dzisiejszej nocy, nieprawdaż? — Zakłopotanie przemknęło po powierzchni Pustki, zabrzmiało to tak, jakby sam wszystkiego dokonał, natychmiast więc dodał: — Aviendha niemalże zdjęła tamtego z mych pleców.

Płomienie palącego się ciała Draghkara powoli dogasały.

— A więc ona tu była — spokojnie odpowiedziała Moiraine. — Nie potrzebowałeś mnie.

Nie bała się, tego był pewien. Widział, jak rzuciła się w sarni środek Pomiotu Cienia, operując Mocą równie zręcznie jak Lan swoim mieczem, widział to zbyt często, by uwierzyć w jej strach. Dlaczego więc nie przyszła, kiedy wyczuła Draghkara? Bez wątpienia go wyczuła, Lan zresztą również, to był jeden z darów, jakie Strażnicy otrzymywali dzięki więzi z Aes Sedai. Mógł ją zmusić, by powiedziała prawdę, złapać ją w potrzask, wykorzystując z jednej strony złożoną mu przysięgę, z drugiej niezdolność do kłamstwa. Nie, nie mógł. Albo raczej nie potrafił. Nie potrafiłby zrobić czegoś takiego komuś, kto próbował mu pomóc.

— Przynajmniej teraz wiemy, jaki był sens tego ataku w dole — powiedział. — Aby myślał, że coś ważnego się tam dzieje, a wtedy Draghkar mógłby się podkraść do mnie. Próbowali tego w Siedzibie Zimnych Skał, ale tam również się nie udało. — Tylko że teraz niewiele brakowało, by stało się inaczej, jeżeli w istocie taki był plan. — Dziwne, że nie próbują niczego nowego.

Przed nim Couladin, wszędzie wokół Przekłęci, jak się zdawało. Dlaczego nie może mieć na raz jednego tylko wroga?

— Nie wolno ci nie doceniać Przeklętych, to błąd — powiedziała Moiraine. — Może okazać się śmiertelny w skutkach.

Owinęła się ciasniej swą szatą, żałując jakby, że nie jest grubsza.

— Godzina już późna. Jeżeli nie potrzebujesz mnie...

Kiedy ona i Lan odeszli, powoli zaczęli się schodzić Aielowie. Niektórzy wykrzykiwali coś na widok Draghkara i wzywali *gai'shain*, by zajęli się zwęglonym ciałem, inni jednak tylko zwyczajnie patrzyli nań i w milczeniu udawali się do swych namiotów. Od pewnego czasu niczego innego się po nim nie spodziewali.

Wreszcie powróciła Adelin wraz z resztą Panien, nieznacznie powłóczyły nogami w miękkich butach. Spojrzały na zewłok Draghkara odciągany przez odzianych w biel mężczyzn, potem wymieniły spojrzenia i podeszły bliżej.

— Nic się tam nie działo — powoli powiedziała Adelin. — Cały atak poszedł niżej, Sprzymierzeńcy Ciemności i trolloki.

— Krzyczeli „Sammael i Złote Pszczoły”, sama słyszałam — dodała kolejna. *Shoufę* wciąż miała udrapowaną na głowie, i Rand nie potrafił stwierdzić, która to. Jej głos brzmiał młodo, niektóre z Panien nie miały więcej jak szesnaście lat.

Wziąwszy głęboki oddech, Adelin wyciągnęła ku niemu jedną ze swych włóczni i zamarała, trzymając ją poziomo. Pozostałe postąpiły tak samo, każda miała jedną włócznię.

— My... Ja... zawiodłam — oznajmiła Adelin. — Powinnyśmy tu być, kiedy przyszedł Draghkar. Zamiast tego jak dzieci pobiegłyśmy tańczyć włóczni.

— A co ja mam z tym zrobić? — zapytał Rand, na co Adelin odparła bez śladu wahania:

— Cokolwiek zechcesz, *Car'a'carn*. Jesteśmy gotowe i nie będziemy się opierać.

Rand potrząsnął głową.

„Przekłęci Aiele i ich przeklęte *ji'e'toh*”.

— Weźmiecie te włócznie i na powrót będziecie strzec mego namiotu. Dobrze? Ruszajcie. — Wymieniły spojrzenia, zanim go posłuchały, z takim samym wahaniem, z jakim wcześniej zbliżały się do niego. — Niech jedna z was powie Aviendzie, że niebawem wrócę do namiotu — dodał.

Nie miał zamiaru spędzać całej nocy na zewnątrz, zastanawiając się, czy jest już bezpiecznie. Odszedł, a kamienisty grunt urażał jego stopy.

Namiot Asmodeana znajdował się niedaleko. Żaden dźwięk nie wydobywał się ze środka. Odsunął klapę i zajrzał do wnętrza. Asmodean siedział w ciemnościach, gryząc wargę. Drgnął, kiedy zobaczył Randa i nie dał mu nawet szansy, by się odezwał.

— Nie spodziewałeś się chyba, że przyłożę do tego rękę, nieprawdaż? Poczulem Draghkara, ale bez wątplenia potrafisz sam sobie z nimi poradzić. Nigdy nie lubiłem Draghkarów, w ogóle nie trzeba ich było stwarzać. Są głupsze nawet od trolloków. Możesz wydawać im rozkazy, a one czasami zabijają po prostu tego, kto znajdzie się najbliżej. Gdybym wyszedł na zewnątrz, gdybym coś uczynił... A jeśli ktoś by zauważył? Co, jeśli by sobie uświadomili, że to nie ty przenosiłeś akurat w tej chwili? Ja... .

— Lepiej dla ciebie, że nic nie zrobiłeś — przerwał mu Rand, siadając ze skrzyżowanymi nogami w ciemnościach. — Gdybym wyczuł cię, wypełnionego *saidinem* dzisiejszej nocy, mógłbym cię zabić.

Śmiech tamtego był odrobinę drżący.

— O tym też pomyślałem.

— To Sammael zarządził ten dzisiejszy atak. Trolloki i Sprzymierzeńcy Ciemności, w każdym razie.

— To niepodobne do Sammaela, on nie marnuje ludzi — powoli powiedział Asmodean. — Ale wyśle dziesięć tysięcy na śmierć albo po dziesięciokroć tylu, jeżeli tylko w ten sposób zyska coś, co uzna za wartę tej ceny. Być może któreś z pozostałych chce, byś myślał, że to on. Nawet gdyby Aielowie brali jeńców... Trolloki nie myślą o niczym więcej prócz zabijania, Sprzymierzeńcy Ciemności zaś wierzą w to, co im się powie.

— To był on. Raz już, w podobny sposób, próbował nakłonić mnie podstępem, bym go zaatakował, to było pod Serendahar.

„Och, Światłości!” — Ta myśl dryfowała po powierzchni Pustki. — „Powiedziałem mnie”.

Nie wiedział ani gdzie leżało Serendahar, ani nic na jego temat prócz tego, co właśnie powiedział. Słowa po prostu wyrwały się z jego ust.

Po dłuższej chwili milczenia Asmodean powiedział:

— O tym nie miałem pojęcia.

— Ja jednak chcę wiedzieć, dlaczego? — Rand teraz już ostrożnie dobierał słowa, mając nadzieję, że wszystkie są jego własne. Pamiętał twarz Sammaela,

człowieka...

„To nie ja. To nie moje wspomnienia”.

... człowieka mocno zbudowanego, z krótką słomianą brodą. Asmodean opisał mu wszystkich Przeklętych, wiedział jednak, że ten obraz nie powstał na podstawie tego opisu. Sammael zawsze chciał być wyższy i oburzał się, że nie może tego osiągnąć dzięki Mocy. Asmodean nigdy mu o tym nie wspomniał.

— Z twoich słów wynika, że nie zmierzy się ze mną, dopóki nie będzie pewny zwycięstwa, a być może nawet wówczas nie. Powiedziałaś, iż najprawdopodobniej oddałby mnie Czarnemu, gdyby mógł. A więc dlaczego jest teraz taki pewny, że zwycięży, gdy postanowię ruszyć za nim?

Omawiali tę sprawę godzinami, siedząc w ciemnościach i nie dochodząc do żadnych wniosków. Asmodean bronił przekonania, że to było któreś z pozostałych, które miała nadzieję, że w ten sposób napuści Randa na Sammaela, a tym samym pozbędzie się jednego z nich lub obu naraz, przynajmniej Asmodean tak twierdził. Rand czuł na sobie badawcze spojrzenie ciemnych oczu tamtego. Ten błąd był za duży, by go zamaskować.

Kiedy na koniec wrócił do swojego namiotu, Adelin wraz, z dwunastoma Panami poderwała się natychmiast na równe nogi, jedna przez drugą mówiły mu, że Egwene już poszła, Aviendha zaś od dawna śpi, że była zła na niego, że obie były. Proponowały mu najrozmaitsze porady, jak sobie poczynać z gniewem obu kobiet, gadały jedna przez drugą tak, iż nic nie potrafił z tego zrozumieć. W końcu wreszcie zamilkły, wymieniły spojrzenia, a Adelin przemówiła:

— Musimy porozmawiać a dzisiejszej nocy. O tym, co zrobiliśmy, i czego nie zrobiliśmy. My...

— To nie ma znaczenia — zapewnił ją — a jeśli nawet miało, to już zostało wybaczone i zapomniane. Chciałbym trochę pospać, choćby kilka godzin. Jeżeli chcesz o tym porozmawiać, idź pomówić z Amys czy Bair. Pewien jestem, że lepiej niż ja zrozumieją, o co ci chodzi.

Ku jego zaskoczeniu w ten sposób zamknął im usta, pozwoliły mu bez przeszkód wejść do namiotu.

Aviendha leżała zagrzebana pod kocami, jedna szczupła, obnażona noga sterczała na zewnątrz. Próbował na nią nie patrzeć. Zostawiła zapaloną lampę. Z wdzięcznością wspiął się na swoje legowisko i przeniósł Moc, gasząc światło, a dopiero potem wypuścił *saidina*. Tym razem śnił o tym, jak Aviendha miota płomieniem, z tym że nie przeciwko Draghkarowi, obok zaś niej siedział Sammael i śmiał się.

„PIĄTA CZĘŚĆ, KTÓRĄ WAM DAJE”

Egwene prowadziła Mgłę wokół porośniętego trawą wzgórza i obserwowała strumień Aielów schodzących z Przełęczy Jangai. Spódnice ponownie zadarły jej się za kolana, ale ledwie to zauważyła. Nie mogła przecież spędzać każdej chwili na obciążaniu ich. A poza tym miała na nogach pończochy, więc nie było tak, jakby pokazywała gołe łydki.

Aielowie spływali kolumnami w dół, zgrupowani wedle klanów, szczepów i społeczności. Tysiące za tysiącami, wraz z jucznymi końmi i mułami, oraz *gai'shain*, którzy dopilnują obozowisk, kiedy pozostali będą walczyć, ludzka rzeka rozciągała się na milę, a większość wciąż jeszcze była na przełęczy albo już oddaliła się poza zasięg spojrzenia. Nawet bez rodzin wyglądali niczym pielgrzymujący naród. Jedwabny Szlak był przyzwoitą drogą, szeroką na pełne pięćdziesiąt kroków, wyłożoną wielkimi białymi kamieniami, przecinał wzgórza prostą linią, w odpowiednich miejscach zniwelowano pochyłości. Tylko od czasu do czasu był widoczny poprzez masy Aielów, choć i tak woleli biec po trawie, wiele bowiem kamieni bruku sterczało rogiem w górę albo zapadło się jednym krańcem. Minęło dwadzieścia lat od czasu, gdy po tej drodze jeździło coś innego niżli fury tutejszych farmerów, względnie nieliczne powozy.

Widok drzew stanowił z początku prawdziwe zaskoczenie, wysokie dęby i skórzane liście rosły w prawdziwych zagajnikach, to było coś zupełnie innego niż przypadkowe, powykręcane wiatrem karłowate kształty zapamiętane z Pustkowie, wysoka trawa falowała w podmuchach wiatru wiejącego ponad wzgórzami. Na północy rozciągał się prawdziwy las, po niebie płynęły chmury, niezbyt okazałe i bardzo wysoko, ale jednak chmury. Powietrze zdawało się cudownie chłodne po żarze Pustkowie, a także wilgotne, chociaż zbrązowiałe liście i wielkie brunatne łaty na trawie jednoznacznie wskazywały, że jest goręcej i bardziej sucho niżli zazwyczaj o tej porze roku. A jednak okolice Cairhien stanowiły żyzny raj w porównaniu z krainą położoną po drugiej stronie Muru Smoka.

Mały, kręty strumień sączył swoje wody pod niemalże zupełnie poziomym mostem, spinającym brzegi wyschłej gliny koryta, rzeka Gaelin płynęła niedaleko

stąd. Ciekawiło ją, jak też Aielowie zareagują na nią, raz już widziała Aielów nad potokiem. Cieniutka wstążka wody wprowadziła zamieszanie w równej kolumnie ludzi, zarówno mężczyźni jak i Panny zatrzymywali się, by spojrzeć w zadziwieniu, a dopiero potem przeskakiwali na drugą stronę.

Wozy Kadere turkotały po drodze, ciągnięte z trudem przez zaprzęgi złożone z wielu mułów, ale wciąż nie nadały za Aielami. Cztery dni zabrało im pokonanie przewężeń i zakrętów przełęczy, Rand zaś najwyraźniej zamierzał dotrzeć tak daleko w głąb Cairhien, na ile mu tylko pozwoli tych kilka godzin, które jeszcze zostały do końca dnia. Moiraine i Lan towarzyszyli karawanie wozów, nie jechali przed nimi, ani też obok podobnego do pudełka małego domku na kołach Kadere, lecz przy drugim wozie, na którym pod płótnem odznaczał się kształt futryny drzwi *ter'angreal*, wystającej ponad resztę ładunku. Niektóre przedmioty były starannie opakowane, inne ułożone w skrzyniach i baryłkach, w których Kadere wioził do Pustkowiec rozmaite towary, niektóre zaś zwyczajnie wepchnięto tam, gdzie starczyło dla nich miejsca, najdziwniejsze kształty z metalu i szkła, czerwony fotel z kryształu, dwie figurki wielkości dziecka przedstawiające nagiego mężczyznę i nagą kobietę, pręty z kości słoniowej oraz jakiegoś dziwnego czarnego tworzywa, rozmaitej długości i średnicy. Wszystkie rodzaje obiektów, włączając w to takie, które Egwene ledwie byłaby zdolna opisać. Moiraine wykorzystała każdy cal przestrzeni dostępnej na wozach.

Egwene chciałyby wiedzieć, dlaczego Aes Sedai tak bardzo troszczy się o zawartość tego wozu, przypuszczalnie nikt poza nią nie zauważył, iż Moiraine zwraca nań uwagę baczniej niżli na wszystkie pozostałe razem wzięto. Ale szansa na to, że się tego dowie, była raczej niewielka. Równość we wzajemnych stosunkach, jaka od niedawna między nimi panowała, była stanem raczej delikatnym, przekonała się o tym już w chwili, gdy zadała to właśnie pytanie, które obecnie ją nurtowało, gdzieś w połowie drogi przez przełęcz i usłyszała, że ma zbyt żywą wyobraźnię, a jeśli ponadto ma jeszcze zbyt dużo wolnego czasu, by szpiegować Aes Sedai, to być może Moiraine mogłyby pomówić z Mądrymi na temat zwiększenia intensywności jej szkolenia. Oczywiście Egwene natychmiast ją szczerze przeprosiła, z właściwym chyba skutkiem. W każdym razie Amys i pozostałe oddały do jej dyspozycji taką samą część nocy jak wcześniej.

Minęła ją jakaś setka *Far Dareis Mai* Taardad Aiel, biegły z dużą swobodą, zasłony zwisały luźno, w każdej chwili gotowe do zapięcia, kołczany pełne strzał kołysały się przy biodrach. Niektóre trzymały w dłoniach wygięte rogowe łuki ze strzałami nałożonymi na cięciwy, u innych łuki spoczywały na plecach w futerałach, włócznie i tarcze kołysały się w rytm biegu. Z tyłu ich kolumny dojrzała jakiś tuzin *gai'shain* w białych szatach, prowadzili juczne muły i z trudem nadażyli. Jedno z nich było odziane w czerń, nie zaś biel — Isendre pracowała najciężej ze wszystkich. Egwene dojrzała wśród nich Adelin, a nadto dwie lub trzy, które również strzegły namiotu Randa w czasie nocnego ataku. Wszystkie prócz bro-

ni niosły również niezgrabnie wykonane lalki, odziane w spódnice i białe bluzki, z twarzami o rysach stężających bardziej niż zazwyczaj usiłowały udawać, że nic się nie dzieje.

Nie miała pojęcia, o co może tutaj chodzić. Panny, które owej nocy stały na warcie, po skończonej służbie przyszły całą grupą zobaczyć się z Bair i Amys, a potem spędziły z nimi jakiś czas. Następnego ranka, gdy obóz tonął jeszcze w szarościach przedświt, zaczęły robić te lalki. Nie zdobyła się, oczywiście, na to, by zapytać wprost, ale kiedy nadmieniła o całej sytuacji jednej z Panien, rudowłosej Mairze ze szczepu Serai z Tomanelle Aiel, ona powiedziała wtedy, że lalka ta ma przypominać jej, iż nie jest już dzieckiem. Z tonu jej głosu wynikało jasno, iż nie ma ochoty o tym mówić. Jedna z Panien, które niosły lalki, nie miała więcej niż szesnaście lat, jednak Maira dorównywała wiekiem Adelin. Egwene nie rozumiała, o co tu chodzi i nie potrafiła przejść nad tym do porządku. Za każdym razem, gdy wyobrażała sobie, iż zaczyna pojmować obyczaje Aielów, zdarzało się coś takiego, co dowodziło jej, że jest zupełnie na odwrót.

Wbrew jej woli spojrzenie samo powędrowało z powrotem ku przełęczy. Wciąż stał tam szereg pali, ledwie już widoczny, ciągnący się od podnóża jednego zbocza aż do podnóża zbocza po przeciwległej stronie, wyjąwszy miejsca, gdzie Aielowie zwalili niektóre z nich na ziemię. Couladin zostawił tu następną wiadomość, mężczyzn i kobiety wbitych na pale zajmujące całą szerokość przełęczy, martwych od siedmiu dni. Wysokie szare mury Selean przylegały do wzgórz po prawej stronie przełęczy, ponad nimi nic nie było widać. Moiraine powiedziała, że po mieście został jedynie cień dawnej świetności, a przecież wciąż było stosunkowo duże, znacznie większe niż Taien, teraz niewiele zeń zostało. Nie napotkali nikogo z ocalałych — być może Shaido zabili wszystkich z wyjątkiem tych, których powlekli ze sobą — chociaż tutaj zapewne niektórzy mogli zbiec natychmiast po pogromie do miejsc, które uznali za bezpieczne. Na tych wzgórzach zauważyła jakieś farmy, większość terytoriów wschodniego Cairhien wyludniła się po Wojnach o Aiel, ale miasto jednak potrzebowało farm produkujących żywność. Teraz tylko osmalone kominy sterczały nad poczerniałymi kamieniami ścian, tu kilka zwęglonych belek pozostało na dachu kamiennej stodoły, gdzie indziej zarówno stodoła, jak i zabudowania zawałyły się od żaru. Wzgórze, na którym stała Mgła, było pastwiskiem dla owiec, teraz w pobliżu płotu u stóp wzgórza roiło się kłębówisko much, bzycających nad pozostałościami rzezi. Na żadnym z pastwisk nie ocalało ani jedno zwierzę, ani jedna kura nie rozgrzebywała ziemi na podwórkach przed stodołami. Pola zamieniły się w zgorzałe ścierniska.

Couladin i Shaido byli Aielami. Ale dotyczyło to również Aviendhy, a także Bair, Amys, Melaine i Rhuarka, który powiedział jej, że podobna jest do jednej z jego córek. Kiedy zobaczyli wbitych na pale, byli pełni niesmaku, lecz nawet wtedy zdawali się myśleć, że to po prostu trochę zbyt surowa kara, na którą jednak mordercy drzew tak czy owak zasłużyli. Zapewne jedynym sposobem na prawdzi-

we poznanie Aielów było urodzić się jednym z nich.

Obrzuciła ostatnim spojrzeniem zniszczone miasto i pojechała wolno w dół wzdłuż kamiennego muru ograniczającego pastwisko, aż do bramy, pochylając się, by odruchowo poprawić ramię z nie wyprawionej skóry. Ironia całej sprawy, jak poinformowała ją Moiraine, polegała na tym, że Selean w rzeczywistości mogło stanąć po stronie Couladina. Wśród zmiennych prądów *Daes Dae'mar* mogli wybierać między Aielami — najeźdźcami a człowiekiem, który posłał Tairenian do Cairhien, jednak Couladin nie dał im szansy na dokonanie takiego wyboru.

Jechała wzdłuż szerokiej drogi, dopóki nie dogoniła Randa — dzisiaj odziany był w czerwony kaftan, za nim, w nieznanym oddaleniu podążały Aviendha, Amys oraz jakaś trzydziestka Mądrych, które ledwie знаła z widzenia, i o których wiedziała tylko tyle, że dwie spośród nich są spacerującymi po snach. Mat, w swoim kapeluszu, z włócznią o czarnym drzewcu, oraz Jasin Natael, ze skórzanym futerałem na harfę zwisającym z pleców i ze szkarłatnym sztandarem łopoczącym na wietrze, jechali na koniach, jednak śpieszący się Aielowie wyprzedzali oddział z obu stron, ponieważ Rand podobnie jak tamci szedł pieszo, prowadząc swego srokatego ogiera i rozmawiając z wodzami klanów. Mądre, mimo iż odziane w spódnice pokonałyby już spory kawał drogi, gdyby podążały za mijającymi je z obu stron kolumnami Aielów, miast trzymać się Randa niczym liana sosny. Ledwie popatrzyły na Egwene, ich spojrzenia skupiane były na nim i sześciu wodzach.

— ... i każdy, kto przybędzie za Timolanem — mówił Rand twardym głosem — dowie się tego samego. — Kamienne Psy, które zostały w tyle, by obserwować Taien, wrócili donosząc, że Miagoma weszli na przełęcz dzień po nich. Przyszedłem tutaj, by powstrzymać Couladina przed zniszczeniem tego kraju, nie po to, by go łupić.

— Niełatwo nam tego słuchać — powiedział Bael — skoro nie możemy brać piątej części.

Han oraz pozostali, nawet Rhuarc, kiwnęli głowami.

— Daję wam tę piątą część. — Rand nie podniósł głosu, lecz jego ton był twardy jak skała. — Ale nie może to być w żadnym razie żywność. Będziemy się posilali tym, co da się kupić albo upolować... jeżeli oczywiście ktoś tutaj będzie mógł sprzedać nam jedzenie... dopóki nie zmuszę Tairenian, by zwiększyli dostawy z Łzy. Jeżeli ktokolwiek weźmie choćby grosz ponad piątą część, tudzież bochenek chleba bez zapłaty, jeżeli spali byle szafas tylko dlatego, że należy do mordercy drzew, albo zabije człowieka, który nie chciał go sam zabić, ten zawisnie, niezależnie od tego, kim będzie.

— Trudno nam przyjdzie oznajmić to klanom — powiedział Dhearic głosem niemalże równie stanowczym. — Przyszedłem tu za Tym Który Przychodzi Ze Świtem, nie zaś po to, by rozpieszczać wiarołomców.

Bael i Jheran już otworzyli usta, by wyrazić swoje poparcie, ale każdy z nich

spojrzał na drugiego i jedynie zazgrzytał zębami.

— Zwróć uwagę na to, co powiedziałem, Dhearic — ciągnął Rand. — Przy-
szedłem tu, by uratować tę ziemię, a nie zniszczyć ją na zawsze. Odnosi się to
do wszystkich klanów, łącznie z Miagoma i pozostałymi, które pójdą za mną.
Wszystkich klanów. Zrozum mnie, jak należy.

Tym razem żaden się nie odezwał, a Rand wskoczył na siodło Jeade'ena i po-
zwolił ogierowi swobodnie truchtać w grupie wodzów. Z twarzy Aielów trudno
było cokolwiek wyczytać.

Egwene wciągnęła powietrze. Ci mężczyźni byli dość starzy, aby Rand mógł
być synem któregoś z nich, przywódcy swego ludu równi królom, niezależnie od
tego, co sami twierdzili, a swą pozycję wykuwali w bezwzględnych bitwach. Wy-
dawało się, iż dopiero wczoraj był ledwie chłopcem, młodzieńcem, który prosił
i miał nadzieję, że nie zostanie mu odmówione, bynajmniej nie tak jak przed chwi-
lą — rozkazywał i żądał, aby jego rozkazów słuchano. Teraz zmieniał się szybciej,
niż mogła nadążyć. To dobrze, że nie ma zamiaru pozwolić tym ludziom, by łupili
inne miasta, jak Couladin zniszczył Taien i Selean. Próbowwała siebie samą prze-
konać. Pragnęła tylko, aby doprowadził do tego, nie okazując swojej z każdym
dniem rosnącej arogancji. Ile czasu upłynie, nim zażąda od niej, by była posłusz-
na jak Moiraine? Albo wysunie takie roszczenia względem wszystkich Aes Sedai?
Miała nadzieję, że to tylko arogancja.

Zapragnęła z kimś porozmawiać, więc wysunęła nogi ze strzemion i wycią-
gnęła rękę w stronę Aviendhy, ale tamta potrząsnęła głową. Naprawdę nie lubiła
dosiadać konia. A być może na jej decyzję wpływ miała także obecność grupki
Mądrych. Niektóre z nich nie wsiadłyby na grzbiet konia, choćby miały połamane
obie nogi. Egwene westchnęła i zeskoczyła z siodła, trzymając wodze Mgły i ner-
wowo wyglądając spódnicę. Miękkie, sięgające do kolan buty Aielów wyglądały
na bardzo wygodne i takie też były w istocie, jednak nieszczególnie nadawały się
do długiego marszu po tym twardym, nierównym bruku.

— On naprawdę rozkazuje — oznajmiła.

Aviendha ledwie oderwała oczy od postaci Randa.

— Nie znam go. Nie potrafię go pojąć. Spójrz na tę rzecz, którą on niesie.

Miała na myśli, oczywiście, miecz. W ścisłym tego słowa znaczeniu, Rand nie
niósł miecza, zawiesił go na łąku swego siodła w niewymyślnej pochwie z brunat-
nej skóry dzika, długa rękojeść, oprawiona w taką samą skórę, sięgała mu aż do
pasa. Rękojeść i pochwę wykonał dla niego jeden z ludzi z Taien podczas długiej
drogi przez Przełęcz. Egwene zastanawiała się po co mu taka broń, skoro potrafił
przenieść Moc i stworzyć miecz z ognia lub inne rzeczy, przy których miecze były
niczym zabawki.

— Ty mu go dałaś, Aviendha.

Jej przyjaciółka nachmurzyła się.

— Próbował mnie nakłonić, bym również przyjęła rękojeść. Używał jej, na-

leży do niego. Używał miecza, stojąc przede mną, jakby tym samym szydził ze mnie.

— Nie jesteś zła z powodu miecza. — Nie przypuszczała, by było inaczej, jednak Aviendha ani słowem nie wspomniała o tamtej nocy w namiocie Randa. — Wciąż chodzi ci o to, w jaki sposób odezwał się wtedy do ciebie, i potrafię to zrozumieć. Wiem, że jest mu przykro. Czasami gada, co mu ślina przyniesie na język, ale jeśli tylko pozwolisz się przeprosić. . .

— Nie potrzebuję jego przeprosin — wymamrotała Aviendha. — Nie chcę. . . Nie potrafię tego już dłużej znieść. Nie mogę już spać w jego namiocie.

Nagle chwyciła ją za ramię, a Egwene, gdyby nie znała jej tak dobrze, pomyślałaby, iż przyjaciółka jest bliska łez.

— Musisz z nimi porozmawiać w moim imieniu. Jesteś Aes Sedai. Muszą mi pozwolić wrócić do swoich namiotów. Muszą!

— Kto musi co zrobić? — zapytała Sorilea, odłączając się od swej grupy i podchodząc do nich. Mądra z Siedziby Shende miała rzadkie siwe włosy i skórę obciągniętą ściśle na kościach czaszki. I jasne zielone oczy, które potrafiłyby konia zwalić z nóg z odległości dziesięciu kroków. W ten sposób normalnie spoglądała na ludzi. Kiedy zaś bywała zła, pozostałe Mądre siedziały cicho, a wodzowie klanów poszukiwali wymówki, by się natychmiast oddalić.

Melaine wraz z jeszcze jedną Mądrą, siwiejącą Nakai z Czarnych Wód, ruszyły również w ich stronę, ale zrezygnowały ze swego zamiaru, gdy Sorilea zmierzyła je wzrokiem.

— Gdybyś nie była tak zajęta myślami o swym nowym mężu, Melaine, wiedziałabyś, że Amsy chce z tobą mówić. Z tobą także, Aerin.

Melaine zaczerwieniła się po same uszy i umknęła w stronę pozostałych, przy czym starsza Mądra zdążyła ją wyprzedzić. Sorilea patrzyła, jak się oddalają, potem przeniosła spojrzenie na Aviendhę.

— Teraz możemy sobie spokojnie porozmawiać. A więc nie chcesz czegoś zrobić. Oczywiście jest to coś, co ci zrobić kazano. I sądzisz, że ta Aes Sedai, to dziecko, może cię od tego wybawić.

— Sorilea, ja. . . — Aviendha nie potrafiła skończyć.

— Za moich czasów dziewczęta skakały, kiedy Mądre mówiły im, że mają to robić, skakały, dopóki nie kazano im przestać. A ponieważ wciąż żyję, są to dalej moje czasy. Czy muszę mówić jaśniej?

Aviendha wzięła głęboki oddech.

— Nie, Sorilea — powiedziała słabo.

Oczy starej kobiety spoczęły na Egwene.

— A ty? Czy myślisz, że uda ci się wyprosić coś dla niej?

— Nie, Sorilea. — Egwene miała wrażenie, że na dodatek powinna się jeszcze uklonić.

— Dobrze — oznajmiła Sorilea, choć w jej głosie nie było śladu satysfakcji, dokładnie tak jakby innej odpowiedzi nie oczekiwała. — Teraz możemy porozmawiać o czymś, co naprawdę chcę wiedzieć. Słyszałam, że *Car'a'carn* dał ci podarunek wyrażający jego zainteresowanie twoją osobą, podarunek, o jakim nikt dotąd nie słyszał, rubiny i kamienie księżycowe.

Aviendha podskoczyła, jakby mysz właśnie przebiegła jej po nodze. No cóż, w takiej sytuacji prawdopodobnie by się nie przestraszyła, Egwene osądziła to po sobie. Aviendha zaczęła wyjaśniać całą sytuację, opowiadając o mieczu Lamana i pochwie do niego tak szybko, że jej słowa zlewały się ze sobą.

Sorilea poprawiła szal na ramionach, wymruczała coś o dziewczętach dotyczących mieczy, nawet owiniętych w koc, i że będzie musiała odbyć ostrą rozmowę na ten temat z „młodą Bair”.

— A więc nie wpadłaś mu w oko. Szkoda. To by go mocniej z nami związało, obecnie zbyt wielu ludzi uważa za swoich. — Przez chwilę od stóp do głów mierzyła Aviendhę wzrokiem. — Przypuszczam, że mogę skłonić Ferana, by na ciebie spojrział. Jego dziadek jest moim siostrzeńcem. Masz inne obowiązki niżli uczyć się na Mądrą. Te biodra stworzone zostały do rodzenia dzieci.

Aviendha potknęła się na jakimś wyłomie w nawierzchni drogi i omal nie upadła.

— Ja... pomyślę o nim, kiedy nadejdzie czas — powiedziała, nie mogąc złapać tchu. — Jeszcze się dużo muszę nauczyć na temat bycia Mądrą, Feran zaś to *Seia Don*, a wszak Czarne Oczy ślubowały, że nie będą spać pod dachem ani pod namiotem, dopóki Couladin żyje.

Couladin sam należał do *Seia Don*.

Jednak Mądra o pomarszczonej twarzy skinęła tylko głową, jakby już wszystko zostało ustalone.

— Ty, młoda Aes Sedai. Znasz dobrze *Car'a'carna*, tak przynajmniej powiadają. Czy postąpi, jak zagroził? Czy powiesi nawet wodza klanu?

— Sądzę, że... może... że tak zrobi. — Ale poczuła się zmuszona dodać: — Pewna jednak jestem, iż można mu przemówić do rozumu.

Nie była pewna żadnej z tych rzeczy, nawet tego, że jest w tym jakaś racja — to, co powiedział Rand, zabrzmiało sprawiedliwie — ale sprawiedliwość na nic mu się nie zda, gdy okaże się, że pozostali zwrócili się przeciwko niemu, podobnie jak wcześniej Shaido.

Sorilea spojrzała na nią zaskoczona, potem objęła wzrokiem grupę wodzów skupionych wokół wierzchowca Randa, wzrokiem, który był chyba zdolny powalić ich wszystkich na ziemię.

— Nie rozumiesz mnie. On musi pokazać temu parszywemu stadu wilków, że jest najsilniejszym wilkiem, przewodnikiem. Wódz musi być twardszy od pozostałych ludzi, młoda Aes Sedai, *Car'a'carn* zaś najtwardszy ze wszystkich wodzów. Z każdym dniem coraz więcej ludzi, nawet Panny, ogarnia apatia, ale oni

stanowią miękką zewnętrzną korę żelaznego drzewa. Zostanie tylko twardy wewnętrzny rdzeń, a on musi być równie twardy, aby im przewodzić. — Egwene zauważyła, że nie wymieniła ani siebie, ani pozostałych Mądrych wśród tych, którym Rand będzie przewodził. Mamrocząc coś pod nosem o „parszywych wilkach”, Sorilea zwawo ruszyła naprzód i po chwili już wszystkie Mądre słuchały tego, co ma im do powiedzenia. Cokolwiek to było, Egwene nic nie usłyszała.

— Kto to jest ten Feran? — zapytała Egwene. — Nigdy o nim nie wspomniałaś. Jak on wygląda?

Aviendha, patrząc spod zmarszczonych brwi na Sorileę, której postać zaślaniały prawie całkowicie skupione wokół niej kobiety, powiedziała nieobecnym głosem:

— Jest bardzo podobny do Rhuarka, choć znacznie młodszy, wyższy i przystojniejszy, o bardziej rudych włosach. Od ponad roku próbuje zainteresować sobą Enailę, ale sądzę, że to ona raczej nauczy go śpiewać, zanim porzuci włócznie.

— Nie rozumiem. Masz zamiar dzielić go z Enailą? Ciągłe to dziwnie dla mnie brzmi, gdy tak spokojnie o tym mówisz.

Aviendha znowu się potknęła, odzyskała równowagę i spojrzała na Egwene.

— Dzielić go? Nie chcę żadnej jego części. Twarz ma piękną, ale jego śmiech przypomina ryczenie muła, poza tym dłubie sobie w uszach.

— Ale z tego co mówiłaś Sorilei, pomyślałam, że... lubisz go. Dlaczego nie powiedziałaś jej tego, co mówisz teraz mnie?

Tamta zaśmiała się z przymusem.

— Egwene, gdyby ona pomyślała, że mam zamiar go unikać, sama zrobiłaby dla mnie ślubny wianek i za kark zawlokła i mnie, i Ferana do ślubu. Czy słyszałaś, by ktoś powiedział „nie” Sorilei? Słyszałaś?

Egwene otworzyła już usta, by powiedzieć, że oczywiście słyszała, ale niezwłocznie zamknęła je na powrót. Zdominowanie Nynaeve to jedno, uczynienie zaś tego z Sorileą to coś krańcowo innego. To jakby stawanie na drodze lawiny i perswadowanie jej, by się zatrzymała.

Chcąc zmienić temat, powiedziała:

— Porozmawiam z Amys i pozostałymi o tobie. — Nie sądziła jednak, by to na cokolwiek się zdało. Właściwy czas na wycofanie się minął w momencie, gdy wszystko się zaczęło. Przynajmniej Aviendha dostrzegała niestosowność całej sytuacji. Być może... — Jeżeli razem do nich pójdziemy, pewna jestem, że nas wysłuchają.

— Nie, Egwene. Muszę być posłuszną Mądrym. *Ji'e'toh* wymaga tego. — Jakby wcale nie prosiła o wstawiennictwo dosłownie przed momentem. Jakby prawie nie błagała Mądrych, by nie zmuszały jej do spania w namiocie Randa. — Ale dlaczego mój obowiązek względem ludu nigdy nie pokrywa się z tym, czego ja pragnę? Dlaczego wolałabym umrzeć, miast go wykonać?

— Aviendha, nikt cię nie może zmusić, byś brała ślub albo miała dzieci. Nawet Sorilea. — Egwene żałowała, że ostatnich słów nie udało jej się wypowiedzieć pewniejszym głosem.

— Nie rozumiesz — cicho odrzekła tamta — a ja nie mogę ci tego wytłumaczyć.

Owinęła się ciaśniej szalem i nie mówiła już więcej na ten temat. Miała ochotę porozmawiać o pobieranych przez obie naukach albo o tym, czy Couladin zawróci i wyda im bitwę, lub w jaki sposób małżeństwo wpłynęło na Melaine — która teraz najwyraźniej musiała się zmuszać do bycia nieprzyjemną i twardą — czy też o czymkolwiek, z wyjątkiem tego, czego nie potrafiła albo nie chciała wyjaśnić.

PRZEKAZANA WIADOMOŚĆ

Kiedy pod koniec dnia zatrzymali się na postój, wygląd otaczającej ich okolicy uległ zmianie. Wzgórza były tu niższe, zagajniki gęstsze. Często obalone kamienne murki, które otaczały pozostałości pól, zamieniały się w podłużne hałdy porośnięte żywopłotem i prowadziły wprost w las dębu, skórzanego liścia, hikory, sosny i papierowca, a także innych drzew, których nazw Egwene nie знаła. Kilka budynków farm pozbawionych było dachów, a w ich środku wyrosły wysokie na dziesięć, piętnaście stóp drzewa niczym maleńkie zagajniki ograniczone kamiennym murem, wraz z ćwierkającymi ptakami i wiewiórkami o czarnych ogonach. Przypadkowe strumyczki wzbudzały wśród Aielów równie wiele poruszenia, jak nieduży las czy trawa. Słyszeli opowieści o mokradłach, czytali przecież o nich w książkach kupowanych u takich handlarzy jak Hadnan Kadere, ale tylko kilku widziało je na własne oczy od czasu pościgu za Lamem. Przyzwyczaili się jednak szybko, szarobure brzozy namiotów dobrze zlewały się z tłem opadłych liści, więdnącej trawy i innych roślin. Obóz ciągnął się całymi milami, w promieniach złotego zachodu skrzyły się liczne małe ogniska, na których gotowano strawę.

Egwene z prawdziwym zadowoleniem wślizgnęła się do swego namiotu, gdy już *gai'shain go* rozstawili. Wewnątrz zastała zapalone lampy i niewielki ogień płonący na palenisku. Rozwiązała sznurowadła swych miękkich butów i wyciągnęła się na dywanikach z jaskrawymi frędzlami, poruszając palcami stóp. Żałowała tylko, że nie ma miski z wodą, w której mogłaby wymoczyć nogi. Nie udawała, że posiada energię równie niespożytą jak Aielowie, ale doprawdy stawała się już chyba zdecydowanie za miękka, skoro parę godzin marszu czuła w obrzmiałych nogach. Tutaj nie będzie problemów z wodą. A przynajmniej nie powinno być — w tej samej chwili przypomniał jej się tamten wysychający strumień — z pewnością jednak będzie mogła zażyć normalnej kąpieli.

Cowinde, uniżona i cicha w swych białych szatach, przyniosła jej kolację, kawałek tego jasnego chleba wypiekanego z mąki *zemai* oraz tłusty gulasz w misce w białe i czerwone paski, zjadła mechanicznie, była bowiem bardziej zmęczona niżli głodna. W zawartości miski rozpoznała suszony pieprz i fasolę, ale nawet nie zapytała, skąd pochodzi mięso.

„Królik” — zapewniała samą siebie zdecydowanie i postanowiła w to uwie-

rzyć. Aielowie jadali rzeczy, od których Elayne włosy mocniej chyba skręcały się na głowie. Jednak mogłaby się założyć, że Rand nawet nie spojrzy na to, co je. Mężczyźni zawsze byli niewybredni, jeśli chodziło o jedzenie.

Kiedy już skończyła gulasz, wyciągnęła się blisko zdobnie wykonanej srebrnej lampy wyposażonej w wypolerowaną odblasznicę. Poczowała się trochę winna, kiedy zdała sobie sprawę, że większość Aielów nie ma w nocy innego światła niżli tylko blask ognisk, niewielu zabrało ze sobą lampy i oliwę do nich, wyjąwszy wodzów klanów i Mądre. Ale przecież nie było sensu siedzieć w mętnej poświacie paleniska, skoro mogła mieć właściwe światło. To przypomniało jej, że tutaj noce nie będą tak drastycznie odmienne od dni jak w Pustkowiu, w rzeczy samej, we wnętrzu namiotu zaczynało się już robić nieprzyjemnie gorąco.

Przeniosła krótki strumień Mocy, spłoty Powietrza, by zdusić ogień, potem wygrzebała z juków książkę w zniszczonej skórzanej oprawie, pożyczoną od Aviendhy. Tom był mały, ale gruby, gęsto wypełniony drobnym drukiem, trudno było go czytać przy słabym świetle, łatwo jednak nosić przy sobie. *Płomień, ostrze i serce* brzmiał tytuł książki, a stanowiła ona zbiór opowieści o Birgitte i Gaidalu Cainie, Anselanie i Barashelle, Rogoshu Sokole Oko i Dunsinin, oraz dziesiątki innych. Aviendha twierdziła, iż książka podoba jej się ze względu na zamieszczone w niej opisy przygód i bitew, zresztą może tak było, jednak prócz tego każda dokładnie historia traktowała o miłości mężczyzny i kobiety. Egwene była gotowa przyznać, że właśnie to lubiła w książce, te czasami burzliwe, czasami czułe wątki odwiecznej miłości. Przynajmniej sama przed sobą gotowa była to przyznać. Nie był to bowiem ten rodzaj rozrywki, do którego przyznałaby się publicznie jakakolwiek kobieta roszcząca sobie pretensje do miana rozsądnej.

Prawdę powiedziawszy, na lekturę nie miała wcale większej ochoty niż wcześniej na jedzenie — pragnęła tylko kąpieli i snu, z kąpieli nawet mogłaby zrezygnować — ale tej nocy ona i Amys miały się spotkać z Nynaeve w *Tel'aran'rhiod*. Gdziekolwiek Nynaeve teraz znajdowała się w drodze do Ghealdan, z pewnością noc jeszcze tam nie zapadła, nie należało więc jeszcze się kłaść.

Z opowieści, jakimi uraczyła ją przy ostatnim spotkaniu Elayne, wynikało, że wędrowna menażeria jest doprawdy niezwykle interesująca, chociaż Egwene nie potrafiła pojąć, dlaczego obecność Galada miałyby stanowić powód do ucieczki. Jej zdaniem Nynaeve i Elayne najwyczałniej w świecie dojrzały do tego, by polubić przygodę. Źle, że z Siuan tak się stało, potrzebowały twardej ręki, która by je przywołała do porządku. Swoją drogą to dziwne, że potrafiła w ten sposób myśleć o Nynaeve, to tamta bowiem zawsze w jej oczach uchodziła za osobę twardą i zdecydowaną. Ale od czasu spotkania w Wieży Świata Snów, Nynaeve z każdą chwilą stawiała się przeciwnikiem coraz słabszym, by z nim toczyć boje.

Poczucie winy, zrozumiała, kartkując książkę w oczekiwaniu na dzisiejsze spotkanie z tamtą. Nie dlatego, że stęskniła się za przyjaciółką, ale dlatego, że chciała zobaczyć, czy efekty jej ostatniego spotkania okazały się trwałe. Gdy Ny-

naeve szarpnie choć raz swój warkocz, wówczas spojrzy na nią chłodno spod uniesionych brwi i...

„Światłości, mam nadzieję, że tak będzie. Gdyby choć zająknęła się na temat tamtego spotkania, Amys, Bair i Melaine na zmianę będą darły ze mnie pasy, jeśli zwyczajnie mi nie powiedzą, że nie mam już u nich czego szukać”.

Mimo iż starała się czytać, oczy kleiły jej się bez przerwy, na poły śpiąc, jak przez mgłę przemierzała przygody opisane w książce. Bardzo by chciała się stać tak silna, jak któraś z tych kobiet, równie silna i odważna jak Dunsinin albo Nerein, czy Melisinde, albo nawet Birgitte, równie silna jak Aviendha. Czy Nynaeve okaże dość rozsądku, by tej nocy trzymać język na wodzy i nie wypaplać wszystkiego Amys? W jej głowie pojawiła się mętna wizja, jak chwyta tamtą za kark i mocno nią potrząsa. Głupi pomysł. Nynaeve była o wiele od niej starsza. Trzeba ją potraktować uniesieniem brwi. Dunsinin. Birgitte. Równie twarda i silna jak Panna Włóczni.

Głowa jej opadła na karty książki, oddech stał się wolniejszy i głębszy, już przez sen spróbowała podłożyć sobie mały tomik niby poduszkę pod policzek.

* * *

Wzdrygnęła się, kiedy zrozumiała, że stoi wśród wielkich kolumn z czerwonego kamienia w Sercu Kamienia, zalanego dziwnym światłem *Tel'aran'rhiod*, po chwili zadrzała ponownie, gdy zdała sobie sprawę, że odziana jest w *cadin'sor*. Amys nie byłaby zadowolona, gdyby ją w nim zobaczyła, wcale by jej się to nie podobało. Pośpiesznie dokonała odpowiednich zmian i z zaskoczeniem stwierdziła, że jej ubiór, migocząc, zmienia się to w bluzkę *algode* i workowatą wełnianą spódnicę, to w znakomitą suknię z błękitnego jedwabnego brokatu, zanim ostatecznie na powrót utrwalił się jako ubiór, który nosiła wśród Aielów, wraz z bransoletą z kości słoniowej w kształcie tańczących płomieni oraz naszyjnikiem ze złota i kości słoniowej. Takie niezdecydowanie od dawna już jej się nie przydarzyło.

Przez chwilę zastanawiała się, czy nie opuścić Świata Snów, ale podejrzewała, że tam w namiocie jej ciało pogrążone jest w głębokim śnie. Najprawdopodobniej uda jej się tylko wrócić do własnych snów, a nie zawsze umiała zachować w nich świadomość, bez niej nie potrafiłaby wrócić do *Tel'aran'rhiod*. Nie miała zamiaru pozwolić, by Amys i Nynaeve spotkały się na osobności. Kto wie, co Nynaeve mogłaby wówczas powiedzieć, gdyby Amys ją odpowiednio zdenerwowała? Kiedy Mądra się tu pojawi, zwyczajnie powie, że przybyła tuż przed nią. Jak dotąd Mądre zazwyczaj pierwsze znajdowały drogę albo pojawiały się w tej samej

chwili, z pewnością jednak, jeśli Amys będzie przekonana, iż dzieli je różnica dosłownie sekundy, nie będzie to miało większego znaczenia.

Niemalże przywykła już do tego wrażenia, że jest obserwowana przez jakies niewidzialne oczy w tej ogromnej komnacie.

„To tylko kolumny i cienie, a takie ta cała rozległa pusta przestrzeń”.

Jednak nie potrafiła się pozbyć nadziei, że Amys lub Nynaeve nie każą na siebie długo czekać. Aczkolwiek mogło się zdarzyć inaczej. Czas zachowywał się równie dziwnie w *Tel'aran'rhiod* jak w każdym normalnym śnie, ale do umówionego spotkania pozostała i tak jeszcze dobra godzina. Być może starczy jej czasu na...

Nagle zdała sobie sprawę, że słyszy jakies głosy niczym odległe szepty między kolumnami. Objęła *saidara* i ostrożnie ruszyła w kierunku miejsca, z którego dobiegały, miejsca, gdzie Rand zostawił pod wielką kopułą *Callandora*. Mądre twierdziły, że kontrola nad *Tel'aran'rhiod* jest w nim tyleż samo warta co Jedyna Moc, jednak ona przecież znacznie lepiej radziła sobie z Mocą i ufała bardziej swoim umiejętnościom w tym zakresie. Trzymając się wciąż gąszczy grubych kolumn z czerwonego kamienia, zatrzymała się i rozejrzała.

To nie były dwie Czarne siostry, jak się obawiała, lecz również nie Nynaeve. Zamiast nich zobaczyła Elayne, stojącą w pobliżu lśniącej rękojeści *Callandora* wystającej ponad posadzkę, Elayne pogrążona była w rozmowie z najdziwniej ubraną kobietą, jaką Egwene w życiu widziała. Miała ona na sobie krótki biały kaftan osobliwego kroju i szerokie żółte spodnie zebrane w kostkach nad cholewami butów z podwyższonym obcasem. Na jej plecach spoczywał misternie spleciony, złocisty warkocz, w ręku trzymała łuk lśniący niczym polerowane srebro. Strzały w kołczanie wyglądały podobnie.

Egwene zacisnęła powieki. Najpierw kłopoty z suknią, a teraz to. Tylko dlatego, że czytała wcześniej o Birgitte — ktoś inny mógłby nosić srebrny łuk? — nie stanowił przecież dostatecznego powodu, by sobie zaraz ją wyobrażać. Birgitte czekała przecież — gdzieś — aż głos Rogu Valere wezwie ją wraz z pozostałymi bohaterami do Ostatniej Bitwy. Ale kiedy ponownie otworzyła oczy, Elayne i dziwnie ubrana kobieta wciąż tam były. Nie mogła wprawdzie usłyszeć dokładnie, o czym tamte mówią, tym razem jednak uwierzyła własnym oczom. Miała już oznajmić im swoją obecność, kiedy za nią przemówił jakiś głos:

— Postanowiłaś się pojawić wcześniej? Sama?

Egwene obróciła się na pięcie, by stanąć twarzą w twarz z Amys, pociemniałe od słońca oblicze tamtej wydawało się nazbyt młode w porównaniu z siwymi włosami, widoczny kontrast stanowiły też pomarszczone policzki Bair. Obie stały z ramionami zaplecionymi na piersiach, nawet sposób, w jaki ciasno owinęły się szalami, świadczył o ich irytacji.

— Zasnęłam mimowolnie — próbowała się wytłumaczyć Egwene.

Pojawiły się zdecydowanie za szybko, by mogła się odwołać do zawczasu

wymyślonej historii. Kiedy jednak pośpiesznie wyjaśniała im, że zdrzemnęła się niechcący, oraz dlaczego nie wróciła z powrotem — wyjąwszy tę część na temat Nynaeve i Amys rozmawiających na osobności — z zaskoczeniem poczuła lekkie ukłucie wstydu, że miała zamiar skłamać, i ulgę, iż tego nie uczyniła. Choć nie było wcale pewne, że prawda ją uratuje. Amys nie była tak bezwzględna jak Bair — przynajmniej nie całkiem — niemniej mogła odesłać ją do zajęcia polegającego na składaniu kamieni na stos przez resztę nocy. Spora część Mądrych wierzyła w wychowawcze oddziaływanie bezużytecznej pracy, nie można było sobie wmówić, że wykonuje się cokolwiek innego niżli pokutę, gdy zagrzebywało się popioły za pomocą łyżeczki. Obawiała się kary, ale one oczywiście mogły równie dobrze odmówić uczenia jej czegokolwiek. To już zdecydowanie wołałaby popioły.

Nie potrafiła stłumić westchnienia ulgi, gdy Amys pokiwała głową i rzekła:

— Czasami może się tak zdarzyć. Ale następnym razem wróć i śnij swoje własne sny, sama mogłam wysłuchać, co Nynaeve ma ci do powiedzenia, a potem przekazać. Gdyby Melaine nie była dzisiejszej nocy z Baelem i Dorindą, również znajdowałyby się tutaj. Przestraszyłaś Bair. Ona jest tak dumna z twoich postępów, że gdyby coś ci się stało...

Bair wcale nie wyglądała na dumną. Jeżeli już, to ponury grymas na jej twarzy jeszcze się pogłębił, gdy Amys na moment urwała.

— Masz szczęście, że Cowinde znalazła cię, kiedy wróciła posprzątać po kolacji i przestraszyła się, gdy nie potrafiła cię nawet poruszyć, abyś się przykryła kocami. Gdybym jednak podejrzewała, że byłaś tu sama dłużej niżli kilka przypadkowych minut... — W jej oczach rozbłysło ostre światło, można było wyczytać w nich niezbyt przyjemną obietnicę, po chwili jednak jej głos znowu zamienił się w zwykłe gderanie. — Teraz jak przypuszczam, będziemy musiały poczekać na pojawienie się Nynaeve, właściwie powinnyśmy wysłać cię z powrotem, ale nie mam ochoty wysłuchiwać twych błagań. Skoro musimy, to poczekamy, ale czas ten można z pożytkiem wykorzystać. Skoncentruj się na...

— To nie jest Nynaeve — pośpiesznie wtrąciła Egwene. Nie chciała wiedzieć na czym miałyby polegać jej lekcja, biorąc pod uwagę nastrój Bair. — To jest Elayne i...

Przerwała i odwróciła się. Elayne, w eleganckiej zielonej sukni stosownej raczej na bal, przechadzała się tam i z powrotem w pobliżu miejsca, gdzie z posadzki wystawał *Callandor*. Birgitte nie było nigdzie widać.

„Przecież jej sobie nie wyobraziłam”.

— Ona już tu jest? — zapytała Amys, podchodząc bliżej, żeby też jej się przyjrzeć.

— Kolejna młoda głuptaska — wymruczała Bair. — Dzisiejsze dziewczęta nie mają więcej rozumu i dyscypliny niż kozy.

Wysunęła się przed Egwene oraz Amys i stanęła między rozsiewającym iskry

Callandorem a Egwene, z rękoma wspartymi na biodrach.

— Nie jesteś moją uczennicą, Elayne z Andoru... chociaż wydobyłaś z nas dostateczną ilość wiedzy, by utrzymać się przy życiu tutaj, oczywiście jeśli zachowasz daleko idącą ostrożność... gdybyś jednak nią była, stłukłabym cię od stóp do głów i odesłała z powrotem do matki, dopóki nie dorośniesz na tyle, by można cię spuścić z oczu. Co, jak przypuszczam, zabrałoby ci tyle samo lat, ile już przeżyłaś. Wiem, że samotnie wchodzisz do Świata Snów, Nynaeve zresztą także. Jesteście obie głupie, że to robicie.

Elayne drgnęła, kiedy Bair tak niespodziewanie przed nią wyrosła, ale kiedy tyrada tamtej spływała na jej głowę, wzięła się w garść, chociaż czuła, jak gęsia skórka podchodzi jej aż pod brodę. Jej ubiór zmienił się na czerwony, stał się jeszcze bardziej olśniewający, na rękawach i wysokim staniku pojawiły się hafty, wśród których dojrzeć było można ryczące lwy i złote lilie, jej herb. Jasne loki spinał cienki złoty diadem, sylwetka ryczącego lwa osadzona w księżycowych łzach ponad jej brwiami. Chyba jeszcze nie potrafiła kontrolować tych rzeczy. Chociaż być może o to właśnie jej tym razem chodziło.

— Dziękuję ci za troskę — odparła wzniośle. — Prawdą jest jednak, iż nie jestem twoją uczennicą, Bair z Haido Shaacad. Wdzięczna jestem wam za wasze pouczenia, iść jednak muszę własną drogą, czekają mnie bowiem ważne zadania zlecone mi przez Amyrlin.

— Ona nie żyje — odparła zimno Bair. — Twierdzisz, iż jesteś posłuszną martwej kobiecie.

Egwene niemal czuła, jak włosy na karku Bair jeżą się z gniewu, jeżeli zaraz czegoś nie zrobi, Bair może zdecydować, że udzieli Elayne bolesnej lekcji. Ostatnią rzeczą, jakiej teraz potrzebowały, była sprzeczką.

— Co... dlaczego ty jesteś tutaj, a nie Nynaeve? — Miała zamiar zapytać, co Elayne tutaj robi, ale byłaby to tylko woda na młyn Bair, a ponadto mogłoby wyjść na to, że ona staje po stronie Mądrej. Tak naprawdę chciała zapytać, co Elayne robiła, rozmawiając z Birgitte.

„Nie wyobraziłam sobie tego”.

Być może był to ktoś, kto śnił o tym, że jest Birgitte. Ale tylko tym, którzy świadomie wkraczali do *Tel'aran'rhiod*, udawało się pozostać w nim dłużej niżli kilka chwil, Elayne zaś z pewnością nie rozmawiałaby z nikim takim. Ale z drugiej strony, gdzież to Birgitte i pozostali czekają na wezwanie Rogu?

— Nynaeve boli głowa. — Diadem zniknął, a ubiór Elayne stał się znacznie prostszy, hafty też prawie wszystkie zniknęły, tylko stanik otaczało kilka złotych splotów.

— Jest chora? — niespokojnie zapytała Egwene.

— Tylko ból głowy i kilka skaleczeń — Elayne zachichotała i mrugnęła. — Och, Egwene, nie uwierzyłybyś. Cała czwórka braci Chavana przyszła do nas na kolację. Ale tak naprawdę po to, by flirtować z Nynaeve. Przez pierwszych

kilka dni próbowali flirtować ze mną, ale Thom porozmawiał z nimi i przestali. Nie miał prawa tego robić. Rozumiesz jednak przecież, że wcale nie chciałam z nimi flirtować. W każdym razie, oto są u nas, flirtują z Nynaeeve... albo próbują przynajmniej, ponieważ ona nie zwraca na nich większej uwagi niż na bzyzące muchy... kiedy nagle do środka wpadła Latelle i zaczęła okładać Nynaeeve kijem, wyzywając ją od najgorszych.

— Czy coś jej się stało? — Egwene nie była pewna, o którą jej chodzi. Jeżeli Nynaeeve naprawdę się zdenerwowała...

— Jej nie. Chavana próbowali odciągnąć Latelle, Taeric zaś zapewne będzie teraz kulał przez kilka dni, nie wspominając już o rozbitej wardze Brugha. Petra musiał zanieść Latelle do jej wozu i wątpię, by przez jakiś czas wyściubiła zeń nos. — Elayne potrząsnęła głową. — Luca nie wiedział już kogo winić... jeden z jego akrobatów kontuzjowany, treserka niedźwiedzi leży zapłakana w łóżku... a więc zrzucił winę na wszystkich i pomyślałam wtedy, że Nynaeeve również jemu ma zamiar natrzeć uszu. Przynajmniej powstrzymała się i nie przeniosła, raz czy dwa wydawało mi się, że jednak się nie opanuje, dopóki nie zobaczy leżącej na ziemi Latelle.

Amys i Bair wymienili spojrzenia, z których nie sposób było cokolwiek wyczytać, z pewnością po Aes Sedai nie spodziewały się takiego zachowania.

Egwene sama również poczuła się trochę nieswojo, ale głównie dlatego, że opowiadano jej teraz o rozmaitych ludziach, o których wcześniej tylko przelotnie słyszała. Dziwni ludzie, podróżujący z lwami, psami i niedźwiedziami. Oraz Iluminatorka. Nie potrafiła uwierzyć, że ten Petra mógł być tak silny, jak twierdziła Elayne. Ale z kolei Thom nie tylko zonglował, lecz również połykał ogień, to zaś, co Elayne robiła z Juilinem, brzmiało równie niesamowicie, nawet jeśli używała do tego Mocy.

Jeżeli Nynaeeve o mało co nie zaczęła przenosić... Elayne musiała widzieć poświęć, która otoczyła ją, gdy objęła *saidara*: Czy miały naprawdę dostateczny powód, by się ukrywać, czy też nie, z pewnością nic im z tego nie wyjdzie, gdy jedna z nich zacznie przenosić i pozwoli, by inni to zobaczyli. Bez wątpienia dotrze to do siatki szpiegowskiej Wieży, tego typu wieści rozchodziły się szybko, szczególnie wzięwszy pod uwagę fakt, że wciąż się znajdowały na terytorium Amadicii.

— Powiedz ode mnie Nynaeeve, że powinna trzymać swoje emocje na wodzy, albo będę musiała powiedzieć jej kilka słów, które na pewno jej się nie spodobają. — Elayne wyglądała na zaskoczoną, Nynaeeve z pewnością nie powtórzyła jej, co się między nimi dwoma zdarzyło. Egwene dodała jeszcze: — Jeżeli zacznie przenosić, możesz być pewna, że Elaida dowie się o tym, jak tylko gołąb doleci do Tar Valon.

Nie mogła powiedzieć nic więcej, jednak Amys i Bair ponownie spojrzały na siebie pytająco. Nie zdradziły jednak, co naprawdę myślą o podzielonej Wieży

oraz o Amyrlin, która w ich mniemaniu wydawała rozkazy Aes Sedai i została przez nie otruta. W porównaniu z nimi Moiraine naprawdę zachowywała się jak wiejska plotkarka.

— W rzeczy samej żałuję, że nie spotkałyśmy się bez świadków. Gdybyśmy były w Wieży, w naszych starych pokojach, powiedziałabym wam obu parę słów do słuchu.

Elayne zeszywniała, stając się nagle równie królewska i chłodna, jak przedtem wobec Bair.

— Możesz mi powiedzieć, co zechcesz i kiedy tylko zechcesz.

Zrozumiała? Same, z dała od Mądrych. W Wieży. Egwene mogła tylko żywić taką nadzieję. Lepiej zmienić temat i wierzyć, że Mądre nie zastanowią się nad sensem jej słów równie skrupulatnie, jak oczekiwała tego po Elayne.

— Czy ta bijatyka z Latelle spowodowała jakieś problemy? — Co ta Nynaeve właściwie wyrabia? W Dwu Rzekach każdą kobietę, przynajmniej równą jej wiekiem, za coś takiego postawiłaby błyskawicznie przed Kołem Kobiet, zanim tamta zdążyłaby nawet mrugnąć. — W tej chwili musicie już chyba zbliżyć się do Ghealdan.

— Jeszcze jakieś trzy dni. Luca powiada, że o ile oczywiście będziemy mieli szczęście. Menażeria nie porusza się szczególnie szybko.

— Być może powinniście już ich zostawić.

— Być może — powoli odparła Elayne. — Naprawdę chętnie przespacerowałabym się po linie, choć raz przed. . .

Potrząsnęła głową, spojrzała na *Callandora*, jej dekolt nie spodziewanie się pogłębił, po chwili jednak wrócił do poprzednich rozmiarów.

— Nie wiem, Egwene. Samotnie też nie mogłybyśmy podróżować szybciej niż teraz, a na dodatek nie wiemy, dokąd właściwie się udać. — To oznaczało, że Nynaeve nie przypominała sobie jeszcze, gdzie zbierają się Błękitne. Oczywiście, o ile raport Elaidy był w tej materii wiarygodny. — Nie wspominając już o tym, że Nynaeve gotowa jest wybuchnąć, jeśli porzucimy wóz i kupimy konie pod siodło albo następny powóz. Ponadto obie dowiadujemy się mnóstwa rzeczy o Seanchanach. Cerandin była opiekunką *s'redit* na Dworze Dziewięciu Książyców, gdzie zasiada na tronie Imperatorowa Seanchan. Wczoraj pokazała nam przedmioty, które zabrała ze sobą, gdy uciekała z Falme. Egwene, ona ma *a'dam*.

Egwene zrobiła kilka kroków naprzód, jej suknie musnęły *Callandora*. Niezależnie od tego, co sobie wyobraża Nynaeve, pułapki zastawione przez Randa na pewno nie były materialne.

— Jesteś pewna, że ona nie była *sul'dam*? — Jej głos aż drżał od gniewu.

— Jestem pewna — uspokajająco potwierdziła Elayne. — Sama założyłam jej *a'dam* i nie wywarło to na niej żadnego wrażenia.

Istniała tajemnica, której Seanchanie nie znali, a jeśli znali, to skrywali głęboko. Ich *damane* były kobietami z wrodzoną iskrą talentu i potrafiłyby przenosić,

nawet gdyby ich tego nie uczono. Ale *sul'dam*, które kontrolowały *damane* — były kobietami, które musiały się uczyć przenoszenia. Seanchanie uważali te, które potrafią przenosić, za niebezpieczne zwierzęta, które należy trzymać pod ścisłą kontrolą, a jednak nieświadomie przyznawali wielu spośród nich szacowne miejsce w swej społeczności.

— Nie rozumiem tego waszego zainteresowania Seanchanami. — Amys wymówiła tę nazwę. trochę niezgrabnie, nie słyszała jej dotąd, póki Elayne nie napomknęła o nich podczas ostatniego spotkania. — To, co robią, jest straszne, ale przecież już odeszli. Rand al'Thor pokonał ich, a oni uciekli.

Egwene odwróciła się i spojrzała na szeregi wielkich czerwonych kolumn giące w mroku.

— Odeszli, ale to nie znaczy, że nie mogą powrócić. — Nie chciała, by widziały wyraz jej twarzy, nawet Elayne. — Musimy dowiedzieć się o nich tyle, ile tylko można, na wypadek gdyby wrócili.

W Falme nałożyli jej *a'dam*. Chcieli wysłać przez Ocean Aryth do Seanchan, by spędziła resztę życia niczym pies na smyczy. Za każdym razem, gdy o tym myślała, wrzał w niej gniew. Ale także strach. Strach, że jeśli wrócą, to tym razem uda im się porwać ją i zatrzymać. Tych właśnie uczuć nie chciała im okazać. Czystego przerażenia, które, wiedziała, musiało wyzierać z jej oczu.

Elayne położyła jej dłoń na ramieniu.

— Będziemy teraz gotowe, jeśli rzeczywiście wrócą — powiedziała łagodnie. — Nie zaskoczą nas nieświadomych i nie spodziewających się niczego.

Egwene poklepała jej dłoń, choć w istocie miała ochotę kurczowo ją uścisnąć, Elayne rozumiała więcej, niżli by sobie życzyła, a jednak w jakiś sposób przynosiło to pociechę.

— Skończmy z tym, po co się tutaj znalazłyśmy — energicznie oznajmiła Bair. — Naprawdę musisz się już położyć spać, Egwene.

— Kazałyśmy *gai'shain* rozebrać cię i przykryć kocami. — Ku jej zaskoczeniu w głosie Amys brzmiała taka sama tkliwość, jak w głosie Elayne. — Kiedy już wrócisz do swego ciała, będziesz mogła spać aż do rana.

Policzki Egwene poczerwieniały. Biorąc pod uwagę zwyczaje Aielów, całkiem możliwe, że wśród tych *gai'shain* byli mężczyźni. Będzie musiała z nimi na ten temat pomówić — delikatnie, oczywiście, one i tak nie rozumieją, a nie była to rzecz, o której wygodnie jest mówić.

Zdała sobie sprawę, że strach ją opuścił.

„Najwyraźniej bardziej obawiam się zawstydzenia niż Seanchan”. — To nie była prawda, jednak uczepliła się tej myśli.

Niewiele już pozostało rzeczy, o których należało poinformować Elayne. Że na koniec dotarli do Cairhien, że Couladin zniszczył Selean i spustoszył okoliczne ziemie, że Shaido wciąż byli całe dni drogi przed nimi i szli na zachód. Mądre wiedziały więcej od niej, nie od razu chodziły do swych namiotów. Wieczorem

zdarzyły się jakieś potyczki, niewielkie i nieliczne, z mężczyznami na koniach, którzy szybko umknęli, oraz z innymi konnymi, którzy uciekli bez walki. Nie wzięto żadnych jeńców. Moiraine i Lan chyba sądzili, że ci napastnicy to byli jacyś bandyci oraz zwolennicy jednego z Domów roszczących sobie pretensje do Tronu Słońca. Wszyscy byli jednak obszarpani. Kimkolwiek wszakże byli, wkrótce rozejdą się wieści, że na Cairhien napadli kolejni Aielowie.

— Wcześniej czy później musieli się dowiedzieć — tyle tylko powiedziała Elayne.

Egwene obserwowała ją, gdy wraz z Mądrymi rozplywała się w powietrzu, znikając — dla niej wyglądało to tak, jakby Elayne i Serce Kamienia stawały się coraz bardziej przezroczyste — ale złotowłosa przyjaciółka nie dała nawet znaku, że pojęła wiadomość.

SNY O GALADZIE

Zamiast wrócić do własnego snu, Egwene unosiła się w ciemnościach. Miała wrażenie, że sama jest częścią ciemności, pozbawiona ciała. Nie miała pojęcia, czy ono znajduje się w górze, w dole czy z boku względem świadomości — w tym miejscu nie istniały kierunki — ale wiedziała, iż jest gdzieś blisko, że z łatwością może doń wrócić. Wszędzie, w otaczającej ją czerni, zdawały się migotać świetliki, wielkim rojem niknącym w oddali. To były sny, sny Aielów w obozowisku, sny mężczyzn i kobiet w całym Cairhien, na całym świecie — wszystkie lśniły w tym jednym miejscu.

Teraz już potrafiła wybrać sobie jeden z najbliższych i określić, kim jest śniący. W pewnym sensie te iskry były identyczne jak świetliki — to właśnie z początku sprawiało jej tyle kłopotów — z drugiej strony jednak, w jakiś sposób zdawały się równie zindywidualizowane niczym twarze. Sny Randa i Moiraine zdawały się nieme, stłumione za zasłonami, które tamci splekli. Sny Amys i Bair były jasne i regularnie pulsowały, najwyraźniej same skorzystały z własnej rady. Gdyby nie zobaczyła tego, co chciała zobaczyć, byłaby w mgnieniu oka w swoim ciele. Tamte dwie potrafiły przemierzać tę ciemność znacznie sprawniej od niej, nim uświadomiłaby sobie, gdzie się znajdują, już by siedziały jej na karku. Jeśli kiedykolwiek nauczyłaby się rozpoznawać w ten sam sposób sny Elayne i Nynaeve, mogłaby odszukać je w tej wielkiej konstelacji, gdziekolwiek by się znajdowały. Ale tej nocy nie miała zamiaru obserwować niczych snów.

Uważnie uformowała w swoim umyśle dobrze zapamiętany obraz i już była na powrót w *Tel'aran'rhiod*, w małym pozbawionym okien pomieszczeniu w Wieży, w którym mieszkała jako nowicjuszka. Wąskie łóżko wbudowane w pomalowaną na biało ścianę. Umywalka i taboret na trzech nóżkach stały po przeciwnej stronie drzwi, a suknie i bielizna obecnej lokatorki wisały obok białego płaszcza na kołkach. Równie dobrze w tym pomieszczeniu mógł nikt nie mieszkać, od wielu już lat w Wieży nie wszystkie kwatery nowicjuszek były zajęte. Podłoga była prawie równie biała jak ściany i rzeczy. Każdego dnia mieszkająca tu nowicjuszka szorowała ją na kolanach, Egwene sama to robiła, i Elayne również, w sąsiedniej izbie.

Ubiory zmieniły swe położenie, kiedy powtórnie na nie spojrzała, ale zignoro-

wała to. Gotowa w każdej chwili do objęcia *saidara*, otworzyła drzwi tyle tylko, by wystawić głowę na korytarz. I wypuściła z ulgą wstrzymywany oddech, kiedy zobaczyła równie powoli wychylającą się z sąsiednich drzwi głowę Elayne. Egwene miała tylko nadzieję, że sama nie wygląda na tak przestraszona i niepewna. Szybko wycofała się do izby, a Elayne podeszła do niej odziana w biel nowicjuski, która natychmiast zmieniała się w szary jedwab, gdy tylko tamta wbiegła do środka. Egwene nienawidziła szarych sukni, takie właśnie nosiły *damane*.

Przez chwilę jeszcze stała w miejscu, przypatrując się odgrodzonym balustradami galeriom kwater nowicjuszek. Wznosiły się w górę, piętro za piętro, równie liczne schodziły ku Dziedzińcowi Nowicjuszek. Nie chodziło o to, że spodziewała się zastać tutaj Liandrin albo nie wiadomo kogo, jednak ostrożność nigdy nie zawadzi.

— Tak właśnie myślałam — oznajmiła Elayne, kiedy Egwene zamknęła drzwi. — Czy masz jakieś pojęcie, jak trudno jest pamiętać, co mogę mówić i w czyjej obecności? Czasami chciałabym wyznać wszystko tym Mądrym. Powiedzieć im, że jesteśmy tylko Przyjętymi i mieć to wreszcie z głowy.

— Ty miałabyś to z głowy — zdecydowanie powiedziała Egwene. — Ja akurat sypiam w odległości nie. większej niż dwadzieścia kroków od nich.

Elayne zadrżała.

— Ta Bair. Przypomina mi Lini w sytuacji, kiedy stłukłam coś, czego nie pozwalano mi nawet dotykać.

— Poczekaj, aż przedstawię cię Sorilei. — Elayne obdarzyła ją pełnym wątpliwania spojrzeniem, ale przecież Egwene również nie była przekonana co do prawdziwości historii krążących na temat Sorilei, dopóki nie stanęła z nią oko w oko. Nie było sposobu na proste załatwienie tej sprawy. Poprawiła szal na ramię. — Opowiedz mi o spotkaniu z Birgitte. To była Birgitte, czyż nie?

Elayne zachwiała się, jakby otrzymała cios w żołądek. Na moment przymknęła oczy, a potem wciągnęła powietrze.

— Nie mogę o tym mówić.

— Co to znaczy, że nie możesz mówić? Masz przecież język. To była Birgitte?

— Naprawdę nie mogę, Egwene. Musisz mi uwierzyć. Powiedziałabym ci, gdybym mogła, ale nie mogę. Być może... mogłabym zapytać... — Gdyby Elayne była kobietą skłoną do załamywania rąk, zapewne uczyniłaby to w tej chwili. Jej usta otwierały się i zamykały, ale nie potrafiła dobyć z nich słowa, wzrok biegał po całym pokoju, jakby gdzieś, na którejś ze ścian spodziewała się znaleźć źródło inspiracji lub pomoc. Wzięła głęboki oddech i skupiła usilne spojrzenie błękitnych oczu na Egwene. — Wszystko, co powiem, narusza zaufanie, którym mnie obdarzono. Nawet to. Proszę, Egwene. Musisz mi zaufać. I nie wolno ci nikomu mówić, o tym co... zdaje ci się, że widziałas.

Egwene zmusiła się, by nadać swej twarzy nieco przyjemniejszy wyraz.

— Zaufam ci. — Przynajmniej wie teraz na pewno, że nie zwidują się jej jakieś rzeczy.

„Birgitte? Światłości!”

— Mam nadzieję, że pewnego dnia ty zaufasz mi na tyle, by mi powiedzieć.

— Ja ci ufam, ale... — kręcąc głową, Elayne usiadła na skraju schludnie za-
słanego łóżka. — Zbyt wiele rzeczy trzymamy w tajemnicy, Egwene, ale czasami
naprawdę są ku temu powody.

Po chwili Egwene pokiwała głową i usiadła obok niej.

— Kiedy będziesz mogła — tyle tylko powiedziała, jednak jej przyjaciółka
z wyraźną ulgą uściskała ją.

— Obiecałam sobie, że choć raz o niego nie zapytam, Egwene. Choć raz nie
pozwolę, by cały czas okupował moje myśli. — Szara suknia do konnej jazdy
zmieniła się w połyskliwą zieloną szatę, Elayne zapewne nie była świadoma, jak
głęboki ma dekolt. — Jednak... czy Rand miewa się dobrze?

— Żyje i nic mu się nie stało. W Łzie myślałam już, że stał się twardy, ale
dzisiaj słyszałam, jak groził, iż będzie wieszać ludzi, którzy sprzeciwią się jego
zarządzeniom. Nie chodzi o to, że były to jakieś niewłaściwie rozkazy... zabronił
brać komukolwiek żywność bez zapłaty albo mordować... ale jednak. Oni byli
pierwsi, którzy uznali w nim Tego Który Przychodzi Ze Świtem i bez wahania
poszli za nim z Pustkowia. A on im grozi, twardy niczym chłodna stal.

— To nie jest groźba, Egwene. On jest królem, niezależnie od tego, co ty
lub ktokolwiek inny ma na ten temat do powiedzenia, a król czy królowa muszą
zaprowadzać sprawiedliwość, nie, bacząc na strach przed wrogami czy łaski roz-
dzielane przyjaciółom. Każdy, kto to robi, musi być twardy. Macierzyńska czułość
mogłaby sprawić, że mury obronne miasta staną się słabe.

— Ale on nie musi być w tym wszystkim taki arogancki — upierała się Egwe-
ne. — Nynaeve mówi, że powinnam przypominać mu, iż jest tylko człowiekiem,
ale jeszcze nie znalazłam na to sposobu.

— On rzeczywiście powinien pamiętać, że jest tylko człowiekiem. Ale ma pra-
wo oczekiwać, iż jego rozkazy będą wypełniane. — W jej głosie zabrzmiał jakiś
dumny ton, dopóki nie spojrzała na siebie. Potem jej twarz oblała się szkarłatem,
a w miejsce dekoltu pojawiła się koronka sięgająca aż po szyję. — Jesteś pewna,
że nie mylisz tego z arogancją? — skończyła zdławionym głosem.

— Jest pewny siebie niczym świnia na polu grochu. — Egwene rozmościła się
na łóżku, w jej wspomnieniach wydawało się twarde, jednak cienki materac był
teraz znacznie bardziej miękki niż ten, na którym sypiała w namiocie. Nie chciała
dalej rozmawiać o Randzie. — Jesteś pewna, że ta bójka nie wywoła dalszych
kłopotów? — Waśń z tą Latelle nie mogła uczynić ich podróży przyjemniejszą.

— Nie sędzę. Zazdrość Latelle o Nynaeve polegała na tym, że wszyscy wol-
ni mężczyźni nie należeli już do niej i nie mogła w nich swobodnie przebierać.
Niektóre kobiety naprawdę myślą w ten sposób, jak mniemam. Aludra zajmuje

się swoimi sprawami, Cerandin zaś nie potrafiłaby przepłoszyć gęsi, dopiero ja zaczęłam ją uczyć, jak należy się o siebie troszczyć, natomiast Calrine jest żoną Petry. Ale Nynaeve przecież wszem i wobec obiecała, że oberwie uszy każdemu mężczyźnie, który choćby pomyśli o flirtowaniu z nią, a potem przeprosiła Latelle, więc mam nadzieję, że wszystko się jakoś ułoży.

— Przeprosiła?

Tamta pokiwała głową, na jej twarzy odbiło się zdziwienie, jakie Egwene spodziewała się zobaczyć na swojej.

— Myślałam, że uderzy Luke, gdy powiedział jej, że musi to zrobić. . . jeśli już o tym mowa, to on najwyraźniej nie uważa, aby jej groźba odnosiła się również do niego. . . ale w końcu tak zrobiła po jakichś godzinnych chyba narzekaniach. — Zawahała się i spojrzała z ukosa na Egwene. — Czy powiedziałaś jej coś podczas waszego ostatniego spotkania? Jest. . . jakaś inna. . . od tego czasu i czasami mówi do siebie. Kłóci się sama ze sobą. I to dotyczy ciebie, z tego co udało mi się posłyszeć.

— Nie powiedziałam nic takiego, czego powiedzieć nie należało. — A więc jednak podziałało, niezależnie do tego, co się między nimi zdarzyło. Albo Nynaeve kumuluje w sobie złość, czekając na następne spotkanie. Nie miała najmniejszego zamiaru kłócić się z nią już więcej, nie teraz, kiedy wiedziała, że przecież nie musi. — Powiedz jej ode mnie, że jest już zbyt stara, żeby zabawiać się w jakieś zapasy. Jeżeli mnie nie posłucha, to powiem jej bardziej przykre rzeczy. Dokładnie to jej powtórz. Będzie jeszcze gorzej.

Niech Nynaeve ma nad czym myśleć do następnego razu. Albo będzie potulna jak baranek. . . Albo w przeciwnym razie Egwene będzie musiała zrealizować swoją groźbę. Nynaeve mogła być sobie silniejsza, jeśli chodzi o posługiwanie się Mocą, kiedy oczywiście zdolna była przenosić, jednak tutaj nie mogła się z nią mierzyć. W taki czy inny sposób, skończyła już z jej napadami złego humoru.

— Powtórzę jej — zgodziła się Elayne. — Ty też się zmieniłaś. Jest w tobie coś, co przypomina obecnego Randa.

Egwene dopiero po chwili zrozumiała, co tamta ma na myśli, pomógł ten nieznaczny uśmiech.

— Nie bądź głupia.

Elayne zaśmiała się i uścisnęła ją ponownie.

— Och, Egwene, będziesz pewnego dnia Zasiadającą na Tronie Amyrlin, podczas gdy ja będę królową Andoru.

— O ile będzie jeszcze istniała jakaś Wieża — trzeźwo zauważyła Egwene, a śmiech Elayne zamarł.

— Elaida nie może zniszczyć Białej Wieży, Egwene. Cokolwiek uczyni, Wieża przetrwa. Być może długo nie będzie Amyrlin. Kiedyś Nynaeve przypomni sobie przecież nazwę tego miasteczka, założę się, że wtedy znajdziemy Wieżę na wygnaniu ze wszystkimi Ajah z wyjątkiem Czerwonych.

— Też mam taką nadzieję. — Egwene zdawała sobie sprawę, że w jej głosie brzmi smutek. Chciała przecież, by Aes Sedai opowiedziały się za Randem, a przeciwko Elaidzie, jednak oznaczało to przecież nieunikniony rozpad Białej Wieży, która być może nigdy już nie stanie się jednością.

— Muszę wracać — powiedziała Elayne. — Nynaeve nalega każdorazowo, żeby ta z nas, która nie wchodzi do *Tel'aran'rhiod*, pozostawała przytomna, a z tym jej bólem głowy, to tak naprawdę powinna wypić któryś z tych swoich naparów i położyć się spać. Nie mam pojęcia, dlaczego tak się przy tym upiera. Ta, która czuwa na jawie, i tak nie będzie mogła w niczym pomóc, a obie przecież wiemy teraz wystarczająco dużo, by być tu całkowicie bezpieczne.

Jej zielona suknia zmieniła się na moment w biały kaftan Birgitte i żółte spodnie tamtej, po chwili wróciła do poprzedniego stanu.

— Nynaeve nie kazała ci tego mówić, ale ona myśli, że Moghedien próbuje nas odnaleźć. Ją i mnie.

Egwene nie zadała oczywistego pytania. Z pewnością było to coś, co wiedziały od Birgitte. Dlaczego Elayne tak bardzo nalegała na utrzymanie wszystkiego w tajemnicy?

„Ponieważ obiecała. Elayne nigdy w życiu nie złamała obietnicy”.

— Powiedz jej, żeby była ostrożna. — Małe szanse, że Nynaeve spokojnie siedzi i czeka, wiedząc, iż jedna z Przeklętych ją ściga. Na pewno nie zapomniła, że raz już ją pokonała, a zawsze miała więcej odwagi niż rozumu. — Przeklętych nie można lekceważyć. To samo odnosi się do Seanchanki, nawet jeśli jest tylko rzekomą treserką zwierząt. Powiedz jej to.

— Nie przypuszczam, byś ty posłuchała, gdybym powiedziała ci, że masz być ostrożna.

Spojrzała na Elayne z zaskoczeniem.

— Zawsze jestem ostrożna. Wiesz o tym.

— Oczywiście.

Ostatnią rzeczą, jaką Egwene Zobaczyła, gdy tamta powoli zniknęła, był uśmiech pełen nie skrywanego rozbawienia.

Sama nie ruszała się na razie z miejsca. Jeżeli Nynaeve nie potrafiła sobie przypomnieć, gdzie znajdowało się zgromadzenie Błękitnych, to być może jej uda się to odkryć. Nie był to nowy pomysł ani też jej pierwsza wizyta w Wieży od czasu spotkania z Nynaeve. Ukryła się pod obliczem Enaili, z sięgającymi do ramion płomiennorudymi włosami, oraz sukienką Przyjętej z wielokolorową lamówką, potem przywołała obraz zdobnie umeblowanego gabinetu Elaidy.

W jego wnętrzu niewiele się zmieniło, choć przy każdej wizycie przed szerokim stołem stało coraz mniej rzeźbionych w liście winorośli stołków. Nad kominkiem wciąż wisiły te same rysunki. Egwene podeszła prosto do stołu, odsunęła na bok ten przypominający tron fotel inkrustowany kością słoniową w płomień Tar Valon, dzięki czemu mogła łatwo sięgnąć do lakierowanej szkatułki na listy.

Uniosła wieczko z namalowanymi chmurami i walczącymi jastrzębiami i zaczęła, najszybciej jak potrafiła, przeglądać pergaminy. Mimo to niektóre w połowie lektury zniknęły, inne zmieniły się. A nie było jak stwierdzić z góry, co jest ważne, a co zupełnie nieistotne.

Były to prawie same raporty donoszące o kolejnych porażkach. Wciąż ani słowa na temat miejsca, do którego lord Bashere zabrał swoją armię, w raporcie wyraźnie pobrzmiwały tony zawodu i zmartwienia. Imię generała poruszyło jakąś strunę w jej umyśle, ale nie mając czasu do stracenia, odłożyła to na później i wzięła do ręki następną kartkę. Dalej ani słowa na temat tego, gdzie jest Rand, donosił unizony raport, w którym między wierszami wyczuwało się niemalże panikę. To była pożyteczna wiadomość, sama w sobie warta tej podróży. Minął ponad miesiąc, odkąd otrzymano ostatnie wieści z Tanchico, niezależnie od tego, którą siatkę szpiegowską Ajah brało się pod uwagę, a te z Tarabon także zamilkły — pisząca te słowa składała całą winę na anarchię tam panującą, plotki na temat tego, że ktoś zajął Tanchico, nie zostały potwierdzone, lecz autorka raportu sugerowała, iż być może w sprawę zamieszany był Rand. Jeszcze lepiej, gdy Elaida będzie szukała go w miejscu oddalonym o tysiąc lig. Pełen niepewności i zmieszania raport donosił, że Czerwona siostra w Caemlyn informowała, jakoby widziała Morgase na publicznej audyencji, jednak pozostałe Ajah twierdziły, że królowa pozostaje w odosobnieniu od wielu już dni. Walki na Ziemiach Granicznych, być może oznaczające drobne bunty w Shienarze oraz Arafael — pergamin zniknął, zanim zdążyła się doczytać przyczyn. Pedron Niall wzywa Białe Płaszczki do Amadicii, przypuszczalnie przygotowując ofensywę przeciwko Altarze. Dobrze się stało, że Elayne i Nynaeve nie będą tam dłużej niż tylko trzy dni.

Następny pergamin dotyczył właśnie Elayne i Nynaeve. Pisząca doradzała na samym początku, by ukarać agentkę, która pozwoliła im uciec — Elaida pokreśliła te słowa grubym pociągnięciem pióra i dopisała na marginesie: „Dla przykładu!” — a potem, dokładnie w chwili, gdy autorka zaczynała ze szczegółami opisywać poszukiwania tej dwójki w Amadicii, pojedyncza kartka zmieniła się w cały plik bibułek, na pierwszy rzut oka wyglądających jak plany architektoniczne i budowlane prywatnej rezydencji Amyrlin na terenach Wieży. Wnosząc po ilości stron, miał to być raczej rodzaj pałacu.

Wypuściła więc kartki z ręki, a one zniknęły, zanim zdążyły się rozsypać na blacie stołu. Lakierowana szkatułka znowu się zamknęła. Dobrze wiedziała, że mogła tutaj spędzić resztę życia, w pudełku zawsze będą kolejne dokumenty i zawsze będą się zmieniać. Im bardziej coś było efemeryczne w świecie jawy — list, część ubrania, dzbanek, który ciągle zmienia swe położenie — tym mniej trwałe było jego odbicie w *Tel'aran'rhiod*. Nie mogła jednak zostać tutaj nazbyt długo, przebywanie w Świecie Snów nie pozwalało odpocząć w takim samym stopniu jak normalny sen.

Pospiesznie przeszła do przedpokoju, miała już sięgnąć do schludnego stosu

zwojów i pergaminów na stole Opiekunki — na niektórych były nawet pieczęcie — kiedy pomieszczenie jakby zamigotało. Zanim zdążyła się zastanowić, co to oznacza, drzwi otworzyły się, do wnętrza zaś wszedł Galad, z uśmiechem na ustach, w swoim brokatowym błękitnym kaftanie dokładnie dopasowanym do ramion i obcisłych spodniach ukazujących kształt łydek.

Westchnęła głęboko, ścisnęła ją w żołądku. Mężczyzna nie może być taki piękny, to nie w porządku.

On zaś podszedł bliżej, zmrużył oczy i delikatnie dotknął palcami jej policzka.

— Czy przespacerujesz się ze mną po ogrodach Wieży? — zapytał cicho.

— Jeżeli wy dwoje chcecie się migdalić — odezwał się zniecierpliwiony przenikliwy kobiecy głos — to wolałabym, byście nie robili tego tutaj.

Egwene odwróciła się natychmiast i spojrzała na Leane siedzącą za stołem, stuła Opiekunki otaczała jej ramiona, na twarzy o miedzianych policzkach zastygł słodki uśmiech.

Drzwi do gabinetu Amyrlin były otwarte, a w nich widać było Siuan, stała za swoim prostym stołem i czytała jakiś długi pergamin, pasiasta stuła, symbol urzędu, spoczywała na jej ramionach. To było jakieś szaleństwo.

Uciekła, nawet nie zastanawiając się, jaki obraz tworzy przed oczyma... i znalazła się nagle, z trudem łapiąc oddech, na Łące w Polu Emonda, otoczona ze wsząd krytymi strzechą dachami, mając przed sobą źródło Winnej Jagody, wytryskujące z kamiennej odkrywki na szerokiej połaci zieleni. W pobliżu bystrogo, błyskawicznie rozszerzającego się strumienia stała niewielka gospoda jej ojca z niską kamienną podmurówką i wystającym okapem pierwszego piętra wymytmym do białości. „Jedyny taki dach w Dwu Rzekach” — często mawiał Bran al’Vere o swych czerwonych dachówkach. Wielkie kamienne fundamenty w pobliżu gospody „Winna Jagoda” oraz potężny rozłożysty dąb wyrastający z ich środka były znacznie starsze od samej gospody.

„Głupia”.

Po ostrzeżeniu Nynaeve przed snami w *Tel’aran’rhiod*, teraz sama omal nie dała się złapać w pułapkę jednego ze swoich własnych. Chociaż to dziwne, że przyśnił jej się właśnie Galad. Ta prawda, śniła o nim czasem. Poczula, jak pali ją twarz, z pewnością go nie kochała, czy nawet szczególnie lubiła, ale był tak piękny i w tych snach zachowywał się znacznie śmieiej, niżli życzyłaby sobie tego na jawie. To o jego bracie, Gawynie, śniła znacznie częściej, ale to było równie głupie. Cokolwiek twierdziła Elayne, nigdy nie wyjawiał swych uczuć do niej.

To ta głupia książka, z tymi wszystkimi opowieściami o kochankach. Kiedy tylko obudzi się rano, powinna natychmiast zwrócić ją Aviendzie. I powiedzieć jej, że jej zdaniem tamta czyta ją nie tylko dla pomieszczonych w niej przygód.

Jednak nie miała ochoty jeszcze stąd odchodzić. Dom. Pole Emonda. Ostatnie miejsce, w którym naprawdę czuła się bezpiecznie. Minęło ponad półtora roku, odkąd je widziała, a mimo to wszystko pozostało tak, jak zapamiętała. Nie cał-

kiem. Na Łące stały dwa wysokie maszty, na których powiewały wielkie sztandary. Czy Perrin miał cokolwiek z tym wspólnego? Nie potrafiła tego sobie wyobrazić. A jednak on właśnie wrócił do domu, tak powiedział Rand, śniła zaś o nim i wilkach więcej niżli raz.

Dość tego głupiego wystawiania tutaj. Czas by...

Migotanie.

Jej matka wyszła z gospody, z przetykanym pasmami siwizny warkoczem przewieszanym przez ramię. Marin al'Vere była szczupłą kobietą, wciąż przystojną, najlepszą kucharką w Dwu Rzekach. Egwene słyszała, jak jej ojciec śmieje się z wnętrza wspólnej izby, gdzie spotykał się z resztą Rady Wioski.

— Wciąż tu jesteś, dziecko? — zapytała matka, łagodnie ją besztając i uśmiechając się. — Z pewnością jesteś już od tak dawna zameżna, by rozumieć, iż twój mąż nie powinien się dowiedzieć, że pogrążasz się w czarnych myślach, kiedy na niego czekasz. — Pokręciła głową i zaśmiała się. — Za późno. Oto i on.

Egwene odwróciła się chętnie, jej spojrzenie przemknęło nad głowami dzieci bawiących się na Łące. Deski Mostu Wozów załomotały, gdy Gawyn przegalopował po nim, chwilę później zeskoczył z siodła tuż przed nią. Wysoki, ubrany w haftowany złotem czerwony kaftan, miał te same rudozłote loki, jak jego siostra i wspaniałe, głębokie, błękitne oczy. Nie był tak przystojny, jak jego przyszywany brat, rzecz jasna, ale jej serce na jego widok biło szybciej niżli na widok Galada... „Na widok Galada? Co?”

... i musiała aż przycisnąć dłonie do brzucha, by powstrzymać taniec wielkich motyli w żołądku.

— Tęskniłaś za mną? — zapytał, uśmiechając się.

— Odrobinę.

„Dlaczego musiałam pomyśleć o Galadzie? Jakbym go widziała dokładnie chwilę temu”.

— Teraz i tutaj, kiedy nie mam nic interesującego do zrobienia. A ty za mną tęskniłeś?

Za całą odpowiedź porwał ją tylko w ramiona i pocałował. Zupełnie zakręciło jej się w głowie, z niewielu rzeczy zdawała sobie sprawę, zanim nie postawił jej z powrotem na ziemi. Stojąc na chwiejnych nogach, spostrzegła, że sztandary zniknęły.

„Jakie sztandary?”

— Oto i on — powtórzyła jej matka, podchodząc bliżej z dzieckiem zawiniętym w pieluszki. — Oto twój syn. Wspaniały chłopak. W ogóle nie płacze.

Gawyn zaśmiał się, biorąc od niej dziecko, uniósł je do góry.

— On ma twoje oczy, Egwene. Pewnego dnia będzie miał powodzenie u dziewcząt.

Egwene odsunęła się od nich, potrząsnęła głową. Przecież były sztandary, czerwony orzeł i czerwony wilczy łeb. Naprawdę widziała Galada. W Wieży.

— NIEEEEE!

Uciekła, przeskakując z *Tel'aran'rhiod* bezpośrednio do swego ciała. Przez krótką chwilę leżała, zastanawiając się mgliście, jak mogła być tak głupia, by omal nie dać się pochwycić swoim fantazjom, a potem zapadła głęboko we własny, bezpieczny sen. Gawyn galopował przez Most Wozów, zeskakiwał z siodła. . .

* * *

Moghedien wyszła zza węgła krytego strzechą domu, zastanawiając się leniwie, gdzież może leżeć ta maleńka wioska. Nie był to rodzaj miejsca, nad którym spodziewałaby się zobaczyć powiewające sztandary. Dziewczyna okazała się silniejsza, niż można było sądzić, i uciekła przed jej splotem *Tel'aran'rhiod*. Nawet Lanfear nie mogła równać się z nią zdolnościami w tej dziedzinie, niezależnie od tego, co sama twierdziła. A jednak należało się nią zainteresować, rozmawiała bowiem z Elayne Trakand, która z kolei mogła doprowadzić ją do Nynaeve al'Meara. Wszakże jedynym powodem, dla którego próbowała ją złapać, była chęć pozbycia się kogoś, kto potrafi swobodnie przemierzać *Tel'aran'rhiod*. Już konieczność dzielenia go z Lanfear była wystarczająco nieprzyjemna.

Co innego Nynaeve al'Meara. Kobieta, która jeszcze będzie ją błagać, żeby pozwoliła jej sobie służyć. Sprowadzi ją tutaj w cielesnej postaci, może nawet poprosi Wielkiego Władcę, aby obdarzył ją nieśmiertelnością, niech przez wieczność żałuje, że weszła jej w drogę. Nynaeve i Elayne knuły coś z Birgitte, czy nie? Tamta była następną, która zasłużyła sobie na karę. Birgitte nawet nie wiedziała, kim była Moghedien tak dawno temu, w Wieku Legend, kiedy pokrzyżowała jej misterny plan mający na celu złożenie Lewsa Therina u jej stóp. Ale Moghedien pamiętała. Tylko że Birgitte — Teadra, tak się wówczas nazywała — umarła, zanim zdążyła się nią zająć. Śmierć nie była żadną karą, żadnym kresem, skoro oznaczała życie tutaj.

Nynaeve al'Meara, Elayne Trakand i Birgitte. Je trzy musiała znaleźć i odpłacić im. Nie opuszczając cieni, tak żeby nie miały pojęcia, co się dzieje, dopóki nie będzie za późno. Wszystkie trzy, bez wyjątku.

Zniknęła, sztandary zaś dalej powiewały na lekkiej bryzie wiejącej w *Tel'aran'rhiod*.

SALLIE DAERA

Aura wielkości, błękitna i złota, migotała spazmatycznie wokół głowy Logaina, chociaż on sam jechał zgarbiony w siodle. Min nie potrafiła pojąć, dlaczego ostatnimi czasy pojawia się częściej. On nawet nie troszczył się, by podnieść wzrok, wbity w porośniętą zielskiem drogę przed pyskiem swego wierzchowca, i spojrzeć na niskie, zalesione wzgórza otaczające ich ze wszystkich stron.

Pozostałe dwie kobiety wyprzedzały ich nieco, Siuan równie niezgrabnie jak zawsze dosiadała kudłatej Beli, Leane prowadziła z wdziękiem swoją szarą klacz, częściej posługując się kolanami niżli wodzami. Tylko nienaturalnie proste rzędy paproci przecinające zasłane liśćmi poszycie lasu wskazywały, że niegdyś musiała tędy bieć droga. Grube, splątane gałęzie nad głowami dawały trochę schronienia przed promieniami słońca, trudno jednak było określić panujący pod nimi cień jako dający chłód. Pot spływał po twarzy Min, pomimo wiejącego od czasu do czasu lekkiego wiatru.

Już piętnasty dzień jechały na południowy zachód od Lugardu, zdając się jedynie na zapewnienia Siuan, że wie dokładnie, dokąd ich prowadzi. Rzecz jasna, nawet nie wspomniała, jaki jest cel ich podróży, zamknięte ściśle usta Siuan i Leane przypominały pułapkę na niedźwiedzia. Min nie była nawet do końca pewna, czy Leane także wie. Piętnaście dni, podczas których miasta i wioski stawały się coraz mniej liczne, odległości zaś między nimi coraz większe, aż wreszcie przestały w ogóle pojawiać się na ich drodze. Z każdym dniem ramiona Logaina opadały coraz niżej, ale też z każdym dniem coraz częściej jego głowę otaczała aura. Z początku tylko mruczał, że ścigają Mglistego Jaka, lecz Siuan niebawem na powrót objęła prowadzenie bez większego sprzeciwu z jego strony, a on coraz bardziej zatapiał się w sobie. W ciągu ostatnich sześciu dni tak osłabł, że nie troszczył się już chociażby o to, dokąd zmierzają, ani nawet o to, czy w ogóle kiedykolwiek tam dotrą.

Siuan i Leane w tej chwili rozmawiały cicho między sobą. Do uszu Min docierało jedynie ledwie słyszalne mamrotanie, które równie dobrze mogło być szepem wiatru w gałęziach drzew. Ale gdyby spróbowała podjechać bliżej, wówczas z pewnością kazałyby jej mieć oko na Logaina albo zwyczajnie patrzyłyby na nią tak długo, że nawet tępy niby kamień głupiec zrozumiałby, iż nie powinien wty-

kać nosa w nie swoje sprawy. Wystarczająco często już tak postępowały. Jednak Leane od czasu do czasu odwracała się w siodle, by spojrzeć na Logaina.

Na koniec Leane podprowadziła Księżycowy Kwiat do boku jego karego ogiera. Upał zdawał się jej nie dokuczać w najmniejszym stopniu, tylko cienka warstewka potu pokrywała miedzianą skórę jej twarzy. Min ściągnęła wodze Dzikiej Róży, aby ustąpić tamtej miejsca.

— Teraz to już nie potrwa długo — zapewniła go Leane namiętnym głosem. Nawet nie oderwał wzroku od krzewów przed nosem swego wierzchowca. Pochyliła się bliżej, łapiąc go za ramię, by zachować równowagę. A tak naprawdę przytulając się do niego. — Jeszcze tylko trochę, Dalyn. Będziesz miał swoją zemstę.

On jednak dalej patrzył tępo na drogę.

— Martwy byłby bardziej zainteresowany — powiedziała Min i rzeczywiście tak pomyślała. Dokładnie zwracała uwagę na wszystko, co robiła Leane, a wieczorami rozmawiała z nią, próbując jednocześnie nie zdradzić wcale, dlaczego to czyni. Nigdy nie będzie w stanie się zachowywać tak jak tamta. . .

„Dopóki nie będę miała w głowie tyle wina, że nie będę potrafiła w ogóle myśleć”.

. . . jednak kilka sztuczek może się kiedyś przydać.

— Może gdybyś go pocałowała?

Leane rzuciła jej groźne spojrzenie, od którego mógłby zamarznąć strumień, ale Min tylko uciekła wzrokiem. Nigdy nie miała z Leane takich problemów jak z Siuan — cóż, przynajmniej nie tak często — a te drobne trudności zmniejszyły się od czasu, jak opuściły Wieżę. I stawały się jeszcze mniej znaczące, gdy rozmawiały o mężczyznach. W jaki sposób mogłaby zostać onieśmielona przez kobietę, która ze śmiertelną powagą opowiadała jej, że istnieje sto siedem różnych rodzajów pocałunku oraz dziewięćdziesiąt trzy sposoby dotknięcia twarzy mężczyzny dłonią? Leane naprawdę zdawała się wierzyć w te wszystkie rzeczy.

Owa propozycja pocałunku nie miała zabrzmieć jak szyderstwo. Leane zwozдила go, uśmiechała się doń w taki sposób, że każdemu mężczyźnie para mogłaby trysnąć uszami, od dnia, kiedy trzeba było go wyciągać spod koców, choć poprzednio wstawał pierwszy, podrywając resztę. Min nie wiedziała, czy Leane naprawdę coś do niego czuje — chociaż nie miała szczególnych kłopotów z dopuszczeniem do siebie nawet takiej możliwości — czy też po prostu próbowała utrzymać go przy życiu, by Siuan mogła go wykorzystać później dla jakichś swoich planów.

Leane z pewnością nie zrezygnowała z flirtowania z innymi mężczyznami. Ona i Siuan najwyraźniej uzgodniły między sobą, że Siuan będzie rozmawiać z kobietami, Leane zaś z mężczyznami i tak było od czasu Lugardu. Jej uśmiechy i spojrzenia dwukrotnie już zapewniły im izby w sytuacji, gdy karczmarz mówił z początku, że żadnych wolnych nie posiada, w trzech przypadkach zaniżyły ra-

chunek, a podczas dwu nocy umożliwiły spanie w stodole zamiast w krzakach. Z ich też powodu ich czwórka ścigana była przez jedną wieśniaczkę z widłami, kolejna zaś kobieta rzuciła za nimi śniadaniem złożonym z zimnych płatków owsianych, ale Leane uważała te incydenty za zabawne, jeśli nawet nie wydawały się śmieszne nikomu innemu. Jednak podczas ostatnich kilku dni Logain przestał reagować w taki sposób jak wszyscy pozostali mężczyźni, którzy widzieli ją dłużej niż przez dwie minuty. Przestał reagować zarówno na nią, jak i na resztę świata.

Siuan prowadziła Belę sztywno, z łokciami odsuniętymi daleko od ciała, wyglądała tak, jakby w każdej chwili mogła spaść z siodła. Ale upał zdawał się również na niej nie wywierać szczególnego wrażenia.

— Widziałaś coś wokół niego dzisiaj? — Nawet nie spojrzała w stronę Logaina.

— Wciąż to samo — cierpliwie odrzekła Min. Siuan nie chciała zrozumieć, czy też uwierzyć, niezależnie od tego, jak wiele razy jej powtarzały, ona lub Leane. Nie miało to najmniejszego znaczenia, nawet gdyby nie zauważyła wcześniej tej aury, już podczas pierwszego spotkania w Tar Valon. Gdyby nawet Logain padł w tej chwili na drogę i zaczął rzeźić w przedśmiertnej agonii, ona dalej gotowa byłaby postawić wszystko, co posiada, a nawet więcej, na cudowne ozdrowienie. Na przykład, mogłoby to być pojawienie się Aes Sedai, która by go Uzdrowiła. Cokolwiek. To, co widziała, zawsze okazywało się prawdziwe. Zawsze. Wiedziała o tym z taką samą pewnością, z jaką wiedziała, kiedy po raz pierwszy zobaczyła Randa al'Thora, że zakocha się w nim rozpaczliwą, beznadziejną miłością i będzie musiała go dzielić z dwoma innymi kobietami. Logain powołany był do chwały, o jakiej śni niewielu mężczyzn.

— Nie rozmawiaj ze mną takim tonem — powiedziała Siuan, a jej błękitne oczy spojrzały ostro. — Jest już wystarczająco źle, że musimy karmić łyżeczką tego wielkiego włochatego karpia, gdyż w przeciwnym razie umarłby nam z głodu, żebyś jeszcze ty stawiała się ponura niczym czapla zimą. Mogę się nim zajmować, dziewczyno, ale jeśli ty zaczniesz sprawiać mi kłopoty, zaręczam, że pożałujesz tego bardzo szybko. Czy wyraziłam się jasno?

— Tak, Mara.

„Przynajmniej udało ci się zawrzeć odrobinę sarkazmu w tej odpowiedzi — pomyślała z goryczą. — Nie musisz być potulna jak gęś. Powiedziałaś Leane prosto w twarz, żeby ci dała spokój”.

Kobieta Domani zaproponowała bowiem, by przeciwczyła na weterynarzu w ostatniej wiosce to, o czym dotąd tylko rozmawiały. Wysoki, przystojny mężczyzna, z silnymi dłońmi i leniwym uśmiechem, a jednak...

— Postaram się nie być ponura.

Najgorsze z tego wszystkiego było to, że dołożyła starań, aby jej słowa zabrzmiały szczerze. Siuan potrafiła osiągnąć to, co chciała. Min nie umiała sobie

nawet wyobrazić Suan rozmawiającej o tym, jak należy uśmiechać się do mężczyzny. Suan spjrzałaby mu w oczy, oznajmiła, co powinien zrobić i oczekiwała, iż zostanie to bezzwłocznie wykonane. Dokładnie w taki sam sposób radziła sobie ze wszystkimi pozostałymi rzeczami. Jeżeli czasami postępowała inaczej, jak w przypadku Logaina, to wyłącznie dlatego, że cała sprawa nie była na tyle ważna, by ją forsować za wszelką cenę.

— To już niedaleko, nieprawdaż? — zapytała żywo Leane. — Nie podoba mi się jego wygląd, a gdybyśmy musiały się zatrzymać na jeszcze jedną noc... Cóż, jeżeli okaże się bardziej jeszcze oporny niżli dzisiejszego ranka, to nie przypuszczam, by udało nam się choćby wsadzić go na siodło.

— Niedaleko, jeżeli te ostatnie wskazówki są właściwe — w głosie Suan brzmiało rozdrażnienie. W ostatniej wiosce, dwa dni temu, zadawała dużo pytań — oczywiście nie pozwoliła, by Min się przysłuchiwała jej rozmowie, Logain zaś nie okazywał śladu zainteresowania — i nie lubiła, jak jej ciągle o tym przypominano. Min nie potrafiła zrozumieć dlaczego. Suan przecież nie mogła się tak naprawdę obawiać, że Elaida je ściga.

Sama też pragnęła, aby ich podróż wreszcie się skończyła. Nie miała pojęcia, jak daleko odjechały na południe, odkąd opuściły trakt do Jehannah. Większość mieszkańców wioski miała blade pojęcie na temat tego, jakie jest dokładnie położenie ich osady względem jakichkolwiek innych punktów orientacyjnych prócz najbliższych miasteczek, kiedy jednak pokonały Manetherendrelle i wjechały do Altary, tuż przed tym, jak Suan kazała im zjechać z uczęszczanej drogi, posiadały stary przewoźnik na promie dysponował podartą mapą, na której przedstawiono tereny aż do Gór Mgły. Jeżeli jej ocena położenia nie była zupełnie błędna, to tylko kilka mil dzieliło je od następnej szerokiej rzeki. Albo będzie to Boern, co oznacza, że są już w Ghealdan, gdzie znajdował się Prorok i tłumy jego zwolenników, albo Eldar z Amadicią i Białymi Płaszczami na drugim brzegu.

Sama raczej stawiała na Ghealdan, Prorok czy nie, ale nawet to okazałoby się niespodzianką, gdyby naprawdę dotarły tak blisko. Tylko głupiec szukałby zgromadzenia Aes Sedai bliżej Amadicii niżli to absolutnie konieczne, Suan zaś z pewnością nie była głupia. Niezależnie od tego, czy znajdowały się w Ghealdan czy w Altarze, Amadicia z pewnością będzie daleko.

— Efekty poskromienia dają o sobie znać — wymruczała Suan. — Oby tylko przeżył jeszcze kitka dni...

Min trzymała usta zamknięte na kłódkę, jeżeli tamta nie chciała słuchać, nie było sensu się odzywać.

Kręcąc głową, Suan na powrót wysunęła się z Belą na prowadzenie, ścisnęła jej wodze, jakby obawiała się, że krępa klacz wpadnie nagle w popłoch, Leane zaś wróciła do tyłu, by swoim miękkim niczym jedwab głosem uspokajać Logaina. Być może naprawdę coś do niego czuła, nie byłby to dziwniejszy wybór niżli ten, którego dokonała Min.

Mijali identyczne, porośnięte lasem wzgórza, takie same drzewa i gęszcze krzewów oraz jeżyn. Rzędy paproci, stanowiące ślad po dawnej drodze biegły prosto, jak strzełił, Leane powiedziała, że w miejscu gdzie była droga, gleba jest inna, w taki sposób, jakby Min musiała o tym wiedzieć. Od czasu do czasu popiskiwały na ich widok z gałęzi wiewiórki o zakończonych pędzelkami uszach, niekiedy słyszeli jakiś przypadkowy okrzyk ptaka. Jakie to były ptaki, Min nawet nie próbowała zgadywać. Baerlon w porównaniu z Caemlyn, Illian czy Łżą być może ledwie zasługiwało na miano miasta, ona jednak myślała o sobie jako o miejskiej dziewczynie, ptak to ptak. Nie, zupełnie nie interesowało jej, na jakim rodzaju ziemi rosną paprocie.

Znów zaczęły męczyć ją wątpliwości. Zdarzyło się to nie pierwszy raz od czasu opuszczenia Źródeł Kore, ale za każdym razem trudniej było sobie z nimi poradzić. Od Lugardu jednak jej niepewność pogłębiała się z każdą milą, czasami przyłapywała się, że myśli o Siuan w taki sposób, w jaki przedtem by się nie odważyła. Rzecz jasna, nie miała teraz siły, aby dzielić się z Siuan tymi wątpliwościami, w istocie nawet sama przed sobą nie przyznawała się do nich. Być może tak naprawdę Siuan wcale nie wiedziała, dokąd zmierza. Mogła kłamać, ponieważ ujarzmienie zniosło wiążące ją Trzy Przysięgi. A być może, najzwyczajniej w świecie, żywiła płonną nadzieję, że jeśli będzie wytrwale szukać, to wreszcie znajdzie jakiś ślad, którego tak rozpaczliwie potrzebowała. Leane, w pewien szczególny, rzecz jasna, sposób, zaczęła już tworzyć swe własne życie, niezależne od trosk o władzę, Moc i o Randa. Nie chodzi o to, że zupełnie przestała się przejmować tymi kwestiami, jednak dla Siuan, zdaniem Min, nie istniało nic innego. Biała Wieża i Smok Odrodzony zamykały w sobie całą treść jej życia i będzie się trzymał tych rzeczy, nawet jeśli musiałyby kłamać sama przed sobą.

Z lasu wjechali do dużej wioski tak niespodziewanie, że Min aż usta otworzyła ze zdziwienia. Dęby i karłowate sosny — nazwy tylko tych drzew знаła — na pięćdziesiąt kroków wnikały pomiędzy przylegające do niskich wzgórz, kryte strzechą domy zbudowane z okrągłych rzecznych kamieni. Mogłaby się założyć, że jeszcze nie tak dawno temu las porastał całą wioskę. Sporo drzew dalej rosło w maleńkich zagajnikach wśród domostw, tarasując przejścia między nimi, tu zaś i ówdzie świeże pniaki znajdowały się blisko wejść do budynków. Ulice wciąż wyglądały jakby świeżo nawieziono na nie ziemię, pozbawione tej twardej nawierzchni, jaką tworzą pokolenia udeptujących stóp. Mężczyźni w samych koszulach kryli nową strzechą trzy wielkie, kamienne, prostokątne budowle, w których musiały się niegdyś mieścić gospody — na jednej do dziś dostrzec można było pozostałości wypłowiałego, zniszczonego przez deszcze godła, kołyszącego się ponad drzwiami — jednak gdzie nie spojrzała, nie znalazła żadnego śladu po dawnych strzechach. Wszędzie było jakoś nazbyt wiele kobiet w porównaniu z liczbą mężczyzn, z kolei zaś jak na tyle kobiet, na ulicach było zbyt mało dzieci. Wonie gotowanej stawy przesycające powietrze stanowiły jedyną w miarę nor-

malną rzecz w tym miejscu.

Jeżeli już pierwsze spojrzenie na wioskę zaskoczyło Min, to kiedy przyjrzała się bliżej rozciągającym się przed nią widokom, omal nie spadła z siodła. Młodsze kobiety, wytrząsające przez okna koce albo śpieszące się w jakiś sprawach, miały na sobie proste wełniane suknie, jednak w żadnej wiosce tej wielkości z pewnością nie można napotkać tylu kobiet w sukniach do konnej jazdy z jedwabiu czy znakomitej wełny, tak rozmaitych kolorów i krojów. Wokół tych kobiet, podobnie jak wokół głów większości mężczyzn unosiły się aury i obrazy, zmienne i migotliwe, wobec większości ludzi jej dar widzenia był nieprzydatny, lecz wokół Aes Sedai i Strażników aura zniknęła nie na dłużej niż na godzinę. Dzieci musiały należeć do służących Wieży. Zamężnych Aes Sedai było niewiele, jednak znając je, pewna była, że dołożyłyby wszelkich starań, by zabrać swoich służących wraz z ich rodzinami, z każdego miejsca, z którego same musiałyby uciekać. Sivan znalazła swoje zgromadzenie.

Kiedy jechały przez wioskę, wokół panowała niesamowita cisza. Nikt nie odezwał się ani słowem. Aes Sedai stały bez ruchu, obserwując je, podobnie zachowywały się młodsze kobiety, które musiały być Przyjętymi czy nawet nowicjuskami. Mężczyźni, którzy jeszcze przed chwilą poruszali się z wilczą gracją, teraz zastygli nieruchomo, z jedną ręką ukrytą w słomie strzechy, albo sięgali za drzwi, gdzie bez wątplenia chowali broń. Dzieci zniknęły, pośpiesznie odegnane przez rodziców, którzy musieli być służącymi. Pod tymi spojrzeniami nie mrugających oczu Min poczuła, jak się jej jeża włoski na karku.

Leane również wydawała się zaniepokojona, spod oka popatrywała na mijających ludzi, jednak Sivan z całkowitym spokojem i niewzruszonym wyrazem twarzy prowadziła ich oddział prosto ku budynkowi największej gospody, tej z nierozpoznawalnym godłem, potem zsiadła z konia i przywiązała wodze Beli do żelaznego pierścienia jednego z kamieni, przy których zapewne niegdyś również uwiązywano konie. Min pomogła Leane zsiąść Logaina z siodła — Sivan ani razu nawet nie pomyślała, by też im w tym pomóc — i zobaczyła, że oczy tamtej niespokojnie biegają na boki. Wszyscy patrzyli, nikt się nie poruszał.

— Nawet przez chwilę nie spodziewałam się, że zostanę powitana niczym dawno nie widziana córka — wymruczała do tamtej — dlaczego jednak nikt nie powie nam nawet „dzień dobry”?

Zanim Leane zdążyła odpowiedzieć — jeżeli w ogóle miała taki zamiar — Sivan oznajmiła:

— Cóż, nie przestawajmy naciskać na wiosła, skoro już widzimy brzeg. Zaprowadźcie go do wnętrza. — Sama zniknęła w środku, podczas gdy Min i Leane wciąż prowadziły Logaina ku drzwiom. Szedł, nie opierając się, ale kiedy przestawały go popychać, dawał jeszcze jeden krok, a potem zamierał bez ruchu.

Wspólna izba gospody nie przypominała żadnej, jaką Min dotąd w życiu widziała. Na szerokim kominku oczywiście nie płonął ogień, a nadto ziały w nim

dziury w miejscach, gdzie powypadały kamienie, gipsowy sufit wyglądał na całkowicie zmurszały, z otworami wielkości głowy, z których wychodziła słoma. Nie dopasowane do siebie stały wszelkich kształtów i rozmiarów stały bezładnie rozstawione na zniszczonej podłodze, którą myło kilka dziewcząt. Kobiety o rysach twarzy, z których nie sposób było się domyślić ich wieku, siedziały, czytając pergaminy, wydawały rozkazy Strażnikom, z których kilku miało na sobie swe zmienno-kolorowe płaszcze, albo innym kobietom, które musiały być Przyjętymi lub nowicjuszkami. Pozostałe były na to już za stare, być może nawet połowa z nich była już siwa, z pewnością zaś przeżyte lata wyraźnie odbijały się na ich twarzach, byli tu również mężczyźni, którzy raczej nie byli Strażnikami, większość tylko przebiegała szybko, jakby przekazując jakieś wiadomości, albo podawała pergaminy czy kubki z winem Aes Sedai. Cały rozgardiasz sprawiał przyjemne wrażenie, że oto tu dzieje się coś wielkiego. Aury i obrazy tańczyły po całym pomieszczeniu, spowijając głowy znajdujących się w nim, a było ich tak wiele, że Min musiała przestać zwracać na nie uwagę, gdyż w przeciwnym razie z pewnością zakręciłoby jej się w głowie. Nie było to łatwe, ale musiała się nauczyć tej umiejętności już wcześniej, kiedy zmuszona była przebywać w towarzystwie liczniejszych grup Aes Sedai.

Cztery Aes Sedai szły już przywitać nowo przybyłych, z gracją i chłodnym spokojem, w swoich rozciętych sukniach. Na widok ich znajomych rysów, Min poczuła się tak, jakby wracała do domu.

Zielone oczy Sheriam natychmiast spoczęły na twarzy Min. Srebrne i błękitne promienie otoczyły jej ogniste włosy, a po chwili dołączyła do nich złota poświata, Min nie potrafiła powiedzieć, co to może oznaczać. Pulchna, odziana w ciemnoniebieską suknię, w tej chwili wyglądała niczym uosobienie zdecydowania.

— Byłabym bardziej zadowolona, widząc ciebie tutaj, dziecko, gdybym wiedziała, w jaki sposób udało ci się odkryć miejsce naszego pobytu, a także, gdybym miała najmniejsze choćby przeczucie, dlaczego wpadłaś na szaleńczy pomysł przywiezienia go ze sobą. — Nagle tuż obok nich zjawiono się kilku Strażników z dłońmi wspartymi na rękojeściach mieczy i ostrymi spojrzeniami wbitymi w postać Logaina, ale on zdawał się ich zupełnie nie dostrzegać.

Min zagapiła się na tamtą. Dlaczego ją właśnie pytają?

— Mój szaleń. . . ? — Nie dano jej szansy, by skończyła.

— Byłoby znacznie lepiej — lodowatym głosem ucięła Carlinya o białych policzkach — gdyby nie żył, zgodnie z tym, co głoszą plotki.

Nie był to chłód wynikający z gniewu, lecz z zimnego rozumowania. Była Białą Ajah. Jej suknia w kolorze kości słoniowej wyglądała już na znoszoną. Przez moment Min zobaczyła obraz kruka unoszący się za jej czarnymi włosami, szkic raczej niżli sam wizerunek. Pomyślała, że może to być tatuaż, ale i tak nie знаła jego znaczenia. Skoncentrowała się na twarzach tamtych, starając się nie widzieć nic poza nimi.

— W każdym razie i tak wygląda, jakby miał zaraz umrzeć — ciągnęła dalej Carlinya, przerywając tylko na chwilę, by nabrać tchu. — Niezależnie od tego, co zamierzałaś, twój wysiłek poszedł na marne. Ale ja również chciałabym wiedzieć, dlaczego przybyłaś do Salidaru.

Siuan i Leane stały z boku, wymieniając rozbawione spojrzenia, podczas gdy przesłuchanie trwało dalej. Nikt nawet nie spojrział na nie.

Myrelle, obdarzona mroczną urodą, w zielonych jedwabiach haftowanych na staniku skośnymi liniami złota, miała doskonale owalną twarzą, na której zazwyczaj gościł uśmiech pełen tajemnej wiedzy, mogący czasami rywalizować z nowymi sztuczkami Leane. Teraz jednak nie śmiała się, kiedy wtrąciła zaraz za Białą siostrą:

— Mów Min. Nie stój tak, gapiąc się niby lalka. — Nawet wśród Zielonych znana była ze swego porywczego charakteru.

— Musisz nam powiedzieć — dodała Anayia znacznie uprzejmiejszym głosem, aczkolwiek w nim także dawało się wychwycić nutę zniecierpliwienia. Łagodne, pomimo charakterystycznego dla Aes Sedai braku śladów upływu lat, rysy twarzy nadawały jej cokolwiek macierzyński wygląd, w tej chwili jednak, gdy tak wygładzała swe bladoszare suknie, wyglądała jak matka, która właśnie rozgląda się za różgą. — Znajdziemy jakieś miejsce dla ciebie i pozostałych dwu dziewcząt, ale musisz nam powiedzieć, w jaki sposób się tutaj dostałaś.

Min wzięła się w garść i zamknęła usta. Oczywiście. Pozostałe dwie dziewczyny. Tak przyzwyczała się do ich widoku, że nawet nie myślała już o tym, do jakiego stopnia się zmieniły. Wątpiła, czy któraś z tych kobiet widziała jedną z nich po tym, jak zawleczono je do lochów pod Białą Wieżą. Leane wyglądała, jakby gotowa była wybuchnąć śmiechem, a Siuan tylko z niesmakiem kręciła głową, spoglądając na Aes Sedai.

— To nie ze mną chciałabyś rozmawiać — Min poinformowała Sheriam.

„Niech "pozostałe dwie dziewczyny" poczują na sobie te przenikliwe spojrzenia”.

— Zapytaj Siuan albo Leane.

Popatrzyły na nią, jakby oszalała, dopóki nie wskazała skinieniem głowy swoich dwu towarzyszek.

Cztery pary oczu Aes Sedai spoczęły na nich, jednak trudno było stwierdzić, czy rozpoznały je. Patrzyły na nie badawczo, marszczyły brwi, popatrywały po sobie. Żaden ze Strażników nawet nie spuścił oka z Logaina, ich dłonie wciąż spoczywały na rękojeściach mieczy.

— Ujarzmienie może spowodować taki efekt — wymruczała na koniec Myrelle. — Czytałam opisy, które zdają się coś takiego sugerować.

— Twarze są podobne na wiele sposobów — powiedziała powoli Sheriam. — Ktoś mógłby znaleźć kobiety do nich podobne, ale po co?

Siuan i Leane nie śmiały się już dłużej.

— Jesteśmy tymi, za które się podajemy — oznajmiła oschle Leane. — Sprawdźcie nas. Żadne oszustki nie mogłyby wiedzieć tego, co my wiemy.

Siuan nawet nie czekała na pytania.

— Moja twarz mogła się zmienić, jednak przynajmniej wiem, co robię i dlaczego. A założę się, że o was tego samego powiedzieć nie można.

Min jęknęła, słysząc jej stalowy ton, ale Myrelle pokiwała głową i powiedziała:

— To jest głos Siuan Sanche. To ona.

— Głosy można wyszkolić — oznajmiła Carlinya, wciąż lodowato spokojna.

— Ale w jaki sposób można nauczyć się wspomnień? — Anayia zmarszczyła czoło — Siuan... jeżeli to ty... w twoje dwudzieste pierwsze urodziny pokłóciłyśmy się, ty i ja. Gdzie się to zdarzyło i o co chodziło?

Siuan uśmiechnęła się porozumiewawczo do macierzyńskiej Aes Sedai.

— Podczas twojego wykładu dla Przyjętych na temat, dlaczego tak wiele narodów, które powstały w wyniku rozpadu imperium Artura Hawkwinga po jego śmierci, nie przetrwało. Wciąż się nie zgadzam z tobą w niektórych kwestiach, jeśli już o tym mowa. Skończyło się zaś wszystko tak, że musiałam przez dwa miesiące pracować po trzy godziny dziennie w kuchni. „W nadziei, że żar paleńsk przewycięży i pomniejszy twoją gorliwość”, wydaje mi się, że tak to ujęłaś.

Jeżeli sądziła, że zadowoli je ta odpowiedź, to srodze się omyliła. Anayia miała kolejne pytania do obu kobiet, podobnie zresztą jak Carlinya i Sheriam, która najwyraźniej była razem z nimi nowicjuską i Przyjętą. Wszystkie pytania dotyczyły rzeczy, których żaden samozwaniec nie byłby się w stanie dowiedzieć, kłopotów, w jakie się kiedyś wpakowały, czynionych sobie wzajemnie głupich żartów, czy powszechnych opinii odnoszących się do rozmaitych nauczycielek Aes Sedai. Min nie mogła wręcz uwierzyć, że te kobiety, które miały w późniejszych latach zostać Zasiadającą na Tronie Amyrlin oraz Opiekunką Kronik, potrafiły tak często pakować się w rozmaite kłopoty, ale i tak miała wrażenie, iż był to jedynie wierzchołek góry lodowej, poza tym wyglądało na to, że sama Sheriam niewiele im we wszystkim ustępowała. Myrelle, najmłodsza z nich, pozwoliła sobie na kilka pełnych rozbawienia komentarzy, dopóki Siuan nie powiedziała czegoś na temat pstrąga wpuszczonego do kąpieli Saroiyi Sedai i o nowicjuszce, którą przez pół roku uczono, jak należy się zachowywać. Jakby sama Siuan miała prawo mówić, że wiedziała, jak należy się zachować. A wypranie bielizny nie lubianej Przyjętej w wywołującym swędzenie zielsku, kiedy sama była nowicjuską? Ucieczka z Wieży na ryby? Nawet Przyjęte musiały uzyskać pozwolenie na opuszczenie terenów Wieży, wyjąwszy określone godziny w ciągu dnia. Siuan i Leane razem ochłodziły wiadro wody niemalże do temperatury lodu i ustawiły je tak, żeby wylało się na Aes Sedai, która je ukarała, niesłusznie, jak sądziły. Biorąc pod uwagę światełko, które zapaliło się w oczach Anayi, miały szczęście, że ich wówczas nie przyłapano. Z tego, co Min wiedziała na temat szkolenia nowicjuszek, a jeśli już

o to chodzi, również Przyjętych, te kobiety doprawdy miały szczęście, że pozwolono im zostać w Wieży tak długo, by stały się Aes Sedai, i że uszły cało po tym wszystkim, co zrobiły.

— Mnie to wystarczy — powiedziała na koniec Anayia, spoglądając na pozostałe.

Myrelle poczekała, aż Sheriam skinie głową i postąpiła podobnie, lecz Carlinya powiedziała:

— Jednak wciąż pozostaje pytanie, co mamy z nimi zrobić. — Patrzyła wprost na Siuan, nie mrugnawszy nawet okiem, pozostałe natomiast nagle poczuły się nieswojo. Myrelle zacisnęła usta, Anayia zaś wbiła wzrok w podłogę. Sheriam wygładzała swoją suknię i jakby w ogóle unikała spoglądania na nowo przybyłe.

— Wciąż wiemy wszystko, co wiedziałyśmy przedtem — zapewniła je Leane, nagły mars na jej czole znamionował nieklamane zmartwienie. — Wciąż możemy się przydać.

Twarz Siuan pociemniała — Leane zdawała się szczerze rozbawiona, kiedy wspominały dziewczęce psoty i kary, jakie je za nie spotkały, jednak Siuan najwyraźniej te opowieści wcale nie przypadły do gustu — ale w przeciwieństwie do wyrazu jej twarzy, głos zdradzał nieznaczone tylko napięcie.

— Chcecie wiedzieć, jak was znalazłyśmy. Nawiązałam kontakt z jedną z moich agentek która pracowała również dla Błękitnych, a ona powiedziała mi o Sallie Daera.

Min nie rozumiała zupełnie tej wzmianki o Sallie Daera — kim ona była? — jednak Sheriam wraz z pozostałymi równocześnie kiwnęły głowami. Min uświadomiła sobie, że Siuan powiedziała w tej samej chwili coś więcej, dała im do zrozumienia, że wciąż ma dostęp do swojej siatki szpiegowskiej, która służyła jej, gdy była Amyrlin.

— Usiądź sobie gdzieś, Min — zwróciła się do niej Sheriam, wskazując wolny stół stojący w kącie. — Czy też może dalej jesteś Elmindredą? I weź Logaina ze sobą.

Ona i pozostałe skupiły się wokół Siuan i Leane, potem zaprowadziły je do pomieszczenia znajdującego się za wspólną izbą. Dwie jeszcze kobiety w spódnicach do konnej jazdy dołączyły do nich, zanim zniknęły za niedawno zrobionymi drzwiami z nieheblowanych desek.

Min ujęła Logaina pod ramię i zaprowadziła go do stołu, potem posadziła na prymitywnej ławie, sama zaś przystawiła sobie rozpadające się krzesło. Tuż obok, pod ścianą, stanęli dwaj Strażnicy. Zdawali się wcale nie patrzeć na Logaina, lecz Min знаła Gaidinów, widzieli wszystko i nawet zbudzeni ze snu w mgnieniu oka potrafili sięgnąć po miecze.

A więc nikt tu nie witał ich z otwartymi ramionami, nawet po tym, jak rozpoznały Siuan i Leane. Cóż, czegóż innego należało się spodziewać? Siuan i Leane były niegdyś dwoma najpotężniejszymi kobietami w Białej Wieży, teraz nie były

nawet Aes Sedai. Tamte zapewne nie miały pojęcia, jak się wobec nich zachować. I jeszcze na dodatek pojawiły się w towarzystwie poskromionego fałszywego Smoka. Lepiej, żeby Siuan nie kłamała, mówiąc, iż ma dla niego jakieś zadanie do wykonania. Min nie sądziła, że Sheriam i pozostałe będą równie cierpliwe jak Logain.

Ale przynajmniej Sheriam ją rozpoznała. Wstała ponownie od stołu i podeszła do okna, by przez szparę w okiennicy wyjrzeć na ulicę. Ich konie wciąż stały przy słupkach, ale jeden z tych Strażników, którzy na pozór wcale nie patrzyli na nią, złapałby ją, zanim by zdążyła odwiązać wodze Dzikiej Róży. Siuan zrobiła dużo, aby zataić jej tożsamość w Wieży. Wyglądało jednak na to, że na nic się jej wysiłki nie zdały. Ale nie przypuszczała, żeby któraś z nich wiedziała o jej wizjach. Siuan i Leane zachowały jej tajemnicę dla siebie. Min najlepiej by się czuła, gdyby wszystko w taki właśnie sposób pozostało. Gdyby Aes Sedai dowiedziały się o jej zdolnościach, też by ją zatrzymały tak jak przedtem Siuan, a wówczas nigdy nie dotarłaby do Randa. Nie miałyby możliwości zastosować tego, czego dowiedziała się od Leane, gdyby ją tu uwięziono.

Postąpiła właściwie, pomagając Siuan w szukaniu tego zgromadzenia, w skłonieniu Aes Sedai, by opowiedziały się po stronie Randa, ale oprócz tego miała swoje osobiste cele. Skłonienie mężczyzny, który nigdy nawet nie przyjrzał się jej dokładniej, by się w niej zakochał, zanim ośwładnie nim szaleństwo. Być może ona sama była równie szalona, jak to wróżono jemu.

— Wtedy będziemy stanowili dobraną parę — wymruczała cicho do siebie.

Piegowata, zielonooka dziewczyna, która zapewne musiała być nowicjuszka, zatrzymała się przy jej stole.

— Czy masz ochotę coś zjeść albo wypić? Jest gulasz z dziczyzny i dzikie gruszki. Znajdzie się też trochę sera. — Dokładała tyle wysiłku, by nie patrzeć na Logaina, że równie dobrze mogłaby otwarcie wytrzeszczać nań oczy.

— Zjem chętnie gruszki i ser — odrzekła Min. Przez ostatnie dwa dni niewiele jedli, Siuan udało się nałapać trochę ryb w strumieniu, ale wcześniej, kiedy nie spożywały posiłków w gospodzie czy na farmie, polowaniem zajmował się Logain. A jej zdaniem suszona fasola to nie było żadne jedzenie. — I trochę wina, jeśli jest. Najpierw jednak chciałabym się czegoś dowiedzieć. Gdzie jesteśmy, jeśli to także nie jest trzymane w tajemnicy? Ta wioska nazywa się Salidar?

— Jesteśmy w Altarze. Eldar znajduje się w odległości mili na zachód. Amadicia jest na drugim brzegu. — Dziewczynie daleko było do tajemniczości Aes Sedai. — Gdzie lepiej mogą się ukryć Aes Sedai niż w miejscu, w którym nikt ich nie będzie szukał?

— Nie powinnyśmy się w ogóle ukrywać — warknęła młoda kobieta o kręconych ciemnych włosach, zatrzymując się przy nich. Min rozpoznała w niej Przyjętą o imieniu Faolain, spodziewała się po niej raczej, że wciąż jest w Wieży. Faolain nigdy nie lubiła nikogo i niczego, często mawiała, że po wyniesieniu wybierze

Czerwone Ajah. Doskonała uczennica Elaidy. — Po co tutaj przyjechaliście? I to jeszcze z nim! Dlaczego ona wróciła — Nie było wątpliwości, co ma na myśli. — To jej wina, że musimy się ukrywać. Nie wierzę, że ona pomogła w ucieczce Mazrima Taima, ale jeśli pojawiła się tutaj z nim, to być może plotki są oparte na prawdzie.

— Dosyc tego, Faolain — nakazała jej szczupła kobieta o czarnych włosach spływających jej z ramion aż do talii. Min wydawało się, że skądś zna tę Aes Sedai w ciemnozłotej jedwabnej sukni do konnej jazdy. Edesina. Żółta, jak wywnioskowała. — Idź, zajmij się swoimi obowiązkami — ciągnęła dalej Aes Sedai. — A ty, Tabiya, jeśli masz zamiar im przynieść jedzenie, to zrób to.

Edesina nawet nie zwróciła uwagi na ponury ukłon Faolain — nowicjuszka postąpiła znacznie lepiej, ponieważ po prostu natychmiast uciekła — tylko od razu położyła dłoń na głowie Logaina. Wzrok miał wbity w stół, zdawał się niczego nie zauważać.

Min zobaczyła, jak nagle szyję tamtej otoczyła srebrna obroża, która równie gwałtownie rozpadła się na części. Zadrzała. Nie lubiła wizji mających związek z Seanchanami. Przynajmniej z tego widzenia wynikało, że Edesina jakoś zdoła uciec. Nawet gdyby Min chciała się zdradzić, to i tak nie było sensu ostrzegać tamtej, niczego to nie zmieni.

— To z powodu poskromienia — po chwili powiedziała Aes Sedai. — Przepuszczam, że stracił wolę życia. Nic nie mogę dla niego zrobić. A zresztą chyba nie powinnam. — Spojrzenie, jakim przed odejściem obdarzyła Min, trudno było określić jako przyjazne.

Elegancka, posągowa, chciałoby się powiedzieć, kobieta w śliwkowych jedwabiach zatrzymała się w odległości kilku stóp od jej stołu i teraz patrzyła na Min oraz Logaina zupełnie pozbawionym wyrazu wzrokiem. Kiruna była Zieloną o królewskich manierach, w rzeczy samej była siostrą Króla Arafel, tak przynajmniej Min słyszała, jednak w Wieży okazywano jej dużo przyjaźni. Min uśmiechnęła się, ale wielkie ciemne oczy tamtej prześlizgnęły się po jej postaci, nie rozpoznając jej, Kiruna wyszła z gospody, czterej zaś Strażnicy obdarzeni tą samą wilczą gracją ruchów natychmiast ruszyli jej śladem.

Min czekała na swoje jedzenie z nadzieją, że Suan i Leane spotkają się z cieplejszym przyjęciem.

ĆWICZENIA W POKORZE

— Jesteście jak łódź pozbawiona steru — zwróciła się Siuan do sześciu kobiet siedzących przed nią, każda na innym krześle. W pomieszczeniu panował ogromny bałagan. Na dwóch wielkich stołach kuchennych ustawionych pod ścianami leżały pióra, kałamarze i butelki z piaskiem. Nie dopasowane do siebie lampy, trochę lakierowanych naczyń, trochę złożonych, świece wszelkiej grubości i rozmiarów stały przygotowane, by dawać światło, kiedy zapadnie zmrok. Strzęp jedwabnego illiańskiego dywanu, bogato barwionego na błękitno, czerwono i złoto leżał na nierównych, zniszczonych deskach podłogi. Ona i Leane usadzone zostały po przeciwnej stronie tego kawałka dywanu, odseparowane od pozostałych w taki sposób, by tamte bez trudu mogły je obserwować. Otwarte okno, w którym część szyb popękała, a część całkiem wypadła, zastąpione obecnie nasączonym oliwą jedwabiem, wpuszczało do wnętrza lekki powiew wiatru, ale nie dość, by przegnać panujący w nim upał. Siuan powtarzała sobie bez przerwy, że nie zazdrości tym kobietom zdolności do przenoszenia, to już naprawdę minęło, skończyło się, ale z pewnością zazdrościła im tego, że żadna z nich się nie pociała. Jej twarz była zupełnie mokra. — Cała ta aktywność tutaj to tylko zabawa, przedstawienie. Możecie oszukiwać się wzajemnie, być może nawet okłamywać swoich Gaidinów... chociaż nie liczyłabym na to na waszym miejscu... ale mnie nie ogłupicie.

Żałowała, że w tej grupie znalazły się Morvrin i Beonin. Morvrin, sceptyczna względem wszystkiego, pomimo że na jej twarzy często zastygał pogodny wyraz całkowitego niemalże roztargnienia, była niską Brązową siostrą o włosach przytkanych siwizną, domagałaby się sześciu dowodów, zanim by uwierzyła, że ryby mają łuskę. I Beonin, piękna Szara z włosami o barwie ciemnego miodu oraz niebieskoszarymi oczyma, tak wielkimi, że nadawały jej wygląd wiecznie czymś lekko zaskoczonyj — przy Beonin nawet Morvrin zdawała się łatwowierna.

— Elaida trzyma Wieżę w garści, a doskonale wiecie, że ona zmarnuje Randa al'Thora — oznajmiła Siuan tonem pogardy. — To będzie wielkie szczęście, jeśli nie wystraszy się i nie poskromi go przed Tarmon Gai'don. Doskonale zdajecie sobie sprawę., że wszystkie wasze uczucia względem mężczyzn, którzy potrafią przynosić, Czerwone dzielają dziesięciokrotnie. Biała Wieża jest w tej chwili

najsłabsza, chociaż powinna być najsilniejsza, i pozostaje w rękach głupich kobiet, gdy winna być umiejętnie zarządzana. — Potarła nos, spoglądając kolejno każdej w oczy. — A wy siedzicie tutaj, dryfując ze spuszczoneymi żaglami. Czy też może chcielibyście mnie przekonać, że robicie coś więcej prócz splatania palców i wypuszczania z ust bąbelków?

— Zgadzasz się z Suan, Leane? — zapytała spokojnie Anayia.

Suan nigdy nie potrafiła zrozumieć, dlaczego Moiraine lubiła tę kobietę. Próba zmuszenia jej, by zrobiła coś, na co nie miała ochoty, przypominała bicie w worek pełen piór. Nie przeciwstawiała się otwarcie ani nie kłóciła, po prostu w całkowitym milczeniu odmawiała wykonania polecenia. Nawet przez sposób, w jaki siedziała, z zaplecionymi dłońmi, wyglądała bardziej na kobietę czekającą, aż wyrośnie jej ciasto na pączki niżli na Aes Sedai.

— Po części tak — odpowiedziała Leane. Suan rzuciła jej ostre spojrzenie, które tamta jednak zignorowała. — W odniesieniu do Elaidy, na pewno. Bez najmniejszej wątpliwości ona zniszczy Randa al'Thora tak samo jak Wieżę. Jeśli zaś chodzi o resztę, wiem, że wysilałyście się bardzo, by zgromadzić tak wiele sióstr, jak tylko się da i spodziewam się, że pracujecie równie wytrwale nad kwestią Elaidy.

Suan parsknęła głośno. Przechodząc przez wspólną izbę, przyjrzała się przelotnie niektórym z pergaminów, które tamte tak skrupulatnie czytały. Listy zapasów, dostawy drewna na odbudowę, zlecenie dla drwali na naprawę domów oraz dla robotników czyszczących studnie. Nic więcej. Niczego, co przypominałoby chociaż odległe raport o poczynaniach Elaidy. Planowały spędzenie tutaj zimy. Wystarczy teraz, by jedna Błękitna siostra, która wie o Salidarze, została wzięta na przesłuchanie — nie uda jej się wiele zataić, gdy wpadnie w ręce Alviarin — i Elaida będzie dokładnie wiedziała, gdzie może je znaleźć. One zaś dalej będą się zastanawiać nad rozplanowaniem ogrodów warzywnych i ścięciem dostatecznej ilości drzewa, zanim przyjdą pierwsze mrozy.

— A więc to mamy już z głowy — zimno oznajmiła Carlinya. — Wydajecie się nie pojmować, że nie jesteście już dłużej Amyrlin i Opiekunką Kronik. Nie jesteście nawet Aes Sedai. — Niektóre okazały się na tyle miłe, by przynajmniej wyglądać na zmieszane. Nie Morvrin czy Beonin, ale pozostałe tak. Żadna Aes Sedai nie lubiła rozmawiać o ujarzmieniu, ani żeby jej o tym przypomniano, w obecności ich dwóch zapewne wydawało im się to szczególnie niemiłe. — Nie mówię tego, by okazać się okrutną. Nie wierzymy w zarzuty, jakie wam postawiono... pomimo waszego towarzysza podróży... w przeciwnym razie nie byłoby was tutaj, ale nie możecie sobie rościć pretensji do odzyskania waszych dawnych pozycji, taka jest prosta prawda.

Suan pamiętała Carlinę zarówno z czasów, gdy była nowicjuską jak i Przyjętą. Każdego miesiąca popełniała jakieś drobne przewinienie, coś zupełnie nieznacznego, za co przydzielano jej godzinę lub dwie dodatkowych obowiązków

w kuchni. Dokładnie jedno każdego miesiąca. Nie chciała, by pozostałe uważały ją za pedantkę. To były jej jedyne przewinienia — nigdy nie złamała żadnej innej reguły, ani też nie posunęła się za daleko w żadnej kwestii, to byłoby nielogiczne — niestety nigdy też nie rozumiała, dlaczego pozostałe dziewczęta uważały ją za lizuskę. Mnóstwo logiki i niewiele zdrowego rozsądku, oto cała Carlinya.

— Wkrótce po tym, jak wam zrobiono to, co zrobiono, ukazał się akt oskarżenia — powiedziała łagodnym głosem Sheriam — doszłyśmy razem do wniosku, że to była jawna niesprawiedliwość i skrajne pogwałcenie ducha praw.

Oparcie krzesła za jej płomiennorudą czupryną miało dziwaczne rzeźbienia, przypominające masę walczących węży.

— Cokolwiek mówiły plotki, większość z postawionych wam zarzutów była tak słaba, że powinny zostać wysmiane.

— Ale nie dotyczy to zarzutu, że wiedziałyście o Randzie al'Thorze i spiskowałyście, by ukryć go przed Wieżą — wtrąciła ostro Carlinya.

Sheriam przytaknęła.

— Tych zarzutów nikt nie kwestionuje, nawet jeśli nie były warte tej kary, która została za nie wymierzona. One nie powinny być także sądzone w tajemnicy, pozbawione nawet możliwości obrony. Nie obawiajcie się, że odwrócimy się od was. Zadbamy o to, abyście obie otrzymały, co wam się należy.

— Dziękuję ci — powiedziała Leane głosem cichym, niemalże drżącym.

Siuan popatrzyła na nie krzywo.

— Nie zapytałyście mnie nawet o tę siatkę szpiegowską, którą mogę jeszcze wykorzystać. — Polubiła Sheriam, kiedy były jeszcze uczennicami, chociaż upływ czasu i ich różne stanowiska otworzyły między nimi przepaść. — Zatrószycie się o nas — też coś! Czy Aeldene tu jest? — Anayia mimo woli potrząsnęła głową. — Podejrzewam, że nie, w przeciwnym razie wiedziałybyście więcej o tym, co się dzieje. Pozwoliłyście im nadal wysyłać raporty do Wieży.

Powoli zaczynało do nich docierać, przedtem nie znały funkcji Aeldene.

— Zanim zostałam Amyrlin, prowadziłam siatkę szpiegowską Błękitnych. — Kolejne zaskoczenie. — Dzięki niewielkim staraniom każda agentka Błękitnych oraz wszystkie te, które służyły mi wtedy, gdy byłam już Amyrlin, będą słać raporty do waszych rąk, nie wiedząc nic o miejscu ich przeznaczenia.

Będzie to kosztowało oczywiście więcej niżli odrobinę pracy, ale zdążyła w głowie naszkicować większość planów, a w tym momencie nie musiały jeszcze poznawać szczegółów.

— A nadto mogą dalej wysyłać raporty do Wieży, raporty, w których będzie..., to, w co chcecie, aby uwierzyła Elaida. — Omal nie powiedziała „my”, musiała baczniej uważać na swe słowa.

Nie spodobało im się to, rzecz jasna. Kobiety, które kierowały siatkami szpiegowskimi, mogły być nie znane większości, ale wszystkie były Aes Sedai. Zawsze były Aes Sedai. Nie miała jednak innego sposobu, aby dostać się do kręgu, w któ-

rzym zapadały decyzje. W przeciwnym razie wepchną ją razem z Leane do jakiegoś domku. przydzielą służącą, która będzie o nie dbała i dopóki nie umrą, nie czeka ich nic więcej, prócz jakiejś przypadkowej wizyty Aes Sedai, która będzie chciała zbadać ujarzmione kobiety. A w tych okolicznościach śmierć przyjdzie rychło.

„Światłości, mogą nawet zechcieć powydawać nas za męż!”

Niektóre sądziły, że mąż i dzieci mogą zająć kobietę do tego stopnia, że zastąpią w jej życiu Jedyną Moc. Niejedna kobieta, która sama się ujarzmiła, kiedy zaczerpnęła z *saidara* więcej, niżli potrafiła przenieść, albo podczas testowania *ter'angreali* niewiadomego przeznaczenia, została skojarzona z potencjalnym mężem. Ponieważ te, które wzięły ślub, zawsze starały się trzymać tak daleko, jak tylko możliwe od Wieży i związanych z nią wspomnień, teoria pozostawała nie potwierdzona.

— Nawiązanie kontaktu z tymi wszystkimi, którzy stanowili moje oczy i uszy, zanim zostałam Opiekunką, nie powinno być trudne — powiedziała nieśmiało Leane. — Co ważniejsze, jako Opiekunka Kronik miałam agentów w samym Tar Valon.

Z zaskoczenia rozszerzyło się kilka par oczu, jedynie Carlinya je zmrużyła. Leane zamrugnęła, poruszyła się niespokojnie i blado uśmiechnęła.

— Zawsze uważałam, że to głupota, iż przywiązujemy więcej wagi do nastrojów panujących w Ebou Dar czy Bandar Eban niżli we własnym mieście.

Nie mogły teraz nie docenić walorów posiadania siatki w Tar Valon.

— Suan. — Morvrin mocno zaakcentowała to imię, jakby chciała podkreślić, że nie powiedziała: Matko. Jej okrągła twarz wyglądała teraz bardziej na upartą niżli zamyśloną, jej tusza zaś była niczym groźna masa. Kiedy Suan była nowicjuską, Morvrin rzadko zauważała psoty, których dopuszczają się otaczające ją dziewczęta, ale kiedy już zwróciła na nie uwagę, sama zajmowała się całą sprawą w taki sposób, że wszystkie potem siedziały prosto i chodziły powoli przez wiele dni. — Dlaczego miałybyśmy pozwolić ci na to, czego chcesz? Zostałaś ujarzmiona, kobieto. Kimkolwiek byłaś, już dłużej nie jesteś Aes Sedai. Jeżeli będziemy chciały znać imiona tych agentów, obie nam wszystko wyznacie.

Co do ostatniego była całkowicie pewna, w taki czy inny sposób im powiedzą. Powiedziałyby, gdyby te kobiety dostatecznie mocno tego chciały.

Leane zadrżała widocznie, ale krzesło Suan tylko skrzypnęło, kiedy wyprostowała się na nim.

— Wiem, że nie jestem już Amyrlin. Czy sądzicie, że nie wiem, iż zostałam ujarzmiona? Moja twarz zmieniła się, ale nie wewnątrz. Wszystko, co wiem, znajduje się w mojej głowie. Użyjcie tego! Na miłość Światłości, wykorzystajcie mnie do czegoś!

Głęboko wciągnęła powietrze, aby się uspokoić.

„Niech szczenę, jeśli pozwolę, by mnie odepchnęły”.

Myrelle skorzystała z krótkiej przerwy, by się odezwać.

— Temperament młodej kobiety kryjący się za obliczem młodej kobiety. — Uśmiechając się, przysiadła na brzegu jednego z tych foteli o sztywnych oparciach, który mógł stać przed kominkiem wieśniaka, gdyby ten oczywiście nie dbał o to, że lakier odchodzi płatami. Jednak nie był to jej zwykły uśmiech, jednocześnie rozmarzony i pełen tajemnego zrozumienia, w ciemnych zaś oczach, równie wielkich jak oczy Beonin, lśniło współczucie. — Jestem pewna, że żadna z nas nie chce, byś się poczuła odrażona, Siuan. I pewna jestem nadto, że wszystko czego pragniemy, to wykorzystać jakoś twoją wiedzę. To, co wiesz, może nam się bardzo przydać.

Siuan nie potrzebowała jej współczucia.

— Zdajesz się zapominać o Logainie oraz dlaczego wlokłam go aż z Tar Valon. — Nie chciała osobiście podnosić tej kwestii, ale jeśli mają zamiar pominąć ją milczeniem. . . — Mój „szaleńczy” pomysł?

— Bardzo dobrze, Siuan — powiedziała Sheriam. — Dlaczego?

— Ponieważ pierwszym krokiem ku obaleniu Elaidy będzie to, że Logain wyjawia Wieży. a i całemu światu, jeśli będzie trzeba, że to Czerwone Ajah zrobiły z niego fałszywego Smoka, by potem móc go usunąć. — W tej chwili z pewnością zdołała sobie zaskarbić ich uwagę. — Czerwone odnalazły go w Ghealdan przynajmniej na rok przed jego proklamacją, zamiast jednak sprowadzić go do Tar Valon i poskromić, natchnęły go ideą, by ogłosił się jako Smok Odrodzony.

— Jesteś tego pewna? — zapytała cicho Beonin z mocnym taraboniańskim akcentem. Siedziała właściwie bez ruchu w swym wysokim, wyściełanym trzcina krzesle, obserwując wszystko uważnie.

— On nie wiedział, kim jesteśmy, Leane i ja. Podczas podróży czasami rozmawiał z nami, późną nocą, kiedy Min już spała, a sam nie mógł zmrużyć oka. Nie powiedział wcześniej nic, uważał bowiem, że stoi za tym cała Wieża, ale już wie, iż to Czerwone siostry przyszły do niego, oddzieliły go od źródła i namówiły, aby ogłosił się Smokiem Odrodzonym.

— Dlaczego? — chciała wiedzieć Morvrin, a Sheriam przytaknęła.

— Tak, dlaczego? Każda z nas porzuciłaby wszystkie swoje zajęcia, aby dopilnować ujarznienia takiego mężczyzny, ale przecież to należy do Czerwonych Ajah. Dlaczego więc miałyby stworzyć fałszywego Smoka?

— Logain nie wiedział — odrzekła. — Być może uważają, że więcej zyskują, łapiąc fałszywego Smoka niżli poskramiając biednego głupca, który mógłby sterroryzować jedną wioskę. Przypuszczalnie miały jakieś powody, by wywołać zamęt.

— Nie sugerujemy, iż miały coś wspólnego z Mazrimem Taimem, czy też pozostałymi — dodała szybko Leane. — Elaida bez wątpienia będzie zdolna wam wytłumaczyć wszystko, co byście chciały wiedzieć.

Siuan obserwowała, jak w ciszy trawiały usłyszane słowa. Nawet nie wzięły pod uwagę możliwości, że może kłamać.

„Korzyść z bycia ujarzmioną”.

Nie przyszło im do głowy, że ujarzmienie może znieść wszelkie więzi z Trzema Przysięgami. Niektóre z Aes Sedai badały ujarzmione kobiety, to prawda, lecz ostrożnie i niechętnie. Żadna nie chciała, by jej przypominać o tym, co również ją mogło czekać.

O Logaina Suan się nie martwiła. Przynajmniej dopóki Min wciąż widzi wokół niego to, co widzi. Będzie żył na tyle długo, by wyjawić to, do czego przekonała go Suan podczas rozmów z nim. Nie ośmieliła się zaryzykować i pozwolić mu pójść własną drogą. To tutaj spoczywała jego wielka szansa na zemstę na tych, które go otoczyły, pochwytyły na powrót i poskromiły. Zemstę tylko na Czerwonych Ajah, prawda, ale z tym będzie musiał się jakoś pogodzić. Jedna ryba w łodzi warta jest więcej niż cała ławica w wodzie.

Spojrzała na Leane, która uśmiechnęła się najsłabszym z możliwych uśmiechów. Dobrze. Leane szczególnie podobało się to, że aż do dzisiejszego ranka trzymała przed nią w sekrecie swe plany dotyczące Logaina, ale Suan zbyt długo już żyła w otoczeniu tajemnic, aby chętnie zdradzać więcej, niżli okazywało się konieczne, nawet przyjaciółce. Uznała, że pomysł, iż Czerwone Ajah miały do czynienia również z innymi fałszywymi Smokami został zgrabnie posiany w ich umysłach. Czerwone stały na czele tych, które ją obaliły. Kiedy cała rzecz dobiegnie końca, być może nie będzie już wcale Czerwonych Ajah.

— To zmienia postać rzeczy — powiedziała po jakimś czasie Sheriam. — Nie możemy ogłosić swego poparcia dla Amyrlin, która była zaangażowana w coś takiego.

— Poparcia! — wykrzyknęła Suan, po raz pierwszy prawdziwie zaskoczona. — Naprawdę zastanawialiście się, czy nie wrócić i nie pocałować pierścienia Elaidy? Wiedząc o tym, co zrobiła i co jeszcze robi?

Leane zadrżała, pochyliła się do przodu, jakby chciała coś powiedzieć, ale ustaliły wcześniej, że to Suan będzie pozwalać sobie na utratę panowania nad sobą.

Sheriam wyglądała na trochę zmieszana, na oliwkowych policzkach Myrelle wystąpiły ciemne plamy, ale pozostałe potraktowały wszystko równie naturalnie jak światło słońca.

— Wieża musi być silna — oznajmiła Carlinya głosem twardym jak zimowy kamień. — Smok się Odrodził, nadchodzi Ostatnia Bitwa, a Wieża musi stanowić całość.

Anayia przytaknęła.

— Rozumiemy powody, dla których możesz żywić antypatię do Elaidy lub wręcz nienawiść. Rozumiemy je, ale musimy myśleć o Wieży i o świecie. Przyznaję, że sama również nie przepadam za Elaidą. Ale jeśli już o to chodzi, ciebie, Suan, również nie lubiłam. Nie trzeba konieczne lubić Zasiadającej na Tronie Amyrlin. Nie musisz tak na mnie patrzeć, Suan. Już jako nowicjuszka miałas

niewyparzony język, a z upływem lat to się jeszcze pogorszyło. A jako Amyrlin zmuszałaś siostry, by robiły, co tylko zechcesz i rzadko wyjaśniałaś powody. Te dwie cechy nie tworzą szczególnie miłej kombinacji.

— Postaram się... pohamować mój język — sucho oznajmiła Sivan. Czy ta kobieta spodziewała się, że Zasiadająca będzie traktowała wszystkie siostry jak przyjaciółki z młodości? — Ale mam nadzieję, iż to co powiedziałam, osłabi nieco waszą ochotę ukłęknięcia u stóp Elaidy?

— Jeżeli to ma być pohamowanie języka — powiedziała leniwie Myrelle — to może ja będę musiała sama się tym zająć, o ile pozwolimy ci kierować dla nas siatką szpiegowską.

— Teraz już oczywiście nie możemy wrócić do Wieży — powiedziała Sheriam. — Nie po tym, czego się dowiedziałyśmy. Nie, dopóki nie będziemy miały na tyle siły, by usunąć Elaidę.

— Cokolwiek zrobiła, czy też Czerwone zrobiły, zawsze opowiedzą się po jej stronie. — Nie było bowiem żadną tajemnicą, że Czerwonym nie podoba się to, iż od czasu Bonwhin nie było Amyrlin wywodzącej się z ich Ajah.

Morvrin smutno pokiwała głową.

— Pozostałe, obawiam się, również. Te, które za Elaidą poszły już za daleko, by uwierzyć, że mają jeszcze jakiś wybór. Te, które posłuszne są władzy, niezależnie od tego, jak byłaby niecna. Oraz te, które sądzą, iż podzieliłyśmy Wieżę w chwili, gdy jej jedność należy utrzymać za wszelką cenę.

— Wszystkie siostry prócz Czerwonych mogą dać się przekonać — rozsądnie zauważyła Beonin — można z nimi przynajmniej rozmawiać. — Mediacje i negocjacje były podstawowym celem istnienia jej Ajah.

— Wygląda na to, że przydadzą się nam ci twoi agenci, Sivan — Sheriam rozejrzała się po pozostałych. — Chyba, że któraś wciąż uważa, iż powinniśmy jej odebrać te siatki?

Morvrin ostatnia pokręciła głową, ale na koniec jednak zgodziła się, po dłuższej chwili, podczas której uważnie wpatrywała się w Sivan w taki sposób, że ta poczuła się zupełnie obnażona, zważona i zmierzona.

Nie potrafiła powstrzymać westchnienia ulgi. A więc nie szybka agonია w jakimś domku, lecz życie z konkretnym celem. Wciąż mogło ono okazać się krótkie — nikt nie wiedział, jak długo może żyć kobieta ujarzmiona, która jednak ma coś, co zastąpi jej Jedyną Moc — ale skoro ten cel istnieje, to będzie wystarczająco długie. A więc Myrelle chce ją nauczyć, jak należy hamować język, czy tak?

„Już ja pokażę tej lisiookiej Zielonej... nie, pohamuję swój język i będę zadowolona, że nie robi nic więcej, jak tylko na mnie spogląda, tak właśnie zrobię. Przecież wiem, jak to się dalej rozwinie. Niech szczenę, wiem”.

— Dziękuję wam, Aes Sedai — powiedziała najskromniej jak umiała. Zwrócenie się do nich w ten sposób wywołało ukłucie bólu, to było kolejne zerwanie, kolejne przypomnienie tego, czym już dłużej nie była. — Postaram się służyć

wam jak najlepiej.

Myrelle naprawdę nie musiała przytakiwać z taką satysfakcją. Suan zignorowała cichy głos, który mówił jej, że na miejscu tamtej zachowałaby się podobnie albo nawet jeszcze gorzej.

— Jeżeli mogę coś zasugerować — powiedziała Leane — to nie wystarczy czekać, aż będziecie miały dostateczne poparcie Komnaty Wieży, aby usunąć Elaidę.

Suan przybrała pełen zaciekawienia wyraz twarzy, jakby słyszała to po raz pierwszy.

— Elaida znajduje się w Tar Valon, w Białej Wieży i w oczach świata to ona jest Amyrlin. W tej chwili wy stanowicie tylko gromadkę dysydemtów. Może nazwać was buntownikami i podżegaczami, a ponieważ słowa te pochodzą z ust Zasiadającej na Tronie Amyrlin, świat da im wiarę.

— Nie wyobrażam sobie, jak możemy sprawić, by przestała być Amyrlin, nie usuwając jej — stwierdziła Carlinya z lodowatą pogardą. Gdyby miała na sobie swój szal z białymi frędzlami, z pewnością owinęłaby się nim szczelnie.

— Możecie dać światu prawdziwą Amyrlin — powiedziała Leane nie tylko do Białej siostry, ale do wszystkich naraz, spoglądając im po kolei w oczy, pewna tego, co mówi, a jednocześnie wysuwając tylko sugestie, z nadzieją, iż z niej skorzystają. To właśnie Suan wskazała jej, że techniki zachowań, jakich używała wobec mężczyzn, mogą się okazać równie skuteczne wobec kobiet. — Widziałam tu Aes Sedai ze wszystkich Ajah, wyjąwszy Czerwone, we wspólnej izbie i na ulicach. Każcie im wybrać tutaj nową Komnatę Wieży i niech ta Komnata wyłoni Amyrlin. Wtedy możecie wystąpić przed światem jako prawdziwa Biała Wieża na wygnaniu, Elaidę zaś uczynić uzurpatorką. Jeżeli doda się do tego rewelacje Logaina, czy można wątpić, kogo narody uznają za właściwą Zasiadającą na Tronie Amyrlin?

Pomysł chwycił. Suan niemalże mogła słyszeć, jak obracają go w swoich głowach. Niezależnie od tego, co sobie pomyślały, tylko Sheriam zgłosiła swój sprzeciw.

— To by oznaczało, że Wieża naprawdę się rozpada — powiedziała ze smutkiem zieloonoka kobieta.

— Ona już się rozpadła — oświadczyła cierpkim tonem Suan i po chwili pożałowała tego, gdy wszystkie na nią spojrzały.

To miał być wyłącznie pomysł Leane. Ona sama cieszyła się sławą zręcznej manipularki, a więc nie zdziwiłaby się, gdyby podejrzliwie podchodziły do wszystkiego, co zaproponuje. Dlatego właśnie na początku je obrażała, nie wierzyłyby jej, gdyby zaczęła od bardziej umiarkowanych w tonie wypowiedzi. Musiała ruszyć na nie, jakby wciąż była Amyrlin i pozwolić przywołać się do porządku. Dla odmiany Leane miała przejawiać więcej skłonności do współpracy, podsuwając tylko skromne propozycje, a z pewnością chętnie jej posłuchają. Od-

grywanie własnej roli nie było trudne — dopóki nie przyszło do próśb, wówczas naprawdę miała ochotę powiesić je na słońcu i poczekać, aż wyschną. Siedzieć tutaj i nic nie robić !

„Nie musisz się martwić ich podejrzeniami. Uważają cię za złamaną trzcinę”.

Jeżeli wszystko pójdzie właściwie, nie powinny niczego podejrzewać. Użyteczna trzcina, lecz tak słaba, że nie ma potrzeby myśleć o niej dwa razy. Konieczność przystosowania się do takiej roli była bardzo bolesna, jednak Duranda Tharne pokazała jej w Lugardzie, że nie ma innego wyjścia. Zaakceptują ją wyłącznie na swoich warunkach, a ona będzie musiała z tego wyciągnąć jak najwięcej korzyści.

— Żałuję, że sama o tym nie pomyślałam — ciągnęła dalej. — Leane proponuje wam sposób ponownego odbudowania Wieży bez jednoczesnego niszczenia pierwszej.

— Wciąż mi się to nie podoba. — Głos Sheriam stwardniał. — Ale co musi być... Koło spleta tak, jak chce, a jeśli spodoba się to Światłości, uplecie Wzór, w którym Elaida nie będzie miała stuły.

— Musimy negocjować z siostrami, które zostały w Wieży — powiedziała Beonin, częściowo do siebie. — Amyrlin, którą wybierzemy, będzie musiała być zręczną negocjatorką, czyż nie?

— Potrzebna będzie jasność myślenia — wtrąciła Carlinya. — Nowa Amyrlin musi być kobietą chłodnego rozumu i logiki.

Morvrin parsknęła tak głośno, że wszystkie podskoczyły na krzesłach.

— Sheriam ma najwyższą pozycję z nas wszystkich i ona będzie musiała trzymać nas razem, byśmy nie rozbiegły się na dziesięć różnych stron.

Sheriam żywo potrząsnęła głową, ale Myrelle nie dała jej dojść do słowa.

— Sheriam to znakomity wybór. Mogę obiecać, iż wszystkie Zielone siostry opowiedzą się za nią, nie ma wątpliwości.

Anayia otworzyła już usta, po jej twarzy widać było, że się z nimi zgadza.

Czas był najwyższy, by położyć temu kres, zanim sytuacja wymknie się spod kontroli.

— Czy mogę coś zaproponować? — Suan sądziła, że pokorę przychodzi jej udawać znacznie łatwiej niżli nieśmiałość. Kosztowało ją to dużo wysiłku, uznała jednak, że lepiej będzie, jak się tego nauczy od razu.

„Myrelle nie jest tu jedyną, która spróbuje zepchnąć mnie do zęzy, jeżeli tylko uznają, że nie trzymam się miejsca, które mi wyznaczono. Jakiegokolwiek by nie było”.

Tylko że one nie będą próbować. Zwyczajnie zrobią to. Aes Sedai oczekiwały — nie, wymagały — szacunku od tych, którzy nimi nie byli.

— Wydaje mi się, że powinniście wybrać kogoś, kogo nie było w Wieży, kiedy zostałam... usunięta. Czy nie byłoby najlepiej, gdyby kobiety, która pewnego dnia zjednoczy Wieżę, nie można było oskarżyć o to, że wtedy opowiedziała się

po którejś ze stron? — Jeżeli miała dalej tak to ciągnąć, to chyba mózg jej się w pewnym momencie ugotuje.

— Ktoś, kto byłby bardzo silny we władaniu Mocą — dodała Leane. — Im silniejsza będzie, tym łatwiej przyjdzie jej reprezentować to wszystko, co symbolizuje Wieża. Co będzie symbolizować, kiedy odejdzie Elaida.

Siuan miała ochotę ją kopnąć. Ta myśl miała poczekać co najmniej cały dzień, do czasu, gdy zaczną na poważnie rozważać kandydatury. Ona sama i Leane wiedziały dostatecznie dużo o każdej z sióstr, aby znaleźć jakąś słabość, wątpliwość, którą można byłaby subtelnie podszeptać. Wolałyby jednak raczej przepłynąć nago przez ławicę srebrów, niżli dopuścić, by te kobiety zrozumiały, iż próbuje nimi manipulować.

— Siostra, która znajdowała się poza Wieżą — powtórzyła Sheriam, kiwając głową. — Ta doprawdy jest znakomite rozwiązanie, Siuan. Bardzo dobrze.

Jak łatwo przeszły do głaskania jej po głowie.

Morvrin zacisnęła usta.

— To nie będzie łatwe znaleźć kogoś takiego.

— Siła dodatkowo zawęży możliwości manewru. — Anayia rozejrzała się wokół. — Dzięki niej stanie się ona bardziej nośnym symbolem, przynajmniej w oczach pozostałych sióstr, poza tym siła we władaniu Mocą idzie często w parze z siłą woli, a ta, którą wybierzemy, będzie jej z pewnością potrzebowała.

Carlinya i Beonin były ostatnimi, które potakująco skinęły głowami.

Siuan starała się zachować niewzruszony wyraz twarzy, jednak w duszy uśmiechała się szeroko. Rozłam w Wieży zmienił wiele rzeczy, wiele sposobów myślenia, wyjąwszy jej własny. Te kobiety przewodziły zgromadzonym tutaj siostrom, a teraz właśnie dyskutowały, kto powinien zostać przedstawiony nowej Komnacie Wieży, jakby wybór nie pozostawał w gestii samej Komnaty. Nie powinno być kłopotów z podsunieniem im idei, oczywiście bardzo subtelnie, że nowa Amyrlin powinna słuchać ich rad. I zupełnie nie zdając sobie z tego sprawy, zarówno one, jak i Amyrlin, którą wybiorą na jej miejsce, będą kierowane przez nią. Ona i Moiraine zbyt długo pracowały nad tym, by znaleźć Randa al'Thora i przygotować go do odegrania właściwej roli, zbyt wiele poświęciły ze swego życia, by teraz ryzykować, iż resztę zepsuje ktoś inny.

— Jeżeli mogę coś zaproponować? — Pokora po prostu nie leżała w jej naturze, będzie musiała znaleźć coś innego. Czekala, próbując nie zgrzytać zębami, aż Sheriam skinęła głową i dopiero wówczas ciągnęła dalej. — Elaida będzie próbowała znaleźć Randa al'Thora, w miarę jak wędrowaliśmy na południe, słyszałam coraz częstsze plotki, iż opuścił Łzę. Ja również sądzę, że tak się stało i przypuszczam, iż udało mi się wywnioskować, dokąd się udał.

Nie było potrzeby mówić, iż muszą go znaleźć, zanim zrobi to Tar Valon. Wszystkie zrozumiały to bez słów. Nie tylko Elaida zmarnuje go, co do tego nie było wątpliwości, ale kiedy położy na nim swe ręce, pokaże go oddzielonego od

Źródła, pozostającego pod jej kontrolą, wtedy wszelka nadzieja na usunięcie jej zgaśnie. Władcy znali Proroctwa, nawet jeśli ich ludy zazwyczaj nie miały o nich pojęcia, z konieczności przebaczą jej nawet dziesięciu fałszywych Smoków.

— Gdzie? — warknęła Morvrin, o włos wyprzedzając Sheriam, Anayię i Myrelle, które odezwały się jednocześnie.

— Pustkowie Aiel.

Na chwilę zapadła cisza, potem Carlinya powiedziała:

— To bez sensu.

Siuan zmełła w ustach gniewną replikę i uśmiechnęła się, mając nadzieję, że chociaż trochę będzie to przypominać przeprosiny.

— Być może, ale czytałam trochę o Aielach, kiedy byłam Przyjętą. Kitarą Moroso uważała, że niektóre Mądre Aielów mogą być zdolne do przenoszenia. — Kitarą była wówczas Opiekunką. — Jedna z książek, które mi poleciła, stary tom, wyciągnięty gdzieś z zakurzonego kąta biblioteki, twierdziła, że Aielowie nazywają siebie Ludem Smoka. Przypomniałam sobie o tym dopiero, kiedy zastanawiałam się, gdzież to mógł zniknąć Rand al'Thor. Proroctwa powiadają, że „Kamień Łzy nie upadnie dopóty, dopóki nie pojawi się Lud Smoka”, a w szturmie na Kamień wzięli udział Aielowie. W tej kwestii zgadzają się wszystkie plotki i opowieści.

Spojrzenie Morvrin nagle jakby uciekło w przestrzeń.

— Pamiętam spekulacje na temat Mądrych, kiedy zostałam świeżo wyniesiona do szala. To byłoby fascynujące, gdyby okazało się prawdziwe, ale Aielowie są równie przyjaźnie nastawieni do Aes Sedai, jak do wszystkich pozostałych pojawiających się w Pustkowiu, ich Mądre zaś najwyraźniej mają jakieś prawo czy obyczaj zakazujący rozmawiania z obcymi, tak przynajmniej zrozumiałam, co sprawia, iż niezwykle trudno jest podejść wystarczająco blisko którejś z nich, by dało się wyczuć... — Nagle opamiętała się, spojrzała na Siuan i Leane, jakby jej zamyślenie było ich winą. — To trochę zbyt cienka słoma, by upleść z niej kosz, coś, co pamiętasz z książki, napisanej przez kogoś, kto nigdy nie widział Aielów.

— Bardzo cienka słomka — powtórzyła Carlinya.

— Ale warta przecież wysłania kogoś do Pustkowie? — Przedstawienie tej kwestii w formie pytania, nie zaś żądania, kosztowało ją wiele wysiłku. Miała wrażenie, że zapoci się na śmierć, a i tak nic z tego nie wyjdzie, i trzeba będzie znaleźć inny sposób. Wciąż potrafiła zapanować nad sobą na tyle, by ignorować upał, zazwyczaj przynajmniej, jednak nie wtedy, gdy jednocześnie próbowała manipulować tymi kobietami i to w taki sposób, aby nie zauważyły jej ręki ściskającej je za gardła. — Nie sądzę, by Aielowie spróbowali skrzywdzić Aes Sedai.

Na pewno nie, jeśli okaże się dość szybka, by pokazać, iż jest Aes Sedai. Siuan naprawdę nie sądziła, by coś mogło się jej stać.

— A jeżeli on znajduje się w Pustkowie, Aielowie będą o tym wiedzieli. Pamiętajcie o tamtych Aielach w Kamieniu.

— Być może — powoli powiedziała Beonin. — Pustkowie jest rozległe. Ile sióstr trzeba by wysłać?

— Jeśli Smok Odrodzony przebywa w Pustkowie — wtrąciła Anayia — pierwszy Aiel, którego spotkają, będzie o tym wiedział. Ze wszelkich raportów wynika, że tam gdzie pojawia się Rand al'Thor, wydarzenia idą za nim jak burza. Nie mógłby zapewne wpaść do morza, nie czyniąc plusku słyszalnego w każdym zakątku świata.

Myrelle uśmiechnęła się.

— To powinna być Zielona. Żadna z pozostałych nie nkląda zobowiązań na więcej niżli jednego Strażnika, a dwóch lub trzech Gaidinów może się przydać w Pustkowie, dopóki Aielowie nie rozpoznają w nas Aes Sedai. Zawsze chciałam zobaczyć Aiela. — Podczas Wojen o Aiel była nowicjuską i nie miała pozwolenia na opuszczanie Wieży. Oczywiście żadna z Aes Sedai nie brała udziału w walce, wyjąwszy Uzdrawianie. Trzy Przysięgi nie pozwalały im na to, dopóki samo Tar Valon albo wręcz Biała Wieża nie zostaną zaatakowane, a ta wojna nigdy nie przekroczyła rzeki.

— Ty nie — powiedziała Sheriam — ani żadna z pozostałych członkiń rady. Zgodziłaś się zasiadać w niej z nami, Myrelle, a to oznacza określone obowiązki, z których zdawałaś sobie sprawę, nie zaś wałęsanie się gdzieś, tylko dlatego że się nudzisz. Obawiam się, że zanim skończymy, czeka nas więcej emocji, niżli którakolwiek by sobie życzyła.

W innych okolicznościach byłaby wspaniałą Amyrlin, w tych była po prostu za silna, zbyt pewna siebie.

— Ale Zielone... Tak, przypuszczam, że tak. Dwie? — Spojrzenie jej zielonych oczu przemknęło po twarzach pozostałych. — Aby mieć pewność?

— Kiruna Nachiman? — Zaproponowała Anayia, Beonin zaś dodała: — Bera Harkin?

Pozostałe pokiwały głowami, wyjąwszy Myrelle, która z irytacją poprawiła szal na ramionach. Aes Sedai nie przeklinały, ale ona najwyraźniej była bliska tego.

Siuan po raz drugi odetchnęła z ulgą. Pewna była, że jej wnioskowanie jest prawidłowe. On zniknął, a gdyby znajdował się gdzieś między Grzbietem Świata a Oceanem Aryth, plotki już by krążyły. Ale gdziekolwiek jest, Moiraine jest z nim, trzymając rękę na obroży. Kiruna i Bera z pewnością zechcą zawieźć list do Moiraine, a nadto miały razem siedmiu Strażników, którzy chronić je będą przed możliwą śmiercią z rąk Aielów.

— Nie chcemy dłużej męczyć ciebie i Leane — ciągnęła dalej Sheriam. — Poproszę jedną z Żółtych sióstr, by się wami zaopiekowała. Być może będzie mogła wam pomóc uspokoić się w jakiś sposób. Każę też przygotować dla was

pokoje, żebyście mogły odpocząć.

— Jeżeli masz być naszą mistrzynią siatki szpiegowskiej — dodała Myrelle troskliwie — musisz dbać o swoje siły.

— Nie jestem tak krucha, jak myślicie — protestowała Siuan. — Gdybym była, czy przejechałabym za wami blisko dwa tysiące mil? Wszystkie słabości, jakich przysporzyło mi ujarzmienie, zniknęły, wierzcie mi.

Prawda była taka, że oto znowu znalazła centrum władzy i nie miała zamiaru go opuścić, ale tego wszak nie mogła im powiedzieć prosto w oczy. Wszystkie te zatroskane spojrzenia skupione na niej i Leane. Cóż, być może nie Carlinyi, ale pozostałych.

„Światłości! Zamierzają doprowadzić do tego, by nowicjuszka śpiewała nam kołysankę!”

Rozległo się pukanie do drzwi i natychmiast w ślad za nim do środka wszedł Arinvar, Strażnik Sheriam. Cairhienianin, nie był wysoki, a nadto szczupły, jednak pomimo siwych włosów na skroniach twarz miał surową, poruszał się zaś niczym pantera podchodząca zdobycz.

— Dwudziestu jakichś dziwnych jeźdźców zbliża się od zachodu — oznajmił bez żadnych wstępów.

— Nie są to Białe Płaszcz, jak zakładam — powiedziała Carlinya — w przeciwnym razie zapewne byś nas o tym poinformował.

Sheriam spojrzała na nią znacząco. Niektóre siostry bywały drażliwe, gdy jakaś inna wtrącała się między nią a jej Gaidina.

— Nie możemy im pozwolić na to, by spokojnie odjechali, mogą donieść o naszej tu obecności. Czy można ich złapać, Arinvar? Wolałabym uniknąć zabijania.

— Obie rzeczy mogą okazać się trudne — odparł. — Machan powiada, że są uzbrojeni i wyglądają na weteranów. Warci po dziesięciokroć tyle, co młodszy żołnierze.

Morvrin wydała z siebie podenerwowany odgłos.

— Nie ma innego wyjścia. Wybacz mi, Sheriam. Arinvar, czy Gaidinowie mogliby doprowadzić najbardziej zręczne siostry na tyle blisko, by spętały ich Powietrzem?

Nieznacznie pokręcił głową.

— Machan powiada, że mogli nawet widzieć niektórych Strażników stojących na warcie. Z pewnością zauważą, jeśli spróbujemy przemycić jedną lub dwie z was w pobliże. Jednak wciąż nadjeżdżają.

Siuan i Leane nie były jedynymi, które wymieniły zaskoczone spojrzenia. Nie wielu mężczyzn potrafiłoby dostrzec Strażnika, który nie chciał, by go zobaczono, nawet bez płaszcza Gaidina.

— A więc musicie zrobić to, co uznacie za najbardziej stosowne — oznajmiła Sheriam. — Schwytajcie ich, jeśli się to okaże możliwe. Ale żaden z nich nie może uciec.

Nim Arinvar dokończył swój ukłon, z dłonią na rękojeści miecza, obok niego pojawił się kolejny mężczyzna, ciemny, wielki niczym niedźwiedź, barczysty i wysoki, z włosami sięgającymi do ramion i krótką brodą wygoloną w taki sposób, że odsłaniała górną wargę. Przy jego postaci ten płynny sposób poruszania się Strażników wyglądał doprawdy dziwnie. Mrugnął do Myrelle, swojej Aes Sedai, a jednocześnie oznajmił ze swoim mocnym illiańskim akcentem:

— Większość jeźdźców zatrzymała się, jeden wszak przybył tutaj osobiście. Co prawda widziałem go tylko w przelocie, ale jest to Gareth Bryne, i upierałbym się przy tym, gdyby nawet moja matka staruszka twierdziła inaczej.

Siuana spojrzała na niego szeroko rozwartymi oczyma, nagle poczuła chłód przenikający dłonie i stopy. Uporczywe plotki głosiły, że Myrelle naprawdę poślubiła tego Nuhela oraz swoich pozostałych dwóch Strażników, łamiąc tym samym wszelkie obyczaje i prawa każdego kraju, który Siuana przychodził na myśl. To był taki rodzaj przypadkowej myśli, jaka nawiedza umysły ogłuszone niespodziewanym obrotem spraw, a w tej właśnie chwili czuła się tak, jakby maszt runął jej na głowę. Bryne, tutaj?

„To niemożliwe! To szaleństwo!” — Z pewnością ten człowiek nie mógł jechać za nimi taki kawał drogi po... — „O tak, mógł i zrobił to. Ten człowiek jest do czegoś takiego zdolny”.

Kiedy podróżowały, zapewniała samą siebie, że tylko zrozumiała ostrożność każe im zacierać za sobą ślady, że Elaida wie, iż nie zginęły, niezależnie od tego, co głosiły plotki, i że nie zaprzestanie ich ścigać, dopóki nie zostaną znalezione albo ona nie padnie. Siuana przez cały czas czuła zdenerwowanie, kiedy musiały pytać o drogę, jednak myśl, która atakowała ją niczym rekin, krzyczała, że to przecież nie Elaida znajdzie jakoś kowala w małej altarańskiej wiosce, lecz że ten kowal będzie niczym jaskrawo wymalowany znak dla Bryne’a.

„Mówiłaś sobie, że to głupoty, nieprawdaż? A oto i on”.

Dobrze pamiętała swoje spotkanie z nim, kiedy musiała nagiąć jego wolę w sprawie Murandy. Przypominało to wówczas zginanie żelaznej sztaby albo jakiejś potężnej sprężyny, która odskoczy, gdy choć na moment się popuści. Musiała przywołać wszystkie swoje siły, aby dać sobie z nim radę, musiała poniżyć go publicznie, aby być pewną, że będzie posłuszny tak długo, jak ona zechce. Nie mógł odwołać tego, co zgodził się czynić, klęcząc i błagając o łaskę na oczach pięćdziesięciu szlachetnie urodzonych. Z samą Morgase było już dosyć kłopotów, a Siuana nie miała ochoty, by Bryne służył za pretekst pozwalający sprzeciwić się jej zaleceniom. Dziwna myśl, wówczas ona i Elaida współpracowały ze sobą, wywierając nacisk na Morgase.

Musiała się wziąć w garść. Rozpraszała się niepotrzebnie, myśląc o wszystkim, tylko nie o tym, co trzeba.

„Skoncentruj się. Nie ma czasu na uleganie panice”.

— Musicie go odesłać. Lub zabić.

Wiedziała, że to błąd, zanim skończyła swą wypowiedź. Zbyt wyraźnie było w niej obecne naleganie. Nawet Strażnicy spojrzeli na nią, Aes Sedai zaś... Dotąd nigdy nie wiedziała, jak to jest, gdy straci się Moc, a te oczy zwrócą się na ciebie z pełną siłą swego wyrazu. Poczula się naga, obnażona aż do samej duszy. Nawet wiedząc, że Aes Sedai nie potrafią przecież czytać myśli, wciąż miała ochotę wyznać od razu wszystko, zanim przedstawią listę jej kłamstw i zbrodni. Miała tylko nadzieję, że jej twarz nie przypomina oblicza Leane; poczerwieniałe policzki, oczy szeroko rozwarte.

— Dobrze wiecie, dlaczego on tu przyjechał — głos Sheriam był pełen chłodnej pewności. — Obie wiecie. I nie macie ochoty stanąć z nim twarzą w twarz. Do tego stopnia, że chciałybyście, byśmy go dla was zabiły.

— Żyje jeszcze kilku tylko naprawdę wielkich kapitanów. — Nuhel zaczął wyliczać na palcach. — Agelmar Jagad i Davram Bashere nie opuszczają Ugoru, jak przypuszczam, Pedron Niall zaś zapewne na nic się wam nie przyda. Gdyby Rodel Ituralde żył dotąd, można by spotkać go gdzieś na pozostałościach Arad Doman. — Uniósł w górę gruby kciuk. — A więc zostaje wam tylko Gareth Bryne.

— Sądysz, że będziemy potrzebowały wielkiego kapitana? — zapytała cicho Sheriam.

Nuhel i Arinvar nie spojrzeli nawet na siebie, ale Sivan nie mogła się pozbyć wrażenia, że jednak wymienili porozumiewawcze spojrzenia.

— Decyzja należy do ciebie, Sheriam — odparł równie cicho Arinvar — do ciebie i pozostałych sióstr, ale jeśli masz zamiar powrócić do Wieży, on przyda ci się z pewnością. Jeżeli zamierzacie pozostać tutaj, dopóki Elaida po was kogoś nie przyśle, wtedy będzie niepotrzebny.

Myrelle spojrzała na Nuhela pytająco, on zaś pokiwał głową.

— Wygląda na to, że miałaś rację, Sivan — gniewnie oznajmiła Anayia. — Nie udało nam się oszukać Gaidinów.

— Pytanie jednak brzmi, czy on zgodzi się nam służyć — powiedziała Carlinya, a Morvrin pokiwała głową, dodając — Musimy przedstawić mu naszą sprawę w taki sposób, by zechciał służyć. W niczym nam nie pomoże, jeśli świat się dowie, że zabiłyśmy, czy też uwięzyłyśmy tak znacznego człowieka.

— Tak — skończyła Beonin — i musimy mu zaproponować zapłatę, która mocno go z nami zwiąże.

Sheriam spojrzała na dwóch mężczyzn.

— Kiedy lord Bryne dotrze do wioski, nie mówcie mu nic, lecz przyprowadźcie prosto do nas. — Gdy tylko drzwi zamknęły się za Strażnikiem, jej wzrok stwardniał. Sivan nie miała kłopotów z przypomnieniem sobie, to samo zielone spojrzenie, które sprawiało, że nowicjuszkom drżały kolana, zanim nawet padło choćby jedno słowo. — Dobrze. Opowiecie nam dokładnie, dlaczego Gareth Bryne tu przyjechał.

Nie było wyboru. Jeżeli złapią ją na najdrobniejszym choćby kłamstwie, zaczęną wątpić we wszystko. Sivan wciągnęła głęboko powietrze.

— Na noc poszukałyśmy schronienia w stodole położonej blisko Źródeł Kore, w Andorze. Bryne jest tamtejszym lordem i...

SCHWYTANI

Strażnik w szarozielonym płaszczu podszedł do Garetha Bryne, gdy tylko zdążył wjechać na Podróżniku pomiędzy pierwsze kamienne budynki wioski. Bryne rozpoznałby w nim Strażnika już po dwóch krokach danych przez tamtego, nawet gdyby na ulicy nie dojrzał wpatrzonych w niego wszystkich tych twarzy Aes Sedai. Cóż, w imię Światłości, robi tyle Aes Sedai tuż przy granicy z Amadicią? Plotki słyszane w wioskach, które mijali, głosiły, że Ailron zamierza wysunąć roszczenia do tego brzegu rzeki, co oznaczało, iż w istocie stoją za tym Białe Płaszcze. Aes Sedai potrafiły się bronić, ale gdyby Niall wysłał cały legion przez Eldar, wiele z tych kobiet zginęłoby. Chociaż nie potrafił powiedzieć, od jak dawna pień ściętego drzewa poddawany był oddziaływaniom atmosferycznym, dwa miesiące temu w tym miejscu jeszcze rósł las. W cóż też Mara się wplątała? Pewien był, iż tutaj ją odnajdzie, ludzie w wioskach pamiętali trzy śliczne dziewczyny podróżujące razem, w szczególności, że jedna z nich pytała o drogę do miasteczka opuszczonego od czasu Wojny z Białymi Płaszczami.

Strażnik, potężny mężczyzna o kwadratowej twarzy, sądząc po brodzie Illianin, nagle pojawił się na ulicy przed gniadym wałachem Bryne'a i uklonił się.

— Lord Bryne? Jestem Nuhel Dromand. Jeżeli pozwolisz, to oczekują cię te, z którymi zapewne chciałbyś mówić.

Bryne powoli zsiadł z konia, ściągnął rękawice i zatknął je za pas, jednocześnie przyglądając się mieścinie. Prosty kaftan w kolorze wolej skóry, który obecnie miał na sobie, znacznie lepiej spisywał się w podróży niżli ten szary jedwab towarzyszący jej początkom, tamten wyrzucił. Aes Sedai, Strażnicy i pozostali przyglądali mu się w milczeniu, ale nawet ci, którzy zapewne musieli być służącymi, nie wyglądali na zaskoczonych. A Dromand znał jego imię. Jego oblicze nie było nieznanne, podejrzewał jednak, że tu chodzi o coś więcej. Jeżeli Mara była — jeżeli one wszystkie były agentkami Aes Sedai, w najmniejszej mierze nie anulowało to złożonej przez nie przysięgi.

— Prowadź, Nuhelu Gaidin. — Jeżeli nawet Nuhel zaskoczony był, że tak się do niego zwrócił, niczego po sobie nie dał poznać.

Gospoda, do której zaprowadził go Dromand — czy też budynek, który kiedyś pełnił funkcję gospody — wyglądała niczym kwatera główna armii przygotowu-

jącej kampanię, wszędzie wokół krzątania i pośpiech. Oczywiście gdyby Aes Sedai kiedykolwiek dowodziły kampanią. Spostrzegł Serenłę, zanim ona zobaczyła jego, siedziała w kącie w towarzystwie wielkiego mężczyzny, którym zapewne był Dalyn. Kiedy go ujrzała, szczęka opadła jej niemal na stół, potem zamrugła, nie wierząc własnym oczom. Dalyn wyglądał, jakby spał z otwartymi oczyma, wbitymi w przestrzeń. Pozostałe Aes Sedai zdawały się go nie dostrzegać, kiedy za Dromandem wędrował wśród nich, ale Bryne gotów byłby postawić swój dwór i ziemię, że każda z nich widziała dziesięciokrotnie więcej niżli wszyscy razem wgapieni w niego służący. Powinien zawrócić i odjechać, kiedy tylko zrozumiał, kto zamieszkuje tę wioskę.

Zachowywał dalece posuniętą ostrożność, kłaniając się, gdy Strażnik przedstawiał go kolejno wszystkim sześciu siedzącym w pomieszczeniu Aes Sedai — tylko głupiec bywał nieostrożny w otoczeniu Aes Sedai — ale jego myśli krążyły wokół dwu młodych kobiet, stojących pod ścianą obok świeżo wyczyszczonego kominka i wyglądających na przestraszone. Smukła uwodzicielka Domani obdarzyła go uśmiechem, ale tym razem pełnym drżenia raczej niżli zalotności. Mara była również przerażona — do tego stopnia, że niemal wychodziła z siebie, jak łatwo mógł zauważyć — ale te błękitne oczy znów patrzyły nieustraszenie. Ta dziewczyna miała odwagę, której nie powstydziliby się lew.

— Miło nam, że możemy cię gościć u siebie, lordzie Bryne — powiedziała płomiennowłosa Aes Sedai. Lekko pulchna, z nakrapianymi tęczęwkami, była na tyle piękna, by mężczyzna obejrzał się za nią dwa razy, nawet widząc pierścień z Wielkim Wężem na palcu. — Czy powiesz nam, co cię tutaj sprowadza?

— Oczywiście, Sheriam Sedai. — Nuhel stał tuż przy jego boku. Bryne nie miał najmniejszych wątpliwości, że już wszystko wie, a wyraz ich twarzy, kiedy opowiadał swoją historię, tylko potwierdził jego przypuszczenia. Aes Sedai nie pozwalały, by z ich twarzy można było coś wyczytać wbrew ich woli, jednak przynajmniej jedna z nich powinna choćby mrugnąć, gdy wspomniał o przysiędze, gdyby nie wiedziały o niej uprzednio.

— Okropną historię opowiadasz, lordzie Bryne. — Odezwała się ta, której na imię było Anayia, niezależnie od braku śladów upływu lat na twarzy, wyglądała bardziej na żonę dobrze prosperującego farmera niżli na Aes Sedai. — Jednak zaskoczona jestem, że podążałeś aż tak daleko, ścigając wiarołomczynię. — Policzki Mary spłonęły wściekłą czerwienią. — Choć z drugiej strony, to przysięga, jakiej łamać się nie powinno.

— Na nieszczęście — oznajmiła Sheriam — nie możemy jeszcze wydać ich w twoje ręce.

A więc były agentkami Aes Sedai.

— Przysięga tak silna, że łamać jej nie wolno, a wy macie zamiar pozwolić im jej nie dotrzymać?

— Dotrzymają jej — powiedziała Myrelle, zerkając w taki sposób na parę sto-

jąca przy kominku, że obie natychmiast się wyprostowały — a ty możesz przynajmniej po części odzyskać spokój ducha, wiedząc, iż od początku żałowały swej ucieczki. — Tym razem to Amaena poczerwieniała, Mara wyglądała tak, jakby gotowa była gryźć kamienie. — Ale jeszcze nie teraz.

Nie wymieniono żadnych Ajah, przypuszczał jednak, że kobieta o smagłej urodzie była Zieloną, krępa zaś, o okrągłej twarzy, przedstawiona mu jako Morvrin, Brązową. Być może chodziło tu o uśmiech, jakim Myrelle obdarzyła Dromanda, kiedy wprowadził go do wnętrza, Morvrin bowiem otaczała aura kobiety zatopionej w myślach.

— Co prawda, to one nie określiły dokładnie, kiedy mają zamiar ją odsłużyć. A teraz są nam potrzebne.

To było idiotyczne, powinien je przeprosić za to, że przeszkadza i natychmiast opuścić to miejsce. Ale to także nie byłoby mądre. Zanim jeszcze Dromand wyszedł mu na spotkanie, wiedział już, że najpewniej nie ujdzie z życiem z Salidaru. W lesie, wokół miejsca, w którym zostawił swoich ludzi, było najprawdopodobniej pięćdziesięciu Strażników, jeśli nie setka. Joni i pozostali zapewne nie sprzedadzą tanio swej skóry, ale przecież nie ciągnął ich za sobą taki kawał drogi, by teraz ich pozabijano. Ale skoro był takim głupcem, że pozwolił się zwabić parze ślicznych oczu w tę pułapkę, równie dobrze mógł przejść dla nich tę ostatnią milę.

— Podpalenie, kradzież i napaść, Aes Sedai. Takie były ich przestępstwa. Zostały osądzone, skazane i zaprzysiężone. Ale nie protestuję, zaczekam, aż wy z nimi skończycie. Mara może służyć mi jako mój pies myśliwski w chwilach, gdy nie będzie wam potrzebna. Odnotuję godziny, podczas których pracowała dla mnie, a potem odejmę je od całkowitego czasu służby.

Mara otworzyła usta z wściekłości, ale niemalże jakby widząc, że zechce zaraz coś powiedzieć, spojrzenie sześciu par oczu Aes Sedai równocześnie wbiło się w nią. Zgarbiła ramiona, zamknęła usta, aż zgrzytnęły szczęki, a potem spojrzała na niego płonącym wzrokiem, dłonie wspierając na biodrach. Należało się cieszyć, że nie ma noża w ręku.

Myrelle zdawała się prawie do łez rozbawiona całą sytuacją.

— Lepiej wybierz tę drugą, lordzie Bryne. Wnosząc ze sposobu, w jaki na ciebie patrzy, zapewne przekonasz się, że jest bardziej... sympatyczna.

Na poły oczekiwał, że Amaena z kolei obleje się szkarłatem, ale tak się nie stało. I patrzyła na niego, jakby szacując go. Wymieniła nawet uśmiechy z Myrelle. Cóż, była mimo wszystko Domani i teraz w znacznie większym stopniu niżli wówczas, gdy zobaczył ją po raz pierwszy.

Carlinya, na tyle chłodna w obejściu, że pozostałe wyglądały przy niej ciepło, pochyliła się naprzód. Nie był do niej przekonany, do niej i wielkookiej kobiety o imieniu Beonin. Nie wiedział jednak, dlaczego. Wyjawszy odczucie, że tutaj rozgrywa się Gra Domów, uznałby, iż w obu z daleka można wyczuć gorejącą ambicję. Być może właśnie o to chodziło.

— Powinieneś być świadom — powiedziała zimno Carlinya — że kobieta, którą znasz jako Marę, to w rzeczywistości Siuan Sanche, uprzednio Zasiadająca na Tronie Amyrlin. Amaena zaś to tak naprawdę Leane Sharif, jej Opiekunka Kronik.

Potrafił się opanować tylko na tyle, by nie gapić się niczym wiejski głupek. Teraz, kiedy już wiedział, mógł dojrzeć w twarzy Mary — Siuan — rysy tej, która ongiś zmusiła go, by się ukorzył.

— Jak? — wykrztusił. W istocie, potrafił tylko tyle powiedzieć.

— Są takie rzeczy, o których mężczyźni nie powinni wiedzieć — chłodno odparowała Sheriam — a także i większość kobiet.

Mara — nie, równie dobrze mógł ją nazywać właściwym imieniem — Siuan została ujarzmiona. Tego był pewien. To musiało mieć coś wspólnego z ujarzmieniem. Jeżeli ta Domani o łabędziej szyi była Opiekunką, gotów był się założyć, że ją również ujarzmiono. Ale rozmowa na ten temat w obecności Aes Sedai była najlepszym chyba sposobem sprawdzenia, do jakiego stopnia jest się mężnym. Poza tym, kiedy już zaczynały się zachowywać tajemniczo, można było być pewnym, że nie uzyska się od nich prostej odpowiedzi nawet na pytanie, czy niebo jest błękitne.

Naprawdę były bardzo dobre, te Aes Sedai. Ukołysały go, a potem uderzyły mocno, kiedy przestał już się strzec. Zaczynał mieć mdlące poczucie, że już wie, po co go zmiękczają. Ciekawe, czy ma rację.

— To w niczym nie zmienia przysięgi, którą złożyły. Nawet gdyby wciąż były Amyrlin i Opiekunką, musiałyby dotrzymać swej przysięgi zgodnie z każdym prawem, również panującym w Tar Valon.

— Ponieważ nie masz żadnych obiekcji przed zostaniem tutaj — powiedziała Sheriam.- możesz mieć Siuan jako osobistą służącą w czasie, gdy my nie będziemy jej potrzebować. To odnosi się do wszystkich trzech, jeśli tego sobie życzysz, włączywszy w to Min, którą zapewne znałeś przez cały ten czas pod imieniem Serenla.

Z jakiegoś powodu to zdawało się irytować Siuan w takim samym stopniu, jak wszystko co o niej dotąd powiedziano, mruczała coś pod nosem, na tyle jednak cicho, że nie mógł nic usłyszeć.

— A ponieważ nie masz żadnych obiekcji, lordzie Bryne, na czas, kiedy z nami pozostaniesz, możesz również oddać nam określone przysługi.

— Wdzięczność Aes Sedai nie jest czymś nieznaczącym — dodała Morvrin.

— Służąc nam, pozostaniesz w służbie Światłości i sprawiedliwości — te słowa wyrzekła Carlinya.

Beonin kiwnęła głową i przemówiła bardzo poważnym tonem:

— Służyłeś wiernie Morgase i Andorowi. Służ tak i nam, a na koniec na pewno nie czeka cię wygnanie. Nic, o co cię prosimy, nie będzie sprzeczne z twym poczuciem honoru. Nie poprosimy też o nic, co mogłoby zaszkodzić Andorowi.

Bryne skrzywił się. Był już w Grze, w porządku. Czasami myślał, że Aes Sedai musiały wynaleźć *Daes Dae'mar*, zdawały się zdolne grać w nią nawet przez sen. Bitwy były z pewnością bardziej krwawe, ale były też i bardziej uczciwe. Jeżeli mają zamiar traktować go jak marionetkę na sznurkach — a w taki czy inny sposób i tak do tego doprowadzą — nadszedł czas, by pokazać im, że nie jest pozbawioną mózgu kukielką.

— W Białej Wieży nastąpił rozłam — powiedział obojętnym tonem. Oczy Aes Sedai rozszerzyły się, ale nie dał im szansy, by przemówiły. — Ajah podzieliły się. To jest jedyna możliwa przyczyna waszego pobytu tutaj. Z pewnością nie potrzebujecie jednego czy dwu dodatkowych mieczy — spojrzął na Dromanda i w odpowiedzi otrzymał skinienie głową — a więc jedyną służbą, jakiej ode mnie mogłybyście pragnąć, jest dowodzenie armią. Stworzenie jej, pierwszej, chyba że są jeszcze inne obozy znacznie. liczniejsze niżli ten, który tutaj widziałem. A to znaczy z kolei, iż chcecie wystąpić przeciwko Elaidzie.

Sheriam wyglądała na zirytowaną, Anayia na zmartwioną, Carlinya zaś najwyraźniej przez cały czas próbowała dojść do głosu, on jednak ciągnął dalej. Niech słuchają, spodziewał się, że w nadchodzących miesiącach będzie jeszcze miał dość słuchania ich.

— Bardzo dobrze. Nigdy nie lubiłem Elaidy, nie potrafiłbym uwierzyć, że byłaby dobrą Amyrlin. A co ważniejsze, mogę stworzyć armię, która zdobędzie Tar Valon. Jak same doskonale wiecie, będzie to operacja długotrwała i krwawa.

— Ale oto moje warunki. — Słyszając to, wszystkie kobiety zeszytniały, nawet Suan i Leane. Mężczyźni nie stawiali warunków Aes Sedai. — Po pierwsze, ja dowodzę. Wy mówicie mi, co mam zrobić, ale ja decyduję w jaki sposób. Wy rozkazuje mi, a ja, nie wy, rozkazuję żołnierzom pozostającym pod moją komendą.

Kilka aż otworzyło usta, najpierw Carlinya i Beonin, on jednak kontynuował.

— Ja rekrutuję ludzi, ja ich awansuję i ja ich karzę. Nie wy. Po drugie, jeżeli powiem wam, że czegoś nie sposób dokonać, weźmiecie moje słowa pod rozwagę. Nie proszę, byście dzieliły się ze mną swoją władzą — niewielka szansa, by się na to zgodziły — ale nie mam zamiaru marnować ludzi tylko dlatego, że wy nie rozumiecie wojny. — To zapewne może się zdarzyć, ale jeśli będzie miał szczęście, to nie więcej niż raz. — Po trzecie, jeżeli już zaczniecie tę całą sprawę, nie porzucicie jej w połowie. Przyłączając się do was, wkładam głowę w pętlę, podobnie jak każdy mężczyzna, który pójdzie za mną, a jeśli wy zdecydujecie, powiedzmy za pół roku od tej chwili, że Elaida jako Amyrlin lepsza jest od wojny, zaciśnięcie tę pętlę na naszych karkach, a przynajmniej na karkach tych, których będzie można złapać. Narody mogą trzymać się z dala od wojny domowej w Wieży, ale gdy nas porzucicie, nie pozwolą nam żyć. Elaida już tego dopilnuje. Jeżeli nie zgodzicie się na te warunki, doprawdy nie wyobrażam sobie, jak mógłbym wam służyć. Niezależnie od tego, czy zwiążecie mnie Mocą, aby obecny tutaj Dromand podciął

mi gardło, czy też skończę oskarżony i powieszony, i tak czeka mnie śmierć.

Żadna z Aes Sedai nie odezwała się. Przez dłuższą chwilę patrzyły na niego, dopóki swędzenie między łopatkami nie skłoniło go do zastanowienia się, czy Nuhel przypadkiem nie gotuje się do wbicia mu sztyletu w plecy. Potem Sheriam powstała, a pozostałe podeszły za nią do okna. Z miejsca gdzie stał, widział ich poruszające się usta, ale nic nie słyszał. Jeżeli chciały skryć swą naradę za barierą Jedynej Mocy, proszę bardzo. Nie był pewien, ile z tego, co zamierzał, może na nich wymusić. Wszystko, jeżeli zachowają zdrowy rozsądek, ale to Aes Sedai zdecydują, czy te przedziwne żądania są rozsądne. Cokolwiek postanowią, będzie musiał przyjąć z całym dobrodziejstwem inwentarza. Zastawił na samego siebie doprawdy idealną pułapkę.

Leane spojrzała na niego i uśmiechnęła się w sposób, który mówił jednoznacznie, że nigdy nie dowie się, ile stracił, pomyślał, że to dopiero byłby świetny pościg, z nim prowadzonym za nos. Kobiety Domani nigdy nie obiecywały nawet połowy tego, co ci się wydawało, a dawały tylko tyle, ile chciały, zmieniając swe decyzje w mgnieniu oka.

Przynęta w tej pułapce popatrzyła nań oczyma zupełnie pozbawionymi wyrazu, potem przeszła przez izbę i stanęła tak blisko, że musiała zdrzeć głowę. Przemówiła cichym, przepelnionym wściekłością głosem:

— Dlaczego to zrobiłeś? Dlaczego jechałeś za nami? Dla stodoły?

— Dla przysięgi. — Dla pary błękitnych oczu. Sivan Sanche nie mogła być młodsza od niego o więcej niż dziesięć lat, ale naprawdę trudno mu było o tym pamiętać, gdy patrzył w twarz przynajmniej trzydzięści lat młodszą. Oczy jednak zostały te same, ciemnoniebieskie i twarde. — Dla przysięgi, którą mi dałaś i którą złamałaś. Powinienem za to podwoić czas twej służby.

Umknęła wzrokiem, potem zaplotła ramiona na piersiach i jęknęła.

— One już o to zadbały.

— Masz na myśli karę za krzywoprzysięstwo? Jeżeli od tego boli cię dolna część ciała to i tak się nie liczy, dopóki nie będzie to moje dzieło.

Chichot Dromanda był co najmniej zgorzony — tamten wciąż jeszcze nie potrafił przejść do porządku nad tym, co się stało z Sivan, Bryne nie był zresztą pewien, czy jemu również to się udało — jej twarz zaś pociemniała tak, jakby w każdej chwili mogła paść rażona apopleksją.

— Czas mojej kary już został podwojony, jeśli nie więcej, ty kupo zjełczałych rybich flaków! Ty i twoje odliczanie godzin! Żadna godzina nie będzie się liczyć, dopóki nie będziesz miał nas trzech w swoim dworze, nie, jeśli musiałabym być twoim... twoim... pieskiem gończym, cokolwiek miałyby to znaczyć... choćby przez dwadzieścia lat!

A więc to również zaplanowały, Sheriam wraz z pozostałymi. Rzucił okiem na stojące przy oknie. Zdawały się dzielić na dwie grupy, Sheriam, Anayia i Myrelle z jednej strony, Morvrin, Carlinya po drugiej, a Beonin najwyraźniej zajmowała

stanowisko pośrednie. Gotowe były oddać mu Suan, Leane i — Min? — jako rodzaj łapówki czy okupu, zanim jeszcze wszedł do środka. Były zdesperowane, co oznaczało, że znalazł się po słabszej stronie, ale być może dlatego też gotowe były mu dać wszystko, czego potrzebował, by istniał choć cień nadziei na zwycięstwo.

— Bawi cię to, nieprawdaż? — zapytała gwałtownie Suan w tej samej chwili, gdy dostrzegła, gdzie patrzy. — Ty stary jastrzębiu. Żebyś szczęł, głupcze o karpim mózgu. Teraz, kiedy już wiesz, kim jestem, będziesz się rozkoszował moim widokiem, jak kłaniam się i czołgam przed tobą.

Na razie raczej nie robiła żadnej z tych rzeczy.

— Dlaczego? Ponieważ wtedy, w sprawie Murandy zmusiłam cię publicznie, byś się wycofał? Czy jesteś aż tak małym człowiekiem, Garecie Bryne?

Próbowała go zdenerwować, szybko zrozumiała, że powiedziała zbyt wiele i nie chciała dać mu czasu, aby się nad tym zastanowił. Być może przestała być Aes Sedai, ale skłonności do manipulowania innymi miała we krwi.

— Byłaś Zasiadającą na Tronie Amyrlin — odparł spokojnie — a nawet królowie całują pierścień Amyrlin. Nie mogę powiedzieć, by mi się podobał sposób, w jaki załatwiłaś tamtą sprawę, i może kiedyś porozmawiamy na osobności, czy rzeczywiście trzeba było to robić na oczach całego dworu, lecz powinnaś pamiętać, że ścigałem Marę Tomanes i prosiłem właśnie o nią. Nie o Suan Sanche. Ponieważ ty wciąż pytasz dlaczego, niech mi wolno też będzie zadać pytanie. Dlaczego było wówczas tak ważne, bym pozwolił Murandianom napadać na nasze wsie pograniczne?

— Ponieważ twoja interwencja zrujnowałaby istotne plany — powiedziała, a każde słowo niemalże wypluwała z ust — podobnie jak interwencja w moje obecne sprawy. Wedle rozeznania Wieży, młody lord z Pogranicza o imieniu Dulain mógł okazać się człowiekiem, który będzie w stanie pewnego dnia naprawdę zjednoczyć Murandy, oczywiście z naszą pomocą. Nie mogłam pozwolić, by twoi żołnierze przez przypadek go zabili. Mam tutaj pracę, lordzie Bryne. Pozwól mi ją wykonywać, a i ty będziesz świadkiem zwycięstwa. Przeszkadzaj mi swoją złością, a zniszczysz wszystko.

— Na czymkolwiek polega twoja praca, pewien jestem, że Sheriam i pozostałe zadbają o to, byś ją wykonała. Dulain? Nigdy o nim nie słyszałem. Zapewne jeszcze nie odniósł sukcesu. — W jego opinii Murandy pozostaną pstrokatą politycznie krainą we władzy niezależnych arystokratów, dopóki nie obróci się Koło i nie nadejdzie nowy Wiek. Murandianie nazywali samych siebie Lugardianami czy Mindeanami, czy jak tam jeszcze, a dopiero w drugim rządzie myśleli o sobie jako o narodzie. O ile w ogóle. Lord, który by ich zjednoczył i który miałby wokół szyi smycz Suan Sanche, mógłby przyprowadzić sporą liczbę ludzi.

— On... zginął. — Szkarłatne plamy wystąpiły na jej policzkach, zdawała się walczyć sama ze sobą. — Miesiąc po tym jak opuściłam Caemlyn — wymamrotała — jakiś andorański wieśniak przeszył go strzałą podczas jednego z najazdów.

Nie potrafił się powstrzymać od śmiechu.

— A więc to farmerów powinnaś rzucać na kolana, nie mnie. Cóż, już dłużej nie musisz troszczyć się o takie rzeczy.

— To bez wątpienia było prawdą. Jakielkolwiek zadania miały dla niej Aes Sedai, nigdy już nie pozwolą jej sprawować władzy ani podejmować decyzji. Było mu jej żal. Nie potrafił sobie wyobrazić, by ta kobieta mogła się poddać i umrzeć, ale już przecież straciła właściwie wszystko prócz życia. Z drugiej jednak strony, nie lubił, jak nazywano go jastrzębiem albo kupą zjełczałych rybich flaków. A jak brzmiało tamto? Głupiec o karpim mózgu. — Od tej chwili będziesz się troszczyć o to, czy moje buty są wyczyszczone i czy mam posłane łóżko.

Jej oczy zmieniły się w wążutkie szparki.

— Jeżeli tego chcesz, lordzie Garcie Bryne, powinieneś wybrać Leane. Ona może być na tyle głupia.

Omiał nie wytrzeszczył na nią zbaranianych oczu. Sposób, w jaki działały kobiece umysły, nigdy nie przestawał go zadziwiać.

— Przysięgłaś służyć mi w taki sposób, jaki wybiorę — spróbował zachichotać. Dlaczego to robił? Wiedział przecież, kim i czym niegdyś była. Ale te oczy wciąż nawiedzały go, wciąż patrzyła na niego wyzywająco, nawet wówczas gdy nie było już żadnej nadziei, tak jak w tej chwili. — Przekonasz się, jakim jestem człowiekiem, Siuan.

Próbował złagodzić jakoś efekt swego durnego żartu, ale wnioskując z tego, jak zeszywniały jej ramiona, potraktowała to niczym groźbę.

Nagle zdał sobie sprawę, że słyszy już głosy Aes Sedai, cichy szmer, który zamarł niczym ucięty nożem. Stały blisko siebie, patrząc nań z nieodgadniwym wyrazem twarzy. Nie, patrzyły na Siuan. Ich spojrzenia poszły w ślad za nią, gdy ruszyła na miejsce, gdzie wciąż bez ruchu stała Leane, jakby czując ich nacisk, z każdym krokiem przyspieszała. Kiedy odwróciła się znowu w ich stronę, stała już obok kominka, a jej twarz była równie pozbawiona wyrazu jak ich oblicza. Niezwykła kobieta. Nie był wcale taki pewien, czy na jej miejscu potrafiłby sobie tak dobrze poradzić z tą całą sytuacją.

Aes Sedai czekały, by podszedł bliżej. Kiedy tak zrobił, Sheriam powiedziała:

— Przyjmujemy bez zastrzeżeń twoje warunki, lordzie Bryne, i obiecujemy, że będziemy ich przestrzegać. Są jak najbardziej rozsądne.

Carlina wcale nie wyglądała na osobę, która uważa te warunki za rozsądne, jednak nie dbał o to. Był przygotowany, jeśli zajdzie taka potrzeba, na rezygnację ze wszystkich, z wyjątkiem ostatniego — żeby nie zmieniły zdania.

Ukląkł tam, gdzie stał, prawą pięść przyciskając do strzępu dywanu, one zaś otoczyły go, a każda położyła dłoń na pochylonej głowie. Nie dbał o to, czy używają Mocy, aby związać go własną przysięgą, czy też szukają prawdy — nie miał pojęcia, czy są zdolne do którejś z tych rzeczy, ale kto tak naprawdę wiedział, co potrafią Aes Sedai? — a jeśli nawet chodziło im o coś innego, nic w tej sprawie

nie mógł i tak uczynić. Schwytyany przez parę oczu niczym głupi jak gąsior wiejski chłopak. Rzeczywiście był bezmózgim idiotą.

— Obiecuję i przysięgam, że służyć będę wam wiernie do czasu, aż Biała Wieża będzie wasza. . .

Ale jednocześnie już tworzył plany. Wyśle Thada oraz może Strażnika czy dwóch na drugi brzeg rzeki, aby sprawdzili, co zamierzają Białe Płaszcz. Joni, Barim i kilku innych do Ebou Dar, dzięki temu Joni nie będzie musiał połykać języka za każdym razem, gdy spojrzy na „Marę” i „Amaenę”, a wszyscy oni wiedzą, jak werbować rekrutów.

— . . . stwórzyc i kierować waszą armią na miarę moich umiejętności. . .

* * *

Kiedy cichy szmer rozmów we wspólnej izbie zamarł, Min uniosła wzrok znad bezsensownych gryzmołów, które kreśliła na blacie stołu palcem umoczo-
nym w winie. Logain, o dziwo, również zebrał się trochę w sobie, ale był w stanie tylko patrzeć na ludzi w pomieszczeniu albo może na wskroś nich, trudno było osądzić.

Gareth Bryne i ten potężny Strażnik, Illianin, pierwsi wyszli z pokoju na za-
pleczu. W pełnej napięcia ciszy usłyszała, jak Bryne mówi:

— Powiedz im, że wysłała cię dziewczka z tawerny w Ebou Dar, w przeciwnym
razie zatkną twoją głowę na palu.

Illianin zaniósł się śmiechem.

— Niebezpieczne miasto, Ebou Dar. — Wyciągnął zza pasa rękawice i wy-
chodząc na ulicę, włożył je.

Gdy pojawiła się Suan, na nowo usłyszała szmer rozmów. Min nie mogła sły-
szyć tego, co jej powiedział Bryne, ale widziała, jak idzie w ślad za Strażnikiem,
warcząc coś do siebie. Miała nieprzyjemne uczucie, że Aes Sedai postanowiły, iż
zostaną oddalone, aby uczynić zadość tej głupiej przysiędze, z której Suan była
tak dumna, i to natychmiast. Gdyby mogła wmówić sobie, że ci dwaj Strażnicy
oparci o ścianę niczego nie zauważą, w mgnieniu oka byłyby już za drzwiami
i dosiadałyby Dzikiej Róży.

Sheriam oraz pozostałe Aes Sedai wyszły na końcu, wraz z nimi Leane. My-
relle usadziła Leane przy jednym ze stołów i zaczęła coś z nią omawiać, podczas
gdy tamte krążyły po pomieszczeniu, zatrzymując się, by porozmawiać z każdą
Aes Sedai. Cokolwiek im mówiły, wywoływało to reakcje wahające się między
nie skrywanym szokiem a zadowolonymi uśmiechami, zupełnie jakby osławiony
spokój Aes Sedai był tylko legendą.

— Zostań tutaj — nakazała Min Logainowi, odsuwając swoje kołyszące się krzesło. Miała tylko nadzieję, że nie zacznie sprawiać jakichś kłopotów. Patrzył na twarz Aes Sedai, po kolei, zdając się rozpoznawać znacznie więcej niżli przez ostatnie dni. — Zostań tu przy stole, dopóki nie wrócę, Dalyn. — Odwykła już od przebywania z ludźmi, którzy znali jego prawdziwe imię. — Proszę.

— Sprzedała mnie Aes Sedai. — Przeżyła prawdziwy wstrząs, gdy przemówił po tak długim okresie milczenia. Zadrżał, a potem skinął głową. — Zaczekam.

Min zawahała się, ale jeśli dwaj Strażnicy nie powstrzymają go przed jakimś głupstwem, z pewnością zajmą się nim zebrane w pomieszczeniu Aes Sedai. Kiedy doszła do drzwi, gniadego wałacha właśnie odprowadzał ktoś, kto wyglądał na stajennego. Koń Bryne'a, jak podejrzewała. Ich wierzchowców nie było nigdzie widać. Tyle więc jeśli chodzi o szybką ucieczkę.

„Dotrzymani tej przysięgi! Naprawdę! Ale teraz nie mogą mnie trzymać z dala od Randa. Zrobiłam wszystko, czego Siuan chciała! Powinni pozwolić mi odejść!”

Jedynym problemem był fakt, że to Aes Sedai same decydowały, co muszą zrobić, zresztą również w imieniu innych ludzi.

Siuan niemalże zbiła ją z nóg, wpadając do wnętrza gospody z ponurym grymasem na twarzy i ze zrolowanym kocem oraz torbami podróżnymi pod pachą.

— Pilnuj Logaina — wysyczała cicho, nawet się nie zatrzymując. — Nie pozwól, by ktoś zaczął z nim rozmawiać.

Pomaszerowała do stóp schodów, gdzie siwowłosa kobieta, służąca, prowadziła Bryne'a na górę, i podążyła za nimi. Sądząc po spojrzeniu, jakie wbiła w jego plecy, powinien być szczęśliwy, że nie sięgnęła po nóż przy pasie.

Min uśmiechnęła się do wysokiego, szczupłego Strażnika, który poszedł za nią do drzwi. Stał w odległości jakichś dziesięciu stóp, ledwie na nią patrzył, ale nie miała żadnych złudzeń.

— Teraz jesteśmy gośćmi. Przyjaciółmi.

Nie odpowiedział uśmiechem.

„Przeklęty mężczyzna o kamiennej twarzy!”

Dlaczego oni w żaden sposób nie dadzą ci znać, o czym myślę?

Kiedy wróciła do stołu, Logain wciąż wpatrywał się w Aes Sedai. Dobry sobie wybrała Siuan moment na uciszanie go, właśnie teraz, gdy zaczął dawać oznaki życia. Musiała z tamtą porozmawiać.

— Logain — zaczęła cicho w nadziei, że żaden ze Strażników opartych o ścianę nie słyszy. — Masz z nikim nie rozmawiać, dopóki Mara nie powie ci, co zaplanowała. Pamiętaj, z nikim.

— Mara? — Ponuro wyszczerzył zęby. — Masz na myśli Siuan Sanche? — A więc pamiętał to, co usłyszał w swym oszołomieniu. — Czy ktokolwiek tutaj sprawia wrażenie, jakby chciał odezwać się do mnie?

Zmarszczył brwi i powrócił do swej obserwacji otoczenia.

Nikt tutaj nie wyglądał, jakby chciał rozmawiać z poskromionym fałszywym Smokiem. Wyjąwszy dwu Strażników, reszta zdawała się w ogóle nie zwracać na nich uwagi. Gdyby nie wiedziała, że jest inaczej, pomyślałaby, iż Aes Sedai we wspólnej izbie gospody są podniecone. Przedtem też trudno by je określić mianem pogrążonych w letargu, ale teraz z pewnością zachowywały się bardziej energicznie, rozmawiały w niedużych grupkach, wydawały rozkazy Strażnikom. Papiery, na których skupiały dotychczas swą uwagę, leżały porzucone. Sheriam i pozostałe, które rozmawiały z Siuan, wróciły do pomieszczenia na zapleczu, ale przy stole Leane stały teraz dwie pisarki i notowały tak szybko, jak tylko potrafiły. Do gospody zaś płynął stały strumień Aes Sedai, znikający za tymi drzwiami z nierównych desek i żadna nie wracała. Cokolwiek tam się stało, Siuan z pewnością udało się je ożywić.

Min żałowała, że Siuan nie siedzi z nią przy stole albo że nie mogą sobie chociaż na pięć minut znaleźć jakiegoś odosobnionego miejsca. Bez wątpienia w tej chwili biła Bryne'a po głowie jego torbami podróżnymi. Nie, Siuan nie skończyłaby na tym, przynajmniej jej spojrzenia zapowiadały coś znacznie gorszego. Bryne nie był taki jak Logain, któremu udało się przytłoczyć Siuan na jakiś czas samymi swymi rozmiarami. Bryne był cichy, zatopiony w sobie, z pewnością nie był małym człowiekiem, ale trudno byłoby określić go jako przygniatającą osobowość. Nie chciałaby mieć wroga w człowieku, którego pamiętała ze Źródeł Kore, ale nie przypuszczała, że długo potrafi się przeciwstawić Siuan. Mógł sobie myśleć, że ona zamierza pokornie służyć mu przez czas jakiś, ale Min nie miała najmniejszych wątpliwości, kto w końcu będzie robił to, na co ma ochotę. Musiała tylko porozmawiać z tą kobietą na jego temat.

Jakby sprowadzona myślami Min, Siuan zeszła ze schodów, głośno tupiąc, pod pachą trzymała węzełek bielizny. Zeszła, skradając się, to było może bliższe prawdy, gdyby miała ogon, zapewne biłaby nim po bokach. Zatrzymała się na krótką chwilę, spojrzała na Min i Logaina, potem pomaszzerowała w kierunku drzwi wiodących do kuchni.

— Zostań tutaj — ostrzegła Min Logaina. — I proszę, nie mów nic do czasu aż... Siuan z tobą porozmawia.

Musiała na powrót przywyknąć do nazywania ludzi ich właściwymi imionami. Nawet na nią nie spojrział.

Dogoniła Siuan w korytarzu tuż przy kuchni, przez szczeliny w rozeschniętych deskach drzwi dolatywało szczękanie naczyń i zgrzyt szorowanych garnków.

Oczy Siuan rozszerzyły się z przestraszenia.

— Dlaczego go zostawiłaś? Czy jeszcze żyje?

— Będzie żył wiecznie, z tego co widzę. Siuan, nikt nie chce z nim rozmawiać. Ale ja muszę porozmawiać z tobą. — Siuan wepchnęła jej biały tobołek w rękę. Koszule. — Co to jest?

— Przekłete pranie przekłętego Garetha Bryne — warknęła tamta. — Ponie-

waż ty również jesteś teraz jedną z jego służących, możesz je wyprać. Ja muszę porozmawiać z Logainem, zanim zrobią to inni.

Min złapała ją za ramię, kiedy próbowała przemknąć obok niej.

— Możesz mi poświęcić choć jedną minutę i posłuchać. Kiedy Bryne wszedł do środka, miałam widzenie. Aura, a także obraz..., byk zrywający róże wokół jego szyi i... Nic z tego nie ma sensu z wyjątkiem aury. Jej też do końca nie rozumiem, ale już bardziej niż resztę.

— A więc co zrozumiałaś?

— Jeżeli chcesz zostać przy życiu, trzymaj się lepiej blisko niego. — Pomimo upału Min zadrżała. Poza tym, jak dotąd, miała tylko jeszcze jedno widzenie, zawierające w sobie konsekwencje określonych wyborów, a oba z nich były potencjalnie śmiertelne. Czasami wystarczająco złe było już widzenie tego, co się z pewnością wydarzy, a jeśli zacznie na dodatek widzieć rzeczy, które mogą nastąpić... — To wszystko, co wiem. Jeżeli on zostanie blisko ciebie, będziesz żyła. Jeżeli znajdzie się zbyt daleko, przez zbyt długi czas, umrzesz. Oboje umrzecie. Nie wiem, dlaczego skojarzyłam tę jego aurę z tobą, jednak wydawałaś się być jej częścią.

Spojrzenie Sivan mogłoby oskrobać gruszkę ze skórki.

— Wkrótce będę żeglować pod pokładem pełnym węgorki z zeszłego miesiąca.

— Nigdy bym nie przypuszczała, że on za nami pojedzie. Czy naprawdę zamierzają nas wydać w jego ręce?

— Och, nie, Min. On będzie teraz prowadził nasze armie ku zwycięstwu. A z mojego życia zrobi Szczelinę Zagłady! A więc uratuje mi życie, czy tak? Nie wiem, czy jest tego warte. — Wzięła głęboki oddech i wygładziła spódnice. — Kiedy już wypierzesz je i wyprasujesz, przynieś do mnie. Ja zaniosę jemu. Zanim położysz się dzisiaj spać, możesz wyczyścić jego buty. Przydzielono nam pokój... wielkości szafy... blisko jego izby, byśmy mogły w każdej chwili, gdy sobie tego zażyczy, wygładzić mu przekłete poduszki!

Zanim Min zdążyła zaprotestować, Sivan już nie było.

Spooglądając na zbitą masę koszul, pewna była, że wie, kto będzie musiał się zajmować praniem Garetha Bryne, i że nie będzie to Sivan Sanche.

„Przeklęty Rand al'Thor”.

Zakochasz się w mężczyźnie, a kończy się na tym, że zostajesz praczką, cóż z tego, iż pranie należy do innego. Kiedy szła w stronę kuchni, aby poprosić o balię i gorącą wodę, burczała pod nosem nie gorzej od Sivan.

WSPOMNIENIA Z SALDAEI

Kadere leżał w ciemności na łóżku, w samej koszuli, mnąc w dłoniach jedną ze swych wielkich chustek. Otwarte okna wozu wpuszczały światło księżycy i lekki tylko powiew wiatru. W Cairhien było przynajmniej chłodniej niż w Pustkowiu. Miał nadzieję, że któregoś dnia powróci do Saldaei, że jeszcze przespaceruje się po ogrodzie, w którym Teodora, jego siostra, uczyła go cyfr i stawiania liter. Za nią tęsknił równie mocno jak za Saldaeą, tęsknił za srogimi zimami, podczas których drzewa wybuchają od zamarzających w nich soków, a podróżować można jedynie w butach do chodzenia po śniegu albo na nartach. Na tych południowych ziemiach wiosna przypominała lato, a lato Szczelinę Zagłady. Cały spływał strumieniami potu.

Z ciężkim westchnieniem wsunął palce do niewielkiej wnęki w burcie wozu, w której osadzone było łóżko. Zaszeleścił skręcony arkusz pergaminu. To on go tam ukrył. Treść znał na pamięć.

Nie jesteś sam wśród obcych. Droga została wybrana.

Tylko tyle, rzecz jasna bez podpisu. Znalazł to pod drzwiami, kiedy udawał się na nocny spoczynek. W odległości niecałej ćwierci mili znajdowało się miasteczko Eianrod, ale nawet gdyby jakieś miękkie łóżko pozostało tam wolne, to i tak wątpił, by Aielowie pozwolili mu spędzić noc z dala od wozów. Albo że pozwoliłaby na to Aes Sedai. Na razie jego plany całkiem składnie zgrały się z planami Moiraine. Może uda mu się znowu zobaczyć Tar Valon. Niebezpieczne miejsce dla takich jak on, ale czekająca tam praca była zawsze ważna i pobudzała ducha.

Wrócił myślami do listu, mimo iż zignorowałby go z chęcią, gdyby mu było wolno. Słowo „wybrana” upewniło go, że autorem jest inny Sprzymierzeniec Ciemności. Zdziwił się też, że otrzymał go dopiero teraz, kiedy już pokonali większą część terytorium Cairhien. Blisko dwa miesiące temu, zaraz po tym, jak Jasin Natael związał się z Randem al'Thorem — z powodów, których w ogóle nie raczył wyjawić — a jego nowa partnerka, Keille Shaogi, zniknęła — podejrzewał, że została pogrzebana w Pustkowiu, z dziurą po Nataelowym nożu w sercu, niewielka strata — wkrótce potem złożyła mu wizytę jedna z Wybranych. Sama Lanfear. To od niej otrzymał instrukcje.

Dłoń machinalnie powędrowała ku piersi, obmacał przez koszulę odcisnięte na skórze blizny. Otarł twarz chustką. Część jaźni o władnęła chłodna myśl, myśl, która nawiedzała go co najmniej raz dziennie od tamtego czasu, iż te blizny to widome świadectwo, że nie był to zwyczajny sen. Zwyczajny koszmar. I jednocześnie odczuwał ulgę, że nigdy już potem nie wróciła.

Zastanowienie budziła dłoń, która skreśliła list. Kobięca dłoń, chyba że o całą milę pomylił się w swych domysłach, a poza tym krój niektórych liter wskazywał na znane mu teraz pismo Aielów. Natael twierdził, że wśród Aielów muszą być Sprzymierzeńcy Ciemności — w każdej krainie, w każdym narodzie byli Sprzymierzeńcy Ciemności — ale on nie chciał nigdy znaleźć braci w Pustkowiu. Aiel potrafił z miejsca zabić człowieka za jedno spojrzenie, a nawet i za to, że w ogóle odważył się oddychać.

Jeśli się nad wszystkim zastanowić, list oznaczał katastrofę. Być może Natael wyjawiał któremuś Sprzymierzeńcowi Ciemności spośród Aielów, kim on jest. Gniewnie skręcił chustkę w długą, cienką linkę i naprężył ją w dłoniach. Gdyby bard i Keille nie mieli dowodów, że zajmują wysokie stanowiska w radach Sprzymierzeńców Ciemności, zabiłby ich oboje na długo przed Pustkowie. Myśląc o drugim i właściwie jedynym wyjściu, czuł, jak żołądek zaczyna mu ciążyć niczym ołów. „Droga została wybrana”. Może chodziło wyłącznie o użycie słowa „wybrana”, a może jeden z Wybranych postanowił go wykorzystać. Listu nie przysłała Lanfear, ona by po prostu raz jeszcze przemówiła do niego we śnie.

Mimo upału poczuł dreszcz, a jednocześnie musiał otrzeć twarz z wilgoci. Miał wrażenie, jakby Lanfear była zazdrosną kochanką, której musi służyć, jednak gdyby jeszcze jakiś Wybrany zażyczył sobie jego usług i tak nie miałby wówczas wyboru. Wbrew wszystkiemu, co mu obiecano, gdy jako mały chłopiec składał przysięgi, nie był człowiekiem, który żywiłby się złudzeniami. Złapany w potrzask między dwojgiem Wybranych zostanie rozgnieciony niczym kociak przez koło wozu, a oni zwrócą na to tyleż samo uwagi co wóz. Żałował, że nie jest w domu, w Saldaei. Żałował, że już więcej nie zobaczy Teodory.

Ciche drapanie w drzwi sprawiło, że poderwał się na równe nogi, mimo zwalistej sylwetki był bardziej zwinny, niż ktokolwiek mógłby przypuszczać. Otarłszy twarz i kark, przecisnął się obok piecyka z cegieł, którego z całą pewnością tutaj nie potrzebował, i szafek ze zdobnie rzeźbionymi i pomalowanymi listewkami. Kiedy otworzył drzwi, do środka wemknęła się szczupła obleczona w czarne szaty postać. Prędko omiótł wzrokiem rozświetlony przez księżyc mrok, żeby sprawdzić, czy nikt nie patrzy — wszyscy woźnice chrapali pod wozami, strażę zaś Aielów w ogóle nie pojawiały się wśród wozów i szybko zamknął drzwi.

— Pewnie ci gorąco, Isendre. — Mówiąc to, zaśmiał się. — Zdejmijże ten strój i rozgość się.

— Dziękuję, ale nie chcę — odparła dziewczyna cierpkim głosem z cieni-
stych głębin kaptura. Stała sztywno wyprostowana, co rusz jednak podrygiwała

nerwowo, tej nocy wełna musiała być jeszcze bardziej swędząca niż zazwyczaj.

Znowu się zaśmiał.

— Jak sobie życzysz. — Podejrzewał, że Panny Włóczni nadal nie pozwalały jej nosić nic prócz skradzionej biżuterii, o ile w ogóle, pod tą szatą. Dlatego właśnie, od czasu kiedy ją przyłapały, stała się taka pruderyjna. Nie pojmował, jak ta kobieta mogła być na tyle głupia, żeby kraść. Naturalnie nie wyraził sprzeciwu, kiedy rozwrzeszczaną wywlokły ją za włosy z wozu, cieszył się natomiast, że nie przyszło im na myśl, iż on był w to zamieszany. Jej chciwość z pewnością uczyniła jego misję jeszcze trudniejszą.

— Masz mi coś do przekazania w związku z al'Thorem albo Nataelem? — Zasadnicza część instrukcji Lanfear nakazywała dokładnie baczyć na tych dwóch, a on nie znał lepszego sposobu na pilnowanie mężczyzny niżli umieszczenie w jego łóżu kobiety. Każdy mężczyzna mówił towarzysze łoża rzeczy, które poprzysiągł zachować w tajemnicy, chełpił się swymi planami, zdradzał słabości, choćby nawet był Smokiem Odrodzonym i tym kimś od Świtu, jeśli użyć przydomka nadanego mu przez Aielów.

Zadrżała w zauważalny sposób.

— Do Nataela mogę się przynajmniej zbliżyć.

Zbliżyć? Panny właśnie wpychały ją co noc do namiotu tego mężczyzny, odkąd przyłapana została na tym, że się doń zakradała. Za każdym razem przedstawiała sprawy w innym świetle.

— Co wcale nie znaczy, że on mi cokolwiek mówi. „Czekaj. Bądź cierpliwa. Milcz. Pogódź się z losem”, cokolwiek to miałyby znaczyć. Powtarza to za każdym razem, kiedy próbuję zadać jakieś pytanie. Na ogół chce mi tylko odegrać melodię, której nigdy wcześniej nie słyszałam, no i kochać się.

Kolejny raz nie miała nic więcej do powiedzenia na temat barda. Po stokroć zastanawiał się, dlaczego Lanfear kazała mu obserwować Nataela. Ten człowiek osiągnął rzekomo na najwyższe stanowisko, jakie mógł zająć Sprzymierzeniec Ciemności, zaledwie stopień niżej od Wybranych.

— Wnoszę z tego, że jeszcze nie udało ci się wślizgnąć do łóża al'Thora? — spytał, przeciskając się obok niej, by usiąść na łóżku.

— Nie. — Zaczęła się wiercić, wyraz męki zagościł na jej twarzy.

— W takim razie powinnaś bardziej się starać, nieprawdaż? Brak wyników zaczyna mnie już męczyć, Isendre, a nasi panowie nie są tacy cierpliwi jak ja. On jest tylko mężczyzną, jakichkolwiek tytułów by używał.

Kiedyś chełpiła się często, że potrafi zdobyć każdego mężczyznę, jakiego zapragnie, i zmusić go, by robił to, co zechce. Dowiodła mu prawdziwości swoich przechwałek. Nie musiała kraść biżuterii, kupiłby jej wszystko, czego by sobie zażyczyła. W rzeczy samej już wydał na nią więcej, niż go było stać.

— Te przekłete Panny nie mogą go obserwować w każdej sekundzie, a on nie pozwoli, by cię skrzywdziły, jak się już znajdziesz w jego łóżu. — Wystar-

czy, że raz jej posmakuje. — Pokładam w twych umiejętnościach całkowitą wiarę i zaufanie.

— Nie. — To słowo tym razem zabrzmiało bodajże jeszcze krócej, o ile w ogóle zabrzmiało.

Z irytacją miał chustkę.

— „Nie” to słowo, którego nasi panowie nie lubią słyszeć. — Mówił o lordach wśród Sprzymierzeńców Ciemności, żadną miarą nie o wszystkich lordach i lady, tu stajenny mógł wydawać rozkazy arystokratce, podobnie jak żebrak urzędnikowi magistratu, lecz ich rozkazy były przynajmniej równie ściśle przestrzegane jak rozkazy każdego arystokraty, a nawet jeszcze bardziej. — To nie jest słowo, które spodoba się naszej pani.

Isendre wzdrygnęła się. Nie wierzyła w jego opowieść, dopóki nie pokazał śladów po oparzeniach na piersi, jednak od tego czasu każda wzmianka o Lanfear wystarczała, by stłumić wszelki opór z jej strony. Tym razem jednak zaniósła się łkaniem.

— Nie mogę, Hadnan. Tego wieczoru, kiedy się zatrzymaliśmy, myślałam, że w mieście będę miała jakąś szansę, nie tak jak wśród namiotów, ale one mnie pojmaly, zanim zbliżyłam się do niego na odległość dziesięciu kroków. — Odrzuciła kaptur z głowy, a on wytrzeszczył oczy na widok nagiej czaszki, w której odbijało się światło księżyca. Nie miała nawet brwi. — One mnie ogoliły, Hadnan. Adelin, Enaila i Jolien trzymały mnie pospół i zgoliły wszystko, co do ostatniego włosa. One mnie biją pokrzywami, Hadnan. — Otrząsnęła się niczym młode drzewko na silnym wietrze, łkając i niewyraźnie mamrocząc. — Swędzi mnie wszystko od ramion po kolana, a nawet nie mogę się podrapać, bo taka jestem poparzona. Powiedziały, że następnym razem, jeśli tylko spojrzę w jego stronę, każą mi się ubierać w pokrzywy. One mówiły to poważnie, Hadnan. Naprawdę! Zagroziły, że oddadzą mnie Aviendzie i opowiedziały, co ta ze mną zrobi. Nie mogę, Hadnan. Już nie. Nie mogę.

Patrzył na nią oszołomiony. Miała przedtem piękne, czarne włosy. A jednak nawet teraz była urodziwa. Łysa jak jajo, wyglądała po prostu egzotycznie. Łzy i wykrzywione rysy niewiele jej ujmowały. Gdyby tylko wślizgnęła się do łóżka al'Thora chociaż na jedną noc. . . Nie, nie dojdzie do tego. Panny ją złamały. On sam złamał kilku ludzi, więc znał tego objawy. Pragnienie uniknięcia kary przeraża się w pragnienie okazywania posłuszeństwa. Ten umysł nigdy nie przyznał, że przed czymś ucieka, dlatego też Isendre niebawem odkryje, że naprawdę chce być posłuszna, że naprawdę nie pragnie niczego innego prócz zadowalania Panien.

— Co ma z tym wspólnego Aviendha? — mruknął. Ile czasu upłynie, zanim Isendre również poczuje potrzebę, by wyznać swoje grzechy?

— Al'Thor dzieli z nią łóżko od Rhuidean, ty głupcze! Spędza z nią każdą noc. Panny uważają, że ona go poślubi.

Mimo łkania Isendre wyczuwał, że wścieka się ona z oburzenia. Nie znosiła,

gdy innej powiodło się tam, gdzie ona przegrała. Bez wątpienia dlatego właśnie nie powiedziała mu o wszystkim wcześniej.

Aviendha była piękną kobietą mimo zapalczywych oczu, obdarzoną wydatnym biustem w odróżnieniu od większości Panien, a jednak on postawiłby przeciwko niej Isendre, gdyby tylko... Isendre kuliła się w księżycowym świetle padającym przez okna, drżąc na całym ciele, łkając z otwartymi ustami, nawet nie chciało jej się ścierać strumieni łez ciekących po policzkach. Tarzałyby się po ziemi, gdyby Aviendha spojrzała na nią krzywo.

— Bardzo dobrze — rzekł łagodnie. — Skoro nie możesz, to znaczy, że nie możesz. Próbuj jeszcze wydobyć coś od Nataela. Wiem, że cię na to stać.

Powstał, ujął ją za ramiona i skierował w stronę drzwi.

Wzdrygnęła się, gdy ją dotknął, ale odwróciła się.

— Natael przez wiele dni nie będzie chciał na mnie patrzeć — odparła zirytowanym tonem, nie przestając pociągać nosem. Zanosilo się, że lada moment znowu zanie sie płaczem, ale ton jego głosu wyraźnie ją uspokajał. — Jestem cała czerwona, Hadnan. Tak czerwona, jakbym cały dzień leżała na słońcu. I te moje włosy. Będą odrastały całą wiecz... .

Gdy doszła do drzwi, kierując już oczy ku klamce, błyskawicznie skrecił z chustki sznur i owinał go wokół jej szyi. Usiłował zignorować chrapliwe bulgotanie, oszalałe drapanie stóp o podłogę. Palce dziewczyny wczepiały się w jego dłonie, ale on patrzył prosto przed siebie. I chociaż oczy miał otwarte, widział Teodorę, zawsze ją widział, kiedy zabijał kobietę. Kochał swoją siostrę, ale ona odkryła, kim on naprawdę jest i nie chciała milczeć. Pięty Isendre bębnily gwałtownie, ale nim upłynęła chwila, która zdawała się trwać wieczność, dziewczyna osłabła i zwisała martwym ciężarem w jego objęciach. Zaciskał pętlę, dopóki nie doliczył do sześćdziesięciu, dopiero wtedy ją poluźnił i pozwolił ciału upaść. Przyznałaby się. Przyznałaby się, że jest Sprzymierzeńcem Ciemności. Tym samym wskazując go palcem.

Przetrzęsnał po omacku szafki, wyciągnął nóż rzeźnicki. Pozbycie się całego ciała będzie trudne, ale na szczęście trupy nie krwawią obficie, szata wchłonie tę odrobinę. Może znajdzie kobietę, która zostawiła list pod jego drzwiami, Nawet jeśli nie jest dostatecznie piękna, to na pewno ma przyjaciół, którzy również są Sprzymierzeńcami Ciemności, Natael się nie przejmie, jeśli odwiedzi go kobieta Aielów — Kadere wolałby już chyba dzielić łoże z jadowitym wężem, Aielowie byli naprawdę niebezpieczni — i może taka będzie miała większe szanse niż Isendre przeciwko Aviendzie. Pracował na kłęczkach, nucąc cicho kołysankę, której nauczyła go Teodora.